



UUK

BRIAN LUMLEY

NEKROSKOP V

ROZNOSICIEL



SPIS TREŚCI

SPIS TREŚCI.	2
Wprowadzenie	4

I

ROZDZIAŁ PIERWSZY	
Rozmowa w kostnicy	11
ROZDZIAŁ DRUGI	
... Siedzą małe, niezdolnie gryzące	23
ROZDZIAŁ TRZECI	
Odmieniec	36
ROZDZIAŁ CZWARTY	
Ktoś umiera	50
ROZDZIAŁ PIĄTY	
Wskrzeszeni	65
ROZDZIAŁ SZÓSTY	
Czerwony alarm.	80

II (Cztery lata wcześniej)

ROZDZIAŁ PIERWSZY	
Lodowe pustkowia	97
ROZDZIAŁ DRUGI	
Wygnańcy	107
ROZDZIAŁ TRZECI	
Opowieść Ferenca	120
ROZDZIAŁ CZWARTY	
Zamarznięci lordowie	132
ROZDZIAŁ PIĄTY	
Więzy krwi.	144
ROZDZIAŁ SZÓSTY	
Mroczny sojusz	158

III

ROZDZIAŁ PIERWSZY	
Łowcy i zwierzyna	174
ROZDZIAŁ DRUGI	
Johnny znaleziony	185
ROZDZIAŁ TRZECI	
Johnny... Found	197
ROZDZIAŁ CZWARTY	
Sny	210
ROZDZIAŁ PIĄTY	
... Fantazje	223
ROZDZIAŁ SZÓSTY	
Coraz bliżej piekła	237
ROZDZIAŁ SIÓDMY	
Upiorne skrzyżowanie	249
ROZDZIAŁ ÓSMY	
Zabójcy wampirów	262

IV

ROZDZIAŁ PIERWSZY	
Faethor — Zek — Perchorsk	276
ROZDZIAŁ DRUGI	
W pojedynkę — Gwiezdna kraina — Rezydent	291
ROZDZIAŁ TRZECI	
Harry i Karen — Zagrożenie	306
ROZDZIAŁ CZWARTY	
Znowu Perchorsk — Kraina Wiecznych Lodów	320
ROZDZIAŁ PIĄTY	
Zachód słońca — Egzorcyty — Umysł Boga	335
ROZDZIAŁ SZÓSTY	
Podniebna bitwa.	350
ROZDZIAŁ SIÓDMY	
Stopienie — Rozszczepienie — Zakończenie	366

Dla Melissy, Heather, Anny i Eleanor. Tyle razy sączyły ze mną wino i delektowały się egzotycznymi daniami, a ich słodkie usta prześcigały się w poruszaniu dziwnych i obscenicznych tematów, mających wzbudzić we mnie niesmak (i może połaskotać mój umysł?). Trwało to aż do chwili, gdy — zbyt późno — zadałem sobie pytanie: co cztery tak rasowe potwory robią w tak miłej chińskiej restauracji?

Wprowadzenie

Zdolności ponadzmysłowe, które Harry Keogh odziedziczył po matce, rozwinęły się w nim w sposób niespotykany. Harry jest nekroskopem; rozmawia z umarłymi, podobnie jak zwykli ludzie rozmawiają ze swymi przyjaciółmi i sąsiadami. I rzeczywiście — z Harrym przyjaźnią się tłumy zmarłych, on jest jedynym światłem w ich wiecznej ciemności, jedynym ogniwem łączącym ich z utraconym światem.

Powszechna wiedza na temat śmierci mija się z prawdą; umysły nie tylko nie obracają się wraz z ciałami w proch, ale nawet kontynuują swe dzieło, korzystając z niezliczonych możliwości, jakie za życia nie były im dane. Pisarze nadal „piszą” arcydzieła, które nigdy nie doczekają wydania; architekci projektują bajeczne, niemal doskonałe miasta, których nikt nigdy nie zbuduje; matematycy, poszukując Czystej Liczby, zbliżają się do wykładników, których jedyną granicą jest nieskończoność.

Jako chłopiec Harry swymi ezoterycznymi „talentami” pomagał sobie w nauce; nigdy nie przepadał za szkołą, toteż kilku bardziej doświadczonych przyjaciół z za grobu pokazało mu skróty umożliwiające ominięcie owych szkolnych problemów. Dzięki temu odkrył w sobie pociąg do matematyki instynktownej, czy też intuicyjnej.

Ale Harry Keogh nie był jedynym, który „rozmawiał” z umarłymi. Radziecki Wydział E (Wydział Rozwoju Paranormalnego) korzystał ze zdolności Borysa Dragosaniego, nekromanty, który wydierał bezczeszczonym ciałom ich sekrety. To, za co Ogromna Większość kochała Harry’ego, w przypadku Dragosaniego budziło tylko lęk i odrazę. Różnica była aż nadto widoczna: podczas gdy nekroskop jedynie rozmawiał z umarłymi, dając im przyjaźń i pociechę i nie żądając nic w zamian, rosyjski nekromanta sięgał w głąb i brał, co chciał! Przed Dragosanem, pomnym ohydnych nauk pogrzebanego przed wiekami, ale wciąż jeszcze nieumarłego wampira, który obdarzył go swym nasieniem, nic się nie mogło ukryć; znajdował odpowiedzi we krwi, wnętrznościach i szpiku kostnym ofiar. Umarli zazwyczaj nie czują bólu, ale i w to ingerował talent Dragosaniego. Nekromanta swymi zabiegami sprawiał, że cierpieli! Czuli jego ręce i paznokcie; czuli i pojmowali wszystko, co im czynił! Nigdy nie zadowalało go zwyczajne

wypytywanie zmarłych; bał się, że mogliby go okłamać. Nie, wołał rozszarpać ciała na strzępy, a potem szukać odpowiedzi w rozdartej skórze i mięśniach, w pociętych ścięgnach i wiązadłach, w płynie mózgowym, śluzie wypływającym z oczu i uszu, i wreszcie — w martwej strukturze tkanek!

* * *

... Szukając zemsty na tym, który w okrutny sposób pozbawił życia jego matkę, Harry Keogh uświadomił sobie, że zarówno na Wschodzie, jak i na Zachodzie istnieją agencje wywiadu paranormalnego. Zwerbowany przez Anglików, wziął udział w tajnej wojnie z rosyjskimi mediami, ścierając się z Borysem Dragosanem. Wykorzystał swoją intuicję matematyczną.

Dzięki pomocy Augusta Ferdynanda Möbiusa (1790–1868) Harry zyskał dostęp do kontinuum Möbiusa, piątego wymiaru, równoległego nie tylko do czterech ziemskich, ale i do wszelkich innych światów materialnych. Mógł teraz w jednej chwili „teleportować się” do dowolnego miejsca na Ziemi, o ile tylko znał jego koordynaty lub pilotował go przyjazny zmarły. Co więcej, Harry odkrył, że jego niesamowita moc pozwala wywołać umarłych z grobów!

Ażeby uwolnić świat od wampira Dragosaniego, skorzystał z kontinuum i najechał na Zamek Bronnicy, tajną kwaterę rosyjskiego Wydziału E. Tam wezwał pod swe rozkazy armię zmumifikowanych Tatarów, których ciała przetrwały w torfiastym gruncie. Dragosani zginął, a wraz z nim przepadła część personelu i sporo aparatury należącej do owej radzieckiej agencji. Ale i Harry zapłacił za to — jego ciało również zostało zniszczone. Tyle że...

... Nekroskop dobrze wiedział o tym, że śmierć nie jest kresem.

Jako bezcielesny, czysty umysł, umknął do kontinuum Möbiusa, a później w wyniku nic kontrolowanej metempsychozy zajął odmóżdżone ciało brytyjskiego espera. Wówczas już świadom był roli, jaką będzie musiał odegrać w uwolnieniu świata ludzi od wampirzego pomiotu. Cel ów (owo przeznaczenie) uświadomił sobie, odkrywając wśród jasnoniebieskich linii żywotów ludzkich przenikających przeszłość i przyszłość, zawartych w kontinuum Möbiusa, szkarłatną nić wampira.

Julian Bodescu, skażony wampiryzmem przez Tibora Ferenczego — tego samego pogrzebanego przed wiekami wampira, który zaraził Dragosaniego — zagroził zarówno życiu Harry’ego, jak i jego maleńkiego syna. Ale tym razem to Harry Junior odwrócił karty i doprowadził do unicestwienia Bodescu; on także był nekroskopem, obdarzonym takimi samymi zdolnościami, jak jego ojciec. A może nawet większymi...

* * *

Po aferze z Bodescu Harry Junior ulotnił się (wyglądało na to, że nawet z powierzchni Ziemi), zabierając z sobą swą nieszczęsną, obłąkaną matkę. Poszukiwania, jakie prowadził wówczas Harry Senior, przyniosły mu tylko zwątpienie. Biegące przez kontinuum Möbiusa linie życia jego żony i syna ginęły w jakimś innym świecie, do którego nawet on nie miał dostępu.

Harry rozstał się z Wydziałem E, poświęcając się całkowicie owym poszukiwaniom, które z czasem stały się jego obsesją. Mijały lata, a nekroskop żył jak odludek, w walącym się, dziwnym domu, o kilka mil od Edynburga.

A potem... ludzie z Wydziału E znów nawiązali z nim kontakt. Nie mogli się obejść bez jego pomocy. Wydział stał przed podobną zagadką, agent specjalny zaginął; nic jednak nie wskazywało na to, że nie żyje. Ów młody szpieg rozwiął się w powietrzu, podobnie jak Harry Junior i jego matka. Ludzie z wywiadu paranormalnego mieli podstawy, by sądzić, że nadal żyje, ale nie mogli go znaleźć. Harry dowiedział się od Ogromnej Większości, że zaginiony nie powiększył szeregów umarłych. A jednak Wydział E zaklinał się, że nie ma go „tu”, na Ziemi, więc... gdzie?

Czyżby w tym samym miejscu, co żona i dziecko nekroskop? Poszukiwania prowadzone przez Harry'ego, doprowadziły go w końcu do Projektu Perchorsk, eksperymentu, jaki Rosjanie przeprowadzali w jednym z wąwozów Uralu. Usiłując stworzyć pole siłowe, które mogłoby przeciwstawić amerykańskiemu programowi Gwiezdných Wojen, przypadkowo otworzyli „smoczą jamę”, wiodącą z tego wymiaru czasoprzestrzennego do świata równoległego. W ten sposób odkryli pradawne źródło wampirzej zarazy, jaka zalewała Ziemię! Potwory przechodziły przez Bramę Perchorską. Niewiarygodne — ale nie dla Harry'ego i kilku agentów brytyjskiego i radzieckiego wywiadu paranormalnego.

Dzięki swym kontaktom z umarłymi, a zwłaszcza dzięki pomocy Augusta Ferdynanda Möbiusa Harry odkrył drugą Bramę i przeszedł przez nią do świata wampirów, którego gigantyczne wierchy rzucały upiorny cień na całą Gwiezdną Krainę — świata, w którym berło dzierżyli krwiożerczy Lordowie. Tam odnalazł swego syna, młodego mężczyznę, skażonego, niestety, wampiryzmem!

Harry Junior, znany w owym niesamowitym świecie równoległym jako Rezydent, wciąż jeszcze panował nad swoją wampirzą naturą; miał na swe rozkazy niewielką drużynę Wędrowców (pierwotnie Cyganów) i oddział troglodytów, prymitywnych tubylców. Ale jego wrogowie — potwory — przewyższali ich swą liczbą i tylko jego „magia” — mistrzowskie opanowanie kontinuum Möbiusa i nowoczesnej technologii — pozwalała mu zachować niezależność. Niestety, wielki i nikczemny Lord Szaitis doprowadził do tego, że rwące się do walki wampiry, odkładając na później wszelkie waśnie, zjednoczyły się i utworzyły przerażają-

cą, nieludzką armię. Ramię w ramię, ruszyły przeciwko Rezydentowi, zazdrośnie patrząc na jego włości, na jego Ogród i siedzibę.

Nie mogąc dopuścić do tego, by całkowite opanowanie obu Krain — Gwiazdnej i Słonecznej — przez wampiry stało się mrocznym i straszliwym faktem, obaj Keoghowie, ojciec i syn, stawili czoło zastępom potworów. Nie byli jednak sami, podczas krwawej bitwy o Ogród Rezydenta dołączyła do nich Lady Karen. Owa wampirzyca była i piękna, i mądra. Czytała w myślach Lordów i przewidywała ich kolejne posunięcia. Mimo to Szaitis, wspierany przez innych wielmożów, ich poruczników i hordy przerażających wojowników, stworzonych z ciał ludzi i troglodytów, wygrałby tę bitwę, gdyby nie zatrważające moce nekroskopa i jego syna.

Posłużwszy się naturalnym światłem słońca, obrońcy Ogrodu rozbili armię Szaitisa i zrównali z ziemią wieżycę z kamienia i kości, górskie twierdze wampirów. Wszystkie — oprócz domostwa ich sojuszniczki, Karen.

* * *

Później Harry Keogh odwiedził Karen w jej mrocznej warowni. Lady od niedawna była wampirzycą; stwór w jej wnętrzu nie osiągnął jeszcze dojrzałości i gdyby nekroskop zdołał go z niej wyrwać i zniszczyć... mógłby uratować Harry'ego Juniora.

Metody Harry'ego były pozbawione delikatności, drastyczne, a nawet brutalne... ale potwornie skuteczne. Czyż jednak mógł przewidzieć ów skutek? Karen była przecież wampirzycą! A potem? Uwolniona od upiornego pasożyta, stała się jedynie śliczną, pustą dziewczyną. Gdzież podziała się jej moc, jej wolność, jej surowy, niczym nie skrzepowany wampirzy duch? Wszystko przepadło.

A kiedy Harry odzyskał siły po owym zabiegu, przekonał się, że Karen dokonała wyboru.

Patrzył z góry na leżące na stoku, skrwawione i pogruchotane ciało, okryte białą szatą. Rzuciła się ze szczytu murów.

* * *

Rezydent wiedział, do czego doprowadził jego ojciec; pojmował też dlaczego. Skoro Harry Senior był w stanie uleczyć Karen, mógł zastosować tę kurację i wobec swego syna. W obawie, że ojciec któregoś dnia powróci do Gwiazdnej Krainy, by tego dokonać, Rezydent odwołał się do swych wampirzych mocy i zredukował jego zdolności do zera. Pozbawił go znajomości mowy zmarłych (daru umożliwiającego porozumiewanie się z umarłymi), a także wiedzy o liczbach. A potem

Harry Keogh, eks-nekroskop, został odesłany z powrotem do swego świata, świata ludzi.

* * *

Nie mogąc już rozmawiać z umarłymi — naruszenie tej reguły groziło potworną karą, zarówno fizyczną, jak psychiczną — ani korzystać z kontinuum Möbiusa, Harry Keogh stał się niemal „normalnym” człowiekiem. Jeżeli brać pod uwagę wiedzę, jaką dotąd posiadał, zabieg, któremu go poddano, można by przyrównać do lobotomii. Do tej pory był nekroskopem — teraz stał się nikim.

A jednak, mimo iż nie mógł świadomie porozumiewać się z rzeszami zmarłych, słyszał ich głosy we śnie. To co mówiły, było przerażające. Świat znów nawiedził Wielki Wampir!

Harry walce z wampiryzmem poświęcił życie, cóż jednak mógł zrobić teraz, jako eks-nekroskop? Przynajmniej służyć radą; był wszak największym na świecie ekspertem w tej dziedzinie. Musiał coś zrobić; wiedział, że jeśli wraz z Wydziałem E nie uderzy pierwszy, ów nieumarły potwór prędzej czy później sam go odnajdzie. Tak, Harry był przecież legendą: zabójcą wampirów, w którego zablokowanym umyśle wciąż tkwiły sekrety Ogromnej Większości i wzory matematyczne, opisujące kontinuum Möbiusa. Strach myśleć, co by się działo, gdyby zrodzone po raz kolejny monstrum wydarło mu nekromancją owe zakazane, metafizyczne talenty!

Umarli, pomimo zakazu ograniczającego kontakt z Harrym tylko do sfery snów, nie opuścili go w potrzebie. Znaleźli inną drogę przekazywania informacji i ostrzegli go, że wampir grasuje na wyspach Morza Egejskiego. Harry i Kochająca go dziewczyna raz jeszcze sprzymierzyli się z Wydziałem E i wyruszyli zobaczyć, co da się zrobić.

Niestety, Janosz Ferenczy, zrodzony z krwi Faethora „brat” Tibora, Starego Stwora spod Ziemi, zdążył już zarazić wampiryzmem dwóch brytyjskich esperów i wspomóc swoje moce ich talentami ezoterycznymi. Janosz wrócił, by na nowo zawładnąć swoimi włościami i odkopać starożytne skarby, które sam ongiś ukrył, by zabezpieczyć się na wypadek zmian, jakie mogły przynieść stulecia biernego półżycia — skarby, czekające w ziemi na jego „zmartwychwstanie”. Zadbął o to już w piętnastym wieku, kiedy dowiedział się, że jego potężny ojciec, Faethor, po niemal trzech wiekach krwawych wojen u boku krzyżowców, Czyn-Gis-Chana i Turków wraca na Wołoszczyznę. Faethor bowiem nienawidził Janosza i mógł spróbować go „zabić” (podobnie jak jego brata, Tibora, którego pogrzebał w ziemi, odmawiając mu prawa do śmierci), a w takim przypadku owe zapasy na niepewną przyszłość mogły okazać się bezcenne.

Kiedy Harry pojął, że ma do czynienia z Janoszem i kiedy wampir zawładnął jego kobietą, stało się jasne, że musi w jakiś sposób odzyskać zdolność porozu-

miewania się ze zmarłymi i władzę nad tajemniczym kontinuum Möbiusa. Bez tych mocy nie miał najmniejszych szans.

I wtedy skontaktował się z nim, oferując swą pomoc, duch Faethora Ferenczego, rezydujący w walących się, zapuszczonych ruinach nie opodal rumuńskiego miasta Ploeszti. Przypomniawszy, że umysł Harry'ego został okaleczony przez Rezydenta, Harry'ego Juniora, wampira o nad wyraz rozwiniętych mocach psychicznych. Gdyby tylko Harry otworzył się przed Faethorem, „ojciec” wampirów spróbowałby usunąć blokadę i odryglować zamknięte strefy. Eks-nekroskopowi niezbyt podobał się ten pomysł (wpuścić w swój umysł wampira, tego wampira!); wiedział, jak przerażający w skutkach może być to eksperyment. Ale żebrakom nie przystoi wybrzydzać.

Faethor gotów był pomóc, gdyż nie mógł pogodzić się z myślą, że podczas gdy on jest tylko gasnącym wspomnieniem, odrzucanym nawet przez umarłych, zrodzony z jego krwi Janosz ma się dobrze i podbija świat. „Ojciec” wampirów chciał raz jeszcze pogrzebać swego syna, pragnął przyczynić się do jego zguby. A jedynym, który mógł do niej doprowadzić, był Harry Keogh. Tak przynajmniej Faethor uzasadnił swą decyzję. . .

Harry spędził noc pośród szczątków ostatniego azylu Faethora, a kiedy spał, „ojciec” wampirów wszedł w jego umysł i pootwierał pewne psychiczne „drzwi” zatrzasknięte przez Harry'ego Juniora. Obudziwszy się, Harry stwierdził, że znów włada mową zmarłych. Mógł teraz skontaktować się z Möbiusem i nakłonić go, by połączył się z jego myślami i przywrócił mu wiedzę numerologiczną oraz zdolność poruszania się w kontinuum Möbiusa. A jednak Faethor skłamał; raz wpuszczony w umysł Harry'ego, nie zamierzał odejść.

W zamku górującym nad transylwańskimi górami Zarandului Harry odzyskał pełnię sił, starł w proch Janosza i przegnał ducha Faethora w wieczną pustkę i najgłębszą samotność strumieni czasu przyszłego, zawartych w czasoprzestrzeni Möbiusa.

Zwycięstwo miało jednak swoją cenę. Od tamtej pory częstą Harry'ego władają dziwne żądze i jeszcze dziwniejszy głód. Nić jego życia nadal biegnie w niekończącą się przyszłość wymiaru Möbiusa. Tylko że o ile kiedyś była błękitna, jak linie wszystkich istot ludzkich, teraz splamiona jest czerwienią. . .

CZEŚĆ I

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Rozmowa w kostnicy

— Harry. — Nawet przez telefon było słychać, że Darcy Clarke silnie stara się zapanować nad swym drżącym głosem. — Mamy pewien problem i przydałaby się nam pomoc. Pomoc w twoim stylu.

Harry Keogh, nekroskop, mógł się domyślać, co dręczyło szefa brytyjskiego INTESP. Mógł też zadawać sobie pytanie, czy to nie dotyczyło właśnie jego.

— O co chodzi, Darcy? — zapytał cicho.

— To morderstwo — odpowiedział tamten nerwowo. Naprawdę był roztrzęsiony. — Cholernie paskudne morderstwo, Harry! Mój Boże, w życiu czegoś takiego nie widziałem!

Darcy Clarke miał okazję niejedno już widzieć i Harry'emu Keoghowi trudno było uwierzyć w te słowa. Chyba, że Clarke mówi o...

— Pomoc w moim stylu, powiedziałaś? — Harry zaniepokoił się. — Darcy, sądzisz, że...

— Co? — Tamten dopiero po chwili zorientował się, o co chodzi. — O rany, nie! To nie robota wampira, Harry. Ale i tak dzieło potwora. Człowieka, ale potwora.

Harry odetchnął z ulgą. Niemal z ulgą.

Spodziewał się, że INTESP prędzej czy później przypomni sobie o nim. Miał pewne obawy, a jednak... Darcy Clarke był jego przyjacielem. Nie zrobiłby nic — nawet w tej sytuacji — nie sprawdziwszy wszystkiego dokładnie. I nawet wtedy, zdaniem Harry'ego, nie polowałby na niego z kuszą i gwajakowym bełtem, mączetą i bańką benzyny. Spróbowałby najpierw porozmawiać, wysłuchałby jego argumentów. Ale w końcu...

Szef INTESP wiedział o wampirach prawie tyle co Harry. Pojąłby, że sprawa jest beznadziejna. Owszem, kiedyś się przyjaźnili, walczyli po tej samej stronie i Keogh był przekonany, że to nie Darcy nacisnąłby spust. Ktoś by to jednak zrobił.

— Harry? — zaniepokoił się Clarke. — Jesteś tam jeszcze?

— Skąd dzwonicz, Darcy? — zapytał nekroskop.

— Z zamku, z posterunku żandarmerii — odpowiedział natychmiast Clarke. — Znaleźli jej ciało pod murami. Harry, to był zaledwie dzieciak. Osiemnastka lub dziewiętnastka. Jeszcze nie ustalili tożsamości. Gdybyś tak zdołał się dowiedzieć, kto to zrobił...

Jeśli istniał jakiś człowiek, któremu Harry Keogh ufał, z pewnością był nim Darcy Clarke.

— Za kwadrans tam się zjawię.

— Dzięki, Harry. — Clarke wreszcie odetchnął. — Docenimy to.

— My? — powtórzył nekroskop. Nie zdołał wymazać z głosu tonu podejrzliwości.

— Co? — Clarke wyglądał na zdziwionego, zbitego z tropu. — No, policja. I ja.

„Morderstwo? Policja? — zastanawiał się Harry. — To nie sprawa dla INTESP. Skąd więc wziął się tam Clarke?”

— Jak się w to wplątałeś? — zapytał.

— Ja... jestem w „podróży służbowej”, z wizytą u mej starej cioteczki, Szkotki. Odwiedzam ją od wielkiego święta. Już od dziesięciu lat łązi na ostatnich nogach, ale wciąż nie zamierza się kłaść. Miałem dziś wracać do centrali, ale akurat wynikła ta sprawa. To coś, w czym INTESP usiłuje wesprzeć policję: seria, o Boże, seria makabrycznych mordów.

Harry nigdy dotąd nie słyszał o owej krewniaczce Darcy’ego. A z drugiej strony, to była wyśmienita okazja, by sprawdzić, czy esperzy coś wiedzą o... jego problemach. Musiał jednak zachować ostrożność; zbyt dobrze znał INTESP, by pakować się w prostą pułapkę.

— Harry? — znów rozległ się głos Clarke’a, metaliczny i nieco zniekształcony; zapewne wiatr nieustannie krążący wokół wysokich murów zamku targał przewodami. — Gdzie się spotkamy?

— Na esplanadzie, na górnym krańcu Królewskiej Mili — warknął nekroskop. — Darcy...

— Tak?

— Nieważne. Porozmawiamy o tym później.

Położył słuchawkę na widelkach i wrócił do kuchni, by skończyć śniadanie — gruby na cal stek, surowy i krwisty.

* * *

Sądząc z wyglądu, Darcy Clarke był najprzeciętniejszym człowiekiem na świecie. Natura wynagrodziła mu jednak tę fizyczną anonimowość, ofiarowując wyjątkowy talent.

Clarke był deflektorem, przeciwieństwem ofiary losu. Wystarczyło, by otarł się o jakieś zagrożenie, a już interweniował jego paranormalny anioł stróż. Jeśli przyjąć, że cały prowadzony przez Clarke'a zespół ekstrasensoryków to fotografie, on byłby jedynym negatywem. Nie panował nad swym darem; jego obecność uświadamiał sobie jedynie w chwilach, gdy rozmyślnie mierzył się z niebezpieczeństwem.

Talenty innych — telepatia, lokalizowanie, przepowiadanie przyszłości, onejromancja, wykrywanie kłamstw — były bardziej uchwytnie, posłuszne i praktyczne. Z darem Clarke'a sprawa wyglądała inaczej. Wciąż robił swoje, czuwał nad esperem. Niczemu innemu nie służył. Zapewniał mu jednak długowieczność, co sprawiało, że Clarke był idealnym kandydatem na stanowisko, które obecnie piastował. Jedno w tym talencie było paradoksalne, kiedy nie dawał znać o sobie, Clarke powątpiewał w jego istnienie. Wciąż jeszcze na przykład wyłączał korki przed wkręceniem żarówki. Ale może i to stanowiło dowód na jego działanie?

Gdyby ktoś przyjrzał się Clarke'owi, z całą pewnością nie domyśliłby się, że może piastować jakiekolwiek stanowisko kierownicze, nie wspominając o zarządzaniu najtajniejszą z brytyjskich służb. Średniego wzrostu, o mysich kędziorkach, lekko przygarbiony i z niewielkim brzuszkiem, do tego jeszcze w średnim wieku — z każdej strony wyglądał na przeciętniaka. W nieskorej do uśmiechu twarzy tkwiły niewyróżniające się niczym, piwne oczy. Mocno zaciśnięte usta można było ewentualnie zapamiętać, ale generalnie Darcy Clarke nie miał w sobie nic szczególnego; jego obraz zaraz zacierał się w pamięci. Wszystko w nim — łącznie z doborem garderoby — było średnie...

Takie przyziemne myśli przemknęły przez głowę Harry'ego Keogha w ciągu tych kilku sekund, które minęły, odkąd wydostał się z metafizycznego kontinuum Möbiusa na esplanadę Zamku Edynburskiego i ujrzał plecy Darcy'ego Clarke'a, który wpychając dłonie w kieszenie prochowca, czytał legendę, wypisaną na mosiężnej tabliczce nad siedemnastowiecznym wodopojem.

Żelazną fontannę, ozdobioną wizerunkami dwóch głów — szpetnej i anielskiej — ustawiono...

... w pobliżu miejsca, gdzie spalono
niejedną czarownicę. Głowy — nikczemna
i czysta — mają symbolizować fakt, że część
skazanych posługiwała się swą wyjątkową
wiedzą w niecnym celu, inne zaś padły
ofiarami niezrozumienia, życząc swym
pobratymcom jedynie tego, co najlepsze.

Tylko porywisty wiatr nie pozwalał uznać tego słonecznego, majowego dnia za ciepły. Esplanada była prawie pusta: grupki turystów — ze dwa tuziny osób — trzymały się wyższego krańca szerokiego asfaltowego placu; spoglądały z murów

na miasto lub fotografowały potężną, szarą twierdzę — Zamek na Skale — skrytą za fasadą blanków i dziedzińców.

Harry przybył w chwilę po tym, jak Clarke, zlustrowawszy uważnie całą esplanadę, zainteresował się tabliczką.

Jeszcze przed chwilą szef INTESP przebywał sam na sam ze swymi myślami, a w promieniu pięćdziesięciu stóp od niego nie było żywego ducha. Teraz jednak za jego plecami rozległ się cichy głos:

— Ogień to bezstronny zabójca — usłyszał. — Dobrze czy złe, wszystko spłonie, jeżeli tylko jest dość gorące.

Serce podskoczyło Clarke'owi do gardła. Drgnął i odwrócił się z impetem. Krew odpłynęła mu z twarzy i przez moment wyglądał śmiertelnie blado.

— Ha... Ha... Harry! — zająknął się. — Boże, nie zauważyłem cię! Skąd się tu...? — Urwał, gdyż doskonale wiedział, skąd się tu wziął. Nekroskop kiedyś nawet i jego tam zabrał, do owego miejsca, które było wszędzie i zawsze, wewnątrz i na zewnątrz — do kontinuum Möbiusa.

Rozdygotany Clarke, nie mogąc zapanować nad łomotaniem serca, wczepił się w mur, by nie upaść. To jednak nie było przerażenie, a jedynie szok; jego talent nie doszukał się u Keogha żadnych złych zamiarów.

Harry uśmiechnął się, skinął głową, dotknął ramienia Clarke'a i znów popatrzył na tabliczkę. Uśmiech nekroskopa zabarwiła nuta goryczy.

— Przeważnie zabijali swój własny strach — zauważył. — Oczywiście, większość z tych kobiet była niewinna, może nawet wszystkie. Tak, obyśmy wszyscy byli tak niewinni.

— Co? — Clarke nie doszedł jeszcze do siebie. — Niewinne?

— Kompletnie. — Keogh raz jeszcze skinął głową. — O, może na swój sposób posiadały talent, ale trudno byłoby uznać to za zło. Czarownice? Dzisiaj zapewne starały się zwerbować je do INTESP.

Nagle dotarło do Clarke'a, że nie śni. To wszystko działo się naprawdę; takie doznania zawsze towarzyszyły spotkaniom z Harrym Keoghem. To samo przeżył przed trzema tygodniami (naprawdę upłynęły tylko trzy tygodnie?) w Grecji. Wtedy jednak Harry był niemal bezsilny, nie pamiętał mowy zmarłych. Potem wróciła do niego ta zdolność i wyruszył, by osiągnąć dwie rzeczy, zniszczyć wampira Janosza Ferenczego i odzyskać kontrolę nad... .

— Odzyskałeś! — Chwycił Harry'ego za ramię. — Kontinuum Möbiusa!

— Nie skontaktowałeś się ze mną — stwierdził spokojnie Harry. — Inaczej wiedziałbyś.

— Dostałem twój list — bronił się Clarke. — Z tuzin razy próbowałem się do ciebie dodzwonić, ale jeśli byłeś w domu, to wolałeś nie odpowiadać. Nasi lokalizatorzy nie mogli cię znaleźć. — Uniósł w górę ręce. — Daj mi szansę, Harry. Zaledwie kilka dni temu wróciłem znad Morza Śródziemnego, a tu zbierało się trochę zaległości. Ale sprawę wysp załatwiliśmy definitywnie i, jak

sądźmy, ty również uporaleś się ze swoim odcinkiem. Nasi esperzy też byli na miejscu, przysyłałi raporty. Zamek Janosza, górujący nad Halmagiu, został dosłownie zdmuchnięty. To mogła być tylko twoja robota. Pojeliśmy, że jakimś sposobem zwyciężyłeś. Ale żeby i kontinuum Möbiusa? Ależ to... cudownie! Ciesz się wraz z tobą.

„Naprawdę?” — pomyślał Harry.

— Dzięki.

— Jak to zrobiłeś, do cholery? — Clarke nie mógł powstrzymać swego entuzjazmu. — To znaczy, jak rozwaliłeś ten zamek? O ile przekazano nam prawdę, rozsypał się w proch. Czy tak właśnie zginął Janosz? Rozerwany przez wybuch?

— Uspokój się — powiedział Keogh, biorąc go pod ramię. — Zaprowadź mnie do tej dziewczyny. Porozmawiamy po drodze.

— Zgoda — stwierdził Clarke, zniżając głos. — To coś zupełnie innego. Nie spodoba ci się to, Harry.

— I to ma być coś nowego? — nekroskop zdawał się być tak zrezygowany czy sardoniczny, jak zwykle. Ale i czujny, takie przynajmniej wrażenie odniósł Clarke. — Czy kiedykolwiek pokazałeś coś, co mi się spodobało?

Clarke tylko czekał na to pytanie.

— Gdyby wszystko toczyło się zgodnie z naszymi upodobaniami, Harry, nie byłoby dla nas roboty — odparł. — Ja z przyjemnością już od jutra przeszedłbym w stan spoczynku. Ilekroć trafiam na coś takiego, jak to, co zamierzam ci pokazać, uświadamiam sobie, że ktoś tu musi zaprowadzić porządek.

Kierowali się w górę esplanady.

— To dopiero zamek — stwierdził Harry. W jego głosie czuło się teraz większe ożywienie. — A co do zamku Ferenczego, to był już kupą gruzów, zanim się nim zająłem. Pytałeś, jak to załatwiłem? — Westchnął, a potem znów podjął temat: — Dawno temu, pod koniec sprawy Bodescu, dowiedziałem się, że w Kołomyi jest skład amunicji i materiałów wybuchowych. Zabranymi stamtąd ładunkami wysadziłem zamek Bronnicy. A skoro najprostsze sposoby są przeważnie najskuteczniejsze, powtórzyłem ten numer. Urządziłem sobie dwie czy trzy wycieczki, oczywiście, wycieczki spod znaku Möbiusa, i nafaszerowałem fundamenty twierdzy Janosza dostateczną ilością plastyku, by wyprawić go do samego piekła! Wolę nawet nie myśleć, co kryło się w trzewiach tego zamku, ale jestem pewny, że była tam... materia, której nie chciałbym nigdy oglądać. Wiesz, Darcy, że nawet taka ilość semtexu, jaka mieści się na koniuszku palca, jest w stanie rozwalić ceglany mur? Wyobraź sobie, czego mogła dokonać sto razy większa ilość. Jeśli pierwotnie było tam coś, co moglibyśmy nazwać „żywym” — wzruszył ramionami i potrząsnął głową — to kiedy skończyłem, nie pozostał już po nim żaden ślad.

Szef INTESP uważnie przyglądał się Keoghowi. Zdawał się być tym samym człowiekiem, z którym spotkał się miesiąc wcześniej, podczas owej wizyty, któ-

ra jego, Clarke'a, pchnęła na Rodos i wyspy Dodekanezu, a nekroskopa w góry Transylwanii. Zdawał się być tym samym człowiekiem, ale czy nim był? Prawdę mówiąc, Darcy Clarke znał kogoś, kto twierdził inaczej.

Ciało Harry'ego Keogha należało kiedyś do Aleca Kyle'a. W swoim czasie Darcy znał Kyle'a. Najdziwniejsze, że z biegiem lat twarz i sylwetka Kyle'a upodobniły się do rysów i kształtu dawnego ciała Harry'ego — tego, które umarło. Myśl o tym przerażała Clarke'a. Darował sobie te rozważania, porzucił kwestię metafizyki i skupił się na stronie czysto fizycznej.

Nekroskop liczył sobie czterdzieści trzy albo czterdzieści cztery lata, ale wyglądał o pięć lat młodziej. To znowu dotyczyło jedynie ciała, umysł pozostał młodszy o kolejne pięć lat.

Oczy Harry'ego miały barwę miodu. Czasem tężały w oczekiwaniu na atak, przeważnie jednak było w nich coś rozczulającego, jak u szczeniaka — a raczej byłoby, gdyby można przeniknąć owe szkła przeciwsłoneczne, które nosił pod szerokim rondem kapelusza z lat trzydziestych. Clarke nie chciałby za żadne skarby oglądać niczego, co łączyłoby się z ciemnymi okularami i kapeluszem, zwłaszcza na głowie Harry'ego. Okulary stanowiły coś, na co Clarke był szczególnie wyczulony. Owszem, na wyspach Morza Egejskiego z końcem kwietnia i w początkach maja noszono je dość powszechnie, ale czym innym było oglądanie ich w Edynburgu, nawet w tym samym okresie. Chyba, że ktoś miał słabe oczy. Albo, po prostu, inne. . .

W rdzawo-brązowych, falistych włosach Harry'ego lśniły srebrne smugi, rozmieszczone tak równomiernie, że wyglądały na efekt świadomego działania. Jeszcze kilka lat, a siwizna weźmie górę; już teraz dodawała mu pewnej klasy, sprawiała, że miał w sobie coś z naukowca. Owszem, naukowiec, lecz raczej specjalista od dość fantastycznych zagadnień. Chociaż właściwie Harry Keogh nie pasował do takiego obrazu. Harry czarnoksiężnikiem? Magiem? Po prostu: nekroskopem, człowiekiem, który rozmawia z umarłymi.

Keogh nie należał do szczupłych, kiedyś nawet można było posądzić go o odrobinę nadwagi. Przy jego wzroście nie miało to jednak większego znaczenia. A właściwie miało, ale tylko dla niego samego. Po ataku na Zamek Bronnicy i owej mimowolnej metempsychozie zajął się ćwiczeniem nowego ciała, doprowadzając je do zdumiewającej sprawności. A przynajmniej zrobił, co mógł, jeśli wziąć pod uwagę wiek owego ciała. Dlatego właśnie wyglądało teraz na trzydzieści siedem lub trzydzieści osiem lat.

Minęli bramę wartowni, gdzie kilku oficerów policji przesłuchiwało grupę żołnierzy, i weszli w brukowany pasaż wiodący na główny zamek. Wyglądało na to, że wszyscy oficerowie z wartowni uważają Clarke'a za „szychę”; nikt nie próbował zatrzymać ani jego, ani Harry'ego. Już po chwili ujrzeli przed sobą masywną bryłę zamku.

— Obejdzie się więc bez poprawek? Załatwiłeś wszystko, co trzeba, tak? — Darcy odezwał się pierwszy.

— Wszystko — potwierdził Harry. — A co ze wsparciem, jakie Janosz zostawił na wyspach?

— Usunięci — oznajmił Clarke, zamykając sprawę. — Wszyscy. Cały komplet. Mimo to zostawiłem tam kilku ludzi, żeby upewnić się, że wszystko gra.

Na bladej i ponurej twarzy Harry'ego zagościł cień dziwnego, smutnego uśmiechu.

— Słusznie, Darcy — powiedział nekroskop. — Zawsze sprawdzaj, czy wszystko gra. Nigdy nie ryzykuj. Nie, gdy masz do czynienia z takimi sprawami.

W jego głosie pojawiła się jakaś nowa nuta. Clarke przyjrzał się Harry'emu kątem oka, znów badawczo, lecz nie natrętnie. Wchodzili właśnie w cień szerokiego dziedzińca, z trzech stron osłoniętego przez ponure budynki.

— Opowiesz mi, jak to było?

— Nie — pokręcił głową Harry. — Może później, a może nigdy. — Odwrócił się i spojrzał Clarke'owi prosto w oczy. — Wampiry właściwie nie różnią się między sobą. Cóż nowego mógłbym ci o nich powiedzieć? Liczy się to, że już wiesz, jak je zabijać...

Clarke wpatrywał się w czarne, zagadkowe szkła okularów.

— To ty mnie tego nauczyłeś, Harry.

Nekroskop raz jeszcze zdobył się na ów smutny uśmiech i niemal od niechcienia — choć Clarke był pewien, że rozmyślnie — uniósł rękę, by zdjąć okulary. Nie odwracając ani na moment twarzy, złożył je i schował do kieszeni.

— I co? — zapytał.

Darcy cofnął się chwiejnie, ledwie tłumiąc westchnienie ulgi. Zbity z tropu, spojrzał w absolutnie normalne, spokojne piwne oczy.

— Co takiego? — wymamrotał.

— Idziemy dalej? — dokończył Harry, wzruszając ramionami. — A może jesteśmy już na miejscu?

— Jesteśmy na miejscu — potwierdził Clarke. — Prawie.

Poprowadził Harry'ego kamiennymi schodami w dół, potem pod kolejną bramę i wreszcie przez ciężkie drzwi wiodące na wyłożony kamiennymi płytami korytarz. Ledwie tam weszli, stojący na warcie żandarm wyprężył się i zasalutował. Clarke ledwie skinął głową. Poprowadził Keogha dalej. W połowie korytarza znajdowały się okute dębowe drzwi, strzeżone przez mężczyznę w średnim wieku. Tajniak otworzył je, odsuwając się na bok.

— Już jesteśmy na miejscu. — Harry Keogh uprzedził Clarke'a. Nikt mu nie musiał mówić, że w pobliżu znajduje się nieboszczyk.

Raz jeszcze zerknąwszy na nekroskopa, Clarke wprowadził go do wnętrza. Policjant został na korytarzu i zamknął cicho drzwi.

W izbie panowało zimno. Zamiast budować dwie ściany, wykorzystano tu naturalną skałę — w jednym z kątów kamienną posadzkę łączyła ze ścianami bryła wulkanicznego gnejsu. Pod jedną ze ścian zsunięto stalowe regały, pod drugą, kamienną i zimną, stał wózek chirurgiczny, na którym spoczywały zwłoki, przykryte białym gumowym prześcieradłem.

Nekroskop nie tracił czasu. Nie przerażali go martwi. Gdyby miał równie wielu przyjaciół wśród żywych, byłby najbardziej kochanym człowiekiem na świecie. Był nim zresztą, tyle że ci, którzy go kochali, nie mogli o tym nikomu powiedzieć.

Podszedł do wózka, odsłonił twarz ofiary, zamknął oczy i zakołysał się na piętach. Dziewczyna wyglądała tak słodko, tak młodo i niewinnie, a ktoś zadał jej ból. I wciąż ją dręczył. Oczy miała zamknięte, ale Harry wiedział, że gdyby pozostały otwarte, zobaczyłby w nich przerażenie. Czuł, jak martwe oczy przepalają zakrywające je, blade powieki, nie mieszcząc w sobie zgrozy.

Potrzebowała pociechy. Rzesze umarłych — Ogromna Większość — próbowały jej pomóc, ale nie zawsze potrafiły. Ich głosy często wydawały się tym, którzy pierwszy raz mieli z nimi do czynienia, zbyt posępne, upiorne lub zatrzważające. W mroku śmierci mogły uchodzić za wołanie nocnych gości rodem ze złego snu, za wycie widm przychodzących po duszę. Dziewczyna mogła sądzić, że śni, nawet że umiera, ale przez myśl jej nie przeszło, że już jest martwa. Oswojenie się ze śmiercią wymaga czasu i zazwyczaj ci, których ona bezpośrednio dotyczy, ostatni przyjmują ów fakt do wiadomości. To nieuniknione, jako że właśnie im najtrudniej jest zaakceptować taki stan rzeczy. Zwłaszcza jeśli są młodzi i w ich umysłach nie ukształtowało się jeszcze właściwe podejście.

Ale z drugiej strony, jeśli dziewczyna widziała nadchodzącą śmierć, jeżeli wyczuwała ją w oczach kata, jeżeli czują ogłuszający cios, ucisk odcinający dopływ powietrza albo dotyk ostrza wrzynającego się w ciało — musiała wiedzieć, że nie żyje. Czuła chłód, lęk i smak łez. Harry był świadom, jak strasznie potrafią rozpaczać umarli.

Zawahał się, nie miał pewności, w jaki sposób do niej dotrzeć, nie był nawet pewien, czy ma jeszcze prawo szukać kontaktu. Wiedział, że ona jest czysta, a o sobie nie mógł tego powiedzieć. Owszem, jej ciało rozkładało się, ale rozkład rozkładowi nie równy. . .

Ze złością odrzucił tę myśl. Nie był przecież potworem. Jeszcze nie. Był przyjacielem. Jedynym przyjacielem, nekroskopem.

Położył dłoń na zimnym jak marmur czole. Dziewczyna wzdrygnęła się. Nie fizycznie, gdyż była martwa, ale jej umysł skulił się ze strachu, zamknął się w sobie niczym pierzaste czułki jakiegoś anemonu morskiego, muśnięte przez pływaka, Harry czuł, jak krew ścina mu się w żyłach. Przez moment bał się samego siebie. Za nic w świecie nie chciał jej jeszcze bardziej przerazić.

Otoczył ją swymi myślami, tymi samymi, które dotąd niosły zmarłym ukojenie.

— Wszystko w porządku. Nie bój się. Nie skrzywdzę cię. Nikt już cię nie skrzywdzi — wyszeptał w swym umyśle.

To przyszło łatwo. Nie zwlekając powiedział jej, że umarła.

— Precz! — Jej głos wdarł się w myśli Harry'ego. Rozpaczliwy jęk udręczonej. — Zostaw mnie w spokoju, ty... brudny potworze!

Harry zadrżał, jakby dotknięto go nie izolowanym przewodem elektrycznym. Zadrżał, przeżywając z dziewczyną jej ostatnie chwile. Ostatnie chwile życia, oddechu, lecz nie ostatnie cierpienia, jakich zaznała. W pewnych, na szczęście, rzadko spotykanych okolicznościach na rozkaz pewnych potworów w ludzkiej skórze, nawet martwe ciało odczuwa ból.

Przez ekran umysłu nekroskopa przemknął nagle ciąg zmieniających się jak w kalejdoskopie, koszmarnych, upiornie wprost plastycznych obrazów. Zniknął, ale zostawił po sobie widoki, a tych, jak wiedział Harry, niełatwo było się pozbyć. Wiedział, że zapewne utrwala się w jego pamięci. Zorientował się też, z czym ma do czynienia, gdyż kiedyś już zajmował się podobnym potworem.

Tamten nazywał się... Dragosani!

Ten, który zamordował tę nieszczęsną dziewczynę, podobnie jak Dragosani, uprawiał nekromancję, ale pod pewnym szczególnie odrażającym względem był jeszcze gorszy. Nawet Dragosani nie gwałcił trupów swoich ofiar!

— Ale to już minęło — powiedział dziewczynie nekroskop. — On nie wróci. Jesteś już bezpieczna.

Czuł, że rozdygotane myśli cichną, otwierając drogę naturalnej ciekawości bezcielesnego umysłu. Chciała go poznać, ale i bała się tej wiedzy. Chciała też poznać swój stan, choć to mogło okazać się najbardziej przerażającym doświadczeniem. Ale na swój sposób była dzielna; musiała poznać prawdę.

— Czy ja... — Jej głos zabrzmiał spokojnie, chociaż drżał lekko. — Naprawdę już...?

— Tak, naprawdę — Harry kiwnął głową, wiedząc, że wyczuła ten ruch. Zmarli zawsze wyczuwali nastroje i gesty. — Ale... — Zawahał się. — To znaczy... mogło być gorzej.

Niejeden raz już przez to przechodził — zbyt wiele razy — i zawsze było to tak samo trudne. Jak przekonać kogoś, kto właśnie umarł, że mogło być gorzej? „Twoje ciało zgnije i pożrą je robaki, ale twój umysł będzie trwał. Nic już nie zobaczysz, zawsze będzie ciemno, niczego już nie dotkniesz, nie posmakujesz ani nie usłyszysz, ale mogło być gorzej. Twój rodzice i inni, których kochasz, będą płakać na twym grobie, sadzić tam kwiaty, szukając w nich śladu twojej twarzy, a ty nawet nie będziesz miała pojęcia, że tam są, i nie będziesz mogła zawołać. Tu jestem! Nie będziesz mogła pocieszyć ich, że mogło być gorzej”.

Tylko w ten sposób Harry mógł wyrazić żal, chciał go zachować dla siebie, ale przecież jego myśli i mowa zmarłych były tym samym. Dziewczyna usłyszała je, poczuła zawartą w nich prawdę i pojęła, że ma do czynienia z przyjacielem.

— Ty jesteś nekroskopem — powiedziała, — Próbowali mi o tobie powiedzieć, ale byłam przerażona i nie słuchałam. Kiedy zaczęli mówić, odwracałam się. Nie chciałam rozmawiać z umarłymi.

Harry płakał. Ogromne łzy ściekały po nieco zapadniętych policzkach. Spadając na jego dłoń i czoło dziewczyny, paliły. Nie chciał płakać, nawet nie wiedział, że potrafi, ale tkwiło w nim coś, co oddziaływało na jego uczucia, potęgowało je do stopnia przekraczającego możliwości zwykłych ludzi. Nic groźnego — dopóki działało na takie emocje, jak ta. Jak całkowicie naturalny żal.

Darcy Clarke zbliżył się o krok i dotknął ramienia nekroskopa.

— Harry?

Harry odepchnął jego rękę. Głos miał zdławiony, lecz i tak szorstki.

— Zostaw nas samych! Chcę porozmawiać z nią na osobności!

— Oczywiście — powiedział. Odwrócił się i wyszedł na korytarz, zamykając za sobą drzwi.

Harry wziął spod regałów metalowe krzesło i usiadł obok martwej dziewczyny. Delikatnie wziął w dłonie jej głowę.

— Ja... ja to czuję — powiedziała zdumiona.

— A zatem czujesz też, że nie jestem taki, jak tamten — stwierdził głośno Harry. Wolał tak mówić do umarłych, to brzmiało bardziej naturalnie.

Już niemal uwolniła się od przerażenia. Nekroskop dawał jej poczucie spokoju, był ciepłym, bezpiecznym azylem. Tak jakby to ojciec gładził ją po twarzy. Jednak tylko Harry mógł dotykać zmarłych. Tylko Harry i...

Znów wezbrało w niej przerażenie, ale nekroskop natychmiast je wyczuł i odegnał.

— Już po wszystkim, teraz jesteś bezpieczna. Nie pozwolimy, ja nie pozwolę, by znów cię ktoś skrzywdził.

W chwilę później jej myśli znów się wyciszyły. Było jej teraz lekko, może nawet lżej niż przedtem. Ale czuła też gorycz.

— Ja umarłam, ale on, tamten potwór, żyje! — powiedziała.

— To jeden z powodów, dla których tu jestem — wyjaśnił Harry. — Nie tylko ciebie to spotkało. Przed tobą były inne, a jeśli go nie powstrzymamy, będą i następne. Rozumiesz więc, jakie to ważne, abyśmy go dopadli. Jest nie tylko mordercą, ale i nekromantą, a połączenie tych cech jest gorsze niż każda z nich z osobna. Morderca unicestwia żywych, a nekromanta dręczy umarłych. Ten jednak upaja się cierpieniem swych ofiar zarówno za ich życia, jak i po śmierci!

— Nie mogę mówić o tym, co mi zrobił — wyszeptwała dygocząc.

— Nie musisz. — Pokręcił głową Harry. — Teraz tylko ty mnie interesujesz. Zapewne ktoś martwi się o ciebie. Dopóki nie dowiemy się, kim jesteś, nie zdołamy go uspokoić.

— Harry, naprawdę myślisz, że można ich uspokoić?

— Nie musimy mówić im wszystkiego — odpowiedział. — Mógłbym postarać się o to, by dowiedzieli się tylko, że ktoś ciebie zabił. Nie muszą znać szczegółów.

— Mógłbyś to zrobić?

— Jeśli tylko chcesz — potwierdził.

— Więc zrób to! — nieledwie westchnęła. — Harry, to właśnie było najgorsze: sama myśl o nich, o moich rodzicach. O tym, jak to przyjmą. Ale jeśli mógłbyś im to ułatwić. . . Sądzę, że zaczynam rozumieć, czemu zmarli tak cię kochają. Mam na imię Penny. Penny Sanderson. Mieszkam. . . mieszkałam w. . .

Opowiedziała o sobie wszystko, a nekroskop zapamiętał nawet najdrobniejsze szczegóły.

— Posłuchaj, Penny — odezwał się. — Nic teraz nie rób ani nie mów. Nie próbuj się do mnie odzywać. Jak już powiedziałem, to poważna sprawa.

— Chodzi o niego? — zapytała.

— Penny, kiedy pierwszy raz cię dotknąłem, a ty pomyślałaś, że to on wrócił, by znów cię dręczyć, przypominałaś sobie, jak to się odbyło. Przynajmniej częściowo. Pamięć podsuwała twoim myślom urywane obrazy. Odebrałem je, jak odbieram mowę zmarłych. Ale to były jedynie chaotyczne migawki.

— Bo tak to wyglądało — odparła. — To wszystko, co pamiętam.

— W porządku. Muszę jednak raz jeszcze się im przyjrzeć. Im lepiej je zapamiętam, tym większa będzie szansa, że go znajdę. Nie musisz nic mówić, nie podejmuj żadnych świadomych działań. Zamierzam rzucić ci kilka słów, które wywołują potrzebne mi obrazy. Rozumiesz?

— Skojarzenia słowne?

— Tak, coś w tym stylu. Wprawdzie te skojarzenia mogą okazać się piekielnie bolesne, ale i tak łatwiejsze to niż opowiadanie o wszystkim.

Zrozumiała. Harry wyczuł, że jest gotowa.

— Nóż — powiedział, zanim zdołała zmienić zdanie.

Obraz zalał ekran jego umysłu mieszaniną krwi i kwasu. Krew odurzyła go, a kwas palił, na dobre utrwalał ów widok. Harry ugiął się pod naporem jej przeżycia — naprawdę, nie do zniesienia — gdyby nie siedział, upadłby. Wstrząs, mimo iż trwał zaledwie sekundy, stanowił tak realne doznanie. . .

— Dobrze się czujesz? — zapytał, kiedy przestała łkać.

— Nie. Tak.

— Twarz! — rzucił.

— Twarz?

— Jego twarz — spróbował ponownie.

I przed oczyma jego duszy mignęła czerwona i rozdziawiona, rozdęta przez żądzę twarz o otwartych, zaślinionych ustach i oczach martwych jak zamrożone diamenty. Mignęła, ale to wystarczyło, by mógł ją zapamiętać. Tym razem

dziewczyna nie łkała. Chciała, by zabieg okazał się skuteczny. Chciała, by sprawiedliwość dosięgła tamtego.

— Gdzie?

Parking? Zajazd? Ciemność przeszyta snopami światła. Sznury samochodów osobowych i ciężarówek, mknące trzema pasami; zbliżające się, oślepiające światła. I wycieraczki, przesuwające się w lewo i w prawo, w lewo i w prawo, w lewo...

Tu jednak nie było bólu i Harry pojął, że to nie miejsce zbrodni. Prawdopodobnie tam wszystko się zaczęło. Tam go spotkała.

— Zabrał cię do samochodu? — zapytał Keogh.

Zamazany przez deszcz, lodowo błękitny ekran, na którym wydrukowano lub wymalowano litery: FRID czy FRIG. Ekran oparty na wielu kołach, wypuszczający kłęby dymu. Tak to zapamiętała. Duży samochód? Ciężarówka? Z przyczepą?

— Penny — powiedział Harry. — Muszę to powtórzyć. Gdzie go spotkałaś? Gdzie?

Lód! Kąśliwe zimno! Ciemność! Wszystko lekko wibruje albo dygocze! Wszędzie martwe ciała, zwisające z haków. Harry próbował zakodować to w pamięci, wszystko jednak było niewyraźne, zniekształcone przez emocje i zdumienie dziewczyny. Nie potrafiła pojąć, że to zdarza się właśnie jej.

Znów łkała, a Harry zrozumiał, że wkrótce będzie musiał przestać; nie mógł już dłużej jej krzywdzić. Ale wiedział też, że jeszcze nie może ustąpić.

— Śmierć! — warknął, nienawidząc siebie za to.

Znów pojawiła się scena z nożem i Keogh poczuł, że traci kontakt, że dziewczyna się wycofuje. Dopóki jednak jeszcze pozostawała z nim...

— Co... potem? — wykrzyknął z przerażeniem.

Penny Sanderson wrzeszczała i wrzeszczała. Nekroskop jednak zobaczył to, co miał zobaczyć. I pożałował, że musiało do tego dojść...

ROZDZIAŁ DRUGI

... Siedzą małe, nieznośnie gryzące

Harry spędził z nią jeszcze pół godziny, kojąc, tuląc, robiąc, co tylko w jego mocy, by ją uspokoić. Przy tej okazji wyciągnął z niej jeszcze kilka danych personalnych, w sam raz tyle, by coś podsunąć policji. A kiedy nadeszła pora rozstania, Penny wymogła na nim, że znów ją odwiedzi. Mimo iż od niedawna była martwa, zdążyła już odkryć, że śmierć to wejście w świat samotności.

Nekroskop miał już serdecznie dość — a przynajmniej tak mu się zdawało — życia, śmierci, w ogóle wszystkiego. Czuł, że trzeba mu silnej motywacji. Zanim odszedł, zapytał dziewczynę, czy nie mógłby jej obejrzeć. Odpowiedziała, że gdyby prosił ją o to ktoś inny, byłoby to jej obojętne — i tak nic by nie poczuła. Ale z Harrym sprawa wyglądała inaczej, był przecież nekroskopem. A ona — jedynie nieśmiałym dzieciakiem.

— Hej — zaprotestował łagodnie. — Nie jestem podglądaczem.

— Gdybym nie była... Gdyby on nie... Gdybym nie była okaleczona, chyba nie miałabym nic przeciwko temu.

— Penny, jesteś wspaniała — oświadczył Harry. — A ja? Pomimo tego wszystkiego, co sobie powiedzieliśmy i czego dokonaliśmy, jestem tylko człowiekiem. Ale wierz mi, naprawdę nie interesują mnie te rzeczy. Chcę cię zobaczyć dlatego, że jesteś okaleczona. Muszę wzbudzić w sobie gniew. Zdążyłem cię już poznać i wiem, że jeśli zobaczę, co tamten zrobił, gniew mnie ogarnie.

— Będę więc udawała, że jesteś moim lekarzem.

Harry delikatnie zsunął z jej bladego, młodzieńczego ciała gumowe prześcieradło, przyjrzał się i zaraz zasłonił zwłoki, rozdygotany.

— Aż tak źle? — Broniła się przed łkaniem. — Taki wstyd. Mama zawsze mówiła, że mogłabym być modelką.

— Mogłabyś — potwierdził. — Byłaś naprawdę piękna.

— Ale już nie jestem? — Mimo iż powstrzymała się od płaczu czuł, że jej rozpacz sięga szczytów. — Harry, czy to wzbudziło w tobie gniew? — zapytała po chwili.

Czuł, jak wzbiera w nim wściekłość. Stłumił ją.
— O tak, wzbudziło — powiedział wychodząc.

* * *

Darcy Clarke czekał na korytarzu razem z tajniakiem. Harry dołączył do nich, zamykając drzwi. Wyglądał na wykończonego.

— Odsłoniłem jej twarz — powiedział. Potem zwrócił się już tylko do policjanta, piorunując go wzrokiem: — Nie zakrywaj jej twarzy!

Tajniak uniósł brwi i wzruszył ramionami.

— Kto, ja? — zapytał w miarę życzliwie. Akcent miał nosowy, rodem z Glasgow. — Nic do tego nie mam, szefie. Tyle, że denatów zwykle się przykrywa.

Harry ruszył w jego stronę. Błądą twarz nekroskopa wykrzywił jakiś grymas, oczy były niemal wytrzeszczone, a nozdrza rozdęte.

Instynkt Darcy'ego Clarke'a zadziałał. Ów niesamowity talent pojął, że Harry Keogh stał się groźny. Przepelniał go potworny gniew, szukający ujścia. Szef INTESP wiedział, że nie chodzi tu o niego, czy też o policjanta. Nekroskop musiał się po prostu wyładować. Czym prędzej zastąpił drogę Keoghowi i złapał go za ramiona.

— Nic się nie stało, Harry — powiedział z naciskiem. — Nic się nie stało. Zrozum, ci ludzie wciąż oglądają takie rzeczy. Przestały robić na nich wrażenie. Przyzwyczaili się.

Harry opanował się wreszcie, choć nie przyszło mu to łatwo. Przyjrzał się Clarke'owi.

— Takich rzeczy na pewno wciąż nie oglądają! — warknął. — Nikt nie mógłby „przyzwyczać się” do faktu, że ktoś... coś może tak skatować dziewczynę! — Zauważył na twarzy Clarke'a zdumienie. Później ci to wyjaśnię. — Przeniósł wzrok na policjanta. — Masz notes? — zapytał tonem nieco spokojniejszym.

Tamten wyglądał na zupełnie zdezorientowanego. Nie nadążał za tym, co działo się wokół niego; chciał tylko jak najlepiej wypełnić swoje obowiązki.

— Tak jest — odpowiedział i sięgnął do kieszeni.

Pospiesznie zapisał dane, które Harry wyrzucał z siebie — nazwisko i adres Penny, szczegóły dotyczące rodziny. W miarę jak pisał, twarz jego przybierała coraz głębszy wyraz.

— Pewien jest pan tych wszystkich danych, sir?

Harry kiwnął głową.

— Przekaż innym to, co powiedziałem. Niech nikt nie zakrywa jej twarzy. Penny nigdy sobie tego nie życzyła.

— A zatem znał pan tę młodą damę?

— Nie — odparł Harry. — Ale teraz ją znam.

Zostawiwszy na straży tajniaka, który drapiąc się w głowę, rozmawiał z kimś przez walkie-talkie, Harry i Clarke udali się na dziedziniec, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Ledwie oblało ich światło słońca, Harry założył okulary i postawił kołnierz płaszcza. — Masz coś, tak? — zapytał Clarke.

— Mniejsza o to, co ja mam. Czy wiesz już coś na jego temat?

Clarke uniósł ręce.

— Jedynie to, że jest wielokrotnym mordercą, i to obłąkanym.

— Ale czy wiesz, co on robi?

— Tak. Wiemy, że to ma podłoże seksualne. Przynajmniej do pewnego stopnia. Facet jest cholernym zbrojcem.

— Jest bardziej zbrojony, niż ci się zdaje. — Harry wzdrygnął się. — To zbrojenie spod znaku Dragosaniego.

— Co? — Clarke zamarł.

— Nekromanta — wyjaśnił Harry. — Morderca i nekromanta. W pewnym sensie jest nawet gorszy od Dragosaniego, jest także nekrofilem!

Clarke jakimś cudem zdołał pogodzić grymas odrazy z wyrazem głębokiego zdumienia.

— Odśwież mi pamięć. Wiem, że powinienem kojarzyć, ale niestety. . .

Harry przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią, doszedł jednak do wniosku, że tylko naga prawda będzie tu na miejscu.

— Dragosani rozszarpywał ciała umarłych, by wydobyć z nich informacje — powiedział w końcu. — Na tym polegał jego „talent”. Kiedy pracował w Zamku Bronnicy dla Grigorija Borowica i radzieckiego Wydziału E, miał za zadanie „przesłuchiwać” trupy wrogów stanu. Potrafił z błony oczu wyczytać ich pasje, z parujących jelit wydrzeć prawdę o ich życiu, dostroić się do szeptu zamierających mózgow, a w gazach, wzbierających we wzdętych brzuchach, wywęszyć najgłębiej ukryte sekrety.

— Boże, Harry. — Clarke uniósł dłoń na znak protestu. — Ja to wszystko wiem.

— Ale nie rozumiesz, co znaczy być martwym, i dlatego nie łapiesz, o czym myślę. Nawet nie jesteś w stanie sobie tego wyobrazić. Wiesz, czym się param, i przyjmujesz to za fakt, ale w głębi duszy nadal uważasz, że to zbyt nawiedzone, by zaprzętać sobie tym głowę. Nie mam ci tego za złe. Ale posłuchaj. Zawsze protestowałem, kiedy porównywano mnie z Dragosanim. A jednak pod pewnym względem, byliśmy do siebie podobni. Nawet dziś niemiło mi się do tego przyznawać, ale to prawda. Przykładowo, wiesz, co tamten sukinsyn zrobił z Keenanem Gormleyem, jak go poharatał, ale tylko ja wiem, jak przyjął to sam Gormley!

Clarke pojął wreszcie, o co chodzi. Zaczerpnął powietrza, jego ciało przeszył dreszcz.

— O Jezuu, masz rację — westchnął. — Nie przyszło mi to do głowy, bo odci-
nałem się od tej myśli! Ale to fakt. Keenan wiedział o wszystkim. Czuł wszystko,
co robił Dragosani.

— Zgadza się. — Harry był bezlitosny. — Tortury to esencja pracy nekroman-
tów. Umarli odczuwają ich skutki, podobnie jak słyszą, co do nich mówię. Jedno
tylko różni ich od żywych: nie mogą się bronić, ani nawet krzyczeć. I nikt ich nie
słyszycy. Nikt nie słyszał Penny Sanderson.

Clarke zrobił się blady.

— Ona czuła. . . ?

— Wszystko — warknął Keogh. — I ten sukinsyn, kimkolwiek był, doskonale
o tym wiedział! Gwałt jest udręką dla żywych, a nekrofilia kala nic nie czujących
zmarłych, ale to, co on robi, przekracza wszystko. Torturuje swe ofiary, kiedy żyją
i kiedy są martwe, wiedząc doskonale, że cały czas cierpią! Używa zakrzywionego
noża, przypominającego narzędzie, jakim drąży się w ziemi otwory pod sadzonki.
Nóż jest ostry jak brzytwa. . . i nie w ziemi dłubie.

Clarke planował przedtem, że zatrzyma się w warowni, by porozmawiać z po-
licją. Teraz jednak, blady jak zjawa, zatoczył się na niski murek i wpił się w niego,
by nie runąć. Łapczywie chłonał podmuchy powietrza, walcząc z żółcią, podcho-
dzącą z rozpalonych trzewi aż do gardła.

— Jezuu, Jezuu — powtarzał zduszonym głosem. Widział już wszystko jasno
i nie potrafił wyrzucić z siebie tego obrazu. Zboczeniec? Boże, co za eufemizm!

Harry również podszedł do muru. Szef INTESP zerknął na niego, oczy miał
wilgotne.

— On. . . on wierci w ciałach tych biednych dzieciaków dziury, w które potem
wchodzi, żeby się zaspokajać!

— Zaspokajać? — ryknął nekroskop. — Darcy, jego ciało nurza się we krwi
jak świński ryj w glebie! Tyle że gleba nic nie czuje. Czyżby cię nie powiadomio-
no, gdzie wykryto jego nasienie?

Clarke wciąż jeszcze miał błędny wzrok i rozpalone czoło, ale przynajmniej
mdłości ustąpiły miejsca lodowatemu wstrętowi, niemal tak silnemu, jak u nekro-
skopa. Nie, policja pominęła ten fakt, ale teraz wiedział już wszystko. Popatrzył
na zamglone miasto.

— Skąd wiesz, że on ma świadomość, iż to czują?

— Robiąc to, mówi do nich. — Harry nie szczędził mu żadnego szczegółu. —
Słyszycy, że krzyczą z bólu, błagając go, by przestał, a on śmieje się.

„Chryste, nie powinienem był o to pytać! — pomyślał Clarke. — A ty, sukin-
synu, Harry Keoghu, nie powinieneś być mi tego mówić!”

Półprzytomnym wzrokiem poszukał nekroskopa. . . i nie znalazł go. Na espla-
nadzie hulał wiatr, turyści z trudem łapali równowagę.

Wysoko w górze skrzeczały mewy, zataczając kręgi w coraz cieplejszym powietrzu.

Harry zniknął bez śladu...

* * *

Harry Keogh wymógł na Clarke'u, by ciało Penny Sanderson poddano kremacji. Tak chcieli jej rodzice i zaspokojono ich pragnienie, mimo iż ceremonia stała się jednym wielkim teatrem. O tym jednak nie wiedzieli. Nie mieli pojęcia, że w chwili gdy ich łzy spadały na pustą trumnę, mającą za chwilę zniknąć za szeleszczącymi zasłonami i zamienić się w dym, Penny już była popiołem.

Clarke wolałby postąpić inaczej, ale był to winien Harry'emu. Za całe mnóstwo innych spraw. Chciał też czym prędzej pochwycić maniaka, który tak potraktował Penny i wiele innych dziewcząt.

— Jeśli zachowam jej popioły — powiedział mu Harry — nienaruszone i nie zanieczyszczone przez okruchy spalonego płótna czy węgla drzewnego, będę mógł z nią rozmawiać, kiedy tylko zechcę. I może przypomni sobie coś ważnego.

Brzmiało to logicznie — o ile przyjąć, że cała działalność nekroskopa nie wyrywała się logice — więc Clarke pociągnął za odpowiednie sznurki. Pozycja szefa INTESP dawała mu dostatecznie duże możliwości. Gdyby jednak znał szczegóły tego, co wydarzyło się w transylwańskim zamku Janosza Ferenczego, zapewne by się zawahał. A potem nie kiwnąłby palcem.

Z pewnością nie pozwoliłby na to, gdyby Zek Foener nadal obstawała przy swoich podejrzeniach. A jeśli nawet nie podejrzeniach, to przynajmniej — uprzedzeniach.

Zek była telepatką, niemal bezgranicznie lojalną wobec nekroskopa. Pod koniec afery z Ferenczym, kiedy przebywała na Dodekanezie, próbowała nawiązać psychiczny kontakt z Harrym. Wyłowiła coś, co nią wstrząsnęło. Dopiero po jakimś czasie miała okazję opowiedzieć o tym Clarke'owi. Spotkali się na Rodos przed niespełna miesiącem i wciąż jeszcze miał w pamięci szczegóły tamtej rozmowy.

— O co chodzi, Zek? — zapytał, gdy znalazł się z nią na osobności. — Zauważyłem, że kiedy łączyłaś się z Harrym, zmieniłaś się na twarzy. Czy Harry ma jakieś problemy?

— Nie... Tak... Nie wiem! — odpowiedziała.

W każdym jej słowie, w każdym ruchu czuło się strach i rozczarowanie. Podniosła wzrok i zobaczył w jej oczach to samo dziwne niedowierzenie, które dostrzegł, kiedy próbowała skomunikować się z Harrym — tak jakby oglądała jakieś dziwne stwory, zamieszkujące świat odległy od miejsc i czasów, jakie znamy. I nagle przypomniał sobie, że przecież była w takim świecie wraz z Harrym Keoghem. W świecie wampirów!

— Zek — powiedział wówczas — jeśli istnieje coś dotyczącego Harry’ego, co powinienem wiedzieć, najlepiej będzie, gdy...

— Dla kogo najlepiej? — ucięła. — Dla kogo? Po co?

Clarke poczuł, że krew ścina mu się w żyłach.

— Sądzę, że powinnaś to wyjaśnić.

— Nie mogę wyjaśnić — warknęła. — Zdawać by się mogło, że wszystkie umysły, z jakimi łączyłam się w ciągu kilku ostatnich dni, były opanowane przez nich. Może więc doszukuję się ich... tam, gdzie ich nie ma? Gdzie nie mogłyby się pojawić?

Pojął, co Zek próbuje mu powiedzieć.

— Twierdzisz, że kiedy skontaktowałam się z Harrym, wyczułam...?

— Tak... Tak! — wykrzyknęła. — Ale mogłam się mylić. Przecież on teraz mierzy się z nimi. Nawet w tej chwili ociera się o wampiry. Mogłam więc wyczuć któregoś z tamtych. Boże, to musiał być któryś z tamtych...

Rozmowa na tym się zakończyła, ale w pamięci Clarke’a utrwaliła się niezwykle wyraźnie. Kiedy nadeszła pora, by opuścić wyspę i wrócić do domu, zapytał Zek, czy nie zechciałaby odwiedzić Anglii jako gość INTESP.

Nie był specjalnie zaskoczony jej odpowiedzią.

— Nikogo nie nabierzesz, Darcy. Zresztą, nie podoba mi się nawet myśl, że mógłbyś chcieć mnie nabrać, nie po tym wszystkim. Powiem ci jasno: wydziały ESP budzą we mnie wstręt. Wszystko jedno do kogo należą, do Rosjan czy do Anglików! I nie chodzi mi o esperów, ale o sposób, w jaki są wykorzystywani, o sam fakt, że się ich wykorzystuje. A jeśli chodzi o Harry’ego, nie wystąpię przeciwko niemu! — Zdecydowanie potrząsnęła głową. — Kiedyś już Harry i ja walczyliśmy po przeciwnych stronach. Dał mi wówczas dobrą radę. „Nigdy nie występuj przeciwko mnie ani moim ludziom”, powiedział. Nigdy tego nie zrobię, Darcy. Zajrzałam w jego umysł i wiem, że jeśli ktoś taki jak Harry mówi coś podobnego, lepiej go posłuchać. Więc jeżeli są jakieś problemy, sami powinniście je rozstrzygnąć.

Takie postawienie sprawy tylko przysporzyło mu zmartwień.

Kiedy po powrocie z Grecji znów znalazł się w Londynie, w kwaterze głównej INTESP czekało nań wiele pracy. Pierwsze kilka dni, które spędził przy biurku, pozwoliło mu uporać się przynajmniej z częścią tych zaległości, a także w znacznej mierze uwolnić umysł od grozy, jaką niosło w sobie spotkanie z Ferenczym. Ale i tak niemal co noc dręczyły go koszmarne sny. Jeden z nich był szczególnie natrętny i paskudny.

Oto jego sedno: wszyscy (Clarke, Zek, Jazz Simmons, Ben Trask i Manolis Papastamos — cała ekipa grecka, jeśli pominąć Harry’ego Keogha) znajdowali się w łodzi, huśtającej się leniwie na absolutnie gładkim morzu. Błękit wody był tak intensywny, że mógł kojarzyć się jedynie z Morzem Egejskim. Niewielka stroma skała, wyłaniająca się z lazuru, rysowała się obramowaną złotem czernią na

tle oślepiającej połówki złotej tarczy, niknącej za horyzontem, by dać początek krótkotrwałemu zmierzchowi. Czystość tej sceny była nienaganna, tak wyraziście, że nic nie zapowiadało nadchodzącego koszmaru. Ale ta sekwencja powracała niemalże co noc i Clarke wiedział, czego się spodziewać i gdzie szukać początku owego zdarzenia.

Spojrzał na Zek, wyglądającą nad wyraz atrakcyjnie w kostiumie, który niewiele zostawiał wyobraźni. Wyciągnęła się na wąskiej platformie umocowanej na rufie. Leżała na brzuchu, z twarzą zwróconą w bok i zanurzała dłoń w wodzie. Morze było tak spokojne, że tylko palce Zek przydawały jego powierzchni zmarszczek. I wtedy...

Poprzyjrzała na swą dłoń, wyciągnęła ją z wody i przyjrzała się dokładnie. Nagle krzyknęła i stoczyła się na dno łodzi. Ręka była czerwona! Nie krwawiła, była zakrwawiona, tak jakby zanurzyła ją we krwi! Cała załoga zdążyła już zauważyć, że morze skalała ogromna szkarłatna smuga, rozlewająca się niczym wyciek ropy, a raczej krwotok. Zbliżała się do łodzi, ogarniała ją gęstymi, czerwonymi pasmami.

Spojrzeli na morze, szukając jej źródła. Dopiero teraz zauważyli, że zaledwie o pięćdziesiąt jardów dalej wynurzał się z wody oślizły, oblepiony pąklami dziób tonącego statku. Na galionie widniała odrażająca, ale znajoma twarz o rozdzielonych ustach, z których wyłaniały się nieproporcjonalnie wielkie kły. Z owej rozwarłej w niemym krzyku paszczy lał się bez końca strumień krwi.

Jak się nazywał ten statek, ginący wśród swej własnej krwi?

Clarke nie musiał nawet czytać wymalowanych na sparszywiałej burcie, czarnych liter, które, jedna po drugiej, pograżały się w szkarłatnych odmętach. O... R... K... E... N... I tak wiedział, że to „Nekroskop”, statek z Edynburga, dotknięty zarazą w jakichś odległych portach i skazany na wieki błąkania się po oceanach posoki. Aż do tej chwili, kiedy przyszło mu utonąć.

Clarke ze zgrozą wpatrywał się w ginący statek. Nagle poderwał się, widząc, że Papastamos klnie i rzuca się po kuszę. Plama krwi tuż przy burcie łodzi pieniała się i kłębiła, jakby jakiś nieokreślony stwór próbował przebić się na powierzchnię. Z wody wynurzyło się nagie ciało, odwrócone grzbietem ku górze. Kolebało się niczym jakaś upiorna meduza, wymachując mackowatymi kończynami. I choć wątle, jednak starało się płynąć.

Papastamos stał już przy burcie, podniósł broń. Clarke rzucił się w przód, wrzeszcząc „Nie!”, ale było już za późno. Stalowy harpun ze świstem wbił się w plecy rozbitka, szarpiąc go i przewracając. Twarz ofiary była tą samą, która widniała na galionie, i nawet kiedy na zawsze ginęła w głębinach, szkarłatne oczy jarzyły się wściekle, a ze szkarłatnych ust lała się krew...

I wtedy Clarke budził się z drżeniem.

Teraz też drgnął, ledwie zabrzączał telefon. Przerwanie owego łańcucha mrocznych myśli powitał westchnieniem ulgi. Najpierw jednak musiał poddać ów sen osądowi zimnej logiki.

Clarke nie był onejromantą, ale zinterpretowanie tego koszmaru wydawało się dość prostym zadaniem. Zek, lękając się swego odkrycia, rzuciła na Harry'ego cień podejrzenia. A owa krew i Morze Egejskie, zważywszy na okoliczności i niedawne zdarzenia, były najzupełniej na miejscu.

A finał snu? Papastamos położył kres grozie, ale nie to było najważniejsze. To mógł uczynić każdy z nich — wyjąwszy samego Clarke'a. I o to właśnie chodziło! Darcy Clarke tego nie zrobił i nie chciał, by tak się stało. Próbował nawet przeszkadzać nie chcąc zaczynać wszystkiego od nowa. . .

Kiedy sięgnął po słuchawkę, telefon zabrzączał już po raz piąty. Okazało się jednak, że ulga, jaką przyniósł mu sygnał aparatu, miała krótki żywot. Dzwoniła do niego zjawa z owego koszmarnego snu.

— Darcy? — Głos nekroskopa był spokojny, ton wyważony, nieomal swobodny.

— Harry? — Clarke wcisnął dwa klawisze: jeden, by upewnić się, że rozmowa zostanie nagrana, i drugi, aby centrala rozpoczęła namierzanie numeru. — Myślałem, że wcześniej się ze mną skontaktujesz.

— Dlaczego?

Harry zadawał niezłe pytania, a to teraz dosłownie замуrowało Clarke'a. W końcu Harry Keogh nie należał do INTESP.

— Dlaczego? — zastanawiał się pospiesznie. — Zainteresowała cię przecież ta seria zabójstw! Od dnia, kiedy spotkaliśmy się w Edynburgu, rozmawialiśmy tylko raz. Sądzę, że liczyłem na to, iż szybciej trafisz na jakiś trop.

— A twoi ludzie? — odparł Harry. — Twoi esperzy, czy oni coś znaleźli? Twoi telepaci i media, tropiciele, jasnowidze i lokalizatorzy? Czy policja wpadła na jakiś trop? Nie, nie wpadła, inaczej byś mnie nie pytał. Hej, Darcy, ja jestem zdany na siebie, a ty masz całą bandę!

Clarke zdecydował, że pobawi się z tamtym w podchody.

— Dobrze, powiedz mi więc, czemu zawdzięczam tę przyjemność, Harry? Nie przypuszczam, by to była rozmowa towarzyska.

Ulżyło mu nieco, kiedy usłyszał śmiech nekroskopa, normalny, nieco drwiący.

— Niezły z ciebie mówca — stwierdził Harry — ale szybko się poddajesz. — I zanim Clarke zdołał skontrolować, wyjaśnił: — Darcy, dzwonię, ponieważ potrzebuję pewnych informacji.

„Z kim ja rozmawiam? — zastanawiał się Clarke. — Z czym ja rozmawiam? Gdybym tylko mógł mieć pewność, że z tobą, Harry! To znaczy, tylko z tobą, z nikim więcej. Ale tego nie mogę być pewien, a jeśli nie jesteś całkiem sobą. . . prędzej czy później przyjdzie mi coś z tym zrobić.” Tu właśnie tkwiło sedno owego koszmarnego snu.

— Informacje? Czym mogę ci służyć?

— Dwoma sprawami — odpowiedział Harry. — Pierwsza z nich jest większego kalibru: chodzi o dane dotyczące pozostałych ofiar mordercy. Tak, wiem, że mógłbym sam do nich dotrzeć. Mam odpowiednich przyjaciół, nie? Ale tym razem wolałbym nie sprawiać kłopotu rzeszom zmarłych.

— Tak? — Clarke był zaskoczony. W głosie Harry'ego czuło się jakieś wahanie. „Sprawiać kłopot Ogromnej Większości? Ależ dla nekroskopa umarli zrobiłoby wszystko, łącznie ze wstaniem z grobów!” — pomyślał.

— Zbyt wiele razy prosiliśmy umarłych o pomoc — spróbował wyjaśnić Harry, jakby czytał w umyśle Clarke'a. — Czas, byśmy wyświadczyli im kilka przysług.

— Daj mi pół godziny, a skopiuję wszystko, co mamy — powiedział Clarke, wciąż jeszcze zaintrygowany. — Wyślę ci albo... ale nie, to byłoby głupie. Możesz przecież sam to odebrać.

Harry znów się roześmiał.

— Korzystając z kontinuum Möbiusa, tak? Znowu uruchomić te wszystkie alarmy? — Przestał się śmiać. — Nie, lepiej wyślij. Nie przepadam za waszym lokalem. Wy, esperzy, przyprawiacie mnie o dreszcze.

Teraz Clarke wybuchnął śmiechem. Nieco wymuszonym, liczył jednak na to, że tamten tego nie zauważy.

— A ta druga sprawa, o którą ci chodziło, Harry?

— To będzie proste — stwierdził nekroskop. — Opowiedz mi o Paxtonie.

— Pax...? — Z twarzy Clarke'a zniknął uśmiech, zastąpił go głęboki mars. — Paxton?

Niewiele o nim wiedział: jedynie to, że przeszedł przez testy, odbył kilku-miesięczny staż jako esper-telepata, po czym minister znalazł jakiś powód, by go odsunąć; najprawdopodobniej doszukał się w jego przeszłości jakichś haczyków.

— Tak, Paxton — potwierdził Keogh. — Geoffrey Paxton. To jeden z waszych, czyż nie? — W jego głosie pojawił się nowy ton, niemal mechaniczna precyzja, zimna i kontrolowana. Jak w komputerze, który czeka na zestaw danych niezbędnych do przeprowadzenia obliczeń.

— Był — odpowiedział w końcu Clarke. — Owszem, miał być jednym z naszych. Nie sprawdził się jednak. A przy okazji, skąd to pytanie? Albo konkretniej, co o nim wiesz?

— Darcy. — Ton Harry'ego stał się ostrzejszy. Nie wrogi, nie było w nim groźby, ale wyczuwało się zawarte w nim ostrzeżenie. — Przez długi czas byliśmy chyba przyjaciółmi? Ja nadstawiałem karku za ciebie, ty za mnie. Nie chciałbym myśleć, że mnie kiwasz.

— Kiwać ciebie? — Reakcja Clarke'a była instynktowna, naturalna, niepozabawiona cienia urazy. Niczego przecież nie ukrywał ani nikogo nie zamierzał

zwodzić. — Nawet nie wiem, o czym mówisz! Jak powiedziałem, Geoffrey Paxton jest przeciętnym telepatą, dość szybko się jednak uczy. A raczej, uczył. Straciliśmy go z oczu. Nasz minister odkrył coś, co mu się nie spodobało, i Paxton wyleciał. Bez nas nie zdoła osiągnąć pełnego potencjału sił. Od czasu do czasu kontrolujemy jego poczynania, by się upewnić, że nie nadużywa swoich zdolności, ale poza tym. . .

— I tak ich nadużywa! — przerwał mu nekroskop, nie kryjąc złości. — A przynajmniej próbuje, i to przeciwko mnie! Darcy, on siedzi mi na karku, przyczepiony jak rzep do psiego ogona. Stara się wdrzeć w mój umysł, jak dotąd, bezskutecznie. Odpieranie go wymaga wysiłku, jest męczące i szlag mnie już trafia, że marnuję siły na walkę z czymś takim. Z małym, wścibskim sukinsynem, który odwała za kogoś brudną robotę!

Clarke czuł w głowie zamęt. Wiedział jednak, że z każdą chwilą zwłoki sam staje się coraz bardziej podejrzany.

— Co miałbym zrobić? — zapytał.

— Rzecz jasna, odkryć, dla kogo pracuje! — warknął Harry. — I dlaczego.

— Zrobię, co w mojej mocy.

— Zrób więcej — nieomal huknął tamten. — Inaczej sam się tym zajmę.

„Dlaczego jeszcze tego nie zrobiłeś? — zastanawiał się Clarke. — Harry, czy ty boisz się Paxtona? A jeśli tak, to dlaczego?”

— Powiedziałem już, że to nie nasz człowiek. Takie są fakty i nie musisz mnie straszyć. Ale zrobię, co mogę.

Przez chwilę panowała cisza.

— I dostarczysz mi dane tych dziewcząt?

— Obiecałem.

— OK. — Głos nekroskopa złagodniał, napięcie trochę spadło. — Nie. . . nie zamierzałem stawiać sprawy tak ostro, Darcy.

— Harry, wydaje mi się, że miałbyś wiele do opowiedzenia. Może udałoby się nam porozmawiać, to znaczy, twarzą w twarz? Nie musisz obawiać się tej wizyty.

— Obawiać się?

— Powiedzmy, przejmować się. Nie martw się, że wynikną jakieś sprawy, o których nie będziemy mogli rozmawiać albo które będziesz wolał zataić. Nie istnieje nic takiego, o czym nie mógłbyś mi powiedzieć, Harry.

— Teraz jednak nie mam ci nic do powiedzenia, Darcy. Ale jak tylko coś wyniknie, skontaktuję się z tobą.

— Obiecujesz?

— Tak, ja też obiecuję. I, Darcy. . . dzięki.

* * *

Clarke długo jeszcze rozpamiętywał tę rozmowę. I kiedy tak siedział za biurkiem, wystukując palcami monotony rytm, zaczął zastanawiać się, czy rzeczywiście Paxton mógł pracować dla kogoś innego. Czy działał przeciw INTESP?

Stanowisko, które piastował Clarke, należało poprzednio do Harolda Welle-sleya, zdrajcy. Wprawdzie tamten pożegnał się z życiem, ale sam fakt, że kiedykolwiek działał — i to właśnie z tej pozycji — musiał narobić szumu na górze. Podwójny agent? Szpieg pośród telepatów? Coś, na co, rzecz jasna, nie można już nigdy więcej pozwolić, ale jak się przed tym zabezpieczyć? Czyżby zlecono komuś obserwowanie obserwatorów?

Clarke przypomniał sobie rymowanekę, którą powtarzała mu matka, kiedy był mały i coś go swędziało. Drapała go wówczas w to miejsce, recytując:

„Na pchłach dużych siedzą małe,
Niežnośnie gryzące.
Na pchłach małych siedzą mniejsze
I tak już bez końca”.

Czyżby i jego miał na oku jakiś esper? A jeśli tak, to co wyczytał z jego umysłu?

Wywołał centralę.

— Połącz mnie z ministrem — polecił. — Jeżeli będzie nieosiągalny, przekaz, żeby jak najszybciej do mnie zadzwonił. Chciałbym też, żeby ktoś sporządził dla mnie kopię raportów policyjnych dotyczących dziewczyn ze sprawy wielokrotnego mordercy.

Otrzymał te raporty w pół godziny później, a kiedy wkładał je do dużej koperty, zadzwonił telefon.

— Czy pan Clarke? Chciał pan ze mną rozmawiać.

— Sir — powiedział. — Dzwonił do mnie Harry Keogh.

— Tak?

— Prosił o zestaw raportów na temat ofiar tego wielokrotnego mordercy. O ile pan sobie przypomina, prosiliśmy go o pomoc.

— Tak, przypominam sobie, że pan go prosił o pomoc, Clarke. Prawdę mówiąc, nie jestem pewien, czy to był dobry pomysł. Myślę nawet, że nadeszła pora, by zrewidować nasz stosunek do Keogha — oznajmił minister.

— Tak?

— Owszem, wiem, że w jakiejś mierze pomógł wydziałowi i...

— W jakiejś? — przerwał Clarke. — W jakiejś mierze? Gdyby nie on, dawno już nie byłoby nas na tym świecie. Nigdy nie zdołamy się mu odwdziżyć. Nie tylko my, ale i wszyscy inni. Dosłownie wszyscy.

— Czasy się zmieniają, Clarke — rzekł tamten, niewidoczny i nieznany. — Wy, chłopcy, tworzycie dość niesamowitą ekipę, bez obrazy, a Keogh jest najbardziej niesamowity z was wszystkich. Właściwie, nawet nie należy do waszej grupy. Chciałbym więc, abyście od tej chwili unikali kontaktów z nim. Jestem pewien, że wrócimy jeszcze do tego tematu.

Dzwonki alarmowe w umyśle Clarke'a brzęczały coraz głośniej. Z ministrem zawsze rozmawiało się jak z jakimś precyzyjnym robotem, ale tym razem okazał się zbyt precyzyjny.

— A raporty policyjne? Dostarczyć mu je?

— Sądzę, że nie należy. Przez jakiś czas potrzymajmy go na dystans, zgoda? — odrzekł minister.

— Czy coś pana niepokoi? — zapytał bez ogródek Clarke. — Sądzi pan, że powinniśmy wziąć go pod obserwację?

— No, proszę, zaskakujesz mnie! — oświadczył tamten. — Zdawało mi się, że Keogh był twoim przyjacielem.

— Jest nim.

— Cóż, w swoim czasie było to niewątpliwie bezcenne, ale, jak powiedziałem, czasy się zmieniają. Kiedy nadejdzie pora, wrócę do jego sprawy w ten czy inny sposób. Ale na razie... czy to wszystko?

— Jeszcze jeden drobiazg. — Clarke nadal zachowywał neutralny ton. — Chodzi o Paxtona... — Sam również podzielał wątpliwości Harry'ego Keogha.

— Paxton? — Wyraźnie słyszał, że ministrowi zaparło dech w piersiach. — Paxton? — zapytał ostrożnie, może z odrobiną zaciekawienia tamten. — Ależ on nas już chyba nie interesuje?

— Właśnie czytałem jego dossier — skłamał Clarke. — Wie pan, raport o postępach. Odniosłem wrażenie, że straciliśmy niezły talent. Może okazał się pan nieco zbyt surowy? Głupio byłoby go stracić, gdyby istniała jakakolwiek szansa, że będziemy mieli z niego pożytek. Naprawdę, nie możemy sobie pozwolić na marnowanie takich uzdolnień.

— Clarke — westchnął minister — ty odpowiadasz za swoją robotę, a ja za swoją. Ja nie kwestionuję twoich decyzji, prawda? I docenię to, że nie będziesz kwestionował moich. Zapomnij o Paxtonie. Jest wyłączony ze sprawy.

— Jak pan sobie życzy. Sądzę jednak, że powinniśmy przynajmniej mieć go na oku. Choćby z daleka. Przecież nie tylko my gramy w te klocki. Wolałbym, żeby nie zwerbowała go druga strona...

Minister zirytował się.

— Chwilowo mam dość roboty na swoim podwórku! — uciął. — Daj spokój Paxtonowi. Wystarczy okresowa kontrola, kiedy ją zarządzą!

Clarke zachowywał się w sposób miły tylko wtedy, gdy inni byli dla niego mili. Stał zbyt wysoko, by pozwolić się ignorować.

— Tylko spokojnie... sir — warknął. — Wszystko, co mówię albo robię, leży w dobrze pojętym interesie INTESP, proszę mi wierzyć. Nawet, kiedy włożę komuś na odcisk.

— Oczywiście, oczywiście. — Tamten od razu postarał się go udobruchać. — Ale wszyscy jedziemy na tym samym wózku, Clark, i nikt z nas nie jest wszechwiedzący. Może więc spróbujemy sobie ufać?

— Świetnie — stwierdził Clarke. — Przepraszam, że zabrałem tyle pańskiego czasu.

— Nic nie szkodzi. Pewien jestem, że wkrótce znów sobie porozmawiamy.

Clarke położył słuchawkę, popatrzył na nią koso, po czym zakleił kopertę z raportami policyjnymi i napisał na niej adres Harry'ego Keogha. Wymazał swoją ostatnią rozmowę z nim i zapytał centralę, czy sprawdzono numer. Sprawdzono; Harry dzwonił z domu, spod Edynburga. Clarke zatelefonował tam, ale nikt nie podniósł słuchawki. Na koniec wezwał do siebie kuriera i wręczył mu kopertę.

— Nadaj ją, proszę — powiedział, ale zanim kurier wyszedł, zmienił zdanie. — Nie, przepakuj ją i wyślij jako przesyłkę specjalną. A potem zapomnij, że ją widziałeś.

W chwilę później znów powstał sam ze swymi podejrzeniami i uporczywym swędzeniem między łopatkami, z którym nie mógł sobie poradzić.

I z matczyną rymowanką o pchłach, która nękała go równie natrętnie.

ROZDZIAŁ TRZECI

Odmieniec

Harry Keogh, nekroskop, nie znał rymowanki Clarke'a, ale również cierpiał przez pchłę, a nawet przez kilka pcheł.

Najmniej znaczący okaz tego gatunku stanowił zapewne Geoffrey Paxton. Znajdował się jednak blisko i przez to był najgroźniejszy. Chociaż Harry nie tyle bał się jego, ile tego, co sam mógłby zrobić z Paxtonem, gdyby poniosły go nerwy. I tego, co owa porywczosć przyniosłaby jemu, nekroskopowi. Wiedział, jak łatwo mógłby się zdradzić, ujawnić, że utracił niewinność i dopuścił do siebie będącą jeszcze w zarodku, ale rozwijającą się Ciemność.

Wiedział też, że na to właśnie czyha Paxton: na dowód, że nekroskop nie jest już pełnoprawnym obywatelem, czy też mieszkańcem Ziemi — że nie jest już w pełni człowiekiem, lecz obcym stworem, potwornym zagrożeniem. Było jasne, że kiedy znikną wszelkie wątpliwości, Paxton zgłosi ów fakt i zacznie się wojna. Harry Keogh kontra Reszta Świata. Reszta Ludzkości. Konflikt ze światem i ludźmi, o których bezpieczeństwo usilnie walczył od tylu już lat, przerażał Harry'ego.

Paxton był pchłą albo kleszczem, usiłującym wgryźć się głęboko w cudzy umysł. Za jego plecami czało się wyzwanie zagrażające istnieniu nekroskopa. Dla wampirów bowiem jedyną „honorową” odpowiedzią na jakiegokolwiek wyzwanie była ta, którą pisało się krwią. Wampiry! Samo słowo kryło w sobie... Moc.

Przejmowało dreszczem sedno jego natury, uświadamiało istnienie namiętności daleko intensywniejszych niż wątle i niedołeżne emocje człowiecze. Miało w sobie nieokiełznaną energię, która ledwie mieściła się w jego wrzącej krwi. Oznaczało zachodzącą we wnętrzu nekroskopa — nawet i w tej chwili — reakcję łańcuchową, której katalizatorem była krew. I samo w sobie też stanowiło wyzwanie. Ale takie, któremu musiał się oprzeć. Nie śmiał i nie mógł na nie odpowiedzieć. Nie, jeśli pragnął zachować przewagę i jak najwięcej człowieczeństwa.

Pojawił się więc Paxton. Intruz, który wbijał ssawkę w najbardziej osobiste i nienaruszalne z ludzkich dominiów — w sam umysł i wysączał z niego myśli. Szpieg, złodziej myśli, pasożyt sycący się sekretami Harry'ego, pchła. Niestety, tylko jedna z wielu, a Harry nie mógł sobie pozwolić na podrapanie się.

Dreńczył go też fakt, że umarli — Ogromna Większość ludzkości, oddzielona od reszty i nieznana nikomu — odwracają się od niego. Tracił kontakt. Transformacja, jakiej ulegał, zmieniała i ich stosunek. Zaufanie zmarłych słabło.

Owszem „żyło” pośród nich wielu, którzy zawdzięczali mu więcej, niż sami mogli dać, a także całe tłumy tych, którzy kochali go za to, że był jedynym promykiem rozjaśniającym wieczny mrok, ale nawet i ci zaczęli się go wystrzegać. Kiedy był po prostu Harrym — nieskazitelny, niewinny i łagodny. To, że mógł kontaktować się ze zmarłymi i odpowiadać na ich wezwania, było wspaniałe. Wszystko to jednak działo się wczoraj.

A teraz, kiedy stał się czymś więcej niż tylko Harrym? Istnieją pewne rzeczy, których boją się nawet umarli, i pewne granice, poza którymi nawet oni nie mogą spoczywać w spokoju. . .

Od dnia unicestwienia Janosza Ferenczego i jego twórców Harry był zaabsorbowany pracą. Poza nieustannym natręctwem Geoffreya Paxtona mogło go od niej oderwać tylko jedno — coś, nad czym nie miał żadnej władzy — świadomość, że w Anglii żyje i oddaje się swym ohydny praktykom jakiś nekromanta. Zaanagażował się w to, gdyż Penny Sanderson stała się teraz dla niego kimś bliskim, wiedział też, co przeszła i co przeszły jej poprzedniczki.

Nie wątpił, że w końcu siły prawa i porządku wytropią i zatrzymają tego, który skatował, zamordował i zgwałcił Penny. Pojmował jednak i to, że władze nie dysponują miarą pozwalającą ocenić ogrom jego zbrodni. W tym przypadku nie były w stanie sporządzić kompletnej listy zarzutów, ani nawet poprawnie ich sformułować. Żadna kara nie stanowiłaby wystarczającego zadośćuczynienia. Nie w majestacie prawa.

Nekroskop doskonale rozumiał naturę tej bestii i jej czynów, a co więcej, był zwolennikiem dość surowych kar. I nie sprawiła tego zachodząca w nim przemiana. Ów ogień zapłonął, kiedy zamordowano jego ukochaną matkę, i dotąd palił się równie jasno.

To, czym Harry zajmował się od dnia wygnania ze świata żywych ostatniego z Ferenczych, było niesamowite i cudowne, niemal tak, jak myśli rodzące się w jego inspirowanym przez Möbiusa umyśle.

Najpierw sprowadził z Rodos prochy Trevora Jordana. Tak życzył sobie ów bezcielesny teraz telepata, choć nawet i on nie znał rzeczywistych zamiarów nekroskopa. Aby obrócić w czyn swe plany i zyskać zadowalający go rezultat, nekroskop potrzebował jednak czegoś więcej niż owej esencji człowieczeństwa. Dlatego właśnie, zanim zrównał z ziemią zamek Janosza Ferenczego, zabrał stamtąd pewne substancje chemiczne, których ów wampir używał, tworząc swą własną, potworną odmianę nekromancji. Harry miał świadomość, że nie wszyscy zmarli będą zainteresowani ewentualnym zmartwychwstaniem. Tracki król — wojownik, Bodrogk, i jego żona, Sofia, których świat zawalił się przed dwoma tysiącami lat, z radością padli sobie w ramiona i obrócili się w proch; ich modły zostały wysłu-

chane. Ale ci, którzy niedawno rozstali się z życiem? Na przykład Trevor Jordan. Odpowiedź wydawała się prosta. Czemu go o to nie zapytać? To jednak wbrew pozorom okazało się najtrudniejsze.

— Zamierzam przywrócić ci życie. Posiadam odpowiednią aparaturę, ale nie mam stuprocentowej pewności, na czym polega jej działanie. Komuś innemu służyła dobrze, ale on miał za sobą wiele eksperymentów. O ile wszystko pójdzie, jak należy, staniesz się taki, jaki byłeś, tyle że... cóż, będziesz pamiętał, że wpakowałeś sobie kulę w mózg. Nie jestem pewien, jak to na ciebie wpłynie. Jeżeli wskrzesiwszy cię z popiołów, stwierdzę, że jesteś kompletnym, bełkoczącym, pieprzonym idiotą, pomimo wszelkich oporów będę musiał znów cię załatwić. A teraz, skoro mogę cię uszczęśliwić...

Albo w przypadku Penny Sanderson.

— Penny, myślę, że potrafię sprowadzić cię na ziemię. Ale jeśli mikstura nie uda się, może się okazać, że nie będziesz już tak urocza, jak przedtem. Możliwe, że twoja skóra i rysy okażą się zniekształcone, może nawet pojawią się ohydne krosty. Wiesz, część istot, jakie widziałem w zamku Ferenczego, wyglądała potwornie: same ubytki, niedorzeczności i, jak to się mówi, anomalia. Dlatego z góry zastrzegam sobie prawo skasowania cię, jeśli coś pójdzie nie tak. Ale, oczywiście, spróbujemy ponownie, kiedy, jeśli mi szczęście dopisze, ustalę właściwe propozycje.

Nie mógł zdradzić im swych planów, jeszcze nie. Jeśli przedstawiłby im szkielet całej sprawy, zażądałoby, żeby oblekł go w ciało. A jeśli rozwinąłby temat, zaczęłoby się zadrezczać najdrobniejszymi szczegółami. I tak aż do samego zmartwychwstania; na przemian radość i lęk. Zaczęłoby drzeć z podniecenia i trząść się ze strachu, piąć się na wysokie góry nadziei tylko po to, by znów zwalić się w czarne jeziora najgłębszej rozpacz i przygnębienia.

Podobnie chyba czułby się Harry, gdyby zamienili się rolami. Z drugiej strony wiedział, że przecież nawet skrawek nadziei to więcej niż nic. A może to tkwiący w nim wampir, wytrwale dążący do nieśmiertelności, myślał teraz za niego?

Albo... może Harry zawahał się z innego, daleko istotniejszego powodu: coś go ostrzegło, że ze swoimi znikomymi zdolnościami, znikomymi wobec wszechświata lub równoległych wieloświatów, nie ma prawa, nie powinien uzurpować sobie prawa do jednego z Większych Darów Tego, którego ludzie nazwali Bogiem? Znani z historii nekromanci, których spadkobiercą był Janosz, ośmielili się po ten dar sięgnąć i dokąd zaszli? Czy i przed Harrym nie istniały anioły zemsty, które naprawiały zło, wyrządzone przez tych czarnoksiężników? A jeśli tak, to czy teraz nie znajdzie się kolejny, który i jego ukarze?

Harry kiedyś był nekroskopem, teraz zamieniał się w wampira i zamierzał jeszcze stać się nekromantą. Jak mógł jednocześnie ścigać mordercę Penny i zgłębiać tajniki jęgo mrocznego kunsztu? Jaka kara była mu pisana?

Może nekroskop już zabrnął za daleko i zakłócił delikatną równowagę pomiędzy Dobrem a Złem do takiego stopnia, że niezbędna stała się natychmiastowa poprawka? Czyżby stał się zbyt potężny, a przez to zniewolony? Jak brzmiało to stare porzekadło? „Władza absolutna zniewala absolutnie”. Śmieszne! Czy Bóg jest zniewolony? Nie, gdyż maksymy ludzi są jak ich prawa: dotyczą tylko ludzi.

Takie wewnętrzne spory nieustannie towarzyszyły przemianie jego umysłu i ciała. Czasem sądził, iż popada w obłąd. Potem myśli znów stawały się wyraziste i pojmował, że to nie szaleństwo, że to tkwiący w nim stwór zmienia jego sposób widzenia świata.

I wówczas przypominał sobie, jaki był kiedyś, postanawiał, że musi taki pozostać, i odkrywał, że owo wahanie zrodziła troska o przyjaciół z tamtego świata. Po prostu, nie chciał, by Penny i Trevor znosili ciężar przedłużającej się niepewności tylko po to, by, kiedy już minie czas oczekiwania, doznać najgłębszego z rozczarowań. Jedno spojrzenie na zniewolonych przez Janosza Traków, uwięzionych w trzewiach zamku Ferenczego, pozwalało aż nadto wyraźnie odczuć, że raz umrzeć najzupełniej wystarczy.

Harry wiele czasu poświęcał sporom — przeważnie z samym sobą. Nekroskop toczył długie boje słowne, dochodząc nierzadko na próg delirium i dezorientacji. To było coś w rodzaju umysłowego samogwałtu. Ale upust owym namiętnościami dawał nie tylko sam na sam z sobą. Podczas rozmów z umarłymi był równie skory do polemizowania, nawet jeśli wiedział, że to on nie ma racji.

Zdawało się czasem, że spierał się dla samego spierania, z czystej przekory. Wiele myślał o Bogu i dyskutował na jego temat. To samo dotyczyło dobra i zła, nauki, pseudonauki i magii, ich podobieństw, różnic i dwuznaczności. Fascynowały go: czas, przestrzeń i czasoprzestrzeń, a zwłaszcza matematyka z jej niepodważalnymi prawami i czystą logiką. Owa niezmiennosc matematyki niosła zmieniającemu się umysłowi nekrokopa, ukrytemu w zmieniającym się ciele, autentyczną radość i ukojenie.

W dzień lub dwa po powrocie z Dodekanezu wykonał błyskawiczny skok przez kontinuum Möbiusa — prosto do Lipska, by zobaczyć się, a raczej porozmawiać z Augustem Ferdynandem Möbiusem, spoczywającym na tamtejszym cmentarzu. Möbius wciąż jeszcze był wielkim matematykiem i astronomem, którego geniusz kilkakrotnie uratował Harry’emu życie. I mimo iż głównym celem wizyty Keogha było podziękowanie za przywrócenie wiedzy o liczbach, spotkanie zakończyło się sporem. Uczony napomknął, że ma w planach pomiary przestrzeni. Nekroskop, ledwie to usłyszał, rzucił się w wir dyskusji. Tym razem dotyczyła: Przestrzeni, Czasu, Światła i Wieloświatów.

— Czyż wszechświat ci nie wystarcza? — chciał wiedzieć Möbius.

— Absolutnie nie — odparł Harry. — Wiemy przecież, że istnieją światy równoległe. Sam odwiedziłem jeden z nich, pamiętasz?

Studenci, obarczeni notatnikami, ze zdziwieniem patrzyli na tego dziwnego człowieka, który stojąc nad grobem wielkiego uczonego, mamrotał coś do siebie.

— W porządku. A zatem skoncentrujmy się na tym, który znamy najlepiej. — Logice Möbiusa nic nie można było zarzucić. — Na tym tutaj.

— Zmierzysz go?

— Taki mam zamiar.

— Ale w jaki sposób chcesz do tego podjąć, skoro ciągle się rozszerza?

— Ustawię się na jego najdalszym krańcu, poza którym nie ma już nic. Następnie błyskawicznie przeniosę się na drugi, również najdalszy kres. Podczas owej wędrówki zmierzę dzielącą je odległość. Potem wrócę do siebie. Kolejnych pomiarów dokonam dokładnie w godzinę i dwie godziny później.

— Świetnie — przyznał Harry. — Tylko... co osiągniesz?

— W ten sposób będę mógł, kiedy tylko zechcę, obliczyć aktualne rozmiary wszechświata!

Harry przez chwilę milczał.

— Ja też trochę podumałem nad tą kwestią — powiedział w końcu. — W aspekcie czysto teoretycznym, gdyż praktyczne określanie liczby, która wciąż się zmienia, wydaje mi się sztuką dla sztuki. O wiele więcej satysfakcji przyniosłoby chyba odkrycie, na czym polega ten proces; w jaki sposób i do jakiego stopnia wiek wszechświata uzależniony jest od jego ekspansji. Czy to relacja stała, czy przypadkowa, i tak dalej.

— No, proszę! — Harry nieledwie widział, jak brwi Möbiusa stykają się w nieskrywanym marsie. — Ty nad tym dumasz? Teoretycznie, powiadasz? A mógłbym spytać o twoje wnioski?

— Chcesz, żebym powiedział ci wszystko o przestrzeni, czasie, świetle i wielościach?

— Jeśli tylko starczy ci czasu. — Sarkazm Möbiusa stał się naprawdę nieznośny.

— Pierwszy z twoich pomiarów wystarczy; pozostałe są zbędne oznajmił nekroskop. — Znając rozmiary wszechświata, i to nie tylko tego, ale i równoległych, przypadające na dany moment, automatycznie poznajemy dokładny wiek i szybkość ekspansji, wspólne dla wszystkich światów.

— Wyjaśnij to.

— A teraz teoria — ciągnął Harry. — Na początku nie było nic. Potem pojawiło się Pierwsze Światło! Prawdopodobnie zapłonęło w kontinuum Möbiusa, a może zrodził je jakiś kolosalny fajerwerk. Tak czy inaczej, był to początek wszechświata światła. Przed światłem nie istniało nic, a potem... już tylko wszechświat, rozszerzający się z prędkością światła!

— Co?

— Nie zgadzasz się?

— Wszechświat rozszerza się z prędkością światła?

— Właściwie, z prędkością dwukrotnie większą niż prędkość światła. Pamiętaj, tu tkwiło sedno problemu, jaki wynikł, kiedy przywracałeś mi zdolność pojmowania liczb? Jeżeli zapalisz w przestrzeni światło, para obserwatorów, umieszczonych po obu stronach jego źródła i oddalonych od niego o sto osiemdziesiąt sześć tysięcy mil, dostrzeże je dokładnie w sekundę później, gdyż światło będzie rozchodzić się równomiernie w obu kierunkach. Zgadzasz się z tym?

— Oczywiście! Pierwsze Światło, jak każde inne, musiała rozszerzać się właśnie tak, jak to przedstawiłeś. Ale... Wszechświat?

— Z taką samą prędkością. I nadal rozszerza się w tym samym tempie.

— Wyjaśnij to. I postaraj się zrobić to z sensem.

— Przed pojawieniem się światła nie było nic, nie było wszechświata — odrzekł nekroskop.

— Zgoda.

— Czy coś porusza się szybciej niż światło?

— Nie... tak! My, ale tylko w kontinuum. Sądzę też, że i myśli rozchodzą się natychmiast — stwierdził Möbius.

— A teraz pomyśl! Pierwsze Światło wciąż jeszcze się rozchodzi, poszerzając objęte nim obszary ze stałą prędkością stu osiemdziesięciu sześciu tysięcy mil na sekundę. Powiedz mi, czy poza tymi obszarami coś się znajduje? Cokolwiek?

— Oczywiście, że nie. Nic w fizycznym wszechświecie nie porusza się szybciej niż światło — odparł uczony.

— Właśnie! A zatem to światło określa wymiary i wielkość wszechświata! Dlatego nazwałem go Wszechświatem Światła.

$$wU = rU/c$$

— Zgadzasz się?

Möbius przyjrzał się równaniu wypisanemu w umyśle Harry'ego.

— Wiek wszechświata jest równy długości jego promienia, podzielonej przez prędkość światła. — Po chwili przyznał bardzo cicho: — Tak, zgadzam się.

— Ha! — zawołał Harry. — Trudno dziś o porządną dysputę.

Möbius zaczynał się irytować. Nigdy dotąd nie widział Harry'ego w takim nastroju. Instynktowna matematyka nekroskopa niewątpliwie była czymś cudownym, naprawdę niesamowitą sprawą, ale gdzie się podziała pokora Harry'ego? Zastanawiał się, co w niego wstąpiło. Może należało naciągnąć go na dalsze dywagacje, a potem wykazać luki w rozumowaniu i przytrzeć mu nieco nosa?

— A czas i wieloświaty?

Harry tylko na to czekał.

— Wszechświat czasoprzestrzenny, mający takie same rozmiary i tyle samo lat, co którykolwiek ze światów równoległych, ma kształt stożka, którego wierz-

chołkiem jest Pierwsze Światło, od którego się wszystko zaczęło, a podstawą jego aktualna granica, albo też obwód. Czy to jest logiczne i prawdopodobne?

Möbius, mimo iż usilnie szukał błędów, nie był w stanie niczego zakwestionować.

— Tak. — musiał odpowiedzieć. — Logiczne i prawdopodobne, ale niekoniecznie słuszne.

— Wystarczy mi, że prawdopodobne — stwierdził Harry. Powiedz mi teraz, co znajduje się poza stożkiem?

— Nic, skoro wszechświat jest zawarty w jego wnętrzu.

— Źle! Światy równoległe też są stożkowate. Zrodziły się w tej samej chwili i mają to samo źródło!

Möbius uzmysłowił sobie ten obraz.

— Ale... w takim razie każdy stożek styka się z pewną liczbą innych. Czy istnieją na to dowody?

— Czarne dziury — odpowiedział natychmiast Harry. — które żonglując materią, dostarczają niezbędnej równowagi. Wysysają materię ze zbyt ciężkich wszechświatów i wpuszczają ją w światy zbyt lekkie. Białe dziury to, oczywiście, rewery czarnych. W czasoprzestrzeni dziury objawiają się jako linie łączące owe stożki, w przestrzeni są — wzruszył ramionami — po prostu dziurami.

Möbius czuł już zmęczenie.

— Te stożki w przekroju poprzecznym wyglądają jak koła — zaprotestował. Zestaw trzy, a powstanie między nimi trójkąt.

— Szara dziura. — zgodził się Harry. Jedna z nich znajduje się na dnie Jaru Perchorskiego, a druga w pewnej podziemnej rzece w Rumunii.

I tak postawił na swoim, zwyciężając w tym sporze, o ile można mówić o jakimś zwycięstwie. Faktem było, że dyskutował tylko dla sportu, nie zastanawiając się nawet i nie przejmując, czy rzeczywiście ma rację.

Möbius jednak przejął się tym, gdyż i on nie wiedział, czy racja rzeczywiście znajduje się po stronie Harry'ego...

* * *

Innym razem nekroskop rozmawiał z Pitagorasem. I znów głównym powodem owej wizyty było podziękowanie (wybitny grecki mistyk i matematyk pomógł mu nieco w odnalezieniu drogi do liczb), ale i ona przerodziła się w spór.

Harry spodziewał się znaleźć jego grób w Metapontum, a jeśli nie tam, to w Krotonie, na południu Włoch. Wciąż jednak trafił na uczniów owego Greka, aż przypadkiem natknął się na wyspie Chios na liczącą sobie dwa tysiące czterysta osiemdziesiąt lat mogiłę jednego z członków Bractwa Pitagorejczyków. Nie

było tam nagrobka; jedynie kamieniste pustkowie o barwie ochry i kozy obgryzające cierniste krzewy niespełna pięćdziesiąt jardów od skalistego brzegu Morza Egejskiego.

— Pitagoras? Nie, nie tutaj — odezwał się tamten cicho i bardzo tajemniczo, ledwie Harry wdarł się w jego odwieczne rozmyślenia. — Jest gdzie indziej, czeka na swoją porę.

— Na swoją porę?

— Aż przeistoczy się w żywego, mogącego znów oddychać człowieka.

— Ale czasem rozmawiacie? Jesteś w stanie skontaktować się z nim? — zapytał Keogh.

— Czasem, kiedy przyjdzie mu do głowy jakaś myśl, kontaktuje się z nami.

— Z nami?

— Z Bractwem! Ale za dużo już powiedziałem. Odejdź. Zostaw mnie w spokoju.

— Jak sobie życzysz — zgodził się Harry. — Ale nie będzie rad, że odprawisz nekroskopa.

— Co? Nekroskopa? — W głosie zabrzmiało zdumienie. — Ty jesteś tym, który nauczył umarłych mówić i pozwolił im porozumiewać się między sobą, jak za życia?

— Dokładnie.

— I pragniesz pobierać nauki u Pitagorasa?

— Pragnę go czegoś nauczyć.

— To bluźnierstwo!

— Bluźnierstwo? — Harry zdziwił się. — A zatem Pitagoras jest bogiem? Jeśli tak, to potwornie powolnym. Pomyśl, ja już przeszedłem w nowe ciało. Nawet w tej chwili wchodzę w nowe stadium, w nowy stan.

— Twoja dusza jest w trakcie migracji?

— Powiedziałbym, że przemiana jest już blisko.

Zapadło milczenie.

— Jeśli porozumiem się w twoim imieniu z naszym mistrzem, Pitagorasem, a okaże się, że skłamałeś, rzuci na ciebie klątwę liczb, możesz być pewien. Tak, a zapewne wraz z tobą i na mnie! Nie, nie odważę się. Najpierw dowiedz prawdziwości swoich słów.

— Może zdołam pokazać ci kilka liczb. — Harry usilnie starał się zachować cierpliwość. — I jestem pewien, że jako członek Bractwa, docenisz ich wagę.

— Chcesz mnie omamić swoimi marnymi cyferkami? Pracą jednego żywota? Sądzisz, że w ciągu dwóch tysięcy lat, jakie minęły od złożenia mnie tutaj, nie wyśniłem swoich własnych liczb, równań i wzorów? Nekroskop czy nie, jesteś zbyt zarozumiały!

— Zarozumiały? — Harry rozeźlił się na dobre. — Ja znam wzory, o jakich nigdy ci się nie śniło! — Rozwinął komputerowy ekran swego umysłu i pokrył go

niekończącymi się, wciąż ulegającymi zmianie ciągami liczb rodem z matematyki Möbiusa. Potem otworzył drzwi do kontinuum i pozwolił tamtemu na krótkie wejrzenie w owo nigdzie i wszędzie, czekające tuż za ich progiem.

— Co... co to było? — sapnął tamten.

— Wielkie Zero — warknął Harry, pozwalając, by drzwi się zamknęły. — Miejsce, gdzie wszystkie liczby mają swój początek. Ale tracę czas. Przyszedłem porozmawiać z mistrzem, a wciąż użeram się ze zwykłym uczniem, i to przeciętnym. Powiedz mi teraz: uzyskam audiencję u Pitagorasa czy nie?

— On... on jest na Samos.

— Tam, gdzie się urodził?

— Właśnie tam. Uznał, że to ostatnie miejsce, w którym go będą szukali... — W głosie tamtego pojawił się popłoch. — Nekroskopie, wstaw się za mną u niego! Zdradziłem go! Wykluczy mnie!

— Bzdury! — Harry znów warknął, ale tym razem bez cienia wzgardy. — Wykluczy ciebie? On cię wywyższy, gdyż ujrzałeś tajemne drzwi matematyczne, wiodące do wszystkich czasów i miejsc. Nie wierzysz mi? Wzruszył ramionami. Cóż, twój wybór. Tak czy inaczej, dziękuję i żegnaj. — Wywołał kolejne drzwi Möbiusa, wszedł w nie...

... i wyłonił się o dwadzieścia mil dalej, na Samos, gdzie przed dwudziestoma pięcioma wiekami Pitagoras spędził swe dzieciństwo i gdzie później potajemnie złożono jego kości. Mimo iż Pitagoras był skrytym, nieufnym introwertykiem nie mógł zignorować wezwania nekroskopa, wysłanego z tak niewielkiej odległości. Zostało przecież wyemitowane w mowie zmarłych i ów odludek usłyszał je. I...

— Jaka jest twoja liczba? — zapytał.

— Taka, jaką wybierzesz. — Wzruszył ramionami Harry, nastawiając się na ów wewnętrzny szept mistyka. A kiedy dokładnie określił jego położenie, kolejnym Möbiusowym skokiem przeniósł się z pustego, porośniętego krzewami brzegu do niewielkiego gaju oliwnego porastającego łagodny stok, górujący nad cyplem, na którym wzniesiono biały kościółek. W dole przez sosny i powykręcane przez wiatr dęby prześwitywała turkusem, błękitem i srebrem zatoka Tigani. W czystym letnim powietrzu wibrowała muzyka z pobliskiej tawerny.

W cieniu drzew panował chłód i nekroskop z ulgą zdjął swój szerokokresy kapelusze i ciemne okulary, chroniące tak wrażliwe teraz oczy. A ponieważ Pitagoras milczał, zadumany, Harry odezwał się pierwszy:

— Liczb jest w bród. Nie będę wybrzydzał.

— A powinieneś. — Szept mistyka był drżący, gorączkowy. — One są Wszystkim. Bogowie to też liczby, choć tych nie zna żaden człowiek. Kiedy odkryją liczby bogów, dopełni się moja reinkarnacja.

— Jeśli naprawdę w to wierzysz, długo ci jeszcze przyjdzie czekać — powiedział natychmiast Harry. — Możesz poznać wszystkie liczby we wszystkich ich kombinacjach stąd do wieczności, a i tak nic to nie zmieni. Nie dla ciebie. To nie

jest żadna magia, Pitagorasie. Ile byś liczb do tego nie zaprzął, twa dusza i tak nie przepłynie w nowe ciało. Już ci nie pomoże żadna magia ani nauka.

— Ha! — W mistyku wezbrał gniew, okraszony sporą dozą szyderstwa. — Patrzcie no, kto wygłasza takie bluźnierstwa! Czy to nekroskop, który niedawno jeszcze był bezradny i nie znał najmniejszej nawet cyfry? Ten, dla którego najprostsze dodawanie stanowiło tajemnicę nie do zgłębienia? Czy ty jesteś tym, za którym ujmowały się owe legiony prochów, rzesze zmarłych? Möbius przyszedł tu na kolanach, by mnie błagać, a kim ty jesteś, jak nie niewdzięcznikiem?

Te słowa sprawiły Harry'emu ból, ale ukrył go przed Grekiem. Tak samo ukrył to, co myślał: „Stary, nadęty pierdoła!”

— Przybyłem podziękować ci za to, że przywróciłeś mi wiedzę o liczbach — oświadczył głośno. — Bez tego byłbym prochem rozpadającym się w grobie jak ty. A może nawet nie, gdyż istniał człowiek, który chciał wydrzeć ze mnie moje sekrety.

— Nekromanta?

— Właśnie.

— To czarna sztuka! — zawołał matematyk.

— Nie zawsze. Ma swoje zalety. W końcu to, co teraz robię, też jest pewną formą nekromancji. Ja, żywy człowiek, rozmawiam teraz z umarłymi.

Pitagoras zastanawiał się nad tym przez chwilę.

— Słyszałem twą rozmowę z jednym z Braci — powiedział. — Czy bluźnierstwo to twoje drugie miano? Chełpiłeś się swą reinkarnacją, transmigracją, metempsychozą.

— Podałem fakt — odparł Harry. — Kiedyś miałem swoje własne ciało, a kiedy umarło, zająłem inne. Nie musisz wierzyć mi na słowo, zapytaj umarłych, którym kłamstwo nie przyniosłoby żadnego zysku. Powiedzą ci, że to prawda. Co więcej, gdyby twoje popioły były czyste, ciebie też mógłbym wskrzesić! Nie liczbami, lecz słowami. I to nie bluźnierstwo, Pitagorasie, ale prosta prawda. A może... sam akt byłby bluźnierstwem, tego nie jestem pewien. Jeśli tak, to ty masz słuszność, a ja jestem bluźniercą i chyba już taki pozostanę.

— Mógłbyś mnie wskrzesić z popiołów?

— Tylko, jeśli są czyste, nieskalane. Czy pochowano cię w dzbanie?

— Pogrzebano mnie w ziemi, potajemnie, tu, pod twymi stopami, gdzie jako chłopiec biegałem wśród drzew. Moje ciało i kości zespoliły się z ziemią. Zresztą, nie wierzę ci. Słowa, a nie liczby? Słowa pochodzą z warg są frywolnymi tworam, które się wygłasza i zmienia, podczas gdy liczby biorą się z czystego umysłu i są niewzruszone.

— To tylko akademicki spór — obruszył się Harry. — W ciągu dwóch tysięcy lat twoje sole związały się z glebą. Nie istnieją żadne słowa ani liczby, które mogłyby ci pomóc.

— Błuznierstwo i rokosz! Chcesz zwrócić mych wyznawców przeciwko mnie?

— Pitagorasie, jesteś szarlatanem! W swoim świecie strzegłeś swych matłych, nic nieznaczących, matematycznych „tajemnic”, elementarnych odkryć, które dziś każde dziecko poznaje ze szkolnych podręczników, jakby dawały władzę nad Życiem i Śmiercią. I nawet prawdziwa śmierć cię nie odmieniła. Ja dałem ci mowę zmarłych i mogłeś, gdybyś tylko chciał, porozumieć się z późniejszymi, prawdziwymi mistrzami. Z Galileuszem, Izaakiem Newtonem, Albertem Einsteinem, z Roemerem, Maxwellem i...

— Dość! — rozeźlił się tamten. — Powiniennem był zignorować Möbiusa! Powiniennem był...

— Ale nie mogłeś go zignorować! — przerwał mu Harry. — Nie odważyłeś się...

— Co masz na myśli?

— Znam twój prawdziwy sekret. Byłeś oszustem. Nie tylko za życia robiłeś durniów z członków swego niezwykłego „Bractwa”, ale i po śmierci nadal ich zwodzisz! Pitagorasie, w liczbach nie ma nic mistycznego i ty zapewne o tym wiesz. Choćby dlatego, że jesteś uczonym mężem. Sam powiedziałeś, że liczby są niewzruszone i niezmiennie. A to oznacza, że są trwałą prawdą, a nie wybrykami fantazji! Żelazną prawdą, a nie eteryczną magią!

— Łgarz! Łgarz! — szalał Pitagoras. — Przekręcasz słowa, zmieniasz znaczenia!

— Dlaczego się kryjesz nawet przed zmarłymi?

— Ponieważ nic nie rozumieją. Ich ignorancja jest zaraźliwa.

— Nie! Dlatego, że oni wiedzą więcej od ciebie! Twoi wyznawcy opuściliby cię. Powiedziałeś im, że ich dusze odbędą podróż, znów obleką się w ciało i spotkają się z tobą w świecie Czystej Liczby, a teraz wiesz, że głosiłeś nieprawdę.

— Myślałem, że to prawda.

— Ale to było dwa i pół tysiąca lat temu. I czy wróciłeś na ziemię? Ile czasu trzeba, byś przyznał, że się myliłeś?

— Wyśniłem liczby, które mogłyby cię zniszczyć!

— No to mnie zniszcz.

Pitagoras łkał. Cisnął w Harry’ego cały zbiór liczb, które rozbiły się o mur, otaczający metafizyczny umysł nekroskopa. Wstrząsnęły nim jednak, uświadomiły kłopotliwe położenie — stwór w jego wnętrzu ze wszystkich sił starał się go wyprzeć, tym razem przy pomocy pokrętej wampirzej „logiki”. I to odkrycie go uratowało. Harry bowiem nigdy nie pragnął krzywdzić czy nawet niepokoić zmarłych.

— Ja... ja przepraszam — powiedział.

— Przepraszasz? Jesteś demonem! — szlochał Pitagoras. — Ale... masz rację.

— Nie, ja tylko się spierałem. Może mam rację, może nie. Ale źle zrobiłem, spierając się dla sportu. I powiedzmy sobie jedno, nie zgadzam się ze swymi argumentami.

— Jak to?

— Wiem, że liczby nie są niewzruszone.

— Ach... — westchnął. — Czy mógłbyś... mi tego dowieść?

Wówczas Harry ukazał Pitagorasowi ekran swego umysłu i wszystkie Möbiusowe konfiguracje, przesuwane się po jego powierzchni, zmieniające się nieustannie i ciągnące się w nieskończoność. Stary Grek długo milczał.

— Byłem bystrym chłopcem, który sądził, że wie wszystko — powiedział potem łamiącym się głosem. — Czas mnie wyprzedził.

— Ale nigdy o tobie nie zapomni — podkreślił czym prędzej Harry. — Pamiętamy twoje twierdzenie. Napisano o tobie wiele książek, nawet dziś są jeszcze pitagorejczycy.

— Moje twierdzenie? Moje liczby? Gdybym ja ich nie odkrył, zrobiliby to inni.

— Ale to twoje imię pamiętamy. A przy okazji, to, co powiedziałeś, można by rzec o każdym.

— Wyjąwszy nekroskopa.

— Nie jestem pewien — stwierdził Harry. — Myślę, że przede mną mogli być inni. A na pewno jest już mój następca. Oni wszyscy żyją teraz w innych światach.

— I ty będziesz tam żył?

— Możliwe. Prawdopodobnie. I to chyba już wkrótce.

— Jak teraz wygląda świat? — zapytał po jakimś czasie Pitagoras.

Harry podejrzewał, że mistyk po raz pierwszy od długiego czasu zadał komuś konkretne pytanie.

— Na tej wyspie — odpowiedział — jest wielu, którzy zmarli nie tak dawno temu. Ale ty się od nich odciąłeś. Mogłeś pytać ich o Samos, o świat, o żywych. Bałeś się jednak tej prawdy. A czy wiesz, że mieszkańcy tej wyspy niemal nie interesują się liczbami? No, może to nie całkiem prawda. Na pewno interesuje ich przeliczanie drachm na funty, marki i dolary. — Wyjaśnił, o co mu chodzi.

— Świat zrobił się taki mały!

Harry włożył kapelusz i okulary, po czym wyszedł z cienia na światło słoneczne. Póki miał ręce w kieszeniach, nie drażniło go zbytnio, musiał jednak iść powoli, inaczej potykał się na wyboistej ścieżce wiodącej do Tigani. Pitagoras mu towarzyszył. Poprzez mowę zmarłych — kiedy kontakt został już nawiązany, odległość traciła znaczenie.

— Zlikwiduję Bractwo, całkiem je rozpuszczę, skończę z nim. Tak wiele muszę się nauczyć.

— Ludzie wylądowali na Księżycu — powiedział Harry.

Myśli Pitagorasa zataczały coraz szersze kręgi.

— Obliczyli prędkość światła.
Myśli starego mistyka układały się w jeden wielki, zdumiony znak zapytania.
— Wiesz, pośród umarłych są matematycy, którzy mogliby wiele zyskać dzięki twojej wiedzy.
— Co, mojej? Jestem niemowlęciem!
— W żadnym wypadku. Trzymałeś się czystej liczby. W ciągu dwóch tysięcy lat z okładem stałeś się mistrzem błyskawicznych obliczeń. Mogę cię sprawdzić?
— Jak najbardziej, tylko proszę, daj mi coś prostego. Nie te oszałamiające wzory, jakie wpisałeś w zakamarki swego umysłu. — Podaj mi więc sumę wszystkich liczb od jednego do stu.
— Pięć tysięcy pięćdziesiąt — odpowiedział natychmiast Pitagoras.
— Mistrz błyskawicznych obliczeń. — Harry dobrze go ocenił. Pośród mniej praktycznych matematyków, specjalistów od teorii, byłbyś mówiącym suwakiem logarytmicznym! Sądzę, że jak na umarłego, masz przed sobą wielką przyszłość, Pitagorasie.
— To było tak proste — rozpromienił się Grek. I to obliczone w pamięci mnożenie, dzielenie, dodawanie i odejmowanie, tak i trygonometria tylekroć się tym zajmowałem. Nie ma kąta, którego nie potrafiłbym obliczyć.
— I oto chodzi. — uśmiechnął się Harry. Uwierz mi, niewielu jest dziś ludzi znających wszystkie kąty. — dodał, zachowując najwyższą powagę.
— A ty, Harry? Czy ty błyskawicznie liczysz?
Harry nie zamierzał sprawić mu przykrości.
— Tak, ale u mnie to co innego, to sprawa intuicji.
— A więc od jednego do miliona?
— Pięćset milionów pięćset tysięcy — odpowiedział niemal jednym tchem nekroskop. Bierzesz dziesięć i mnożysz je przez dziesięć tyle razy, ile tylko chcesz, za każdym razem działa. Połowa z dziesięciu to pięć; zestawiasz obie połówki: 55. Połowa ze stu to pięćdziesiąt; znów zestawiasz obie połówki: 5 050. I tak dalej. Dla jednych to „magia”, dla mnie intuicja.
Pitagoras zasępił się.
— Na cóż im jestem potrzebny, skoro mają ciebie?
— Jak już powiedziałem, chyba wkrótce odejdę. Masz rację, świat zrobił się taki mały. Trudno jest się w nim ukryć.

Na peryferiach Tigani znalazł niewielką tawernę i usadowił się w jej cieniu, zamawiając uzo z odrobiną lemoniady. W zatoczce w ciepłej błękitnej wodzie pluskały się młode Angielki. Piersi ich lśniły i Harry nawet z daleka czuł zapach olejku kokosowego. Pitagoras wyłowił z jego umysłu ten obraz i skrzywił się.

— Może dobrze, że jednak nie mam ciała — stwierdził ponuro. One potrafią wyssać człowieka jak wampiry.

Zaskoczył nekroskopa. Ale już po chwili usłyszał jego odpowiedź.
— Cóż, ale wampir wampirowi nierówny.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Ktoś umiera

Wampir nekroskopa nie był jeszcze dojrzały — ot, kijanka jakiegoś obcego stwora, pasożyt. I jako taki, nie dążył do żadnych konfliktów wewnętrznych ani zewnętrznych, pragnął jedynie rozwijać się w zgodzie z długotrwałym procesem przemiany, jakiej ulegał jego nosiciel. Dlatego też starał się go osłabić. Harry, wyczerpany emocjonalnie i umysłowo, mniej byłby skłonny narażać na niebezpieczeństwo siebie, a zarazem i swojego niesamowitego „sublokatora”. Stąd brały się w jego umyśle przebłyski wampirzej świadomości — skrawki informacji o rodzącej się, nieokiełznanej Potędze — i palący niedosyt sporów i krzyżowego ognia pytań, sprawiający, że Harry nawet swą psychikę poddawał długim sesjom bezwzględnych przesłuchań, mimo iż wiedział, że prowadzi to tylko do wybuchów złości i wyczerpania umysłowego.

Krew nekroskopa również czuła obecność intruza. Zdawać się mogło, że rozpala ją niesamowita gorączka psychiczna. Harry stał się nerwowy, wciąż czekał na niespodziewany atak. Nosił w sobie wulkan, który jak dotąd tylko wrzał, uwalniając co jakiś czas nieco pary. Nie wiedząc, kiedy ma nastąpić wybuch, nie mógł sobie pozwolić nawet na chwilę relaksu, musiał bez przerwy pilnować „pokrywkę”, słuchając w napięciu — z przerażeniem, ale i z ciekawością dobiegającego spod niej bulgotu.

Z chęcią sprawdziłby wszelkie możliwości swych wampirzych talentów — wszak stanowiły już część jego natury, choć ich aspekt fizyczny pozostawał jeszcze w stanie embrionalnym — wiedział jednak, że to by tylko przyspieszyło proces. Jedno bowiem było pewne jego symbiont, jakkolwiek wciąż niedojrzały, rósł szybko i szybko się uczył.

Ale choć owego pasożyta cechował właściwy jego gatunkowi upór, to samo można było rzec o nekroskopie. Czyż jego syn nie poskromił swojego wampira? Jaki syn, taki ojciec. Harry gotów był na wszystko, byle pójść w jego ślady.

Już samo to stanowiło dość trudne zadanie, a w grę wchodziła jeszcze narastająca niechęć Ogromnej Większości... świadomość, a przynajmniej uzasadnione podejrzenie, że INTESP szykuje się do wojny... i fakt, że pomimo tych wszyst-

kich przeciwności Harry postanowił ukarać pewnego maniaka. Przedtem jednak musiał go znaleźć.

Dawniej potrafił jeszcze opracować sobie logiczny system działania, sporządzić listę priorytetów. Teraz zamęt i znużenie, wywołane przez potwora, zaciemniały mu umysł i, chociaż świadom był upływającego czasu i mobilizacji wrogich sił, nie umiał przebić się ponad swój osobisty chaos. To z kolei potęgowało frustrację i gniew, było pierwszym ostrzeżeniem, że wzburzone, kłębiące się emocje żądają uwolnienia.

Harry, nie mogąc wyrazić swych uczuć — niczym ktoś dotknięty autyzmem — czuł, jak wzbiera w nim agresja, oddzielona od zewnętrznego świata tylko cienką błoną. Sam wampir — beznamiętny, jedynie potęgował uczucia nosiciela.

Najbardziej jednak dobijała Harry'ego świadomość, że żadne z podejmowanych przez niego działań — czy też z takich, które przychodziły mu do głowy — niczym nie przyczyniało się do zapewnienia mu bezpieczeństwa. Ktoś inny, w jego sytuacji, starałby się zmienić tożsamość, szukał kryjówki, odcinał się od wszelkich niebezpiecznych spraw i miejsc.

Czy aby na pewno byłby w stanie to uczynić? Przecież, jak sam dowiedział Pita-gorasowi, świat zrobił się taki mały. Poza tym każdy inny, postawiony na miejscu Harry'ego, też przeistoczyłby się w wampira, też zostałby przypisany do miejsca. Bo to był jego świat, ten dom pod Edynburgiem był jego domem. A najbardziej osobiste terytorium stanowiły jego myśli i czyny — większość z nich, przez większość czasu — przynajmniej wtedy, gdy nikt się do nich nie dobierał.

Dzień wcześniej Harry udał się do ruin zamku Ferenczego, by porozmawiać z Bodrogkiem z Tracji. Bodrogek, przyjaciel od niedawna, nie znał Harry'ego sprzed transformacji — akceptował go w jego obecnej postaci. Co więcej, ów Trak był nieustraszony, a zresztą nie musiał obawiać się ani nekroskopa, ani nikogo innego spośród żyjących. Prochy jego i jego żony Sofii rozproszył wiatr i w Karpatach pozostały jedynie ich duchy. A tych żadna żywa istota nie mogła już skrzywdzić.

Harry zapytał króla Traków o skład i proporcje magicznych eliksirów Janosza Ferenczego. Odważyłby się wskrzesić Penny Sanderson i Trevora Jordana jedynie wówczas, gdyby miał pewność, że odtworzy ich wiernie lub niemal wiernie. Bodrogek, ofiara takich właśnie eksperymentów, był w tej dziedzinie autorytetem. Ale i tak, zanim udzielił Harry'emu niezbędnych informacji, przyjrzał się choć z grubsza jego zamiarom.

I tak oto Harry był już gotów stać się autentycznym nekromantą. Mógł właściwie przystąpić do działania... ale nagle poczuł ukłucie, szpilę wbłą ukradkiem w kącik jego umysłu, świadcząca o tym, że Geoffrey Paxton jest w pobliżu i go obserwuje. Wiedząc, że Paxton tylko czyha na jakikolwiek ślad jego nienaturalnej aktywności, Harry zmuszony został odłożyć eksperyment. I wtedy właśnie, ledwie

panując nad nerwami, zadzwonił do kwatery głównej INTESP, by porozmawiać z Darcym Clarke'em.

Z ulgą przyjął fakt, że Paxton nie jest człowiekiem Darcy'ego. Zastanawiał się, czy ktoś zdoła to odkryć.

Wiedział jednak, że i tak, prędzej czy później, tamci — Darcy i cała reszta — będą musieli sprzymierzyć się przeciwko niemu. Sęk w tym, że szef INTESP należał kiedyś do jego przyjaciół. Nekroskop nie wyobrażał sobie nawet, że mógłby go zranić. Ale jak miał to wytłumaczyć wciąż rozwijającemu się stworowi?

Około czternastej Harry przebywał w swoim gabinecie i „nasłuchiwał”. Jednakże jego wampirze zmysły były jeszcze w powijakach — niczego nie zdołał wykryć. Chociaż właściwie... na samym skraju obszaru, jaki ogarniał swoją percepcją, coś chyba zadrgało. Cokolwiek to było, zachowało się na tyle podejrzanie, że raz jeszcze odłożył swój eksperyment na później, wcisnął na głowę szerokokresy kapelusza i wyszedł z domu, by porozmawiać ze swoją matką.

* * *

Siedział na osypującym się brzegu rzeki i wpatrywał się w płynącą leniwie wodę, która przed wielu laty stała się grobem Mary Keogh. Posłał matce swe myśli — mowę zmarłych. Poza nim nie było tutaj nikogo, mógł więc mówić na głos.

— Mamo, tonę w kłopotach.

Gdyby odpowiedziała. „Nic nowego”, nie zdziwiłby się. Wyglądało na to, że wiecznie wpadał w kłopoty. Jednakże Mary Keogh, jak każda matka, kochała swego syna i nawet śmierć tego nie zmieniła.

— Harry? — Jej głos wydawał się taki wątpy, tak odległy, jakby zniosło ją w dół rzeki, w ślad za jej ziemską powłoką. — Och, Harry. Wiem o tym, synku.

Cóż, mógł się tego spodziewać. Nie potrafił niczego ukryć przed mamą, a ona niejedną raz ostrzegła go, że są rzeczy, do których nie należy podchodzić zbyt blisko. A właśnie tak postąpił.

— Czy wiesz, o czym mówię?

— Możesz mówić tylko o jednym, synku. — Było w tym tyle smutku, tyle współczucia. — Wiedziałabym o tym, nawet gdybyś do mnie nie przyszedł. Wszyscy o tym wiemy, Harry.

Pokiwał głową.

— Już tak nie pragnę ze mną rozmawiać — powiedział, może z nutą goryczy. — A ja nigdy nikogo z nich nie skrzywdziłem.

— Harry, powinieneś spróbować to zrozumieć. Ci, którzy tworzą Ogromną Większość, kiedyś żyli, a teraz są martwi. Pamiętają czym było życie, wiedzą czym jest śmierć, ale nie rozumieją i nie akceptują tego, co leży pomiędzy. Nie

rozumieją tego, co zmienia żywych w nieumarłych, odbierając im prawdziwe życie i dając w zamian bezduszną chciwość, żądzę... i zło. Dzieci i wnuki rzesz zmarłych wciąż jeszcze — podobnie jak ty — pozostają w świecie żywych. Harry, nieistotne, od jak dawna ktoś nie żyje — i tak będzie się martwił o swoje dzieci. Ale ty, synku, o tym wiesz, prawda?

Harry westchnął. Jej głos z zaświatów mimo iż cichy i może zabarwiony nutą krytycyzmu brzmiał jak zawsze, ciepło. Niczym ciepły koc, otulał nekroskopa, dawał mu poczucie bezpieczeństwa, pozwalał myśleć i snuć plany, a nawet marzyć. Był tak obcy owej koszarnej istocie, która stała się częścią Harry'ego, że ta nie próbowała nawet go zrozumieć, lub też mu przeszkodzić. Kryła się w nim matczyzna miłość, nad wyraz kojąca.

— Rzecz w tym — odezwał się po chwili Harry — że zanim... zanim skończę ze wszystkim, jedno jeszcze muszę załatwić. To ważne, mamó. Ważne dla mnie, dla ciebie, a także dla rzesz zmarłych. Gdzieś tu grasuje potwór, którego muszę dopaść.

— Potwór, synku? — zapytała łagodnie, ale wiedział, co miała na myśli. — Jakim prawem nazywasz kogoś potworem?

— Mamó, ja nic złego nie zrobiłem — powiedział. — I dopóki będę sobą, nie zniżę się do tego.

— Harry, synku, ja mam już dość. — Nie tylko głos miała wątpy; była bardzo zmęczona. — Jesteśmy osamotnieni. Pograżamy się w myślach, stopniowo gasnąc, jak wszystko, co istnieje. Długo to trwa, ale i na nas przychodzi kres. A jeśli szarpną nami bodźce z zewnątrz, wszystko toczy się szybciej. Sądzę, że na tym właśnie to polega. Synku, ty byłeś światłem, rozjaśniającym naszą długą noc; niemal przywróciłeś nam wzrok. Teraz jednak musimy pozwolić ci odejść. Znowu pograżymy się w ciemności. Za życia zadawaliśmy sobie pytanie, czy coś jest po tamtej stronie. Okazało się, że jest; a potem ty się zjawiłeś i połączyłeś nas, dając coś na kształt życia. I teraz znowu zadaję sobie pytanie: co dalej? Chcę ci powiedzieć, że niedługo już tu zabawię. Ale nie mogłabym odejść, nie wiedząc, czy z tobą wszystko w porządku. Jakie masz plany, Harry?

Po raz pierwszy uświadomił sobie, że nie obejdzie się bez planów. Jednym prostym słowem matka przedarła się przez panujący w jego umyśle zamęt.

— Cóż, jest takie miejsce, gdzie mogę odejść — wyjaśnił w końcu. — Nic specjalnego, ale lepsze to niż śmierć... tak mi się zdaje. I jest tam ktoś, kto — jeśli zechce — nauczy mnie wiele. On też miał problemy, ale w jakiś sposób radził sobie z nimi.

Wiedziała, oczywiście, o jakim miejscu, o kim i o czym mówi.

— Ale czy to nie złowrogi świat, Harry?

— Był taki. — Wzruszył ramionami. — Może nadal jest. Ale przy najmniej nikt tam nie będzie na mnie polował. A jeśli tu zostanę, być może do tego dojdzie. Tego się boję i tego chcę uniknąć. Mamó, jestem jak zaraza w próbówce —

niegroźny, dopóki ktoś mną nie potrząśnie albo nie spróbuje rozbić szkła. W tym świecie istnieje miejsce dla owej zarazy. To, co tu jest niepojęte, tam staje się zrozumiałe. Nie aprobowane — absolutnie nie — ale i nie odrzucane.

Westchnęła.

— Cieszę się, synku, że się nie poddajesz. — W jej głosie znów pojawiło się coś z dobrze mu znanej czułości. — Jesteś wojownikiem, Harry. Zawsze nim byłeś.

— Przypuszczam, że byłem — zgodził się — ale tu już nie mogę walczyć. To tylko wyzwoliłoby tamtego. A boję się, że w końcu okazałby się silniejszy ode mnie. Trzymają mnie tu jeszcze pewne sprawy, pewien nie załatwiony interes. I tym się muszę zająć, dopóki jeszcze mam trochę czasu. Pytałaś o moje plany.

Są naprawdę proste. Kiedy w mojej głowie panuje jasność, widzę je wyraźnie, czarno na białym. Istnieje pewna dziewczyna, która zmarła straszną śmiercią, nie zasługując na to, gdyż na coś takiego nikt nie może zasłużyć. Jest też potwór, który zabił ją i jej podobne, niewinne dziewczyny. On, wbrew temu, co powiedziałem, zasługuje na taki los. Czeka mnie też długa rozmowa — wyjaśnienie, które jestem winien Darcy'emu Clarke'owi. Poza tym chciałbym zgłębić pewne zdolności, które zapewne przydadzą mi się w tamtym, nowym miejscu. To wszystko: kilka spraw do załatwienia, coś, co muszę naprawić i jedna lub dwie nowe lekcje do przerobienia. Potem nadejdzie pora, bym odszedł. Wolę odejść niż zostać przegnany.

— I nigdy nie wrócisz?

— Może wrócę, jeśli nauczę się trzymać tego stwora w ryzach. A jeśli nie... nie, nigdy.

— Jak uporasz się z tym człowiekiem, mordercą i potworem, którego ścigasz?

— Tak szybko i skutecznie, jak mi na to pozwoli. Mamo, nie masz pojęcia, do czego on jest zdolny. Mogę ci tylko obiecać, że nie splamię sobie nim rąk, jeśli będę mógł temu zaradzić. Ale zabicie go będzie uwolnieniem ciała ludzkości od raka.

— Już kilka usunąłeś, synu.

— I został jeszcze jeden. — Pokiwał głową Keogh.

— A ta dziewczyna, która nie zasłużyła na śmierć? Dziwnie to powiedziałeś, Harry.

— To dla niej całkiem nowy stan, mamo. — Harry miał świadomość, że wszedł na pole minowe; na próżno szukał na nim jakiegoś drogowskazu. — Jeszcze do niego nie przywykła. I... i nie musi się z nim oswajać. Chcę powiedzieć, że mogę jej pomóc.

— Nauczyłeś się czegoś nowego, Harry — powiedziała tak powoli, że wyczuł w jej głosie jakąś nową nutę, być może, lęk. — Nauczyłeś się tego od Janosza Ferenczego. Czuję, co to jest. Tak. I to nas od ciebie odpycha. Wszyscy to czujemy! — I nagle głos jej zaczął się łamać, drżał.

Nekroskop przeraził, spłoszył nawet swoją czułą, dobrą matkę. Odniósł wrażenie, że jeśli ją wypuści, ona odpłynie od niego i już się nie zatrzyma. Może uda się w tamto nieznane miejsce, którego istnienie czuła?

Został mu jednak jeszcze jeden atut.

— Mamo, jestem dobry czy zły? Urodziłem się dobry czy zły?

Wyczytała w jego głosie niepokój i zaraz wróciła.

— Och, byłeś dobry, synku. Jak możesz w to wątpić? Zawsze byłeś tak dobry!

— I nic się nie zmieniło, mamo. Jeszcze nie i nie stanie się to tutaj. Obiecuję ci, że nie pozwolę, by cokolwiek mnie odmieniło, nie na tym świecie. Jeśli poczuję, że tak się dzieje, że już nie mogę się bronić — odejdę.

— A jeśli przywrócisz tej dziewczynie życie, to jaka ona będzie?

— Piękna, jak była. Może nie fizycznie piękna — choć naprawdę była uroczą — ale żywa. A to właśnie jest piękno. Wiesz o tym.

— Ale jak długo, synku? Czy będzie się starzeć? Czy umrze? Czym będzie, Harry?

Nie umiał na to odpowiedzieć.

— Po prostu dziewczyną. Nie wiem.

— A jej dzieci? Czym one będą?

— Mamo, nie wiem! Wiemy tylko, że za wiele w niej życia, by miała pozostać martwa.

— Czy robisz to... dla siebie?

— Nie, tylko dla niej i dla was wszystkich.

— Nie wiem, synku. Po prostu nie wiem.

— Zaufaj mi, mamo.

— Przypuszczam, że będę musiała. Jak więc mogę ci pomóc?

Harry nie mógł się doczekać tego pytania, ale zachował dystans.

— Mamo, nie chcę cię osłabić. Mówiłaś, że jesteście zmęczeni, osamotnieni...

— Jesteśmy, ale jeśli ty możesz walczyć, ja również. Skoro umarli nie chcą z tobą rozmawiać, może ze mną spróbują? Dopóki jeszcze mogą.

Ruchem głowy wyraził swą wdzięczność.

— Przed Penny Sanderson zamordował inne dziewczyny — powiedział po chwili. — Ich nazwiska znam z gazet, muszę jednak wiedzieć, gdzie je pogrzebano. Potrzebuję też wprowadzenia. Widzisz, strasznie je skrzywdzono i prawdopodobnie nie zaufają komuś takiemu jak ja, kto może je dotknąć, pozostając po tej stronie. Ten, który je zabił, też to potrafił. Pragnę z nimi porozmawiać, nie chcę jednak wzbudzić w nich jeszcze większego przerażenia. Widzisz więc, że bez twojej pomocy byłoby to trudne.

— Chcesz więc dowiedzieć się, na jakich cmentarzach spoczywają?

— Tak. Prawdopodobnie sam bym to odkrył bez większego trudu, ale mam na głowie tyle spraw, które mogłyby mi w tym przeszkodzić. A czas ucieka.

— W porządku, Harry. Zrobię, co w mojej mocy. Nie chciałabym jednak znów cię szukać, lepiej byłaby więc, gdybyś ty do mnie przyszedł. Dzięki temu ja. . . — Umilkła, urwała nagle.

— Mamo?

— Nie czułeś tego, synku? Ja zawsze czuję, kiedy się zbliżają.

— Co to było?

— Ktoś dołączył do nas — odparła ze smutkiem. Ktoś umiera. A właściwie, coś.

Mary Keogh i za życia była medium, po śmierci zaś ów kontakt z umarłymi jeszcze się pogłębił.

— Coś? — powtórzył za nią.

— Piesek, szczeniak; wypadek — westchnęła. — Jakieś biedne dziecko. Złamane serce. W Bonnyrigg. Właśnie w tej chwili.

Nekroskop poczuł, że i jego serce zadrżało. Tak wiele w swym życiu utracił, iż sama myśl o najmniejszej nawet stracie, dotykającej kogoś innego, sprawiała mu ból. Może też wpłynął na niego sposób, w jaki matka zareagowała na to zdarzenie — ów smutek w jej głosie? Mogła tu zadziałać jego wyostrzona obecnie wrażliwość. Może miał szansę przynieść komuś pociechę?

— Powiedziałaś: Bonnyrigg? Mamo, muszę teraz odejść. Odwiedzę cię jutro. Może zdążysz się już czegoś dowiedzieć.

— Uważaj na siebie, synku.

Harry wstał, popatrzył w górę rzeki. Z ulgą przyjął fakt, że jasne słońce skryło się za wełnistymi chmurami. Przeszedł przez płot i schronił się w niewielkim zagajniku. Tam, pośród zieleni, wywołał drzwi Möbiusa. W chwilę później pojawił się w jednym z zaułków, nie opodal głównej ulicy Bonnyrigg. Niczym wachlarz albo pajęczynę, rozpostarł wokół siebie swą wrażliwość na mowę zmarłych, szukając tego, który właśnie włączył się w ich szeregi.

Skowyt, zawierający w sobie panikę i ból sprzed kilku chwil, a także zdumienie, iż ów ból ustąpił, a jasny dzień tak nagle przerodził się w najczarniejszą z nocy — oto jak zwierzę odbierało swoją śmierć.

Harry doskonale rozumiał owe doznania; podobnie reagowały istoty ludzkie. Różnica tkwiła jedynie w tym, że psy nigdy nie przeczuwają śmierci i nie zaprzątają sobie nią łba, o tyle więc większą jest dla nich niespodzianką. Pies, uderzony bez powodu, cofa się z takim samym zdumieniem, z takim samym niedowierzaniem.

Licząc na to, że nikt go nie zauważył, nekroskop wrócił do kontinuum Möbiusa, po czym — śladem psich myśli — udał się do źródła: na skrzyżowanie, gdzie główna ulica skręcała, przechodząc w drogę do Edynburga. Był dzień roboczy i niewielu ludzi krążyło po miasteczku, a garstka, która zebrała się na miejscu wypadku, nie zauważyła, że gdzieś z tyłu pojawił się Harry Keogh. Z miejsca dostrzegł długi, ciemny ślad, po poślizgu, wryty w nawierzchni.

Teraz, kiedy szczeniak niemal pojął, że nie znajdzie drogi wyjścia z tej nowej sytuacji, dał upust swojej rozpacz. Stracił czucie, kontakt ze światem; znikło gdzieś światło. Gdzie jego bóg, jego młody pan?

— Ćśś — uciszył go Harry. — Już dobrze, malutki. Wszystko gra.

Nekroskop wysunął się przed gapiów i zobaczył klęczącego w rynsztoku chłopca o policzkach mokrych od łez. Malec trzymał w ramionach martwego szczeniaka. Pies miał wybitą łopatkę i pokrzywiony kręgosłup. Prawa przednia łapa zwisała bezwładnie. Ze zmiażdżonej czaszki wyciekał przez rozdarte ucho płyn mózgowy. Harry ukląkł, objął chłopca i pogładził martwe zwierzę.

— Ćśś, malutki — uspokajał jednego i drugiego.

Rozpaczliwy pisk szczeniaka przeszedł w ciche skomlenie. Piesek czuł Harry'ego. Chłopca jednak nie sposób było pocieszyć.

— On nie żyje! — szlochał. — Nie żyje! Paddy nie żyje! Dlaczego samochód potrafił jego, a nie mnie? Dlaczego się nie zatrzymał?

— Gdzie mieszkasz, synku? — zapytał Harry.

Ośmio — czy dziewięcioletni blondynek popatrzył na niego przez łzy.

— Tam, w dole. — Obojętnie skinął głową w prawo. — Pod siódmym. Obaj tam mieszkamy, Paddy i ja.

Harry delikatnie wziął psa na ręce i wstał.

— Chodźmy więc do domu — powiedział.

Tłumek rozstał się przed nimi.

— Co za wstyd. — Usłyszał Harry. — Jaki straszny wstyd!

Kiedy skręcali w wąską, opustoszałą uliczkę, chłopiec chwycił nekroskopa za ramię.

— Paddy nie żyje! — zawołał.

Był martwy, ale... czy naprawdę musiał pozostać w tym stanie?

— Chyba nie musisz, Paddy? — wyszeptał Keogh.

Odpowiedź, która nadeszła z tamtej strony, nie zabrzmiała jak szczeknięcie czy słowo, ale niewątpliwie była znakiem aprobaty. Psy zwykle zgadzają się ze swymi przyjaciółmi i raczej rzadko sprzeciwiają się panu. Harry wprowadzie nie był ukochanym panem Paddy'ego, ale na pewno stał się jego nowym przyjacielem.

Decyzja zapadła błyskawicznie.

Doszli do ogródka pod numerem siódmym. Keogh popatrzył na malca.

— Jak masz na imię, synku? — spytał.

— Peter — wykrztusił mały przez łzy.

— Peter, ja... — Harry zatrzymał się nagle. Odgrywając swą rolę najlepiej, jak potrafił, zerknął na szczeniaka, którego trzymał w ramionach. — Mam wrażenie, że się poruszył!

Chłopiec rozdziawił usta.

— Paddy się poruszył? Ale jest ciężko ranny!

— Synku, jestem weterynarzem — skłamał Harry. — Może uda mi się go uratować. Biegnij szybko i powiedz rodzicom, co się wydarzyło, a ja zabiorę Paddy'ego do ambulatorium. I cokolwiek się stanie, skontaktuję się z tobą, kiedy już będę wiedział, co z pieskiem — czy dobrze, czy źle. Okay?

— Ale...

— Nie trać czasu, Peter — ponaglił go nekroskop. — Chodzi o życie Paddy'ego, racja?

Chłopiec wstrzymał łzy, kiwnął głową i przebiegł przez furtkę, a kiedy już na dobre zniknął w ogródku, Harry wywołał drzwi Möbiusa. Po chwili matka Petera, załamując ręce, wypadła z domu — byle tylko złapać owego weterynarza — Harry jednak znajdował się pod całkiem innym adresem...

* * *

Żyjący przyjaciele nekroskopa nie stanowili może zbyt licznej grupy, ale był pośród nich stary garncarz z Pentlands, który dysponował własnymi piecami. Kiedy Harry wręczył Paddy'ego Hamishowi McCullochowi, prosząc o spalenie go, piesek, rzecz jasna, już nie żył.

— Jestem gotów dać ci dwie dychy, Hamish, jeśli zamienisz go w popiół — powiedział Keogh. — To nie dla mnie, ale dla jego pana, chłopca o złamanym sercu. Zapłacę ci też za jeden z twoich garnków. Złożymy w nim prochy.

— Sądzę, że da się to załatwić, Harry — zgodził się stary Szkot. — Jeszcze jedno. Uważaj, jak będziesz go zbierał. Chłopiec chce go mieć w całości, jasne?

— Skoro tak mówisz. — Szkot skinął głową.

Cały zabieg trwał pięć godzin, ale Harry czekał cierpliwie i spokojnie, nie tracąc panowania nad sobą. Znów był starym Harrym Keoghem i, choć niewiele zostało mu już czasu, na to, co teraz robił, musiało go wystarczyć.

Służyło to przecież i wyższym celom. Stanowiło próbę czegoś większego. Szansę na wykrycie ewentualnych... zniekształceń. Wszak mózg Trevora Jordana też wstał zmiażdżony, a ciało Penny Sanderson poszarpane.

* * *

O dwudziestej drugiej Harry znajdował się w przestronnej, zakurzonej piwnicy swego starego domu, o jakąś milę od Bonnyrigg. Posprzątał, najlepiej jak potrafił, a środek kamiennej posadzki wyszorował tak, że niemal lśnił jak szkło. Stary Hamish przed spaleniem szczeniaka podał mu jego dokładną wagę, tak że nawet skąpa wiedza matematyczna pozwoliłaby Harry'emu na odmierzenie funt po funcie niezbędnych składników. A jego wiedzy nikt nie nazwałby skąpą...

Wreszcie na wyszorowanej podłodze pojawił się mały kopczyk, usypany z popiołów i chemikaliów. Harry tym razem nie tracił czasu na sprawdzenie, czy jego osobista pchła psychiczna znów zaczęła skakać; tym razem martwił się nie o siebie, a o chłopczyka, który miał przed sobą ciężką noc.

Teraz, kiedy już wszystko było gotowe, wydało mu się to śmiesznie łatwe. Zastanawiał się, czy rzeczywiście dostatecznie przygotował się. A może o czymś zapomniał? Czy ta niesamowita formuła ezoteryczna, jaką wydobył z trzewi zrujnowanego zamku Janosza Ferenczego — owo zaklęcie z najkoszmarniejszych eonów naprawdę mogła wskrzesić...? A skoro tak, czyż nie był to akt bluźnierczy?

Z drugiej strony, nie musiał się jednak tym trapić. Jeżeli działania jego zasługiwałyby na klątwę, dawno już zostałyby wyklęty. Czyściec ma w sobie coś z nieskończoności: jeśli skazuje na wieczne cierpienia, nie można już przedłużyć kary.

I znów argumenty ganiały się w koło, wirowały pod czaszką. Nagle „pojął”, że to tkwiący w nim wampir stara się go ogłupić. Zareagował więc i zerwał te więzy. Kierując wyciągnięty sztywno palec i swe myśli ku owemu kopcowi popiołów, wymówił słowa i zaklęcia:

— Y AI NG NGAH
YOG SOTHOTH
H EE L GEB
FLAI THRODOG
UAAAH

Jakby przytknął zapaloną zapałkę do stosu łatwopalnych materiałów... Pojawiło się oślepiające światło, kolorowy dym i odór, lekko kojarzący się z siarką. A potem rozległ się pisk!

Paddy, wskrzeszony z popiołów, wybiegł chwiejnie z rozpraszającej się chmury gazów i oparów. Położył uszy po sobie, ogonek zwisał mu luźno. Drżał i kolebał się na gumowych nogach, ledwie utrzymujących ciężar ciała. Wizyta w zaświatach, gdzie nikt nie ma zewnętrznej powłoki trwała krótko, ale zwierzęce łapki zdążyły już odwyknąć od biegania.

— Paddy — szepnął nekroskop przyklękając. — Paddy, piesku, tutaj!

Szczeniak znów upadł, ale podniósł się. Raz jeszcze się zachwiał, tracąc równowagę. Podbiegł do Harry’ego. Krótkonogi, łaciaty, o kłapciastych uszach; prawdziwy kundelek — i naprawdę żywy!

— Paddy — powtórzył nekroskop. Tym razem użył mowy zmarłych. Nie doczekał się odpowiedzi.

Paddy żył. Naprawdę.

* * *

W pół godziny później Harry dostarczył Paddy'ego do Bonnyrigg, do schludnego domku z tarasem, oznaczonego numerem siódmym. Nie zamierzał zabawić tam długo. Gdyby tylko mógł, ulotniłby się natychmiast, jednakże pragnął się czegoś dowiedzieć o Paddym, o jego charakterze i czy rzeczywiście był to ten sam pies.

Wyglądało na to, że tak. Przynajmniej Peter tak myślał. Pan Paddy'ego powinien już spać, uparł się jednak, że musi czekać na wiadomość od „weterynarza”. Powrót szczeniaka i jemu wydał się cudem, choć prawdziwą skalę tego incydentu znał tylko nekroskop.

Ojciec Petera był wysoki i szczupły, nieskory do uśmiechu, ale sympatyczny.

— Chłopiec opowiadał, że zdawało się mu, iż Paddy nie żyje — powiedział, nalewając Harry'emu solidną porcję whisky. — Połamane kości, krew i mózg wyciekający z ucha, rozwalony kręgosłup. Zmartwiło nas to. Peter kocha tego szczeniaka.

— Wyglądało to o wiele gorzej, niż było w istocie — odparł Harry. — Szczeniak stracił przytomność i jego kończyny zwiotczały. Pokaleczył się trochę, stąd krew, a to zawsze wygląda fatalnie. Zakrztusił się też śliną. Generalnie, przeżył szok.

— A jego łopatki? — zapytał tamten. — Peter twierdził, iż były złamane.

— Wybite — wyjaśnił Harry. — Nastawiliśmy je i wszystko wróciło do normy.

— Jesteśmy panu wdzięczni.

— W porządku.

— Ile jesteście winni?

— Nic — odrzekł Keogh.

— To bardzo miło z pana. . .

— Chciałem się tylko upewnić, że Paddy wrócił do siebie — powiedział nekroskop. — To znaczy, czy wstrząs nie odmienił jego osobowości? Zdaniem państwa, zachowuje się tak samo, jak zawsze?

Z sypialni Petera dochodziły piski, szczekanie i śmiech.

— Bawią się. — Matka Petera podniosła głowę i uśmiechnęła się ze zrozumieniem. — Nie powinni, ale dziś zrobimy wyjątek. Tak, panie. . . ?

— Keogh — odpowiedział Harry.

— Tak, Paddy nic się nie zmienił.

Ojciec Petera odprowadził Harry'ego do furki, raz jeszcze mu podziękował i pożegnał się.

— Cóż za niezwykle uczynny, miły człowiek. W jego oczach było tyle uczucia! — powiedziała żona, kiedy wrócił do domu.

— Hmm? — Wyglądał na zadumanego.

— Nie sądzisz?
— O tak, pewnie. Ale...
— Ale? Nie spodobał ci się? Czy człowiek, który nie przyjmuje zapłaty za dobrze wykonaną robotę, musi być zaraz podejrzany?
— Nie, nie. To nie to. Ale jego oczy...
— Pełne uczucia, prawda?
— Czyżby? Tam przy furtce, w ciemności, kiedy na mnie spojrział...
— Tak?
— Nie, nic — stwierdził jednak ojciec Petera, potrząsając głową. Gra światła i tyle...

* * *

Harry wrócił do domu, czuł się wspaniale. Czuł się tak po raz pierwszy od owego dnia w Grecji, kiedy przywrócono mu dar mowy zmarłych i wiedzę o liczbach.

Usiadł w fotelu i zaczął rozmowę z... urną, stojącą w mrocznym kącie gabinetu. A raczej — wyglądało na to, że z kimś ukrytym wewnątrz niej, jako że urny głosu nie mają.

— Trevor, byłeś telepatą, i to dobrym. Zatem nadal nim jesteś. Wiem, że słuchasz mnie, nawet gdy do ciebie nie mówię. Słuchasz moich myśli. A zatem... wiesz, co dzisiaj zrobiłem, tak?

— Nic na to nie poradzę, że jestem tym, kim jestem — odparł Trevor Jordan. „Dech” mu zapało z podniecenia. — Podobnie jak ty. Tak, wiem, co zrobiłeś — i co zamierzasz zrobić. Jeszcze nie mogę w to uwierzyć... Sądzę, że nawet jeśli to się stanie, długo nie będę mógł się z tym oswoić. To jest jak cudowny sen, z którego nie chcę się obudzić. Chyba że istnieje szansa, że jawa okaże się jeszcze cudowniejsza. Dotąd nie miałem nadziei, żadnej, a teraz jest...

— Ale poznałeś chyba moje intencje?

— To, że ktoś chce coś zrobić, nie oznacza, że potrafi — odpowiedział Jordan. — Teraz jednak po tej historii z psem...

— Pomiędzy psem a człowiekiem jest jednak pewna różnica. Nie zyskamy pewności... dopóki się nie upewnimy.

— Czy mam coś do stracenia?

— Sądzę, że nie — odrzekł Keogh.

— Harry, będę gotów. Już jestem gotów!

— Trevor, przed sekundą stwierdziłeś, że podobnie jak ja nic nie poradzisz na to, iż jesteś tym, kim jesteś. Czy chciałeś przez to po wiedzieć coś więcej? Chyba wiele wyczytałeś w moim umyśle?

Chwilę poczekał na odpowiedź.

— Harry, nie będę cię okłamywał. Wiem, co ci się przydarzyło i czym się stajesz. Nawet nie masz pojęcia, jak mi przykro.

— Wkrótce to całe cholerne stado szczurów wpadnie na mój trop.

— Wiem. Wiem też, co uczynisz i dokąd się udasz.

Harry skinął głową.

— To dziwne i złowrogie miejsce. Prawdopodobnie przyda mi się każda pomoc.

— Czy jest coś, co mogę dla ciebie zrobić? Pewnie niewiele. Nie tu, gdzie teraz jestem.

— Obecnie nie — stwierdził Harry. Moglibyśmy załatwić to od razu. Ale nie chcę korzystać z sytuacji. Jeśli wszystko się uda, będzie jeszcze dość czasu. Ale i wtedy — zwłaszcza wtedy — decyzja będzie należała do ciebie.

— Zatem... — kiedy? — Jordan znów tracił „dech”.

— Jutro.

— Jezu!

— Nie mów tak! — zgromił go nekroskop. — Przeklinaj, ile chcesz, ale uważaj, kogo wzywasz... .

Później rozmawiali o wielu sprawach i wspominali stare dzieje. Szkoda, że brakowało dobrych reminiscencji. O tak, tamte sprawy same w sobie były złe jak diabli.

— Harry, wiesz; że Paxton wciąż cię obserwuje? — odezwał się po krótkiej przerwie Jordan. Już wcześniej zwrócił uwagę nekroskopa na tamtego szpicla. Harry pamiętał o tym. Po ostrzeżeniu, jakie otrzymał przed tygodniem, coraz częściej odzywała się jego intuicja, a zwłaszcza kiedy zbliżał się ów telepata.

W pierwszej chwili instynkt podszeptał Harry’emu, że powinien rozwiązać ten problem, odwołując się do talentu, jaki otrzymał w spadku po Haroldzie Wellesleyu, byłym szefie INTESP, który popełnił samobójstwo, kiedy wyszło na jaw, że jest podwójnym agentem. Talent Wellesleya należał do tych negatywnych; jego umysł był szczelniejszy niż sejfy bankowe, dosłownie — nieprzenikniony. Wydawało się, że czyni go to idealnym kandydatem na szefa brytyjskiego wywiadu paranormalnego. Wydawało się. Jako zadośćuczynienie, przekazał ów dar Harry’emu.

Ale talent Wellesleya okazał się też bronią obosieczną: jeśli zatrzaśniał drzwi przed wrogami, zamykał też swoich przyjaciół. A jeśli, będąc w głębokiej grocie, gasił świecę, wszyscy ślepli. Harry wolał światło, wolał wiedzieć, że Paxton się czai, i wiedzieć, co knuje.

Poza tym podtrzymywanie takiej osłony było dość wyczerpujące. Energię, każdą energię, należało skądś czerpać, a przez nieustannie narastający stres moc nekroskopa coraz bardziej słabła. W kwestii pilnowania szpicla Harry musiał więc polegać na swej intuicji i na rozrastającej się inteligencji tkwiącego w nim stwora, na jego potęgujących się zdolnościach. A te stopniowo zmierzały ku czemuś na

kształt telepatii — telepatii i innych form postrzegania pozazmysłowego. Nekroskop pragnął wykorzystać więc talent Jordana, jako „dodatkową opcję”.

Esper to też usłyszał.

— Harry, nie ma sprawy. Wiem, że się zmieniłeś. Bierz go, jeśli tylko chcesz. Prędeż czy później. . . spróbujesz mnie nim dotknąć, ale to nieważne. Nie zmienię zdania. Pewien jestem, że użyjesz go po to, by się bronić, a nie, by nas zranić.

— Nas?

— Ludzi, Harry. Wątpię, w to, że mógłbyś zranić człowieka.

— Chciałbym być pewny. Sęk w tym, że to już wkrótce zacznę myśleć inaczej.

— Musisz więc realizować swój plan. Kiedy poczujesz, że to się zbliża, albo kiedy okoliczności zmuszą cię do obrony lub uników — wiesz stąd.

— Wgnany z mego własnego świata? — warknął nekroskop.

— Albo to, albo wpuścisz Dżina z butelki.

— Walisz prosto z mostu, Trevor.

— Czy nie po to są przyjaciele?

— Ale na swój sposób, to ty jesteś Dżinem w butelce, nie? — Wampir Harry’ego znów dawał znać o sobie, prowokował kłótnię. Wszystko jedno, o co. Jordan nie czuł jego aktywności, ale na wszelki wypadek starał się utrzymać lekki ton tej rozmowy.

— Może to właśnie stanowi źródło owych starych legend islamu, co? Człowiek obdarzony Mocą, który zna magiczne zaklęcie, wywołuje z prochu, zawartego w butelce, potężnego niewolnika. Jak brzmi twoje życzenie, o Panie?

— Może życzenie? — Głos Harry’ego stał się ponury i zimny. — Czasami żałuję jak cholera, że się w ogóle urodziłem. Życzyłbym sobie, żeby nigdy do tego nie doszło!

Jordan wyczuł dwoistość Harry’ego — owe dziwne przypiływy, rządzące krwią i podmywające brzeg jego woli; ową grozę, która nawet teraz rzucała wyzwanie jego człowieczeństwu i której żądania rosły z dnia na dzień, z godziny na godzinę.

— Jesteś zmęczony, Harry. Może powinieneś się nieco rozluźnić? Prześpij się.

— W nocy? — zaśmiał się nekroskop, drwiąco i pośepnie. — To wbrew mej naturze, Trevor.

— Musisz z nią walczyć.

— Walczę z nim! — warknął jeszcze głośniejszym głosem Harry. — Wszystko, co robię, jest częścią owej walki.

Jordan milczał.

— Może. . . może powinniśmy zrobić przerwę? — zapytał po chwili.

Głos mu drżał. Harry czuł jego strach, czuł przerażenie umarłego.

„O Boże! Już nawet umarli się mnie boją” — szepnęła w najgłębszym zakamarku swej jaźni, do którego nawet Trevor nie miał dostępu.

Poderwał się raptownie, z takim impetem, że omal nie przewrócił fotela. Przez wąziutką szczelinę u zbiegu zasłon wyjrzał w noc, popatrzył na drugi brzeg rzeki. Akurat w tej samej chwili ktoś kryjący się tam, między drzewami, zapalił zapalniczkę. Ogień widoczny był zaledwie przez sekundę, zaraz jakaś dłoń osłoniła go przed wiatrem. Później dostrzegł jedynie żółty poblask, intensywniejący, kiedy obserwator zaciągnął się głęboko dymem z papierosa.

— Drań znów się czai — rzekł Harry do siebie.

Można przyjąć, że powiedział to do siebie, gdyż Jordan za bardzo był przerażony, by zdobyć się na odpowiedź...

ROZDZIAŁ PIĄTY

Wskrzeszeni

O północy Harry przywołał talent Wellesleya. Wymknął się do ogrodu i pobiegł ścieżką, aż pod mur, gdzie na zardzewiałych zawiasach trzymała się jeszcze stara furтка. Noc była mu życzliwa i wtopił się w nią niczym kot, aż nie pozostał po nim żaden ślad.

Spoglądając przez szczelinę w bramie, pomimo mroku widział wyraźnie nieruchomą sylwetkę, ukrytą między drzewami: tę pchłę psychiczną, Paxtona.

— Paxton. . .

To nazwisko, niby trucizna, paliło jego wargi i umysł. . . jego umysł, a może i owego stwora, który był teraz rozrastającą się szybko częścią jego ciała. Wampir Harry'ego również widział zagrożenie, tyle że on inaczej rozwiązałby ten problem. Gdyby mu na to pozwolić.

— Paxton — wysapał nekroskop w zimne, nocne powietrze, a jego oddech zmienił się w mgłę, która popłynęła nad ścieżką. Ciemna, wampirza natura była już tak silna, nieomal nim zawładnęła. . .

— Nie słyszysz mnie, draniu? — Wydychana przezeń mgła przecisnęła się pod furtką, przesunęła nad zarośniętą dróżką i chaszczami, rozpostarła się nad spokojną wodą. — Nie łapiesz mnie? Nawet nie wiesz, że tu jestem.

Nagle, bez żadnej wyraźnej przyczyny, w mózgu Harry'ego zaszemrał niesamowity głos, którego nie sposób było pomylić z żadnym innym — głos Faethora Ferenczego.

— Kiedy czujesz, że jest blisko, nie zamykaj się, ale znajdź go! Wchodzi w twój umysł? Ty wejdź w jego! Spodziewa się, że okażesz lęk? Pokaż, że jesteś odważny! A kiedy rozdziawi szczęki, wejdź w nie — wewnątrz jest miękki!

Rozległ się potworny głos, ale pochodzić musiał z pamięci Harry'ego. Talent Wellesleya nie dopuściłby do żadnej ingerencji z zewnątrz. Zresztą Faethor przepadł tam, gdzie nie dosięgnie go żaden człowiek; na zawsze zagubił się w przyszłości.

„Ojciec” wampirów miał wówczas na myśli syna swej krwi, Janosza, ale nekroskop doszedł do wniosku, że te same metody przydadzą się tu i teraz. A może

to jego wampirzy rdzeń tak uważał? Paxton zjawił się tu, by dowieść, że Harry jest wampirem. Nekroskop był wampirem; temu nie mógłby zaprzeczyć. Czy jednak miał biernie czekać na konsekwencje raportów owej pchły? Palił się do tego, by choć trochę wyrównać rachunki i dać temu szpiclowi coś do myślenia.

Nie, nie zamierzał się „podrapać”, gdyż stanowiłoby to koronny dowód, wypychający go jeszcze głębiej pod i tak już niezycziwą lupę, grożący nieustanną kontrolą ze strony większych pcheł, których ukąszenia mogły się okazać fatalne w skutkach. Poza tym przekonał siebie, że to byłoby morderstwo.

Sama myśl o tym przywoływała krwawe wizje. Pragnął zdecydowanie odrzucić intencje tego stwora.

Odsunął się od furty w starym kamiennym murze, wywołał drzwi i przeszedł przez nie do kontinuum Möbiusa. . . po czym wyszedł na drogę, biegnącą równoległe do drugiego brzegu rzeki. Nikogo nie zauważył. Niebo zasnuło się chmurami. Poprzez rzędy drzew widział rzekę, ołowianą wstęgę niknącą beztrąsko w oddali.

Samochód Paxtona stał na skraju drogi, pod zwisającymi nisko gałęziami. Nowy model, dość kosztowny. Lakier połyskiwał w mroku, drzwiczki były zamknięte, a okna dokładnie zasunięte. Wóz przechylał się nieco w dół wzgórza, ku obmurowanemu zakrętowi, gdzie boczna droga dochodziła do głównej trasy, wiodącej do Bonnyrigg.

Harry zszedł z podziurawionej nawierzchni, minął samochód i schronił się wśród drzew. Mgła nie odstępowała go ani na moment. Nie mogła, gdyż to on stanowił jej źródło i katalizator. Uwalniała się z ziemi, po której szedł; odrywała się od jego ciemnego ubrania; uchodziła z jego ust niczym oddech. Poruszał się cicho, płynnie, a jego stopy same nieomylnie znajdowały miękkie grunty, omijając kruche, zdradliwe gałązki. Czuł, że jego „sublokator” pręży mięśnie i mocniej wpija się w jego wolę.

Potwór miał wspaniałą okazję, by dowieść swej władzy — by raz na zawsze przejąć kontrolę i zmusić go do dokonania tego, co zamknie przed nim wszystkie drzwi.

Do tej pory Harry w miarę panował nad swoją gorączką. Gniew objawiał się gwałtowniej, a przygnębienie daleko intensywniej, wybuchy radości równały się euforii, ale mimo to nie odczuwał dotąd niepokonanej żądz, przymusu, którego nie umiałby zwalczyć. Teraz przyszła ta chwila. Miał wrażenie, że Paxton uosabiał wszystko, co w jego życiu poszło nie tak — że był robakiem toczącym i tak niedoskonały świat.

Mgła wyprzedziła Harry’ego. Poderwała się z brzegu rzeki, wypełzła spośród pni wyrastających z wilgotnej ziemi i oplótła wirującymi mackami stopy Paxtona. Telepata siedział na pniaku, tuż nad wodą, wpatrzony w ciemną bryłę domu za rzeką i światło, sączące się z okna na piętrze. Harry specjalnie je tam zostawił.

Nekroskop nie widział jednak wyrazu twarzy Paxtona, owej mieszaniny niepokoju i niezadowolenia, wywołanego tym, że telepata utracił kontakt z aurą swej ofiary. Esper podejrzewał, że Harry wciąż jest w domu, ale pomimo całej swej koncentracji nie mógł go złapać. Nie potrafił wychwycić nic, co choćby w najdrobniejszym stopniu pozwoliłoby dotknąć Keogha. Oczywiście, mogło to nic nie znaczyć. Dzięki swym talentom nekroskop był w stanie przenieść się dosłownie wszędzie. Ale mogło to też sugerować bardzo wiele. Mało kto wymykał się o północy, znikając z oczu zarówno zwykłym ludziom, jak i telepatom. Keogh mógł szykować coś poważnego.

Paxton zadrżał, jakby zobaczył ducha. To, oczywiście, tylko stare powiedzonko; przez moment czuł jednak, że coś go dotyka, tak jakby znał wody nadleciała jakaś niewidzialna istota i stała teraz obok niego na cichym, spowitym w mgłę brzegu. „Spowitym w mgłę?” — pomyślał z niepokojem. — „A skąd się wzięła, do diabła?”

Wstał, popatrzył w bok i zaczął się odwracać. Harry, oddalony o niespełna pięć kroków, zniknął cicho w mroku. Paxton powoli obrócił się o trzysta sześćdziesiąt stopni, znów zadygotał, niepewnie wzruszył ramionami i znów zaczął obserwować dom za rzeką. Sięgnął po płaszcz i wydobyl piersiówkę w skórzanym etui. Przechylił ją i pociągnął tęgi łyk mocnego alkoholu.

Przyglądając się esperowi opróżniającemu flaszkę Harry czuł, że wzbiera w nim coś niepokojącego. Coś wielkiego, może nawet większego niż on sam. Przesunął się do przodu, stanął za nie podejrzewającym niczego telepatą. Mógłby teraz zabawić się trochę, opuścić osłonę Wellesleya i posłać swe myśli prosto w potylicę Paxtona. Esper z pewnością wskoczyłby prosto do rzeki!

A może odwróciłby się powoli i zobaczyłby, że Harry stoi tuż za nim, wpatrując się w niego, przenikając wzrokiem jego roztrzęsioną, rozdygotaną duszę? I gdyby jeszcze Paxton zaczął krzyczeć. . .

Rękami Harry'ego zawładnęła ciemna, obca, rozdęta przez nienawiść istota. Już wyciągała je ku karkowi Paxtona. Opanowała też serce, oczy i twarz nekroskopa. Czuł, jak odciąga mu wargi, ukazując zaślinione zęby. Bez trudu mógłby porwać espera do kontinuum Möbiusa i . . . i tam z nim skończyć. Tam, gdzie nikt by go nie znalazł.

Wystarczyło tylko zacisnąć ręce. . .

— Achhh!

Stwór, tkwiący we wnętrzu Harry'ego, opiewał teraz niezwykle doznania, które mógłby mu ofiarować. Nekroskop z drzeniem przyjmował tę wiedzę, ten bezdźwięczny krzyk, przepełniający najgłębsze zakamarki jego jaźni.

— Wampir! Wam. . .

. . . Paxton odciągnął rękaw płaszcza i spojrział na zegarek. To wystarczyło; ten ruch był tak naturalny, tak zwyczajny, tak bardzo z tego świata, że ów czar rodem z innego poziomu rzeczywistości przysnął bez śladu. Harry poczuł się tak, jak

onizujący się z zapalem dwunastolatek, któremu w ostatniej chwili przeszkodził pukający w drzwi łazienki wujek. Odsunął się od Paxtona, otworzył drzwi Möbiusa i niemal przetoczył się przez próg. Dopiero teraz esper wyczuł, że coś się dzieje, i spojrzął za siebie...

... Ale zobaczył jedynie kłęb mgły.

* * *

Skapany w swym własnym pocie nekroskop opuścił kontinuum Möbiusa i zajął miejsce na tylnym siedzeniu samochodu Paxtona. Pozostał tam, dygocząc i wymiotując na podłogę, aż wywalił z siebie ów koszmar. Później spojrzął na własne cuchnące rzygowiny i poczuł, że znów wzbiera w nim złość. Złość do samego siebie.

Wyruszył, by dać esperowi nauczkę, a omal go nie zabił. Pięknie to świadczyło o tym, jak panował nad owym stworem, który przecież był jeszcze... noworodkiem. Niemowlakiem? Zastanawiał się, na cóż będzie mógł liczyć, kiedy ów potwór dorośnie.

A Paxton wciąż jeszcze siedział na brzegu, ze swymi myślami, papierosami i whisky. Prawdopodobnie miał zamiar pojawić się tam i jutro, i pojutrze. I tak aż do dnia, kiedy Harry popełni błąd i się odsłoni. O ile już tego nie zrobił.

— Pieprzyć go! — powiedział z goryczą nekroskop. — Tak, rznąć go, walić tego drania! Lepsze to, niż go zabić.

Przeleżał na przednie siedzenie, zwolnił hamulec i poczuł, że koła zaczynają się obracać. Samochód ruszył. Harry wyprowadził go na drogę i pozwolił, by resztą zajęła się grawitacja. Staczając się po pochyłości, wóz nabierał rozpędu.

Harry dodawał gazu, aż wnętrze auta wypełnił intensywny zapach benzyny. Ćwierć mili później samochód jechał już z prędkością dwudziestu pięciu czy trzydziestu mil. Zakręt był coraz bliżej, tak samo pas trawy i wysoki kamienny mur. Harry puścił wreszcie kierownicę, wywołał na sąsiednim siedzeniu drzwi Möbiusa i wślizgnął się w nie.

W dwie sekundy później samochód Paxtona przejechał po trawie, wbił się w mur i wybuchł niczym bomba!

Akurat wtedy wracający znak rzeki esper obrzucił zdziwionym spojrzeniem miejsce, gdzie zaparkował wóz. Usłyszał huk eksplozji. Nad zakrętem podniosła się ognista chmura.

— Co...? — wyjąkał. — Co?

W owym czasie Harry znajdował się już w domu, wykręcał numer 999. Wywołał centralę w Bonnyrigg, która połączyła go z posterunkiem.

— Policja. Czym możemy służyć? — zapytał ktoś, ciężko akcentując słowa.

— Na bocznej drodze do starej posiadłości koło Bonnyrigg zapalił się samochód — wysapał Harry, po czym dokładniej określił miejsce. — Jest tam też człowiek, który pociąga z piersiówki i grzeje się przy ogniu.

— Przepraszam, kto mówi? — Głos zrobił się władczy, czujny i bardzo oficjalny.

— Nie mogę czekać — powiedział Harry. — Muszę zobaczyć, czy nie ma tam rannych. — Odłożył słuchawkę.

Siedząc na piętrze, w oknie sypialni, przypatrywał się coraz jaśniejszym płomieniom. W dziesięć minut później zobaczył, jak nadjeżdża wóz strażacki, eskortowany przez policję. Przez jakiś czas słychać było wycie syren, a snop płomieni otoczyły światła aut, migoczące błękitnie i pomarańczowo. Potem ogień zgasł, syreny ucichły i wóz policyjny odjechał... bogatszy o pasażera.

Harry ucieszyłby się z tego, że owym pasażerem był Paxton, zaklinający się, że jest niewinny, i zionący oparami whisky w twarze policjantów. Ale nie przekonał się o tym, gdyż poszedł spać. Nie zastanawiał się, czy wypoczynek nocny jest zgodny z jego charakterem, czy też nie. Trevor miał rację...

* * *

Żar wschodzącego słońca wyгнаł Harry'ego z łóżka. Wzeszło za rzeką, wkra-
dło się przez okno i palącym promieniem dotknęło jego lewej ręki. Przysnęło mu się, że wsadził ją do któregoś z pieców Hamisha McCullocha. Zbudziwszy się, stwierdził z ulgą, że to tylko jaskrawożółte światło zalało pokój.

Na śniadanie zrobił sobie kawę, tylko kawę, a potem zszedł do chłodnej piwnicy. Nie miał pojęcia, ile czasu mu jeszcze zostało może to była kwestia „teraz albo nigdy”? Zresztą obiecał Trevorowi Jordanowi, że to będzie ten dzień. Urny Penny i Jordana czekały już na dole, podobnie jak preparaty, które zabrał z zamku Ferenczego.

— Trevor — powiedział, ważąc i odmierzając proszki — dziś w nocy zapo-
lowałem na Paxtona... Nie, nic poważnego, ale prawie. Na jakiś czas go unieru-
chomiłem. Nie wyczuwam teraz jego obecności, ale może to dlatego, że jest ranek i słońce wzeszło. Możesz mi powiedzieć, czy się czai?

— Kioskarz z Bonnyrigg otworzył właśnie swój sklepik, a mleczarz zali-
cza swe codzienne rundki — odparł Jordan. — A wielu absolutnie zwyczajnych
mieszkańców tej wioski spożywa śniadanie. Ale ani śladu Paxtona. Wygląda mi
to na całkiem zwyczajny poranek.

— Nie całkiem zwyczajny — sprostował Harry. — Przynajmniej nie dla cie-
bie.

— Staralem się zbytnio na to nie liczyć — stwierdził Jordan, a jego dobiega-
jący z zaświatów głos drżał. — Staralem się nie modlić o to. Nadal wydaje mi się,
że śnię. My tutaj też czasem zamykamy się i śnimy. Wiedziałaś o tym?

Nekroskop skinął głową, skończył szykować proszki i podniósł urnę Jordana.

— Sam kiedyś nie posiadałem ciała, pamiętasz? Czułem wówczas wielkie zmęczenie. Wyczerpanie umysłowe jest daleko cięższe niż fizyczne.

W ciszy starannie przesypywał prochy telepaty.

— Harry, tak jestem przerażony, że brak mi słów — odezwał się po chwili Jordan.

— Przerażony? — powtórzył niemal automatycznie nekroskop. Używając młotka, rozbił urnę i ułożył jej skorupy, wewnątrz do góry, wokół kopca usypanego z popiołów espera i katalizatorów, tak by drobiny, które do nich przywarły, również objęła wypowiedzana formuła.

— Przerażony, podekscytowany, nazywaj to, jak chcesz... ale jestem pewien, że gdybym miał wnętrzości, wyrzygałbym je!

— Trevor, musisz zrozumieć, że jeśli coś z tobą będzie nie tak... Chodzi mi o...

— Wiem, co masz na myśli. Wiem.

— Okay. — Harry wstał i zwilżył zaschnięte wargi. — No to zaczynamy.

Z wypowiedzeniem słów zaklęcia Harry nie miał najmniejszych problemów — zupełnie, jakby spisano je w jego ojczystym języku — mimo iż ten głuchy pomruk w niczym nie przypominał ludzkiej mowy. Czy nekroskop był dumny ze swego kunsztu? Miał przynajmniej świadomość, że to coś niepospolitego i że on sam jest niepospolitą istotą.

— UAAAH! — Kończący formułę okrzyk nieledwie zamienił się w ryk... a w chwilę później odpowiedział mu jakby wrzask bólu!

Nagle kłęby gryzącego purpurowego dymu wypełniły piwnicę. Nekroskop cofnął się. Nad niewielką kupką popiołów unosiła się potężna chmura w kształcie grzyba. Tak właśnie wyglądają Dżiny, potężna masa, wyzwalająca się z maleńkiego źródła. Spomiędzy owych kłębow wybiegł chwiejnie nagi człowiek, krzykiem oznajmujący ból ponownych narodzin. Trevor Jordan. Keogh tylko czekał, nie wiedząc, czy będzie musiał usunąć ten płód.

W pierwszej chwili dym przesłonił mu cały obraz, w następnej coś już mignęło. Dzikie, wytrzeszczone oko, rozdziawione usta, część głowy.

Ręce Jordana wyciągnęły się ku Harry'emu; dłonie drżały, nieomal wibrowały. Nogi telepaty ugięły się. Opadł na kolano. Harry'ego przeszedł dreszcz autentycznej grozy. W jego umyśle i na wyschniętych wargach czaiły się już słowa formuły odrzucenia. I wtedy... Dym rozwiął się, odsłaniając... klęczącego Trevera Jordana. Idealnego!

Harry również klęknął i objął go. Popłakali się, zupełnie jak dzieci...

* * *

Potem przyszła kolej na Penny. Ona także myślała, że śni; nie mogła uwierzyć w to, co obiecywał jej nekroskop.

Płacząc padła mu ramiona. Zaniósł ją do swej sypialni, położył na łóżku i poradził, by spróbowała zasnąć. Nic z tego nie wyszło — w domu znajdował się szaleniec, ganiał na ośle, jednocześnie śmiał się i płakał. Trevor Jordan wybiegał i wracał, trzaskał drzwiami, kursował tam i z powrotem — zatrzymywał się tylko po to, by dotknąć siebie, by dotknąć Penny i Harry'ego, a potem znów wybuchał śmiechem. Śmiał się jak wariat, jak opętany. Opętany życiem!

Podobnie zachowywała się Penny — kiedy dotarło do niej, co się stało; kiedy tylko w to uwierzyła. I przez godzinę albo dwie trwało szaleństwo. Założyła piżamę Harry'ego oraz jedną z jego koszul. . . i zaczęła tańczyć. Walca, piruety, hot jazz. Harry był rad, że nikt nie mieszka w pobliżu.

W końcu jednak zmęczeni się i trochę uspokoili.

* * *

Zaparzył im mnóstwo kawy. Byli spragnieni. Byli też głodni; urządzili najazd na jego kuchnię. Jedli. . . wszystko! Jordan co jakiś czas zrywał się, ścisnął Harry'ego tak, że omal nie połamał mu żeber, wypadł do ogrodu, by nasycić się słońcem, po czym pędem wracał do stołu. Penny raz po raz zanosila się płaczem albo serdecznie całowała wskrzesiciela. A on czuł się świetnie. I to go niepokoiło. Nawet teraz przeżywał wszystko intensywniej od nich.

— Penny, sądzę, że możesz wracać do domu — oznajmił Harry.

Pouczył ją, co ma powiedzieć: że zapewne straciła pamięć i nie wie, co się z nią działo, dopóki nie znalazła się na swojej ulicy, w małej wiosce w północnym Yorkshire; że zwłoki które odkryła policja musiały należeć do kogoś bardzo do niej podobnego. Nic więcej, żadnego rozwijania tematu. I że nie wolno jej szepnąć nawet słówka o Harrym Keoghu, nekroskopie.

Spisał sobie jej wymiary i następnie udał się drogą Möbiusa do Edynburga, żeby kupić jakieś ciuchy. Ubrała się szybko.

Odstawił ją do domu — przez kontinuum Möbiusa, w co również trudno było uwierzyć. Po drodze zatrzymali się tylko raz, na falującym wrzosowisku, gdzie udzielił jej ostatniego pouczenia.

— Penny — ostrzegł ją — od tej pory twoje życie znów zacznie toczyć się normalnie i może z czasem sama uwierzysz w historię, którą dla ciebie sprokurowaliśmy. Tak będzie lepiej dla ciebie, dla mnie i dla wszystkich. A przede wszystkim — dla mnie.

— Ale... jeszcze się zobaczymy? — Uświadomiła sobie, że odkryła coś, z czym będzie musiała się rozstać. Po raz pierwszy zadała sobie pytanie, czy rzeczywiście na tym wygrała?

— Penny, przez całe życie ludzie przychodzą i odchodzą. Tak to już jest.

— A po śmierci?

— Obiecałaś mi, że o tym zapomnisz. To nie pasuje do naszej historyjki, prawda?

Potem wykonali kolejny skok, prosto na róg ulicy, którą znała od dziecka.

— Żegnaj, Penny.

A kiedy się obejrzała...

Jako małe dziecko, oglądała powtórkę przygód Samotnego Jeźdźca. „Kim był ten niewidzialny człowiek...?” — usiłowała przypomnieć sobie.

* * *

Jordan czekał w domu Harry'ego. Uspokoił się nieco, ale nadal przepełniało go zdumienie i zachwyt. To sprawiało, że wyglądał wspaniale i świeżo, jakby niedawno wrócił ze słonecznych wakacji, albo wykapał się w górskim strumieniu.

— Harry, powiedz mi tylko, co mam robić.

— Ty, nic. Nie zamykaj się przede mną, to wszystko. Chcę wejść w twój umysł i zgłębić twój dar.

— Jak Janosz?

— Nie tak, jak Janosz. — Harry potrząsnął głową. — Ja nie przywróciłem ci życia, po to, by cię zranić. Nawet nie zrobiłem tego dla siebie. Ono wciąż należy do ciebie. Jeśli nie podoba ci się mój pomysł, powiedz. To musi pochodzić z twojej wolnej woli. — Zabrzmiały bardzo znaczące słowa.

Jordan popatrzył na niego.

— Ty nie uratowałeś mi życia — odparł — ale je przywróciłeś! Cokolwiek tylko chcesz, Harry.

Nekroskop wyzwolił swe wampirze myśli, a Jordan otworzył im drogę, wpuścił do wnętrza swej głowy. Tam Harry znalazł to, czego szukał; natychmiast rozpoznał ów dar, tak podobny do mowy zmarłych. Mechanizm był prosty, stanowił część psychiki. Potęgował zdolności umysłowe, sam jednak opierał się na procesie czysto fizycznym, zachodzącym w tej części mózgu, której większość ludzi nie umiała jeszcze wykorzystywać. Owe umiejętności występowały niekiedy u bliźniaków, wywodzących się z jednego jaja. Samo odkrycie niewiele znaczyło, należało je jeszcze opanować.

Harry wycofał się.

— Twoja kolej — powiedział. Jordan miał przed sobą łatwe zadanie. Był wszak telepatą. Zajrzał do umysłu Harry'ego i znalazł tam zapadkę. Należało ją

tylko zwolnić. Odtąd miała działać jak kontakt: Harry mógł ją włączać i wyłączać, wedle uznania.

— Wypróbuj — rzekł Jordan, opuściwszy umysł nekroskopa. Harry wyobraził sobie Zek Foener, wysokiej klasy telepatkę, i dotknął jej swym nowym talentem.

Pływał, nie — ona pływała, polując z harpunem, w ciepłej błękitnej wodzie nie opodal wyspy Zakinsthos, gdzie mieszkała wraz ze swym mężem, Jazzem Simmonsem. Zanurzyła się na głębokość dwudziestu stóp i właśnie namierzyła rybę: pięknego czerwonego cefala, zerkającego na nią z piaszczystego dna.

— Raz, dwa, trzy... próba mikrofonu — powiedział Harry niby to poważnie.

Mimo iż miała aparat tlenowy, niemal zachłysnęła się słoną wodą. Zwolniła spust i chybiła. Wypuściła kuszę i bezładnie machając nogami, wynurzyła się. Unosiła się teraz na wodzie, krztusząc się i chlapiąc. Błędnym wzrokiem rozglądała się dokoła. I nagle uświadomiła sobie, że te słowa musiały zrodzić się w jej głowie. Ale tego głosu psychicznego nie mogła pomylić z żadnym innym.

W końcu ponownie nabrała tchu i uporządkowała myśli.

— Ha... Harry?

— Jedyne i niepowtarzalny — odpowiedział ze swego domu w Bonnyrigg, oddalonego o półtora tysiąca mil od Zakinsthos.

— Harry, ty... jesteś telepatą? — Totalnie zgłupiała.

— Nie chciałem cię przestraszyć, Zek. Zamierzałem tylko sprawdzić, na ile jestem dobry.

— Hm, jesteś dobry! O mało nie... nie utonąłam!

Nagle spłoszyła się i nekroskop pojął, że wyczuła ową istotę, która stanowiła teraz jego część. Spróbowała wykluczyć ją ze swych myśli.

— Wszystko w porządku, Zek — oznajmił. — Wiem, co myślisz na mój temat. Sądzę, iż powinnaś usłyszeć, że ze mną będzie inaczej. Nie zamierzam tu zostać. A jeśli już, to na krótko. Muszę tylko załatwić pewną sprawę, a potem znikam.

— Wracasz tam? — Wyczytała to w jego umyśle.

— Od tego zacznę. Ale może znajdą się i inne miejsca. Ty wiesz najlepiej, że nie mogę tu zostać.

— Harry — powiedziała nie zwlekając — wiesz, że nie wystąpię przeciwko tobie.

— Wiem o tym, Zek.

Przez dłuższą chwilę milczała. Nagle Harry'emu coś przyszło do głowy.

— Zek, jeśli popłyniesz z powrotem na plażę, znajdziesz tam kogoś, kto chciałby zamienić z tobą słowo. Postaraj się jednak stać obiema nogami na ziemi, gdyż trudno ci będzie uwierzyć w to, że go widzisz, i w to, co ma do powiedzenia. To spotkanie naprawdę może grozić utonięciem!

Miał rację, trudno jej było uwierzyć. I to przez długi czas...

* * *

Po południu Jordan oswoił się już z nową sytuacją i stracił nieco ze swej euforii.

— A co ze mną, Harry? Mogę wracać do domu? — zapytał.

— Być może, popełniłem błąd — stwierdził nekroskop. — Darcy Clarke wie, że zabrałem prochy dziewczyny. Może się wszystkiego domyślać. A jeśli tak, to zorientuje się też, że posiadam kilka nowych umiejętności. Twój powrót tylko to potwierdzi, i to jak dobitnie! Mam zresztą wrażenie, że bomba wkrótce wybuchnie. Trevor, możesz wracać, kiedy tylko zechcesz, byłbym jednak rad, gdy byś został tutaj i przez jakiś czas nie ujawniał się.

— Jak długo?

— Muszę załatwić pewną sprawę. Myślę, że nie potrwa to dłużej niż cztery, pięć dni.

— W porządku, Harry. Tyle wytrzymam. Nawet cztery czy pięć tygodni, jeśli będzie trzeba.

— A przy okazji, co zamierzasz robić w przyszłości? Z powrotem do INTESP?

— To było dobre życie. Starczało na wszystko. Załatwialiśmy ważne sprawy — odrzekł Jordan.

— Najlepiej więc będzie, jeśli zaczekasz, aż odejdę. Wiesz przecież, że zaczną na mnie polować?

— Po tym wszystkim, co dla nas zrobiłeś? Dla świata?

Harry wzruszył ramionami.

— Kiedy stary wierny pies rzuci się na twoje dziecko, musisz go uśpić. Jego dawne zasługi nie mogą w tym przeszkodzić. Co więcej, jeśli jesteś pewien, że może być niebezpieczny nie czekasz na tragiczne skutki. Może potem będziesz żałował staruszka i nawet uronisz łezkę, ale wiedziałeś, do diabła, że ma wściekliznę i nie wolno ci było się wahać! Zrobiłeś to zarówno dla innych, jak i dla niego.

Jordan niczego nie ukrywał, postawił sprawę jasno.

— Czy to naprawdę aż tak cię niepokoi? Powiedzmy sobie jedno, Harry, niełatwo im będzie ciebie załatwić. Janosz Ferenczy też miał wielkie fory, a przecież stoisz teraz o klasę wyżej od niego!

— Dlatego muszę odejść. Jeśli tego nie zrobię, będę zmuszony się bronić, a to tylko przyspieszy przemianę. I może już na zawsze zostaną przeklęty? Nie po to walczyłem z nimi wszystkimi — z Dragosanem, Tiborem, Janoszem, Faethorem i Julianem Bodescu — by skończyć tak jak oni.

— W takim razie... chyba powinienem odejść? Natychmiast — odparł Jordan.

— Tak?

— Mogę pozostać w cieniu i mieć ich na oku. Wysłali Paxtona, żeby cię obserwował. Nie spodziewają się, że ktoś może właśnie ich śledzić. Nawet nie wiedzą, że żyję. Więcej, mają pewność, że jestem martwy.

To zaciekawiło Harry'ego.

— Mów dalej — poprosił.

— Będę obserwował Darcy'ego. Nie w jego biurze, ale w domu. Wiem, gdzie mieszka; znam też sposób jego rozumowania. Będzie wiele myślał o tobie — z dwóch powodów. Dlatego, że jesteś tym, czym jesteś, ale i dlatego, że to porządny gość, który nie mógłby o tobie zapomnieć. Kiedy już wszystko zostanie zapięte na ostatni guzik, dowiem się o tym i zaraz dam ci znać.

— Zrobiłbyś to dla mnie? — Harry wiedział, że tak.

— Czyż nie jestem ci nic winien?

Harry powoli pokiwał głową.

— To niezły pomysł. Dobra, wyruszmy, gdy zapadnie noc. Odstawię cię do Edynburga, dalej sam sobie poradzisz.

Tak też zrobili.

* * *

Następnego ranka wrócił Paxton.

Jego obecność momentalnie popsowała Harry'emu humor. Obiecał sobie jednak, że wkrótce odwróci sytuację i sam zajrzy w umysłowego szpicla. Rozkoszował się tą myślą. Najpierw jednak musiał spotkać się z matką i dowiedzieć się, czy zdobyła dla niego jakieś informacje.

Niebo było zakryte chmurami. Stał na brzegu rzeki. Siąpił drobny, ale dokuczliwy, natrętny kapuśniaczek.

— Mamo, są efekty?

— Harry? Czy to ty, synku? — Jej głos był tak wąty, wydawał się tak odległy, że nekroskop w pierwszej chwili wziął go za podziemne „szumy”, za szmer rozmów, jakie zmarli prowadzili w swych grobach.

— Tak, to ja, mamo. Ale... okropnie osłabłaś.

— Wiem, synku. Mnie też, podobnie jak tobie, nie zostało już wiele czasu. A przynajmniej — nie tutaj. Wszystko już zmierzcha... Chciałeś czegoś, Harry?

Czuła chyba ogromne zmęczenie, a jej umysł gdzieś błądził.

— Mamo — starał się być cierpliwy, tak jak za dawnych czasów jako że coraz trudniej przychodzi mi kontaktowanie się ze zmarłymi, ustaliliśmy, że mi pomożesz i sprawdzisz, czy wobec ciebie nie będą bardziej otwarci... Chodzi mi o tej nieszczęsne zamordowane dziewczyny. Powiedziałaś, żebyś dał ci nieco czasu, a potem znów się z tobą spotkał. No i jestem. Nadal potrzebuję tych informacji, mamo.

— Zamordowane dziewczyny? — powtórzyła za nim, niewiele chyba kojarząc. I nagle Harry wyczuł, że zebrała myśli. Jej głos zabrzmiał wyraźniej w jego niezwykłym umyśle. — Oczywiście, te biedne zamordowane dziewczyny! Niewinne ofiary. Chociaż... Harry, nie wszystkie były naprawdę niewinne.

— Moim zdaniem, były. Dla mnie były wystarczająco niewinne. Powiedz jednak, co miałaś na myśli?

— Cóż, większość z nich nie chciała nawet ze mną rozmawiać. Wygląda na to, że je ostrzeżono, że powiedziano im o tobie. Harry, jeżeli chodzi o wampiry, umarli nie znają miłosierdzia. Ta, która zgodziła się na rozmowę, była jedną z pierwszych ofiar tego mordercy, ale w żaden sposób nie mogłabym nazwać jej niewinną. Była prostytutką, synku, o plugawym języku i plugawych myślach. Zgodziła się jednak opowiedzieć o tym zdarzeniu i stwierdziła też, że nie miałyby nic przeciwko rozmowie z tobą. Właściwie wyznała coś jeszcze.

— Tak?

— Tak. Powiedziała, że dla odmiany chętnie by tylko... tylko porozmawiała z mężczyzną — podkreśliła z dezaprobatą matka Harry'ego. — A taka młoda, taka młodziutka.

— Mamo — odrzekł nekroskop — wkrótce ją odwiedzę. Ale ty tak słabniesz, że nie wiem, czy uda nam się jeszcze kiedyś porozmawiać. Pomyślałem więc, że teraz ci powiem, iż byłaś najlepszą z matek, jakie kiedykolwiek istniały, a...

— A ty byłeś najlepszym z synów, Harry — przerwała mu. — Słuchaj, daruj sobie opłakiwanie mnie. Obiecuję ci, że ja nie będę płakać po tobie. Synu, przeżyłam dobre życie i pomimo okrutnej śmierci w grobie też nie czułam się zbytnio nieszczęśliwa. Dużo zawdzięczam tobie, Harry, jaka że twoim dziełem jest wiele z tego, co tu uchodzi za szczęście. A jeśli umarli przestają ci ufać... Cóż, to ich strata.

Przesłał jej pocałunek.

— Bardzo tęskniłem za tobą, kiedy cię zabrakło. Ale ty, oczywiście, tęskniłaś o wiele bardziej. Mamo, mam nadzieję, że poza śmiercią istnieje jakiś inny świat i że ty tam trafisz.

— Harry, jest coś jeszcze. — Gasła coraz szybciej i musiał wyteńczyć całą swą uwagę, inaczej nie usłyszałby jej słów. — Chodzi o Augusta Ferdynanda.

— Augusta Ferdy...? O Möbiusa? — Harry przypomniał sobie ostatnią rozmowę z wielkim matematykiem. — Aha! — Zagryzł wargi. — Cóż, możliwe, że obraziłem go, mamo... ale niechący, rozumiesz? Chcę powiedzieć, że wówczas nie w pełni byłem sobą.

— Powiedział mi, że nie byłem sobą i że rozmawiał z tobą po raz ostatni.

— Ach tak... — wyjąkał Harry, zakłopotany. Möbius należał do jego najlepszych i najbliższych przyjaciół. — Rozumiem.

— Nic nie rozumiesz, Harry — zaprzeczyła Mary Keogh. — Rozmawialiście po raz ostatni, ponieważ jego już tam nie znajdziesz. To znaczy, tu. On też musi

gdzieś odejść, a przynajmniej uważa, że powinien. Opowiadał mi o rzeczach, których nie rozumiałam: o czasie, przestrzeni, czasoprzestrzeni, stożkach i wszechświatach światła. Sugerował, że wasz spór nie dał mu odpowiedzi na jedno wielkie pytanie.

— Tak?

— Tak. Na pytanie O... o samo kontinuum. Stwierdził... myśli... wie, co to jest. Powiedział... jest... umysł — Traciła wątek, słowa się rwały. Harry wiedział, że to już koniec.

— Mamo? — zaniepokoił się.

— Möbius... powiedział... jest... umysł, Harry.

— Umysł? Mamo, powiedziałaś: „Umysł”?

Próbowała odpowiedzieć na to pytanie, ale nie dała już rady. Dotarł do niego jedynie najcichszy z gasnących szeptów.

— Haarry... Haarry...

A potem zapadła cisza.

* * *

Paxton przeczytał dossier nekroskopa i niejednego się dowiedział. Ludziom twardo stojącym na ziemi większość z zawartych tam danych wydałaby się nieprawdopodobna, ale Paxton, rzecz jasna, do takich nie należał. Kryjąc się na drugim brzegu rzeki, obserwował Harry'ego przez lornetkę.

— Ten dziwny skurwiol rozmawia ze swoją matką, z kobietą, która zginęła ćwierć wieku temu i dawno już zamieniła się w pomyje! Jezu! A mówią, że to telepatia jest niesamowita!

Harry „usłyszał” wszystko i pojął, że Paxton wychwytał rozmowę. Ogarnęła go furia, inna jednak niż poprzedniej nocy, lodowata. I znów przypomniała mu się rada Faethora: „Wchodzi w twój umysł? Ty wejdź w jego!”

Paxton zobaczył, że nekroskop znika za krzakiem; zaczekał, aż wyjdzie z drugiej strony. Nie wychodził jednak.

„Odlewa się?” — pomyślał esper.

— Aktualnie nie — powiedział cicho Harry za jego plecami. — Ale kiedy to robię, nie trawię natrętów.

— Co...? — Telepata odwrócił się gwałtownie, tracąc równowagę. Zachwiał się na samym skraju urwiska. Harry wyciągnął rękę i złapał go za kurtkę. Trzymając obdarzył go uśmiechem, w którym nie było cienia wesołości. Od stóp do głów obejrzał sobie tego drobnego, wyglądającego jak uschnięty badyl, człowieczka przed trzydziestką, o pysku i oczach łasicy. Dając mu w prezencie telepatię, Matka Natura chciała pewnie wynagrodzić inne braki.

— Paxton — wysapał Harry. Głos wciąż miał niebezpiecznie cichy, niczym gorące tchnienie wyduszone z rozpalonych miechów. — Jesteś psychiczną pchełką, wysysającą wszelkie męty. Podejrzewam, że kiedy twój ojciec cię robił, to, co najlepsze, wyciekło z dziurawej gumy i spłynęło po nodze twojej matki prosto na podłogę burdelu. Jesteś drańskim śmieciem, najechałeś na moje terytorium, nadepnąłeś mi na odcisk i zalazłeś za skórę. Mam wszelkie prawo coś z tym zrobić, nie uważasz?

Paxton klapał szczękami, jak wyrzucona na brzeg ryba. W końcu odzyskał dech i nieco zimnej krwi.

— Ja... ja tylko wykonuję swoją robotę — wyszeptał, próbując uwolnić się z uchwytu. Nekroskop jednak wciąż trzymał go na długość ramienia, i to trzymał bardzo mocno — nie wydatkując wcale energii.

— Wykonujesz swoją robotę? — powtórzył za Paxtonem. — A dla kogo, śmieciu?

— To nie twój inte... — zaczął telepata.

Harry potrząsnął nim, wbijając weń wzrok. Esper po raz pierwszy zauważył czerwonałą poświatę, która wymykała się spod grubych ciemnych szkielek okularów, zabarwiając zapadłe policzki. Groźne czerwone światło — płynące z oczu nekroskopa!

— Dla INTESP? — Głos Harry'ego zmienił się w głuchy warkot, niemal w ryk.

— Tak... nie! — wywalił z siebie Paxton.

Trząsał się jak galareta, marzył tylko, by stąd zwiać; gotów był powiedzieć wszystko, co ślina na język przyniesie. Harry doskonale o tym wiedział, czytał to z jego bladej twarzy i trzęsących się warg. O ile jednak wargi mogły skłamać, umysł zazwyczaj mówił prawdę. Nekroskop wszedł w myśli Paxtona, przyjrzał się im raz a dobrze, po czym wydostał się na zewnątrz, mając wrażenie, że wynurza się z breji, wypełniającej jakiś ściek. Ów smród łajna przebijał nawet przez ostry odór potu Paxtona.

Dobrze, że takie umysły spotykało się dość rzadko, inaczej nekroskop mógłby się pokusić o wypowiedzenie wojny całej rasie ludzkiej, i to z miejsca!

Paxton wiedział, że Harry spenetrował jego myśli; czuł jego obecność, drażniącą jak okruchy lodu.

— A więc teraz wiesz już na pewno — stwierdził Harry. — Masz materiał do raportu dla swojego szefa. Świetnie, idź i powiedz ministrowi, że najgorszy z jego snów się ziścił. Powiedz mu to, Paxton, a potem zrezygnuj z posady. Wynieś się gdzieś i nie wracaj. Wiem, że nie wszystkie ostrzeżenia do ciebie trafiają, ale tym razem skorzystaj z dobrej rady i zwiewaj, póki możesz. Dwa razy nie będę tego powtarzał.

Upewniwszy się, że to dotarło, wypchnął espera poza skraj urwiska, w wirującą łagodnie wodę. Po chwili nekroskop dostrzegł otwarty neseser Paxtona,

leżący na pobliskim pniaku. Uwagę jego przyciągnęło kilka białych kopert z reklamówkami i jedna większa z szarego papieru. Wszystkie oznaczono tym samym adresem: Harry Keogh, Riverside 3 itd. . . itd. . .

Harry raz jeszcze spiorunował wzrokiem krętacza, który krztusił się i szamotał w lodowatej wodzie, na jakiś czas unieszkodliwiony. Potem zgarnął wszystkie swoje listy i zabrał je do domu.

Paxton miał szczęście, że umiał pływać. Nekroskopowi bowiem było to obojętne. . .

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Czerwony alarm

Harry przewertował akta zamordowanych, szukając nazwiska młodej prostytutki, nazwy jej rodzinnego miasta i miejsca ostatniego spoczynku. Następnie udał się na niewielki cmentarz położony na północnych krańcach Newcastle. Wykonanie tych wszystkich czynności zajęło mu niewiele czasu. W chwili gdy sadowił się w cieniu drzewa, tuż przy prostym nagrobku Pameli Trotter, o sto mil dalej Paxton, który zdołał się wreszcie wygramolić na brzeg, zaczynał łąpać oddech.

— Pamela — odezwał się nekroskop — jestem Harry Keogh. Sądzę, że moja matka wspomniała ci o mnie.

— I twoja matka, i inni — przyszło w odpowiedzi. — Spodziewałam się ciebie, Harry. Choć muszę przyznać, że mnie ostrzegano.

Harry pokiwał głową, może z żalem.

— To fakt, że moja reputacja ostatnio nieco ucierpiała.

— Moja chyba bardziej — zachichotała. — A wszystko zaczęło się jakiś czas temu. Miałam wówczas czternaście lat i pewien miły „wujcio” pokazał mi swoją różową sikawkę, wyjaśniając, gdzie się ją wkłada. Właściwie to ja go uwiodłam, gdyż zauważyłam, że ilekroć zbliżał się do mnie, to mu stawał. A gdyby nie on, znalazłby się ktoś inny, bo ja lubię ten sport. Wiele razy baraszkowaliśmy, aż któregoś dnia przyłapała nas jego stara; zazdrosna nietoperzyca! Weszła akurat, gdy robiłam na nim patataj. Wyciągnął szybko małego, ale za daleko już zabrnął i spuścił się na dywan. Chyba od dawna nie widziała u niego wytrysku, a takiego — to na pewno nigdy w życiu. Jeśli już o to chodzi, to on pewnie też nie. Dopiero gdy na mnie trafił... Ale ja lubiałam iść na całość. Dobrze jest, kiedy praca sprawia człowiekowi radość.

Harry milczał, zaskoczony, może nawet nieco zbulwersowany. Naprawdę nie wiedział, co ma jej odpowiedzieć.

— Czy twoja mama nie powiedziała Ci, że byłam dziwką? — W jej głosie nie czuło się goryczy, co najwyżej lekki smutek i to się Keoghowi spodobało.

— Coś w tym stylu — odrzekł ostrożnie. — Ale to chyba nic nie zmienia? Po tamtej stronie musi was być mrowie!

Roześmiała się, a Harry jeszcze bardziej ją polubił.

— Najstarszy zawód świata — przypomniała.

— Ale tamtej nocy, niespełna osiem tygodni temu, przejechałaś się na nim, tak? — Czuł, że przy niej mógł od razu przejść do rzeczy.

— Facet nie był moim klientem. I nawet nie chciał mnie... mnie zaliczyć.

— To było tylko przypuszczenie — wyjaśnił szybko Harry. — Nie chciałem cię obrazić, nie palę się też do wyciągania z ciebie wspomnień. Jeżeli jednak wszyscy będą milczeć, trudno będzie mi znaleźć tego łotra.

— Och, Harry, chciałabym zobaczyć jak dostaje za swoje. Zrobię, co tylko będę mogła, by ci pomóc. Boję się tylko, że zbyt mało pamiętam.

— Nie mów hop... .

— Od czego mam zacząć?

— Najpierw opisz, jak wyglądałaś.

Wiedział, że umarli zachowują w pamięci to, jacy byli za życia, i zamierzał porównać ją z Penny Sanderson. Jednym słowem, ciekaw był, czy nekromanta działa według jakiegoś schematu.

Jej umysł natychmiast przesłał mu obraz długonogiej, ciemnookiej brunetki w minispódniczce i niebieskiej jedwabnej bluzce, pod którą rysowały się, niczym nie podtrzymywane, nieco niezgrabne piersi. Miała dość kształtne pośladki. Nie znalazł jednak w tym portrecie, w jej portrecie, nic wskazującego na inteligencję czy też osobowość. Była tam tylko zmysłowość, a nawet jawny seksapil. Niezbyt to pasowało do jego pierwszych wrażeń.

— I co? Jaka byłam?

— Bardzo atrakcyjna — przyznał. — Myślę jednak, że siebie nie doceniasz.

— Często — potwierdziła, tym razem bez śladu rozbawienia. Westchnienie, które nastąpiło potem, było czymś, na co nekroskop często trafiał podczas kontaktów ze zmarłymi. Było reakcją na to, że pewne chwile i sprawy stanowią zamknięty rozdział i nigdy nie wrócą. Zaraz się jednak rozpogodziła. — I oto rozmawiam teraz z mężczyzną, choć raz nie zastanawiając się, co on ma w portkach. I z przodu, i w tylnej kieszeni.

— Czy zawsze robiłaś to dla pieniędzy?

— Czasem dla zabawy. Mówiłam Ci, że byłam nimfomanką. Chcesz lecieć dalej?

Harry był zakłopotany. Udzieliła mu szablonowej odpowiedzi, najwidoczniej dość często słyszała to pytanie.

— Czy jestem wścibski?

— W porządku — odparła. — Wszyscy mężczyźni są ciekawi, co taka prostytutka może mieć w głowie. — Nagle jej głos zlodowaciał. — Wszyscy oprócz tamtego. On nie musi się nad tym zastanawiać. Może to sprawdzić — później, po jej śmierci.

Nekroskop był już pewien, że dziewczyna powie mu wszystko, co zapamiętała.

— Opowiedz mi o tym — zażądał.

Rozpoczęła opowieść. . .

* * *

Był piątkowy wieczór i wybrałam się na dancing. Sama rozporządzałam swoim czasem, działałam na własną rękę. Nie potrzebowałam alfonsa, który by mi naganiał klientów, zgarniał moją forszę i odstawiał mnie swoim kumplom za friko. Ale dancing był w mieście, a ja mieszkałam kawałek dalej. Po północy taryfy są drogie; Kopciuszkowi zaczęło więc brakować karocy.

Nic straszego, zawsze się znajdzie paru miłych chłoptasiów, którzy odstawią dziewczynę do domu za szansę na małą macankę. A jeśli facet przypadłby mi do gustu i nie był zbyt namolny, mógłby dostać nawet więcej. Przejazdzka za przejazdzkę, jak mówi przysłowie.

Tym razem wybrałam niewłaściwego gościa; nie, nie owego faceta, ale podobnej maści. Ledwie znalazłam się w wozie, jego grzeczne, pełne troski podejście poleciało hen, za okno. Nie połapał się, jaki jest mój fach, wziął mnie za porządną dziewczuszkę, a do tego łatwy kasek. Aż z trudem prowadził, tak się ślinił, usiłował się zatrzymać w każdej mijanej zatoczce i każdym zaułku. Miałam na sobie drogie ciuchy i nie chciałam, żeby je podarł. A poza tym. . . i tak mi się nie podobał.

Powiedział, że zna takie miejsce, nieco w bok od autostrady, i zanim zdążyłam mu powiedzieć, że nie mam ochoty, pojechał w kierunku Edynburga. W zatoczce, pod jakimiś drzewami, wykonał pierwszy ruch i dostał kolanem w słabiznę! Jak tylko doszedł do siebie, odjechał, zostawiając mnie na lodzie.

Ćwierć mili dalej była stacja obsługi. Poszłam tam i strzeliłam sobie kawę. Nie byłam ani poruszona, ani nic w tym guście, po prostu mnie suszyło. Za wiele było tego dżinu w „Palace”.

Kiedy tak siedziałam w tamtej niewielkiej budzie, dosiadł się do mnie jakiś szoferek. Tak właśnie go oceniłam: jakiś szofer, specjalista od długich tras, walczący ze zmęczeniem za pomocą kubka kawy.

Nie pytaj, jak wyglądał. Lokal był w trzech czwartych pusty, więc przygasili światła, żeby oszczędzić na kosztach, a we mnie było jeszcze dość dżinu. Wiesz, nawet rozmawiałam z tym facetem, ale właściwie na niego nie patrzyłam. Przynajmniej wyglądał dość porządnie i nie był nachalny. Kiedy wypił kawę i wstał, zapytałam, dokąd zmierza.

— A gdzie chcesz jechać? — spytał. Głos miał cichy, dość sympatyczny.

Powiedziałam mu, gdzie mieszkam, a on stwierdził, że zna tamte strony.

— Masz szczęście — oznajmił. — Będę przejeżdżał tam autostradą. To jakies pięć mil stąd? Wysadzę cię przy zjeździe. Będiesz miała paręset jardów do domu.

Obawiam się, że bliżej nie zdołam cię podrzucić, gdyż rozliczają mnie z paliwa i przejechanych mil. Zresztą rób, jak chcesz. Może bezpieczniej byłoby wezwać taksówkę?

Ale ja nie należałam do tych, które darowanemu koniowi patrzą w zęby.

Opuściliśmy kafejkę i poszliśmy na parking. Wydawał mi się cichy i spokojny, nie spieszył się. Czułam się z nim bezpieczna. Prawdę mówiąc, długo się nie zastanawiałam.

Jego ciężarówka, którą obeszliliśmy, by dojść do tylnych drzwi, była jedną z tych długich, łączonych landar. Reflektory przejeżdżającego autostradą samochodu rzuciły na nią snop światła. Na błękitnym tle wymalowany był napis. FRI-GIS EXPRESS. Dobrze go zapamiętałam, gdyż z jednego z ramion „X” złuszczyła się farba i wyglądało to jak „EYPRESS”.

Kiedy znaleźliśmy się z tyłu ciężarówki, szofer przystanął, popatrzył na mnie.

— Muszę się tylko upewnić, że drzwi są zabezpieczone — powiedział.

Stałam obok, a on otworzył zamek i podniósł zasuwane drzwi, odsłaniając wnętrze przyczepy. Lodowaty podmuch, który się stamtąd wydostał, przyprowadził mnie o dreszcze. Wewnątrz wozu... wisały chyba całe rzędy jakiś przedmiotów, ale było zbyt ciemno i nie widziałam ich dokładnie. Wyciągnął obie ręce w kierunku platformy i coś tam zrobił, a potem zerknął na mnie przez ramię.

— Gotowe — zawołał.

Zdaje mi się, że wtedy uświadomiłam sobie, iż nie widziałam, żeby się uśmiechnął. Choćby raz.

Pokazał, że powinniśmy iść do szoferki, a kiedy zaczął zasuwac drzwi, odwróciłam się do niego plecami. I właśnie wtedy mnie złapał. Jedną ręką chwycił mnie za szyję, a drugą przycisnął mi coś do twarzy. Oczywiście, chciałam nabrać powietrza i nawdychałam się chloroformu! Kopałam i szarpałam się, a wtedy jeszcze bardziej chce się złapać oddech. A potem film mi się urwał...

Kiedy doszłam do siebie, leżałam — a właściwie, ślizgałam się na połaci lodu; takie przynajmniej miałam wrażenie. W powietrzu unosił się jakiś dziwny zapach, ale nie potrafiłam go określić. Było o wiele za zimno; wszystkie moje zmysły zdrętwiały. A po chloroformie kręciło mi się w głowie i miałam mdłości.

Przypomniałam sobie wszystko i pojęłam, że leżę w ciężarówce i ślizgam się, kiedy tamten zwalnia lub przyspiesza. I, oczywiście, pojęłam też, że wpakowałam się w kłopoty, w śmiertelnie poważne kłopoty. Mój szofer mógł zrobić ze mną, co tylko chciał. Istniało też duże prawdopodobieństwo, że zechce mnie zabić. Widziałam jego ciężarówkę, mogłabym też i jego opisać, jeśli nie teraz, to na pewno później — wszystko wskazywało na to, że było już po mnie. Wczołgałam się w kąt tej mrocznej lodowni i spróbowałam rozgrzać się. Kuliłam się, chuchałam na dłonie, machałam rękami. Ale przez to zimno i chloroform czułam się osłabiona. Nawet kotek byłby silniejszy...

Później, po... nie wiem, ile to trwało, może po piętnastu minutach droga zrobiła się wyboista i usłyszałam, że facet uruchomił hamulce hydrauliczne. Po dziś dzień nie wiem, gdzie byliśmy, gdyż nie dane mi było opuścić auta. Ciężarówka stanęła, a po chwili drzwi podjechały do góry. Na zewnątrz panowały ciemności, ciemność też otulała postać, która, dysząc, wspięła się na tył przyczepy. Szofer zasunął za sobą drzwi i zapalił dość słabe światło; jedną okratowaną żarówkę na suficie. A potem podszedł do mnie.

Miał na sobie długi kozuch; skórę na zewnątrz pokrywały ciemne plamy, a z pod spodu wystawało brązowe futro. Jak tylko się zbliżył, zdjął go i narzucił na mnie.

— Włóż na niego — polecił, dysząc z jakiegoś niesamowitego pożądania. Mimo to jego głos był równie lodowaty, jak miejsce, w którym zamierzał mnie osiąść. Wiedziałam już, że to naprawdę chłodnia. Z haków zwisały całe rzędy padliny, szarej, brązowej i czerwonej. A ta lodowa powłoka, po której się ślizgałam, była warstwą zamrożonej krwi.

— Obejdzie... obejdzie się bez szarpaniny — powiedziałam. — Zrobimy tak, jak będziesz chciał. — I mimo iż całkowicie przemarzłam, rozpięłam bluzkę i podciągnęłam minispódniczkę, pokazując mu koronkowe majteczki.

Spojrzał na mnie, ciągle nieskory do uśmiechu, i zobaczyłam, że jego twarz przypomina rozdętą czy opuchniętą czerwoną maskę, w której zamiast oczu osadzono bryłki połyskliwego węgla.

— Tak, jak będę chciał? — powtórzył za mną.

— W każdy możliwy sposób. I przysięgam, że będziesz zadowolony. Tylko mnie nie krzywdź! I możesz mi zaufać. Po wszystkim... nie pisnę nawet słówka. — Kłamałam jak diabli. Chciałam żyć.

— Ściągaj ciuchy! — wydyszał. — Wszystko.

Boże, ani w jego głosie, ani w oczach nie odnalazłam śladu duszy! Tylko duszący żar jego ciała i gorączkowe pulsowanie krwi. Czułam, jak bardzo jest silny, jak niesamowity — inny od wszystkich, których znałam.

— Szybko! — rozkazał, a jego głos przeszedł w skrzeczenie. Nalana twarz aż trzęsła się z napięcia i potwornego podniecenia.

Musiałam zrobić, co mi kazał, zadowolić go. Potworne zimno sprawiło, że palce odmawiały posłuszeństwa. Nie dałam rady się rozebrać. Klęknął i zobaczyłam, jak błyszczą narzędzia, przypięte do jego szerokiego pasa. Jedno z nich, hak do mięsa, odczepił i pokazał mi!

Kiedy westchnęłam, odwracając twarz, zdarł mi z pleców kurtkę oraz bluzkę. Potem zaczepił hak o spódniczkę i rozszarpał ją, rozrywając zarówno materiał, jak i plastikowy pasek. Podobnie zerwał mi majtki. Skurczyłam się, równie skostniała, jak wiszące wokół mnie zwierzaki. „A jeśli i na mnie użyje tego haka?” — pomyślałam. Ale nie użył. Nie haka.

Potem zdarł z siebie ubranie; górę nie, tylko spodnie. I już wiedziałam, o co mu chodziło. Jednakże ktoś tak silny i niebezpieczny mógł mnie paskudnie skrzywdzić. Musiałam więc mu wszystko ułatwić — sobie zresztą też — jak tylko się dało. Rozchyliłam nogi i pogładziłam kępkę lodowatych włosów. I — na Boga — spróbowałam się do niego uśmiechnąć.

— Wszystko jest na miejscu — mówiłam, a słowa, które opuszczały moje wargi, z miejsca zamieniały się w śnieg. — Wszystko dla ciebie.

— Hę? — stęknął, patrząc na mnie. Jego ogromny penis drgał, jakby obdarzony własnym życiem. — Wszystko dla mnie? Wszystko dla Johnny'ego? To? — A potem się uśmiechnął. I odczepił kolejne ze swoich narzędzi.

Przypominało nóż, ale było puste w środku, zrobione ze stalowej rurki o średnicy około półtora cala, ściętej pod kątem, tak by zaznaczyć szpic. I ostrej jak brzytwa.

— O Boże! — westchnęłam, gdyż dłużej już nie mogłam kryć swego przerażenia. Zwinęłam się w kłębek i spróbowałam zasłonić swą nagość. Ale mój szofer, mój niedoszły kat, ten... ten potwór tylko się roześmiał. Nie wyrażał tym żadnej emocji, przynajmniej w moim rozumieniu tego słowa, po prostu się śmiał.

— Tak, zakryj się — wymamrotał. Jego wykrzywione, trzęsące się wargi ociekały śliną. O zakryj się, dziewczeczko. Johnny nie potrzebuje twej szkaradnej, pieprzonej szparki. Johnny sam robi dla siebie szpary!

Przysunął się bliżej, a jego ciało kipiało, rwało się ku mnie. A potem... a potem...

— Już dobrze. — Harry miał dosyć. Głos mu drżał, łamał się. Wiem, co zdarzyło się potem. Dość już powiedziałaś. Ja... to mi najzupełniej wystarczy.

Pamela płakała, wypłakiwała swą biedną, okaleczoną duszę. Groza, jaką musiała w sobie odtworzyć, by pomóc nekroskopowi, zdławiła i zmiażdżyła w niej całą odporność.

— On... on oszpecił moje ciało! — załkała. — Podziurawił je! I wszedł we mnie, nim zdążyłam umrzeć. A kiedy już byłam martwa, nadal czułam, jak mnie rani; słyszałam, jak stęka.

— Już dobrze. Już dobrze. — Tyle tylko mógł powiedzieć Harry, aby ją pocieszyć. Ale nawet mówiąc to, wiedział, że nie mówi prawdy, że nie będzie dobrze, dopóki sam nie zakończy tej sprawy.

Wyczytała to w jego myślach, zrozumiała jego decyzję i dodała do niej swój własny gniew.

— Dorwij go dla mnie, Harry. Dorwij dla mnie ten suczy pomiot!

— I dla mnie — dodał. — Gdyż wiem, że jeśli tego nie zrobię, na zawsze powstanie w moim umyśle, czepiając się jego ścian niczym brud. Ale, Pamelo...

— Tak?

— Zabić go tak po prostu, to za mało. Rozumiesz? Za mało! Jeśli się zgodzisz, skorzystam jeszcze z twojej pomocy. Pamelo, po śmierci jesteś równie silna, jak

za życia. A oto, co mi przyszło do głowy... Nie wątpię, że ucieszy cię to bardziej niż wszystko, czym radowałaś się dawniej. — Wyłożył jej swój plan. Przez jakiś czas milczała.

— Myślę, że wiem teraz, dlaczego umarli się ciebie boją, Harry — powiedziała potem, zdumiona. — Czy to prawda, że jesteś wampirem?

— Tak... nie! — odparł. — Nie całkiem. Przynajmniej — jeszcze nie. I nie tutaj. Ale któregoś dnia stanę się nim — może się nim stanę w zupełnie innym miejscu.

— Tak. — Wyczuł, że kiwnęła głową. — Myślę, że nim jesteś albo będziesz, gdyż żaden człowiek nie wymyśliłby czegoś podobnego. Żaden stuprocentowy człowiek.

— Ale zrobisz to?

— O tak — odpowiedziała w końcu, akcentując to kolejnym, zdecydowanym ruchem głowy. — Kim — czy czymkolwiek jesteś, zrobię wszystko, co mi polecisz, Harry Keoghu, wampirze, nekroskopie. Wszystko, jakkolwiek i gdziekolwiek, byle tylko wyrównać rachunki. Co tylko zechcesz i kiedy tylko będziesz chciał. Wszystko...

Harry skinął głową.

— Więc załatwione — wykrzyknął.

* * *

Przez następne trzydzieści godzin nie tylko nekroskop działał bardzo intensywnie; INTESP również. A w dzień później, w ciepły, majowy wieczór, minister doprowadził do uruchomienia procedury alarmowej. Najpierw, opierając się na niepokojącej informacji od Geoffreya Paxtona (dotyczącej między innymi raportów, które Darcy Clarke wysłał do Harry'ego Keogha), zdjął Clarke'a ze stanowiska i umieścił w nieformalnym areszcie domowym w jego londyńskim mieszkaniu przy Crouch End. Następnym krokiem było spotkanie z Grupą O, wezwaną do kwatery głównej INTESP. Wiedział, że esperzy czują, iż coś dużego wisi w powietrzu; kazał przecież ściągnąć wszystkich osiągalnych agentów.

Paxton czekał na ministra na parterze. Kiedy wymieniali krótki uścisk dłoni, w wahadłowych drzwiach budynku pojawił się Ben Trask, świeżo po robocie. Wyglądał na przemęczonego, a nawet wymizerowanego. Poprosił ministra na bok i przez minutę lub dwie rozmawiali po cichu, a Paxton choć raz wiedział, że nie należy się pchać tam, gdzie go nie proszą. Potem wszyscy pojechali windą na najwyższe piętro i udali się bezpośrednio do sali narad.

Zwołani agenci siedzieli w milczeniu, czekając na ministra. Zajął miejsce na podium i omiół wzrokiem wpatrzone w niego, pospolite twarze esperów — asów brytyjskiego wywiadu ESP. Dzięki fotografiom z dossier znał ich wszystkich, ale

tylko Darcy Clarke i Ben Trask utrzymywali z nim kontakt. No i — oczywiście — Paxton.

Gdyby wśród nich przebywał Clarke, może powitałby go, a reszta zgromadzona w sali z pewnością wzięłaby z niego przykład. A może i nie. Kłopot z tą ekipą był wiecznie ten sam: uważała się za COŚ specjalnego. Minister wiedział jednak, że nikomu nie wmówi, że jest inaczej — a już najmniej sobie. Byli czymś specjalnym, specjalnym jak cholera.

Patrząc na nich, czuł to, co przed nim musiało odczuwać już kilku innych. Fizyka i metafizyka, roboty i romantycy, gadzety i duchy. Ale czy rzeczywiście? Nauka i parapsychologia? Sprawy przyziemne i nadnaturalne? Zastanawiał się, na czym polega ta różnica. Czy telefon i radio nie mają w sobie nic magnetycznego? Rozmawiać z kimś, kto jest na drugim krańcu świata, albo nawet na księżycu? A czy istniało kiedykolwiek mocniejsze, straszliwsze zakłęcie niż $E = mc^2$?

Takie myśli przelatywały przez głowę ministra, kiedy przyglądał się twarzom esperów i przypisywał im nazwiska. Ben Trask, człowiek-wykrywacz kłamstw; masywny, przyciężki, ponurak o spadzistych ramionach. Możliwe, że jego smutek brał się ze świadomości, iż cały świat jest zakłamany. A jeśli nawet nie cały, to potężny jego kawał. Tak właśnie działał „talent” Traska: pozwalał mu rozpoznać fałsz. Natychmiast wykryłby każde fałszywe słowo czy też gest. Może nie zawsze rozróżniał niuanse prawdy, ale nieomylnie określał, co prawdą nie jest. Żadna, nawet najprzemysłniej skonstruowana fasada nie zdołałaby go zmylić. Często pracował z policją, by zdemaskować zatwardziałych morderców, służył też pomocą przy międzynarodowych negocjacjach.

David Chung; młody londyńczyk; lokalizator i tropiciel najwyższej klasy. Mężczyzna szczupły, żylasty, skośnooki i żółty, w głębi duszy lojalny Brytyjczyk, obdarzony zdumiewającymi zdolnościami. Tropił „zabłąkane” radzieckie okręty podwodne o napędzie atomowym, aktywne oddziały IRA, handlarzy narkotyków. Zwłaszcza tych ostatnich. Rodzice Chunga byli narkomanami i to nałóg ich zabił. To właśnie wyzwoliło w nim ów talent, który wciąż jeszcze się rozwijał.

Anna Marie English stanowiła zupełnie inny przypadek (ale czyż każde z nich nie stanowiło odrębnego przypadku?). Tę bladą i zaniedbaną, mało energiczną dwudziestolatkę o słabym wzroku trudno byłoby nazwać Różą Albionu! „Zawdzięczała” to swemu talentowi, który umownie nazywała „utożsamianiem się z Ziemią”.

Na własnej skórze odczuwała agonię dżungli; znała rozmiary dziur ozonowych, czuła, jak pustynie zawłaszczają kolejne obszary, a erozja górskich masywów dosłownie wpędzała ją w chorobę. Jej „czułość ekologiczna” dalece przekraczała granice powszechnych pięciu zmysłów. Zieloni mogliby oprzeć na jej odczuciach całą kampanię, tyle że nikt w nie nie wierzył. Nikt poza INTESP, który wykorzystywał ją jako tropiciela, podobnie jak Davida Chunga. Wykrywała nielegalne składowiska odpadów promieniotwórczych, kontrolowała skażenie

powietrza, donosiła o nadchodzących inwazjach stonki ziemniaczanej i o zarazie atakującej holenderskie wiązy, krzyczała wniebogłosy, że giną wieloryby, słonie, delfiny i inne gatunki zwierząt. Wiedziała, iż Ziemia jest chora i jej stan pogarsza się z każdym dniem. Wiedziała to, przeglądając się w lustrze.

No i wspomnieć należy jeszcze Geoffreya Paxtona, telepatę. Zdaniem ministra, był dość niemiłym, ale za to przydatnym osobnikiem. Przecież świata nie tworzą same ideały. Paxton chciał mieć wszystko dla siebie. Lepiej więc go zatrudnić i mieć na oku, niż dopuścić, by stał się szantażystą lub szpiegiem, agentem jakiegoś obcego mocarstwa. Przyjdzie jeszcze pora, żeby przyjrzeć się karierze Paxtona. I to dokładnie.

Tu, pod tym dachem, zebrano się ich szesnaścioro, a kolejna jedenastka przebywała w różnych częściach świata, sterując jego losem lub przynajmniej nad nim czuwając. Opłacono esperów na miarę ich talentu, sownie! Gdyby zdecydowali się działać na własną rękę, koszta byłyby o wiele większe. . .

Tak, siedzieli tu szesnaścioro i w miarę jak minister przypatrywał się im, oni też poddawali go dokładnym oględzinom. Jego, człowieka, który jak dotąd trzymał się w cieniu i pozostałby tam, lecz wywabiły go sprawy najwyższej wagi. Mógł mieć jakieś czterdzieści pięć lat; był niski, fertyczny; ciemne włosy zaczesywał do tyłu i przylizywał. Mówiło się też, że nie posiadał nerwów, a przynajmniej nie ujawniał ich istnienia. Miał na sobie ciemnoniebieski garnitur, jasnoniebieski krawat i czarne lakierki. Jeśli pominąć kilka zmarszczek rysujących się na czole, twarz ministra wyglądała zazwyczaj pogodnie. Teraz jednak nie prezentował się najlepiej.

— Panie, panowie. — Nie przepadał za długimi wstępami. — To, co mam do powiedzenia, niemal każdemu wydałoby się bajką, podobnie jak niemal wszystko, z czym macie do czynienia. Postaram się jednak nie zanudzić was nadmiarem szczegółów, które już znacie. Generalnie, zebrałem was tu po to, by przekazać, iż stoimy przed piekielnym problemem. Najpierw opowiem wam, jak do tego doszło, a potem powiecie mi, jak mamy sobie z tym poradzić. Nawet najmniej utalentowany spośród was — o ile ktoś taki istnieje — ma w tej kwestii większe doświadczenie niż ja. Prawdę mówiąc, jesteście jedynymi, którzy dysponują jakimkolwiek doświadczeniem, a zatem i jedynymi, którzy mogą poradzić sobie z tą sprawą. — Przerwał, by wziąć głęboki wdech, po czym mówił dalej. — Jakiś czas temu szefem INTESP mianowaliśmy zdrajcę. Tak, mówię o Wellesleyu. Cóż, on już nam nie zaszkodzi. Do moich obowiązków należało jednak zabezpieczenie wywiadu przed powtórzeniem się takiej sytuacji. Jednym słowem, potrzebowaliśmy kogoś, kto szpiegowałby szpiegów. Wiem, że wy tutaj kierujecie się niepisanim prawem, nie podsłuchujecie się wzajemnie. Nie mogłem zatem użyć żadnego z was, nie na tym terenie. Musiałem wyłączyć kogoś z wydziału, tak by odpowiadał wyłącznie przed mną. Wybrałem takiego, który nie zdążył jeszcze związać się

z wami zbyt blisko. Zdecydowałem więc, że moim obserwatorem obserwatorów będzie Geoffrey Paxton, nowicjusz w waszych szeregach.

Natychmiast uniósł ręce, jakby chciał odeprzeć ewentualne protesty, choć nikt nie zgłaszał pretensji — jeszcze nie.

— Żadnego z was, podkreślam żadnego, o nic nie podejrzewamy. Ale po aferze z Wellesleyem nie mogę pozwolić sobie na ryzyko. Chciałbym jednak, żebyście zrozumieli, że w wasze życie prywatne nie zamierzamy ingerować. Paxton otrzymał wyraźne instrukcje, aby nie wtrącać się ani nie wnikać w żadne kwestie uboczne, a jedynie koncentrować się na sprawach wydziału. Na bezpieczeństwie wywiadu ESP.

Przed kilkoma tygodniami zajmowaliśmy się pewnym problemem na Morzu Śródziemnym. Dwaj nasi ludzie, Layard i Jordan, natknęli się tam na niebezpiecznego przeciwnika. Szef INTESP, Darcy Clarke, też tam wyruszył, wraz z Sandrą Markham i Harrym Keoghem, by sprawdzić, co możemy zrobić. Później dołączyli do nich Trask i Chung, pojawiło się też wsparcie z innych placówek. Jeżeli chodzi o kwalifikacje, zarówno Clarke, jak i Trask mieli już do czynienia z podobnymi sprawami, a Keogh... cóż, Keogh to Keogh. Gdyby udało się go uaktywnić, przywrócić mu dawne zdolności, stanowiłby wspaniałe dopełnienie naszego wydziału. Początkowo występował tam jednak jako obserwator i doradca, gdyż nikt bardziej od niego nie zgłębił zagadnień wampiryzmu... — Tu na moment zawiesił głos, może znacząco. — Do dziś nie wiemy dokładnie, co wydarzyło się na Rodos, na wyspach Morza Egejskiego i w Rumunii, wiemy jednak, że straciliśmy Trevora Jordana, Kena Layarda i Sandrę Markham. Straciliśmy ich, gdyż ponieśli śmierć! Problem był naprawdę poważny, a o tym, że został rozwiązany, wiemy jedynie z zapewnień Darcy'ego Clarke'a. Harry Keogh, oczywiście, mógłby nam wszystko wyjaśnić, ale jak dotąd powiedział nam niewiele.

Minister słyszał wyraźnie oddechy publiki, niekiedy ciężkie albo przyspieszone. Zobaczył, że ktoś wstaje. Światła skierowano na podium, musiał więc zmrużyć oczy, żeby zidentyfikować wstające go, po chwili jednak rozpoznał w nim bardzo wysokiego, chudego jak szkielet wróżbitę, czy też prognostę, Iana Goodly'ego.

— Tak, panie Goodly?

— Panie ministrze — odezwał się Goodly wysokim, przenikliwym głosem, tak bardzo dla niego typowym — wiem, że nie będzie się pan doszukiwał jakichś wyimaginowanych podtekstów w moim stwierdzeniu, że do tej pory wszystkie wypowiedziane przez pana słowa tchnęły absolutną szczerością i rzetelnością. Płynęły z głębi serca, wynikały z pańskiej oceny sytuacji i dobrych intencji. Nie sądzę, by ktokolwiek z zebranych tutaj w to wątpił, jako że tylko ktoś odważny zdecydowałby się przyjść tu i próbować nas o czymś przekonać, wiedząc przecież, iż są tu ludzie, zdolni w jednej chwili przeniknąć jego umysł.

Minister pokiwał głową.

— Nie bardzo rozumiem rozważania o odwadze, ale z resztą się całkowicie zgadzam. Z pewnością widzicie, że nie chcę tu załatwić żadnych swoich spraw. A zatem... do czego pan zmierza, panie Goodly?

— Zmierzam do tego, że ja chcę załatwić swoje sprawy — odpowiedział Goodly. — My wszyscy chcemy. Uznałem, iż kilka spraw moglibyśmy załatwić, zanim się rozstaniemy. Proszę zrozumieć, nie chodzi tu o pańską osobę. To i tak byłoby bezcelowe, gdyż mój talent podpowiada, że jeszcze długo pozostanie pan naszym ministrem. Więc... nieważne, co pan powiedział lub pomyślał, ale to, co pan zrobił lub zamierza zrobić. Albo — o co zamierza pan nas prosić. Chyba że — oczywiście — ma pan naprawdę istotne powody.

— Mógłby pan to wyjaśnić? — W głowie ministra panował coraz większy zamęt. — Tylko krótko, bo mam jeszcze wiele do powiedzenia.

— Wyjaśnienia przychodzą łatwo. — Ktoś jeszcze wstał. Wstała Millicent Cleary, śliczna, drobna telepatka, której talent jeszcze się rozwijał. Ledwie zerknęła na ministra, natychmiast spiorunowała wzrokiem potylicę siedzącego w pierwszym rządzie Paxtona. — Przynajmniej niektóre wyjaśnienia. To znaczy, zapewne inwigilowanie nas było konieczne, ale czemu... przez tamto? — Oburzona, potrząsnęła głową, kładąc nacisk na ostatnie słowo. Wskazała na Paxtona.

— Panno...? — Zakłopotany minister zapomniał jej nazwiska. A szczyił się tym, że takich rzeczy nie zapomina. Popatrzył na nią, potem na Paxtona.

— Cleary — odpowiedziała Millicent... — ciągnęła dalej. — Paxton zlekceważył pańskie instrukcje. Zwyczajnie zignorował pańskie rozkazy. Bezpieczeństwo wydziału? Sprawy wydziału? Och, podał mu pan zgrabny pretekst — którego właściwie nie potrzebował — lecz jego interesowały raczej sprawy innych ludzi! I pakowanie w nie nosa!

Minister zmarszczył brwi. Popatrzył groźniej na Paxtona.

— Mogłaby pani mówić konkretniej, panno Cleary?

Sęk w tym, że czuła się niezręcznie. Czy miałaby powiedzieć wszystkim, że pewnej nocy przyłapała tego zeschniętego gnoja w swym umyśle i stwierdziła, że się onanizował, wsłuchany w pomruk jej wibratora i w jej rozdygotane zmysły?

— Podglądał nas w każdej sytuacji — stwierdził dobitnie ktoś inny, przychodząc jej w sukurs. — Wybierał najbardziej pikantne grzeszki, które — czy się to komu podoba, czy nie — każdy z nas ma na sumieniu, i robił to, jeszcze zanim upoważnił go pan do tego. A potem, cóż... zapewne przyglądał się i pańskim pikantnym grzeszkom!

I znów odezwał się ten chudzielec, Goodly:

— Panie ministrze, gdyby nie usunął pan Paxtona z naszej organizacji, sami byśmy to zrobili. On jest niemal tak godny zaufania, jak wadliwy środek antykoncepcyjny. Gdyby AIDS rozprzestrzeniło się poprzez myśli, nasze mózgi dawno zamieniłyby się w zeschnięte gówna! Wszystkie, bez wyjątku! — Odczekał, aż to dotrze do ministra, a potem znów podjął: — Uważamy więc, że pozbawił nas

pan kogoś, komu ufaliśmy, dając w zamian psa łańcuchowego, który gotów jest Chapmanić swego pana. Tak, a do tego wybrał pan cholerny czas na ten manewr!

Zaklął już dwa razy, a przecież nawet najłżejsze przekleństwa nie były w jego stylu.

Paxton przez cały czas czyścił sobie paznokcie, najwyraźniej niezbyt zainteresowany tym, co działo się wokół niego, teraz jednak uszy mu poczerwieniały. Wstał i odwrócił się, posyłając gniewne spojrzenia tym, którzy wpatrywali się w niego, osądzając go w milczeniu.

— Mój talent jest... niesforny! — warknął. — Co więcej, jest pełen zapału, pełen entuzjazmu, a wy, zawistne bękarty, dawno już go utraciliście! Wciąż dowiaduję się o nim czegoś nowego, wciąż eksperymentuje. On nie jest żadnym cholernym drzewkiem bonsai, któremu można nadać określony z góry kształt!

Niemal jednocześnie potrząsnęli głowami; byli ostatnimi ludźmi na ziemi, których udałoby się mu przekonać. Jego blade, kulawe wykręty na nich nie działały. Wszyscy mieli z nim na pieńku. Wreszcie zabrał głos Ben Trask, nadając ich wspólnej myśli kształt i treść.

— Paxton, jesteś kłamcą — powiedział po prostu. A ponieważ był tym, kim był, nie musiał uzasadniać swoich zarzutów.

Minister miał wrażenie, że wpadł w gniazdo szerszeni. Mimo swych starań — albo właśnie przez nie — tracił kontrolę nad tym zebraniem, na co w żadnym wypadku nie mógł sobie pozwolić. Podniósł ręce, przyjął twarde, bardziej władczy ton.

— Na litość boską, odłóżcie na bok wasze własne i osobiste antypatie! — zawołał. — Chociaż na chwilę albo do końca tego zebrania. Jedno jest pewne, przecież wszyscy jesteście ludźmi!

To okazało się prawdziwym gromem z jasnego nieba.

Widząc, że skupił na sobie uwagę esperów i korzystając z tego, minister zwrócił się z prośbą do Bena Traska.

— Panie Trask, proszę powtórzyć to, co powiedział mi pan na dole — tylko spokojnie, jeśli łaska.

Trask popatrzył na niego z niechęcią, ale skinął głową.

— Najpierw jednak chciałbym dokończyć historię, którą pan zaczął opowiadać. Wszyscy tutaj znają jej znaczną część i zapewne domyślają się reszty, a więc przejdę prosto do sedna. I chyba będzie lepiej, jeśli usłyszają to ode mnie.

— Świetnie — zgodził się minister, oddychając z ulgą.

I Trask przeszedł do rzeczy.

— W Grecji pomagała nam Zek Foener. Wiecie z dossier Keogha, kim ona jest, co zdarzyło się w Perchorsku, Gwiezdnej Krainie itd. Zek to wielkiej klasy telepatka, jedna z najlepszych na świecie. Ale, podobnie jak nekroskop, nie przepada za grą wywiadów.

Tak czy inaczej, na Morzu Śródziemnym zabijaliśmy wampiry i wiele razy sami ledwie uchodziliśmy z życiem. A jednak to Harry wziął na siebie lwią część tej roboty i zmierzył się z Wielkim, z samym Janoszem Ferenczym. Nie muszę wam mówić, kim byli Ferenczowie. Kiedy Harry znajdował się już w Rumunii przed samym finałem, Zek spróbowała nawiązać z nim kontakt, by się dowiedzieć, jak mu idzie. Niestety, duże odległości nie sprzyjają telepatii i niewiele zdołała. Tak nam przynajmniej powiedziała, jednak coś ją zaszokowało.

Darcy Clarke paskudnie się tym zaniepokoił, jako że uważa nekroskopa za największy cud pod słońcem. Wiem, że kilkoro z was też tak sądzi. Ja również, do cholery! Przynajmniej do niedawna tak sądziłem. . .

A zatem. . . uporaliśmy się z robotą i wróciliśmy do Anglii. Na ile nam wiadomo, Harry'emu też się powiodło. Wygląda na to, że odwalił kawał wspaniałej roboty. Ale dość ostrożnie opowiadał o tym, co wydarzyło się w Karpatach. W końcu Harry stracił tam Sandrę Markham. Darcy zdecydował więc, że pozwoli, by Harry sam wybrał moment i wyrzucił z siebie ów ciężar. I za to właśnie — bo wszystko chyba na to wskazuje — Darcy został „zdegradowany”, zdymisjonowany, wysadzony z siodła. . . Lecz właściwie za co — proszę mi wyjaśnić! Za spolegliwość — gdyż nie chciał przedwcześnie osądzać starego przyjaciela? Za ociąganie się; za to, że nie ruszył do akcji na pół gwizdka? Za to, że był — do cholery! — człowiekiem małej wiary?

I minister, i Paxton otworzyli usta, by mu przerwać, ale Trask nie dał im dojść do głosu.

— Mówiąc o Darcym Clarke'u, powinniście pamiętać o jednym: jego talent nie wdiera się w umysły innych ludzi, nie podsłuchuje ani nie szpieguje ich z daleka. Ogranicza się do czuwania nad Darcym. Clarke cały czas pozostawał w kontakcie z nekroskopem i jak dotąd nie sygnalizował niczego niepokojącego. Ów talent nie wy czuł żadnej groźby. Gdyby wyczuł — daję głowę — Darcy pierwszy narobiłby szumu! O niczym mniej nie marzy, jak o kolejnym Julianie Bodescu!

— Ale. . . ! — zaprotestował Paxton.

— Zamknij gębę! — usadził go Trask. — Ci ludzie wciąż jeszcze słuchają kogoś, kto mówi im prawdę. Tylko prawdę. . . — Po chwili podjął przerwany wątek. — Tak to przynajmniej wyglądało wczoraj, lecz dzień dzisiejszy jest dniem dzisiejszym i sprawy chyba przybrały inny obrót. . . — Urwał i popatrzył na ministra. — Chciałby pan kontynuować, sir?

Minister obrzucił go ponurym spojrzeniem i uniósł brew.

— Nie powiedział pan jeszcze wszystkiego, panie Trask.

Trask zacisnął zęby, ale skinął głową.

— Właśnie wróciłem z roboty — odrzekł po chwili. — Chodzi o tego wielokrotnego mordercę, nad którym i my pracowaliśmy, a te potworne, sadystyczne morderstwa, których ofiarami były młode kobiety. Rzecz w tym, że Darcy poprosił Harry'ego o pomoc w tej sprawie, jako że. . . wiecie, co potrafi nekroskop. Jest

jedynym człowiekiem na świecie, zdolnym porozumieć się z ofiarą morderstwa. I właśnie Darcy poinformował mnie, że Harry wyjątkowo przejął się śmiercią ostatniej z dziewczyn, niejakej Penny Sanderson.

Przed dwoma dniami owa Penny pojawiła się wśród żywych, jak diablik z pudełka. — Mówiąc to, nawet się nie uśmiechnął. — Jeszcze niedawno uznana za martwą jak głąz i oto nagle, żywa jak r tęć, wraca do domu, do swych starszków. Sęk w tym, że nie zdołała ich przekonać, że jej nie zamordowano! Widzieli jej ciało, rozpoznali swoją córkę i jej powrót zaliczyli do kategorii cudów. Policja nie zachwyciła się tym wszystkim. Dziewczyna miała dla nich historyjkę, ale równie bezdźwięczną, jak pęknięty dzwon. I jeśli rzeczywiście jest Penny Sanderson, to czyje ciało poddano kremacji? Pan minister polecił mi więc wziąć udział w „standardowym przesłuchaniu” Penny. Nic prostszego, jestem przecież policyjnym wykrywaczem kłamstw.

Cóż, to rzeczywiście była — jest — Penny; pod tym względem mówiła prawdę. Ale okłamała mnie, mówiąc, że straciła pamięć. Domyśliłem się, iż Keogh brał udział w tej sprawie i postanowiłem zapytać ją, czy go znała, czy go spotkała, czy chociaż o nim słyszała. Odpowiedziała, że nie, nigdy. Zrobiła głupią minę. Jawne kłamstwo! Zadałem jej kolejne pytanie, którego nie opatrzyłem jednak znakiem zapytania? Jedyne wzruszyłem ramionami i stwierdziłem: „Miałaś szczęście. Morderca mógł przecież trafić na ciebie, a nie na twego sobowtóra”.

Spojrzała mi prosto w oczy i odparła: „Żał mi jej, kimkolwiek była, ale nie miała ze mną nic wspólnego. Ja nie umarłam”.

I znów bezczelnie łągała. Ufam mojemu talentowi. Nigdy mnie nie zawiódł. Nie zrobiło jej się żal tamtej dziewczyny, gdyż żadna inna dziewczyna nie istniała. A to stwierdzenie: „ja nie umarłam”? Co najmniej dziwaczne sformułowanie, nieprawdaż? Podsumowując, mogę jedynie stwierdzić, że Penny Sanderson umarła, a potem... wróciła z tamtego świata!

Zebrani esperzy wydali jedno wspólne westchnienie. Wszyscy.

— Oczywiście, nie mogłem powiedzieć policji, że — co, do cholery? — zmarłychwstała, została wskrzeszona — oświadczył na koniec Trask. — Powiedziałem po prostu, że wszystko gra. A jak „gra”... to już inna sprawa.

Minister uznał, że nadszedł właściwy moment, aby dostarczyć zebranych kolejną porcję obciążających poszlak.

— Clarke przesłał Keoghowi dossier wszystkich ofiar mordercy. A w Edynburskim Zamku na Górze pozwolił nawet na to, by nekroskop porozmawiał z Penny Sanderson — po swojemu, rozumiecie?

Ben Trask, pomimo tego co sam powiedział, nie miał jednak stuprocentowej pewności.

— Ale czy nie chodziło o to, żeby Harry odkrył, kto ją zabił?

Minister skinął głową.

— Takie było założenie. — Otarł twarz chusteczką. — Lecz błędne, jak się dziś zdaje.

Paxton również włączył się do gry.

— On jest telepatą — oświadczył twardo, wyzywająco.

— Harry? — Ben Trask wbił w niego wzrok.

— Wlaż w mój umysł, jak fretka do szczurzej nory! — potwierdził Paxton. — Ostrzegł mnie i poinformował, że robi to ostatni raz. Miał dzikie oczy. Aż lśniły za tymi ciemnymi okularami. Niezbyt przepada za słońcem.

— Solidnie się napracowałeś, co? — warknął Trask. Tym razem jednak nie mógł zarzucić mu kłamstwa.

— Słuchaj — odparł tamten. — Zlecono mi tę robotę. Minister sam powiedział, że po aferze z Wellesleyem nie chciał już ryzykować. A więc, kiedy Clarke wrócił z Grecji, podłączyłem się do niego. Odkryłem, że podejrzewa, iż Keogh jest wampirem. Druga sprawa: Keogh polecił mi przekazać ministrowi, że „najgorszy z jego snów” się ziścił. Ergo — Keogh jest wampirem!

— To jeszcze nie zostało dowiedzione — wtrącił szybko minister.

— Niestety, wszystko zaczyna na to wskazywać. Rzecz w tym, że Keogh wielokrotnie stykał się tymi potworami. I to blisko. Ostatnim razem chyba — zbyt blisko.

— Słuchajcie — włączył się znów Paxton. — Wiem, że jestem niemal nowicjuszem w tej branży, i to niezbyt lubianym, a wy wszyscy coś zawdzięczacie Harry’emu Keoghowi. Ale czy to zaćmiewa wam fakty? Trudno, nie chcecie mi wierzyć — nie chcecie wierzyć nawet sobie — ale pomyślcie tylko, co nas czeka, jeżeli mamy rację. Keogh jest w stanie rozmawiać z umarłymi, którzy cholernie wiele wiedzą. Posługuje się kontinuum Möbiusa; może przenieść się, gdzie zechce równie łatwo, jak my przechodzimy do sąsiedniego pokoju. Jest telepatą. A obecnie nie tylko rozmawia z umarłymi, ale i wywołuje ich z grobów.

— Przedtem też to robił — stwierdził Ben Trask, wzdrygnawszy się mimowolnie.

— Ale teraz przywraca im coś w rodzaju życia — nie ustępował Paxton. — Wskrzesza ich z popiołów! Życia? Czy raczej półżycia?

Słyszając to, David Chung zadrżał, zatoczył się niczym uderzony i wykrztusił kilka słów w dialekcie kantońskim. Większość esperów zerwała się z miejsc, ale Chung namacał w końcu krzesło i opadł na nie.

— Panie Chung? — zaniepokoił się minister.

Bładość nadała twarzy Chunga niezdrowy, cytrynowy poblask. Tropiciciel starł pot z czoła, zwilżył wargi i znów wymamrotał coś po chińsku. Potem podniósł wzrok; oczy miał szeroko otwarte.

— Wszyscy wiecie, czym się zajmuję — wyszeptał, lekko sepleniąc i ściągając końcówki wyrazów. — Jestem lokalizatorem, poszukiwaczem. Korzystając

z modelu lub cząstek czegoś, odnajduję oryginał. Zgodnie z przepisami wydziału, zbieram i przechowuję otrzymane od was, osobiste drobiazgi. Dla waszego własnego bezpieczeństwa; jeśli zaginiecie, będę mógł was odnaleźć.

Posiadam kilka rzeczy należących do Harry'ego Keogha, przedmiotów, które kiedyś mi podrzucił. . .

Wraz z innymi wyruszyłem na Morze Śródziemne. Zauważyłem, że Zek Foner jest czymś zaniepokojona, więc sam spróbowałem namierzyć Harry'ego. Mówiłem sobie, że to dla jego dobra. Wiedziałem jednak, co robię i czego szukam.

Początkowo, ilekroć go znajdowałem, był sobą, taki jak zawsze, nic odmiennego. Rozumiecie, pojawiał mi się jego obraz. Nie podgląd, ale po prostu obraz takiego, jakiego znałem, przychodzący z jego domu pod Edynburgiem lub z każdego innego miejsca, w jakim się akurat znajdował. Ostatnio jednak ten obraz stał się niewyraźny, zamglony, a zeszłej nocy i dzisiaj rano nie odnalazłem go wcale; jedynie kłęby mgły. Zamierzałem to jutro zgłosić.

— Za dawnych dni nazywaliśmy to „psychicznym smogiem” — powiedział Trask. — Pojawiał się zawsze, kiedy próbowaliśmy namierzyć wampira.

— Wiem — potwierdził Chung. Już niemal doszedł do siebie. — To właśnie mnie uderzyło, ale nie tylko to. Paxton powiedział, że Harry jest w stanie wskrzesić człowieka z popiołów. To mnie najmocniej rąbnęło.

— Co? — zaniepokoił się znów minister.

Chung popatrzył na niego.

— Mam także kilka rzeczy, które kiedyś należały do Trevora Jordana — wyjaśnił. — I dzisiejszego ranka, zupełnie przypadkowo, dotknąłem jednej z nich. Odniosłem wrażenie, że Trevor jest w pobliżu, w pokoju obok albo na ulicy. Pomyślałem sobie, że to pamięć płata mi figle. Taki przebłysk, który zaraz zniknął. Ale uderzyło mnie, że równie dobrze Trevor mógłby stać wówczas gdzieś tam, na ulicy!

Minister niewiele zrozumiał, ale Trask postarał się wyrazić to dobitniej.

— Mój Boże — wyszeptał, blady jak ściana. — Na Rodos ciało Jordana zostało spalone. Zamieniliśmy je w popiół, lękając się, iż jest skażone wampiryzmem. Jezu, jak tylko o tym pomyślę, uświadamiam sobie, że należał na to właśnie Harry Keogh!

CZEŚĆ II

(Cztery lata wcześniej)

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Lodowe pustkowia

Po wielkich wampirzych Lordach, Belathu, Lesku, Menorze Kąsającym, Lasculi Długim Zębem i Torze Drapieżcy, nie pozostał nawet ślad. Wszyscy oni, podobnie jak wiele pomniejszych wampirów, ich wojska i monstrualni wojownicy, zostali rozbici w proch przez Rezydenta i jego ojca podczas bitwy o Ogród. Spokłamała ich klęska; metan, rozdmajający dzikie bestie, zamienił wysokie na kilometr wieżyce (wyjąwszy tę, która należała do Lady Karen) w zwały gruzu i rozszczepionych kości, a wampiry Lordowie Gwiazdnej Krainy musieli schylić czoła przed zwycięzcą, który ich tak upokorzył.

I oto teraz Szaitis, niegdysiejszy wódz krwiożerczej armii, kierował łeb swego lotniaka pod wiatr, wiejący ze świstem z mroźnej północy, z Krainy Wiecznych Lodów.

Nie był pierwszym wampirem, który wędrował tą drogą. Zbiegowie i wygnañcy trafiali tam już od stuleci, a po bitwie o Ogród udała się tam także garstka niedobitków. Cokolwiek kryły w sobie lodowe pustkowia, lepsze było niż potworna broń, jaką posłużyli się Rezydent i jego ojciec. Ludzie o rozległych zdolnościach, przybysze spoza sferycznej Bramy — z czeluści piekielnych — którzy, wykorzystując energię słońca, zmienili protoplazmatyczne, metamorficzne ciała wampirów w rozgrzany gaz i cuchnące opary!

Harry Keogh i jego syn, zwany Rezydentem, rozbili armię Szaitisa, zdruzgotali jego plany i nieledwie zgładzili jego samego. Ale nieledwie to nie znaczy całkiem, a świat nie poznał stworzeń cierpliwszych niż wampiry. Gdyby tylko okoliczności choć trochę zaczęły sprzyjać Lordowi, nawet ów szczątek jego siły pozwoliłby mu wrócić na wyżyny. I jeśli kiedyś nadejdzie ta chwila, przybysze z piekła zapłacą za wszystko i wraz z nimi ci wszyscy, którzy ich wsparli podczas bitwy o Ogród. A wsparła ich również Lady Karen, zdradziecka wampirza suka! Szaitis ze złością ściągnął skórzane wodze, aż złote wędzidło wgryzło się w ciało lotniaka. Stwór ongiś człowiek, Wędrowiec, straszliwie przekształcony przez kunszt Lorda — parsknął żałością i gwałtowniej zamachał błoniastymi skrzy-

dłami, wzbijając się jeszcze wyżej w mroźne powietrze, jakby chciał osiągnąć lodowatych diamentów gwiazd.

Nagle góry za plecami Szaitisa eksplodowały złotym, palącym blaskiem, a okruczeństwa zza skalnej bariery, ze Słonecznej Krainy, dźgnął go niczym grot. Wampir poczuł, że ów blask dotyka jego czarnego, nietoperzowego futra, i skulił się, pojmując, że znalazł się za wysoko. Wschód słońca! Zza szczytów powoli wyłaniał się rozżarzony, żółtawy skraj tarczy. Pomimo wszechobecnego mrozu Szaitis czuł, jak pali go w plecy.

Zespolony myślą ze swą latającą bestią, która wciąż jeszcze miała w sobie coś z człowieka, mknął dalej.

— Szybuj! — rozkazał jej.

Niepotrzebnie — choć i nieznacznie — wydatkował swą energię psychiczną, gdyż lotniak także wyczuł groźne promienie słońca. Końce rozległych błoniastych skrzydeł zagięły się ku górze; wibrowanie ustało. Niesamowity wierzchowiec, opuszczając łeb, poszybował nieco niżej. Szaitis westchnął z ulgą i znów pograżył się w ponurych myślach.

Lady Karen. . .

„Matka”, której wampir — jak przewidywano — pewnego dnia obdarzy świat setką jaj, poczętych w jej ciele! I w jakiejś niewyobrażalnej przyszłości nad Gwiazdną Krainą znów zapanują wieżycy, wszystkie bez wyjątku zasiedlone przez czarny pomiot Karen, a owa suka zostanie wampirzą królową pszczół! Niewątpliwie dojdzie wówczas do rozejmu, pojednania, lub nawet związków cielesnych pomiędzy nią i Rezydentem. Szaitis nie mógł pojąć, jak sprawy mogły przybrać taki obrót. Ale na własne oczy widział Karen i Harry’ego Keogha na szczycie jej wieży, jedyne domostwa w całej Gwiazdnej Krainie, które nie obróciło się w proch!

Karen. . . Wszyscy, dosłownie wszyscy wampirzy Lordowie pożądali jej ciała i krwi. A gdyby bitwa o gród Rezydenta zakończyła się triumfem Lorda, on pierwszy by ją posiadał. Teraz mógł tylko o tym marzyć!

Karen.

Szaitis zapamiętał ją taką, jaką oglądał w jej własnej wieżycy podczas jednej z narad wszystkich Lordów.

Włosy Karen przypominały polerowaną miedź; zdawały się płonąć; spadały na jej ramiona złotą przędzą, blaskiem dorównując obręczom, którymi ozdobiła ramiona. Podobnie złote były pierścienie, umocowane na delikatnym łańcuszku otaczającym szyję i podtrzymujące przylegającą do ciała szatę, odsłaniającą całkiem lub niemal całkiem dumnie sterczącą lewą pierś i prawy pośladek, co zważywszy na to, że nic nie miała pod spodem, dawało iście piorunujący efekt. Gdyby obecni wówczas Lordowie przywdziali rękawice bojowe i gdyby powód spotkania był mniejszej wagi, na pewno co bardziej poządlwi stoczyliby o nią bój. A który z wampirów nie był poządlwy?

Z bladego ramienia zwisała przejrzysta czarna peleryna, z ręcznie utkana z futra desmodusa i przetykana złotą nicią. Tą samą złotą nicią haftowane były jej sandały z jasnej skóry, a uszy Karen zdobiły złote tarcze, oznaczone jej godłem — łbem warczącego wilka.

Ten widok zapierał dech! Szaitis czuł, że myśli innych Lordów kipią, podobnie jak ich krew; wiedział, że wszyscy pragną ją mieć. Zawróciła mu w głowie. Świadomie zwiódła go ta wiedźma! Przemyślna Karen. Wciąż jeszcze ją widział; ten obraz odcisnął się ogniem na jego wewnętrznym oku.

Jej ciało wiło się niczym u tańczących kobiet Wędrowców — u niej jednak było to naturalne, nieomal niewinne. Jej twarz w kształcie serca, z owym ognistym lokiem zdobiącym czoło, również mogłaby wydawać się idealnym łukiem; blade, lekko zapadłe policzki podkreślały jeszcze krwistość warg. Jediną skazą w owym oszalamiającym obrazie był nos, lekko skrzywiony, zadarty, o nozdrzach nieco za okrągłych i za ciemnych. I może jeszcze jej uszy, na pół ukryte we włosach, wywnięte niby dziwne orchidee ze Słonecznej Krainy. Piękna... wampirzyca.

Lord Szaitis zadrzał. Nie z zimna, ale z pożądania i z odrazy. Dreszcz, który go przeniknął, przypominał rozwibrowany impuls elektryczny. Pomógł mu dokładnie określić plany na przyszłość. Rzecz jasna, ich ukoronowaniem wciąż było zniszczenie Rezydenta, ale teraz doszło coś jeszcze.

— Któregoś dnia, Karen — obiecał sobie Szaitis, głosem przypominającym bardziej głuchy pomruk — któregoś dnia, jeśli istnieje sprawiedliwość, posiadę cię. I całą cię napełnię, a zarazem wysączę do ostatniej kropli! Prosto w twe serce wbiję złotą słomkę i za każdą mlecznobiałą kroplę, jaką pochłonie twoje łono, wyciągnę z ciebie strużkę szkarłatu. I tak oboje coś stracimy, ale podczas gdy moja strata będzie chwilowa, twojej... twojej, niestety, nic już nie wyrówna. I tak się stanie! — Złożył wampirzą przysięgę.

Krzywiąc się pod naporem ostrego wiatru, wciąż leciał na północ.

Słońce, wschodzące z wolna nad swoją krainą, nie zdołało osiągnąć Szaitisa. Mimo iż lot wzdłuż krzywizny wampirzego świata ku jego sklepieniu wydawał się niespieszny Lord coraz bardziej oddalał się od ognistej tarczy. I w ten sposób już po chwili minął granicę, za którą nigdy nie sięgały promienie, i uświadomił sobie, że znalazł się w Krainie Wiecznych Lodów.

Szaitisa nigdy nie pociągały legendy ani dawne dzieje. Na temat lodowych pustkowi wiedział jedynie to, co było powszechnie wiadome albo pojawiało się w plotkach. Nigdy nie świeciło tam słońce, ale szeptano również, iż gdyby ktoś udał się poza biegun, znalazłby tam góry i nietknięte terytoria, czekające na podbój. Za życia Lorda nikt nie dowiódł prawdziwości owej legendy (a przynajmniej — nie z własnej woli), gdyż od niepamiętnych czasów siedliskiem wampirów, miejscem, gdzie wznosiły się ich wieżyce i domostwa, były szczyty Gwiezdnej Krainy. To jednak... było wczoraj. Dziś wyglądało na to, że wiarygodność owego mitu zostanie dogłębnie sprawdzona.

A jaka zwierzyna kryła się na lodowych pustkowiach? W odmętach tamtejszych oceanów — jak mówiono — wyrzucały z siebie fontanny wielkie, gorąco-krwiste ryby, dorównujące rozmiarami najpotężniejszemu wojownikowi, obdarzone ogromnymi paszczami, chłonącymi wodę w poszukiwaniu drobniejszego łupu. Przypłynęły tam z ciepłym nurtem rzeki, łączącej te wody z jakimś oceanem, leżącym na wschodzie! To jednak Szaitis uważał za łągarstwo.

Były tam też nietoperze, żywiące się najmniejszymi z ryb. Owe niewielkie albinosy, gnieźdzące się w lodowych grotach, odbierały myśli wampirów — podobnie jak ich pobratymcy z bardziej gościnnych rejonów. Ten mit również należało sprawdzić.

Ale żyły tam nie tylko wieloryby i nietoperze śnieżne. Lord słyszał także o niedźwiedziach, pokrewnych brunatnym zwierzakom ze Słonecznej Krainy, ale potężniejszych i nieskazitelnie białych, niezauważalnych wśród śniegów i lodów, gdzie czały się na nieostrożnych wędrowców. I o tym też przekonać się mógł tylko naocznie. Ani jeden z tych stworów nie budził w nim przerażenia. Były wszak żywe, a życie to krew. I na odwrót — jak w starym wampirzynie porzekadle — krew to życie. . .

Szaitis leciał wciąż na północ. Przez cały ten czas, który na Ziemi wyniósłby dwa i pół dnia, nie zatrzymał się ani razu, aż do chwili gdy postanowił zakończyć ów długi ślizg i wzbic się wyżej. Wtedy właśnie wypatrzył niedźwiedzie, wylegujące się w blasku gwiazd na krze, na samym skraju skutego lodem morza. Lotniak Lorda był zmęczony, ubyło mu nieco tłuszczu, soków i metamorficznego cielska. I w Gwiezdnej Krainie bywało zimno, ale tu, w Krainie Wiecznych Lodów, panowały wieczne mrozy. A ten brzeg nie gorzej niż inne miejsca nadawał się do tego, by na nim osiąść i chwilę odpocząć. Szaitis też czuł się zmęczony, a do tego był głodny.

Wylądował na potężnym klifie, górującym nad wodami, i nakazawszy lotnikowi, by nie ruszał z miejsca, poszedł wzdłuż zamrożonego brzegu. Oddalone o ćwierć mili niedźwiedzie wyczuły, że Lord się zbliża. Dwa z nich stanęły na zadnich łapach i węszyły zaniepokojone, pomrukiem wyrażając swe niezadowolenie. Dwie samice, które zaraz zaniósły się wściekłym rykiem, ostrzegając płaczące się im pod nogami młode.

Szaitis uśmiechnął się złowrogo i przyspieszył kroku. Ich ryk stanowił wyzwanie. Wampirza natura natychmiast je podjęła. Twarz Lorda wydłużyła się, a ze szczęk i dziąseł wyrosły, niczym kościane sztylety, zakrzywione, ostre jak igły, zęby. Paszczę wypełniła jego własna krew; jej słony smak potęgował przemianę.

Wampirzy Lord miał prawie siedem stóp wzrostu, lecz niedźwiedzice, ryczące wniebogłosy, przewyższały go co najmniej o dwanaście cali! Ich łapy, trzykrotnie grubsze od jego dłoni, zakończone były pazurami, na tyle ostrymi, że jednym uderzeniem przeszywały na wylot fokę, a nawet słońca morskiego.

— Ach! — powiedział w duchu. — Dobrze, silne ciała i ta zaciekłość, wrodzona agresywność. Jakich wspaniałych wojowników bym z nich stworzył!

Dzieliło go od nich już tylko sto jardów; zbyt mało, by owe troskliwe matki mogły to znieść. Skoczywszy w mroźne, leniwe fale, ruszyły ku brzegowi. Chciały odstraszyć lub zabić intruza. Wystarczyłoby to pierwsze. A gdyby zaistniała konieczność drugiego rozwiązania... cóż, młode otrzymałyby pyszne, czerwone mięso.

Będąc już o pięćdziesiąt jardów od miejsca, w którym wydostały się na brzeg i otrząsały się teraz jak wielkie, kudłate psiska, Szaitis odpiął od pasa swą rękawicę bojową i wepchnął w nią prawą dłoń.

— Chodźcie tutaj, moje panie — ponaglił je swym telepatycznym głosem, nie wiedząc jednak ani się zbytnio nie troszcząc, czy go usłyszały. — Mam za sobą drugą i przyprawiającą o głód drogę, a czeka mnie jeszcze następna, zimna i również budząca łaknienie.

Jego „dłoń”, choć i teraz o jedną trzecią mniejsza od niedźwiedziej łapy, daleko bardziej była śmiertcionośna. Rozstawił szeroko ukryte w rękawicy palce i groteskowa ręka najeżyła się zdatnymi do cięcia krawędziami, brzeszczotami i sierpami. A kiedy zacisnął ją w pięść — na ile tylko było to możliwe — z knykciów wyrósł ostry jak brzytwa grzebień, z którego dumnie sterczały cztery spiłowane w szpic żelazne kolce.

Niedźwiedzice natarły; mniejsza wyprzedziła swoją roślejszą towarzyszkę. Szaitis wybrał już pole walki, strząsnął z ramion płaszcz i stanął dumnie na zamarniętym śniegu, pośród ostrych, nierównych brył lodu. Niedźwiedzice znalazły się w niekorzystnym położeniu: atakowały, potykając się i ślizgając na wyboistym gruncie. Ryczały, a więc Lord też zaryczał, potęgując jeszcze ich furję.

Przed chwilą Szaitis miał w sobie coś z człowieka. Teraz był wszystkim, tylko nie człowiekiem. Jego czaszka wydłużyła się na kształt wilczej, paszcza stała się niezgłębioną czeluścią, wypełnioną białymi igłami, zachodzącymi na siebie jak zęby rekina. Długi, zakrzywiony nos rozszerzył się, przylegając płasko do twarzy — pomarszczony i wrażliwy, jak ryjek nietoperza. Nawet gdyby wampir stracił wzrok, ów ryjek i wywinięte uszy informowałyby go o ruchach przeciwników tak samo pewnie, jak szkarłatne oczy. Prawa okryta rękawicą dłoń rozszerzyła się, wypełniając bez reszty owo straszliwe narzędzie i przydając mu jeszcze ciężaru, lewa zaś przypominała szponiastą łapę jakiegoś jaszczura, zakończoną groźnymi, chitynowymi dłutami. Tak więc, pomimo człekopodobnej sylwetki, w rzeczywistości był hybrydą, potwornym wojownikiem, wampirem.

Pierwsza niedźwiedzica, ślizgając się niezdarnie, wpadła na pole walki i zaraz się wyprostowała. Lord zaczekał, aż podejdzie, po czym w ostatniej chwili przykucnął i rzucił się na jej masywne łapy. Przywarł do nich, otoczył je rękami i jednym szarpnięciem rękawicy przeciął ścięgna. Zwierzę, wyjąc, zważyło się na niego i, zanim zdołał umknąć, rozdarło mu grzbiet, aż do kręgosłupa. Ledwie

poczuł ból, zdusił go, poskromił siłą swej woli i zrzucając z siebie okaleczoną niedźwiedzicę, poszukał wzrokiem jej roślejszej towarzyszki. Była tuż, tuż!

Olbrzymie łapy spadły na niego w chwili, gdy sunął na poranionych plecach. Potężne szczęki zacisnęły się na lewym przedramieniu, którym osłonił twarz. A kiedy ogromny łeb pastwił się nad jego ręką, a pazury rozdzierały ciało, rękawica zakreśliła śmiercionośny łuk. Uderzyła, rozgniatając ucho i wcinając się w oko. Niedźwiedzica poderwała się, podnosząc jednocześnie wampira. Lewą rękę znów miał wolną, ale zmiądzoną, chwilowo bezużyteczną. Gdyby tak owe potworne szczęki zwały się na jego karku lub ramieniu, byłby skończony.

Rycząc z bólu i furii, niedźwiedzica potrząsnęła czerwonym, poszarpanym łbem. Krople jej krwi dosięgły oczu Szaitisa. Zignorował je, a kiedy nachyliła swój rozwarty pysk nad jego twarzą, wbił weń rękawicę. Zęby rozprysły się jak ścięte łebki gwoździ. Ale Lord wpychał swą potworną broń jeszcze głębiej, wierząc nią w lewo i w prawo, i rozpychając gardziel, aż dosięgnął przełyku.

Zwierzę chwiała się na wszystkie strony, bezskutecznie wymachując łapami. Wampir rozprostował palce i wyrwał je z paszczy, rozbijając doszczętnie dolną szczękę niedźwiedzicy. Podczas gdy tłukła się bezładnie, rękawica raz jeszcze zatoczyła łuk, tym razem wysuwając żelazne kolce. Przez czerwoną miazgę, która kiedyś była uchem zwierzęcia, wbiła się w czaszkę i wgniatając delikatną kość, przeniknęła do mózgu.

Niedźwiedzica została pokonana, sapała i parskiała; chwiejąc się, darła łapami powietrze. Szaitis ostatkiem sił znów wepchnął rękawicę w bezwładne szczęki, sięgając w głąb gardzieli. Zacisnął palce na stosie kręgowym, zgniótł go i przerwał. Zwierzę zdechło, stojąc — w jednej chwili pozbawione głowy. W chwilę później lód zadrżał, przygnieciony jego wielkim cielskiem.

Wampir dopadł do niego jednym susem, zanurzył swój potworny pysk w roztrzaskanej czaszce i nasycił się parującym szkarłatem. Krew to życie!

Po jakimś czasie wstał. Druga niedźwiedzica zostawiła za sobą krwawą ścieżkę. Wlokąc bezwładne łapy, kreśliła na lodzie szalone wzory. Lord, poskramiając ból, ruszył jej śladem. Kiedy nadarzyła się okazja, rozszarpał do reszty mięśnie i ścięgna przednich łap okaleczonego zwierzęcia. A kiedy już całkiem je unieruchomił, rozdarł mu krtań, pozwalając, by parujące resztki życia wylały się na lód.

I znów sycił się gorącą, aromatyczną krwią, czując, jak wracają mu siły. Czekał na szczycie lodowego klifu lotniak pokiwał wielkim, romboidalnym łbem.

— Przybądź! — Szaitis rozkazał mu.

Stwór posłuchał rozkazu. Ślizgając się na skraju otchłani, rozwinął mrowie swych wężowatych nóg, odepchnął się do lotu i poszybował w morze. Tam opuścił jedno błoniaste skrzydło i zawrócił. Osiadł na brzegu, zachowując podyktowany szacunkiem dystans, potem jednak, na wyraźne polecenie swego pana, podfrunął do padliny.

Wampiry Lord wyciął z piersi niedźwiedzie wielkie, dymiące serca i ukrył je w sakwie. Przydadzą się później. Cofnął się i usiadł na bryle lodu.

— Jedz — polecił lotniakowi. — Nabierz paliwa.

I tak, skąpany w blasku księżyca i gwiazd, potworny odmieniec odzyskał wiele ze swego żaru, tłuszczów i soków.

— Tak, najedz się — powiedział Szaitis. — Długo nie będzie tak pożywnego mięsiwa. Dopiero kiedy znów dojdę do siebie.

A później stopniowo uwalniał swój ból; czuł rozdarte plecy, zmiażdżone ramię i żebra połamane uderzeniami niedźwiedzich łap. Udręka, potworna udręka! Jego wampiry rdzeń również cierpiał — tym prędzej powinien zacząć leczenie.

Bywały już takie chwile po ciężkim i zwycięskim boju, kiedy ból był mu miłszy niż soczyste wnętrze kobiety. Lord z dumą pławił się w swym cierpieniu, czując, jak rany zaczynają się zasklepiać. Mógł właściwie zachować kilka z nich — otwartych lub też ledwie zabliźnionych — jako pamiątkę owego zwycięstwa.

Tylko... któż miałby je podziwiać?

* * *

I znów Szaitis odbył długi lot, aż w końcu wypatrzył lodowe zamki, w których odbijały się wężowe skręty zorzy polarnej. Budowle przypominały wieżycy, orle gniazda. W szerokiej piersi Lorda załomotało nagle serce. Zastanowił się, jakiego rodzaju istotami były, skoro przyszło im znosić tak niskie temperatury, panujące wszecławadnie na lodowych pustkowiach. Albinosy, podobnie jak owe mityczne nietoperze; może nawet porośnięte białym futrem, chroniącym je przed mrozem? Jaka była ich wartość odżywcza? I chyba najważniejsze: jak zareagują na jego widok?

Skierował swego lotniaka znacznie wyżej, by lepiej przyjrzeć się skutej lodem krainie. Dalej, na północy, może na najdalszej północy, ze zmarzliny i naniesionego przez wiatr śniegu wyłaniały się kraterzy wygasłych wulkanów. Ich malejące szeregi ciągnęły się na prawo i lewo, jak tylko okiem sięgnąć; zniknął za błyszczącym, mroźnym widnokrzem. Część z nich pokrywał lód, inne jawiły się jako nagie skały. Szaitis domyślił się więc, że te ostanie musiały zachować coś ze swego wewnętrznego ognia.

Utwierdził się w tym przekonaniu, kiedy zobaczył, że ze środkowego, najwyższego stożka sączy się smużka dymu. Obraz ten zaraz jednak zniknął, mógł więc być tylko złudą, wywołaną przez wszechobecny blask. Blask gwiazd i blask zorzy. Zdawało się, iż cały strop świata przesyca upiorne, błękitne światło dnia! Ale wampiry nie przywiązywały większej wagi do kwestii światła, ich żywiołem była przecież noc. Ich oczy widziały nawet w najgłębszej ciemności.

Lodowe wieżyce zaś Lord poddał jak najdokładniejszym oględzinom. W porównaniu z zamczyskami z kości i kamienia, jakie niegdyś górowały nad Gwiezdną Krainą, były po prostu kretowiskami — nawet najwyższe nie sięgały połowy najniższej z tamtych iglic. Tam, gdzie nie pokrywały ich śniegowe czapy, widać było wyraźnie, że są z najczystszej lodu; odwrócone, ogromne sople, otaczające koncentrycznymi kręgami środkowy wulkan. Dzięki światłu, które wnikało przez ich szczyty, Szaitis mógł się przekonać, że całe są z owego tworzywa, jedynie u ich podstaw dostrzegał kamienny rdzeń. Przypuszczał, że za swoich wielkich dni środkowy wulkan porozrzucał dookoła ogromne ilości materii, formując z owych bryzgów koła, podobne do tych, jakie tworzy garść błota wrzucona do sadzawki. A potem, przez stulecia, obrosły one lodowymi powłokami, stopniowo przeradzającymi się w poszczerbione, spiczaste wieżyce.

Już na pierwszy rzut oka widać było, że lodowe zamki nie nadają się do zamieszkania. Wampir mógł właściwie lecieć dalej. Zobaczył jednak u podnóża jednego z tych zamczysk coś, co wyglądało na wyczerpanego — a nawet zamarznętego — lotniaka i opadł w dół, by mu się lepiej przyjrzeć. I znów na lądowisko wybrał skraj lodowego klifu, zostawił tam swego wierzchowca i przemierzywszy jeszcze pół mili, zbliżył się do stwora leżącego bezwładnie na śniegu. Spoczywał pokryty szronem, wychudzony i zapewne martwy. Zapewne. Jednakże Szaitis doskonale wiedział, jak trudno jest zabić taką istotę. Lotniaki, podobnie jak ich twórcy, wyróżniały się niezwykłą wytrzymałością.

Wampir wysłał do mózgu owej ogromnej romboidalnej płachty, liczącej sobie może z pięćdziesiąt stóp rozpiętości, sygnał mający ją poruszyć, lub nawet podnieść. Nie zareagowała, co go właściwie nie zdziwiło, gdyż mózdzki lotniaków nader rzadko posłuszne były bodźcom, nie płynącym z umysłu ich pana. Mógł się jednak spodziewać jakiejś oznaki zaciekawienia, wynikającej choćby z faktu, że oto nieznanemu zwierzęciu wampirzy Lord wydaje nic nie znaczące polecenia. Nie doczekał się wszakże żadnej reakcji, a to oznaczało, że mózg jest martwy. A skoro mózg, to i wielkie cielsko.

Wspiąwszy się na zimny, garbaty grzbiet, aż do nasady karku, gdzie skrzydła łączyły się z sobą, Szaitis przyjrzał się siodłu i uprzęży. Rozpoznał utrwalony na skórze herb pana i twórcy tego lotniaka: karykaturalną twarz, zniekształconą nadmiarem ogromnych narośli i brodawek! A potem uśmiechnął się sardonicznie i pokiwał głową. Latający stwór należał do Lorda Pinescu.

Volse Pinescu: najszpetniejszy ze wszystkich wampirów, mający w zwyczaju ozdabiać ropiejącymi wrzodami i sznurami czyraków swe oblicze i ciało, by uczynić je jeszcze bardziej przerażającym. To, że i Volse tu trafił, Szaitisa poniekąd zdziwiło, gdyż na własne oczy widział, jak po bitwie o Ogród Rezydenta dosiadający okaleczonych lotniaków Lord Pinescu i Fess Ferenc zwalili się pośród kłębow kurzu na skalistą równinę. Myślał, że z nimi już koniec. Albo koniec, albo przyszło im pieszo uciekać na północ. Pomylił się jednak... przynajmniej,

jeśli chodziło o Volve'a. Ten stary, chytry diabeł musiał mieć w rezerwie jeszcze jednego lotniaka, tak na wszelki wypadek.

Zastanawiał się, co z „wielkim Ferencem” — bo tak pragnął być nazywany. Czyżby i on tu się znalazł? Fess Ferenc, człowiek, czy też potwór, przed którym szczególnie należało mieć się na baczności. Przy liczącym sobie sto cali wzrostu, wielkim Ferencem, karłały nawet ogromne niedźwiedzice, które zabił dla mięsa. To właśnie Ferenc, jako jedyny z wampirów, nie nosił rękawicy. Nie musiał — jego palce były morderczymi szponami! Szaitis pomyślał, że na lodowych pustkowiach mogło się jeszcze zrobić całkiem interesująco...

Zasiadł w siodle Volve'a, żując niedźwiedzie serce.

— Chodź, jedz! — zawołał do lotniaka.

Kiedy ów stwór nadleciał i usadowił się na lodzie, Szaitis zsunął się z siodła i obszedł ciało martwego zwierzęcia. Ktoś wyżarł dziurę w boku lotniaka, rozcinając żyły grube jak kciuki, wysysając krew, a następnie wiążąc je w węzły. Wampirzy Lord wysnuł z tego wniosek, że Volve Pinescu przeżył swego powalonego wierzchowca. Pojawiło się nowe pytanie: gdzie teraz przebywał?

Wyteżył swe wampirze zmysły, wysyłając telepatyczną sondę. Nie po to, by do kogoś mówić, ale by słuchać. Nic nie usłyszał. A może echo zatraskującego się pospiesznie umysłu? Jeżeli Volve i Fess przebywali gdzieś w tych stronach, milczeli. I znów Szaitis uśmiechnął się sardonicznie. Przegranych nikt nie okłaskuje. Wiedział, że gdyby zdobył Ogród Rezydenta, wszystko wyglądałoby inaczej; gdyby go zdobył, nie trafiłby tutaj.

Podczas gdy lotniak się sycił, Lord przyglądał się lodowemu zamczysku. Ta zimna, błyszcząca rzeźba była w zasadzie dziełem Natury. Ale nie całkiem. Toporne stopnie z czasem się zaokrągliły, jednakże przedtem ktoś musiał je wyciosać. Wiodły do łukowatego wejścia, ukrytego pod fasadą potężnych sopli. W głębi dostrzegł kamienny trzon zamku, mroczny i niegościnnie.

Szaitis wspinał się po stopniach, wszedł do środka i zagłębił się w lodowy labirynt, czując, jak szron skrzypi mu pod stopami. Czuł też, że czai się tu coś strasznego — a może coś strasznego się tu wydarzyło — i po raz pierwszy od spotkania z Rezydentem lękał się Nieznanego.

Zamek przepęłniły echa i złowieszcze jęki. Echo było odbiciem kroków Lorda, przekształconym jednak przez wnęki i zakamarki w głucho, basowe zgrzyty albo szумы, przywodzące na myśl kry ścierające się na wzburzonym morzu albo trzaskanie lodowych wrót. A owe jęki to tylko świst mroźnego wiatru, wnikającego w wieżycę zamku, spotęgowany przez lód i przemieniony w skowyt konającego potwora.

— Nie wyobrażam sobie — wyszeptał Lord, chcąc może dodać sobie otuchy — aby człowiek, nawet wampir, mógł tutaj żyć, gdyby się nie przystosował. O tak, mógłby przez jakiś czas, zapewne przez sto wschodów słońca. Choć tutaj

zawsze trwa noc — ale w końcu zimno by go zmogło. I chyba pojmuję, co by przeżywał.

Wampir na pewno nie umarłby. Żyłby tu, dopóki nie ściałby go albo nie zmiażdżył walący się lód. Ale cóż miałby z tego życia? Moi przodkowie usuwali swych wrogów na trzy sposoby. Tych, którymi gardzili, grzebali jako nieumarłych, by się zmienili w kamień. Tych, którzy knuli, zsyłali do Krainy Wiecznych Lodów. Tych zaś, których się bali, wypędzali z Gwiezdnej Krainy przez sferyczną Bramę. Któż może powiedzieć, która kara była najsurowsza? Iść do piekła, obrócić się w lód, a może skamienie? Ja na pewno nie chciałbym stać się bryłą lodu!

Owe wydechane głośno myśli opuszczały go jako szept i wracały spotęgowane jako łoskot. Przypominało to szeptanie w jakiejś pełnej pogłosów jaskini, tyle że te lodowe labirynty były o wiele bardziej akustyczne. Sople zwisające z wysoko sklepionych stropów wibrowały, kruszyły się i wreszcie spadały. Niektóre z nich na tyle były duże, że Szaitis musiał uskakiwać w bok.

Z tej przyczyny, kiedy już zapanował spokój, postanowił opuścić zamek... i w tej samej chwili w jego telepatycznym umyśle rozległ się dochodzący z oddali, niksący i drżący głos.

— Czy to ty, Szaitanie? — Usłyszał. — Przybyłeś po tych wszystkich wiekach, by mnie odnaleźć i pochłonąć? Wiedz zatem, że czekałem na to! Jestem tu, tu na górze. Przyjdź, skończ ze mną. Lodowate stulecia zmroziły mą, ognistą niegdyś, wampirzą namiętność. Przyjdź więc, pospiesz się i zdmuchnij ten ostatni ledwie pełgający płomyk!

ROZDZIAŁ DRUGI

Wygnańcy

Szaitis, zdumiony, przykucnął i rozejrzał się powoli. Widział jedynie lód, ale był już pewien, że w owym zamku kryło się coś jeszcze. Po chwili, mrużąc szkarłatne oczy, nadał swym myślom kształt pytania.

— Kto to mówi?

— Co takiego? — W jego umyśle znów zabrzmiał ten sam słaby, rozedrgany głos, ale tym razem dało się też wyczuć drwiące parsknięcie. — Nie rozśmieszaj mnie, Szaitanie! Wiesz doskonale, kto to mówi! A może owe długie, spędzone w samotności lata pomieszały ci rozum? Mówi Kehrl Lугоz, stary czarcie! Razem nas wygnano; czas jakiś żyliśmy w jaskiniach wulkanu; byliśmy nawet przyjaciółmi, dopóki było mięso. Ale kiedy się skończyło, nasza przyjaźń przysła. I uciekłem, póki jeszcze mogłem.

„Kehrl Lугоz? — Szaitis zmarszczył brwi, próbując przywołać z pamięci legendy tak stare, jak rasa wampirów. A ów Szaitan, do którego się zwracał ukryty rozmówca... to chyba nie sam Szaitan?”

Znów zmarszczył brwi, a jego podejrzenia przerodziły się w ciekawość.

— Gdzie jesteś? — zapytał.

— Gdzie jestem od... Od jak dawna? Zachowany w lodzie, nie umarły: oto, gdzie jestem. Od niepamiętnych czasów śnię w mym mroźnym piekle. A ty, Szaitanie? Jak się tobie wiodło? Czy wulkan dawał ci ciepło? A może jego ogień powrócił, by cię wygnać?

Śni w mroźnym piekle? Ten sam scenariusz, który Szaitis przywołał chwilę czy dwie temu! Kehrl Lугоz, kimkolwiek był, mówił do niego przez sen. Może poruszyło go spadanie wielkich sopli?

— Mylisz się — odpowiedział z lekką ulgą wampirzy Lord. — Nie jestem Szaitanem. Co najwyżej, synem jego synów, ale zwę się Szaitis. Nie Szaitan.

— O? Ha ha ha! — Tamten uznał jego słowa za gorzki dowcip. — Do samego końca Władca Łgarzy, co, Szaitanie? Jak zawsze, przewrotny. Tak, tyś był najgorszym spośród łotrów. Ale jakie to ma teraz znaczenie? Przyjdź do mnie, jeśli chcesz — albo przepadnij i pozwól mi dalej śnić.

Głos zamarł, jego właściciel zapadł w sen zimowy, a Szaitis, koncentrując wszystkie swe wampirze zmysły, nabrał nieomal pewności, że zlokalizował jego źródło. „Jestem tu” powiedział na początku ów telepatyczny głos. Gdzieś na górze.

Szaitis znajdował się w samym sercu wydrążonego, wyrzeźbionego przez wiatr zamku. Miał przed sobą uwieczony w czystym, grubym na trzy stopy lodzie, masywny trzon, chropowatą skałę wulkaniczną, sięgającą w górę niczym skostniały korzeń szklanego zęba; kamienną plwocinę pradawnego wulkanu.

Śliskie schody wyrąbane w zimnym kryształach, które oplatały ów skalny fundament, znikwały w rozświetlonych, lodowych grotach. Wampirzemu Lordowi nie pozostawało nic innego, jak tylko nimi pójść. Wspiął się na oszronione stopnie i wszedł niemal na sam poszczerbiony szczyt kolumny, gdzie czarny kamienny pazur strzelał w niebo, grożąc, że wyrwie się z lodowej powłoki. Tam właśnie, przenikając wzrokiem lód tak twardy jak gład, Szaitis odnalazł w końcu tego, którego słyszał w korytarzu na dole.

Był tam, zakuty w błękitny lód — siedział wyprostowany w bazaltowej wnęce, jedną rękę opierając lekko na skale, niczym na oparciu ulubionego fotela — człowiek tak stary jak czas, zmęczony, wyschnięty, niesamowity! Uwieczony jak mucha w bursztynie, o oczach zamkniętych, nieruchomym ciele i obliczu równie smutnym jak jego los. A mimo to siedział tak dumnie, z głową uniesioną wysoko na chudej szyi — było w nim coś, co jednoznacznie przypominało o jego rodowodzie, o tym, że był wampirem!

Szaitis dotknął gładkiej ściany lodu. Naciskał coraz mocniej, aż dłoń zrobiła się zimna i płaska. Minęła minuta, potem druga i wreszcie...

Ciche, tak bardzo ciche i odległe stuknięcie, a jednak dało się wyczuć. I po kolejnych dwóch minutach... i znowu. Kehrl Lugoż żył. Choć serce biło bardzo powoli, choć jego ciało było skamieniałe, i to niemal całkiem, wciąż jeszcze żył. „Tylko — zapytał siebie Lord — czy to naprawdę jest życie?”

Przyglądał się uważnie tej wyschniętej istocie; studiował ją przez ten trzystopowy lód, który mimo iż czysty zamazywał obraz i zniekształcał go przy najdrobniejszym nawet ruchu. Szaitis pojął, że zna już odpowiedź na inne ze swych niedawnych pytań: co jest gorsze — być pogrzebanym jako nieumarły, zostać zesłany do piekielnych krain czy na te pustkowia? Wampirzy Lord zadrżał na samą myśl o tych wszystkich nienazwanych stuleciach, jakie minęły od chwili, gdy Kehrl Lugoż zasiadł tu, czekając, aż pokryje się lodem.

Kehrl Lugoż za bardzo się zestarzał, by można było określić jego wiek. Po wampirach nie zawsze widać, że się starzeją. Sam Szaitis miał przeszło pięćset lat, a wyglądał na dobrze utrzymanego pięćdziesięciolatka. Ale Kehrlowi Lugożowi warunki, jakich zaznał, nie pozwoliły na ukrycie starości. Tak, wyglądał na rówieśnika czasu.

Brwi nad zamkniętymi, wyraźnie skośnymi oczyma były krzaczaste i białe, jak całe ciało — dotknięte lodem. Nad brązowym i porytym zmarszczkami, niby orzech, czołem rysowała się śnieżna aureola włosów, a białe kudły bokobrodów po części przesłaniały konchy uszu. Starcza twarz była nie tyle pomarszczona, co raczej poradlona, zmumifikowana jak u troglodyty, który zmarniał, spędziwszy zbyt wiele czasu w kokonie. Szare policzki zapadły się; na sterzącym podbródku rosła kępka białych włosów. Zęby boczne, zachodzące niczym kły na wyschniętą dolną wargę, były żółte — a ten z lewej, złamany. Skostniały wampir nie znalazł w sobie dość siły, by wyhodować nowy.

Nozdrza owego krótkiego, pomarszczonego nosa — znacznie bliższego rykowi nietoperza niż nosy większości wampirów — wyglądały na nadżarte; Szaitis przypisał to jakiejś chorobie. Poniżej podbródka widać było wielką fioletową narośl, przypominającą podgardle pewnego ptaka ze Słonecznej Krainy, pęczniące w okresie godowym.

Kehrl Lugoż miał na sobie prostą czarną szatę z odrzuconym w tył kapturem i szerokimi rękawami, które miękko spowijały kościste ręce. Spod wiszącego luźno rąbka wyłaniały się cienkie tydki. Tyle że owe rękawy i rąbek w rzeczywistości nie wisały luźno; były zamrożone, zwarte jak kamień. Z szaty wystawały dłonie o niezwykle długich palcach uzbrojonych w ostre, spiczaste paznokcie. Na wskaźującym palcu prawej ręki lśnił duży złoty pierścień. Wampir nie mógł jednak dojrzeć wyobrazonego na nim godła. Żyły, rysujące się wyraźnie na grzbietach dłoni, były białe, nie oliwkowe albo fioletowe. Ten osobnik długo przed swym zamrożeniem musiał obywać się bez krwi.

— Zbudź się! — zaapelował Szaitis. — Chcę poznać twą historię, twoje tajemnice. Właśnie to, gdyż zdaje mi się, iż sam stanowisz historię wampirów. Czy Szaitan, o którym mówiłeś, to Szaitan Odwieczny? On i jego uczniowie zostali wygnani na lodowe pustkowia w czasach, z których początek wzięły wszystkie nasze legendy. Czyżby jeszcze tu byli? Jakim sposobem? Nie, w to nie mogę uwierzyć. Zbudź się, Kehrlu Lugozie! Odpowiedz na moje pytania.

Żadnej reakcji. Prastary stwór pogrążony w lodzie powrócił do swoich snów. Jego wyschnięte serce wciąż biło, ale chyba wolniej. Umierał. Długowieczność, nawet przy totalnym bezruchu, nie równa się nieśmiertelności.

— Niech cię cholera! — warknął głośno Szaitis. Przekleństwo wróciło do niego echem wraz z innymi odgłosami z najgłębszych czeluści zamku. Zaczekał, aż owe echa zamrą, ustępując miejsca upiornemu zwodzeniu mroźnych wichrów, i rozesłał na wszystkie strony swe wampirze zmysły. — Czy ktoś tu jest?

Jeżeli był, potrafił zręcznie zataić swą obecność. Chyba że... I nagle Lord przypomniał sobie o lotniaku, którego zostawił przy padlinie. Jeśli ktoś znalazłby go tam...

Dosięgnął hybrydy swoim umysłem. Odkrył, że się wciąż jeszcze obzera. Znów zaklął soczyście, ale tym razem tylko w myśli. Nie zdołałby teraz podnieść tej bestii. Ale przynajmniej postanowił odesłać ją gdzieś dalej.

— Idź — nakazał jej. — Człap, koleb się, czołgaj się, ślizgaj, ale idź stąd! Na zachód, jakieś pół mili dalej. Tam się ukryj. Jednym słowem, rób, co możesz. — Poczuli, że głupie stworzenie z miejsca posłuchało rozkazu.

Zadowolony, że lotniak oddala się już od martwego wierzchowca Volsę'a i tego, co mogło — kto mógł — czyhać w pobliżu, Szaitis znów zajął się swoim problemem. Poprzednio starca uwięzionego w lodzie zbudziło spadanie sopli. Niech i teraz tak będzie.

Badając górny taras, wampirzy Lord odkrył potężny lodowy nawis, coś jak zamarznęty wodospad, otoczony podobnymi, lecz mniejszymi formacjami. Jeden z takich sopli, czterostopową drzazgę, której średnica liczyła sobie jakieś dziewięć cali, odłamał i zaniósł przed uwięzioną w lodzie łupinę zwaną Kehrlm Lugoziem. Pomyślał, że skoro ten stary, skamieniały dureń nie reagował na bodźce myślowe, niech go obudzi absolutnie fizyczne zjawisko: rozbitcie owego lodowego ostrza o jego więzienie.

Pochłonięty czekającym go zadaniem, Szaitis nie czuł nawet, że ktoś skrada się po błyszczących schodach.

— Kehrlu Lugozie, zbudź się! — krzyknął do skostniałej, zniekształconej przez dzielącą ich powłokę istoty.

Potem uniósł lodowy młot, by rąbnąć nim w tę skorupę. Jednak... coś go powstrzymało!

Sycząc i zionąc gniewem z głębi czerwono żebrowanej gardzieli ponad połyskliwym, wibrującym łukiem rozdwojonego języka i wytrzeszczając szkarłatne ślepie, tkwiące w obliczu, które z miejsca zatraciło resztki ludzkich rysów, przegradzając się w wilczą maskę, Szaitis zerknął przez ramię, wypuścił z dłoni sople i sięgnął po rękawicę. Ale w tej samej chwili jego przegub usidliła szponiasta łapa. Wampirzy Lord zobaczył nad sobą posępne, szare twarze dwóch niedobitków z walk o Ogród Rezydenta: Fessa Ferenca i Volsę'a Pinescu!

Wyrwał rękę i odskoczył od nich.

— Niech was szlag! — warknął. — Ale się nauczyliście skradać!

— Nauczyliśmy się wielu rzeczy — wykrztusił Volsę Pinescu. Mówił niewyraźnie, przeszkadzała mu zaschnięta ropa zlepiająca wargi. — Nawet i tego, że można poskromić ogniem, rozbić i zmiażdżyć „niezwyciężoną” armię Szaitisa, obrócić w proch wieżyce, a niedobitków przegnać niby psy, na wieczną lodową pustynię.

Ohydna twarz Volsę'a posiniała z wściekłości. Zbliżył się do Szaitisa, ciężki i groźny. Ferenc zachował się bardziej powściągliwie. Obdarzony ogromnym wzrostem, siłą oraz potwornymi szponami, nie musiał silić się na gniew.

— Mnóstwo straciliśmy, Szaitisie — zadudnił. — Dopiero gdy tu trafiliśmy, uświadomiliśmy sobie, jak wiele. To zimna i pusta kraina.

— Zimna? — zadrwił Szaitis. — Czymże jest zimno dla wampira? Przyzwyczajacie się.

Volse agresywnie wysunął głowę w przód, aż kilka krost na lewej stronie szyi rozprysło się i na lód spadły żółte krople ropy.

— Tak? — warknął. — Tak, jak on się przyzwyczał? — Oстрым ruchem ohydnie przystrojonej głowy wskazał na Kehrla Lugoza, siedzącego nieruchomo zaledwie o nieprzeniknione dwa metry dalej. — Jak on i wszyscy inni, których tu znaleźliśmy zakutych w swe lodowe twierdze?

— Inni? — Szaitis popatrzył niepewnie na Ferenca, a potem znów na Volse'a.

— Całe tuziny — potwierdził w końcu Fess Ferenc, kiwając nieproporcjonalnie wielką głową. — Wszyscy zagarnięci przez lód, chwytający się słomki, czekający na chwilę, aż przyjdą jakieś magiczne roztopy i uwolnią ich, dając w zamian władzę nad pełnymi życia ziemiami. Albo — aż umrą. Tutejsze zimno w niczym nie przypomina chłódów panujących w Gwiazdnej Krainie. Tutaj trwa ono wiecznie! Przyzwyczaj się do niego? — powtórzył za Volse'em Pinescu. — Oprzeć się mu? Rozgrzać się? Przeciwstawić mu nasz wewnętrzny ogień? Ale ogień potrzebuje paliwa, a krew jest życiem! Czym mamy się żywić, „przyzwyczajając się” Szaitisie, krew stygnie, strużka za strużką, godzina za godziną. Stawy sztywnieją i nawet najsilniejsze serce bije wolniej.

— Pytasz, czym jest zimno dla wampirów? — podjął Volse. — Ha! Ile razy było ci zimno w Gwiazdnej Krainie, Szaitisie? Odpowiem za ciebie: ani razu! Rozgrzewał cię żar łowów, ogień bitewny, gorąca i słona krew troglodyty albo Wędrowca. Twoje łóżko o każdym wschodzie słońca było ciepłe i gościnne, podobnie jak piersi i pośladki pożądlivych kobiet, wysysających żądło z twego ogona. Wszystko to dawało ciepło. Tak, jak każdemu z nas! Aż wreszcie nasz „przywódca” oświadczył: „Połączmy siły i zajmijmy Ogród Rezydenta”. I jak na tym wyszliśmy?

Szaitis popatrzył na Ferenca, który wzruszył ramionami.

— Jesteśmy tu dłużej niż ty — powiedział olbrzym. — Zimno tu i my też przemarzliśmy. Co gorsza, zgłodnieliśmy... — Jego głos zamienił się w głuchy pomruk.

Ręka Volse'a dotknęła obrzydliwej rękawicy wiszącej na biodrze... od niechcienia... a może rozmyślnie. Ten gest mógł znaczyć wszystko. Szaitis wolał się odsunąć.

I kiedy czując zagrożenie, sam wepchnął dłoń w rękawicę i rozprostował palce, prezentując błyszczące noże, tarniki i zdatne do cięcia krawędzie, Fess Ferenc uniósł brew.

— Dwóch na jednego, Szaitisie? — szepnął. — Lubisz takie proporcje?

— Nie bardzo — syknął Lord — ale zapewniam was, że stracie co najmniej tyle krwi, ile zdołacie sami wypić! Gdzie tu sens?

Volse odchrząknął i splunął żółtą flegmą.

— A jednak warto to zrobić! — wycedził.

Przykucnął; teraz i on miał założoną rękawicę.

Jednakże Ferenc rozluźnił się, odszedł na bok i raz jeszcze wzruszył ramionami.

— Wy obaj walczcie, jeśli chcecie — powiedział. — Jeżeli o mnie chodzi, ja wolałbym coś zjeść. Pełne brzuchy łagodzą zapalczywość, a nasycone krwią mózgi rozumują przemyślniej.

Być może ta maksyma nie przekonałaby ludzi, ale z pewnością przemawiała do wampirów.

Volse, zobaczywszy, że został sam, zastanowił się.

— Ha! — parsknął znowu, tym razem adresując to do Ferenca.

— Wygląda jednak na to, że twój mózg, Fess, pracuje dobrze, nawet niedokrwniony! Gdybym zdecydował się na walkę z Szaitisem, ty pożywiłbyś się tym, który przegra, i tak stałbyś się silniejszy od zwycięzcy! — Pokiwał głową i zdjął rękawicę. — Aż takim głupcem nie jestem.

Ferenc podrapał się w wydatną szczękę. Uśmiechnął się krzywo.

— To dziwne, ale zawsze miałem ciebie za aż takiego głupca. . .

Szaitis, wciąż jeszcze czujny, przytroczył rękawicę do pasa, skinął głową i wyjął z sakwy sine serce, wielkie jak jego pięść.

— Macie, skoro jesteście głodni. — Rzucił je. Volse schwycił mięso, nim dotknęło lodu i wpił w nie ociekające śliną szczękę. Ferenc tylko pokręcił głową.

— Dla mnie czerwone i soczyste — oznajmił. — Kiedy już do niego dotrę.

Szaitis zmarszczył brwi i mrużąc podejrzliwie oczy, przyjrzał się olbrzymowi schodzącemu po lodowych stopniach.

— Jakie masz plany? — szczechnął. — Kogo zabijesz?

— Nie kogoś, tylko coś — rzucił przez ramię Ferenc. — I nie zabiję, a będę stopniowo opróżniał. Myślałem, że to oczywiste.

Lordowie, ślizgając się, ruszyli za nim.

— Co takiego? — zapytał Volse, usta mając wciąż zapchane mięsem niedźwiedzicy. — Co jest oczywiste?

Ferenc obrzucił go spojrzeniem.

— A czym się żywiłeś, kiedy twój wyczerpany lotniak zwałił się tutaj?

— Aha! — Volse wypluł kawałki chłodnego, ciemnego serca.

— Co? — Szaitis złapał Ferenca za potężne ramię. — Mówisz o moim lotniaku? Uwięziłbyś mnie tu na zawsze?

Wielki Ferenc zatrzymał się, odwrócił i popatrzył mu prosto w oczy. Ten olbrzym patrzył mu prosto w oczy, mimo iż stał dwa stopnie niżej!

— A czemu nie? — zapytał. — Wydaje mi się, że to przez ciebie wszyscy jesteśmy tu uwięzieni.

— Nie! — przychnął Lord, raz jeszcze sięgając po rękawicę — ale Ferenc natychmiast zmiotł go ze schodów.

Szaitis spadał. Zbyt osłabiony i ograniczony brakiem przestrzeni, by rozwinąć skrzydła, mógł jedynie zacisnąć zęby i czekać, co przyniesie mu siła ciężenia. Lecąc w dół, objął się o lodowe parapety, ale nie odniósł poważniejszych obrażeń. W końcu uderzył ramieniem i piersią — w śnieg! W litościwy śnieg.

Wiatr naniósł go tu przez łukowate okno, tworząc głęboką na trzy lub cztery stopy zasnę, pokrytą cienką skorupą lodu. Lord zmiażdżył tę ostatnią i zgniótł tę pierwszą, wybijając sobie ramię i łamiąc parę świeżo zrosniętych żeber. A potem już tylko leżał, potwornie obolały, i w głębi czarnego serca przeklinał Fessa Ferenca.

Ferenc usłyszał go.

— Kluj, ile tylko zapragniesz, Szaitisie. Ale pewien jestem, że przyznasz mi rację. Tak będzie, bo przecież chodzi tu o wybór: ty czy twój lotniak. Volse wybrałby ciebie, gdyż masz w sobie wampira! Najczystsza esencja wampiryzmu! Ja osobiście sądzę, że lepiej będzie, jak zostaniesz żywy. Choćby przez jakiś czas.

Lord podniósł się i chwiejnie odszedł, szukając miejsca, gdzie mógłby się skryć. Podał się bólowi, świadomie przywołując wszystkie cierpienia, jakich przysporzył mu upadek w Gwiezdnej Krainie, kiedy to połamał sobie kości i zmiażdżył twarz. Wskrzesał też udrękę, spowodowaną przez walkę z niedźwiedzicami — a wszystko po to, by spotęgować obecny ból. Stworzył pozory poważnych obrażeń, licząc na to, że wampirzy umysł Ferenca odbierze je i błędnie zinterpretuje. Volse też mógł je odczytać, w to jednak Szaitis wątpił. Miłośnik ohydy był tępakiem, nazbyt zafascynowanym produkowaniem ropni.

— Co? — Ferenc, mimo iż nadal chłodny, wyglądał na trochę zaskoczonego. — Aż tyle bólu? Czyżbyś spadł na twarz, Szaitisie? — Zaśmiał się ponuro. Cóż, wiesz teraz, co ja czułem, skoro nawet widok twojej twarzy sprawiał mi ból.

Szaitis nie mógł puścić tego płazem.

— Śmieję się długo i głośno, Fessie Ferencu! Ale pamiętaj: ten się śmieje...

Wampirzy Lord wyczuł, że śmiech Ferenca cichnie.

— Rany nie są tak groźne? Szkoda. A może tylko grasz dzielnego? Jak by nie było, sądzę, że powinienem cię ostrzec. Nie przeszkadzaj mi, Szaitisie. Jeśli myślałeś, że nakażesz lotniakowi uciec, zapomnij o tym. Nie znajdziemy twego wierzchowca, to wrócimy po ciebie, możesz być pewien. Jeśli zaś rozkażesz mu nas zaatakować, to i tak triumf będzie należał do nas. Jak doskonale wiesz, lotniaki nie nadają się na wojowników; nasze myśli podziurawia go niczym strzały. A potem zajmiemy się tobą! Jeżeli jednak nie będziesz protestował i pozwolisz nam robić swoje, już niedługo... no, przynajmniej będziesz wiedział, dokąd iść,

jeżeli zgłodniejesz. Dopóki starczy twego lotniaka, dopóty i ty pożyjesz, wampirze Szaitisie.

Lord znalazł w zakamarkach zamku głęboką, osłoniętą wnękę i ukrył się w niej. Owinął się płaszczem i wytlumił swą rozwibrowaną, wampirzą aurę. Nadeszła pora na wygojenie ran. Chciał się przespać, by zachować energię. Zostało też trochę niedźwiedziego serca, które postanowił zjeść po przebudzeniu. Wiedział, że dopóki będzie strzegł swych myśli i snów, Volse Pinescu i Fess Ferenc nie znajdą go.

Czegoś jeszcze musiał się jednak dowiedzieć.

— Dlaczego, Fess? — zapytał myślą. — Mogłeś mnie zabić, a pozwoliłeś mi żyć. Zapewne nie z przyrodzonej „dobroci”. A zatem dlaczego?

Będący już w połowie schodów, Ferenc rozchylił usta w uśmiechu niemal tak szerokim, jak jego twarz.

— Zawsze miałeś głowę na korku, Szaitisie. I to niezłą. Czasem się, oczywiście, myliłeś, ale ten który nie popełnia błędów, nigdy nic nie osiągnie. Moim zdaniem, jeśli istnieje jakieś wyjście z tej krainy, ty je odnajdziesz. A wtedy ja będę tuż za tobą.

— A jeśli go nie odnajdę?

Lord wyczuł, że Ferenc wzruszył ramionami.

— Krew to krew, Szaitisie. A twoja jest dobra i syta. Powiedzmy sobie jasno: jeśli nie zajdziemy już nigdzie dalej, jeśli naszym przeznaczeniem jest lód, ja będę ostatnim, który zamrznie, czekając na Wielkie Roztopy. Nie kto inny, tylko Fess Ferenc. Ale nie będę głodny czekał na mój los...

Dwaj wygnani wampiry Lordowie — jeden groteskowy i ogromny, a drugi ogromnie groteskowy — opuścili lśniący lodowy zamek i odetchnęli ostrym powietrzem, po czym, kierując się węchem, odnaleźli nieszczęsnego wierzchowca Szaitisa.

Lotniak rzadko jadał mięso; jego codzienna karma składała się z pomiażdżonych kości, traw ze Słonecznej Krainy, miodu oraz syropów, a także krwi. Jednakże dzięki swemu metamorficznemu ciału był w stanie żywić się niemal każdą organiczną materią. Teraz, obżarty zamrożonym mięsem innego lotniaka, musiał czekać, aż przetrawi i przetworzy przyjęty pokarm. Napęczniały, niemal leżał już tam, gdzie uprzednio dostrzegli go wampiry Lordowie — tuż obok ogryzionego zezwłoku lotniaka Volse'a — ale schronił się za wielkim blokiem lodu, o pół mili na zachód od miejsca, gdzie zostawił go Szaitis. Wykształciwszy na swych skórzastych bokach wielkie, spodkowate oczy, stwór smętnie przyjrzał się Ferencowi i Volse'owi Pinescu i pokiwał ogromnym, romboidalnym łbem. Wilgotne ślepia o ciężkich powiekach „widziały”, ale niewiele potrafiły odczytać. Bez wyraźnego polecenia — i to podanego przez jego prawowitego pana, Szaitisa — lotniak nie umiał nawet pomyśleć. O tak, w pewnej mierze mógł się bronić, ale nigdy nie posunąłby się tak dalece, by zranić wampira. Dźgnięcia skoncentrowanej wampirzej

energii myślowej niczym grotę kaleczyły takie stwory, zmuszając je do rozdygotanej uległości. Nie mogąc więc zaatakować Fessa ani Volse'a, latający stwór czekał na nich w absolutnym bezruchu. Nie poruszył się, nawet gdy wcieli się w jego ciepłe podbrzusze, by otworzyć wielkie żyły, czekające na wysśanie.

Szaitis, ukryty w lodowej niszy, „usłyszał” żalony bek wielkiego stwora i bliżki już był wydania rozkazu: „Przetocz się, zmiażdż tych, którzy cię dręczą! Zmobilizuj się i zaatakuj! Nawet z tak daleka mógł mu to polecić, wiedząc, że zwierzę natychmiast instynktownie go posłucha. Ale wiedział też, że nawet jeśli wierzchowiec zrani Lordów, nie zdoła ich zabić, a wciąż miał w pamięci ostrzeżenie Ferenc. Napuszczając na nich lotniaka — przy braku pewności, że ten skutecznie ich okaleczy — sam znalazły się w paskudnych opałach. Dlatego też tylko zagryzł wargi, ale nadal pozostał całkiem bierny.

Przeznaczenie dobrego lotniaka na pokarm uznał za bezsensowną stratę. Zwłaszcza, że marnował się już wierzchowiec Volse'a — dwie tony wyborowego, choć niezbyt apetycznego mięsa. Nie, to nie całkiem tak. Zmarznięty stwór nie marnuje się, a zachować go można długo. Rzecz w tym, że to nie była tylko kwestia głodu: Ferenc miał w tym swój cel, wykraczający poza napełnienie brzucha.

Po pierwsze, po owej „uczcie” Fessa i Volse'a zwierzę będzie tak osłabione, że dalsze podróże przestaną wchodzić w grę, a więc Szaitis zostanie tu uwięziony, podobnie jak tamci. Tym sposobem Ferenc odpłacał się mu za przegraną bitwę o Ogród Rezydenta, ale znów nie tylko o to mu chodziło. Nie było bowiem przesady w słowach, że Szaitis miał głowę na karku, a swoim talentem do intryg przerastał nawet swój ród: z zasady przemyślne wampiry. Jeśli było komuś pisane znaleźć drogę wyjścia z Krainy Wiecznych Lodów, tym kimś mógł być tylko on. A taka ucieczka wybawiłaby i Fessa Ferenc, jako że ów olbrzym bez wątplenia podążyłby jego śladem. I to właśnie — jak to plastycznie wykazał Ferenc — było powodem, dla którego darował Szaitisowi życie: wampirzy Lord miał zadbać o ratunek dla wszystkich wampirów.

Owo „wszystkich” odnosiło się, rzecz jasna, głównie do Fessa Ferenc — Szaitis nie wątpił, iż w końcu — o ile nie nastąpi jakaś nieprzewidziana i znaczna zmiana sytuacji — odrażający Volse Pinescu podzieli los lotniaków. Dlaczego Ferenc wciąż jeszcze znosił jego obecność? Może mierzyła go nawet myśl o spożyciu tamtego? Choć obolały i pełen goryczy, Szaitis pozwolił sobie na uśmiech, po czym raz jeszcze zastanowił się nad przyczyną przetrwania Volse'a. O wiele prawdopodobniejsze wytłumaczenie niosły w sobie nuda i samotność, panujące na lodowych pustkowiach. Może olbrzymi Ferenc łaknął towarzystwa? Sam Szaitis, choć przebywał tu od niedawna, czuł dojmujący ciężar samotności... Choć właściwie...?

Mimo iż cała ta kraina wydawała się absolutnie martwa, wolna od istot o dostrzegalnej inteligencji, nie mógł się uwolnić od wątpliwości. Nawet tutaj, w lo-

dowej wnęce, choć dobrze chronił swe myśli, jego wampirzy rdzeń ostrzegał go przed czymś, jego wampirzy umysł podejrzewał... że ktoś obserwuje jego poczynania? Możliwe. Ale mieć świadomość lub podejrzewać to jedno, a udowodnić — to zupełnie inna sprawa.

Dlatego też zamierzał teraz zasnąć i dać tkwiącemu w nim wampirowi czas na wygojenie ran, a później zająć się kwestią przetrwania... i, oczywiście, takim drobiazgiem, jak zemsta.

Uszczelnwszy jeszcze swój umysł, Szaitis ułożył się do snu i po raz pierwszy poczuł zimno, kaśliwe, fizyczne zimno. Wiedział, że Ferenc i Volse Pinescu mają rację: nawet ciało wampira nie mogło się oprzeć mrozom Krainy Wiecznych Lodów. Nie sposób było temu zaprzeczyć, nie w obliczu takiego dowodu, jak Kehrl Lugoż...

Kiedy już Lord miał zamknąć prawe oko (lewe zawsze było otwarte, nawet we śnie), przed jego twarzą zawisło coś małego, miękkiego i białego. Zaraz umknęło ku wyższym piętrům lodowej twierdzy, zanosząc się cichym, niemal niesłyszalnym jazgotem. Szaitis jednak zdążył się mu przyjrzeć. Maleńki, różowooki stworzek o błoniastych skrzydłach i pomarszczonym, żyłkowanym ryjku. Karłowaty nietoperz albinos podsunął Lordowi pewien pomysł.

Volse Pinescu i Ferenc byli zapewne pochłonięci uctowaniem, odrętwiali z obżarstwa. Szaitis mógł zaryzykować otwarcie swego umysłu. Rozpuścił myśli, wzywając nietoperze z lodowego zamku. Zaczęły się zlatywać. Początkowo, lękliwie, siadały na nim pojedynczo, potem po dwa i po trzy, aż wreszcie niemal przykryły go miękkim, śnieżnobiałym kocem. W niszy zebrała się cała kolonia nietoperzy.

I wówczas Lord, ogrzany przez ich drobne ciała, zasnął...

* * *

Nietoperze, wierne sługi Szaitana Odwiecznego (zwanego także Upadłym), nie tylko ogrzewały Szaitisa podczas snu, ale i obserwowały go, i to od chwili jego przybycia. Obserwowały także Fessa Ferenc i Volse'a Pinescu. Śledziły też Arkisa z Trędowatych i jego dwóch niewolników (których krew Arkis wyssał, a ciała ukrył w lodzie — i to wszystko w przeciągu zaledwie dwóch zórz) oraz dwóch poruczników Menora Kąsającego, uwolnionych z chwilą jego śmierci w bitwie o Ogród. Wszyscy oni wydeptywali tu swoje ścieżki, a o ich działaniach miniaturowe albinosy wiernie informowały swego odwiecznego władcę — Szaitana.

Owi wspomniani na ostatku dwaj Wędrowcy, zwampiryzowani przez Menora, trafili tu jako pierwsi. Porucznicy, zamęczony najlepszy lotniak swego pana, runęli wraz z tracącym dech, odwodnionym wierzchowcem w słońce morze na

skraju lodowych pustkowi i ostatnie trzydzieści mil przeszli pieszo. Potem dojrżeli dym, który Szaitan świadomie wypuścił z krateru, i powlekli się do owego miejsca, gdzie spodziewali się ciepła. I rzeczywiście znaleźli ciepło. Przyszło im obracać się wolno na kościanych hakach, zwisających z niskiego stropu pradawnej rozpadliny, jaka otwarła się na zachodnim stoku wulkanu: lodowej spiżarni Szaitana.

Porucznicy okazali się łatwym kąskiem; nie mieli w sobie wampirów. Ich umysły i ciała zostały odmienione, ale nie stali się jeszcze wampirami. Jeszcze sto lat i trudniej by ich było zdybać. Jednakże ich czas skończył się tu i teraz, wyciekł razem z ich sutą czerwoną krwią.

Szaitan swą chytrą przetrwał chyba i czterech wampirycznych Lordów. Niech walczą między sobą, niech się najpierw osłabiają!

To jedyne roztropne rozwiązanie. Za swych młodych lat — które ledwie sobie przypomniał — Szaitan inaczej załatwiłby tę sprawę. Dałby radę im wszystkim i jeszcze czterem takim jak oni. Ale trzy i pół tysiąca lat to szmat czasu, a czas odbiera nie tylko pamięć. W rzeczywistości odbiera prawie wszystko. Szaitan był już... zmęczony? Po prawdzie, nawet jego wampir był zmęczony. A ów wampir niewątpliwie stanowił większą część jego istoty.

Nie schorowany, słabowity albo skonany, po prostu... zmęczony. Bezlitosnym zimnem, które co jakiś czas przedzierało się przez wulkaniczną skałę do serca góry, a nawet do owej groty w jej łóżysku; nie kończącą się monotonią bytu; jednym słowem, niezmiennością i pustką istnienia pośród owych wiecznych, odwiecznych mroźnych pustkowi.

Nie był jednak zmęczony życiem. Nie całkiem. A na pewno nie do tego stopnia, by miał zdradzić swą obecność takim osobnikom, jak Fess, Vorse, Szaitis i Arkis z Trędowatych! Nie, jeśli już o to chodziło, istniało wiele lepszych recept na śmierć. Co więcej, wraz z pojawieniem się tych wygnańców pojawiły się, być może, nowe, lepsze powody, by zostać przy życiu.

Zwłaszcza ten Szaitis.

Mając takie imię, mógł nawet stać się spełnieniem — ucieleśnieniem całkowicie nowego bytu. A o tym Szaitan mógł dotąd tylko śnić. Ów sen nie wyblakł z czasem. Podczas gdy wszystko inne szarzało, on jeden pozostał jasny i wyraźny. I czerwony.

Sen o młodości i odzyskanej energii, o triumfalnym powrocie do Gwiazdnej i do Słonecznej Krainy, o spustoszeniu ich i o podboju odleglejszych światów. Właśnie ta wiara, instynktowna wiedza, że takie światy istnieją, utrzymywała Szaitana przy życiu przez te wszystkie jednostajne stulecia, jakie spędził na wygnaniu, nadawała cel temu, co w innym przypadku byłoby nie do zniesienia.

Jednakże, mimo iż ów sen wciąż był młody i wyrazisty, śniący zestarzał się i nieco zmatowiał. Nie chodziło tu o jego umysł, lecz o ciało. Ludzkie cząstki ciała Szaitana zmarniały, zastąpiły je Nieludzkie tkanki; metamorfoza jego wampira

prowadziła do postępującej degeneracji ciała nosiciela, aż to, co człowiecze, nieomal znikło, pozostawiając po sobie szczątkowe ślady pierwotnej struktury. Ale zespolony umysł człowieka i wampira pozostał niezmienny i, choć pamięć niezbyt mu dopisywała, zasób zawartych w nim informacji — wiedzy — wciąż był ogromny. I przesiąknięty złem.

Zło Szaitana nie znało granic, on sam jednak nie był szaleńcem. Inteligencja i zło nie wykluczają się wzajemnie. Co więcej, nawet się dopełniają. Morderca musi ruszyć głową, by stworzyć sobie dobre alibi. Idiota nie skonstruuje broni atomowej.

Zło jest przewrotnym odrzuceniem dobra, a w tej dziedzinie Szaitan sięgnął absolutu. Był złem, które mogło podpalić wszechświat, by potem z satysfakcją przyglądać się popiołom! Był ciemnością, przeciwieństwem światła; rzecz nawet można, że stanowił Pierwotną Ciemność, przeciwieństwo Pierwotnej Światłości. Dlatego właśnie nawet Wampiry go odepchnęły. Wiedział jednakże chociaż nie pamiętał, skąd to wie — że odtracono go o wiele wcześniej.

Odrząciło go... Dobro? Jakiś dobroduszny Bóg? Szaitan, mimo iż nie był gnostykiem, mógł przystać na Jego istnienie. Czyż ZŁO mogłoby istnieć bez DOBRA? Ale na razie...

Darował sobie dalsze rozmyślenia. Wystarczająco długo się nad tym zastanawiał. W ciągu trzech i pół tysiąca lat umysł ma dostatecznie wiele czasu, by myśleć o różnych sprawach, od trywialnych po nieskończenie głębokie. A w tej chwili ważne było nie tyle jego pochodzenie, co przeznaczenie. I właśnie owo przeznaczenie mogło stać się udziałem tamtego człowieka; tamtej istoty, która zwała się Szaitisem.

Za Dawnych Czasów wampiry nadawały swym „synom” własne imiona. Synowie krwi, nosiciele jaja, pospolite wampiry — wszyscy przyjmowali imiona ojców. Arkis z Trędowatych nosił w sobie jajo Radu Arkisa, zwanego Trędowatym. I tak ów „syn” — Wędrowiec, który przeszło sto lat temu znalazł uznanie w szkarłatnych oczach Radu — kontynuował linię.

Fess Ferenc zaś był synem krwi (zrodzonym z kobiety) Iona Ferenca; jego matka (z rodu Wędrowców) zmarła, wydając na świat owego olbrzyma, którego rozmiary wywarły na ojcu takie wrażenie, że pozwolił mu żyć. Popełnił ogromny błąd. Jeszcze jako młokos, Fess zabił Iona, po czym otworzył jego ciało, by zagarnąć i pochłonąć jego wampirze jajo. I tak Ion nie zdążył go przekazać nikomu innemu, a jego wieżyca w Gwiezdnej Krainie „naturalną” koleją rzeczy przeszła w ręce Ferenca.

Szaitan za swoich dni różnymi drogami dorobił się liczne potomstwa, swe jajo wszakże przekazał Szaitanowi, który z kolei stał się ojcem wampirów. Dzieciom swej krwi Szaitan nadał takie imiona, jak: Szaitos, Szailar Koszmarny, Szaitag — i dalej w tym duchu. Pośród potomków Szaitana był Szailar Plugawy, zna-

leżli się też pewnie inni o podobnie brzmiących imionach, wszyscy wywodzący się od Pierwszego i Jedyne. I wszystko to, zanim Szaitana wygnano.

A zatem... czyż fakt, że w trzy tysiące lat później przybył tu ów Szaitis — wygnaniec, podobnie jak jego przodek — był rzeczywiście czymś zbyt wspaniałym, by mógł okazać się prawdziwym? Szaitan uważał inaczej. Ale czy tamten był potomkiem w prostej linii? Krew to życie. Tylko ona mogła to wykazać.

— Niech któryś skradnie mu krew — rozkazał Szaitan swym miniaturowym poddanym. — Tylko jeden. Kroplę, najdrobniejszy łycalek. Skradnij mu i przynieś do mnie. — Więcej nie musiał mówić.

Śpiący w lodowej rozpadlinie Szaitis ledwie poczuł, że ostre igiełki kłują go w małżowinę, wyzwalając kroplę krwi. Ledwo też dotarł do niego furkot skrzydełek, niknący w labiryncie lodowego zamku i wymykający się z tej zadziwiającej rzeźby w rozgwieżdżoną noc.

Nieco później albinos zanurkował do wnętrza nie wygasłego jeszcze, środkowego wulkanu, odnalazł żółte od siarki komnaty Szaitana i zawisł w powietrzu, czekając na dalsze rozkazy.

— Zbliź się tu, mały. Nie zmiażdżę cię. — Z mrocznego kąta dobiegło polecenie.

Małeńki nietoperz podleciał do Szaitana, złożył skrzydła i usiadł na jego... ręku? Wykrztusił na to, co uchodziło za dłoń, nieco śliny, śluzu i kapkę rubinowej krwi.

— Świetnie — powiedział wampir. — A teraz leć.

Uradowany tym rozkazem nietoperz oderwał się od swego pana i zostawił go samego.

Szaitan, zafascynowany, długo wpatrywał się w rubinową kroplę. To była krew, życie. Z niecierpliwością czekał, czy wampirze ciało jego dłoni rozchyli małeńkie usta, które ją pochłoną — odruchowo, wiedzione potwornym instynktem — dowodząc tym, że to jedynie krew kogoś pospolitego. Ale czekał na próżno, gdyż Szaitis, podobnie jak on sam, daleki był od pospolitości. Mieli wiele wspólnego.

— Moja! — oświadczył w końcu chrapliwym, przyprawiającym o dreszcz, ale i radosnym szeptem. — Ciało z mego ciała.

W tej samej chwili kropla zadrgała i przesączyła się przez odrażającą skórę w głąb jego ciała, tak jakby był gąbką.

ROZDZIAŁ TRZECI

Opowieść Ferenca

Szaitis spał bardzo długo.

Nietoperze dawały mu ciepło, a przynajmniej chroniły go przed zamrożeniem w lodowatej niszy; rany się goiły; myśli — podobnie jak on sam — pozostawały w ukryciu. Aż do chwili kiedy został zmuszony zbudzić się i stanąć na nogi.

Doszło do tego prędzej, niż mógł się spodziewać. Jego kryjówka została odkryta.

— Co? Kto? — Umysł Szaitisa wypełniły podświadome okrzyki zdumienia, wyrwały go ze snu. Dzwoniły echem, nawet kiedy wstawał, a białe nietoperze rozpierzchły się z jazgotem, wypełniając powietrze żywym śniegiem. W chwilę później dłoń Lorda wypełniła rękawicę. Otworzył swe wampirze zmysły — ostrożnie, na próbę — szukając intruza. Kimkolwiek był, musiał znajdować się blisko, inaczej nie wyczułby jego obecności.

Śpiąc, Szaitis wszystkie swe myśli kierował do wewnątrz; tę sztukę opanował doskonale, nikt nie mógł podsłuchać jego snów. Jednakże podczas przejścia z głębokiego, uzdrawiającego marzenia w stan jawy wymknęły się niczym ziewnięcie, a ktoś znalazł się na tyle blisko, że je wychwytał. O wiele za blisko.

Lord pozwolił, by jego psychiczna sonda dotknęła zmysłów tamtego, po czym zaraz ją cofnął. Kontakt trwał krótko, ale rozpoznanie było wzajemne. Nie doszło wprawdzie do ujawnienia niczyjej tożsamości, wystarczyło jednak, że każdy z wampirów wiedział, iż drugi jest tuż obok. Szaitis rozejrzał się. Wyjść z niszy mógł tylko jedną drogą. Jeżeli znalazł się w pułapce. . .

— Kto to? — Wciągnął do swego nietoperzowego ryjka zimne powietrze. — Czy to ty, Fess? Przyszedłeś tu na wieczerzę? A może mam unurzać swą dobrą rękawicę w ropie, wydzierając plugawe serce ohydneho Volsę'a Pinescu?

Odpowiedź, która nadeszła niemal natychmiast, przypominała raczej okrzyk zdumienia.

— Ha! Szaitis! A zatem Rezydent nie zniszczył cię promieniami śmierci?

Arkis z Trędowatych! Lord poznał go od razu. Odetchnął z ulgą, przez chwilę patrzył zaciekawiony, jak jego oddech zamienia się w śnieg, a potem ruszył do wyjścia. Po drodze naprężył mięśnie, poruszył kończynami, zaczerpnął potężny haust powietrza i sprawdził stan żeber. Wyglądało na to, że wszystko jest w porządku. Zresztą, czy te drobne stłuczenia i zadrapania mogły uchodzić za rany? Kuracja została ograniczona do minimum, tak by nie nadwątliła zbytnio wampirzego ciała; pozostawiła nieco bólu i kilka sińców.

Arkis stał u podnóża lodowatych schodów. Jak na wampirzego Lorda, był dość przysadzisty; liczył sobie niewiele ponad sześć stóp wzrostu — za to w barach szeroki był na trzy! Masywny jak dąb, sływał z kolosalnej siły. Trochę chyba jednak stracił na wadze. Szaitis zbliżył się do niego, pokonując dzielącą ich przestrzeń miękkimi, płynnymi ruchami, przerażającymi zwykłych ludzi, ale tak typowymi dla wampirów. W chwilę później stanęli twarzą w twarz.

— A więc pokój? — zapytał Szaitis, — Czy głód nie pozwala ci rozsądnie myśleć? Będę szczery, przydałby mi się przyjaciel. A sądząc z tego, jak wyglądasz... Ha! Jedziemy na tym samym wózku. Wybór należy do ciebie, ale ja wiem, gdzie jest żarcie!

Reakcja tamtego była najzupełniej instynktowna, jedno czknięcie.

— Żarcie? — Oczy Arkisa rozwarły się szeroko, a z rozdętego, pomarszczonego nosa buchnął kłęb pary.

Widać było, że przymierał głodem, Szaitis obdarzył go posępnym uśmiechem, wyjął z sakwy ostatni kawałek niedźwiedziego serca, połowę wziął na ząb, a resztę rzucił synowi trędowatego, który schwycił ją w powietrzu, wydając niemal okrzyk bólu. Natychmiast wepchnął je sobie do ust.

Ojciec Arkisa, Morgis Żałobny Szloch, spłodził go z kobietą odepchniętą przez Wędrowców. Owa kobieta dotknięta była trądem, zarazą, która zniszczyła członek Lorda, a także jego wargi, oczy i uszy. Choroba rozprzestrzeniała się w nim niczym ogień; spalała ciało szybciej, niż jego wampir mógł je odtworzyć. W końcu, przy wtórze szlochów oddających w pełni sens jego przydomku, Morgis wziął w dłoń pochodnię i rzucił się wraz ze swą odaliską w wypełnioną śmieciem otchłań. Zgromadzony tam metan dopełnił dzieła. Samobójstwo Morgisa uczyniło młodego Arkisa Lordem i dziedzicem wspaniałej wieżycy. Arkis nie odziedziczył jednak choroby rodziców. Może go ominęła. Przeszło już tak wiele zachodów słońca.

Podczas gdy Arkis jadł, Szaitis uważnie mu się przyglądał.

Przysadzisty Lord czaszkę miał również pękata, jakby trochę spłaszczoną. Twarz wydawała się nieco wypchnięta w przód, a z wysuniętej dolnej szczęki wyrastały kły — jak u dzika — zakrzywiające się ku mięsistej górnej wardze. Mimo to ogólny obraz przywodził na myśl nie tyle świnie, co wilka, a to wrażenie potęgowała jeszcze nadmierna długość kosmatych, spiczastych uszu. Tak, gdzieś pośród jego przodków musiał znajdować się ten szary zwierz. Co więcej, Arkis

był sprężysty jak wilk — no, przynajmniej wedle dawniejszych norm. Oczy, rozpalone żądzą jedzenia, mimo iż kąsek okazał się tak mały, nieodmiennie zwiężały się, ilekroć wzrok Lorda padł na Szaitisa.

— Niezły kęs — mruknął, skończywszy jeść — ale czy to właśnie żarcie obiecałeś?

— Nic nie obiecywałem — odparł Szaitis. — Stwierdziłem tylko, że wiem, gdzie jest jedzenie, i to całe tony!

— He! — chrząknął tamten, przechylając głowę. — Myślisz o lotniaku Volse'a. Obaj z Ferencem dobrze go strzegą. To pułapka. Zbliź się tylko do ich spizarni, a sam w niej skończysz! Tu nie ma miejsca na rycerskość, przyjacielu. Zimne, zamrożone mięso nigdy nie będzie smakowało tak dobrze, jak czerwony sok, tryskający z przeciętej tętnicy! Ale... żebracy nie mogą wybredzać. Ja próbowałem i przegrałem. Za każdym razem tamci są w pobliżu. Wiem, że łakną mojej krwi.

— Tak nisko upadliście? — Szaitis uniósł czarną, krzaczastą brew. — Dybiecie na siebie?

Wiedział doskonale, że tak właśnie robią. Wiedział też, że i jego to wkrótce czeka. „Rycerskość” wampirów była co najwyżej mitem. Tak czy inaczej, owa obelga — „dybiecie na siebie” — nie dotknęła Arkisa z Trędowatych.

— Lordzie — odrzekł. — Jestem tu już od czterech zachodów słońca, teraz idzie na piątą. Właściwie od czterech zórz, ale to chyba to samo? Tak nisko upadliśmy, że polujemy na siebie? Powiadam ci, polowałbym na wszystko, co się rusza! Początkowo pożerałem nietoperze, całymi garściami. Miażdżyłem je w dłoni, aż ściekały mi do ust — a potem zjadałem i miazgę! Niestety, już mnie omijają. Te maleńkie albinosy mają swój rozum. Teraz wybieram się, by obejrzyć tego wyschniętego dziadunia, który tkwi tu w lodzie. Dawno już bym się do niego dobrał, ale za mało we mnie desperacji — teraz zaś jest jej dosyć! Nie gadaj mi więc o żadnym upadku! Wszyscy upadliśmy, Szaitisie, i ciebie to również dotyczy!

Może więc obelga do niego dotarła? To prawdziwa niespodzianka, syn trędowatego zawsze uchodził za tępaka. Może ten mróz wyostrzył mu rozum?

— Arkisie — powiedział Szaitis — jest nas tu teraz dwóch i podzieliliśmy się jedzeniem. To dobrze, gdyż sądzę, że lepiej będzie połączyć swe siły. Żyjąc tutaj, wiele się nauczyłeś i poznałeś zapewne niejedną pułapkę. Taka wiedza ma swoją wartość. Co więcej, ów wstrętny Volse i gigantyczny Fess Ferenc dobrze się zastanowią, zanim nas obu zaatakują. Co byś powiedział na to, żebyśmy opuścili tę nadmiernie akustyczną lodową skorupę i poszukali naszego śniadania?

Syn trędowatego westchnął zniecierpliwiony, co trochę rozgniewało Lorda. Drażniło go, że ta pękata, tępa kreatura stawia się na równi z nim.

— Pozwól, że powtórzę — mruknął Arkis. — Tamci strzegą lotniaka Volse'a, dobrze go strzegą! Zresztą, w odróżnieniu od nas, są dobrze odżywieni. Jak sam przed chwilą powiedziałeś, Ferenc to cholerny olbrzym!

Nozdrza Szaitisa rozděły się; przez chwilę miał ochotę dać sobie spokój z tym durniem. To oznaczałoby jednak zdanie go na łaskę innych. Wampir zaś pragnął mieć go dla siebie — kiedy nadejdzie pora. Te myśli skierował jednak w głąb swego umysłu. Nie chciał, by Arkis je usłyszał.

— A czy mogą strzec dwóch wierzchowców? — zapytał. — Sądziłeś, że przybyłem tu pieszo, Arkisie Okrutna Śmierci? — Tak brzmiał drugi przydomek owego idioty.

Arkisa zamurowało.

— He? Drugi lotniak? Nie widziałem go. Ale przecież nie wypuszczałem się zbyt daleko, by mnie nie wypatrzyli! Gdzie więc jest ten lotniak?

— Tam, gdzie go posłałem. Jeszcze dobry, świeży. Zaczekaj chwilę. — Poszukał myślą wierzchowca i wyczuł pełgające jeszcze, choć coraz wątlejsze życie. — I nie wykrwawił się jeszcze. Nie całkiem.

— Wiedzą, gdzie jest — Ferenc i ta beka brudu?

— Oczywiście, inaczej nie potrzebowałbym twojej pomocy.

— Ha! — zawołał Arkis. — Mogłem się tego spodziewać! Nic darmo! Co? Pomyśl jeszcze, mój miły Arkisie. Rozmawiasz oto z Wielkim Lordem Szaitisem. Och, bądźmy przyjaciółmi, Arkisie, gdyż jesteś mi potrzebny!

— Niech i tak będzie — wzruszył ramionami Szaitis. — Zaproponowałem ci po prostu spółkę, która mogłaby przynieść korzyści, to wszystko. Równe udziały. Ale nic za darmo? Czy naprawdę myślisz, że to Słoneczna Kraina, gdzie o zachodzie włóczy się wielu słodkich Wędrowców? — Udał, że się odwraca. — Głoduj więc.

— Czekaj! — Tamten zbliżył się o krok. — Jaki masz plan? — dodał bardziej ugodowo.

— Żadnego. Chcę tylko zjeść.

— He?

Teraz Szaitis westchnął.

— Słuchaj, pytam cię po raz drugi: czy Vorse i Ferenc mogą strzec dwóch lotniaków?

— Pewnie, że tak — każdy jednego.

— Ale nas jest dwóch!

— A jeśli są razem?

— To jedno zwierzę jest nie strzeżone! Czy twój niegdyś bystry mózg zdrętwiał z zimna, Arkisie? — W tym ostatnim zdaniu nie wszystko było prawdą, ale małe pochlebstwo nigdy nie zawadzi.

— Hmm! — Syn trędowatego zastanawiał się przez moment, po czym skrzywił się i dźgnął Lorda palcem. — Zgoda, ale jeśli natrafimy na samotnego Vorse'a Pinescu, zabijemy go. I ja dostanę jego serce! Umowa stoi?

— Zgoda — potwierdził Szaitis. — Choć przyszło mi do głowy, że to jedyna jego część, jaka nadaje się do zjedzenia.

— Ha! — parsknął Arkis. — Har har! Och, cha cha chaa! — Roześmiał się po swojemu.

„Śmieję się, śmieję — pomyślał Lord. — Ale, kiedy już skończymy z Volse'em i Ferencem, przyjdzie twoja kolej, ptasi mózdzku!”

— Zaczynaj strzec swych myśli — powiedział głośno. — Wychodzimy na lód.

* * *

Lotniak Volse'a Pinescu był oszroniony i twardy jak deska. Pomimo to, Arkis z Trędowatych zająłby się nim, gdyby Szaitis go nie powstrzymał.

— Nie traćmy tu cennego czasu. Chcesz połamać kły?

Arkis spojrzał na niego spode łba.

— To chyba jedzenie, nie?

— Tak — prychnął Lord. — A pół mili dalej jest jeszcze więcej pożywienia — gęstego, czerwonego, płynącego w apetycznych żyłach. Arkisie, ja hoduje najprzedniejszą zwierzynę, o najlepszym mięsie. Posłuchaj teraz, czy wyczuwasz naszych wrogów? Nie? Ja też nie. Wygląda na to, że dzisiaj nie strzegą go zbyt bacznie?

Arkis powąchał mroźne powietrze.

— I to mnie martwi. Jak sądzisz, co zamierzają?

— Na sądy przyjdzie czas, gdy napełnimy sobie brzuchy.

Szaitis kroczył już po niebieskawym lodzie. Arkis niezgrabnie podreptał za nim. Wielki Lord obrzucił go spojrzeniem i kiwnął głową. Potem patrzył już tylko przed siebie, uśmiechając się chytrze. Zupełnie tak, jak za dawnych lat. Urodzony przywódca, raz jeszcze szedł na czele. A za nim wierny pies, Arkis z Trędowatych...

* * *

Zerwał się wiatr.

Kiedy Szaitis i Arkis z Trędowatych, zwany także Okrutną Śmiercią, siedzieli w jamie, wyciętej przez Volse'a i Fessa w pobliżu lotniaka, sącząc pulsujące niemrawo soki nic już nie czującej bestii, przygnane przez wiatr, ciemne chmury zasnuły światło gwiazd. Rozpętała się krótkotrwała śnieżycą, która przykryła lód wątlą i miękką powłoką.

Kiedy wiatr ustał, lotniak był już martwy, a jego żyły sztywniały.

— Od tej pory już tylko zimny bufet — rzekł Szaitis, wystawiając głowę na zewnątrz, by się rozejrzeć. Popatrzył na pasmo wulkanów. Po chwili znów się im przyjrzał. I zmarszczył brew, zaniepokojony.

— Co to może być, Arkisie?

Syn trędowatego wstał, czknął głośno i przyjrzał się miejscu wskazanemu przez Wielkiego Lorda.

— He? Tamto? Trąba powietrzna, śnieżny diabeł, ostatnie podrygi burzy. Skąd u ciebie tak wielka fascynacja Naturą, Szaitisie?

— Fascynacja? Tym, co naturalne — w żadnym przypadku. Tym, co nienaturalne — ogromna. Szczególnie, kiedy jestem w takim miejscu, jak to tutaj.

— Coś nienaturalnego?

— Jeżeli nie w oczach wampirów, to przynajmniej dla ludzi.

Nie odrywał wzroku od owego zjawiska: wirującego tumanu śniegu, przypominającego kształtem walec, liczący sobie jakieś dwadzieścia stóp wysokości i tyleż samo średnicy. W jego wnętrzu coś się poruszało, niby kijanka w galaretowatym jajku, a całe to... urządzenie... sunęło prosto na nich. Odpadający od niego śnieg zasypał ziemię, ale mimo to walec nie malął.

Wampir Szaitis pokiwał głową. Wiedział, co to jest.

— Fess Ferenc — wyszeptał ponuro.

— Co? Fess? — Arkis również gapił się na to zjawisko, oddalone już tylko o sto jardów lśniącego lodu. Poruszało się szybciej niż idący człowiek i chyba zaczynało rzednąć. — Jak to? Fess?

— To wampirza mgła — wyjaśnił Lord, wciągając rękawicę. — W Gwiezdnej Krainie rozpełzłaby się, czy rozplynęła, otaczając go szerokim kręgiem. Tutaj zamieniła się w śnieg. Ten wielkolud Fess... robił wspaniałą mgłę. Kiedyś podczas łowów widziałem, jak spowił w nią cały stok... .

Obaj wysłali swe wampirze zmysły ku tej niesamowitej, związanej z ziemią chmurze. Wewnątrz znajdował się tylko jeden osobnik; tak, Ferenc, ale — jak nigdy dotąd — wynędziały! Nawet nie miał siły się chronić.

— Aha! — warknął Arkis. — Teraz go mamy!

— Najpierw jednak sprawdźmy, co się stało — upomniał go Szaitis.

— Czyż to nie oczywiste? W końcu rozgniół ten potworny wrzód, zwany Vols'e'em Pinescu, lecz walka nieco go osłabiła. I przyszedł prosić nas o łaskę, u mnie jednak nadzwyczaj trudno o ten towar.

Dwadzieścia kroków dalej mgła się rozwiła i ujrzeli Ferenc. Nagiego! Całkiem nagiego, nie tylko pozbawionego śnieżnej osłony. Arkis wytrzeszczył oczy.

— I cóż, Fessie, fortuna kołem się toczy? — zawołał.

— Na to by wyglądało. — Głęboki bas tamtego zadudnił nad lodową równiną. Ów głos drżał; Ferenc był skostniały. A mimo to swą odzież niósł pod pachą, zwinętą w kłębek. Szaitis nie widział w tym żadnego sensu. To wymagało wyjaśnień, które musiał usłyszeć.

Arkis wyczuł zaciekawienie Lorda.

— Mnie to nie interesuje. Powiadam, zabijmy go teraz!

— Za dużo gadasz. — syknął Wielki Lord. — Myślisz tylko o chwilowym przetrwaniu, nie o przyszłości. Ja zaś mam na uwadze wytrwanie tak długo, jak

tylko będzie to możliwe. Uzbrój się więc w cierpliwość, inaczej nasza współpraca tu się skończy.

— Czy mam umrzeć? — Ferenc stanął dumnie, mierząc Szaitisa ponurym wzrokiem. — Jeśli tak, załatwmy to szybko, gdyż nie zamierzam zmienić się w bryłę lodu. — A jednak odrzucił przyodziewek i pochylił się, unosząc szpony, ostre niby brzytwy.

— Zdaje mi się, że mam przewagę — oznajmił Lord. — A także rachunek do wyrównania. Przysporzyłeś mi niemało bólu.

Ferenc nie odpowiedział.

— Jednakże — podjął znów Szaitis — możemy się jeszcze dogadać. Jak widzisz, Arkis i ja połączyliśmy siły. Im więcej, tym bezpieczniej, wiesz? Ale dwóch przeciwko lodowym pustkowiom? Szanse zbyt małe. We trzech poradzilibyśmy sobie lepiej.

— Jakiś fortel? — Fess nie wierzył w to, co słyszał. Gdyby role się odwróciły, Szaitis już by nie żył.

— Żaden fortel. Ty, podobnie jak Okrutna Śmierć, znasz te strony. Nie tylko krew jest życiem, wiedza również. Zawsze żywiłem tą pewnością. Jeśli będziemy walczyć między sobą, umrzemy. Dzieląc się wiedzą, łącząc nasze siły — przetrwamy.

— Mów dalej — zażądał Fess, głosem jeszcze bardziej drżącym.

— Nie mam już nic do powiedzenia — stwierdził Lord. — Zejdź z tego zimna, posil się i powiedz, co sprawiło, że przychodzisz tu nagi jak niemowlę, spowity w dziwaczną i wielce toporną mgłę. A może zechcesz nawet powiadomić nas, gdzie przebywa niemiły nam Volses Pinescu, twój niedawny towarzysz?

Ferenc nie miał wyboru. Wiedział, że jeżeli ucieknie, to go złapią — są przecież dobrze odżywieni; jeżeli nie ruszy się z miejsca zamarznie, a oni go rozgrzeją i pożrą. Postanowił podejść, by porozmawiać... i może zawrzeć pokój. Z Szaitisem, bo z Arkisem sprawa nie wyglądała tak prosto.

Zbliżył się do nich, schronił się za całkiem już sztywnym lotniakiem, wyrwał z jego ciała żyłę i wgryzł się w nią. Nic nie pociekło (resztki krwi, których nie dało się wysssać, zamarzły), a więc, po prostu, obnażył ją zębami i pogryzł na miazgę. Zawsze to jakiś posiłek.

— Może powinniśmy byli pozostać w Gwiezdnej Krainie — zauważył pomiędzy jednym kęsem a drugim. — Przynajmniej Rezydent zapewniłby nam szybki koniec.

— Wciąż jeszcze mnie winisz, Fessie? — Wielki Lord stał nad nim, patrząc, jak się posila. Arkis siedział znacznie dalej; jak zwykle, gapił się spode łba.

— Wszystkich nas winię — odparł z goryczą Ferenc. — Byliśmy zbyt zapalczywi; pognaliśmy, jak ślepcy do przepaści. Byliśmy zbyt durni: wyruszyliśmy zabijać, a popełniliśmy samobójstwo. Owszem, plan był twój, ale wszyscy daliśmy się na niego złapać.

Wstał i wrócił na lód, by podnieść swój przyodziewek. Przykucnął i zaczął starannie szorować go śniegiem. Kiedy skończył, wrócił do jamy w stygnącym cieple i odłożył ubranie, by wyschło, czy raczej wymarzło.

— Jakiś niezwykły brud? — zastanawiał się głośnie Szaitis.

— Można tak rzec. — Olbrzym zmarszczył swój i tak pofałdowany nos. — Te cuchnące plamy to wszystko, co zostało po Volsie!

Wrócił do jedzenia, a w przerwach pomiędzy poszczególnymi kęsami opowiadał im całą historię.

— Obaj z Volsie'em zauważyliśmy dym unoszący się znad środkowego wulkanu. Co więcej, tuż pod szczytem coś się chwilami poruszało. Pomyśleliśmy więc, że skoro ta stara góra kryje w sobie ogień i żar, ktoś mógł się tam osiedlić. Tylko kto? Zwyczajni ludzie? A może wygnane wampiry? Żeby się tego dowiedzieć, należało sprawdzić. Rzecz jasna, wysłaliśmy tam nasze sondy, ale mieszkaniiec wulkanu, kimkolwiek był, zazdrośnie strzegł swych myśli.

Idzie się tam dłużej, niż by się wydawało; może z pięć mil do samego wulkanu, a potem jeszcze dwie pod górę. Tuż pod szczytem, gdzie droga robiła się stroma, znajdowało się wejście do jaskini. Tam właśnie dostrzegliśmy owe oznaki ruchu, jakby błyski zwierciadeł w świetle gwiazd. Jacyś tubylcy, pomyśleliśmy. Śnieżni troglodyci albo coś podobnego. Jednym słowem, mięso. — Ferenc spochmurniał nagle. — Tak, było tam mięso. Cała tona. Ale najlepiej będzie, gdy opowiem wszystko po kolei, nie wybiegając w przód. . .

I tak stanęliśmy u wejścia do jaskini, pośród ostrych skał pokrytych siarką. Pomyślałem, że tędy dawniej uchodziła lava. Miejsce to jednak nie nadawało się do zamieszkania, nie było tam też ani na jotę cieplej niż gdziekolwiek indziej. Znów zapuściliśmy nasze sondy; w głębi jaskini czało się życie — jakaś znikoma inteligencja, która nie wzbudziła w nas niepokoju. Wyglądało na to, że ten chodnik prowadzi aż do wnętrza góry. I tam chyba należało szukać śladów życia, skoro stamtąd brało się ciepło?

Weszliśmy więc do środka. Tunel był pełen zakrętów i załomów; był też ciemny i cuchnął jak śmietnisko. Czymże jest jednak ciemność dla wampirów?

Volsie, który spotęgował jeszcze swój potworny wygląd, tworząc nowe, najdziwniejsze krosty, poszedł przodem. Zdjął bluzę, odsłaniając tors, podobnie pokryty wszelakim okropieństwem.

„Kim — lub czymkolwiek są — oświadczył — jak tylko mnie zobaczą albo wyczują, pojmą, że powstaje im tylko zemdlec i modlić się, żeby to tylko był zły sen!”

Pomyślałem, że zapewne ma rację i nie broniłem się przed tym, żeby poprowadził.

Potem. . . Ach! — Fess drgnął, zobaczywszy miniaturowego nietoperza albinosa, przemykającego tuż obok, pod nawisem utworzonym przez martwego lotniaka. Błyskawicznym ruchem przepołowił go w locie. — Ach tak — powie-

dział. — Może powinienem i o tym wspomnieć. Volse i ja przez całą drogę mieliśmy towarzystwo. Te przekłete nietoperze! Wszędzie się wcisną.

— Czemu traktujesz je tak ostro? — zdziwił się Szaitis. — W Gwiezdnej Krainie były naszymi małymi kompanami.

— Te są inne. — Fess pokręcił ogromną głową. — Brakuje im posłuszeństwa.

— Daruj sobie te nietoperze, a skończ swą opowieść — warknął Arkis. — Zainteresowała mnie.

Nieco nasycony i pokrzepiony, Ferenc zaczął się ubierać, generując swe wewnętrzne ciepło, by dopełnić dzieła suszenia. Znał się na tym równie dobrze, jak na tworzeniu mgły. Odziewając się, kontynuował swą opowieść.

— Jednym słowem, Volse wszedł pierwszy do tej groty. Mówiąc szczerze, wątpiliśmy, że coś tam znajdziemy. A przynajmniej coś, co mogłoby nas zaatakować lub nam zagrozić. Mimo to czułem, że ów obraz tego miejsca i jego mieszkańca, czy też mieszkańców, jaki sobie nakreśliliśmy, jest z gruntu fałszywy. Miałem wrażenie, że ktoś obserwuje mój umysł, choć nie udało mi się wykryć tego obserwatora. Im bardziej wnikaliśmy w głąb góry, tym mocniejsze stawało się przekonanie, że jesteśmy śledzeni. Przez cały czas; tak jakby każdy krok przybliżał nas do jakiegoś strasznego spotkania, do jakiejś przewidzianej specjalnie dla nas, monstrualnej konkluzji. Słowem, do pułapki!

Arkis chrząknął i pochylił głowę.

— To samo czułem — zauważył cicho i ponuro — przy każdej z tych nielicznych okazji, kiedy zakradałem się do lotniaka Volse'a, by coś przegryźć.

— Właśnie to — powiedział Ferenc nie burząc się. Zapewne wołał nie słyszeć pretensji zawartych w słowach Arkisa. — I czułem... strach? Nie, nie strach, gdyż żaden z nas nie zna jego smaku. Może wystarczy, jeśli powiem, że doznałem jakiegoś nowego uczucia, które nie było przyjemne? I nie bez powodu, jak się później okaże. A przez cały ten czas owe przekłete nietoperze nie odstępowały nas ani na krok, aż ich trzepotanie i jazgot stały się tak uciążliwe, że zostałem z tyłu, by dołożyć tym, które krążyły mi nad głową. I to prawdopodobnie uratowało mi życie.

Volse kroczył dalej przed siebie. Nadejście tamtego wyczuł w tej samej chwili, co ja, a zanim uderzyło, zdążył wypowiedzieć jedno słowo. Zapytał: Co? — i oczywiście nie otrzymał odpowiedzi, nie dowiedział się, co go zabija.

— Wyjaśnij! — Arkisowi zaparło dech. Szaitis zaś w skupieniu chłonał każde słowo Ferenc'a.

Fess wzruszył ramionami. Już w pełni ubrany, ścinał z żeber lotniaka kawały mięsa, łykając je jeden za drugim.

— Trudno to wyjaśnić — powiedział po chwili. — Tamto było szybkie. Wielkie. Bezrozumne. Okropne! Ale zobaczyłem, co zrobiło z Volsem, i postanowiłem, że ze mną tego nie zrobi. Nigdy przed niczym nie uciekałem — no, wyjąw-

szy Rezydenta i potworną jatkę, jaką nam sprawił podczas bitwy o Ogród — ale przed tamtym umknąłem.

Było białe, lecz ta biel nie miała w sobie nic zdrowego. Było białe, gdyż zbyt długo przebywało w ciemnościach — jak jakiś jaskiniowy grzyb. Miało nogi — wydaje mi się, że całe mnóstwo — o szponiastych i jednocześnie błoniastych stopach. Ciało, jak u ryby, podobnie głowa o okrutnych szczękach! A jego broń. . .

— Broń! — Arkis pochylił się gwałtownie. — Przedtem powiedziałaś, że ten stwór był bezrozumny. A teraz. . . na tyle rozumny, by nosić broń?

Ferenc spojrział na niego ze wzdrganiem, a potem uniósł szponiaste dłonie.

— A to nie jest broń? Broń tamtego stwora była częścią jego ciała, durniu, tak jak twe kły są częścią ciebie!

— Tak, tak, zrozumiałe — rzekł zniecierpliwiony Szaitis. — Mów dalej.

Fess znów usiadł, ale na jego masywnej, zniekształconej twarzy i w szeroko otwartych oczach malował się niepokój.

— Ta broń była jak nóż, miecz albo lanca. Cała, od koniuszka po ryj, pokryta zębami, przypominającymi ciernie. Kolczasty szpikulce, który wbijając się w skórę, więzi ofiarę, nie dając jej umknąć bez rozdarcia ciała. A na końcu tego kościanego tarana zauważyłem dziurki, podobne do nozdrzy. Ale nie służyły do oddychania. . . — Zawiesił głos.

— Do czego więc? — wyrwał się Arkis.

— Do ssania!

— Wampirzy stwór. — Szaitis chyba mu uwierzył. — Wojownik, ale puszczony samopas, pozbawiony swego pana. Stworzona przez jakiegoś Lorda bestia, która przeżyła swego twórcę. — Tak mówił, choć właściwie sam w to nie wierzył. Rzucił te słowa, by ukryć naturę swych prawdziwych myśli, najzupełniej odmiennych.

Fess dał się na to złapać.

— Tak, to możliwe — zgodził się. — Wypełznął ukradkiem z bocznego tunelu; zniecka, przemyślnie jak lis, ale kiedy uderzył. . . Ha! Błyskawica porusza się wolniej. Pojawił się tak nagle, a jego włócznia w okamgnieniu trzykrotnie przeszła Volsę'a. Pierwsze uderzenie rozpruło czyraki i resztę ohydy, ochlapując mnie i ściany tunelu potworną ilością ropy. Volsę był niczym — jeden wielki wrzód, który, pękając, zalał wszystko cuchnącą cieczą. Przemoczył mnie do suchej nitki. Drugi cios, który trafił go, zanim zdążył odzyskać równowagę, nieomal ściał mu głowę. A potem trzeci; wpił się w niego; ten stwór wessał się w niego jak wielka pompa. I kiedy tak więził go, wciąż jeszcze wyprostowanego, pomiędzy swym szpikulcem a ścianą, cały czas się wsysając, we mnie wwiercał się okropnym spojrzeniem swych spodkowatych ślepi. Wiedziałem, że będę następny. I dlatego uciekłem. — Ferenc zadygotał, co zdumiało Szaitisa.

— Nie mogłeś go uratować? — skrzywił się Arkis, poddając w wątpliwość męstwo Ferencza; zadał w najlepszym razie niebezpieczne pytanie.

Ale tamten przełknął je gładko.

— Mówię ci, że Volse był już skończony! Tyle już stracił płynów, głowę miał na pół ściętą, a w ciele wielką, opróżniającą go ssawkę. Uratować go? A co ze mną? Ty, Okrutna Śmierci, nie widziałeś tego potwora! Ha, nawet Lesk, w jakim bądź piekle teraz przebywa, trzymałby się z dala od takiej bestii! Nie, ja uciekłem.

I biegnąc przez ten długi, bardzo długi tunel, słyszałem jak siorbie, sącząc soki Volse'a. A kiedy już wypadłem na światło dzienne i otwarte powietrze, miałem wrażenie, że to siorbanie przybrało na sile; może już gnał za mną? Czując coś na kształt paniki — tak, przyznaję się do tego — wywołałem z siebie mgłę i popędziłem po stoku na lodowo-śnieżną równinę. Tam rozebrałem się, gdyż odór Volse'a nadto był duszący, i nie zwlekając, pospieszyłem tutaj. . . i odkryłem, że na mnie czekacie.

To cała historia.

Arkis i Szaitis odchylił się w tył, zmrużyli oczy i potarli palcami podbródki. Wielki Lord nie zdradzał swych myśli, natomiast Okrutna Śmierć, czując, że wciąż jeszcze góruje na Ferencem, nie zamierzał rezygnować z takiej sposobności.

— Czasy i układy się zmieniają — stwierdził w końcu ów syn trędowatego. — Ja przymierałem głodem, i to lękając się o własne życie! Natomiast ty i tamten ogromny pryszcz byliście górą. A teraz. . . stoisz sam jeden przede mną i Lordem Szaitisem.

— To prawda — odrzekł Fess wstając. Przeciągnął się i poruszył palcami o potężnych szponach. — A wiesz, że nie mogę pojąć, co Lord Szaitis w tobie widzi, synu trędowatego? Moim zdaniem, jesteś tak samo przydatny, jak tamten potężny bukłak pomyj, którego zwano Volsem Pinescu! Szczerze mówiąc, uderza mnie, że opowiadając moją przygodę, zniosłem tyle przytyków i obelg. Oczywiście, byłem głodny i przemarznięty do kości, a człowiek, który ma szansę napełnić brzuch, wiele zniesie. Ale teraz brzuch mam już pełny i znów jest mi ciepło. . . sądzę więc, że dobrze zrobisz, jeśli dasz mi spokój, Okrutna Śmierci. Albo spotka cię taki kres, jaki sugeruje twój przydomek.

— Fakt — potwierdził szybko Szaitis, wchodząc pomiędzy obu Lordów. — Już dosyć. Postawmy sprawę jasno: jeśli nie rzucimy się sobie do gardeł, wiele zdołamy zdziałać w Krainie Wiecznych Lodów. — Wziął ich za ręce i usiadł, zmuszając, by zrobili to samo. Powiedzcie mi teraz, jakie sekrety kryją w sobie te pustkowia? Ja tu przebywam od niedawna, ale wy obaj. . . Cóż, z pewnością wiele przeżyliście i zobaczyliście! Im prędzej dowiem się wszystkiego, tym prędzej zdołamy ustalić nasze następne posunięcie.

Wzrok Szaitisa wędrował tam i z powrotem, od jednego wampira do drugiego, aż w końcu spoczął na ciemnej, drżącej z napięcia twarzy Arkisa, na jego szorstkich wargach i żółtych kłach.

— Co powiesz, Arkisie? To prawda, miałeś nieco mniej swobody niż Fess, ale zdołałeś przecież zbadać kilka lodowych zamków. Ferenc opowiedział nam o potworze z wulkanu; sądzę więc, że teraz twoja kolej. Co z lodowymi wieżycami? Co z pradawnymi wygnańcami, z Lordami pogrążonymi w lodzie?

Arkis popatrzył na niego wilkiem.

— Chcesz, bym opowiedział o zamrożonych?

— Im prędzej się tego dowiemy, tym prędzej będziemy mogli zacząć działać.

Arkis niechętnie wzruszył ramionami.

— Mnie to nie dręczy — stwierdził. — A zatem... chcesz wiedzieć, co widziałem, zrobiłem, odkryłem? Opowieść nie będzie długa, obiecuję!

— Tak czy inaczej, opowiedz — rzekł Szaitis — a my już zobaczymy, na co się zda.

— Niech i tak będzie — zgodził się Arkis.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Zamarznięci lordowie

— Po masakrze w Ogrodzie — zaczął Arkis — kiedy to Rezydent i jego ojciec z piekła rodem rozbili nasze wojska, roztrzaskali odwieczne wieżycy i stręcili na ziemię nasze domostwa, pozostało nam tylko uciekać. Rezydent był górą; wampiry upadły. Pozostając wśród gruzów Gwiezdnej Krainy, ściągęlibyśmy sobie na głowy kolejny i zarazem ostatni wybuch wściekłej mocy Wielkich Wrogów.

Na szczęście pradawne prawo dozwala pokonanym opuścić Gwiezdną Krainę i udać się na lodowe pustkowia. I tak, gdy po obaleniu naszych wież zapanował spokój, te niedobitki, które mogły odlecieć, porzuciły swe dawne ziemie i ruszyły na północ. Ja również byłem jednym z takich niedobitków.

Wraz z dwoma ambitnymi porucznikami — Wędrowcami, których zmieniłem w niewolników; bliźniakami; Goramem i Belardem Largazi, rywalizującymi o moje jajo — oczyściłem z gruzu głęboko ukryte wejście do mych podziemnych laboratoriów, uwalniając z nich lotniaka i wojownika. Trzymałem tam ich na wypadek takiego właśnie nieszczęścia, jakim było zwycięstwo Rezydenta. Osiedliliśmy zwierzęta i dosiedliśmy ich (ja wybrałem wojownika — złośliwą kreaturę, którą sam wyszkoliłem wedle mych gustów) i wreszcie opuściliśmy ruiny wieżycy, uchodząc na północ.

Właściwie to nie kierowaliśmy się na północ, a raczej na północny zachód, ale cóż to zmieniało? Dach świata to dach świata; na lewo czy na prawo — nadal pozostaje dachem. Zatrzymaliśmy się tylko raz, przy płytkim, zamrzniętym jeziorze, gdzie utknęła ławica wielkich niebieskich ryb. Tam też nasyciliśmy się przed dalszą drogą. Niedługo potem lotniak braci Largazi, obciążony, jakby nie było, dwoma jeźdźcami, stracił siły. Spadł do niezbyt głębokiego morza, niedaleko brzegu, pogrążając w wodzie obu poruczników. Wylądowałem na lodzie i posłałem wojownika, by wysunął kończyny i wyciągnął ich na brzeg.

A trafiliśmy w bardzo dziwne miejsce. Gorące kratery zabarwiły śnieg na żółto, pienne gejzery utworzyły w odwiecznym lodzie gorące sadzawki, a morskie ptaki karmiły się ikrą małych rybek trących się na obrzeżach oceanu. Byliśmy

na najdalszym krańcu łańcucha gór — tego samego, co tutaj — na tajemniczych zachodnich rubieżach, gdzie wulkany są nadal aktywne.

Kiedy już obaj Largazi suszyli się na brzegu, poszukałem odpowiedniego miejsca na start i odkryłem lodowiec, schodzący ku oceanowi. Nakazałem wojownikowi, by spoczął tam, na lodzie; ten wierzchowiec również był zmordowany — wyciąganie bliźniaków z topieli raczej nie wzmocniło jego sił żywotnych. Wojownicy muszą zabijać i pochłaniać potężne ilości czerwonego mięsa, inaczej marnieją. Zadałem więc sobie pytanie: co bardziej przyda mi się w Krainie Wiecznych Lodów? Krzepki wojownik czy para kłótliwych, nieważnych i wiecznie głodnych niewolników? Ha! Gdzie tu porównanie?

Przyszło mi do głowy, że należy jednego z braci zarznąć natychmiast, a jego ciałem nakarmić wojownika. Tylko że... cóż, przyznaję: nie doceniłem owych niedoszłych wampirów. Oni też przemyśleli całą sprawę i doszli do tych samych co ja wniosków, korzystnych dla mej bestii bojowej. Oddalili się więc na bezpieczną odległość i skryli się w głębokiej i wąskiej szczelinie, tak że ani groźbą, ani obietnicą nie mogłem zmusić ich do wyjścia i powrotu do mnie. Buntownicze psy! Dobrze: niech zamarzną! Niech zdechną z głodu! Niech obaj umrą!

Wspiąłem się na grzbiet wojownika i dźgnięciem ostróg skłoniłem go do ześlizgnięcia się po lodowym stoku. W ostatniej chwili wzbił się w górę i poleciał nad morze. Ani o moment za wcześniej: poderwanie tak zmęczonego zwierzęcia stało się wielce ryzykowne, niemal posmakowałem słonej piany fal bijących o lodowiec. Ale wreszcie znalazłem się w powietrzu.

Skreśliłem w głąb łądu, zataczając łuk wysoko nad głowami zdradzieckich Langazich, którzy wyleźli na lód i gapili się na mnie, przekrzywiając głowy. Pomachałem im szyderczo na pożegnanie i obrałem kurs na odległe szczyty, rysujące się wyraźnie na tle pulsującej wstęgi zorzy. Na te same szczyty, które w tej chwili mamy za plecami, wraz z owym środkowym wulkanem, którego wydrążonego przez lawę wnętrza strzegą, przynajmniej według Ferenca stwory o ostrych jak miecze nosach. Tak, te same szczyty.

Nie chciałem ani nie mógłbym stwierdzić, że Fess kłamał, mówiąc, że Volse został zabity przez jakąś nieznaną bestię, jako że i mojego wojownika spotkał smutny, intrygujący koniec. A któż może dowieść, że Volse i mój nieszczęsny, znużony zwierzak nie padli ofiarą tego samego krwiożerczego potwora?

Opowiem wam, jak to się stało. Mój wojownik wydawał się śmiertelnie zmęczony; no, może nie aż tak, wiecie wszak dobrze, że bestie bojowe trudno jest uśmiercić, a zgon ze zmęczenia to naprawdę rzadkość. Jednakże zwierzak osłabiony i zdyszany zaczynał już protestować. Rozejrzałem się po okolicy. Na wyższych partiach zboczy środkowego wulkanu wypatrzyłem nacieki lawy; dobre, dostatecznie śliskie rampy startowe, w sam raz dla wojownika, o ile nabierze sił na dalszy lot.

Niestety, lądowanie wyszło fatalne i wojownik zrzucił mnie; strzaskał swój pancerz, wywichnął lotkę, a ostry występ skalny rozdarł mu dyszę. Zanim jego metamorficzne ciało zakryło błoną, a następnie zasklepiło rany, utracił wiele galonów płynów. Moje nieznaczące obrażenia zignorowałem, jednak taka mnie wzięła złość, że skląłem i skopałem wojownika. Przestałem dopiero, gdy i on, rozeźlony, zaczął ryczeć i fukać. Pozostało mi tylko uspokoić rozsierdzone zwierzę i ukryć je w wyjściu do tunelu, bardzo podobnego — a może nie tylko podobnego? — do tego, w którym Ferenc umiejscowił owego chorobliwie białego potwora. Mój tunel, podobnie jak tamten, został wydrążony przez lawę uchodzącą z rozgrzanego ongiś jądra wulkanu, może więc powinienem był zbadać go nieco głębiej. Wówczas jednak środkowy wulkan nie budził jeszcze żadnych moich podejrzeń.

Poleciłem wojownikowi, by leczył swe rany i zostawiłem tam, na progu jaskini, a sam, ulegając swej ciekawości, zszedłem na równinę pełną lśniących, lodowych zamków, żeby przekonać się, co w sobie kryją. Jak sami widzieliście, niezwykle przypominają wieżyce wampirów albo wzniesione z lodu twierdze. To, co w nich odkryłem, było bardzo dziwne, niesamowite, naprawdę przerażające!

W owych lśniących zamczyskach tkwili uwięzieni w lodzie, zastygli w bezruchu, wygnani Lordowie. Wielu, niestety, już martwych, zmiażdżonych albo ściętych przez osuwające się tafle; wielu też — zbyt wielu, jak mi się zdawało — w różny sposób... pomarło? Pozostali przetrwali, uśpieni w nieprzeniknionych bryłach lodu twardego jak żelazo; swój wampirzy metabolizm zredukowali tak dalece, że na ich ciałach nie został niemal ślad minionych stuleci. To jednak było tylko fałszywe wrażenie. Ich sny pozostały wyblakłymi, ulotnymi obrazami, zaledwie wspomnieniem żywotów, jakie wiedli za Dawnych Dni, kiedy to wieżyce Gwiazdnej Krainy zajmowały pierwsze wampiry, walczące między sobą o ziemię.

Wszyscy niegdysiejsi Lordowie umierali; tak, powoli, a jednak nieuchronnie. Nic dziwnego; krew to życie, a oni od niezliczonych wieków mogli się żywić tylko lodem...

— Niektórzy z nich! — wtrącił Fess Ferenc. — Powiedzmy większość. Ale przynajmniej jeden z nich nie musiał odbywać się bez krwi. Do takiego wniosku doszliśmy wraz z Volsem Pinescu, badając lodowe zamczyska.

Szaitis popatrzył na niego, potem na Arkisa.

— Czy ktoś z was może to rozwinąć? A może obaj?

Arkis wzruszył ramionami.

— Mam wrażenie, że Ferenc mówi o rozbitym lodzie i pustych tronach. Jak już wspominałem, część zamrożonych warowni i redut — znaczna część — została rozbita, a ich bezradni, zamrożeni mieszkańcy usunięci. Ale przez kogo, dokąd... i w jakim celu?

I znów się wtrącił wielki, masywny Ferenc o spadzistej czaszce.

— Wysnułem co do tego pewne wnioski. Mam mówić dalej?

Arkis z Trędotatych ponownie wzruszył ramionami.

— Jeśli jesteś w stanie rzucić nieco światła na tę zagadkę...

— Tak, mów — powiedział Wielki Lord.

Ferenc skinął głową i podjął wątek.

— Jak sami zauważyliście, lodowych zamków jest tu od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu. Tworzą koncentryczne kręgi wokół wygasłego wulkanu, który tkwi w samym środku. Tylko czy ten wulkan naprawdę jest wygasły? A jeśli tak, to dlaczego z prastarego, oszronionego krateru nadal wypływa smużka dymu? Wiemy też — ja aż za dobrze — że tuneli wiodących do jego wnętrza strzeże przynajmniej jeden monstrualny wojownik. Tak, ale czego albo kogo właściwie strzeże?

Paauza zaczęła się nieznośnie przedłużać, aż w końcu i Szaitis wzruszył ramionami.

— Mów dalej, błagam. Masz nas w garści, Fess. Najzupełniej nas zaintrygowaleś.

— Doprawdy? — Ferenc poczuł się mile połączony. Niespiesznie i bardzo głośno strzelał kostkami szponiastych palców. — Zaintrygowani. Tak? No i dobrze. Widzisz więc, Wielki Lordzie, że nie jesteś jedynym bystrzakiem, jaki przeżył gniew Rezydenta?

Z rozdętych nozdrzy Szaitisa wydobyło się parsknięcie, świadczące, być może, o pewnym wahaniu. Lord pokręcił głową.

— Docenię, co należy docenić — stwierdził wreszcie — kiedy zobaczę cały obraz.

— Świetnie — zgodził się Ferenc. — A oto, co ja widziałem i o czym jestem przekonany. Wraz z tym parszywym ropniem, Volse'em Pinescu, zbadaliśmy wieżycę wewnętrznego kręgu i odkryliśmy, że wszystkie zostały złupione.

Na tej podstawie, i zważywszy, że Volse zginął, wyspany do cna przez Potwora z wulkanicznego tunelu, z łatwością mogę złożyć dość wiarygodny obraz tego, co tu się dzieje.

Moim zdaniem, owym uśpionym wulkanem włada jakiś prastary wampirzy Lord — a może wampirza Lady. W minionych wiekach, ilekroć trafiały tu bezdomne wampiry, ten ktoś bronił przed nimi „rozkoszy” wulkanu... tej odrobiny ciepła, jaka musiała tam pozostać. Później, kiedy oblegające go wampiry poddały się zimnu i zapadły w letarg, chytry pan wulkanu opuszczał czasem swą kryjówkę, by penetrować ich lodowe komnaty i żywić się zamrożonym mięsem. I tak lodowe zamki stały się jego spiżarnią!

— Ha! — Arkis klepnął się w swe potężne udo. — To wszystko wyjaśnia.

Ferenc pokiwał rozdętą, groteskowo wielką głową.

— A zatem zgadzasz się z moimi wnioskami?

— A jak inaczej? — spytał Arkis. — Co o tym sądzisz, Szaitisie?

Wielki Lord popatrzył na niego zdziwiony.

— Powiedziałbym, że kręcisz się jak chorągiewka na wietrze: najpierw tu, a potem tam. Pierwotnie pragnąłeś zabić Ferenc, teraz zaś zgadzasz się z każdym jego słowem. Tak łatwo zmieniasz poglądy?

Syn trędowatego zerknął na niego spođe łba.

— Poznaję prawdę, ledwie ją słyszę — odparł. — Poza tym uważam, że myślenie na głos ma sens. To, jak Ferenc ocenia tutejsze sprawy, przekonuje mnie, a twój apel, żebyśmy dla większego bezpieczeństwa trzymali się razem, wydaje mi się równie rozsądny. Czym się więc gryziesz, Szaitisie? Myślałem, że chciałeś, abyśmy byli przyjaciółmi?

— Wciąż tego chcę. Martwi mnie tylko, że ktoś tak szafuje swoją lojalnością. Ale czy nie zechciałbyś dokończyć swojej opowieści? Poprzestałeś na tym, że zostawiłeś rannego wojownika u wejścia do wulkanicznego tunelu i zszedłeś na równinę, by zbadać lodowe zamki.

— Tak właśnie zrobiłem — zgodził się Arkis. — I odnalazłem w nich miejsca podobne do tych, które opisał Ferenc: zamknięte w lodzie trony odwiecznych, zapomnianych wampirzych Lordów — strzaskane i puste, niczym okradzione z miodu ule w słonecznej Krainie. Ślady takich napaści znajdowałem też w zamkach bardziej oddalonych od centralnego wulkanu, choć tam niejednokrotnie lód okazywał się zbyt gruby i uśpioni przed eonami Lordowie pozostali bezpieczni, cali i nienaruszeni. A to oznaczało, że i ja nie zdołałbym naruszyć ich bezpieczeństwa.

W końcu znużyły mnie te bezowocne poszukiwania. Byłem głodny, a nie mogłem włamać się do tych prastarych lodowni; małe nietoperze już mi nie ufały i omijały moje miażdżące dłonie, a jeśli moi dawni niewolnicy, bracia Largazi, żyli, przebyli dopiero połowę drogi do tego miejsca i wyczerpani, nie zdołaliby przede mną uciec. Ale o tym mogłem jedynie marzyć! Nadszedł czas, bym wrócił do swego wojownika i zobaczył, jak się trzyma. Wspiąłem się więc do owej wysoko położonej jaskini, gdzie go ukryłem.

Rzecz w tym, że go tam nie spotkałem. Zostało po nim jedynie kilka strzępów.

— Tamten krwiopijca — pokiwał głową Ferenc. — Bestia o wydrążonym, kościanym mieczu zamiast nosa.

— Jakim sposobem? — Szaitis miał jeszcze wątpliwości. — Zgadzam się, że bezmyślna bestia może wyssać do cna człowieka lub nawet wojownika, jeśli jej starczy czasu. Ale jak mogłaby pociąć tak wielki zewłok na kawałki i jeszcze je usunąć?

Ferenc wzruszył tylko ramionami.

— To są lodowe pustkowia — powiedział. — Tu żyją dziwne stwory o jeszcze dziwniejszych obyczajach, a z pożywieniem jest krucho. Pomyśl tylko: czy w Gwiezdnej Krainie śniłoby się nam, że będziemy żuć gumiate tętnice lotniaków? Co? Wszak mieliśmy w swych spiżarniach troglodytów, a tuż po drugiej stronie gór żywych Wędrowców? Mało prawdopodobne! Ale tutaj? Ha! Nauka nie trwała długo. O, dość szybko spuściliśmy z tonu. A co z domniemanymi zwierzę-

tami i innymi istotami, jakie zapewne spędziły tu całe swe życie? Jeśli ta ohydna, plugawa bestia poluje jedynie na swoje konto, może ma tu gdzieś spiżarnię. A jeśli poluje dla swojego pana? Może to on posiekał wojownika Arkisa i ukrył jego szczątki?

Szaitis skierował swe myśli do wewnątrz, by lepiej ich strzec, „Masz rację, pan! Pan zła, samo źródło zła — pomyślał — obleczone w postać pradawnego wampirzego Lorda. Doprawdy, jeden z pierwszych prawdziwych Lordów. Mroczny Lord Szaitan! Szaitan Przedwieczny! Szaitan Upadły!”

— I cóż? — zapytał Arkis z Trędowatych. — Słowa Ferenc mają sens czy nie? A jeśli tak, to jaki będzie nasz następny ruch?

— Słowa Ferenc zapewne mają sens — odpowiedział ostrożnie Szaitis. „Faktycznie, mają, ty niekształtny durniu! — dodał w duchu. — Ale on przebywa tu dłużej ode mnie. Może to nie tyle nagłe i niespodziewane objawienie inteligencji tego śmiesznego wielkoluda, co raczej skutek dłuższego obcowania z dziełem Szaitana. . . odczuwania spojrzenia jego prastarych oczu, patrzących przez różowe ślepką niezliczonych białych wasali?”

— I cóż? — powtórzył za Arkisem Ferenc. — Co teraz, Szaitisie? Czy masz jakiś plan?

„Plan? O tak, dobry plan! myślał — Dowiedzieć się więcej o Szaitanie; odnaleźć go i zapytać, dlaczego pozwolił, by albinosy mnie ogrzały — ale przede wszystkim dowiedzieć się, co to za niesamowita więź przyciąga mnie do tego, którego znałem tylko z szeptanych cicho mitów i legend.”

— Tak, mam plan — odrzekł głośno. I rozumując z właściwą sobie jasnością, niemal od niechcienia, stworzył ów plan na poczekaniu, dosłownie pod wpływem chwili. Plan, który, jak sądził, zadowoli jego kompanów, a co najważniejsze, będzie odpowiadał jemu. — Najpierw wytniemy z tego lotniaka solidną porcję mięsa, ile tylko zdołamy bez trudu unieść, a potem wyruszymy ku środkowemu wulkanowi. Po drodze pokażecie mi kilka zamrożonych Lordów. Jak dotąd widziałem tylko jednego — Kehrla Lugoza, przegnanego tu wraz z Szaitanem u zarania wampirzej tyranii — a na tak skąpej podstawie nie mogę oprzeć niczego konkretnego. Później, kiedy dotrzemy do zamków wewnętrznego kręgu, obejrzymy owe rozbite komnaty, z których wykradziono ciała Lordów. To na początek. „Dalszy ciąg wymyślę po drodze” — szepnął do siebie.

Arkis miał chyba wątpliwości.

— He? Cóż to ma być za plan? Zabieramy mięso i składamy wizytę garstce zeschniętych, prehistorycznych, uwięzionych w lodzie Lordów? A potem oglądamy złupione, puste grobowce innych starożytników, których losów możemy się tylko domyślać?

— Idąc do środkowego wulkanu — przypomniał Szaitis.

— Co dalej? — spytał Ferenc.

— Może zniszczymy tego, który się tam kryje — odparł Wielki Lord. — Z władniemy jego sekretami, bestiami i majątkiem, a może nawet odkrywamy jakiś sposób na opuszczenie tych potwornie nudnych i jałowych lodowych pustyni.

Ferenc pokiwał groteskowo głową.

— Odpowiada mi to. Zgoda, niech i tak będzie. — Zaczął ścinać z krzywych ścian klatki piersiowej lotniaka paski zamrożonego mięsa; wypełniał sobie nim kieszenie.

Arkis niechętnie poszedł w jego ślady.

— Wiem, że mięso to mięso — burczał. — Ale mrożone mięso lotniaków? Ha! Krew była życiem!

— Wiedziałem, że o czymś zapomnieliśmy — stwierdził Szaitis, strzelając palcami. — Powiedz mi teraz, Okrutna Śmierci, co z twymi niewolnikami, braćmi Largazi? Czy przyszedli tu za tobą z zachodu? Z zasnutego dymami wybrzeża, znad kipiących gejzerów i jezior siarki? Czy przeżyli? A może sześli na szlaku?

— Tak, sześli, — przyznał tamten i uśmiechnął się z lubością, wiedząc, co mówi; jego kły połyskiwały matowo. — Ale nie na szlaku. Sześli, kiedy tu dotarli i kiedy ich znalazłem — wyczerpanych i drżących — w pustym wnętrzu najdalej na zachód wysuniętego zamku. A jak błagali o wybaczenie. I wiecie, że im wybaczyłem? Naprawdę? „Goramie! — krzyknąłem. — Belarcie! Moi wierni niewolnicy! Moi zaufani porucznicy! Powróciliście w końcu pod skrzydła swego nauczyciela!” Och, jak mnie ściskali. I ja również objąłem ich za szyje — i rozdarłem je!

Szaitis westchnął, może nieco ponuro.

— Spożyłeś ich obu? Za jednym zamachem? Nie myśląc o jutrze?

Arkis wzruszył ramionami i skończył wypychać kieszenie mięsem.

— Od przeszło dwóch zórz byłem zmarznięty i głodny. A krew Largazich była gorąca i mocna. Może należało się powstrzymać i zachować jednego z nich w zapasie... a może i nie? Wszak wtedy właśnie przybyli Fess i Vorse. Oszczędziłem sobie rozczarowania faktem, że wykradli mi jednego z niewolników. Lecz trupy dobrze ukryłem w sercu lodowca. Niestety, zniknęły tak samo, jak mój wojownik. Coś je wykradło, kiedy udałem się na poszukiwania.

Szaitis, mrużąc oczy, zerknął na Ferencę, który natychmiast potrząsnął głową.

— To nie ja. — bronił się przed niemy oskarżeniem. — Ani ja, ani Vorse. Nic nie wiedzieliśmy o zamrożonych niewolnikach Arkisa. Gdybyśmy wiedzieli, może wypadki potoczyłyby się inaczej? — Wygramolił się z wnętrza spustoszonego lotniaka i wyprostował się. W blasku gwiazd i zorzy wydawał się gigantyczny. — Wszystko ustalone?

Szaitis i Arkis dołączyli do niego i wszyscy trzej zwrócili się w stronę środkowego wulkanu. Od owej wygasłej góry dzielił potworną trójkę lodowy zamek, jaki w ciągu niezliczonych stuleci wyrósł wokół bazaltowego trzonu. Równie dobrze

od niego mogli zacząć poszukiwania. Wielki Lord ogarnął wzrokiem jednostajny krajobraz i popatrzył chwilę w szkarłatne ślepie „towarzyszy”.

— Wszystko ustalone — odpowiedział wreszcie. — Chodźmy więc i sprawdźmy, jak wygląda reszta tych zamarzniętych przed eonami wygnańców.

I trzy wampiry ruszyły razem, przynajmniej chwilowo razem, ku śnieżnym równinom i roziskrzonym lodom, a niesamowite tarasy i błyszczące blanki owego zamku rosły im w oczach, w miarę jak się do niego zbliżały. Posępny wierzchołek lśniących, koncentrycznych kręgów wieżyc, mroczny i matowy, „wygasły” wulkan, co jakiś czas wydmuchiwał kłęb dymu w rozświetlone, wiecznie zmieniające się niebo.

A może to tylko złudzenie? Możliwe, Szaitis sądził inaczej.

* * *

Wielki Lord dość szybko zorientował się, że lodowe zamki niewiele się od siebie różnią. Ten tutaj na przykład mógłby równie dobrze być martwą, budzącą dreszcze i przejmującą kąśliwym mrozem wieżycą Kehrla Lugoza; choć, rzecz jasna, to jakiś inny Lord, nie nieumarły Kehrl, czekał w nim od stuleci, skuty lodem. I to — kimkolwiek był za życia — czekał zbyt długo, jako że jego życie dobiegło już kresu, stał się naprawdę martwym. Lodowa mumia zamarznięta, zagłodzona, odwodniona ponad wszelką miarę. Tamten wampir odszedł już w przeszłość, pozostawiając teraźniejszości jedynie swoją powłokę.

Szaitis, przyglądając się mu przez zniekształcającą obraz taflę, zastanawiał się, z kim ma do czynienia. Ale dobrze, że tamten już umarł, inaczej jego myśli mogłyby zdradzić Arkisowi i Ferencowi pewne tajemnice, których lordowie nie powinni zgłębić. . . ujawnić, dlaczego leżał na wyciosanym z lodu piedestale, wspierając się na kościstym łokciu i wyciągając przed siebie szponiastą dłoń, jakby chciał odstraszyć jakieś nieznanne zło. Tak, nawet ów pradawny wampir czegoś się lękał! Czegoś albo kogoś, stojącego w miejscu, które teraz zajmował Szaitis.

— Co o tym sądzisz? — Wielki Lord drgnął, wyrwany z zadumy przez donośny, spotęgowany jeszcze przez echo głos Ferenca. Spojrzał na to, co olbrzym wskazywał pazurzastą łapą, na okrągłą dziurkę, która uszła jego uwadze. Ten niemal niewidoczny otwór o średnicy siedmiu czy ośmiu cali, sięgający w głąb lodu, niemal dochodził do zwłok wampira, leżących na lodowym katafalku.

— Dziura? — Szaitis zmarszczył brwi.

— Właśnie — potwierdził Ferenc, — Jak te, które robaki drążą w ziemi. Czyżby jakiś lodowy robak? Klęknął i wsunął w otwór rękę aż po ramię. Wyciągnął ją i raz jeszcze zajrzał w głąb lodu.

— Wiodłaby prosto do serca — dodał.

— Tu jest więcej dziur! — zawołał Arkis, stojący z boku bryły. — I wydaje mi się, że zostały wywiercone. Widzicie te kopczyki okruchów na posadźce?

„Odrobina niedostatku, jakiej zaznali moi tępi przyjaciele, wyostrzyła ich percepcję” — pomyślał Szaitis. Obszedł bryłę aż do miejsca, w którym stał Arkis, i przyjrzał się nowym, a raczej nowo odkrytym otworom; wydrążono je przecież przed stu, a może i dwustu laty. Zglądając do nich, wzorem Ferenca, stwierdził, że i te idealne okrągłe wloty znajdują się na wysokości korpusu zlodowaciałej mumii.

„Właśnie, wloty” — powiedział sobie w duchu i zmrużył oczy, zastanawiając się nad tym skojarzeniem. W swoim czasie zapuszczał się na wschodnią stronę pasma gór oddzielającego Krainę Gwiazdną od Słonecznej i gościł w obozowiskach Cyganów parających się metalurgią. Tam właśnie żyli „blacharze”, projektujący i wytwarzający dla wampirów straszliwe rękawice bojowe. Szaitis widział kiedyś, jak owi pstrokaci Wędrowcy wlewali ciekły metal w formy, używając do tego celu glinianych rurek albo śluz. Otwory, które teraz oglądał, również przypominały mu kanaliki, przez które przepuszczano ciecz.

Sęk w tym, że wszystkie, choć ślepe, pięły się łagodnym łukiem ku martwemu Lordowi, co wskazywało na to, że ich przeznaczeniem nie było dostarczenie mu czegoś. A zatem — odebranie? Szaitis zadrżał; zaczynał już przeklinać te poszukiwania, a zwłaszcza płynące z nich wnioski.

Tak, w całej tej scenie odkrył coś, co nawet jego wampirze serce uznało za złowieszcze, przytłaczające, tchnące grozą. Fess Ferenc zdobył się na to, by powiedzieć to głośno.

— Wraz z przyszczatym Volsem natrafiliśmy na bryły, gdzie lód nie był tak gruby. Tam wszystkie otwory przechodziły na wylot, a wewnątrz pozostały tylko kupki szmat, skóry i kości!

— Co? — Szaitis spojrział na niego z niepokojem.

Ferenc skinął głową.

— Tak, jakby śpiący mieszkańcy lodowych wieżyc zostali nieomal całkiem wyssani przez te kanaliki i pozostały po nich jedynie co twardsze resztki.

Dokładnie to samo pomyślał sobie Wielki Lord.

— Ale jakim cudem? — wyszeptał. — Przecież byli zamarznięci? Jak można całe, zamrożone na kość ciało przeciągnąć przez otwór, w którym nie zmieściłaby się nawet głowa?

— Nie wiem. — Ferenc potrząsnął niekształtnym łbem. — Ale mimo to sędzę, że tego właśnie obawiał się ten staruszek. Co więcej, podejrzewam, że zabił go właśnie ów lęk...

* * *

Później, pokonawszy kolejną milę, dzielącą ich od środkowego wulkanu, weszli do jednego z zamków wewnętrznego kręgu.

— W tym jeszcze nie byłem — stwierdził Ferenc — ale stoi tak blisko tej wygasłej góry, że łatwo przewidzieć, co tu znajdziemy.

— O? — Szaitis przyjrzał się mu uważnie.

— Nic! — pokiwał głową Ferenc, dobrze wiedząc, co mówi. — Tylko okruchy lodu otaczającego bryłę czarnej magmy i miejsce po jakimś pradawnym Lordzie, którego ktoś wykradł.

Nie mylił się. Kiedy wreszcie znaleźli wysoki tron z zastygłej lawy, stwierdzili, że stoi pusty, a okrywająca go ongiś lodowa powłoka zmieniała się w bezładny stos odłamków. Znaleźli też kilka strzępów szmat, ale tak starych i tak zeszywniałych, że kruszyły się w rękę. I to było wszystko.

Szaitis klęknął nad szczątkami rozbitego bloku, by zbadać jego krawędzie i znalazł to, czego szukał: wyłobienia pozostałe po licznych, rozmieszczonych wachlarzowato otworach, wiodących w to samo miejsce — w pustą niszę w czarnej skale. Spojrzał na Fessa i Arkisa i ponuro pokiwał głową.

— Ten, który dokonał tak straszliwego dzieła, mógł wyssać owego nieznanego Lorda jak żółtko z jajka, ale nie musiał tego robić, gdyż powłoka miała zaledwie dwie i pół stopy grubości. Nawiercił dookoła mnóstwo dziur, by nadwężyć lód, a potem wrywał go całymi kawałkami, aż dotarł do skamieniałej ofiary.

— Czy się nie przesłyszałem? — zapytał Ferenc. — Powiedziałaś „tak straszliwego dzieła”?

Szaitis przyjrzał się olbrzymowi, a potem przeniósł wzrok na Arkisa.

— Jestem wampirem — warknął głucho. — Dobrze mnie znacie. Nic w sobie nie mam z mięczaka. Szczęję się swą wielką siłą, swym gniewem i furją, swymi żądzami i apetytem. Ale jeśli to tutaj jest dziełem człowieka — i mojego pobratymca — twierdę, że jest straszliwe. Przeraza mnie ten, działający ukradkiem, wszechobecny, tajemniczy zabójca. Tak, ja także jestem wampirem! I gdybym na zawsze utknął w Krainie Wiecznych Lodów, bez wątpienia opracowałbym różne sposoby podtrzymania życia, zadbałbym o twierdzą, doskonały system obronny i źródło pożywienia. Ja również stałbym się tajemniczy i złowrogi, jeżeli wymagałyby tego okoliczności. Nie rozumiecie? Ktoś już tego dokonał! Znajdujemy się na terytorium kogoś, kto przeraża i podporządkowuje sobie nawet wampiry! To właśnie jest straszliwe. Sama atmosfera tej krainy jest przesiąknięta złem. I jeszcze coś: wydaje mi się, że to zło jest celem, a nie środkiem!

Szaitis powinien wcześniej ugryźć się w swój rozwidlony język. Ale było już za późno; czuł, że zbyt wiele powiedział lub zasugerował. Lecz to miejsce tak przytłaczało jego wampirze zmysły, tak szarpało nerwy, że musiał przyjąć, iż tamci, którzy nic nie czuli, utracili wszelką wrażliwość.

Kiedy Szaitis mówił, Arkis rozdziawił usta. Teraz je zamknął.

— Ha! — mruknął. — Zawsze miałeś dryg do przemawiania, Wielki Lordzie. Ja także odczułem groźną, złowrogą aurę tego miejsca. To samo czułem, kiedy odkryłem kilka skrwawionych łusek i skrawków pancerza mego wojownika i kiedy

ktoś wykraść z mej lodowej spiżarni bezkrwistych, ale wciąż jeszcze dość mięsistych — Largazich. Często zadawałem sobie pytanie: „Któż to mnie śledzi i zna każdy mój ruch? Czy wdarł się w mój umysł? A może to lodowe zamki mają oczy i uszy?”

Potem odezwał się Ferenc:

— Nie przeczę, ja też wyczułem tu coś niesamowitego. Sądzę jednak, że to tylko duch, relikw, pozostałość po dawnych czasach. Echo czegoś, co już nie istnieje. Rozejrzyjcie się i zadajcie sobie pytanie: czy zauważyliście tu ślady jakichś niedawnych zdarzeń? Odpowiedź brzmi: nie. Wszystko, co tu się stało, miało miejsce bardzo dawno temu.

— A mój wojownik? — prychnął Arkis. — A bracia Largazi?

Fess wzruszył ramionami.

— Wykraść ich jakieś tutejsze zwierzę. Może kuzyn owego bladego, jaskiniowego mieczonosa.

Szaitis otrząsnął się z chwilowego przygnębienia. Rozproszył ten dziwny, złowieszczy nastrój, który ogarnął go niczym mgła. Wyjaśnienie Ferencowi odpowiadało mu. Nie zgadzał się z nim absolutnie, ale odpowiadało mu, że tamci sądzą, iż dał się przekonać. Jeszcze tylko jedna sprawa. . .

— A skoro nie działa tu żadna złowroga inteligencja — zapytał — a przynajmniej już nie działa, to po co mamy badać wulkan?

Fess ponownie wzruszył ramionami.

— Lepiej się upewnić, nie? Jeśli działała tu jakaś „złowroga inteligencja”, nawet i dawno temu, może gdzieś w sercu wulkanu pozostawiła po sobie coś, co nam się przyda. Jedno jest pewne: nie przekonamy się, dopóki tego nie sprawdzimy.

— Teraz? — zapalił się Arkis.

— Proponuję, żebyśmy się przespali — rzekł Szaitis. — Ja na razie mam dość chodzenia, poza tym wolałbym zajmować się wulkanem, kiedy będę wypoczęty i po sutym śniadaniu. A przy okazji, zauważyłem, że zorza znów intensywnieje. To dobry znak. Niech płonące niebo oświetli nam drogę.

— Zgadzam się, Wielki Lordzie — zadudnił Ferenc. — Ale gdzie ułożymy się do snu?

— Czemu nie tutaj? W zasięgu głosu, ale każdy w swojej niszy.

— To mi odpowiada — zgodził się Arkis.

Rozdzielili się i wspięli na niepewne, lecz dające poczucie prywatności lodowe półki, skryli się w niszach, gdzie nikt nie mógł zakraść się nie zauważony, i tam ułożyli się do snu. Szaitis miał ochotę przywołać albinosy, by znów przykryły go ciepłym, żywym kocem, lecz odrzucił tę myśl. Fess i Arkis mogliby uznać pojawienie się nietoperzy za dość podejrzane. Zapytaliby, czemu właściwie Szaitis ma władzę nad nietoperzami, skoro ich nie słuchają? Właśnie, czemu? Na to pytanie nie umiał odpowiedzieć. Jeszcze nie.

Wtulił się w płaszcz z sierści czarnych nietoperzy i zaczął żuć mięso lotniaka. Marny to był posiłek, ale chociaż sycący. Mając jedno oko otwarte, błędził nim po lodowej grocie, od Fessa do Arkisa. „Przyjdzie jeszcze pora na coś smakowitego” — pomyślał Szaitis.

Tak, na coś smakowitego; na Fessa i Arkisa, którzy na pewno roili sobie teraz podobne plany, związane z jego osobą.

Układając się do snu, oddychał coraz głębiej, a jego szkarłatne oko wciąż penetrowało jaskinię. Z wolna zaczęły napływać sny...

ROZDZIAŁ PIĄTY

Więzy krwi

Wampir Szaitis śnił o czymś wspaniałym. Jak to często bywa w snach, w jedno splatały się różne myśli i tematy, niekiedy trudne do wytłumaczenia, może będące tylko echem jego rosnących ambicji. Ów sen już od jakiegoś czasu rozwijał się w najmroczniejszych zakamarkach podświadomości Lorda, teraz zaś przerodził się w uporządkowany ciąg obrazów.

Szaitis ujrzał swój triumf, moment chwały. Lady Karen klęczała naga pomiędzy jego rozchylonymi udami, gładziła potężne jądra, pieściła i nawet kąsała nadzwyczaj ostrożnie purpurowy, pękaty koniuszek jego ogromnego, nabrzmiąłego penisa, przerywając czasem, by wtulić ów rozpulsowany członek między swe doskonałe piersi. Lord wylegiwał się na wyłożonym wspaniałymi poduszkami, wysoko wyniesionym, kościanym tronie Dramala Druzgocącego, w zamku Karen — ostatniej z wielkich wieżyc wampirów, należącej teraz do niego na mocy prawa siły — i spoglądał na te wszystkie osoby, stwory i przedmioty, które mógł teraz wedle swego upodobania wykorzystywać, lżyć lub niszczyć.

W górze, nad przyporami, blankami i balkonami kilometrowej wieżycy, wzniesionej ze skamieniałych kości, głazów, błon i chrząstek, pojawiły się nowe gwiazdy, wzbogacające i tak już rozgwieżdżone niebo. Słońce, niknące nad Słoneczną Krainą, po raz ostatni błysnęło złocistym wachlarzem i na krótką, zapierającą dech w piersiach chwilę góry zamieniły się w masywną, nieregularną plamę, zaś żółty blask, spowijający ostre szczyty, przeszedł w fiolet, po czym pograżył się w szarości.

I wówczas... gwałtownie wydłużający się cień gór ogarnął skaliste równiny, topiąc je w mroku — nadszedł ów zachód słońca, na który tak długo czekał Szaitis; nadeszła godzina jego największego triumfu i zemsty.

Jak na komendę, jego porucznicy odciągnęli ciężkie gobeliny zasłaniające okna i odcięli sztandary Karen, strącając je w ciemność, po czym rozwinęli jeszcze dłuższe, spiczasto zakończone chorągwie, ozdobione nowym herbem Lorda — zaciśniętą w pięść, wampirzą rękawicą, uniesioną groźnie nad świetlistą

kulą, przejściem do piekielnych krain. Zwisły teraz z najwyższych parapetów zamku, falując na lekkim wietrze.

— Tak postanowiłem — ryknął Wielki Lord — i tak musiało się stać.

Popatrzył wyzywająco na salę, czekając, czy ktoś ośmieli się zakwestionować jego władzę. A jednak w głębi serca czuł, że to zwycięstwo nie było jego dziełem. Wiedział, że nie powinien się mienić jego autorem, że sam nie zdołałby pokonać dziwnych mocy i nieznannej magii Rezydenta. Nie poradziłby sobie bez wsparcia.

Szaitis właściwie nie pamiętał, w jaki sposób zwyciężył, wiedział tylko, że miał potężnego sojusznika, który nawet teraz stał u jego boku. Skoro jednak wyglądało na to, że nikt poza nim nie był świadomy obecności tamtego, a co więcej, on jeden spośród wszystkich ludzi nadawał się do tego, by objąć władzę — by ogłosić się władcą Nowej Krainy Lordów — czyż coś to zmieniało? Wszak widmo nie może zająć miejsca człowieka?

Mrużąc oczy, spjrzał w prawo (dyskretnie, tak, by tego nikt nie zauważył) i przez chwilę przyglądał się Zakapturzonej Istocie. Stała niedaleko, spowita w czarny płaszcz, obserwując bacznie wszystko, co się działo. Czarna, zła Istota, której nie znał i nie widział nikt poza nim. Ta, która umożliwiła mu podbicie gwiazdnej Krainy. Mimo to, nie czuł ani cienia wdzięczności, a jedynie gorycz. Uświadomił sobie, że to ów tajemniczy, pozbawiony twarzy sojusznik — jego niewidzialny kompan — był prawdziwym władcą, on zaś tylko figurantem. To poczucie rozdrażniło go, uczyniło jego triumf gorzkim. Był przecież wampirem i możnowładcą, a ani w tym, ani w żadnym innym świecie nie było miejsca dla dwóch wodzów.

Zerwał się nagle, dotknięty jakąś dziwną frustracją. Leżący na posadzce niewolnicy i ich klęczący nadzorcy podnieśli się wraz z nim (choć i panowie, i słudzy cofnęli się, porażeni jego surowym spojrzeniem), a czterej niewielcy wojownicy w połyskujących matowo pancerzach, spłoszeni tym ruchem, syknęli nerwowo, nie opuszczając jednak swych posterunków w odległych kątach wielkiej sali.

Lady Karen odsunęła się od stóp Szaitisa. W jej szkarłatnych oczach zobaczył coś na kształt uwielbienia, jak zwykle zdradliwego, głównie jednak strach. Odepchnął ją kopniakiem i podszedł do wysokiego, łukowatego okna. Na zewnątrz roiło się od szarych nietoperzy, śmigających niczym roje zaaferowanych muszek wokół gigantycznych wojowników, przeczesujących niebo. Ujrzał też szeregi przypominających płaszczki lotniaków w paradnych, bogatych uprzężach i poruczników oraz co godniejszych niewolników, siedzących dumnie w siodłach ozdobionych Rękawicą. To był prawdziwy pokaz powietrznej potęgi, dopełnienie jego największego zwycięstwa.

Wielki Lord przez chwilę nie ruszał się z miejsca; wziął się pod boki i z godnością unióśł głowę, jak generał podczas przeglądu wojsk.

Potem popatrzył na zachód, na Ogród, a raczej na przełęcz pośród szarych wzgórz, gdzie kiedyś kwitł.

Ale to było wczoraj, a dziś... szalały tam płomienie, w niebo szły szare kłęby dymu, a brzuchy chmur, sunących nad szczytami, jarzyły się czerwoną łuną. Szaitis ślubował sobie, że do tego doprowadzi, i oto stało się! Ogród płonął, a jego obrońcy... zginęli?

Nie, nie wszyscy. Jeszcze nie.

— Sprowadzić ich! — rzucił w przestrzeń śniący wampir. — Teraz się nimi zajmę.

Pół tuzina poruczników pospieszyło wykonać rozkaz i już po chwili przed obliczem Wodza stanęła para więźniów. Przy jego ogromie wydawali się karłami. Oczywiście, że tak. Był przecież władcą Krainy Lodów, wyhodował w swym ciele i mózgu wampira, podczas gdy oni byli zaledwie ludźmi. Tylko ludźmi? Zobaczył w ich postawie coś wyzywającego — coś, co przywodziło na myśl... Wampiry? A potem dojrzał ich oczy i poznał zadziwiającą prawdę.

Ha! I jak się to miało do zemsty? Wszak nic nie jest milsze wampirovi niż dręczenie, katowanie i pozbawianie soków życiowych osobnika lub osobników tego samego gatunku!

— Rezydencie — powiedział Lord głosem złowieszczym i tak cichym, że mógł niemal uchodzić za szept. — Rezydencie, zdejmij swą złotą maskę. Teraz cię znam, a powinienem był poznać cię już na samym początku. Twoja „magia” zwiodła mnie, tak jak zwiodła nas wszystkich. Magia? Ha! To nie magia — ale prawdziwy kunszt wielkiego wampira! Któż jak nie mistrz wampirzych mocy, ośmieliłby się w pojedynkę wypowiedzieć wojnę wszystkim Lordom? I któż, jak nie najchytrzejszy... najchytrzejszy wampir, wygrałby taki bój?

Rezydent nie odpowiedział. Po prostu stał tam w luźno puszczonej szacie i złotej masce, zza której jarzyły się jego czerwone oczy.

Szaitis, wierząc, że dostrzegł w nich przerażenie, uśmiechnął się ponuro. A nawet jeśli jeszcze nie tliło się w nich przerażenie, wkrótce powinno ono tam zagościć.

O drugim więźniu również nie mógł zapomnieć! Wszak tamten był nie tylko przybyszem z piekła, ale i ojcem Rezydenta. Stał ramię w ramię z synem podczas owej tragicznej bitwy, kiedy wampiry spadały z nieba i ginęły miażdżone jak komary. Co więcej, kiedy walka już dobiegła końca i wszystkie potężne wieżycy wampirów zostały zrównane z ziemią (wszystkie, wyjąwszy domostwo Karen), widział go z rzezoną „Lady” w tych samych komnatach — w prywatnych komnatach Karen, jak je wówczas zwano. Zastanawiał się wówczas, czy są kochankami?

Cóż, może byli, a może nie. Niewykluczone, że jedynie zawarli przymierze przeciwko Wielkiemu Lordowi i jego wampirovi, dzięki czemu oszczędzono tę wieżycę — tylko po to, by później dostała się w ręce Wodza, podobnie jak cała reszta majątku Lady. To co tamtych łączyło, nie miało właściwie znaczenia, ale Szaitis z jakichś nieokreślonych przyczyn chciał wiedzieć, czy ten piekielnik

dobrze poznał Karen i czy wszedł w nią. A na to pytanie łatwo mógł znaleźć odpowiedź.

Lady leżała tam, gdzie ją zostawił, obok kościanego tronu.

— Karen, chodź do mnie! — zawołał. Chciała wstać — Nie, czołgaj się! — dodał szybko.

Posłuchała. Ponętne ciało, które jej wampir uczynił fascynującym, osłonięte jedynie obręczami i złotymi pierścieniami i natarte olejkami, lśniło w świetle pochodni. Bujne włosy łonowe połyskiwały niczym wilgotny, miedziany gąszcz, a sterzące sutki i ciemne otoczki wyglądały — na tle bladych rozkołysanych piersi — jak sińce. Nawet teraz, gdy zgodnie z żądaniem Lorda posuwała się w ten upokarzający, zwierzęcy sposób, nic jej nie mogło pozbawić uroku.

Ledwie się zbliżyła, Szaitis wyciągnął rękę i chwytając dziewczynę za rude pukle, odchylił jej głowę w tył. Szarpnięciem postawił ją na nogi. Nawet nie pisnęła, nie zaprotestowała, natomiast Rezydent pochylił się nieco — przyjmując dość dziwną postawę, niczym pies balansujący na tylnych łapach — i Lord odniósł wrażenie, że z za złotej maski dobiegł głuchy warkot.

Wciąż unosząc Karen tak, że stała na palcach, Wielki Lord niespiesznie przeniósł wzrok ze złotej maski Rezydenta na dziwne, smutne oczy jego nędznie wyglądającego ojca. Zaciekawiony, przechylił na bok swój wielki łeb.

— A zatem ty jesteś tym piekielnikiem, który przysporzył mi tylu kłopotów w Ogrodzie? Cóż, człowieku, przyszło mi do głowy, że ty i twój syn mieliście mnóstwo szczęścia, a jeśli naprawdę jesteś najlepszy z tych, jakich mają za Sferyczną Bramą, najwyższy czas, by wampiry ją przekroczyły i pokazały, co potrafią! Chociaż... muszę przyznać, że czegoś tu nie rozumiem. Chodzi mi o to, że jesteś taką kreaturą małą, miękką, nędzną, nieco rozlazłą niczym jakiś chłopak — a ja mam uwierzyć, że miałeś to? — Mocniej zacisnął w wielkiej garści włosy Karen, podnosząc ją, aż musiała zatańczyć na koniuszkach palców. — I miałbyś się tym chełpić? — Szyderczy śmiech Szaitisa zazgrzytał, jak rozgrzany pogrzebacz w popielniku.

Przybysz z piekła zeszywniał, a jego szkarłatne oczy otworzyły się nieco szerzej; kącik ust zadrgał lekko, a blada skóra zbiałała jeszcze bardziej. Znalazł w sobie jednak dość siły, by stłumić furję wywołaną drwinami Lorda.

— Wierz w to, w co chcesz. Ja nie potwierdzam ani nie zaprzeczam — odpowiedział cicho i spokojnie.

Szaitis uznał ten wykręt za dowód niemocy piekielnika. Gdyby rzeczywiście był kochankiem Karen, niewątpliwie — wzorem innych wampirów — szczyliłby się na prawo i lewo, że ją zaliczył. Za to zuchwalstwo Szaitis wypatroszyłby go niezbyt ostrymi narzędziami, a dymiącymi wnętrznościami — na jego oczach — nakarmiłby wojownika. Ale mniejsza o impotencję, wampirzy Lord nie otrzymał jeszcze odpowiedzi na swoje pytanie.

— Świetnie — wzruszył ramionami Szaitis. — Przyjmuję więc, że ona nic dla ciebie nie znaczy. Gdybym myślał inaczej, odciąłbym ci powieki, żebyś nie mógł zamknąć oczu — i powiesił cię, zakutego w srebrne łańcuchy, na ścianie mej sypialni, byś obserwował najdrobniejsze szczegóły naszych czułości... aż do jej śmierci!

— Przestań! — Usłyszał nagle.

To ostrzeżenie zabrzmiało w jego umyśle niczym gong. Natychmiast zorientował się, skąd przyszło. Wbił wzrok w stojącą po drugiej stronie sali Zakapturzoną Istotę i zobaczył, że pod czarnym, nieprzeniknionym kapturem zapłonęły żółte jak siarka ślepia o szkarłatnych źrenicach. Wypaliły w mózgu Lorda upomnienie.

— Nie posuwaj się za daleko! Zniewoliłem ich, stłumiłem ich moce, ale podjudzanie ich jest wbijaniem ostrych kołków pod łuski wojownika! To ich niepokoje, pobudza; to osłabia moją władzę nad nimi.

— Ależ oni są pokonani, przegrani, zbici jak psy! — odparł Szaitis. Sam wiesz to najlepiej, gdyż ich umysły trzymasz w garści, niby winogrona, które możesz rozetrzeć lub zmiażdżyć, kiedy tylko zechcesz. Zresztą, mam tu wojowników, tłum poruczników oraz sługi. Na zewnątrz zaś — wszystkie stwory, krążące na nocnym wietrze. Powiedz mi, proszę, czego mam się obawiać?

— Tylko swej chciwości, synu, i swej dumy — odpowiedział tamten. — Czyżbyś powiedział „mam tu wojowników, tłum poruczników oraz sługi”? Ty masz? Czyż nie przyczyniłem się do twego triumfu? Było nas dwóch, zapomniałeś? A teraz powiadasz „ja” zamiast „my”? To zapewne tylko przejęzyczenie. Zapewne, ale języki wampirów są rozdwojone, czy nie?

— Czego ode mnie chcesz? — syknął Lord.

— Tylko tego, byś nie przesadzał z dumą — wyjaśniła Zakapturzona Istota. — Ja ongiś też byłem dumny i przekonałem się, że to wiedzie do upadku.

Tego już było za wiele! Zakazywać wampirowi dumy? Ograniczać gigantyczne, zwielokrotnione emocje kogoś takiego jak Szaitis?

— Przystałem sobie, że sam zadam śmierć Karen — w moim łóżu i w ściśle określony sposób — powiedział do Zakapturzonej Istoty. — Dopóki to nastąpi, mój triumf nie będzie zupełny. A Rezydent i jego ojciec to moi śmiertelni wrogowie, których zamierzam zniszczyć.

— A zatem zniszcz ich! — odrzekła zjawa, a jej oczy wypełniły się ogniem. — Zabij ich od razu; nie torturuj. Możesz ich doprowadzić do...

— Tak?

— Sądzę, że nawet nie znają swojej siły, swoich mocy.

— Swojej siły? — zdumiał się Wielki Lord. — Nie widzisz, że są słabi? Swoich mocy? Wyraźnie widać, że są bezradni! Dowiodę ci tego!

Puścił włosy Karen. I przyśniło się Szaitisowi, że znów odwrócił się do więźniów, którzy podczas jego rozmowy z mroczną istotą stali bez ruchu, przytrzymywani przez wampirze sługi.

— Kiedyś ta suka, Karen, za jednym zamachem zdradziła swego prawowitego pana — czyli mnie — i całą Krainę Lordów — oznajmił. — Zdradziła nas? Ha! Jej perfidia omal nas nie zniszczyła! Przysięgłem sobie wówczas, że kiedy czasy i okoliczności się zmienią, wbiję w jej bijące serce rurkę i wysączę całą krew. Łyk po łyku. Przysięgłem też, że w miejsce jej soków życiowych wpuszcę swoje ciało. Ofiaruję owej najniewdzięczniejszej z dam podwójną ekstazę. Tak przysięgłem i tak się stanie! — Potem zwrócił się do jednego z poruczników. — Sprowadź mi tu moje łóżko przykryte czarnym jedwabiem. I ostrą, złotą słomkę, którą znajdziesz na poduszce.

Sześciu potężnych niewolników wniosło łóżko, a płaszczący się porucznik — jedwabną poduszeczkę, na której leżała cienka, złota rurka. Jej lejkowate zakończenie błysnęło w świetle pochodni. Lord podniósł słomkę, zrzucił szaty i wskazał Karen łóżko.

Ale kiedy miał już do niej dołączyć... w krtani Rezydenta znów zrodził się głuchy warkot i Szaitis raz jeszcze wyczuł, że tamten wychyla się w jego stronę niczym jakaś nie nazwana groźba.

Wampirzy Lord zatrzymał się, przekrzywił szyderczo głowę, rozchylił usta w nieludzkim uśmiechu, po czym usadowił się obok całkowicie zniewolonej Karen. Lady leżała bez ruchu, jakby sparaliżowana i obojętna, nie spuszczając zeń szkarłatnych oczu. Oddech miała płytki, spazmatyczny, a na jej czole pojawiły się pierwsze krople potu; znak, że wiedziała, co ją czeka. Szaitis uniósł jej lewą pierś, przyjrzał się bladej skórze i wbił ostrzejszy koniec słomki pomiędzy dwa żebra, nakierowując ją na tętniące sedno ciała dziewczyny.

Kiedy wokół rurki wykwitła bańka ciemnoczerwonej krwi, wampirze pożądanie doprowadziło Lorda do potężnego wzrodu. Wypuścił słomkę i chwycił szeroką dłońią prawe udo Karen, naciskiem palców sygnalizując, że powinna się dla niego otworzyć...

I wtedy po raz pierwszy poczuł, że Lady nieśmiało sprzeciwia się jego woli — wspierana w tym oporze przez innych — oraz, że ogniskują się jakieś siły, których istnienia nawet nie podejrzewał. Zakapturzona Istota też je wyczuła.

— Ostrzegalem cię! — W umyśle Szaitisa rozległ się krzyk.

Ale było już za późno. Sen wampirzego Lorda przeradzał się w najczystszy koszmar.

Szaitis po raz trzeci usłyszał warkot Rezydenta — tym razem zdecydowanie zwierzęcy. Spojrzał na więźnia, szeroko otwierając oczy. Zobaczył, że tamten wyrywa się z rąk strażników i zdiera z twarzy złotą maskę. To, co się ukazało, przepełniło Wielkiego Lorda najgłębszym zdumieniem. Oblicze Rezydenta nie miało w sobie nic — dosłownie nic — ludzkiego. Płaskouche i pokryte szczecina, przypominało łeb wielkiego szarego wilka, ale o krwawych, wampirzych ślepiach!

Pomarszczony, rozedrgany pysk ociekał pianą i szczyrzył lśniące, sierpowate zęby. W chwilę później warcząca bestia odwróciła się i złapała ogłupiałego straż-

nika. Na oczach Szaitisa szczęki potwora, niczym stalowe paści, zacisnęły się na rękę porucznika i odgryzły ją poniżej łokcia.

I wówczas wszystko pogrążyło się w obłędzie.

W miarę jak rosły stwór przeistaczał się w porośniętego szarym futrem wilka, jego obszerne szaty rozpadały się jak zetlałe, odsłaniając ukryty pod nimi ogrom. Tak, to był wilk, ale wielki jak dorosły człowiek! Niewolnicy Lorda, widząc szybkość i zaciekłość tego potwora, czym prędzej szukali ucieczki. Ogromny zwierz opadła cztery łapy, wzbudzając jeszcze większy popłoch, po czym rzucił się na drugiego porucznika i bez wysiłku zmiażdżył mu głowę.

Szaitis pojął aż za dobrze, że koło fortuny właśnie się obróciło, wprawiając w ruch dalsze niespodziewane zmiany. Mimo to uznał, że chociaż częścią snu powinien pokierować na swoją modłę, i dławiąc Karen potężnym ramieniem, uchwycił złotą słomkę, by doprowadzić ją do serca.

Uchwycił... i natychmiast cofnął drżącą dłoń. Lady również uległa przemianie, nie mniej gwałtownej i przerażającej niż metamorfoza Rezydenta. I to — odrażającej!

Ciało Karen zapadło się w jednej chwili, jak gdyby słomka wampira zatrula je i niewiarygodnie przyspieszyła proces starzenia się. Ręce zmieniły się w żółtawe patyki; zdobiące je obręcze zsunęły się na posadzkę, a szkarłatne oczy uciekły gdzieś w głąb. Spod zmierzwionych brwi patrzyła na niego teraz chorobliwa żółć. Skóra pomarszczyła się, przypominała łupinę suszonego owocu.

— Co? — zaskrzeczał, kiedy zniszczone wargi rozchyliły się w parodii uśmiechu, odsłaniając ohydny, rozwidlony język, wyschnięte dziąsła i obluzowane, próchniejące zęby. — Co?

To nie było najwłaściwsze pytanie, ale i tak na nie odpowiedziała, głosem przypominającym upiorny klekot, sięgając jednocześnie po kurczący się członek Szaitisa.

— Jestem gotowa przyjąć cię, panie.

Wielki Lord gorączkowo docisnął dłonią ustnik rurki, wbijając ją w ciało Karen — i tym samym wyzwolił bulgoczący strumień cuchnącej ropy, która zaraz przywarła do jego ciała!

Krzycząc coś bełkotliwie, Szaitis zerwał się z łoża, wskazał na ulegającego coraz szybszemu rozpadowi, czy też rozkładowi, stwora.

— Zniszczyć to! — rozkazał. Natychmiast usunąć do dołu na odpadki!

Ale nikt go nie słuchał. Porucznicy i niewolnicy Lorda biegali jak opętani. Rezydent — wilk dławił ich niczym lis w kurniku, a jego ojciec — piekielnik... Wampirzy Lord nie wierzył własnym oczom.

Po dwóch roślących półwampirach, które przywiodły tu ową wątłą, niepozorną ludzką istotę, pozostały jedynie zwiotczałe, dopalające się strzępy ciała, a płyty posadzki mokre były od ich posoki. Mag, który ich spalił, stał teraz przy oknie, wbijając swój niszczący wzrok w rozgwieżdżone niebo i zasypane gruzami rów-

niny. Gdziekolwiek padło i spoczęło na dłużej jego pałace spojrzenie, coś obracało się w ruinę. Na całym obszarze nieba hordy nowych wampirów Szaitisa eksplodowały płomieniem, a ich szczątki spadały deszczem na zdruzgotane wieżycy przodków.

Szalejąc ze złości, Wielki Lord odkrył, że znów jest odziany, a u boku ma rękawicę. Wiedząc, co należy zrobić, pojmując, że będzie musi albo stawić czoła Rezydentowi i jego ojcu — dopasował śmiertcioną broń do ręki i natarł, wzorem dawnych wampirów, by posiekać wrogów. W końcu byli zaledwie ciałem i krwią, podobnie jak owe wielkie białe niedźwiedzie z Krainy Wiecznych Lodów, a on doskonale wiedział, jak słabe jest ciało. Nawet ciało wampira, gdy przyjdzie co do czego.

Zakapturzona Istota usłyszała chaotyczne, krwiożercze myśli Szaitisa.

— Głupiec! — zawołała. Ale wampirzy Lord nie słuchał.

Zaatakował piekielnika i zamierzył się rękawicą. . . ta jednak zamarła w powietrzu, jak gdyby czas się zatrzymał. Lord pojął zaraz, że to nie tak; czas się po prostu rozciągnął, a rękawica wciąż przedzierała się przez powietrze, tyle że w niesamowicie zwolnionym tempie. Ojciec Rezydenta zobaczył ją i zwrócił swe dziwne, smutne oczy, tak bardzo powoli, ku twarzy Szaitisa. Szkarłatne ślepie jego syna — wilkołaka, szybującego właśnie w powietrzu i znajdującego się w najwyższym punkcie skoku, również skupiły się na obliczu Lorda.

A w rozszalałym, przesyconym krwią umyśle Szaitisa zabrzmiały ich wampirze głosy. Nie tylko ich — także Zakapturzonej Istoty. Wszystkie mówiły to samo.

— Zniszczyłeś nas wszystkich. Swoją ambicją, swoją pasją, swoją dumą.

— Giń! — krzyczał Lord, a Jego rękawica powoli wbijała się w głowę piekielnika, rozwalając jej jasny rdzeń.

Jasny, oślepiający i śmiertciony niczym rozpalone słońce. W głowie maga nie było krwi, kości, szarego i miękkiego mózgu, jedynie złoty ogień. Wrzący, palący żar słonecznego jądra.

To naprawdę było słońce; rozrastało się w nieskończoność, ogarniając i niszcząc. . . wszystko!

* * *

Szaitis zbudził się nagle, poczuł, że dotyka lodu, i przez chwilę myślał, że to ów złoty ogień tak parzy. Krzyknął i z bajecznego sufitu lodowej komnaty spadło z brzękiem tysiąc kruchych sopli. W ułamku sekundy uświadomił sobie, gdzie jest i co robi, a w miarę jak ów koszmar sen ustępował miejsca rzeczywistości, uspokajał swój oddech i rozdygotane serce. A potem. . .

Ogarnął wzrokiem lodowate wnętrze zamku i dostrzegł w niszach ciemne sylwetki Fessa Ferenc'a i Arkisa z Trędowatych. Zauważył, że pierwszy z nich też się zbudził. Spojrzenia obu wampirów spotkały się w tej roziskrzonej czeluści.

— Coś ci się śniło, Wielki Lordzie? — zawołał tamten, a jego głos odbił się echem w zimnym, kąśliwym powietrzu. — Może to jakiś omen? Krzyczałeś i miałem wrażenie, że się boisz.

Szaitis zastanawiał się, czy podobnie jak kierowanie do wewnątrz myśli, ten sen również pozostał w ukryciu. A może Fess go „podśluchał?” Ohydne było, że ktoś mógłby go śledzić, wnikać w jego podświadomość, gdzie dojrzewały w ciemności, czekając na wzejście, nasiona wszystkich jego ambicji. Wszystkich jego zamiarów.

— Omen? — odpowiedział w końcu, tłumiąc resztki niepokoju. — Nie sądzę. Żadna wróżba, Fess. Jedynie przyjemny sen o kobiecym ciele i słodkiej krwi Wędrowców — dodał. „O tym, jak Lady Karen gniła w moim łóżku, a cała rasa wampirów zginęła w błysku eksplozji obcego umysłu!” — przypomniał sobie w myślach.

— Ha! — mruknął tamten. — Ja śniłem tylko o lodzie, śniło mi się, że zostałem uwięziony w lodowym grobowcu, a jakiś nieznany stwór topił lód, by do mnie dotrzeć.

— I zapewne to mój okrzyk rozkoszy cię zbudził — powiedział Szaitis.

— Tak, ale za wcześnie — utyskiwał Ferenc. — Arkis nadal śpi. Pod tym względem jest mądry. Zdrzemnijmy się jeszcze godzinę lub dwie, a potem wstanimy i zabierzemy się do dzieła.

Lord przystał na to i ciesząc się, że olbrzym nie zgłębił jego snu, znów ułożył się, po czym zamknął oko.

* * *

I znów śnił. Jednakże tym razem bardziej nawet niż poprzednio wiedział, że to niepospolity sen. Oto spotkał się z samym Szaitanem Upadłym, w którym z miejsca rozpoznał Zakapturzoną Istotę, złowrogię i posępnego sojusznika z tamtego snu o koszarnej zemście, czy może nawet swoje drugie „ja”.

Dostrzegął ową Istotę jako cień, ciemniejszy od innych wypełniających grocie w czarnej skale, wyróżniający się jedynie czerwonym żarem źrenic, pełgającym w jarzących się żółto orbitach. Tego, co on sam, Szaitis, robił w takim miejscu, nie umiał powiedzieć, miał jednak wrażenie, że go tu przywołano. Tak, nie przyszedł tu z własnej woli; wezwała go ta zagadkowa postać.

— Szaitisie, mój synu — zwróciła się do niego Zakapturzona Istota jakby na potwierdzenie tych myśli. Jej prawdziwy głos był głębszy, mroczniejszy i prawdopodobnie bardziej zwodniczy niż wszystkie, jakie się zdarzyło Lordowi słyszeć

do tej pory. — Wreszcie mi odpowiedziałeś. Trudno do ciebie dotrzeć przez twą wspaniałą osłonę, inaczej dawno już bym cię tu wezwał, żebyśmy się poznali.

Oczy i inne wampirze zmysły Szaitisa oswoiły się już z ciemnością. Widział i czuł równie dobrze, jak zawsze, a to znaczyło — doskonale; jak kot w nocy albo lecący nietoperz. Mrok nie przeszkadzał mu, a nawet pozwolił potwierdzić wcześniejsze domniemania.

Tak, Wielki Lord znajdował się w jakiejś naturalnej komnacie, głęboko w brzuchu uspionego wulkanu. Wyglądało więc na to, że to Szaitan jest władcą owych podziemi. Stojąc tak blisko, tamten czytał jego myśli, jakby były wypowiedziane na głos.

— Ależ oczywiście — potwierdził. — Jestem tu już od... och, od tak dawna.

Lord usiłował przeniknąć wzrokiem ten szkarłatnooki cień. Dziwne, ale pomimo iż wyteżył wszystkie swe wampirze zmysły widział jedynie zarys sylwetki tamtego. Nie było w tym jego winy, z jego zmysłami nic się nie mogło równać. Szaitan musiał strzec swej fizycznej postaci, podobnie jak Wielki Lord swych myśli. Ale... Szaitan Upadły? Czy to naprawdę był... czy to mógł być on? Czyż mógłby żyć tak długo? Szaitis przyjął, że tak; miał przed sobą dowód.

— To nie jest sen — powiedział Wielki Lord, potrząsając głową. Czuje twoją obecność i wiem, że naprawdę istniejesz. Jesteś tym Szaitanem, którego Kehrl Lugoz wciąż jeszcze śmiertelnie się boi — pradawną istotą z najstarszych legend wampirów. Zostałeś tu przegnany w czasach prehistorycznych i nadal żyjesz.

— To wszystko prawda — przyznał tamten, a spowijająca go ciemność drgnęła, jak gdyby wzruszył ramionami. — Jestem tym samym Szaitanem, którego zwa Odwiecznym, tym, który był i jest twoim najdawniejszym przodkiem.

— Ach! — zawołał Szaitis, wreszcie pojmując prawdę. — Jesteśmy jednej krwi.

— Naturalnie. Wyróżniasz się spośród innych, jak meteor mknący przez nieruchome gwiazdy; tak samo i ja się wyróżniałem w tych odległych czasach, kiedy spadłem na ziemię. I twoje ambicje są te same, a także twoja inteligencja. Szaitisie, ja jestem twoją przeszłością i przyszłością. A ty moją.

— Nasze losy są z sobą związane?

— Nierozzerwalnie.

— Poza tymi lodowymi pustkowiami? W bardziej cywilizowanych krainach?

— W Gwiazdnej Krainie i w światach poza nią.

— Co? — Szaitis zdumiał się; coś tu kłóciło się z jego poprzednim snem. — Światy poza Gwiazdną Krainą? Czyli krainy piekielne?

— Na początek.

— A znasz tamte strony?

— Kiedyś byłem mieszkańcem takiego świata. Dawno temu, zanim spadłem — albo zostałem strącony — na Ziemię.

— I pamiętasz go?

— Nic nie pamiętam! — warknęła Zakapturzona Istota, przysuwając się nieco bliżej. Coś w tym ruchu — jakby jego utajona świadomość, niepokojąca kleistość — zmusiło Szaitisa do cofnięcia się o krok. — Pamięć moją odebrano mi, kiedy mnie wygnano.

— Nie pamiętasz, co robiłeś, kim byłeś?

Istota znów się przysunęła i Lord raz jeszcze się cofnął, lecz nie na tyle daleko, by wypaść z własnego snu.

Tylko swe imię i to, że byłem próżny, dumny i piękny — oświadczył Szaitan, przywołując kolejne echo poprzedniego snu. — Ale to było dawno temu, mój synu, a z czasem wszystko się zmienia. Ja również się zmieniałem.

— Zmieniłeś się? — Szaitis starał się to zrozumieć. — Nie jesteś już próżny ani dumny? Wszak nawet najmarniejsze wampiry znają te cechy i się nimi szczycą? Zawsze tak będzie.

Szaitis powoli pokręcił zakapturzoną głową, czego Wielki Lord domyślił się, widząc ruch szkarłatnych oczu — jedynych cząstek ciała tamtego widocznych przez nieprzeniknioną, mroczną powłokę blokady myślowej.

— Nie jestem już piękny.

— Ale to los nas wszystkich — rzekł Szaitis. — Wiemy, że nie jesteś my piękni i akceptujemy to. Cóż wspólnego ma piękno z potęgą? Są wśród nas nawet tacy, którzy kultywują swą brzydotę jako dowód mocy! — Myślał, oczywiście, o Volsie Pinescu.

Szaitan wyłuskał ten obraz z jego umysłu.

— Tak, tamten był szpetny. Ale sam tego chciał. Ja nie chciałem. Zresztą, nawet istoty tak szpetne fizycznie i psychicznie jak wampiry, w porównaniu ze mną, są piękne. — Po raz trzeci podsunął się bliżej.

Wampirzy Lord nie ruszył się z miejsca, ale chwycił rękawicę.

Mimo iż to mu się tylko śniło, nie tracił kontroli nad sobą.

— Chcesz mnie zranić? — zapytał Szaitis.

— Wprost przeciwnie — odparł tamten — gdyż czeka nas długa droga. Ale posługiwanie się tym kunsztem jest męczące. Lepiej byłoby, gdybyś mnie poznał takiego, jakim jestem.

— To mi się pokaż.

— Przygotowywałem się do tego — oznajmił Szaitan. — A właściwie... przygotowywałem ciebie.

— Dosyć! — uciął Szaitis. — Jestem przygotowany.

— Niech i tak będzie! — rzekł jego przodek i rozpuścił hipnotyczną zasłonę.

To, co Lord zobaczył zbudziło go po raz wtóry; wstrząsnęło nim, jakby to uśpiony wulkan wybuchł pod jego stopami. Obudził się w środku lodowej niszy, łapiąc powietrze i otwierając szeroko oczy, zdumiony jasnością panującą w zamku, tak kontrastującą z mrokiem, w jakim tonęły czeluście wulkanu. Dreszcz targający jego czarnym sercem był bardziej — daleko bardziej — reakcją na to,

co pokazała mu Zakapturzona Istota, niż skutkiem jakichkolwiek doczesnych, fizycznych doznań. A ponieważ ów sen okazał się czymś więcej niż snem, raczej objawieniem, nie zapadł w otchłań podświadomości, ale pozostał wyrazisty. Wraził się w umysł Lorda równie mocno, jak godła na sztandarach i proporcach zwisających z okien wieżycy.

Szaitis, sam będąc pod każdym względem potworem, nie należał do istot, które łatwo przestraszyć. Dla wampirów, pojęcia „strach” i „zgroza” były w zasadzie nic nie znaczącymi zwrotami, wypartymi z obiegu i zastąpionymi przez „wściekłość”. Adrenalina wyzwalająca się w ich organizmach rzadko służyła wzbudzeniu odwagi albo zdolności latania, zazwyczaj uruchamiała zwierzęcą pasję, nakazującą im rwać się do walki podstępnej i brutalnej! Ową świadomość własnej wyższości wampiry z Gwiazdnej Krainy nabyły w ciągu wieków swego panowania, kiedy jasnym się stało, że górują na innymi żyjącymi tam gatunkami. Zdominowały tamten świat, podobnie jak ludzie — swój własny.

Pozostawało jednak faktem, że i Szaitis był ongiś zwyczajnym człowiekiem — Wędrowcem, zwampiryzowanym przez Szaidara, syna Szaigisa, który nadał mu nowe imię, uczynił głównym porucznikiem lub też swoim „synem” i obdarzył jażem i jako taki, miał niejedną okazję poznać, czym jest strach. I mimo iż od tamtych dni minęło pięć wieków wciąż pamiętał to uczucie, doświadczał go choćby we śnie. Jakim potworem nie stałby się człowiek, to, co go przerażało za młodu, powracać będzie w jego snach.

W owych dniach, tuż po porwaniu go ze Słonecznej Krainy przed pięciuset laty, zanim Lord Szaidar wtłoczył mu w krtań swe szkarłatne jajo, na zawsze go przemieniając — Szaitis najbardziej bał się niezliczonych i nienaturalnych monstrów zamieszkujących wyniosłą wieżycę: chrząstkotworów i bestii gazowych, niewiarygodnych wysysaczy, a także ogromnych kadzi, w których przekształcono troglodytów i Wędrowców w lotniaki, wojowników oraz jeszcze dziwniejsze twory eksperymentów Szaidara. Ów wampirzy Lord uwielbiał pokazywać Szaitisowi, wówczas jeszcze młodemu i niewinnemu Wędrowcowi, swe najkoszmarniejsze dzieła, dręcząc go sugestią, że któregoś dnia i jego przeistoczy w lotniaka o romboidalnej głowie, opancerzonego wojownika lub miękkiego, bezkształtnego wysysacza.

I właśnie takich obłąkańczych, wynaturzonych hybryd pełne były w owych dniach sny Szaitisa. Potem, kiedy już zajął salę tronową wieżycy, koszmary ustąpiły, zdławione przez tkwiącego w nim wampira, który i jego uczynił twórcą potworów, pozwalając mu tę sztukę doprowadzić do doskonałości. Jego lotniaki najwięcej miały upiornego wdzięku; jego wojownicy byli najdzikszy z dotąd znanych, a inne twory i eksperymenty... najdziwniejsze. Ale w powracających snach młodości wciąż z lękiem wspominał te potwory. Mimo to nawet w najbardziej plastycznych i przerażających koszmarach, jakie wywoływała jego pamięć, nie

ogładał nic nawet w połowie tak straszego, jak to, co ukazała mu Zakapturzona Istota.

Szaitan nazwał siebie „szpetnym”, ale istniały różne rodzaje szpetoty. A co do hybryd...

Lord znów miał przed oczyma owego stwora, który stanął przed nim, ledwie jego przodek odrzucił hipnotyczną zasłonę i ukazał swą prawdziwą postać: ohydę, jaka nie mogłaby się zrodzić nawet w najbardziej spaczonym czy obłąkanym wampiryzm umyśle, tym straszliwszą, że rzeczywistą. Wyglądała jak... jak co? Jak ślimak albo pijawka wielkości człowieka — karbowana, czarna i połyskliwa, pokryta szarozielonymi cętkami — i jak człowiek wyprostowana. Wampir, jaki mógłby się wyląć z jaja złożonego we wnętrzu kobiety albo mężczyzny, ale przerośnięty ponad wszelką miarę — aż Szaitis musiał zadać sobie pytanie: „Jeśli rozwinął się w człowieku, co stało się z jego nosicielem?”

Później, kiedy ten groteskowy, lecz dość ogólny obraz (ogólny, bo zbyt odpychający) wraził się w jego pamięć, Lord uświadomił sobie pewne jego szczegóły, zbyt szokujące, by mógł dalej śnić.

Ten stwór obdarzony był gumiastymi kończynami, z których część wieńczyły lejkowate macki, reszta zaś — pozostałości po ciałach ludzi i zwierząt: zmumifikowane dłonie i wyschnięte, szczątkowe stopy, a nawet lśniące, zrogowaciały szpon. To właśnie owe szczątki, a także płaskie, niespójne oblicze Szaitana, widniejące na łopatowatej jak u kobry głowie, wzbudziły w Szaitisie taki wstręt i wskrzesiły dawno zapomniane lęki.

Hybryda, którą miał przed sobą Wielki Lord, nie wyłoniła się z kadzi jakiegoś nekromanty, lecz była dziełem Natury, a raczej nadnaturalnej nieustępliwości owego wampira, kurczowego trzymania się życia w najbardziej nie sprzyjających okolicznościach, mozołu i triumfów, liczących sobie wiele wieków. Lord Szaitan był już po prostu zbyt stary, by przyswajać kruche ciała śmiertelników, a jego pierwotna postać szczezła, niemal w całości zastąpiona przez metamorficzny organizm jego wampira. Wampira, z którym się w pełni utożsamiał.

Szpetny? Raczej ohydny, zwłaszcza w oczach Szaitisa; stanowił wszak ucieleśnienie wszystkich koszmarów jego młodości.

Los, jaki spotkał Szaitana w lodowej samotni — jego ewolucje, nie jego degeneracja od człowieka-wampira do czystego wampira — można było wyczytać w szkarłatnych oczach owej pijawki, patrzących sztywno spod kaptura i przesyconych ogromną inteligencją, nienawiścią i najczystszy złem. Nie były to jednak rozpalone nieokiełznaną, bezrozumną nienawiścią ślepie wojownika ani pozbawione powiek, zobojętniałe oczy ogromnego lotniaka, ani tym bardziej wodniste i bezmyślne narządy wzroku, tak typowe dla wysysaczy. Kryła się w nich prawdziwie zła inteligencja, dowodząca niezbicie, że ów stwór nie był owocem jakiegoś chorego eksperymentu, ale dziełem prawdziwej mutacji.

Szaitis wiedział już, że rzeczywiście ma do czynienia z Szaitanem Odwiecznym, zwanym też Upadłym. Ze wszystkich bowiem wampirzych legend najbardziej znana była ta, która głosiła, że Szaitan jest do gruntu zły, że złem swoim przerasta inne stworzenia, w tym także ludzi. . .

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Mroczny sojusz

Szaitis opuścił swą psychiczną gardę; kiedy otrząsał się ze snu, droga do jego umysłu została otwarta. Jakiś mroczny byt skorzystał z tej sposobności. Rzecz jasna, był to Szaitan; nawet pomimo dzielącego ich dystansu z łatwością rozpoznał jego szemrzący, jadowity głos.

— Zło? Powiedziałeś, że jestem zły? Nie, ja zostałem źle osądzony. Źle osądzony przez wampiry, przez mych pobratymców! Bali się mnie, gdyż okazałem się silniejszy. A ty, synu moich synów? Też się mnie boisz? Widziałem, jak się zbudziłeś — zareagowałeś tak, jakbym niósł ci zagładę, a nie wybawienie.

Szaitis miał już zatrzaskać swój umysł... ale się zawahał. Przecież jego ohydny przodek był panem wygasłego wulkanu! Jak więc miał jemu tu zagrozić? Co więcej, nadarzała się wspaniała okazja, by dowiedzieć się o nim czegoś jeszcze, nie alarmując przy tym pozostałych Lordów.

Szaitan odebrał owe myśli Szaitisa i zaśmiał się niesamowicie.

— Tak. Nigdy nie dopuścimy ich do naszej tajemnicy. Chyba że będzie już za późno. Za późno dla nich.

Wielki Lord wyciągnął się, zmrużył oczy i popatrzył na drugi kraniec ogromnej i lśniącej lodowej komnaty, gdzie spali skuleni Fess Ferenc i Arkis z Trędowatych. Otworzył swe wampirze zmysły i dotknął kruchych barier psychicznych, którymi otoczyli swe uśpione mózgi. Upewnił się, że rzeczywiście zmorzył ich sen.

I wreszcie odezwał się do owej mrocznej inteligencji, która mieniła się jego przodkiem.

— Sądzę, Szaitanie, że bardziej odpowiada ci rozmowa na jawie, nie spowita w sny. Sprytnie mnie jednak podszedłeś. Żaden z tak zwanych „równych mi” wampirów nigdy na to nie wpadł.

— Nie są z twojej krwi — odparł Szaitan. — A może powinniśmy powiedzieć, że nie z mojej? Nasze umysły łączą się jak u bliźniąt, Szaitisie. To znak, że jesteś autentycznym synem moich synów i dzięki temu jesteśmy jednym. Zosta-

liśmy stworzeni, by być jednym i zatriumfować nad wszelkimi przeciwnościami, osiągnąć niewyobrażalną władzę.

— Owszem. — Szaitis pokiwał głową, zamyślony. W tym i w innych światach, jak rzekłeś. Sądzę, że warto byłoby dowiedzieć się o tym coś więcej. W istocie, wielce by mnie interesowało odebranie Gwiazdnej Krainy wrogim przybyszom z zewnątrz, którzy nią teraz rządzą, i dopełnienie zemsty. Zdradź mi teraz swe zamysły. Zasugerowałeś, że mamy przed sobą wspólną drogę. Czy zaplanowałeś już nasze pierwsze kroki? I skąd mam wiedzieć, czy mogę ci zaufać? Legendy o tobie budzą niechęć nawet wśród wampirów, które przecież nie słyną ze szczerości.

I znów ten wstrętny śmiech Szaitana.

— Mój synu, zaufasz mi, bo musisz — beze mnie tu utkniesz — a ja zaufam tobie z tego samego powodu. Ale skoro potrzebujesz dowodu dobrej woli... czyżbyś jej nie dostrzegł? Kto przysłał ci te małe nietoperze, które rozgrzewały twe obolałe kości podczas snu? A kto usunął jednego z twoich wrogów, którego zamiary względem ciebie były co najmniej okrutne?

— Wroga? — Wielki Lord uniósł brew. — Kogóż tak nazywasz?

— Co? Wiesz doskonale! Mówię o kimś ohydnie przyszczatym, który obsypywał się krostami i towarzyszył Ferencowi. Nie raz ponaglał owego groteskowego olbrzyma, by cię odnalazł i zamordował!

— Tak, to pasowałyby do Volve'a — przyznał Szaitis. — Nigdy za nim przepadałem. Potworny błazen; gdyby rozum krył się we wrzodach, on niejednego z nas by zaćmił! A więc to twoja bestia go zabiła?

— Oczywiście, oczywiście — Psychiczny głos Szaitana stał się jeszcze głębszy i mroczniejszy. — Sądysz, że ciebie nie mógłbym zabić? Och, mógłbym, mógłbym, mój synu... ale tego nie zrobię. — Wrócił do łagodniejszego tonu. — Nie, gdyż czuję, że razem wiele zdziałamy. A skoro na różne sposoby okazałem swą dobrą wolę, następny etap należy do ciebie.

— Etap? — zdziwił się Wielki Lord. — Jaki etap?

— Planu — oznajmił Szaitan, — A może wolałbyś, żebym zrobił wszystko sam i przypisał sobie całą zasługę?

— Wyjaśnij.

— Ależ tu nie ma co wyjaśniać. Działaj tylko zgodnie ze swymi planami, dokładnie tak, jak zamierzałeś, i to wystarczy. Jednym słowem, sprowadź ich do mnie, mój synu, żebym mógł rozprawić się z nimi na swój sposób.

— Fessa i syna trędowatego? A ty ich zabijesz? A potem i mnie? Może lepiej będzie, jak stanę z nimi przeciwko tobie? Powiadają, że lepszy diabeł, którego się zna.

— Diabeł? — odezwał się po dłuższej chwili Szaitan. — To słowo, za którym nie przepadam. Nie wiem dlaczego, ale go nie lubię. Lepiej byłoby, gdybyś nigdy mnie tak nie nazywał, nawet półgębkiem.

Szaitis wzruszył ramionami.

— Jak sobie życzysz.

Nie zdążył jednak spytać o nic więcej.

— Budzą się — syknął Szaitan. — I krępy, i wielkolud. Wolę odejść, żeby nie narazić cię na szwank. Ale sprowadź ich do mnie, Szaitisie. Wiele od tego zależy.

I nagle umysł Lorda znów uwolnił się od zewnętrznych wpływów. W samą porę.

— Szaitisie?! Ryk Ferenc przeniknął mroźne powietrze. — Czuję, że nie śpisz. Ha! To chyba nieczyste sumienie ci na to nie pozwala? Powinieneś się poprawić. — Wybuchnął donośnym śmiechem. Lodowy zamek zadrżał w posadach, a z góry posypały się różnej wielkości sople, do reszty wyrывая Arkisa ze snu.

Syn trędownatego usiadł, drapiąc się.

— Co to za hałas? — zapytał.

— Czas wstawać! — krzyknął do niego Szaitis. — Dość wylegiwania się. Zrobimy śniadanie — niestety, dosyć marne — a potem w drogę. Cokolwiek kryje się wewnątrz wulkanu, wpadnie nam dziś w ręce. I wszystkie zgromadzone tam dobra.

— Wielkie słowa, Szaitisie — stwierdził Arkis. Ale najpierw będziemy musieli wyminąć tę bladą, krwiożerczą bestię.

— Tym razem będzie nas trzech — uspokoił go Wielki Lord — Co więcej, Fess wie, gdzie czai się ten potwór. Ominiemy go szerokim łukiem i poszukamy innej drogi.

Ferenc przeżuł nieco zimnego mięsa i zszedł na dół.

— Jeżeli o mnie chodzi, to już jestem gotowy — powiedział.

— Człowiek nie może żyć wiecznie. Wampirzy Lord również nie, jak moglibyśmy to zauważyć; a ja cholernie nie chcę umrzeć z nudów albo zakuć się w lodzie i drzeć, że coś się do mnie dobierze.

Szaitis wolał się nie zdradzać z tym, co mu teraz przyszło do głowy. „Nie można żyć wiecznie? No, może nie... ale prawie, jak dowodzi przykład Szaitana. A czyż odkrycie sekretu długowieczności samo w sobie nie jest wystarczającym powodem, by się z nim sprzymierzyć? Jest z całą pewnością. I tak będę musiał kiedyś kończyć z Arkisem i Ferencem, po cóż więc zwlekać? To nawet lepiej że Szaitan chce się do tego przyczynić.”

Myśląc wciąż o tym i o innych, pokrewnych sprawach (i wciąż strzegąc swych myśli, zwłaszcza takich myśli), Wielki Lord dołączył do swych kompanów, szykujących się do opuszczenia lodowego zamku. Wkrótce potem rozpoczęli długą, powolną wspinaczkę ku wznoszącej się jakieś tysiąc pięćset stóp wyżej górze. Ku ogromnej wulkanicznej skale, czekającej pod baldachimem zimnych gwiazd i dziko wijących się zórz, niczym czarny, przyczajony olbrzym...

* * *

Maleńkie białe nietoperze Szaitana, niemal niewidoczne poród śniegów i lodów, nie odstępowały wampirów ani na krok, o każdym ich posunięciu informując swego odwiecznego pana. Dzięki temu władca wulkanu na bieżąco wiedział, co się dzieje, i zadowoleniem przyjmował fakt, iż posuwają się najwłaściwszym szlakiem wiodącym prosto do jednej do jego pułapek. Szli w zasadzkę, ale nie czekała ich śmierć.

Po cóż zabijać Fessa Ferenca i Arkisa z Trędowatych, jeżeli można ich lepiej wykorzystać? To przecież dobre, silne ciała. Obdarzone wampirzym rdzeniem, czyż nie? Podobnie jak Volse Pinescu... To dopiero uczta!

Volse wyglądał potwornie, pokryty pryszczami, polipami i wszelkimi innymi naroślami, ale pod półcalową warstwą parchatej skóry kryło się to samo, co u innych ludzi: mnóstwo tkanki tłuszczowej i dobre, mocne mięso. Poza tym był wampirem, a to oznaczało, że jest w nim coś więcej niż w pospolitym człowieku; gdzieś głębiej krył się jego wampir. A kiedy już łapczywiec Szaitana pozbawił Volse'a krwi i przywlókł zmiażdżone zwłoki przed oblicze pana...

... Nadeszła chwila najwyższej rozkoszy; rozdarcie pobladłego cielska w poszukiwaniu tej pijawki — tego wampira, który zręcznie uniknął ostrza łapczywca, lecz nie mógł się mierzyć z Szaitanem. A lotem już tylko przyszło ściąć mu łeb i sycić się pysznym nektarem. Wcześniej jednak Odwieczny zagarnął resztki jego jaja i ukrył w rozgniecionym mózgu Volse'a jako kąsek na przyszłość. Och tak, największy wampirzy przysmak.

Ale Szaitan nie skończył jeszcze ze swą ofiarą. Wyciąg z ciała Volse'a (przemienionego przez wampira i wciąż jeszcze żywego) miał mu posłużyć do dalszych eksperymentów, do kreowania nowych hybryd, takich jak łapczywce i inne przydatne twory. I tak, obdarte ze skóry, pozbawione krwi, wypatroszone i okaleczone, lecz nadal „żywe” szczątki Volse'a spoczęły w magazynach Szaitana obok innych materiałów przeznaczonych do późniejszego wykorzystania.

Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, trafią tam też szczątki ogromnego Ferenca i krępego Arkisa z Trędowatych. Co do Wielkiego Lorda...? Cóż, bywają różne rodzaje planów.

Szaitis miał w sobie krew Szaitana i był też najpiękniejszym z wampirów. Nie w oczach ludzi, ale na pewno według norm Odwiecznego. Piękny, silny i pełen życia. Bo przecież krew jest życiem! Szaitan pławił się w takich myślach, pamiętając jednak, by chronić je nie gorzej, niż czynił to jego przebiegły potomek.

Maleńkie albinosy wciąż dostarczały mu nowych wieści o wędrownym trzech wampirów, wkrótce też okazało się, że Lordowie zboczyli z drogi i należało ich znów poprowadzić. Żeby tego dokonać, musiał skontaktować się z Szaitisem, który pisał się właśnie po magmowych stokach i znajdował się już w połowie drogi do

zachodniego zbocza wulkanu. Pozostali Lordowie trzymali się w zasięgu głosu, ale skupili się głównie na wspinaczce.

Szaitan wysłał wąską, potężną wiązkę myśli prosto do nieobcego mu już umysłu Szaitisa.

— Synu moich synów, nieco zboczyłeś. Musisz wrócić na szlak.

Szaitis drgnął, lecz szybko opanował sploszony trzepot myśli. Fess Ferenc nie zdążył nic wyczuć.

— Co? — zawołał jednak spod stromej ściany skalnej. — Coś cię zaniepokoiło, Szaitisie?

— Poślizgnąłem się na lodzie — skłamał Wielki Lord. — Droga w dół jest długa. Gdybym spadł... Szykowałem się do przemiany.

Ferenc pokiwał głową.

— Tak, osłabiliśmy. Dawniej rozwinąłbym się do lotu, wzbijając się ponad te wyżyny. Dziś zbyt to by mnie osłabiło. Należy uważać.

Szaitis mógł w końcu odpowiedzieć swemu przodkowi, pragnął zachować ostrożność, skoncentrować się na utajnieniu tego telepatycznego przekazu. Zanim odpowiedział, wspiał się na wąską, lecz bezpieczną półkę.

— Szaitanie, omal mnie nie zdradziłeś. Powiedz mi teraz, jak zesłaliśmy ze szlaku? I jak na niego wrócić? Lepiej też zdradź mi, czego się mogę spodziewać: Nie chcę skończyć z przeszytym sercem i bez krwi jak Volse Pinescu.

— Głupcze — syknął tamten. — Myślałem, że już to wykluczaliśmy. Gdybym chciał cię zabić, już byś nie żył. Nawet teraz mógłbym wysłać stwora, który straciłby was z tego zbocza. Maże udałoby ci się odlecieć a może nie. Tak czy inaczej, byłbyś osłabiony. Moje potwory znalazłyby cię bez trudu. Ale potrzebuję cię, Wielki Lordzie. Obaj siebie potrzebujemy, i dlatego żyjesz. Tamtych też nie chcę uszkodzić. Potrzebuję ich w całości. Nie sądzisz, że Arkis i Ferenc byłiby parą wspaniałych wojowników?

Słowa Szaitana były tak złowieszcze, że musiał mówić prawdę. Nie chciałby się swoją wyższością, gdyby nie mógł jej dowieść. To zabrzmiało jak ultimatum, a nawet groźba: zdecyduj się, dołącz do mnie albo poniesiesz konsekwencje.

— Zgoda — odpowiedział Szaitis. — Działamy razem. Powiedz mi, co mam robić.

— Syn trędowatego zanadto zbacza na wschód; odchodzi od ciebie. Tam znajduje się stary, nie strzeżony kanał, który wiedzie prosto do moich komnat we wnętrzu wulkanu. Gdyby Arkis odkrył to wejście, mógłby zagrozić mej pozycji, a wówczas me plany uległyby nagłej i radykalnej zmianie.

— Nie strzeżone wejście? To niezbyt roztropne.

— Moje siły nie są nieograniczone. Ani słowa więcej. Powinieneś ściągnąć tamtych, a zwłaszcza Arkisa, bardziej na siebie.

— W porządku — powiedział Szaitis. A potem krzyknął do Lordów — Arkisie, Fessie, zanadto się rozdzieliliśmy. Wyczuwam jakieś problemy — na wschód od nas.

Arkis natychmiast schronił się w najbliższym zagłębieniu. Rozejrzył się.

— Problemy? — wybuchnął śmiechem — I to blisko, powiadasz? Ha! Ja nic nie czuję — Mimo to w głosie wampira wyczuwało się napięcie, a jego myśli krążyły w popłochu.

Ferenc, który zbliżył się do Wielkiego Lorda o jakieś pięćdziesiąt stóp, wrócił na szlak.

— Mnie również coś zaniepokoiło — stwierdził. — A przynajmniej wzbudziło moje podejrzenia. Masz rację, Szaitisie, dopóki jesteśmy rozdzieleni, zbyt łatwo nas złowić.

— Ale ja nic nie widzę ani nie czuję! — zaprotestował znów Arkis, obstając przy swoim.

— Powiadasz, że twoja wampirza wrażliwość jest mocniejsza niż nasze, razem wzięte? — zawołał wzgardliwie Szaitis. — A zatem sprawdźmy to. Rób, jak chcesz. Bądź panem swego losu. Przynajmniej cię ostrzegalem.

To wystarczyło. Arkis skierował się w lewo, dołączając do pozostałych. W samą porę — Szaitis, z miejsca, w którym się znajdował, dojrzał w końcu na prawo od Arkisa, nieco ponad nim, ciemną plamę jaskini. Gdyby syn trędowatego wspiął się wyżej, musiałby tam trafić.

W umyśle Wielkiego Lorda znów pojawiły się myśli jego przodka, o wiele spokojniejsze.

— Dobrze! I z tym problemem bym sobie poradził, ale najprostsze wyjścia są zawsze najlepsze.

— Co teraz? — zapytał Szaitis.

— Nad tobą jest szeroka półka, pozostałość po krawędzi dawnego krateru. Kiedy już na nią wejdiesz, przesuń się na lewo, to znaczy na zachód. Trafisz na kolejną jaskinię. Zignoruj ją i idź dalej. Następne wejście będzie przypominało pęknięcie powstałe w stygnącej skale i to właśnie będzie wasza droga w głąb wulkanu. Ale puść tamtych przodem! Czy to jasne?

Wielki Lord zadrżał, może i pod wpływem odrętwiającego zimna, które wdierało się nawet w głąb jego wampirzych kości, ale przede wszystkim pod wrażeniem tych słów. Myśli, podobnie jak mowa, często kryły w sobie podteksty i tym razem z całą pewnością wyczuł złowieszczy „ton” owego psychicznego głosu. I wiedział też, że myśli Szaitana są niezgłębione. Nawet on, Wielki Lord wampirów, obcując ze złem emanującym z planów tamtego, czuł coś w rodzaju lęku.

— Szaitanie — powiedział ostrożnie. — Ja ci ufam. Wygląda na to, że moja przyszłość leży w twoich rękach.

— A moja w twoich — odrzekł tamten. — Teraz dalej strzeż swych myśli i skoncentruj się na wspinacze.

I znów zniknął.

Szaitis zaczął się zastanawiać, na ile mądry jest ów mroczny sojusz. Niewiele odnajdywał w tym mądrości; to przecież głównie kwestia instynktu i, oczywiście, konieczności. Ale wszystko przemawiało na korzyść Szaitana. To niezaprzeczalnie jego terytorium, które znał doskonale, a do tego nie był pozbawiony zapasów. Szaitisowi pozostawała jedynie nadzieja, że to, co Odwieczny zaplanował dla Ferenc i Arkisa z Trędotatych, nie obejmie także jego. Czuł jednak, że nie. A przynajmniej — jeszcze nie.

Tu znów odezwał się jego wampirzy instynkt, który rzadko zawodził. Zawsze jednak istnieje jakiś pierwszy raz. I często bywa ostatnim. . .

Odrzucił od siebie te ponure rozważania i poszukał jaśniejszych omenów. Przypomniawszy sobie swój sen, ten o wieżycy Lady Karen i o tym, jak odzyskał władzę, podbiwszy w tajemniczy sposób Gwiazdną Krainę i zniszczywszy Ogród Rezydenta. Miał wrażenie, że w każdym śnie kryje się jakiś element przepowiedni. Rzecz w tym, że stara wampirza maksyma głosiła, iż ten, kto wyczytuje się w przyszłość, kusi los. W finale owego snu pojawiły się ruiny i masakra, ale i suggestia, że jednak istnieje jakaś przyszłość. Jaka? Mógł tylko zgadywać.

— Półka — mruknął Fess Ferenc, wspinając się na nią przed Szaitisem. Ledwie głowa Wielkiego Lorda wysunęła się ponad jej krawędź, olbrzym wyciągnął potężną, szponiastą dłoń. Szaitis przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, a potem sam wyciągnął rękę. Ferenc bez wysiłku podniósł go na półkę.

— Ostatnio w podobnej sytuacji zrzuciłeś mnie — przypomniał mu Wielki Lord.

— Ostatnio sięgałeś po rękawicę.

Dołączył do nich Arkis.

— Wy i wasze uprzedzenia! — mruknął. — Nadal mówię, że nie czuję nic groźnego. Co więcej, niemal dotarłem do jakiejś jaskini. To również dobrze mógł być tunel.

— O? Sądzisz, że ta jaskinia była pusta? — spytał Szaitis. — A może krył się w niej jeden z mieczonosów, o którym opowiadał Fess?

— Chyba bym go wyczuł? — zjeżył się Arkis.

Fess skrzywił się.

— Volse nie wyczuł — zauważył. — A ja dopiero wtedy, gdy okazało się to zbyt cenne. — Odwrócił się do Szaitisa. — Co dalej?

Wielki Lord zmrużył szkarłatne oczy i pociągnął spłaszczonym, karbowanym nosem, udając, że węszy.

— Okolica na prawo od nas wciąż wydaje mi się niebezpieczna.

Proponuję więc, byśmy poszli tą półką w lewo, poza rejon zagrożenia. Sprawdźmy, dokąd ona prowadzi. Przynajmniej odetchniemy po tej wspinacze.

Ferenc pokiwał groteskowo głową.

— To mi odpowiada. Ale jak nisko upadliśmy, nieprawdaż?

Ruszyli wzdłuż półki.

— Upadliśmy? Jak to? — zapytał Arkis.

Ferenc wzruszył ramionami.

— Tylko popatrz na nas. Trzej wampirzy Lordowie — czy też byli Lordowie — obdarci z większej części swoich mocy, idą zwartą grupką, jak przerażone dzieci, by zbadać dziwne, nieznanne zakamarki. I lękają się tego, co może ich tam zaskoczyć!

— Lękają się? — Arkis aż się nadał. — Mów za siebie!

Ferenc mógł tylko westchnąć.

— Nie zapominaj, że to ja widziałem bestię, która przedziurawiła Wielkiego Prysacza.

Nagle zrobiło się ciemniej i wszyscy trzej zatrzymali się, spoglądając na siebie badawczo, niepewnie. Górne partie wulkanu zasnuła cienka warstwa chmur. Na półkę zaczęły spadać pierwsze, drobne płatki śniegu.

Arkis popatrzył w niebo.

— Jedna chmura? — zastanawiał się głośno. — I akurat tu się zrodziła? Jak myślicie, czy to wampirza mgła?

— Oczywiście — potwierdził Ferenc. — Ktokolwiek tu żyje, wyczuł, że nadchodzimy. Chce nam utrudnić wędrówkę. Przesłania swe leże i drogę do niego.

— A to oznacza, że obraliśmy właściwy szlak — dodał Szaitis. Ruszył dalej, a pozostali Lordowie, niemal automatycznie, poszli za nim.

— Ha! — burknął Arkis. — Przynajmniej przecucie cię nie zawiodło. Może spisało się aż za dobrze. Zdaje mi się, że tamten ma nas na oku. On wie i widzi wszystko, a my wciąż błąkamy się w ciemności, jak te tutaj. — Uderzył dłonią małego białego nietoperza, który podleciał zbyt blisko.

Oczy Ferenc rozwarły się szerzej. Aż drgnął.

— Jego albinosy! Jego nietoperze! — wyrzucił z siebie. — Powinniśmy byli na to wpaść. To tak nas śledzi. Te karzełki podążają za nami, jak pchły za wilczym szczeniciem.

— Podejrzywałem to — pokiwa! głową Szaitis. — Służą mu, podobnie jak desmodus i jego mniejsi czarni bracia służyli nam w Gwiazdnej Krainie. Obserwują nasze położenie i o wszystkim donoszą. . . temu komuś.

Arkis wytrzeszczył oczy i złapał Wielkiego Lorda za ramię, zmuszając go, by stanął.

— Podejrzywałeś to i nic nam nie powiedziałeś?

— Niczym nie potwierdzone podejrzenie pozostaje tylko podejrzeniem — odparł Szaitis, ze złością strząsając jego dłoń. — Ale i tak to dość ważny fakt, który pozwala nam głębiej wejrzeć w jego sytuację.

— Co? Wejrzeć? W sytuację? O co ci chodzi? Do czego zmierzasz?

— Do tego, że pan wulkanu się nas boi! Nietoperze śledzą nasze ruchy; śnieżycyca ma nas powstrzymać; mieczonos strzeże jego ula, podobnie jak pszczoły-żołnierze ze Słonecznej Krainy strzegą swego miodu? O tak, on się nas boi, a to oznacza, że nie jest taki silny.

„Sensowny wywód — może rzeczywiście nie jest — stwierdził w duchu. — Ale i tak zaryzykuje. Jedno przynajmniej mamy wspólne: inteligencję.”

— I naszą krew — zaszemrało natychmiast w umyśle Szaitisa. — Nie zapominaj o wspólnej krwi.

— Co takiego? — warknął Ferenc. Ogromny łeb zwrócił się ku Szaitisowi, a pod zjeżonymi czarnymi brwiami błysnęły gniewnie ślepia. — Co to było? Czy coś mówiłeś albo myślałeś, Szaitisie?

Wielki Lord ukrył moment paniki za zasłoną absolutnej niewinności.

— Co? — Uniósł brew. — Mówiłem? Myślałem? Co masz na myśli, Fesie? — A kiedy Ferenc i Arkis rozglądali się nerwowo, wysłał w przestrzeń potrójnie osłoniętą myśl.

— Już drugi raz omal mnie nie zdradziłeś, Szaitanie. Czy sądzisz, że to jakaś gra? Jeśli domyślą się choćby skrawka tego, co mam zrobić, przepadłem!

— Co mam na myśli? — obruszył się Ferenc. — Nic nie mam na myśli poza tym, że chcę to wszystko jak najprędzej skończyć. — Wyprostował się. — Co więc powiesz: idziemy dalej czy sobie darujemy? Czy ów pan wulkanu jest rzeczywiście słaby, czy my jesteśmy słabsi? Taka wspinaczka wśród śniegu, kiedy nie wiadomo, co będzie dalej, potwornie działa na nerwy.

I znów w umyśle Szaitisa zaszemrał Szaitan:

— Pospiesz się; sprowadź ich; sprowadź ich do mnie! I zrób to szybko. Ten olbrzym nie jest głupcem. Jest wrażliwy i obaj go zlekceważyliśmy. Będziesz musiał na niego uważać, tylko dyskretnie.

— Zauważyłem — odezwał się Szaitis, jak gdyby od niechcienia — że te małe albinosy latają wciąż na zachód. Powiem więc, że powinniśmy trzymać się tej półki i zobaczyć, dokąd prowadzi.

— Nie! — zadudnił Ferenc. — Coś tu nie gra, jestem tego pewien.

Szaitis popatrzył na niego, a potem na Arkisa.

— Chcesz więc zejść na dół? Cały nasz czas i wysiłek ma pójść na marne? Czy ta wampirza mgła do reszty wytrąciła cię z równowagi? Przecież nasz wróg nie stworzyłby jej, gdyby sam nie czuł niepokoju.

— Ja jestem z Ferencem — oznajmił Arkis.

Wielki Lord wzruszył ramionami.

— No to dalej pójdę sam.

— Co? — Ferenc wbił w niego wzrok. — Możesz być pewien, że idziesz po śmierć.

— Jak to? To tutaj zginął Volse?

— Nie, po drugiej stronie góry, ale...

— A zatem zaryzykuję.

— Sam? — zapytał Arkis.

— A czy lepiej umrzeć teraz, czy później? Ja wolę zginąć uwięziony w czyimś uścisku, a nie w łodzi, kiedy coś dowierci się do mego serca. — I nagle syknął, jak gdyby skończyła się jego cierpliwość. — Pamiętajcie, że jest nas tu trzech! Trzech „wielkich” — ha! — wampirzych Lordów przeciwko... czemu? Nieznanej istocie, która boi się nas prawie tak samo, jak my — wy — jej. — Odwrócił się od nich.

— Szaitisie! — zawołał Ferenc, wściekły, a jednocześnie zdziwiony.

— Dosyć! — rzucił przez ramię Szaitis. — Już z wami skończyłem. Jeżeli zwyciężę, wszystko będzie moje. A jeśli przegram... cóż, przynajmniej zginę, jak żyłem: jako wampir!

Poszedł wzdłuż półek i nawet nie oglądając się, wiedział, że oczy tamtego śledzą każdy jego krok.

— Jesteśmy z tobą — zdecydował w końcu Ferenc, lecz Szaitis wciąż patrzył przed siebie. I wreszcie usłyszał głos Arkisa.

— Wielki Lordzie, zaczekaj na nas!

Nie spełnił jego oczekiwań, a nawet jeszcze przyspieszył, tak że musieli się nieźle naszarpać, by go dogonić. I tak, podczas gdy owa para następowała mu na pięty, doszedł do wylotu pierwszej jaskini, którą opisał mu Szaitan. Przystanął; nie mógł ich rozczarować. Dyszący ciężko Lordowie zobaczyli ciemną szczelinę, w którą wbijał wzrok.

— Sądysz, że to wejście? — zapytał Arkis, niezbyt jednak ochoczo.

Szaitis jeszcze intensywniej wpatrzył się w mroczne wnętrze jaskini, a potem udał, że się ostrożnie cofa.

— To oczywiście — odparł. — Może zbyt oczywiście... — A potem zwrócił się do Ferenc: — A co ty powiesz, Fessie? Aż nadto widać, że tutejsze mrozy wyostrzyły twoje zmysły. Czy ta droga jest bezpieczna czy też nie? Ja sądzę, że nie. Wydaje mi się, że w głębi tej grotty coś się rusza. Wyczuwam jakiegoś potężnego stwora o dość ograniczonej inteligencji, ale za to zdolnego działać z ukrycia. — Odwołał się, oczywiście, do opisu mieczonosa, podanego przez Ferenc. I nie przeliczył się, sądząc, że wywoła w umyśle olbrzyma właśnie taki obraz.

Fess wetknął swój wielki łeb do jaskini, sięgnął wzrokiem w głąb i zmarszczył ryjkowaty nos.

— Też to czuję. I może to jest wejście, skoro pan wulkanu wysłał bestię, aby go strzegła.

Szaitis pokiwał głową.

— Może tę samą bestię?

— Co? — zdziwił się Arkis.

— Może ma tylko jednego potwora — wyjaśnił Wielki Lord. — Gdyby miał ich więcej, mógłby jednocześnie usunąć i Volsę'a i Fessa.

— Ale jakie to ma znaczenie? — wzruszył ramionami Ferenc. — Gdyby nawet ta bestia była sama, to i tak jest potworem. Sugerujesz, że moglibyśmy na nią zapolować? To obłąd! Jeden z nas na pewno przypłaciłby życiem — a może nawet dwaj albo i wszyscy — a w najlepszym razie potężnymi ranami. Widziałem, jak w ciągu trzech sekund zadała trzy nieomylnie ciosy, dziurawiąc Volse'a jak oścień Wędrowca rybę. A tamten nawet nie wiedział, co go trafiło!

— Nie, nie proponuję walki. Wprost przeciwnie — wyjaśnił Szaitis. — Chcę tylko powiedzieć, że jeśli istnieje tylko jedna taka bestia, która czai się tutaj, mamy szansę wejść jakąś inną drogą.

— Co znowu? — skrzywił się Arkis. — A tych wejść i wyjść pewnie jest tu w bród?

— Na to wygląda — stwierdził Szaitis. — Tunel, w którym zginął Volse. Jaskinia, którą podobno widziałeś na stoku. Ta ciemna grota, przed którą stoimy. A teraz posłuchajcie: władca wulkanu stworzył mgłę, która miała nas zmylić? Nie chodziło mu jednak o to, by ukryć przed nami tę jaskinię, inaczej nie wysłałby tu swego mieczonosa. A zatem... może nie opodal znajduje się drugie wejście? Proponuję, żebyśmy poszli jeszcze tą półką na zachód. Nawet jeżeli na nic nie trafimy, będziemy mogli sobie powiedzieć, że dokładnie zbadaliśmy tę część stoku.

— To ma sens — zgodził się Ferenc. — Nie mam zastrzeżeń. Dopóki nie zaczniesz nalegać, bym wszedł do tej jaskini.

— No to chodźmy — warknął Arkis. — Ta gadanina i te domniemania to tylko strata czasu.

Ruszył, mijając pozostałych, a Ferenc poszedł w jego ślady. W ten sposób Szaitis znalazł się z tyłu.

Śniegowa chmura rozwiła się, zorza wciąż się wiała, a gwiazdy nadały zakrzywionemu widnokręgowi niebieskawy połysk. Wielki Lord wyczuł, że obaj jego „towarzysze” swe wampirze zmysły kierują przed siebie; mógł teraz swobodnie rozmawiać z Szaitanem.

— Hej tam. Jak ci odpowiada taki układ? — zapytał, bacznie strzegąc swych myśli. — I czy ta mała śnieżycą to twój pomysł? Myślałem, że zależy ci na nich, a ty chcesz ich odstraszyć.

Odpowiedź przyszła natychmiast.

— Po pierwsze, taki układ idealnie odpowiada nam obu. Po drugie, śnieżycą miała odwrócić ich uwagę i zbić ich — a zwłaszcza olbrzyma — z tropu. Posłuchaj uważnie, opiszę ci dalszy szlak. Zaraz dojdziecie do miejsca, gdzie skała poorana jest głębokimi szczelinami. Jedno z pęknięć będzie miało coś w rodzaju posadzki z zastygłej lawy. Pójdiesz tamtędy, doprowadzi cię do mej siedziby w czeluściach wulkanu. Czas twoich towarzyszy niestety się kończy. Nie zdążą już sami tam dotrzeć. A przynajmniej nie na własnych nogach.

Nie było w tym nic z żartu, a jedynie lodowato zimne stwierdzenie faktu. Szaitis powstrzymał się od komentarzy, zresztą Arkis, idący na czele, właśnie się zatrzymał. Najpierw dołączył do niego Ferenc, a potem Szaitis.

Dalszą część półki i niemal pionową ścianę przecinały głębokie szczeliny, niekiedy szerokie aż na krok. Arkis popatrzył na pozostałych Lordów.

— Co teraz?

— Idziemy dalej — powiedział Szaitis.

Może pospieszył się z tą odpowiedzią albo okazał zbyt wiele pewności siebie, gdyż Ferenc przyjrzał mu się uważnie.

— Ależ ta droga wygląda na rumowisko — wykrzyknął olbrzym po dłuższej chwili. — Tutejsze jaskinie są pewnie bliskie zawalenia.

— Nie dowiemy się tego, dopóki nie sprawdzimy — odparł Szaitis. — Czuję, że jesteśmy już niedaleko.

Ferenc zmrużył oczy.

— Wygląda na to, że nie tylko moje zmysły są wyostrzone aż do przesady. Ale zgoda, pchajmy się dalej. Arkisie, prowadź.

Syn trędowatego, mamrocząc coś pod nosem, przeszedł przez pierwszą szczelinę; zachwiał się, ale odzyskał równowagę. Poszli dalej.

Kiedy przedostali się przez kolejne pół tuzina rozpadlin, Arkis przystanął.

— Hej! — zawołał. — Następne pęknięcie ma jakby podłogę, utworzoną przez zamarznąłą skałę.

— Dawny odpływ lawy — poinformował Ferenc, stając tuż przy nim.

Szaitis podszedł ostatni i popatrzył na klif, rozdarty przed wiekami przez szukającą ujścia, rozżarzoną magmę.

— Lawa z serca wulkanu — stwierdził. — Może więc w końcu znaleźliśmy nasze wejście?

Ferenc wszedł pod skalny nawis i zniknął w jego cieniu.

— Pozwólcie, że sprawdzę.

Arkis poszedł za nim, a Szaitis ubezpieczał tyły. Wszyscy trzej węszyli, penetrując drogę nadzwyczaj czułymi wampirzymi zmysłami.

— Nie wyczuwam... nic! — zaryzykował w końcu Arkis.

— Ja też nie — dodał Wielki Lord. Z ulgą przyjął fakt, że obdarzony niewielkim talentem Okrutna Śmierć nie wykrył żadnego zagrożenia (on sam uznał to miejsce za nad wyraz groźne i odpychające). Ferenc jednak czuł chyba to samo, co Lord i nie zawahał się tego powiedzieć.

— To mi się nie podoba — oświadczył. — Cuchnie tu niemal tak, jak w jaskini, w której Volse dostał za swoje.

— Chyba śmierć Volse'a padła ci na mózg — powiedział Szaitis. Przypomnij sobie, co mówiłem wcześniej — tym razem jest nas trzech. Obaj z Arkisem mamy nasze solidne rękawice, a ty jeszcze solidniejsze szpony. W końcu ustaliliśmy już, że bestia kryła się w tamtej jaskini. Moim zdaniem... — Przerwał, by znów

pociągnąć nosem, po czym mówił dalej. — Moim zdaniem, jest wielce prawdopodobne, że władca wulkanu zamaskował to miejsce, przesycił je mrokiem i odorem śmierci. Ale odór to tylko odór, a ja czuję nasz triumf! Jestem za tym, by tam wejść. — Przeniósł wzrok z Ferenc na Arkisa.

Syn trędowatego wzruszył ramionami.

— Jeśli tak zwany „władca wulkanu” ma tam wszelkie wygody, idę z tobą, Szaitisie. Już powyżej kłów mam tych niedostatków! Marzy mi się suta czerwona krew i kobieta w łożu. Jak sądzisz, może to haremu strzeże tak zazdrośnie?

Teraz to Szaitis wzruszył ramionami.

— Nigdy nie brały mnie takie opowieści, ale słyszałem, że część wygnanych Lordów zabrała z sobą swe konkubiny. Przekonamy się o tym, gdy dojdziemy do celu.

— Tak, wygody — powtórzył za Arkisem Ferenc, oblizując wargi. — Mnie też by się przydały. W porządku, idziemy.

Wielki Lord zagrał rozeźlonego.

— A cóż to za nagły zwrot? — zapytał. — Stałeś się naszym przywódcą? Zdaje mi się, że lubisz mieć ostatnie słowo, Fessie Ferencu. „Arkisie, prowadź”, „W porządku, idziemy”.

— Ba! — zareplikował Ferenc. — Gdyby nikt nie podjął decyzji, wiecznie byśmy tu sterczeli. Pozwól, że ja poprowadzę...

I właśnie tego chciał Szaitis.

Ciemność panująca w grotcie stała się dla wampirycznych Lordów światłem dnia, daleko atrakcyjniejszym od blasku zorzy i błękitnej poświaty rzucanej przez gwiazdy. Ferenc, tam gdzie droga była prosta i pozbawiona przeszkód, kroczył pewnie; poruszał się jednak ostrożniej tam, gdzie blokowały ją kamienie lub strop się niebezpiecznie obniżał, a także w miejscach, gdzie tryskająca lava zostawiła po sobie okrągłe wybrzuszenia o ostrych krawędziach, coś na kształt małych kraterów. Szedł wciąż głównym chodnikiem, nie zważając na inne naturalne szczeliny czy boczne odnogi.

Arkis zatrzymał się o krok m nim, a tuż przed Szaitisem. W miarę jak posuwali się coraz głębiej, poczucie zagrożenia nie było już tak przytłaczające, co potwierdziło (zdaniem Okrutnej Śmierci i Ferenc) „teorię” Szaitisa, iż mieszkaniec wulkanu świadomie roztoczył tak przerażającą aurę, chcąc zniechęcić ewentualnych intruzów.

Szaitis był czujny i starannie strzegł swych myśli. Najchętniej porozumiałby się z Szaitanem, ale wolał nie ryzykować. Fess i Arkis rozpuścili dokoła swe wampiry sondy, polując na najmniejszy nawet ślad jakiegokolwiek aktywności psychicznej. Grunt, że wchodzili w głąb tej góry.

Po jakimś czasie Ferenc dał znak, by się zatrzymać.

— Jesteśmy co najmniej w połowie drogi — wyszeptał. — Pora się przygotować.

— Do czego? — warknął Arkis. To głupie pytanie zahuczało niczym lawina, odbijając się powoli cichnącym echem.

— Durniu! — szepnął Fess, kiedy upewnił się, że już go słyszeć. Po co mamy korzystać z naszych nietoperzowych zmysłów, węszyć jak wilki i dostrajać nasze umysły do cudzych myśli, skoro nie przepuszczasz żadnej okazji, by narobić hałasu i uprzedzić wroga o naszym nadejściu?

— Do diabła, jeśli jest w domu, z pewnością wie, że nadchodzimy — powiedział zmieszany Arkis, zniżając głos.

— Możliwe — wtrącił Szaitis — ale mimo to zachowujmy się cicho.

— I przygotowujmy się — przypomniał Ferenc. — To maszerowanie na czele działa mi już na nerwy. Arkisie, możesz mnie zastąpić.

— Żaden problem.

Syn trędowatego poszedł pierwszy, rad, że może naprawić swój błąd. Ale przeszli tylko z tuzin kroków.

— Stać! — syknął Arkis. — Coś tu jest nie tak!

Wyczuli to jednocześnie: swoistą próżnię, wolną od jakichkolwiek wibracji — i dobrych, i złych — miejsce tak nieruchome, jak martwe i mroczne, podziemne jezioro. Wszyscy pojęli, co to znaczy: ten rejon uczyniono sterylnym, wytłumiono nawet emanacje ciemności i zimnej skały. Ktoś chciał, by uwierzyli, że nie ma tu absolutnie nic... gdyż właśnie tu coś było!

Szaitis czuł, jak przenika go dreszcz: wiedział, że tamci reagują tak samo. Arkis, wysunięty najdalej do przodu, zamarł i coś wybełkotał, ale było już za późno nawet na belkot. Wielki Lord poczuł, że zasłona psychiczna pęka, i ugiął się pod naporem grozy, przedzierającej się przez jej strzępy, a potem zobaczył jakiś ohydny szary błysk, zwiastujący koniec Arkisa z Trędowatych, zwanego też Okrutną Śmiercią. Zaiste, okrutną śmiercią zginął!

Trudno powiedzieć, skąd wziął się ów Potwór — z wnęki w ścianie, z boczne-go tunelu, a może zza którejś skały — ale natarł z wielką szybkością i ze świadomością celu. Był dokładnie taki, jak opisał go Ferenc. Pokryty szarymi i białymi plamami, pożyłkowany jak marmur; rozwinął się, czy też poderwał tak nagle, że zdawać się mogło, iż to jakiś masywny, na pół wrośnięty w podłoże głąz ożył i zmienił swój kształt. Jego odnóża przeistoczyły się w mgiełkę; drąc pazurami powietrze, stanął dęba tuż przed Arkisem. Rybi łeb zakończony miał spiczastą lanca, na całej długości pokrytą cierniami albo haczykami. Wielkie jak spodki oczy sparaliżowały ofiarę swym wypranym z emocji spojrzeniem.

Dłoń Arkisa osłonięta była rękawicą, gotowa do walki, ledwie jednak uniośł rękę, Potwór zaatakował — tak szybko, że niemal niedostrzegalnie. Lanca rozcięła krótką, grubą szyję Lorda, a igłowate zęby zacisnęły się na zakończonym rękawicą ramieniu. Potwór odgryzł je i natychmiast połknął. Cofając się, znów ciał Arkisa w szyję, tym razem rozpruł mu tchawicę. W chwilę później natarł po raz drugi, mierząc w korpus. Przeszył baryłkowane ciało i dosięgnął serca. Na-

dziany na kościane ostrze Lord szarpał się konwulsyjnie i dygotał. Kły, bezradnie kłuszące powietrze, poczerwieniały — zakrztusił się krwią.

Fess rzucił się w tył (Szaitis sam miał ochotę uciec), a jego oczy zrobiły się ogromne, nabiegły szkarłatem. Ale rozpałiło je coś więcej niż zwykły strach; była w nich także furia! Olbrzym jedną szponiastą dłonią chwycił Wielkiego Lorda, drugą zaś uniósł do ciosu. Przypominała wiązkę czarnych, połyskliwych sierpów.

— Podstępny bękarcie! — warknął — Jajo twojego ojca było zgniłe i jeszcze w tobie jest ropa!

— Co? — Szaitis nakazał swemu metamorficznemu ciału, by wypełniło rękawice. — Oszalałeś?

— Pewnie tak, skoro ci zaufałem!

Ferenc gotów już był uderzyć Szaitisa, wbić szpony między jego żebra, uchwycić serce i wyrwać je z piersi. Jednakże coś go powstrzymało. Coś, co zobaczył za Wielkim Lordem.

Szaitan barwą i fakturą skóry przypominał czarną magmę. Jedyne to, że się poruszał, pozwalało go dostrzec na tle skał — i to tylko dlatego, że chciał, by go widziano. Fess zobaczył go i rozdziawił usta. Nabrał powietrza, zapominając, że chciał uderzyć Szaitisa, ten zaś odplącił mu się, waląc zaciśniętą w pięść prawicą w bok jego głowy. A wówczas...

... Praprzodek Szaitisa wygarnął swego potomka z rozluźnionego nagle uścisku Ferenc'a i owinał ogłuszonego olbrzyma mrowiem chłuszczących macek. Skrępowany ciasno Ferenc był najzupełniej bezradny, lecz Szaitan i tak nie dał mu czasu na dojście do siebie. Rozległ się dźwięk przypominający darcie skóry i rozciągliwa paszcza zamknęła się, pochłaniając głowę olbrzyma.

Szaitis, uciekający na oślep, wpadł na jakieś kamienie. Potknął się. Czując, że traci siły — on, Szaitis, traci siły! — runął na pokład zastygłej lawy. Z jednej strony widział koszmarnego łapczywca, który sycząc i bulgocząc, spijał resztki soków życiowych Arkisa, z drugiej zaś ciało „niezwycięzonego” Fessa Ferenc'a, wibrujące i pulsujące w splotach pierwszego z wampirów, Szaitana.

„Jeśli istnieje piekło — pomyślał Szaitis — stoję u jego bram.”

Pośród ciemności, kryjącej metamorficzny łeb Szaitana, jarzyły się tylko jego czerwone oczy. Przesłały do skołatanego umysłu Szaitisa odpowiedź.

— Tak, to jest swoiste piekło, w którym władza należy do nas. To właśnie piekło, synu moich synów, któregoś dnia przeniesiemy je do Gwiazdnej Krainy, a później do wszystkich dalszych światów!

CZEŚĆ III

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Łowcy i zwierzyna

Harry Keogh, nekroskop i niedoszły mściciel, myślał początkowo, że bez większego trudu wytropi tego, którego szukał: młodego wampira z Frigis Express, będącego także nekromantą, gwałcicielem i obłąkanym zabójcą, odpowiedzialnym za śmierć sześciu młodych kobiet. Wkrótce jednak odkrył, że nie będzie to tak łatwe, jak sądził. Frigis miał tuzin filii, rozsianych po całym kraju, mniej więcej tyle samo magazynów i zamrażalni oraz przeszło dwieście ciężarówek, z których połowa była w kursie o każdej porze dnia lub nocy. Firma musiała więc zatrudniać niejednego kierowcę, pasującego do ogólnikowego opisu, jakim dysponował Harry. Ogólnikowego, gdyż podejrzewał, że owa rozdęta, pożądliva karykatura, jaką mu przedstawiono, stanowiła bardziej twór roztrzęsionej wyobraźni niż wierny portret człowieka. Poza tym było wielce prawdopodobne, że Frigis zatrudniał również ludzi na zlecenie i mogło zdarzyć, że człowiek Harry'ego należał właśnie do tej kategorii. Gdzieś jednak musiał się znajdować przynajmniej spis pracowników etatowych i Keogh miał nadzieję, że go znajdzie, a w nim owego Johna, czy też „Johnny'ego”, którego ścigał.

W trzecią środę maja, o trzeciej trzydziści nad ranem, odwiedził główne, londyńskie biuro Frigis, chcąc przejrzeć kartoteki firmy. Udał się tam przez continuum Möbiusa, zatrzymując się po drodze na kilku dobrze znanych przystankach i w końcu pojawił w bramie sklepu przy Oxford Street. O tej godzinie powietrze było niemal całkiem wolne od spalin i nawet orzeźwiający, a lampy użyczały ulicy dość niezwykłej poświaty. Wiatr unosił nad rynkiem wielkie stronice jakiejś bezpieczeństwa gazety, łopoczące niemrawo jak wielkie, powolne ptaki.

Biura, które interesowały Harry'ego, znajdowały się dokładnie naprzeciw. W budynku nie paliło się żadne światło; miał nadzieję, żaden nocny strażnik nie skomplikuje mu sprawy. Nie przeliczył się.

Wchodząc szlakiem Möbiusa do budynku, Keogh pozwolił, by pączkujący w nim wampirzy instynkt doprowadził go na odpowiednie piętro. Komuś, kto jak nekroskop kreował własne drzwi samą mocą liczb, zamki w tych realnie istniejących nie mogły przysporzyć problemów. Dwukrotnie jednak z przyzwyczajenia

chciał zapalić światło i dopiero wówczas dotarło do niego, że to niepotrzebne. W pewnej chwili natrafił na duże lustro, a to, co w nim zobaczył — obraz mężczyzny o pociągłej twarzy i świecących czerwonych oczach — zafascynowało go i przeraziło jednocześnie. Był oczywiście świadom zachodzących w nim zmian, ale dotąd nie pojmował, jak szybki to proces. To wywołało w nim mieszane uczucia i jakieś dziwne pragnienie: tęsknotę za nocą i tajemnicą, za wędrowką w jakieś obce miejsce, choćby i w poszukiwaniu łupu. No i właśnie zawędrował w takie miejsce. Ale łup łupowi nierówny. . .

Biuro kadr było brudne i zaniedbane; cuchnęło w nim mocną kawą i zastarzałym dymem papierosowym. Dokumenty trzymano w archaicznych szafkach, do tego jeszcze otwartych. Harry szybko trafił na rejestr kierowników filii i składow, nie znalazł jednak żadnych informacji na temat szeregowych pracowników. Odkrył natomiast spis adresów i telefonów wszystkich terenowych biur Frigis Express. Schował go do kieszeni. To miało zaoszczędzić mu nieco czasu. Wszystko to jednak okazało się mało satysfakcjonujące.

Zniechęcony, zastanowił się nad kolejnym posunięciem. Należało chyba zacząć od pierwszej pozycji w rejestrze filii i jechać w dół. Ni stąd ni zowąd przyszedł mu na myśl Trevor Jordan. Może przydałaby się teraz jakaś filiżanka kawy, chwila przyjaznej rozmowy, ktoś, z kim — mówiąc krótko — można by побыć, choćby po to, by oddalić od siebie niepokój.

Wątpił w to, że Jordan nie śpi, ale na wszelki wypadek poszukał go, odwołując się do telepatii — i natychmiast znalazł.

— Harry? — Jedyne w swoim rodzaju „głos” Jordana zabrzmiał w umyśle nekroskopa tak wyraźnie, jakby esper szeptał mu wprost do ucha. — Czy to ty?

Harry odkrył, że telepatia jest zjawiskiem zarówno podobnym do mowy zmarłych, jak i krańcowo od niej różnym. Posługiwał się już czymś takim — odwróconą mową zmarłych, jak mniemał — ale to miało miejsce dobre kilka lat temu, kiedy był pozbawiony ciała, i jednak bardzo się różniło. Telepatia okazała się więc dla niego nowym doświadczeniem. Ale mimo to nie mógł się oprzeć wrażeniu, że jest ona czymś. . . naturalniejszym? Teoretycznie wszystko w świecie jest naturalne. Jednakże kontakt telepatyczny przypominał normalną rozmowę telefoniczną, nie pozbawioną nawet zakłóceń, i trzasków, natomiast mowa zmarłych była jak wiatr, szumiący tajemniczo nad pustynnym wąwozem, skąpanym w świetle. Jednym słowem, rozmowa żywych umysłów dostarczała zupełnie innych doznań niż metafizyczne porozumiewanie się z umarłymi.

A mimo to Jordan zareagował nieufnie, jakby nie był pewien tożsamości Harry’ego i nie chciał ujawnić swojej własnej. Dlaczego tak się zachował, tego nekroskop nie umiał powiedzieć. Spochmurniał.

— A któż by inny, Trevor?

Jordan poznał go, ledwie usłyszał jego głos. Jednakże jego telepatyczne westchnienie zasugerowało Harry'emu, że dzieje się coś niedobrego. Tak samo to, co Trevor powiedział później.

— Harry, znasz moją starą metę w Barnet? Tu właśnie jestem. Nie umiem jednak powiedzieć, jak długo tu jeszcze zostanę. Chciałbym się stąd wynieść. Wolę tego teraz nie wyjaśniać — to mogłoby być ryzykowne ale może mógłbyś do mnie zajrzeć? Na przykład teraz?

— Jaki problem?

Harry stał się czujny, wyczulony na niebezpieczeństwo. Wyraźnie dobierał niepewność Jordana.

— Sam nie wiem. Przyjechałem do Londynu, by sprawdzić, czy zdołam się dowiedzieć czegoś, co cię zainteresuje, ale niemal od samego początku jestem zablokowany, i to na całego. Przybyłem tutaj, by obserwować INTESP, ale do diabła... nie sądziłem, że sam będę obserwowany!

— Natychmiast?

— Natychmiast.

— Ruszam — powiedział Harry.

W pustej przestrzeni, jaką zostawił po sobie, wchodząc w drzwi Möbiusa, zawirowało powietrze; podmuch poruszył papiery w otwartej szafce. Jeszcze szeleściły, kiedy Keogh, śladem myśli Jordana docierał do Barnet.

Pojawił się cicho w mieszkaniu wskrzeszonego telepaty, w pokoju od frontu. Łukowate okna spoglądały z wysokości pierwszego piętra na brukowany zaułek, mur otaczający park i widoczne za nim ciemne sylwetki łagodnie falujących drzew. Pokój tonął w mroku, a Jordan stał przy oknie. Przez szparę w zasłonach wyglądał na zalaną żółtym światłem ulicę. Harry sięgnął do kontaktu i zapalił lampę. Jordan syknął i przykucnął, odwracając się gwałtownie. W dłoni miał pistolet.

— W porządku — uspokoił go nekroskop. — To tylko ja.

Telepata odetchnął głęboko i niemal padł na krzesło. Machnął ręką, zapraszając Harry'ego, by też usiadł.

— Tak się pojawiaasz i znikasz — powiedział.

— Zaprosiłeś mnie — przypomniał mu Keogh.

Jordan pokiwał głową.

— Po prostu jestem kłębkiem nerwów. Wyglądam na ulicę — a tu nagle zapala się światło!

— To nie było rozsądne... choć, właściwie. Gdybym się najpierw odezwał, odwróciłbyś się i zobaczyłbyś mnie. Nie jestem pewien, co wywołałoby większy szok: nagle zapalenie światła czy widok mych oczu w ciemności.

— Twoich oczu?

Harry skrzywił się.

— Są piekielnie czerwone, Trevor. I nic już nie może tego powstrzymać. To, co we mnie siedzi, jest silne.

— Ale... zostało ci jeszcze trochę czasu?

Keogh wzruszył ramionami.

— Nie wiem ile. Mam nadzieję, że wystarczy go na załatwienie jeszcze jednej sprawy, a potem odejdę. — W końcu usiadł. — Może odłożysz ten pistolet i powiesz, co cię gryzie?

Jordan popatrzył na broń, jakby zapomniał, że wciąż ją trzyma. Parsknął i wsunął ją do kabury pod pachą.

— Zrobiłem się nerwowy jak kot — powiedział. — A raczej jak mysz obserwowana przez kota!

— Jesteś obserwowany? — Harry nie wiedział, gdzie skierować swe myśli, by to sprawdzić. Znalezienie Jordana przyszło łatwo, gdyż wiedział, kogo szuka; podobnie było z Paxtonem. Ale znalezienie kogoś, o kim nic nie wiedział — kogoś zupełnie nieznanego było sztuczką, której jeszcze nie opanował. — Jesteś pewien?

Jordan wstał i zgasił światło. Znow podszedł do zaston.

— Nigdy nie miałem takiej pewności. Tamten... tamci są teraz gdzieś w pobliżu, śledzą mnie. A jeśli nawet nie śledzą, to zaciemniają. Blokują mnie. Nie mogę się przez nich przebić. Podejrzewam, że to ludzie z INTESP; tylko skąd wiedzą, że wróciłem? Że znow żyję?

Odwrócił wzrok od zaston i zobaczył zmienioną twarz Harry'ego.

— Już rozumiem, co miałeś na myśli.

Keogh — wysoki i ciemny, o oczach, które uczyniły z jego twarzy demona — pokiwał głową. Ale dręczyły go teraz sprawy poważniejsze niż błysk przekrwionych oczu.

— Jak to jest, kiedy ktoś obserwuje i blokuje twój umysł? — zapytał.

— Czułeś, jak Paxton cię obserwował, a blokada to ingerencja w psychikę. Ekran zakłóceń — odrzekł Trevor.

— Ależ ja nawet nie byłem pewien, że Paxton tam jest, dopóki mi nie powiedziałeś. Czułem tylko świerzbienie. A co do ingerencji w psychikę...

— W porządku. — Teraz tamten wzruszył ramionami. — Dam ci przykład. Spróbuj skierować na mnie swe myśli.

Harry zrobił to i natrafił na ścianę szumów. Gdyby nie wiedział, o czynienia z Jordanem, głowiłby się, co to jest.

— Jak trafisz na coś takiego, będziesz wiedział, że ktoś cię wygłusza — wyjaśnił Trevor. — Świadomie. Miałem okazję to poznać. Kiedy rosyjscy esperzy osłaniali Zamek Bronnicy, cały czas to trwało. Próbowaliśmy się przebić, a oni nieustannie dążyli do tego, by nam to utrudnić. — Znow badawczo popatrzył na Keogha. — A przy okazji Harry, ty cały czas blokujesz, chyba że chcesz kogoś odczytać albo sam zostać odczytany. Ale u ciebie to inna sprawa. To coś, co jest

stałe i się nasila. Nie szumy, lecz coś innego, naturalnego dla ciebie. Tak naturalnego, że nawet o tym nie wiedziałeś, prawda? Choć może „naturalne” to nie najlepsze określenie. W INTESP nazywaliśmy to psychicznym smogiem.

— Też się nad tym zastanawiałem — potwierdził nekroskop. — To zdradza. Esperzy Darcy’ego muszą już wiedzieć, czym jestem. Jeśli nie wiedzą, powinien ich spławić! Wygląda więc na to, że talent, który otrzymałem od Wellesleya, stał się zbędny... choć może nie. — Zamyślił się. — Nie, zdecydowanie nie. Dar Wellesleya to totalne zaciemnienie; nie tyle czyni umysł nieczytelnym, co całkowicie go otula. Wampir, jak powiedziałeś, powoduje tylko smog psychiczny. Ale jak w takim razie Paxton odkrył, co się ze mną dzieje? Jakim cudem zdołał do mnie dotrzeć?

— To dopiero zaczynało działać — odparł Jordan. — Twój wampir nie nabrał jeszcze sił. Wciąż nie jest gotów, ale miał dość mocy, by mnie powstrzymać. W ciągu ostatnich kilku dni usiłowałem dotrzeć do ciebie z pół tuzina razy, ale udawało mi się tylko wtedy, gdy sam chciałeś kontaktu. I jeszcze jedno. Wspomniałeś o Darcym Clarke’u, tak? Cóż... — Nagle umilkł i uniósł rękę w geście ostrzeżenia. — Czekaj. Czujesz to?

Harry potrząsnął głową.

— Sonda — wyjaśnił Jordan. — Ktoś próbuje mnie złapać. Wystarczy, że się rozluźnię i już są na miejscu.

Keogh zbliżył się do telepaty i wielkich łukowatych okien, ale wciąż trzymał się w cieniu.

— Mówiłeś, że chcesz się stąd wynieść. Co miałeś na myśli?

— Tylko to, że nie wiem, co oni mają na myśli. Wiem, że to mogą być tylko ludzie z wywiadu ESP, ale nie mam pojęcia, czego szykują i do czego zmierzają. Czy wiedzą, że mają do czynienia ze mną? To mało prawdopodobne: co, zmartwychwstałem? A z drugiej strony i z ich punktu widzenia, kim innym mogę być, skoro jestem telepatą i zajmuję mieszkanie Trevora Jordana? Te ich obserwacje przypominają mi czasy, kiedy śledziliśmy Juliana Bodescu. Za kogo oni mnie mają, Harry?

— Zaczynam rozumieć — powiedział nekroskop. Złapał Jordana za łokieć. — Masz rację: jest dokładnie tak jak wtedy, gdy śledziliśmy Juliana Bodescu. A to oznacza, że chodzi nie tyle o to, za kogo cię mają, ile... za co!

— Chcesz powiedzieć, że myślą, iż ja... .

— To możliwe. Zmartwychwstałeś, prawda? — odrzekł Harry.

— Ale nie wytwarzam psychicznego smogu.

— Ja do niedawna też nie wytwarzałem.

Jordan westchnął.

— Czekają na dalszy rozwój wypadków, a potem wkroczą! To prawie wszystko wyjaśnia. A na pewno wyjaśnia, czemu mam takiego pietra. Odbieram coś

z ich podejrzeń, z ich zamiarów. Wyczuwam polujących na mnie łowców. Harry, oni myślą, oni podejrzewają, że jestem wampirem!

— Ale nie jesteś i łatwo tego dowieść. — Keogh próbował go uspokoić. — Poza tym wywiadem ESP zarządza Darcy Clarke... Co chciałeś mi powiedzieć o Darcym?

Jordan odsunął się od okna. Kolejne spojrzenie w oczy nekroskopa przekonało go, że lepiej zgasić światło. Nacisnął kontakt, a potem opadł na krzesło.

— Darcy siedzi w domu i czymś się trapi. Pamiętasz, to jego miałem obserwować. Dlatego, że on jest szefem i wie, co jest grane. Teraz jednak wygląda na to, że go zdjęli. A jako że on sam nie jest telepatą, ktoś inny nieźle go ekranuje, utrudniając zdobycie jakichkolwiek informacji.

To brzmiało fatalnie.

— Może powinniśmy go odwiedzić? — zaproponował Harry. — Może powinniśmy się z nim spotkać i zapytać prosto z mostu, co się dzieje? Choć jestem pewien, że i tak wiem. Wydział tylko czeka, aż mi się noga powinie. Jeżeli Darcy nam to powie, zyskamy całkowitą pewność.

Jordan wzruszył ramionami.

— Przynajmniej jest powód, bym stąd wyszedł. Czuję, że jeśli tu zostanę, zaczną świrować! Boże, paskudnie jest być szpiegowanym i nie wiedzieć, co tamci myślą.

— Dobra — rzeki Harry. — A co potem? Wrócisz tu? Rzecz w tym, że przydałaby mi się pomoc w sprawie tego wielokrotnego zabójcy. Jako bazy moglibyśmy użyć mego domu w Bonnyrigg. Choćby czasowo. Dzięki temu będziemy mogli na zmianę uważać na obserwatorów. A kiedy misja, jaką sobie wyznaczyłem, dobiegnie końca i zanim odejdę — zanim odejdę na amen — znajdziemy jakiś sposób, by dogadać się z INTESP i oczyścić twoje konto.

— Nieźle to brzmi. — Telepata odetchnął z ulgą. — Powiedz tylko słowo, a wchodzę w ten układ.

— Powiem: idziemy zobaczyć się z Darcym. Żyje samotnie, jak większość z was, esperów? Wiem, że kiedyś mieszkał w Hoddeson: czy nadal tam siedzi? I czy jest sam, czy może ma jakąś kobietę? Darcy'emu szok by zbytnio nie zaszkodził, ale nie chciałbym straszyć kobiet.

— Nic nie wiem o żadnej kobiecie. — Pokręcił głową Jordan. — Darcy dawno temu poślubił swoją pracę. Ale nie mieszka już w Hoddeson. Kupił sobie dom w Crouch End, milę lub dwie stąd domek z ogrodem przy Haslemere Road. Przeniósł się tam parę tygodni temu. Zaraz po tej robocie w Grecji.

— Nie znam tej okolicy, ale pokażesz mi, gdzie to jest. Chcesz coś ze sobą zabrać? — zapytał Keogh.

— Walizka jest już spakowana.

— No, to możemy iść.

— O czwartej dwadzieścia rano? Skoro chcesz. Nie mam samochodu, a więc albo pójdziemy pieszo, albo będę musiał wezwać...

Jordan pojął swój błąd, ledwie zobaczył dziwny uśmiezek Harry'ego.

— Taksówka nie będzie potrzebna — oznajmił nekroskop. — Mam własny środek transportu...

* * *

Darcy Clarke był jeszcze na nogach; przez całą noc krążył niespokojnie po pokoju. Ale nie jego talent go tak dręczył; jemu samemu nic nie zagrażało. Martwił się o wydział i o akcję, którą, jak sądził, właśnie planowano. Martwił się też o Harry'ego Keogha. Właściwie te dwie sprawy łączyły się w jedną.

Kiedy Harry wyprowadził Jordana przez drzwi Möbiusa, światła na parterze domu Clarke'a, prześwitujące przez ścianę drzew i krzewów, paliły się jasno.

— Możesz już otworzyć oczy — powiedział do telepaty.

Jordan zatoczył się, przygięty ciężarem grawitacji, od której na moment się uwolnił. Żołądek podszedł mu do gardła, podobnie jak dzieje się to w windzie, która zatrzymuje się nagle na żądanym piętrze, tyle że akurat ta winda nie miała ścian, podłogi ani sufitu i „spadała” we wszystkich kierunkach jednocześnie. Dlatego właśnie Harry polecił mu na chwilę zamknąć oczy.

— Mój Boże — wyszeptał Trevor, chwiejąc się jeszcze. Rozejrzał się po mrocznej ulicy.

„Bóg? — pomyślał Keogh. — Kontinuum Möbiusa? Może i masz rację. Tak właśnie myśli August Ferdinand.”

Podtrzymał telepatę.

— Rozumiem. Niesamowite wrażenie, co? — zapytał.

Jordan popatrzył na Harry'ego i poczuł lęk. Tamten mówił o sprawach niezemskich, absolutnie niewiarygodnych, takim tonem, jakby były po prostu dziwne.

— Niezły strzał, Harry. Darcy mieszka tam.

Pozwolili sobie przejść przez furtkę i weszli na ścieżkę pośród krzewów. Wisząca nad drzwiami frontowymi lampa — biała kula, wyglądająca jak mały księżyc — przyciągała chmury ciem. Nekroskop polecił Jordanowi stanąć z boku, założył ciemne okulary i nacisnął na dzwonek. Po chwili usłyszeli kroki.

W drzwiach znajdował się judasz; Darcy Clarke skorzystał z niego i zobaczył stojącego na progu Keogha. Talent nie przeszkodził mu w otwarciu drzwi, a to już wiele mówiło.

— Harry! — zawołał. — Wejdz, wejdz!

— Darcy — powiedział Keogh, łapiąc go za ramię — posłuchaj, nie denerwuj się, ale przyprowadziłem ci kogoś.

— Przyprawdziłeś. . . — Chciał powtórzyć Darcy, ale już Jordan wysunął się zza drzwi. Esper zobaczył go. — Trevor. . . ? — wyszeptał. Drgnął gwałtownie i cofnął się o krok.

— Wszystko w porządku, w porządku — uspokajał go Harry, idąc za nim.

— Trevor? — wysapał Darcy, wybałuszając oczy; twarz mu nagle zbielała — Trevor Jordan! O mój Boże! O słodki Jezu!

Keogh nie lubił, gdy ludzie bezmyślnie przywoływali owe Imiona Potęgi, ale tym razem to zrozumiał i nie protestował.

Trevor Jordan przesunął się obok Harry'ego i wziął Clarke'a za drugą rękę. W pierwszej chwili Darcy chciał się od nich uwolnić. To znów była najzupełniej normalna reakcja, nie mająca nic wspólnego z jego talentem.

— Darcy, to naprawdę ja — powiedział Jordan. — I wszystko ze mną w porządku.

— W porządku? — Clarke rozdziawił usta i zaraz je zamknął. Nie tyle powiedział, co wyskrzeczwał te słowa. Spróbował jeszcze raz. — To naprawdę ty? Tak, poznaję cię. Ale wiem, że ty nie żyjesz. Pamiętasz, byłeś w szpitalu na Rodos, kiedy wpakowałeś sobie kulę w mózg.

— Możemy wejść do środka, usiąść i pogadać? — zapytał Harry.

— Pogadać? — Clarke popatrzył na niego, na nich, jakby nie był pewien kto tu zwariował, on czy oni. Zaraz jednak skinął głową — Jasne czemu nie? Może się potem obudzę!

Kiedy znaleźli się w salonie, Clarke wskazał im krzesła, machinalnie robił drinki, przeprosił za nieporządek i wyjaśnił, że jeszcze się tu nie zadomowił. Potem bardzo ostrożnie usiadł, jednym haustem wychylił potężną porcję whisky. . . i zerwał się.

— Do kurwy nędzy, mówcie! — zawołał. — Przekonajcie mnie, że mi nie odbiło!

Harry uciszył go i czym prędzej wyjaśnił wszystko, albo prawie wszystko, nie wchodząc jednak w szczegóły.

— A zatem przyszliśmy do ciebie — stwierdził na koniec — by się dowiedzieć, co się dzieje, co szykujesz wraz z INTESP. Zresztą, chyba już wiem. Liczę na to, że dopilnujesz, żeby trzymali się z dala, dopóki nie załatwię tego, co sobie poprzysięgłem.

Clarke wreszcie zamknął usta i wbił wzrok w Jordana. Tak, to był Jordan; wyglądał dokładnie tak samo jak zawsze, ale mimo to Darcy chwycił go za rękę i mocno ścisnął, przyglądając się jeszcze intensywniej, żeby upewnić się na sto procent. Telepata znosił spokojnie to drobiazgowe badanie, bez protestu przyjmując fakt, że jego stary, wieloletni przyjaciel tak go sprawdza, sprawdza każdy zapamiętany rys jego twarzy i sylwetki.

Twarz Jordana była owalna, pogodna, o zdrowej cerze; zazwyczaj wyglądała chłopcę, teraz jednak postarzał ją niepokój i niemała doza zadumy. Uczucia Jor-

dana zawsze można było określić, patrząc na jego usta: naturalnie zakrzywione, prostowały się i zaciskały, ilekroć coś się komplikowało. Tak też wyglądały teraz, proste i zaciśnięte. I Clarke świetnie wiedział dlaczego.

„Dobry, stary, wyrozumiały Trevor! — pomyślał Darcy. — Przezroczysty jak okno, czytelny jak otwarta książka. Od tej strony przynajmniej zawsze się pokazywałeś. Tak jakbyś chciał, by ludzie czytali w twoich myślach równie łatwo, jak ty w ich umysłach; jakbyś próbował zrekompensować im ten swój metafizyczny talent, a nawet czuł się winien, że go posiadasz. Nigdy nie spotkałem człowieka, który by ciebie nie lubił. A jeśli znalazłby się ktoś taki, po prostu unikałbyś go. I jeżeli naprawdę jesteś sobą, wiesz dokładnie, co teraz myślę.”

Jordan uśmiechnął się.

— Zapomniałeś wspomnieć, że również przystojny i silny, o sportowej sylwetce! A co ma znaczyć ta „chłopięca twarz”? Uważasz mnie za wielkiego dzieciaka, Darcy?

Clarke wrósł w krzesło i dotknął drżącą dłonią rozpalonego czoła. Nie wiedział, na kogo powinien patrzeć, na Harry’ego Keogha czy na Trevora Jordana.

— Cóż mogę rzec? — powiedział w końcu. — Chyba tylko... witaj w domu, Trevor!

* * *

Po kilku dalszych drinkach nadeszła kolej Darcy’ego. Przekazał swym gościom to, co wiedział, choć nie było tego wiele.

— Paxton musiał więc donieść, że przesłałem ci dossier tych dziewcząt, Harry, i to wystarczyło, by mnie zawiesili. A skoro pytasz, czy zapolują na ciebie — znasz sposób działania wydziału niemal równie dobrze jak ja. Oczywiście, prędzej czy później dobiorą się do ciebie.

— A do mnie? — zapytał Trevor.

— Nie — uspokoił go Darcy — gdyż pierwsze, co jutro zrobię, to udam się do miasta i naświetlę im całą sprawę. Mógłbym już teraz zadzwonić do ministra, ale o tej porze nie byłby tym zbyt zachwycony. Jutro pojedę do kwatery INTESP i porozmawiam ze wszystkimi, którzy coś tam znaczą; zadbam o to, by w pełni zrozumieli, co się dzieje. Może uda się nawet zdjąć ich na jakiś czas z karku Harry’ego.

— Mam nadzieję, że się uda — powiedział zimno nekroskop. — Liczę na to. — Zdjął przyciemnione okulary i poprosił Darcy’ego, by zgasił światło.

Ledwie zawieszony w czynnościach szef INTESP wypatrzył w mroku w twarz Keogha, powiedział cicho:

— Harry, ja też na to liczę... Tak będzie lepiej; lepiej dla nich!

Harry Keogh przypuszczał, że Darcy mówi szczerze; uważał go za jednego z niewielu, którym mógł zaufać. Jednakże wpływy wampira były już na tyle silne,

że patrząc na Darcy'ego Clarke'a, widział w nim zarówno przyjaciela, jak i wroga. Harry nie był w stanie bezbłędnie określić przyszłości — wiedział, że prognostyka to niebezpieczna, najeżona paradoksami gra — mógł jednak dość trafnie przewidzieć dalszy tok wydarzeń. Gdyby miał powstać w tym świecie dłużej, niż planował, gdyby jego misja miała potrwać dłużej niż kilka dni, Darcy mógłby się poczuć zobowiązany do wsparcia swego zespołu. Darcy był wszak ekspertem, a skoro metamorfoza Harry'ego postępowała tak szybko, wydział mógł zostać zmuszony do szukania pomocy u wszystkich dostępnych ekspertów. Tak czy inaczej, w końcu nawet Darcy nie będzie miał wyboru: nosiciela zarazy należy prędzej czy później unicestwić. Prosta konsekwencja.

— Darcy — powiedział Harry, kiedy znów zapalił światło — jeśli kiedyś staniemy po przeciwnych stronach, ty będziesz chyba jedynym, który zdoła mnie powstrzymać! I dlatego trochę się ciebie obawiam. Wiesz, że jestem teraz telepatą? I tak się zastanawiam; miałbyś coś przeciwko temu, bym zajrzał do twego umysłu?

Talent Darcy'ego nie wyczuwał zagrożenia. Harry nie zamyślał nic złego. Chciał tylko zapewnić sobie coś w rodzaju polisy ubezpieczeniowej, którą będzie można skasować, kiedy niebezpieczeństwo minie. Nie Darcy'ego Clarke'a zamierzał okaleczyć, ale jego talent. Bo tego właśnie obawiał się nekroskop; wiedział, że z Clarke'em nie wygra, że anioł stróż chroni deflektora. Gdyby jednak pozbawić Clarke'a owego talentu, esper byłby bezradny. Przynajmniej do chwili, kiedy czas Harry'ego się skończy.

— Byś zajrzał do mojego umysłu? — powtórzył Darcy.

— Za twoim pozwoleniem — podkreślił Harry. — To musi płynąć z twojej własnej woli.

Clarke nie doszukał się w tych słowach niczego zdrożnego.

— A nie możesz po prostu czytać moich myśli, tak jak Trevor?

— To co innego — odparł Keogh. — Będziesz musiał mnie wpuścić, tak jakbyś otwierał drzwi.

— Jak chcesz — wzruszył ramionami Darcy.

Spotkali się wzrokiem, nawiązali kontakt, a w chwilę później Harry wniknął w jego umysł. Mechanizm, którego szukał, nietrudno było znaleźć. Keogh z miejsca zobaczył, że to anomalia, mutacja. Naprawdę wyjątkowy talent, który przez całe życie chronił Clarke'a przed zagrożeniem z zewnątrz, ale sam nie był w stanie obronić się przed wewnętrznym, które zwało się Harry Keogh. Gdyby nawet mógł się bronić, nie zrobiłby tego, gdyż Harry nie zamierzał go niszczyć.

Nekroskop nie znalazł żadnej zapadki, którą mógłby zablokować, więc po prostu owinął cały mechanizm skrawkiem osłony Wellesleya. Trwało to zaledwie moment i już był na zewnątrz, zadowolony, że przynajmniej na jakiś czas zakneblował anioła stróża Clarke'a.

— Czy to wszystko? — Darcy zmarszczył brwi. — Uspokoileś się, że ci nie zagrażam?

„Absolutnie — powiedział do siebie Harry. Na zewnątrz zaś jedynie skinął głową. Jeśli nawet spróbujesz, nic cię nie będzie chronić, a to oznacza, że ja będę mógł zadbać o siebie.”

Nagle w jego głowie rozległ się inny głos, głos Jordana.

— To znaczy, że już w ogóle nie jest chroniony. Może choć powiesz mu, co zrobisz?

— Nie — odpowiedział Keogh. — Znasz Darcy’ego; z miejsca popadłby w paranoję na punkcie własnego bezpieczeństwa. To paradoksalne, ale pomimo tego niesamowitego talentu zawsze uważał na siebie, jakby był szczególnie podatny na wypadki.

— Pozostaje mieć nadzieję, że nic mu się nie stanie — stwierdził telepata.

— I co? — ponaglił Harry’ego Darcy.

— Rad jestem, że nie zwrócisz się przeciwko mnie — powiedział Harry. — Ale na nas już czas.

— Nie zdziwię się, jeśli wydział odkryje, że tu byliśmy — rzekł Jordan. — Darcy, jeśli nie chcesz popsuć sobie układu z nimi, zadzwoń do oficera dyżurnego i sam go o tym powiadom. Niech zobaczą, że nie jesteś z nami w zмовie. A przy tej okazji mógłbyś skorzystać ze swych kontaktów, by mnie oczyścić.

Clarke skrzywił się.

— Aktualnie moje „kontakty” nie palą się do tego. Ale i tak spróbuję. A gdzie się teraz wybieracie? Może nie powinienem pytać?

— Nie powinieneś — przyznał Keogh — ale ci powiem: tropimy twojego wielokrotnego mordercę. Poniekąd mnie to wciągnęło. To właśnie tę robotę chcę skończyć, zanim odejdę.

— Tym sposobem oczyściłbyś sobie konto, Harry. I tak właśnie powinno być. Zawsze będziesz czymś w rodzaju legendy. I to sławnej, a nie okrytej niesławą.

Harry milczał. Sława, a nawet niesława — to go nie dotyczyło. Liczyła się tylko jego obsesja. Oto wypędzano go z jego ziemi, zmuszono, by opuścił świat, o który walczył. Nie wyganiano go siłą — jeszcze nie — ale i do tego wkrótce dojdzie. A wampir, zwłaszcza prawdziwy wampir, jest nieustępliwy i przywiązany do swego terytorium. Harry walczył z tym przywiązaniem do swego terytorium. Skoro jednak musiał się na kimś wyładować, wolał, żeby był to kto sam jest demonem. Jednym słowem, żeby to był ten wielokrotny morderca, nekromanta, zabójca Penny i innych niewinnych dziewcząt. Nawet Pameli Trotter; ona też była niewinna. Przynajmniej — w porównaniu z tamtym.

Nadeszła pora, by Harry i Trevor Jordan rozstali się z Clarke’em. Pożegnali się z nim, tak po prostu, i Keogh polecił Jordanowi zamknąć oczy. Darcy Clarke obserwował ich odejście, a kiedy już zniknęli, wyciągnął drżącą dłoń ku przestrzeni, w której otwarli drzwi Möbiusa wiodące w pustkę...

ROZDZIAŁ DRUGI

Johnny znaleziony

W Edynburgu zaczynało już świtać, ale Harry Keogh wiedział, że sprawy — wszelkie sprawy — raptownie zmierzają do kresu, a nie był jeszcze gotów odejść. Skoro już zaczął działać, myślał jedynie o tym, by to działanie sfinalizować. W ciemności, a jeśli zajdzie taka konieczność, to i za dnia.

Letnie słońce mogło stanowić pewien problem, ale raczej jako utrudnienie, nie bezpośrednie zagrożenie. Słońce nie zabiłoby go, jeszcze nie, ale przyjmowane w dużych dawkach mogłoby mu pogorszyć samopoczucie, osłabić go. Oczywiście chronił przed tym blaskiem za pomocą okularów; miękki kapelusz osłaniał mu głowę i twarz, acz go zarazem demaskował; musiał też często trzymać ręce w kieszeniach, co dodawało mu pewnej niedbałości, typowej dla trudnej młodzieży lub polityków laburzystowskich, ale tego nie sposób było uniknąć. Sprzyjała mu jedynie brytyjska pogoda, prawie zawsze paskudna. Owe ograniczenia nie dotyczyły jednak Trevora Jordana. Mógł wychodzić, kiedy tylko chciał, a dzięki pomocy Harry'ego mógł znaleźć się, gdzie tylko zapragnął, i to błyskawicznie.

W Bonnyrigg, w domu nekroskopa, napili się kawy — Harry wolałby dobre czerwone wino, ale potrzebował pokrzepienia — i podzielili między siebie listę filii Frigis Express. Postanowili badać wszystkie w kolejności alfabetycznej, aż znajdą to, czego szukają. Jordan wziął na siebie dzienną zmianę, Harry miał tylko zapewnić mu transport. Noce zaś miały należeć do Keogha, a Jordan pełniłby wówczas wartę. Zapytany przez telepatę, dlaczego tak zależy mu na tej sprawie, Harry pokazał mu serię plastycznych obrazów myślowych, jakie otrzymał od Penny Sanderson i Pameli Trotter. Gdzieś w świecie szalał potwór i należało go zabić.

— Pewien jestem, że tam są nocni strażnicy — stwierdził Jordan, studiując swą połowę listy — ale o tej porze raczej kimają, śpią gdzieś po kątach. Moglibyśmy zaraz zaliczyć kilka magazynów, zanim pojawią się szoferzy, ładowacze czy ktokolwiek inny.

— Typ, którego szukamy, jest szoferem — przypomniał Harry. — Jeździ trasą M1, a prawdopodobnie też A1 lub A7. Może powinniśmy zacząć od składów leżących niedaleko tych głównych szlaków?

Telepata wertował akta zamordowanych dziewczyn. Szczególnie zainteresował go raport dotyczący Penny.

— Harry, wiedziałeś, że ciało Penny znaleziono w ogrodzie pod murem zamku? — zapytał, nie zważając na to, co powiedział nekroskop.

— Czy to ma jakieś znaczenie? — zapytał Keogh.

— Możliwe. Na zamku mieści się szereg małych, wyspecjalizowanych lokali. Wszystko wskazuje na to, że nasz facet z Frigis tamtej nocy dostarczał mięso do różnych jadłodajni i kuchni, a kiedy na wybrzeżu zapanował spokój, przerzucił ciało Penny przez mur.

Harry przyznał mu rację.

— Sprawdź, gdzie dokładnie ją znaleziono. Pamiętam, jak wyglądałem przez mur. Są tam miejsca, gdzie wznosi się on nad porośniętymi trawą półkami i spadzistym brzegiem; tam ma tylko kilka stóp wysokości, gdyby spadła — lub została zrzucona — obyłoby bez złamań i poważniejszych obrażeń. A jeżeli nie liczyć obrażeń i ran, które zawdzięczała tamtemu, była w zupełnie niezłym stanie. — Na wymizerowanej twarzy nekrokopa pojawiły się ślady gniewu; przypomniał sobie, jak wyglądała Penny, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy. Potrząsnął głową, żeby odpędzić to wspomnienie. — Jednym słowem, rozejrzę się tam. Jeśli tylko okaże się to możliwe, lub nawet prawdopodobne... Cóż, niewykluczone, że zawęziłeś nam pole działania. Dzięki, Trevor. Jak widzisz, nie nadawałbym detektywa, ani nawet na policjanta lub dozorcę w parku! — dodał z żalem.

— Posłuchaj — rzekł Jordan. — Zaraz podrzucisz mnie do Edynburga i dasz mi się tym zająć. Postawmy sprawę jasno, ciebie widziano w zamku. Ludzie mogli cię zapamiętać. Mnie jednak nie znają. Wezmę z sobą ten raport. Nadal mam swoją starą legitymację INTESP, zabrałem ją z mieszkania. Jeśli chodzi o wejście gdzieś i zdobycie informacji, jest równie skuteczna, jak mundur policjanta. A kiedy ja będę się koncentrować na tym etapie roboty, ty możesz sprawdzać listę filii.

— Zgoda. Spotkamy się tutaj dziś wieczorem. Jeżeli do tej pory coś wyniknie, będziemy mogli się bez trudu skontaktować. Musisz zrozumieć, że słońce ogranicza moje możliwości. Może utrudnić nam połączenie. Jeśli zaś dzień będzie pochmurny, wszystko zagra. Jedyne problem to... — Zawahał się.

— Tak? — Trevor czekał na wyjaśnienie.

— Będziesz zdany tylko na siebie — dokończył nekroskop. — Jeżeli wydział zdecyduje się wystąpić przeciwko mnie, zajmie się także moimi przyjaciółmi... .

— Zajmie się nimi — powtórzył telepata — a nie ich zdejmie! Zresztą, Darcy obiecał, że ruszy tę sprawę.

Keogh pokiwał głową.

— Ale nie może zlekceważyć faktu, że jestem wampirem. Wiesz także, że wydział nie pozwoli sobie na ryzyko. Mógłbym się założyć, że wydali już na mnie wyrok i pewnie zajęci są blokowaniem wszelkich dróg ucieczki. Na razie...

prawdopodobnie, darują sobie tę chatę, gdyż należy do mnie i znam ją lepiej niż oni. Ale prędzej czy później nawet mój dom przestanie być bezpieczny. Do cholery, byłby idealnym miejscem, żeby się ze mną policzyć! Na uboczu, całkowicie samotny.

— Trapiąc się, nigdzie nie zajdziesz, Harry. Spróbujemy najpierw znaleźć tego Johnny'ego, dobra? Później będzie dość czasu, żeby pomyśleć nad resztą.

Nekroskop wiedział, że Jordan ma rację. Mylił się tylko, mówiąc, że będzie dość czasu...

* * *

Następnego ranka minister wezwał Darcy'ego Clarke'a do kwatery głównej INTESP. Kiedy Clarke wszedł do pokoju, w którym mieściło się kiedyś jego biuro, minister siedział za jego dawnym biurkiem, a w kącie stał... Geoffrey Paxton. Telepata ręce skrzyżował na piersiach; za piecami miał okno ze zbrojonego szkła. Darcy czułby się lepiej, gdyby Paxton nie dobierał mu się do myśli, ale nie miał już na to żadnego wpływu.

Przywitali go — czy też potwierdzili jego obecność — zdawkowymi ukłoniem, po czym minister stwierdził, że Darcy wygląda mamie.

— Późno wstałem — odpowiedział Clarke. — Prawdę mówiąc, zanim pańskie biuro zadzwoniło, by umówić nas na to spotkanie, zaliczyłem godzinę lub dwie snu. Ale dobrze się stało, bo i tak zamierzałem tu przyjść. Wie pan, zeszłej nocy miałem gości. Obawiam się jednak, że pan nie uwierzy, kiedy powiem, kto był jednym z nich.

Paxton od razu zareagował.

— Wiemy, kim byli, Clarke — powiedział kwaśno. — Harry Keogh i Trevor Jordan — wampiry.

Clarke był na to przygotowany. Westchnął i odwrócił się do ministra.

— Czy musimy znosić tego młota? To znaczy, skoro już musi wwiercać się w ludzkie głowy, jak wielki pieprzony robał, to czy nie tego robić z daleka? Powiedzmy, zza tych drzwi?

Minister przyjrzał mu się uważnie.

— Powiadasz, że Paxton się myli, Clarke?

Darcy znów westchnął.

— Tak, zeszłej nocy widziałem się z Harrym i Trevorem. Co do tego, ma rację.

— Powiadasz więc, że Harry Keogh i Jordan nie są wampirami? — Głos ministra był bardzo cichy.

Darcy popatrzył na niego, spojrzął w bok i zaczął żuć dolną wargę.

— Czy są wampirami! — ponaglił go minister.

Clarke znów na niego spojrzął.

— Jordan... nie jest — odpowiedział.

— Ale Keogh jest?

— Co do tego zdążyliśmy nabrać pewności, racja? — warknął Darcy Clarke. — I to dzięki — spiorunował wzrokiem Paxtona — dzięki temu śliskiemu gównu! Tak, Harry się zaraził. Podłapał to cholerstwo, chroniąc nas — nas wszystkich — podczas misji w Grecji, gdyż ja prosiłem go o pomoc. Moim zdaniem, nie zmieni się teraz w zabójcę! Cóż więcej mogę wam powiedzieć?

— Sądźmy, że wiele — odparł Paxton, ale już ciszej. Jego ziemista twarz poczerwieniała pod wpływem obelgi Clarke'a.

Darcy popatrzył na niego, a potem na ministra i poczuł, że nie ma z nimi kontaktu. Nic do nich nie docierało.

— Dlaczego nie pozwolicie mi opowiedzieć wszystkiego? — zapytał. — I dlaczego nawet nie próbujecie mnie wysłuchać? Kto wie, może nawet nauczylibyście się czegoś?

— Albo byś nas skołował — powiedział Paxton.

Clarke spojrział na niego ze złością, po czym odwrócił się do siedzącego za jego biurkiem ministra.

— Słuchaj, twoja papużka gada bez sensu. Do cholery, nie chwytam ani słowa! Czy ty rozumiesz, co on bredzi?

Minister zdecydował się. Kiwnął głową i zabrał głos:

— Clarke, chcę ci to jasno powiedzieć. Zeszłej nocy wywiad ESP kontrolował twój dom. Jordana zresztą też. Wcześniej niż ty, dowiedzieliśmy się, że Jordan wrócił z tamtego świata — że stał się nieumarły. Co takiego? Człowiek nie żyje, a potem znów jest na chodzie, pomiędzy żywymi? Nieumarły! Tak to widzimy, nie sposób inaczej. Nie tylko Jordan, także jedna z tych zamordowanych dziewczyn. Są wampirami, nie ma innej możliwości.

— Ale gdybyście tylko zechcieli mnie wysłuchać... — wtrącił desperacko Clarke.

Minister jednak nie słuchał.

— Wiem, o której Keogh dostał się do mieszkania Jordana, wiemy o której je razem opuścili i gdzie się udali. Jesteśmy absolutnie pewni, że Harry Keogh jest wampirem! Skąd ta pewność? Ma stygmaty wampira. Można by rzec, że cuchnie wampirem. Mówiąc krótko, ukrywa się w psychicznym smogu. Nadażasz za mną?

— Oczywiście, że nadażam — odparł Clarke, czując, że coraz bardziej ogarnia go desperacja. Wiedział, że minister montuje sprawę; tylko jaką? Przeciw komu? Po raz ostatni spróbował do niego dotrzeć.

— Czyżby pan nie widział, że nawet tu się myli? Z całym szacunkiem twierdzą, że nic nie wiecie na temat wampirów. Nie mieliście z nimi do czynienia. Nie jest pan nawet obdarzony talentem. Wie pan tylko to, co pan przeczytał albo usłyszał od innych. A pogłoski nigdy nie zastąpią doświadczenia. Proszę zrozumieć, ten smog psychiczny, o którym pan mówi, jest czymś, nad czym Harry nie panuje.

Nie „ukrywa się” w nim, on po prostu jest. To efekt przemiany, której uległ Harry. Ma ten smog tak jak pies ma ogon. To nie jest świadome. Doprawdy, gdyby mógł, pozbyłby się go, gdyż on go demaskuje.

Minister zerknął pytająco na Paxtona, który niechętnie pokiwał głową. A może nie tyle niechętnie, co ponuro? Potwierdził? Clarke poszedł więc za ciosem.

— Widzi pan teraz, jak łatwo popełnić błąd? — powiedział.

— Wszystkie wampiry mają ten psychiczny smog? — zapytał minister, przyglądając mu się uważnie, bez drgnięcia powieki.

Clarke zaś zamrugał. Nerwy zaczynały odmawiać mu posłuszeństwa. Nie miał się czego obawiać, talent i tak by go ostrzegł, a mimo to był coraz bardziej zdeenerwowany.

— O ile wiemy, tak — odpowiedział. — Przynajmniej wszystkie, z którymi mieliśmy do czynienia. Kiedy telepata próbuje namierzyć wampira, znajduje tylko ten smog.

Twarz ministra zbielelała.

— Darcy Clarke, wiele nerwów musiało cię kosztować przyjscie tutaj. Chyba że jesteś szaleńcem albo naprawdę nie wiesz, co się z tobą stało.

— Co się ze mną stało? — Clarke czuł narastające napięcie, ale nie rozumiał jego przyczyny. — O czym pan, u diabła, mówi?

— Ty masz psychiczny smog! — wyrzucił z siebie Paxton.

— Co? Ja mam...?

— Panno Cleary i Ben, możecie już wejść. — Minister podniósł głos.

Drzwi otworzyły się i do pokoju weszła Millicenty Cleary, a tuż za nią Ben Trask. Dziewczyna spojrzała na Clarke'a.

— To prawda, sir — powiedziała niemal niesłyszalnie. — Pan... pan to ma. — Nigdy nie zwracała się do Clarke'a inaczej niż „sir”.

Popatrzył na nią, cofnął się o krok i potrząsnął głową.

— Darcy, ona mówi prawdę — dodał Ben Trask. — Nawet Paxton teraz nie kłamie.

Clarke z wahaniem ruszył w jego stronę... Trask zmrużył oczy, cofnął się i uniósł ręce, by odparować ewentualny cios! Clarke nie mógł uwierzyć w to, co widział w jego oczach.

— Ben, to ja — powiedział. — Mając taki talent, musisz wiedzieć, że mówię prawdę!

— Darcy — odparł Trask, cofając się nadał — dobrano się do ciebie. To jedyna możliwość.

— Dobrano?

— I nawet o tym nie wiedziałeś. Ty wierzysz, że mówisz prawdę. Gdybym był tu sam, pewnie by mnie to zmyliło. Ale tu jest dwa do jednego, Darcy. Poza tym trzymałeś się dość blisko z Harrym Keoghem.

Clarke obrócił się na pięcie, popatrzył na otaczające go twarze. Na kredowobiałą twarz ministra, siedzącego przy jego biurku. Na posępnego Paxtona, bawiącego się nerwowo kłapą marynarki. Na Traska, którego nigdy nie zawiódł talent — aż do tej pory. I na Millicent Cleary, nadal pełną szacunku, mimo iż przed chwilą nazwała go potworem!

— Wszyscy, do cholery, powariowaliście? — wychrypiał roztrzęsiony. Wsunął lewą dłoń do kieszeni, wyciągnął swą legitymację i cisnął ją na biurko. — Dobra jest; mam dość tego wszystkiego. Kończę z tym na dobre. Odchodzę. — Sięgnął prawą ręką pod marynarkę i wyciągnął swój służbowy pistolet kaliber 9 mm.

— Stać! — wrzasnął Paxton i uniósł wyciągniętą przed chwilą broń.

Clarke, zdumiony, odwrócił się w jego stronę — wraz ze swym pistoletem — i Paxton dwukrotnie nacisnął spust.

W ogłuszający huk wplotły się krzyki Millicent Cleary i Bena Traska.

— Nie!

Za późno; pierwsza kula cisnęła Clarke'a na środek pokoju, druga zbiła go z nóg i pchnęła na ścianę. Puszczając pistolet, skulił się pod zakrwawioną ścianą i dygoczącą ręką poszukał serca. Znalazł dwie dziury w marynarce. Tryskająca z nich czerwień przesączała mu się przez palce.

— Cholera! — wyszeptał. — Co...?

Runął na twarz i przetoczył się na bok. Trask i Millicent Cleary uklękli przy nim. Minister zerwał się, osłupiał, wpijając palce w krawędź biurka, żeby nie upaść. Paxton wysunął się do przodu, wciąż jeszcze nie wypuszczając broni. Jego twarz przypominała kartkę papieru, w której zrobiono kilka dziurek udających oczy i usta.

— On miał broń — wysapał. — Chciał użyć broni!

— Ja... ja myślałem, że chce mi ją oddać — powiedział minister. — Tak mi się zdawało.

Ben Trask tulił do siebie głowę Clarke'a.

Dziewczyna rozpięła marynarkę rannego, rozdarła jego szkarłatną koszulę. Ale krew niemal już przestała płynąć.

Clarke popatrzył z niedowierzaniem na swoją pierś i uchodzące z niej czerwone życie.

— To... niemożliwe! — powiedział. Dzień wcześniej byłoby to nie możliwe.

— Darcy, Darcy! — powtórzył Trask.

— Niemożliwe — wyszeptał po raz ostatni Clarke i jego oczy zaszły mgłą, a głowa stoczyła się na kolana Bena Traska. Nikt jednak nie wezwał lekarza ani karetki.

Trwali tak w bezruchu przez długie sekundy... aż Paxton przerwał ciszę.

— Zostawcie go! Powariowaliście? Zostawcie go!

Trask i dziewczyna spojrzeli na niego.

— Jego krew! — wyjaśnił Paxton. — Macie na sobie jego krew. Zarazi was!
Trask wstał i z jego oczu powoli odpłynęła groza. A przynajmniej groza tego, co tu się właśnie wydarzyło. Ale to, co nosił w sobie Paxton, było czymś zupełnie innym.

— Darcy nas zarazi...? — powtórzył za Paxtonem i dopadł do niego jednym susem. — Jego krew nas zarazi?

— Co, u licha, w ciebie wstąpiło? — Paxton cofnął się o krok.

— Darcy miał rację — warknął Trask. — Co do ciebie. — Wskazał na ministra. — I co do ciebie. — Zbliżył się jeszcze do Paxtona.

— Odejdź! — ostrzegł go telepata, wymachując pistoletem.

Trask złapał go za przegub, wykręcił mu rękę. Wściekłość dodała mu sił. Pi-stolet upadł na podłogę.

— Nigdy nie powiedział nic bardziej prawdziwego — oznajmił Ben, trzymając Paxtona na odległość wyciągniętego ramienia, jak kawał cuchnącego, zgniłego mięsa. — O wampirach wiesz tylko tyle, ile wyczytałeś albo usłyszałeś. Nie miałeś z nimi do czynienia. Inaczej wiedziałbyś, że kule nie mogą ich powstrzymać — a przynajmniej nie na długo! Jeśli masz choć odrobinę talentu, wiesz, że nieszczęsny Darcy jest martwy jak kamień. I to ty go zabiłeś!

— Ja... ja... — Paxton szamotał się.

— Zarazi? — wysyczał Trask przez zaciśnięte zęby. Przyciągnął Paxtona do siebie i wtarł krew Clarke'a w jego włosy, oczy i nozdrza. — Co by cię miało zarazić, kupo gówna? — Uniósł szeroką dłoń, zacisnął ją w pięść i...

— Trask! — zawołał minister. — Ben! Puść Paxtona! Daj mu spokój! Stało się. Może to była pomyłka. Prawdopodobnie, błąd. Ale stało się. Mogą się zdarzyć jeszcze inne rzeczy, które nam trudno będzie zaakceptować.

Pięść Traska zawisła w powietrzu; aż rwała się, by trzasnąć w twarz Paxtona. Ale ledwie słowa ministra dotarły do esopera, odepchnął od siebie telepatę. Chwiejnie, niemal jak pijany, wrócił do skulonego, martwego ciała Clarke'a.

— Wezwij lekarza... i karetkę — powiedział minister do Paxtona. I wówczas zobaczył jego twarz.

Telepata zapanował już nad swymi nerwami i umysłem. Wycierał twarz chusteczką i potrząsał głową.

— Nie potrzebujemy ani lekarza, ani karetki, a tylko piec — powiedział. — Musimy natychmiast spalić Clarke'a. Słusznie czy nie, ale nie możemy ryzykować. Trzeba go wrzucić w ogień tak szybko, jak tylko będzie to możliwe. Co do mnie, to zamierzam się wykapać. Trask, Cleary, wiem, co czujecie, ale na waszym miejscu...

— Nie wiesz, co czujemy. — Ben Trask popatrzył na niego, całkowicie wyprany z uczuć.

— Mniejsza o to. Na waszym miejscu, wziąłbym kąpiel. I to zaraz.

Minister wskazał mu drzwi.

— No to idź. Idź i przygotuj... likwidację. Zrób to zaraz — i weź prysznic, jeśli uważasz to za konieczne — a potem zgłoś się do mnie.

A kiedy już telepata opuścił pokój, mijając stłoczonych w korytarzu esperów, minister zwrócił się do Traska.

— Ben, zabijanie już się zaczęło — powiedział. — Słusznie czy nie, jak stwierdził Paxton, ale się zaczęło. I obaj wiemy, że nie wolno już się wycofać. Chcę więc, żebyś ty się tym zajął. Chcę, żebyś prowadził całą grę, aż coś się tak czy inaczej wyklaruje.

Trask wstał, oparł się o ścianę i popatrzył na ministra.

„Tak czy inaczej? — pomyślał. Nie, w grę wchodzi tylko tak, inaczej byłoby nie do pomyślenia. Cóż, ktoś to musi zrobić, a ja mam tyle samo doświadczenia, co inni. A nawet więcej. Prowadząc to, zyskam chociaż pewność, że ten idiota, Paxton, nie narobi więcej szkód.”

Dawniej miałyby do pomocy Darcy’ego, Kena Layarda, Trevora Jordana i garstkę innych. I oczywiście Harry’ego. Teraz wszystko uległo zmianie: to na Harry’ego polowali. I mimo tego, co powiedział Clarke, wyglądało na to, że zapolują także na Jordana. I na tę dziewczynę, Penny Sanderson? Według dossier to jeszcze dzieciak! Ale nieumarły dzieciak!

— Zgadzasz się? — zapytał minister.

Trask westchnął i niemal niedostrzegalnie skinął głową..

— Tak, zgadzam się. Może nawet Paxton miał rację? Gdyby z Darcym było coś — cokolwiek — nie tak... Gdy już... gdy spalimy, będziemy musieli rozproszyc jego popioły. Rozproszyc je na ogromnym obszarze. — Zadygotał. — Harry Keogh potrafi wiele zdziałać z popiołem. Nie sądzę, bym chciał znów zobaczyć Darcy’ego.

* * *

Dziewięta czterdzieści.

Harry Keogh kończył właśnie sprawdzanie akt personalnych filii Frigis Express w Darlington, kiedy równocześnie nastąpiły trzy zdarzenia. Pierwsze: urzędnik, którego Harry wywabił z jego klitki fałszywym wezwaniem telefonicznym, niespodziewanie wrócił. Drugie: pierś Keogha przeszło niemal bolesne ukłucie, tak jakby ktoś oblał jego serce lodowatą wodą. I trzecie: jakiś nieokreślony krzyk odbił się echem w jego umyśle, znikając w niedostępnej, metafizycznej czeluści. I mimo iż nekroskop nie znał jego źródła, odniósł wrażenie, że był adresowany właśnie do niego, jakby ktoś znajdujący się w przepaści pomiędzy życiem a śmiercią wykrzyczał jego imię.

Mowa zmarłych? Albo coś pośredniego? Harry przypomniał sobie, jak jego matka opisywała, co czuło jej niematerialne serce, kiedy szczeniaka imieniem Paddy potracił w Bonnyrigg samochód. A zatem... ktoś umarł?

— Kim jesteś? — zapytał tęgi, rudowłosy urzędnik w koszulce o krótkich rękawach, wpychając Harry'ego w cień zakurzonego kąta, gdzie metalowe szafki stykały się ze ścianą. Gapił się na zawartość tych szafek, zalegającą teraz podłogę.

Keogh tylko spojrział na jego podejrzliwą twarz.

— Ćśś — syknął.

— Ćśś — powtórzył tamten z niedowierzaniem. — Ja ci tam ćśś, ty włamywaczu! No, co jest grane?

Harry desperacko próbował nie zgubić cichnącego, eterycznego echa owego... wołania o pomoc?

— Słuchaj — zwrócił się do tego wielce nietypowego urzędnika — ucisz się na minutkę, dobra? — Spróbował precyzyjnie się obok niego.

— Ależ ty...! — Na potężnych policzkach tamtego pojawiły się wściekle czerwone plamy. — Oszust i złodziej, co? Poznają twój głos. Pewnie, to ty dzwoniłeś. No, tym razem nadzieję się na nie tego faceta, złodzieju! — Złapał Harry'ego za kłapy; wyglądało na to, że chce go rąbnąć w twarz.

Nekroskop, nie przestając koncentrować się na krzyku, wyciągnął rękę i złapał napastnika za gardło. Dławiąc go jedną szeroką dłonią, drugą zdjął swe ciemne okulary. Urzędnik zobaczył jego oczy i zakrzuszył się jeszcze bardziej. Zaczął wymachiwać rękami.

Keogh bez wysiłku odepchnął go i zaciągnął na środek pokoju. Nogi urzędnika trafiły w końcu na krawędź biurka. Siadł na plastikowej tacce na papiery, łamiąc ją swym tłustym tyłkiem. Harry nie puszczał go jednak; czekał, aż krzyk się powtórzy. Nic z tego. Przepadł, zapewne zniknął już na zawsze.

Nekroskop czuł, jak ogarnia go gniew — czuł się oszukany, rozczarowany — a jego dłoń zamykała grdykę urzędnika w żelaznym uścisku. Paznokcie wpijały się w ciało tamtego. Harry wiedział, że mógłby jednym ruchem rozgnieść mu jabłko Adama i rozedrzyć gardło. Co więcej, tkwiący w nim stwór ponaglał go: zrób to, zrób to!

Nie zrobił. Zamiast tego zmiotł urzędnika z biurka i posłał go na podłogę, miażdżąc krzesło i drewniany kosz na śmieci.

— Mój... Boże! — wykrztusił urzędnik. Splunął, rozmasował gardło i odczołgał się w kąt. Potem odwrócił się i spojrział z lękiem tam, gdzie stał ów krwa-wooki, wściekły przybysz o długich kłach. Ale oczywiście nekroskopa już tam nie było. — Mój Boże! Dobry Boże! — wyjąkał znowu.

* * *

Eliminując w porządku alfabetycznym kolejne pozycje ze swej listy, Harry zdążył już zbadać trzy filie i składy Frigis, park maszynowy w Alnwick, rzeźnię oraz zakłady mięsne w Bishop Auckland, oraz na koniec kompleks chłodni w Darlington. Jak dotąd spisał sobie adresy czterech możliwych kandydatów, szoferów

o imieniu John lub Johnny. Jednakże, mimo iż od południa dzieliło go jeszcze kilka godzin, ów niesamowity krzyk znikąd wzbudził w nim niepokój oraz wątpliwości i zburzył koncentrację. Harry wrócił szlakiem Möbiusa do swego domu w Bonnyrigg i stamtąd porozumiał się z Trevorem Jordanem, przebywającym w Edynburgu, w Zamku na Skale.

— Harry? — odpowiedział natychmiast Jordan. Z jego telepatycznego „głosu” przebijała ulga, że znów nawiązał kontakt z nekroskopem. — Próbowałem cię znaleźć, ale twój smog psychiczny był zbyt gęsty. Wciąż zresztą gęstnieje. Mógłbyś zjawić się tu i mnie zabrać? Możliwe, że mam jakiś trop.

Keogh skinął głową, jakby rozmawiał z kimś, kto znajduje się naprzeciwko niego, a nie o dziesięć mil dalej.

— Znasz „Laird’s Larder”? — zapytał. — To bar kawowy tuż koło Królewskiej Mili. Każdy, kogo zapytasz, pokaże ci drogę. Zjawię się tam za pięć minut. Ale powiedz mi, Trevor, czy zdarzyło się coś szczególnego? Czy czułeś coś dziwnego? Czy powinienem być, no, ostrożniejszy niż zwykle?

— Masz na myśli obserwatorów INTESP? — Jordan chyba pokręcił głową. — Nic takiego nie odkryłem. Co najwyżej, jakieś próbne dotknięcia, ale nic, co można by przygwoździć. Nic skoncentrowanego. Jeśli czają się tu ich ludzie, to są za dobrzy dla mnie. A ja sam jestem cholernie dobry!

— Żadnych szumów? Może Paxton?

— Nie odbieram żadnych szumów. Może w oddali, ale nie tu, na miejscu. A jeśli chodzi o Paxtona, pewien jestem, że wyczułbym go na dwadzieścia mil. A co u ciebie?

— Jedyne... dziwne wrażenie — odparł Harry. — W Darlington.

— W Darlington? — nekroskop niemal widział, jak tamten unosi brwi. — To doprawdy zbieg okoliczności! A znalazłeś w Darlington jakichś Johnnych?

— Dwóch. I jeden z nich to prawdziwy „Johnny”. Takie przynajmniej podaje imię. Johnny Courtney. Drugi nazywa się John Found.

Harry wyobraził sobie, że telepata ponuro kiwa głową.

— A Dragosani był znajda¹, zgadza się?

— Myślisz, że to ma jakieś znaczenie? — spytał Keogh. Ale wiedział, że ma.

— Lepiej w to uwierz — zauważył Jordan.

— Zobaczmy się przed „Laird’s Larder”. Pięć minut...

Rozgorączkowany, odczekał te pięć minut, potem przedłużył okres do sześciu, by zyskać pewność, że Jordan zdążył dotrzeć już na miejsce, po czym przeniósł się drogą Möbiusa na spadzistą, brukowaną ulicę nieopodal Królewskiej Mili. Przeszedł z kontinuum na zatłoczony chodnik, gdzie zarówno turyści, jak i miejscowi krążyli niczym pszczoły w ulu; natarczywi i zaaferowani, gonili za swoimi

¹nieprzetłumaczalna gra słów: found (ang.) — znaleziony, foundling (ang.) — znajda, podrzutek (przyp. tłum.)

sprawami. Nikt nie zauważył, jak nagle pojawił się Harry; ludzie napływali ze wszystkich stron, mijali się wzajemnie.

Jordan stał w bramie „Laird’s Larder”. Wypatrzył Harry’ego, złapał go za łokieć i wyciągnął z ulicy w cień. To ucieszyło nekroskopa, gdyż słońce, które wyłoniło się zza chmur, powodowało coś więcej niż tylko podrażnienie. Nienawidził go.

— Kup trzy sandwicze — polecił telepacie. — Dla mnie ze stekiem, maksymalnie niedosmażonym, dla siebie, z czym chcesz, a trzecią obojętnie jaką, byle było dużo chleba. Dobra?

Trevor, zdziwiony, skinął głową i podszedł do obłożonej przez klientów lady. Zamówił, został obsłużony i wrócił do Harry’ego. Nekroskop chwycił go za ramię.

— Zamknij oczy — powiedział i wprowadził telepatę w drzwi Möbiusa. Każdemu, kto to widział, wydawało się zapewne, że wychodzą na ulicę. Ale nie pojawili się na niej. Zmaterializowali się w moment później o dwie mile dalej, nad jeziorem znajdującym się na wierzchołku rozległego wulkanicznego pokładu, zwanego Tronem Artura. Znaleźli tam wolną ławkę, na której usiedli. Przez jakiś czas jedli w milczeniu, a Harry podrobił trzeciego sandwicza i okruciami nakarmił kaczkę i samotnego łabędzia, który podpłynął, zwabiony tą uczta.

— Opowiedz mi o tym — powiedział w końcu nekroskop.

— Najpierw ty — zaproponował Jordan. — O co chodzi z tym „dziwnym wrażeniem” w Darlington? Wyczułem, że coś cię gryzie, Harry. Coś innego niż odkrycie paru podejrzanych Johnnych. Chcę powiedzieć, że wytropienie tego maniaka jest ważne — temu nie można zaprzeczyć — ale istnieje też kwestia bezpieczeństwa osobistego. Lepiej więc powiedz, grożą nam jakieś problemy?

— O tak. I to już wkrótce. Coś w środku mówi mi, że nawet Darcy Clarke nie zdoła temu zapobiec. Ale nie o to mi chodziło.

I najlepiej, jak potrafił, wyjaśnił Jordanowi, co czuł. Potem opowiedział mu, jak jego matka zareagowała na śmierć małego pieska.

— Myślisz, że dziś ktoś umarł? Domyślasz się kto?

Harry potrząsnął głową.

— Ktoś mnie wolał, i tyle. Tak mi się przynajmniej zdaje.

— A twoja mowa zmarłych? Nie możesz... ich o to zapytać?

— Ogromna Większość nie chce mnie znać. Nie teraz. Już nie. I nie mogę powiedzieć, bym ją za to winił. — Keogh wzruszył ramionami. — Z drugiej strony, jeśli ktoś umarł mimo to chce się ze mną skontaktować, wkrótce będzie w stanie to zrobić.

— Tak?

— Przy pomocy mowy zmarłych — wyjaśnił Harry. — Tyle, że będzie musiał sam mnie odnaleźć, gdyż nie wiem, gdzie go szukać. I musi zrobić to w nocy. Za dnia słońce zbytnio mi przeszkadza. Gdyby nie ten kapelusz, mógłbym mieć

problemy. Nawet, kiedy go noszę, czuję się zmęczony, chory, nie potrafię logicznie myśleć. Jeszcze przed chwilą było tu trochę chmur i już się rozpraszają. A im jaśniej się robi, tym ciemniej mam w głowie! — Wstał i rzucił na powierzchnię skalnego jeziora ostatnią garść okruchów. — Zabierajmy się stąd. Przyda mi się trochę cienia.

Powędrowali szlakiem Möbiusa do ponurego, starego domu na peryferiach Bonnyrigg, po czym telepatycznie spenetrowali całą okolicę.

— Nic — stwierdził telepata, a Harry przyznał mu rację.

— W porządku — powiedział wreszcie. Zrzucił kapelusz i wyciągnął się w fotelu. — Teraz twoja kolej. Co odkryłeś na zamku? Widzę, że jesteś podekscytowany.

— Masz rację — uśmiechnął się Jordan. — To była okazja, by ci się odwdzielić, za to, co dla mnie zrobiłeś, Harry. Za moje życie, za moje zmartwychwstanie. Mój Boże, ja żyję i wiem, jakie to cudowne uczucie! Chciałem więc na coś wpaść. Można by rzec, że niemal marzyłem o tym, by coś się stało. I stało się.

— Sądysz, że znalazłeś naszego człowieka, naszego potwora?

Harry, poruszony, wychylił się z fotela.

— Jestem pewien, że tak — odparł telepata. — Tak, jestem tego cholernie pewien!

ROZDZIAŁ TRZECI

Johnny... Found

— W wartowni pokazałem legitymację INTESP — oznajmił Jordan. — I powiedziałem im, że prowadzę śledztwo w sprawie śmierci dziewczyny, którą znaleziono pod murami. Wyjaśniłem, że za pierwszym razem źle oceniliście sytuację, bo denatka nie była tym, za kogo ją wzięliśmy, i dlatego zaczynamy badać wszystko od nowa.

Dyżurujący wartownicy przeczytali wszystko w tej sprawie — w gazetach, a poza tym nie byłem pierwszym śledczym, jakiego widzieli. Nawet nie pierwszym dzisiaj. Poinformowali mnie, że w kasynie podoficerskim jest już dwóch cywilów. Ta wiadomość powstrzymała mnie trochę, przez kilka chwil rozważałem sytuację, ale ostatecznie pomyślałem: co, do diabła? Przecież w końcu jestem z INTESP... może nie? No, przynajmniej byłem do niedawna. W każdym razie, nigdy nie wchodziłem w żadne konflikty z prawem. W gruncie rzeczy policja zawsze okazywała mi, jak i całemu wydziałowi, wiele szacunku. I vice versa. Poprosiłem o wskazanie drogi do kantyny i tam więc się skierowałem.

Zamek Edynburski zajmuje rozległy obszar, ale tylko do niewielkiej części mają dostęp zwiedzający. Przeciętny turysta wie, że na zamkowej esplanadzie odbywają się defilady. Jest tam mnóstwo przestrzeni nawet na zbudowanie stadionu z ośmioma tysiącami miejsc, lożami królewskimi i tak dalej, ale rozległy kamienny kompleks poza Mons Meg, armatą O'Clock i kawiarnią Ye Olde Tea we wnęce skalnej pozostaje tajemnicą dla większości osób. Dopiero tam, gdzie droga została zamknięta, zaczyna się właściwy teren zamku. Ale ty tam byłeś, Harry, więc wiesz, jak to wygląda labirynt zaułków, ganków i dziedzińców — fantastyczne miejsce! I łatwo zgubić w nim drogę.

Wreszcie znalazłem kantynę podoficerską. Dwóch oficerów tajniaków rozmawiało z sierżantem-kucharzem i jego cywilnym pomocnikiem, robiąc notatki. Pokazałem legitymację i zapytałem, czy mógłbym uczestniczyć biernie w przesłuchaniu. Na to ci nawet nie mrugnęli okiem. Pamiętali, jak wiele wydział — reprezentowany przez Darcy'ego Ciarka i ciebie samego, Harry — pomagał przy tej robocie.

W każdym razie, przybyłem w samą porę, bo pytali akurat o dostawę mrożonego mięsa, którą tej nocy przywieziono do kuchni. Najwyraźniej zwrócili uwagę na zwierzęcą krew na ubraniu Penny, rozumiesz?

Potrafisz sobie wyobrazić, Harry, jakie odniosłem wrażenie, kiedy kucharz wyciągnął listę dostaw, żeby sprawdzić transport tusz zwierzęcych... Tak, przywiezionych przez firmę Frigis Express! Naturalnie, nic nie mówiłem. Starłem się zapamiętać tyle, ile tylko mogłem. A nie było tego mało, bo ten czerwony na twarzy, tłusty kucharz z kantyny miał bzika na punkcie gorliwości. Nie tylko trzymał spis dat i godzin wszystkich dostaw żywności, posiadał także kopie potwierdzonych przez siebie pokwitowań, które nosiły podpisy dostawców. Miał nawet numery rejestracyjne samochodów dowożących! Oczywiście zanotowałem w umyśle numer ciężarówki, która dostarczyła towar tamtej koszmarnej nocy morderstwa.

A oto w jaki sposób działa system dostawczy:

W czasie dnia esplanada jest zatłoczona, a poza tym w tych godzinach ulice Edynburga to nie najlepsze miejsce do ogromnych, przegubowych ciężarówek. Więc Frigis Express przywozi towar nocą. Oczywiście, ogromne pojazdy nie mogą przejechać pod łukiem wartowni i przez wąskie bramy, więc parkują na esplanadzie, a kuchnia przysyła po odbiór mięsa wojskowy landrover. Szofer z Frigis przeładowuje towar prosto ze swej ciężarówki na przyczepę landrovera, który wiezie go dalej, do głównej kuchni. Kierowca Frigis natomiast jedzie jako pasażer, żeby dostać pokwitowanie odbioru. I czasami, zanim wróci do ciężarówki stojącej na ciemnej esplanadzie wypija z kucharzem piwo w jego małym biurze.

No więc ci oficerowie w cywilu chcieli wiedzieć, czy to wszystko miało także miejsce w noc morderstwa. Właściwie sierżant-kucharz znał dość dobrze tego kierowcę; pracował on dla Frigis w Darlington i przywoził dostawy do zamku co trzy lub cztery tygodnie. Wypijali zwykle razem kufelek.

Co do nazwiska, to podpis był zupełnie nieczytelnym bazgrołem, może nawet umyślnie niewyraźnym... z wyjątkiem litery „F”, od której zaczynało się nazwisko. A tłusty sierżant zaklinał się, że przedstawia się on jako „Johnny”!

To tyle w tej kwestii. Kiedy oficerowie zdobyli potrzebne im informacje, wyszedłem razem z nimi. Po drodze napomknąłem o tym, jak dobrze sobie radzą w tej sprawie bez INTESP. Nie byli zbyt pewni, co to w ogóle jest INTESP — a zresztą, kto to wie oprócz samych jego członków? Domyślali się jednak, że to jakiś rodzaj wyższej organizacji wywiadowczej, która zajmuje się, i to z powodzeniem, sprawami nadprzyrodzonymi: wywoływaniem duchów, wróceniem z fusów i tak dalej. I przypuszczam, że na swój sposób mieli rację.

Potem spędziliśmy trochę czasu na murach, oglądając okolicę, w tym ogrody ciągnące się do Princes Street. Na pewno są tam miejsca, gdzie można wepchnąć ciało. Gliniarze wydawali się szczególnie zainteresowani jednym punktem i do-

myślałem się, że to tam znaleziono Penny. Zajrzałem ostrożnie do ich głów, i przekonałem się, że miałem rację.

Wreszcie, żegnając się z nimi na esplanadzie, powiedziałem: „Będziemy w kontakcie, a jeśli ten cały Johnny nie okaże się tym, za kogo...”

Ale jeden z nich wszedł mi w słowo: „O, jesteśmy zupełnie pewni, że to on. I możemy poczekać jeszcze kilka dni. Właściwie, zanim dobierzemy się do tego drania, chcielibyśmy go złapać na podrywaniu jakiejś dziewczyny. Robi te swoje paskudztwa często i chętnie, więc sądzimy, że może przy najbliższej okazji znowu spróbuje. Jeszcze dzień, co najwyżej dwa. I lepiej uwierzcie, że będziemy tuż za nim...” Potem tylko wzruszył ramionami.

Więc życzyłem im powodzenia i na tym się skończyło. Czułem się doskonale — doskonale dlatego, że żyję, a jeszcze lepiej, ponieważ zdobyłem kolejne informacje w tej sprawie, i wypilem piwo w Royal Mile. A potem czekałem już tylko na kontakt z tobą. Koniec historii...

* * *

Nekroskop wydawał się nieco rozczarowany.

— Nie zdobyłeś ogólnego rysopisu tego mężczyzny ani nie wykryłeś, kiedy znowu poprowadzi ciężarówkę Frigis?

— Tych rzeczy nie znalazłem w ich myślach — odrzekł Jordan, kręcąc głową. — A tak czy owak, gdybym miał skupić się na przetrząsaniu ich umysłów, mógłbym zrobić coś głupiego i zdradzić się. Wiesz przecież, jesteśmy telepatami. Kiedy czytamy nawzajem swoje myśli, to są one wyraźne i prawdziwe, ponieważ robimy to z rozmysłem. Ale czytanie w mózgach zwykłych osób to co innego. Ich myśli są pomieszane, bezładne i rzadko koncentrują się na czymkolwiek dłużej niż kilka chwil.

Harry pokiwał głową.

— Nie chciałem robić ci wyrzutów — odrzekł. — Spisałeś się na medal. Wszystko idzie znakomicie, przynajmniej jak dotąd. Teraz jednak chcę się dowiedzieć czegoś bliższego o tym człowieku, na przykład: dlaczego robi to, co robi. Ta wiedza może okazać się po prostu użyteczna. Jeśli nie dla mnie, to dla wydziału po moim odejściu. Zastanawia mnie także jego nazwisko. Mówiłeś, zdaje się, że Dragosani był też podrzutkiem? Cóż, być może, to o wiele większa sprawa, niż sądziłem. A więc tak... Muszę zdobyć kilka informacji na temat tego Johnny'ego Founda. I, oczywiście, chcę do niego dotrzeć przez policję. Zostanie oskarżony o morderstwo, wiem, ale za to, co zrobił, i może jeszcze zrobić, należy mu się znacznie więcej. Pojawił się na scenie w sposób okrutny. I tak samo powinien z niej zejść.

Przy ostatnich słowach głos nekroskopa przeszedł w głęboki pomruk, opadający coraz niżej. Jordan cieszył się, że trzyma się z dala od jego umysłu. „Panie

Johnny Found, kim — lub czymkolwiek i dla czegokolwiek jesteś, nie chciałbym być w twojej skórze nawet za całe złoto Fortu Knox!” — nie mógł oprzeć się jednak cichej myśli.

* * *

Ben Trask zwołał zebranie na godzinę czternastą i wszyscy będący w dyspozycji agencji INTESP stawili się na nie. Zjawił się też minister w towarzystwie Geoffreya Paxtona, którego Trask nie spodziewał się właściwie ujrzeć. Ale nie robił z tego powodu szumu; już wcześniej doszedł do wniosku, że ta sprawa jest zbyt ważna, aby mieszać do niej niesnaski osobiste. Niepokoiła go jednak ironia losu, że tak nędzna kreatura jak Paxton, cieszy się bezpieczeństwem i szacunkiem, a wartościowy współpracownik, Harry Keogh, stoczył się na dno i ma niebawem paść ofiarą swoich własnych metod.

Właśnie Harry nauczył wydział załatwiania tego rodzaju spraw. Jak zorganizować akcję, jakiej broni użyć — drewnianego kołka, miecza lub ognia — i w jaki sposób uderzyć. Jak zabijać wampiry.

Kiedy wszyscy już przybyli, Trask, nie tracąc czasu, przystąpił do rzeczy.

— Teraz wszyscy już wiecie, kim stał się Harry Keogh — zaczął. — Chcę przez to powiedzieć, że jest on najbardziej niebezpieczną istotą, jaka kiedykolwiek żyła... częściowo dlatego, że nosi zarazę wampiryzmu, która mogłaby pochłonąć nas wszystkich i na którą nie ma lekarstwa. Owszem, przed Harrym byli też inni, wszyscy jednak zginęli, i to przede wszystkim za sprawą jego samego! A oto pozostałe powody, dla których jest tak groźny: ma pełną wiedzę o tym, o nas, o... po prostu o wszystkim! Nie zrozumcie mnie źle — on nie jest żadnym nadczłowiekiem i nigdy nim nie był, lecz niewiele mu do tego brakuje. Co zresztą stanowiło ogromną zaletę, kiedy pracował z nami, ale w obecnej sytuacji jest zupełnie na odwrót. No i, oczywiście, w przeciwieństwie do innych wampirów, z którymi wydział miał do czynienia, Harry z pewnością wie, że chcemy go wytropić. — Odczekał, aż słowa przebrzmiały, po czym wziął głęboki oddech. — I jeszcze kilka przyczyn — mówił dalej — dla których jest niebezpieczny. Stał się telepatą, więc od tej chwili wszyscy musicie bacznie kontrolować swoje myśli. W przeciwnym wypadku, Harry w nie wejdzie. A wiedząc, co zamierzamy robić, raczej nie będzie na to czekał, prawda? Poza tym posiada zdolność teleportacji, używa czegoś zwanego kontinuum Möbiusa, aby przenosić się wedle swojej woli w różne miejsca. Może znaleźć się dosłownie wszędzie, i to w okamgnieniu. Proszę to przemyśleć...

Wreszcie rzecz ostatnia — przynajmniej ostatnia, o jakiej wiemy — choć również bardzo ważna. Harry jest teraz nekromantą w nie mniejszym stopniu niż Dragosani. Ba, nawet w większym! Dragosani bowiem tylko badał swoje ofiary. Harry natomiast potrafi przywrócić je do życia, nawet z prochów — prawdopodobnie

w postaci wampirów. Zaś, jako takie, osoby te z pewnością dla niego pracują. Tak więc powiadam: wszystko, co wcześniej osiągnął, teraz obróciło się przeciwko niemu — to on jest naszym celem! Harry oraz każdy, kto z nim współpracuje.

Wielu z was zapewne zastanawia się nad Darcym Clarke'em, pozwólcie więc, że przedstawię tę sprawę. Darcy zginął... wskutek wypadku. To był swoisty wypadek — powtórzył Trask — na swój sposób możliwy do zrozumienia, jeśli nawet nie do zaakceptowania. No cóż, ja sam musiałem przeprowadzić pewien rachunek sumienia, zanim się z tym pogodziłem, więc łatwo mi przychodzi pojąć waszą niepewność. Darcy jednak został zmieniony. Nie zabilibyśmy go, gdyby nie został zmieniony. Właśnie tak, powiedziałem „my”, to znaczy INTESP. Gdyby Darcy nadal żył, stanowiłby nasze najsłabsze ogniwo i tak czy owak zostalibyśmy wcześniej czy później zmuszeni do rozliczenia się z nim. Jednak nie żyje i nie można go do życia przywrócić... ani wykorzystać przeciwko nam. Jego ciało zostało spalone, a prochy rozsiane.

Darcy Clarke i Harry Keogh byli jednak przyjaciółmi i mieli z sobą wiele kontaktów. Już to wyjaśniam. Harry'emu „wypadek” przydarzył się gdzieś na wyspach greckich lub, co bardziej prawdopodobne, w Rumunii zaledwie kilka tygodni temu. Od tamtej pory coś włada nim niepodzielnie. I prawdopodobnie bez wiedzy Darcy'ego — i tak samo bez wiedzy, czy nawet podejrzeń samego nekroskopa — ta rzecz, choroba, zakażenie, jakkolwiek by to nazwać, w jakiś sposób dostała się do jego organizmu. Przynajmniej tak to widzimy.

Jednakże faktem jest, że Darcy'ego ogarnął bardzo ciężki, psychiczny smog, a w dodatku stracił swego anioła stróża — talent, dzięki któremu od wielu lat przechodził bezpiecznie przez wszystko, na co wystawiła go praca w wydziale. Co do ewentualnej pracy espera z Harrym lub dla niego, to wiedzieliśmy, że przekazywał mu informacje. Trudno tylko powiedzieć, kiedy te zmiany zaszły. Być może, już dawno, ale wyszły na jaw dopiero ostatniej nocy. Bo właśnie wtedy Harry odwiedził espera w domu. Darcy nabawił się wówczas psychicznego smogu.

I to miałem na myśli, mówiąc, że Darcy został zmieniony. Kiedy ginął... to po prostu nie był już Darcy Clarke, przynajmniej nie ten, któregośmy wszyscy znali. A teraz nie jest już nikim. I co ważniejsze, nigdy nie będzie zagrożeniem dla INTESP czy dla... świata.

Natomiast Harry Keogh zdecydowanie jest niebezpieczny, tak samo jak ludzie, których zdążył zarazić. Tych jest co najmniej dwoje: młoda dziewczyna, Penny Sanderson, i... telepata Trevor Jordan. — Trask uniósł rękę, by uspokoić zebranych. — Tak, wiem, Trevor również należał do moich przyjaciół. I, do diabła, on także był nieżywy! Ale już nie jest. Harry Keogh wskrzesił ich oboje z prochów — co samo w sobie świadczy o tym, kim się stali. Nieumarłymi!

Zatem w jakiej nas to stawia sytuacji? Po prostu pozostaje nam tylko walka. Walka wymagająca umiejętności i wysiłków każdego nas. Jeśli bowiem jej nie wygramy, to następnej nie będzie komu prowadzić. Oto jak się do tego za-

bierzemy: dziś wieczorem młoda Sanderson będzie pod dyskretną obserwacją. Pozostawimy to Wydziałowi Specjalnemu. W tym stadium nikt z nas nie ma prawa się do tego mieszać. Dlaczego? Ponieważ Harry Keogh i Jordan reagowaliby na naszych ludzi, jak na radioaktywnych. Dla niego nie będzie to kolejna praca inwigilacyjna. Co powinno być dosyć bezpieczne, bo, o ile wiemy, dziewczyna nie miała żadnego kontaktu z Jordanem czy nekroskopem, od kiedy została przywrócona do życia. Tak więc pozostanie pod nadzorem zwykłych funkcjonariuszy, do chwili, gdy nadejdzie odpowiednia pora, a wtedy ich odwołamy i wkroczymy sami. Do tego czasu dowiemy się, w jaki sposób z nią postąpić.

Nawiasem mówiąc, jeśli wydaje się, że podchodzę do tej sprawy zbyt chłodno, to tylko dlatego, że tak trzeba. Jestem jedyną osobą, jaka pozostała z dawnej drużyny, co oznacza, że jako jedyny wiem, jak wygląda to piekło. Widziałem je w czasie sprawy Bodescu i na wyspach greckich. Ktokolwiek myśli, że przesadzam, powinien przeczytać akta Keogha albo raport Darcy'ego Clarke'a o tej sprawie w Grecji. A jeśli ktoś z was tego jeszcze nie czytał, niech to, do cholery, zrobi, natychmiast!

Dobrze, więc od dzisiejszego wieczora dziewczynę mamy z głowy do czasu, aż wszystko zostanie przygotowane. Zresztą to płotka, a grube ryby, rekiny, nadal są aktywne. To nimi powinniśmy się niepokoić. Tylko jak bardzo mamy się niepokoić? Porozmawiajmy o Jordanie.

Dziś przed południem odwiedził Edynburg. Zamek na Skale. Interesował się sprawą tego wielokrotnego mordercy. Kiedyś Darcy Clarke prosił nekroskopa o pomoc w tej kwestii i zdaje się, że ten się tym zajął. Sądzę, że teraz pracują razem z Jordanem. Nie pytajcie mnie dlaczego. Wiadomo tylko, że Penny Sanderson była jedną z ofiar mordercy. Zemsta? Bardzo możliwe, to nawet podobne do wampirów. Jeśli tak, wcześniej czy później Harry i spółka spróbują dopaść tego zbrojnika.

Wiemy o pobycie Jordana na zamku, ponieważ ni stąd, ni zowąd, przylepił się do dwóch policjantów w cywilu prowadzących tam dochodzenie! Mógł to zrobić, gdyż wciąż posiada legitymację INTESP. Później, kiedy jeden ze śledczych napomknął o Jordanie swemu przełożonemu pomyślano, że wydział wciąż zatrudnia w tej sprawie swego człowieka. Szef policji zadzwonił prosto do nas, mówiąc: „Dzięki za pomoc, lecz już jej nie potrzebuję, chyba nasi ludzie poradzą sobie sami”.

Cóż, przynajmniej zdołaliśmy uzyskać nazwisko i adres podejrzanego, co może się okazać bardzo użyteczne. Najwyraźniej nazywa się John lub Johnny Found i mieszka w Darlington.

Tak więc jacyś zwykli funkcjonariusze zajmą się także obserwacją pana Founda, a ja poślę kogoś, żeby z kolei obserwował ich. Trzeba jednak trzymać się na razie z dala, chyba żeby Keogh i Jordan zdecydowali się wkroczyć do akcji.

Co jeszcze na temat Jordana? Cóż, jak wiecie, Trevor był, to znaczy jest, bardzo dobrym telepatą. Możliwe, że właśnie dzięki temu Harry zdobył swój nowy talent. Harry jest także nekromantą, pamiętajcie? Potrafi gromadzić talenty podobnie jak Dragosani. To jednak tylko spekulacje, które wymagają jeszcze dowodów.

Wróćmy do Jordana — kontynuował Trask. — Zawsze był z niego kawał fajnego chłopca. O tak, wiem, nie ma czegoś takiego jak „fajny” wampir. Mnie nie trzeba tego mówić! Nie sądzę jednak, aby zło przyszło mu łatwo i naturalnie. Będzie to prawdopodobnie stopniowy proces. Przynajmniej taką mam nadzieję, bo, oczywiście, jego wampiryzm wzmocni i tak już silną zdolność telepatii. A co za tym idzie... no, nie będzie na niego żadnego sposobu.

Dobrze, już prawie kończę. W ciągu godziny otrzymacie wszystkie szczegóły dotyczące swoich zadań.

A oto w jaki sposób się do tego zabierzemy:

Wiemy, że ulubionym terenem działania Harry’ego Keogha miejscem, które poniekąd słusznie uważa on za swoje „terytorium”, gdyż mieszkał tam przez większość życia — jest stary dom Bonnyrigg niedaleko Edynburga. Sądzimy, że Harry obecnie musi znajdować się poza tym terenem, prawdopodobnie tropiąc wraz z Jordanem Johnny’ego Founda lub, jeśli już go zlokalizowali, przygotowując się do wzięcia na nim odwetu. Tak więc oprócz śledzenia tej Sanderson i pana Founda, zamierzamy też, oczywiście prowadzić obserwację starego domu Harry’ego. Jednakże, co muszę silnie podkreślić, ma to być obserwacja bardzo dyskretna, rozumiano?

Jeżeli zdołamy dotrzeć do dziewczyny, Harry’ego i Jordana w tym samym czasie, wówczas na nich ruszymy. Może do tego dojść wkrótce, kiedy Harry i Jordan zdecydują się złapać Founda. Najlepiej gdybyśmy mogli zaatakować wszystkich troje jednocześnie. W ten sposób nie przekażą sobie żadnego ostrzeżenia. Nie wolno nam próbować wyłuskać ich po kolei, ponieważ to mogłoby zaalarmować resztę. Rozumiemy się?

Na koniec — mam wam do powiedzenia coś, o czym wiem, że nie w pełni zostanie zrozumiane. Mianowicie, obecny tu pan minister poinformował o sprawie radziecki Wydział E. — Trask popatrzył na osłupiałe twarze, ale nikt się nie odezwał. — Sęk w tym — ciągnął dalej — że nawet jeśli znajdziemy sposób na wytropienie nekroskopa, co nie jest łatwe, będzie on jeszcze miał możliwość ucieczki do miejsca, z którego prawdopodobnie może wrócić — ściągając z sobą z powrotem, Bóg wie co! Tak, mówię o Bramie związanej z Projektem Perchorskim na Uralu. Obserwację tego koszmaru prowadzimy, od kiedy tylko się o nim dowiedzieliśmy, i wiemy, że Rosjanie usiłują ograniczać sprawę do czasu znalezienia bardziej satysfakcjonującego rozwiązania. Jeśli uprzykrzymy Harry’emu życie tutaj, a może nawet uniemożliwimy — może on po prostu uciec do Gwiezdnej Krainy. Dlatego właśnie zwierzyliśmy się Rosjanom. Nie powinniśmy go tam

dopuszczyć. Nie byłoby problemu, jeśliby zechciał tam zostać, lecz doszłoby do tragedii, gdyby zdecydował się kiedykolwiek sprowadzić coś stamtąd.

Co skłania nas do myślenia, że mógłby ukryć się w innym świecie? Otóż pewien notatnik, który znaleźliśmy przed godziną w mieszkaniu Clarke'a. Darcy zapisywał tam co niektóre myśli, ale musiało to się dziać, zanim dobrał się do niego Harry. Być może, właśnie dlatego go dopadł. Te zapiski to w gruncie rzeczy kupa bazgrołów, ale wynika z nich jasno, że Darcy przewidywał ucieczkę Harry'ego do Gwiezdnej Krainy. No cóż, teraz Rosjanie wiedzą o Harrym — przynajmniej tyle, ile mogliśmy im powiedzieć, i będą na niego uważać. Zatem wydaje się, że Brama Perchorska jest dla niego zamknięta.

Dobrze, omówmy więc teraz nasze... wyposażenie. I to, w jaki sposób go używać. Potem przystąpimy do rozdzielania was na mniej więcej równe grupy i ustalimy wstępnie podział zadań. — Trask podniósł koc zakrywający składany stolik, na którym leżało kilka elementów „wyposażenia”. — Najważniejsze, żebyście się nauczyli korzystać z tego — oświadczył. — Maczety mówią same za siebie. Ale uważajcie z nimi, są ostre jak brzytwa! Co do tego przedmiotu, to chyba wszyscy rozpoznajecie w nim kuszę? Jednak ta trzecia rzecz może nie jest tak dobrze znana. To lekki miotacz ognia, nowy model. Myślę więc, że powinniśmy od niego zacząć.

Tu widzicie zbiornik paliwa, który w ten sposób umieszcza się na plecach...

I tak trwało to dalej. Zebranie ciągnęło się przez kolejną godzinę.

* * *

Tuż po zachodzie słońca Harry odbył podróż przez kontinuum Möbiusa do Darlington. Pozostawił Trevora Jordana śpiącego w sekretnym pokoju na poddaszu domu nad rzeką. Nic dziwnego, że esper odczuwał zmęczenie; powrót z Nicości zdawał mu się nadal najdziwniejszym snem. Z pokoiku można było się dostać do opuszczonego, starego domu w sąsiedztwie, więc, gdyby wydarzyło się coś nieprzewidzianego, Jordan mógłby ratować się ucieczką. Jednak wcześniej obaj esperzy sprawdzili psychiczną „atmosferę” okolicy i nie wykryli nic podejrzanego. Jordan nie doszukał się nikogo mogącego świadczyć o tym, że INTESP chce zrobić z niego drugiego Juliana Bodescu.

Adres Johnny'ego Founda w Darlington doprowadził do mieszkania na parterze starej czteropiętrowej wiktoriańskiej kamienicy na skraju centrum miasta. Czerwone cegły poczerniały od bliskiego sąsiedztwa głównej linii kolejowej. Szybby były zasnute brudem. Ścieżkę w maleńkim, zaniedbanym ogrodzie frontowym dzieliły od wspólnego ganku zaledwie trzy schodki. Za fasadą tego ganku — za upstrzonymi przez muchy oknami, właśnie tam — mieszkał Found.

Na myśl o tym Harry'ego przeszył dreszcz. Przechodząc ulicą, wpierv w jedną, następnie w drugą stronę, obok ponurej narożnej rezydencji współczesnego

nekromanty, mordercy słodkiej i młodej Penny Sanderson, czuł, jak wzmagają się w nim rozpalone zmysły wampira.

Zwykła konfrontacja stanowiłaby, oczywiście, najprostsze rozwiązanie, ale to nie leżało w planach nekroskopa. Nie mogło leżeć, gdyż wówczas skutek okazałby się pospieszny i niezgodny z zamierzeniami: oskarżony albo „zachowywałby się spokojnie” — mówiąc językiem prawa — albo zareagowałby gwałtownie. A Harry by go zabił. To byłoby zbyt proste.

Sposób postępowania Founda, jego modus operandi polegał na okrucieństwie i podstępnie, na tym, by przerażać, zanim jeszcze sam przerażający czyn zostanie popełniony. Harry był przekonany, że w tym przypadku kara musi dorównywać winie. Tylko że... powinien jeszcze odbyć się też jakiś proces. Ale proces jako wystawienie na próbę, nie jako dociekanie mające doprowadzić do osądzenia. Jeśli bowiem Johnny Found był w istocie tym człowiekiem, to wyrok już zapadł.

* * *

Dzień pracy się skończył, na ulicach słabł ruch, ludzie kierowali się ku swym domom. Kobieta w średnim wieku, z wypchaną plastikową torbą na zakupy, przepchnęła się niezdarne przez frontowe drzwi kamienicy nekromanty. Młoda niewiasta ciągnąca za sobą płaczące dziecko zawołała do kobiety z siatką, żeby na nią zaczekała i przytrzymała drzwi; starszy mężczyzna w roboczym kombinezonie, zmęczony i przygarbiony, niósł skórzaną torbę z narzędziami.

W pokoju na poddaszu pod stromym okapem zapaliło się światło. Kolejne rozbłysło na drugim piętrze, następnie na trzecim. Keogh rozglądał się przez chwilę, po czym znów spojrzał na dom...

W samą porę, by ujrzeć błysk czwartego, bardziej przyćmionego światła w oknie na parterze. Nie widział jednak, żeby Found wchodził do środka.

Harry pomyślał, że muszą istnieć boczne drzwi. Począł jeszcze chwilę, następnie przeciął jezdnię i skręcił za róg budynku. I rzeczywiście, znalazł drugie drzwi, prywatne wejście do nory Johnny'ego Founda.

Przeszedł znów przez brukowaną ulicę i wtopił się w cienie budynków po drugiej stronie. Odwrócił się i oparł lekko plecami o ścianę, po czym spojrzał na światło, które padało przez małe okienko parterowego mieszkania Founda. Zastanawiał się, co jego ofiara tam robi, co planuje...

Nagle przypomniał sobie, że wcale nie musi bawić się w domysły. Trevor Jordan dał mu bowiem moc, dzięki której mógł się sam o wszystkim dowiedzieć.

Pozwolił swojej wzmożonej przez wampiryzm telepatii popłynąć w nocne powietrze, w mrok, przez cegły ściany, do wnętrza ponurego, ospałego domu zła. Sonda jednak nie była ukierunkowana ani wypróbowana i została posłana bez należytego skupienia. Rozbiegła się wokoło we wszystkich kierunkach, jak fale na

spokojnej tafli stawu. Aż nagle... Nekroskop natknął się na coś więcej, niż zamierzał!

Fala telepatii trafiła na umysł — nie, dwa umysły — i Harry w jednej chwili pojął, że żaden z nich nie należy do Johnny'ego Founda. Obie osoby nie znajdowały się w domu... a ich myśli skupiały się na nim!

Keogh wciągnął z sykiem oddech i spojrzał w jedną i drugą stronę ciemnej uliczki. Nie wyczuł jednak żadnej mocy, żadnego talentu, żadnej siły metafizycznej.

Nagle rozżarzył się w mroku papieros. Zaś po przeciwnej stronie głównej drogi, pod słupem latarni stała postać w ciemnym, lekkim płaszczu, z dłońmi wbitymi w kieszeni. Osobnik ów rozglądał się to w tę, to w drugą stronę, sprawiając wrażenie człowieka, który wciąż ma nadzieję, że randka dojdzie do skutku. Fortel, mający odciągnąć uwagę od tego drugiego cienia.

Obaj mężczyźni myśleli o Harrym, który wychwytywał poszarpane informacje prosto z ich niczego nie podejrzewających umysłów.

„Found jest w domu, ale kim jest ten bubek?... Chodzi w tę i z powrotem, skrada się jak kot... Może to ten, na którego mieliśmy uważać?... Mówili, że jeżeli się pokaże, nie można go ruszać, ale... znaczący dodatek do listy osiągnięć... Awans na inspektora?” — pomyślał ten pod latarnią.

Ten drugi właśnie wychodził z cienia i ruszał w stronę Harry'ego. „Niby ma być niebezpieczny... No, zaraz się przekonamy. Jak będę musiał się bronić... odstrzelę mu jego cholerny łeb!” Keogh czuł, jak ręka mężczyzny zaciska się nerwowo na ogumowanej kolbie ukrytego w kieszeni pistoletu.

Gdy uzbrojony mężczyzna szedł niemal zawadiackim krokiem naprzód, drugi wyprostował się, wyjął ręce z kieszeni i ruszył w poprzek ulicy ku Harry'emu. I tak, niby mimochodem, bez pośpiechu, lecz z sercem tłukącym się w piersiach zbliżali się do niego.

Harry spojrzał na nich gniewnie i ku swemu zaskoczeniu usłyszał własne warczenie. Przez żyły przetoczyła się rzeka ognia, wzniesając wewnątrz coś, co rozpało się i zaśpiewało mu o rzezi i tryskającej szkarłatnej krwi. O życiu i o śmierci! Wampir!

— Nie! To nie są twoi wrogowie! Kiedyś, zanim zacząłeś sam dla siebie stanowić prawo, mogli nawet być twoimi przyjaciółmi. Po co krzywdzić, skoro tak łatwo można im umknąć? — wyszeptał Harry, a właściwie jego ludzka strona.

— Ponieważ uciekać to niezgodne z moją naturą: powinienem stanąć i walczyć! — odrzekł wampir.

— Walczyć? Cóż to za walka? Oni są jak dzieci...

— Czyżby? Tylko że przynajmniej jedno z tych dzieci ma pistolet!

Mężczyzna przechodzący przez jezdnię czekał, aż strumień samochodów zniknie w najbliższej przecznicy. Znajdował się o dziesięć — piętnaście kroków od Harry'ego, nie więcej. Drugi o jakieś dwadzieścia kroków. Obaj zdecydowa-

nie zmięzali ku niemu. Wampir zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Nekroskop pociał się dziwnym, zimnym potem, wdychając niesamowity opar, który spowijał ciało niczym coraz grubszy płaszcz. W chwili gdy dwaj policjanci zbliżyli się, mgła wydobyła się z miejsca w cieniu, gdzie stał, i rozlała się szeroko, przypominając parę wypuszczoną z piwnicznej kotłowni.

— Ich broń jest teraz bezużyteczna — odezwał się wampir w jego wnętrzu. — Nie mogą mnie zobaczyć. Ale ja widzę, czuję, mogę nawet sięgnąć i ich dotknąć, jeśli zechcę. Sięgnąć i wykończyć!

— Niech cię cholera! — sklął głośno Harry siebie, czy raczej tę istotę w środku. — Niech cię cholera, ty oślizły czarny sukinsynu!

— No, w porządku, koleś — odpowiedział mu jeden z policjantów, kierując oburącz broń w mgłę. — Przed chwilą przeklinaliśmy władzę, tak? Więc wychodź stamtąd. Ta cała para może ci zaszkodzić. Chcesz sobie zniszczyć płuca? A może chcesz, żebym ja ci to zrobił, co? No jazda, mówię: wyłaż!

Nie było żadnej odpowiedzi, tylko nagłe zawirowanie, gdy mgła zdała zwiąć się do wewnątrz, jakby ktoś w samym jej środku potrząsnął kocem lub zatrzasnął drzwi. Po kilku sekundach opar rozrzedził się, opadł na ziemię i zmienił w cienką błonę cieczy, pozostawiając na bruku połyskliwą wilgoć...

* * *

W Bonnyrigg Trevor Jordan obudził się. Jakiś natychmiast zapomniany nocny koszmar skapał go w pocie i wyrwał ze snu, przyprawiając o spazmatyczny oddech. Telepata wstał z łóżka w pokoiku na poddaszu i przeszedł przez pokój i korytarze starego domu nad rzeką, zapalając wszystkie światła i dygocąc ze strachu. Nie potrafił określić, czym były jego lęki, lecz czuł, że coś się czai, wisi w powietrzu, czeka. Jakaś okropna istota tłumiąca chwilowo swą moc, lecz pełna potwornych zamiarów.

Jordan zastanawiał się, czy to nie był Harry, czy też coś, czym stanowczo zbyt szybko się stawał? Czy mógł to być niepokój o los Harry'ego.

Martwił się o to, co spotka jego samego, jeśli będzie nadal przebywał z nekroskopem. Przypuszczał, że tak czuł się Julian Bodescu w Harkley House w Devonshire tego wieczora, gdy INTESP otoczyli go, dążąc do unicestwienia?

Zdawał sobie sprawę, że przyszedł już czas, aby opuścić Harry'ego. Opuścić na dobre i wmieszać się z powrotem w doczesny świat zwyczajnych ludzi. Jordan wiedział jednak, że on sam nie może już nigdy być prawdziwie doczesny, gdyż widział tę drugą stronę i z niej powrócił. Ale mógł spróbować. Mógłby nad tym popracować, stopniowo zapominając, że przez jakiś czas nie był żywy, i ostatecznie zostać znów zwykłym człowiekiem, aczkolwiek obdarzonym pewnym niezwykłym talentem.

Lecz problem tkwił w tym, że nie mógł mieć pewności, czy rzeczywiście pozostanie tą samą osobą. Jeśli bowiem potworna metamorfoza Harry'ego nadal będzie się potęgować...

Jordan wciągnął gwałtownie oddech, jego całe jestestwo przeszła nagle telepatyczna świadomość obecności nekroskopa. Doznanie to przypominało zanurzenie w lodowatej wodzie, budzące w całym ciele gwałtowne dreszcze. Harry znajdował się gdzieś tam, po drugiej stronie rzeki.

Nie podsłuchiwał Jordana, lecz sprawdzał telepatycznie najbliższą okolicę domu. Choć rzeczywiście wykrył co nieco z lęków espera, a to nie przysłużyło się uspokojeniu miotającej się wewnątrz niego bestii.

Przyczyna, dla której Harry postanowił wynurzyć się z kontinuum Möbiusa w zaroślach po drugiej stronie rzeki, a nie bezpośrednio w domu, była prosta: kiedy czytał w umysłach tajniaków w Darlington, widział jak na dłoni, że go oczekują. Najwyraźniej INTESP musiał ich uczulić na to, że może się tam pojawić. Zatem... cokolwiek Darcy Clarke opowiedział o nim, nie odniosło większego skutku.

Szukali go w Darlington. Odstraszył wprawdzie Paxtona — przynajmniej na jakiś czas — lecz ten był tylko jednym z nich, w dodatku nietypowym. Od tej chwili więc postanowił sprawdzać każde miejsce i ocenić, czy jest bezpieczne. Wszystko przyczyniło się do wzmożenia u nekroskopa uczucia klaustrofobii, niesamowitego wrażenia, że przestrzeń — włączając przestrzeń Möbiusa — kurczy się wokół niego. Nie mówiąc już o czasie.

W dodatku odkrył jeszcze, że Trevor Jordan boi się go, boi się tego, co mógłby mu uczynić...

Umarli, nawet sam Möbius, obrócili się przeciwko niemu. Matka opuściła go; nie istniał na świecie nikt, żywy ni martwy, kto miałby dlań dobre słowo. I to był ten świat i ta rasa, dla których tak ciężko i tak długo walczył.

Harry przeszedł przez drzwi Möbiusa do mrocznego korytarza domu za rzeką i zaczął wchodzić cicho po schodach do swojej sypialni. Nagle poczuł się zmęczony. Pomyślał, że sen będzie najlepszym lekarstwem a... przyszłość niech sama się o siebie troszczy.

W połowie pierwszej kondygnacji zatrzymał go głos Jordana.

— Harry? — Telepata patrzył na niego, stojąc u podnóża schodów. Trevor Jordan, który mógł czytać w myślach nekroskopa. — Ja... nie powinienem był myśleć w taki sposób.

Harry pokiwał głową.

— A ja nie powinienem był podsłuchiwać ciebie. W każdym razie, nie przejmuj się tym. Wykonałeś dla mnie robotę, za co jestem wdzięczny. Zawsze byłem sam. Więc jeśli chcesz odejść, to idź... idź zaraz! Spójrzmy prawdzie w oczy, coraz bardziej tracę kontrolę nad tym czymś i zostawienie mnie teraz jest chyba najbezpieczniejszym wyjściem.

— Nie teraz, Harry — Jordan potrząsnął głową — kiedy cały świat jest przeciwko tobie. Jeszcze cię nie opuszczę.

Harry wzruszył ramionami i odwrócił się, by ruszyć dalej po schodach.

— Jak chcesz, ale nie zwlekaj z tym za długo. . .

ROZDZIAŁ CZWARTY

Sny

Harry położył głowę na poduszce. Noc była jeszcze wczesna, lecz księżyc już wstał, a gwiazdy świeciły jasno. Nadeszła jego ulubiona pora. W świetle dnia zmysły miał przytępione, ale w ciemności nocy stawały się czułe jak nigdy dotąd. Nawet te, które kierowały lub były kierowane przez podświadomość. I sny także wydawały się bardziej intensywne, namacalne.

Najpierw śnił o Möbiusie i wyczuwał, że jest to coś więcej niż zwykły sen. Dawno nieżyjący matematyk przyszedł, usiadł na łóżku i chociaż twarz i sylwetkę miał nieokreśloną, jego głos brzmiał ostro i wyraźnie jak nigdy.

— To ostatni raz, kiedy możemy porozmawiać, Harry. Przynajmniej na tym świecie.

— Jesteś pewny, że tego chcesz? — odrzekł nekroskop. — Wydaje się, że ostatnio wbrew swojej woli sprawiam ludziom wiele kłopotów.

Mglista, niewyraźna postać Möbiusa pokiwała głową.

— To prawda, ale obaj wiemy, że nie jesteś do końca sobą. Właśnie dlatego postanowiłem przyjść do ciebie teraz, póki jeszcze sny stanowią twoją własność.

Keogh rozluźnił się nieco, westchnął i wyciągnął się na łóżku.

— Zatem o czym chcesz rozmawiać?

— O innych miejscach, Harry. O innych światach.

— Moja teoria stożkowych światów równoległych? — nekroskop uśmiechnął się krzywo, jakby przepaszając. — To był w większości bluff, prowadziłem dyskusję dla samej dyskusji. Ćwiczyliśmy, mój wampir i ja.

— Być może — odparł Möbius — ale bluff czy nie, w każdym razie miałeś rację. To intuicja, Harry. Jedyną rzeczą, której twoja wizja nie brała pod uwagę, było „jak”.

— Jak?

— Może raczej: „kto” — rzekł Möbius.

— Jak? Kto? Czy znów mówimy o Bogu?

— O pierwotnym świetle — odparł matematyk — przy narodzinach przestrzeni i czasu. To wszystko nie mogło powstać z niczego, Harry. A jednak zdecydo-

waliśmy się już wcześniej, że przed tym Początkiem nie istniało nic. To było nierozsądne z naszej strony, gdyż obaj wiemy, że nie trzeba ciała, żeby mieć umysł.

— Bóg. — Harry pokiwał głową. — Absolutna Istota Bezcielesna. On to wszystko stworzył tak? Ale w jakim celu?

— Może aby sprawdzić, co się będzie działo? — Möbius wzruszył ramionami.

— Chcesz powiedzieć, że On nie wiedział tego wcześniej? Czymże to jest wobec wszechwiedzy?

— Błąd — rzekł Möbius. — Nikt nie może nic wiedzieć przed faktem. A próbować jest niebezpiecznie. Ale od tej pory On już wszystko wie.

— Opowiedz mi o tych innych miejscach — podsunął Harry, wbrew sobie zafascynowany.

— Świat Gwiazdnej i Słonecznej Krainy to jedno — zaczął Möbius. — Ale właśnie to okazało się niepowodzeniem. Wystąpiły nieprzewidziane paradoksy i rzeczy przybrały katastrofalnie zły obrót. Gwiazdna Kraina, bagna wampirów i same wampiry były zarazem przyczyną i skutkiem! Przyczyną przyszłości i skutkiem przeszłości. A mówienie o tym teraz mogłoby zmienić ten stan rzeczy, co byłoby posuwaniem się za daleko.

— Przestrzeń i czas są względne — zaproponował Harry. — Czy nie twierdziłem tak zawsze? Lecz na swój sposób są określone. Nie można na nie wpłynąć przez mówienie o nich.

Möbius zaśmiał się, jednak dość smętnie.

— Bardzo to bystre, Harry. Nie możesz jednak na mnie wypróbować swoich wampirzych sztuczek, chłopcze! A poza tym nie mówię o Gwiazdnej Krainie.

— No, więc słucham — odparł nekroskop, odrobinę niezadowolony.

— Wspomniałeś kiedyś — przypomniał mu Möbius — o równowadze wieloświata, gdzie czarne i białe dziury przemieszczają materię między wszystkimi różnorodnymi poziomami egzystencji i hamują, lub nawet zawracają entropię. Tak jak ciężarki w starym zegarze, regulujące wychylenia wahadła. Ale to tylko jeden rodzaj równowagi — fizyczny. Poza tym jest jeszcze równowaga metafizyczna, mistyczna, duchowa.

— Znowu Bóg?

— Równowaga między Złem i Dobrem — odrzekł matematyk.

— Które wzięły wspólny początek z jednego źródła? Teraz ja przytoczę twoje słowa, Auguście Ferdynandzie: „Nie było niczego przed Początkiem”. Zgadza się?

— Tu nie ma żadnej sprzeczności. — Möbius potrząsnął głową. — Wręcz przeciwnie, całkowicie się zgadzamy!

— Bóg ma swoją ciemną stronę? — Harry był zdezorientowany.

— Właśnie! Stronę, którą odrzucił! — dodał Möbius.

Słowa matematyka i ich znaczenie zelektryzowały Harry'ego.

— I ja mogę zrobić to samo? To chcesz powiedzieć?

— Chcę powiedzieć, że te inne miejsca są jak poziomy, jedne z nich wyższe, a inne niższe. I to, co robimy tutaj, wyznacza następny krok. Idziemy w górę lub w dół.

— Do nieba albo do piekła?

— Jeśli w ten sposób łatwiej ci to zrozumieć. — Möbius znów wzruszył ramionami.

— Zmierzasz do tego — odparł Keogh — że kiedy przechodzę dalej, mogę zostawić moją ciemną stronę, może nawet mojego wampira, za sobą?

— Dopóki jest jeszcze różnica, tak — potwierdził uczony.

— Różnica?

— Dopóki można was rozróżnić.

— To znaczy, jeśli mu nie ulegnę? — zapytał nekroskop.

— Muszę już iść — oświadczył Möbius.

— Ale ja muszę wiedzieć więcej! — Harry był zdesperowany.

— Pozwolono mi wrócić — rzekł Möbius prosto. — Nie wolno mi jednak zostać. Moje nowe miejsce jest wyżej, Harry. Naprawdę, nie mogę sobie pozwolić na jego utratę.

— Zaczekaj!

Keogh usiłował usiąść i chwycić nocnego gościa za rękę. Nie mógł jednak się poruszyć, a poza tym i tak równałoby się to łapaniu mgły czy dymu. I podobnie jak zestaw jego ezoterycznych formuł, wielki naukowiec zamienił się w nicość...

* * *

Wizyta Möbiusa jeszcze bardziej zmęczyła Harry'ego. Zapadł w głębszy sen. W jego wampiryzm umyśle wciąż pobrzmiwało imię, które dręczyło i nie dawało spokoju, imię Johnny Found.

Kiedy Harry pojechał zmierzyć się z potomkiem Faethora Ferenczego, Janoszem, w górach Transylwanii, Ferenczy ostrzegł go, że tylko jeden z nich wyjdzie z tego żywy i że zwycięzca będzie istotą o niesłychanej mocy. Janosz odczytywał przyszłość i ujrzał tam to samo, wiedział, że nie może przegrać. Jednakże... nigdy nie powinno się próbować zrozumieć przyszłości. Można ją czytać, jeśli to konieczne, lecz lepiej nie próbować zrozumieć. To Harry okazał się tym, który wrócił z gór. I choć nie znał jeszcze rozmiarów swoich mocy — zwłaszcza najnowszej umiejętności, telepatii to z pewnością były one niesłychane. Czuł, że są ogromne już wcześniej, lecz teraz, kiedy wzmagął je wampir...

Śniąc Harry nie panował nad swoimi talentami, niemniej jednak, pozostawały one aktywne. Sny są księgowością umysłu, gdzie utrzymuje się równowagę, są cenzorem, który wydala wszelkie śmiecie i banały, a rzeczy istotne porządkuje. Wizje oniryczne zaspokajają również pragnienia. A także, dla każdego, kto ma sumienie, wyciągają na światło tłumione poczucie winy.

Harry był winny i miał aż nadto pragnień wymagających zaspokojenia. A wszystko, czego nie udało mu się uporządkować na jawie, usiłowała ułożyć podświadomość — wraz z wampirem, który stanowił jej część — podczas snu.

Wzmoczona świadomość wydobyła się na zewnątrz, by utworzyć telepatyczną sondę, która w mgnieniu oka pokonała wielomilową drogę do swego celu w Darlington. Celem tym był śpiący umysł Johnny'ego Founda, umysł z talentem równie dziwnym, co wypaczonym. Harry pragnął wszystko o nim wiedzieć. Dzięki przemyślności swego wampira musiał jedynie zasugerować, zaproponować, trącić tę lub ową strunę, by — o ile dopisałoby choć trochę szczęścia — Johnny Found mu o tym opowiadał.

Wszystko od początku...

* * *

Johnny również śnił; śnił o swoim dzieciństwie. Nie czynił tego z własnej woli, lecz jakaś nocna zmara wciąż dobijała się do drzwi wspomnień, żądając, by je otworzył.

Wspomnienia z dzieciństwa? Owszem, posiadał je, lecz nie uważał ich za war-
te pamiętania lub godne marzeń.

Poruszył się lekko we śnie. Jego podświadomość próbowała zatrzaskać drzwi do przeszłości. Lecz coś okazało się silniejsze i Johnny mógł tylko patrzeć bezradnie, jak drzwi rozwierają się. W środku czekały na niego wszystkie dawne Złe Rzeczy: wiele popełnionych drobnych zbrodni oraz wszystkie kary i pokuty. Lecz wówczas był niewinnym dzieckiem, tak mawiali, i wkrótce miał z tego wyrosnąć. I tylko sam Johnny wiedział, że nigdy z tego nie wyrośnie i że nigdy nie znajdzie kar dość surowych, by dorównywały jego zbrodniom.

Usiłowali go przekonać, że to, co robi, jest złe. Prawie im się udało, lecz do tego czasu Johnny dorósł na tyle, by zdać sobie sprawę, że kłamią i nic nie rozumieją. A skoro nie rozumieli, nigdy nie mogli się dowiedzieć, jak dobre były rzeczy, które robił. W jak dobre wprawiały go samopoczucie.

Miejsce za uchylonymi drzwiami wydawało się samotne. O ileż bardziej byłoby samotne, gdyby nie miał swoich martwych stworzeń do rozmowy? I do zabawy. I do znęcania się. Ponieważ jednak posiadał tę tajemnicę, prowadził swoje pomysłowe igraszki ze stworzeniami, na które przyszedł kres, jego sieroctwo stało się niemal całkiem do zniesienia. Wiedział bowiem, że innym jest jeszcze trudniej, że ich sytuacja jest o wiele gorsza.

Otwarte drzwi zarazem odpychały i przyciągały. Za nimi krążyły mgły wspomnień, wirując i hipnotyzując. Aż wbrew swojej woli Johnny zdał sobie sprawę, że przechodzi przez nie do środka. Gdzie czekało nań całe dzieciństwo...

* * *

Nazywano go „Found”, ponieważ został znaleziony w kościele. W pewien niedzielny poranek klęczniki zadrżały od jego wrzasków, krokwie odbiły je echem, aż zjawił się kościelny, by się przekonać, skąd ten rwetes. Ujrzał podrzutka zakrwawionego po porodzie, zawiniętego w gazetę. Jeszcze ciepłe łóżysko, które tuż po nim wyszło na świat, leżało w plastikowym worku, wciśnięte pod jedną z ław.

Johnny wrzeszczał z niezwykłym wigorem, niemal do rozdarcia płuc, wył, jakby chciał potłuc witraże i zwalić strop, jak gdyby wiedział, że nie powinien być przebywać w tym domu modlitwy. Być może jego biedna matka również to wiedziała i chciała go w ten sposób uratować, co jednak nie powiodło się. Nie tylko Johnny został zgubiony, lecz ona także.

W każdym razie, krzyczał tak, aż go zabrano z kościoła do sali intensywnej opieki na oddziale położniczym miejscowego szpitala. I dopiero wtedy, poza domem Boga, Johnny zamilkł.

Ambulans, który pędził z nim do szpitala, wiozł również jego matkę, znaną pod nagrobkiem na przykościelnym cmentarzu, w kałuży krwi, z głową opadającą na obrzmiałe piersi. Lecz w przeciwieństwie do Johnny’ego, ona nie przeżyła tej podróży. Lub może przeżyła, gdyż nieco później. . .

Dziwny start do dziwnego życia, lecz ta dziwność stanowiła dopiero początek.

Na sali intensywnej opieki zajęto się Johnny’em, umyto go, opatrzono i tymczasowo — potem okazało się, że na całe życie — dano nazwisko. Ktoś nabazgrał „FOUND” na plastikowej etykiecie otaczającej jego maleńki przegub, aby odróżnić go od wszystkich innych niemowląt. I Foundem pozostał.

Lecz kiedy pielęgniarka zajrzała doń, by sprawdzić, dlaczego przestał kwilić i nagle się uciszył. . . zdarzyła się najdziwniejsza rzecz ze wszystkich.

Przy pustym łóżeczku Johnny’ego siedziała jego bezimienna matka, a on spoczywał w jej martwych rękach, sącząc strużkę zimnego mleka z martwego, zimnego sutka.

* * *

Do piątego roku życia Johnny przebywał w sierocińcu dla małych dzieci, następnie przez trzy lata wychowywał się u pewnego małżeństwa, do czasu gdy przybrani rodzice rozstali się z nim w tragicznych okolicznościach. Później został przyjęty do przytułku dla starszych dzieci w Yorku.

Jego przybrani rodzice, państwo Prescott, mieli duży dom na samym skraju Darlington. Kiedy w roku 1967 zaadoptowali Johnny’ego, posiadali już czteroletnią córkę, jednak wystąpiły pewne problemy i pani Prescott nie mogła mieć więcej

dzieci. Szkoda, bo małżeństwo to zawsze pragnęło stworzyć „idealny” model rodziny: ich dwoje plus jeden chłopiec i jedna dziewczynka. Johnny mógł doskonale pasować i uzupełniać ten deficyt.

A jednak David Prescott był zaniepokojony chłopcem od chwili, gdy go ujrzał. Nie było to nic konkretnego, po prostu — coś, czego nie potrafił określić — jakieś odczucie. Lecz z tego powodu sprawy wyglądały tylko nieco mniej idealnie aniżeli powinny.

Johnny otrzymał nazwisko rodziny i stał się Prescottem, w każdym razie, tymczasowo. Jednak od samego początku nie układały mu się stosunki z siostrą. Nie mogli ich zostawić samych nawet na pięć minut, aby nie doszło do bijatyki, a rzucając sobie wzajemne spojrzenia mroziły krew w żyłach. Alice Prescott obwiniała siebie za błędy w wychowaniu córki, a jej mąż winił Johnny’ego za to, że jest dziwny.

— Oczywiście, że tak! — sprzeciwiała się jego żona. — Johnny to podrzucone dziecko, bez domu i rodziny. Sierociniec nie wpłynął najlepiej na niego. Czy tam ktoś kocha albo chociaż toleruje te biedne dzieci? Nawet wyglądało na to, że bardzo chcieli się go pozbyć! I co tu mówić o miłości!

„Może jest jakaś przyczyna? — zastanawiał się David Prescott. — Ale jakż mogłaby być? Johnny nie ma nawet jeszcze sześciu lat. Jak ktoś mógłby się zwrócić przeciwko tak małemu dziecku? A już na pewno nie sierociniec, który powinien zapewnić opiekę takim nieszczęśnikom.”

Prescottowie posiadali mały, lecz dobrze prosperujący sklepik, w którym kupić można było niemal wszystko. Znajdował się niecałą milę od ich domu, przy północnej drodze do Darlington, i służył całemu osiedlu, liczącemu sobie z trzysta domów. Pracując od dziewiątej do piątej przez cztery dni tygodnia oraz w sobotnie i środowe przedpołudnia, uzyskiwali w nim dochody pozwalające na godziwe życie. Dzięki pomocy niani, młodej dziewczyny mieszkającej nie opodal, nie musieli się przepracowywać.

W budce na skraju dużego, nieco oddalonego od domu ogrodu David hodował gołębie; Alice lubiła po zakończeniu pracy kopać grządki, sadzić i podlewać rośliny; kiedy niania miała wolne, na przemian zajmowali się dziećmi. Tak więc, poza tarciami między Johnnym i jego siostrą Carol, życie Prescottów można było uznać za normalne, przyjemne i całkiem przeciętne. Tak też się rzeczy miały aż do lata, kiedy Johnny skończył osiem lat. W istocie, ich życie do tego czasu mogłoby zostać nazwane idyllą.

Właśnie wtedy David Prescott zaczął miewać kłopoty ze swymi ptakami, zaś domowy ulubieniec, łagodny kocur Moggit wyszedł pewnego poranka i nigdy nie wrócił. Coraz częściej nadciągały też długie, duszne upały, irytujące, męczące i niekiedy powodujące wzburzenie. Tego samego lata David wykopał basen dla dzieci i pokrył go dachem z polietylenu rozpiętego na aluminiowym szkielecie.

Johnny początkowo myślał, że pływanie i wyglupianie się we własnym basenie będzie wielką frajdą, lecz rychło go to znudziło. Carol natomiast przepadała za kąpielami, co złościło jej przybranego brata — Johnny nie znosił, kiedy komuś sprawiało przyjemność coś, czego on nie lubił, a poza tym nie znosił Carol.

Pewnego ranka, trzy lub cztery dni po zaginięciu Moggita, Johnny wstał wcześniej z łóżka. Nie miał pojęcia, że Carol już nie śpi. Ledwie dziewczynka usłyszała, jak cicho otwierają się i zamykają drzwi do jego pokoju, pospiesznie się ubrała. Jej brat — zawsze kładła na to słowo silny ironiczny akcent — ostatnimi czasy często wstawał wcześniej, na kilka godzin przed resztą domowników. Postanowiła więc, że tym razem dowie się, cóż takiego robi. Nie kierowała nią złośliwość, choć nie można zaprzeczyć, że była trochę zazdrosna i więcej niż trochę zaciekawiona. Jeżeli nawet Johnny zachowywał się jak świnia, to jednak wołała bawić się razem z nim w basenie, niż żeby on sam gdzieś tam urządzał sobie te swoje głupie, tajemnicze, samotne zabawy.

Johnny skrupulatnie zagospodarowywał każdą chwilę swojego czasu. W okresie letnich wakacji nie mieli zajęć szkolnych, a on często załatwiał swoje „sprawy”. Zwykle przebywał za parkanem ogrodu, w gąszczach żywopłotu, który dalej wtapiał się w łąkę i pola uprawne, rozciągające się na północ i północny zachód. Jednakże zawsze pojawiał się natychmiast, gdy go wołano, i raczej nie spóźniał się na posiłki.

Tylko że to, co całymi godzinami robił poza domem, stanowiło zagadkę. Jeśli przybrani rodzice pytali, odpowiadał: „Bawiłem się” i na tym się kończyło. Carol jednak chciała wiedzieć, w co się tam bawił. Fakt, że Johnny potrafił znaleźć sobie coś bardziej interesującego niż basen, przekraczał jej zdolności pojmowania. Więc wyszła za nim, przekradając się na palcach obok pokoju rodziców, w światło wczesnego poranka, kiedy świt zaledwie rozjaśnił horyzont swym złotym uśmiechem.

Johnny minął basen pod foliowym dachem i podszedł do parkanu ogrodu. Wdrapał się na wysoki mur w dobrze sobie znanym miejscu, by zeskoczyć po drugiej stronie. Następnie ruszył obok szpaleru przerośniętego żywopłotu ku szachownicy prażących się w porannym słońcu pól. A Carol zaraz za nim.

Pół mili dalej, przy skrzyżowaniu starych, pobrużdżonych koleinami i zarosniętych dróg, stały ruiny zaniedbanej farmy, pochylonej i zieleniącej się od kwitnących jeżyn i skupisk ptasich gniazd, gdzie wśród chybotliwych stosów kamieni wznosiły się fragmenty zwalonych, porośniętych szarym mchem ścian i resztki starego komina. Johnny ruszył w poprzek łąki i tylko jego głowę widać było ponad wysoką, rozkołysaną trawą.

Balansując na szczycie nie używanej furtki, Carol zobaczyła, dokąd kieruje się jej brat, i postanowiła pójść za nim. Ta ruina stanowiła najwyraźniej kryjówkę Johnny’ego, miejsce, gdzie bawił się w te swoje tajemne gry.

Zanim tracąc dech przebiegła łąkę, Johnny zniknął gdzieś w chaosie połamanych, omszałych ścian. Zatrzymał się na chwilę, rozejrzał dookoła. Usłyszała nagle wrzask. Wrzask kota!

Dłoń Carol bezwiednie zamknęła usta. Dziewczynka złapała oddech i wstrzymała go. Pomyślała, że być może, właśnie to przy ciągnęło tutaj Johnny'ego — pisk Moggita, wciśniętego w jakąś dziurę, uwięzionego i przymierającego głodem w tym rumowisku.

Carol zastanawiała się, czy nie odpowiedzieć głośno na to dziwne, chrapliwe miauczenie, ale doszła do wniosku, że lepiej tego nie robić. Kot mógłby zacząć gwałtownie się miotać i wpaść w jeszcze gorszy potrzask.

Wstrzymując oddech, dziewczynka przekroczyła twardo ubitą, zakurzoną drogę, kierując się ku temu, co ongiś stanowiło szeroki wjazd na podwórze. Obecnie luka wypełniona była masą porozwalanych kamieni.

Ślizgając się na potłuczonych ceglach i kamieniach, Carol ruszyła w głąb wyraźnie widocznej ścieżki wśród krzewów, wydeptanej, jak przypuszczała, przez Johnny'ego.

Droga ta wiodła przez tunel gęstwiny, pośród pajęczyn i kurzu, gdzie światło nie miało dostępu; siedmioletnia Carol niemal dusiła się, przedzierając się naprzód. Jednak nie mogła zemdleć, piski Moggita gnały ją naprzód. Aż wreszcie przebiła się przez krzaki w blask słońca i zobaczyła Johnny'ego, siedzącego na środku łąki. Ujrzała także...

... To, czym się otaczał. Choć w pierwszej chwili właściwie tego nie widziała, bowiem jej dziecięcy umysł nie potrafił tego pojąć.

Nie mogła uwierzyć, że Moggit ze śnieżnobiałym brzuchem i łapkami, puszystym ogonem i pyszczkiem podobnym do maski Samotnego Jeźdźca z filmu, z gładkim, lśniącym czarno grzbietem, szyją i uszami... i ten torturowany, wiszący stwór — to ten sam Moggit.

Carol o mało nie zemdlała; cofnęła się i upadła za jakimś fragmentem ściany, potracając cegłę. Johnny usłyszał hałas. Rozejrzał się wokoło. W pierwszej chwili nie zauważył jej. Jednak Carol wciąż go widziała: jego nabrzmiętą twarz, wytrzeszczone, beznamętne oczy i krwawe ręce jak szpony. Na murze obok miejsca, gdzie siedział, leżał otwarty scyzoryk, a jedna ręka ścisnęła zaostrowany patyk, zabarwiony czerwienią.

I nadal widziała też Moggita. Moggita, z tylnymi łapami ledwie dotykającymi ziemi, tańczącego konwulsyjnie, aby utrzymać się prosto i nie pozwolić, by na szyi zacisnęła się druciana pętla, zwisająca z gałęzi czarnego bzu! Jedno żółte oko wisało na strzępie tkanki, ociekając wilgocią i kołysząc się na mokrej sierści policzka; a tłusty biały brzuch był teraz chudy i purpurowy, zaś spomiędzy rozprutej skóry wylewała się garść błyszczących, czarno-czerwono-żółtych wnętrzości!

Ale był tam nie tylko Moggit. Mianowicie dwa ulubione gołębie ojca Carol, zwisające bezwładnie z innych gałęzi, z wykręconymi skrzydłami. A także jeź,

jeszcze żywy, lecz przyszpilony do ziemi zardzewiałym żelaznym prętem, tak że miotał się szaleńczo wokół własnej osi w agonii bez końca, charcząc przerażająco. Dostrzegła jeszcze inne ofiary...

Johnny zadowolony, że nikogo nie ma w pobliżu, wrócił do swej „zabawy”. Przez zachodzące łzami oczy Carol widziała, jak wstaje, chwyta w jedną rękę martwego gołębia i wbija patyk w zimne już zwłoki. I wpycha ten patyk w nieczułe ciało, jak gdyby... jak gdyby wcale nie było nieczułe! Jakby naprawdę wierzył, że ta zbroczona krwią, sztywna istota z przetrąconymi kośćmi nadal żyje. A przez cały czas śmiał się i mówił, i mruczał coś do tych nieszczęsnych, torturowanych, żywych lub martwych, bądź pozostających na granicy śmierci stworzeń, nie zważając ani trochę na ich udreki, rzeczywiste czy wyimaginowane.

Dziewczynka pojęła teraz nieco z istoty tej zabawy. Domyśliła się, że zamęczony zwierzę na śmierć, Johnny nie mógł pogodzić się z tym, że mu uciekło i nadal je torturował w tym ciemnym drugim świecie!

Tak oto Carol jako pierwsza poznała prawdę o swoim przyrodnym bracie, choć nawet nie zdawała sobie z tego sprawy. Sama będąc dzieckiem, uznała to tylko za dziecięcy wybryk.

A jednak Moggit, biedny Moggit! Dotarło do niej w końcu, że to umęczone, na wpół wypatroszone stworzenie to jej kochany kot, coraz bliższy śmierci. I dłużej nie mogła tego znieść.

— Moggit! — wrzasnęła na całe gardło. — Johnny, nienawidzę cię! Och, jak cię nienawidzę!

Podniosła się, zatoczyła i odzyskawszy równowagę, rzuciła się ku niemu, chwytając kanciastą połówkę cegły. Johnny wreszcie ją spostrzegł i jego zarumieniona twarz nagle pobladła. Złapał swój scyzoryk — nie po to, aby użyć go przeciw niej, lecz z zamysłem zgoła innym, może jeszcze gorszym — i jął przeryzać sznurek, który nagiął do ziemi gałąź z Moggitem.

Pojedyncze włókna pękały, lecz całość trzymała się jeszcze. W nagłej furii Johnny szarpał sznurem w jedną i drugą stronę, a Moggita unosiło i kręciło jak jakiś gałgan. Ochryple kocie wrzaski ustały dopiero, kiedy drut wpił się w otartą do żywego mięsa szyję.

Po chwili Johnny sapnął triumfalnie, nóż przeciął sznurek, a Moggit wystrzelił w górę, dławiąc się i parskając przez moment, aż zaciskająca się pętla dokończyła dzieła. Lecz Johnny był tak pochłonięty mordowaniem kota, że Carol zdążyła go dopaść. Machając na oślep rękoma, runęła na niego, atakując ostrymi paznokciami i cegłą zaciśniętą w drugiej dłoni! Ostry odłamek cegły uderzył go w czoło i zwałił z nóg. Po chwili znów usiadł, potrząsając głową i rozglądając się za swym nożem. Jego oczy płonęły i miotwały iskry.

— Najpierw Moggit, a teraz ty! — zagroził.

Podniósł się niepewnie, z rozciętego czoła ciekła krew. Dostrzegł scyzoryk i skoczył po niego. I w tej samej chwili Carol uświadomiła sobie, że znalazła się

w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Johnny nie mógł pozwolić jej, by powiedziała rodzicom, co widziała. A istniał tylko jeden sposób, aby ją powstrzymać.

Po raz ostatni ogarnąwszy wzrokiem całą scenę — biednego Moggita, powieszzonego i kołyszącego się na gałęzi czarnego bzu, wyczerpanego jeża, wydającego ostatnie tchnienie, i nieżywe, okaleczone ptaki, wiszące rzędem — odwróciła się i rzuciła do ucieczki. Przedzierając się przez tunel wśród krzewów, by wydostać się poza ruiny, miała wrażenie, że brat jest tuż za nią.

Johnny wiedział, że jeżeli Carol dotrze pierwsza do domu, sprowadzi kogoś, żeby to zobaczył. A do tego nie mógł dopuścić.

Odciał szybko Moggita i ptaki, po czym wyrwał z ziemi pręt przebijający jeża. Ciężko dysząc pod wpływem szalonego tempa swych wysiłków i ogarniającej go wściekłości, wrzucił to wszystko do głębokiej, zatęchłej studni, której drewniana pokrywa po części już zbutwiała. Nie mógł patrzeć, jak martwe i umierające stworzenia spadają w mroczny głąb, tonąc z pluskiem w czarnej, niewidocznej z góry wodzie. Stracił, zmarnował je wszystkie, gdy miały w sobie jeszcze tyle „życia”! Winił za to Carol.

Ruszył za nią w pościg, podążając krzywym, zygzakowatym szlakiem, który zostawiła w wysokiej trawie.

Półmilowy bieg przez nierówny, otwarty teren to bardzo wiele dla dziecka o rozdartym sercu i oczach pełnych łez. Serce Carol tłukło się w piersiach. Oddech rwał się spazmatycznie. Sił dodawał jej tylko stojący wciąż przed oczami obraz: Moggit wiszący i szarpiący się w drucianej pętli, z trzewiami zwisającymi jak garść przemielonych owoców, z których jej matka robiła dżem. A jeszcze bardziej ponaglał ją głos Johnny’ego: „Caaaaarol! Carol, poczekaj!”

Nawet nie brała tego pod uwagę. Mur ogrodu był tuż przed nią, zaraz za żywopłotem. Z tyłu, dysząc — choć także warcząc jak jakiś wściekły pies — doganiał ją Johnny. Wyciągnięta ręka minęła o włos jej łydkę. Carol, na wpół wspinając się, na wpół spadając, pokonała mur. Ale po drugiej stronie legła bez ruchu, zbyt przerażona, splakana i wyczerpana, by móc posuwać się dalej.

Johnny zeskoczył z muru i dopadł do niej, z szalem w rozpalonych oczach, zaciskając i rozluźniając pięści. Carol spojrzała w kierunku domu, ale ten stał ukryty za drzewami owocowymi i mglistą kopułą basenu. Brakło jej nawet tchu, by krzyknąć.

Johnny wyszczerzył zęby i chwycił ją silnie za włosy, zaczął wlec w stronę basenu.

— Kapiel! — powiedział, a słowo to wyszło z jego ust jak grudka szlamu. — Wykąpiesz się, Carol. Spodoba ci się to, zobaczysz. I mnie też. Zwłaszcza potem.

* * *

Od mniej więcej tygodnia David Prescott wstawał wcześniej. Alice nie narzekała na to ani nie pytała dlaczego, bo mąż zawsze zachowywał się cicho i taktownie oraz niezmiennie przynosił jej filiżankę kawy. Przyczyną mogło być po prostu lato, rześkie poranki, stary syndrom „rannego ptaszka”. W istocie chodziło o pocztę.

Przesyłki pocztowe dostarczano zawsze wcześniej, o świcie, a David spodziewał się listu. Z sierocińca. Nie dlatego, żeby miał on zawierać coś szczególnie ważnego — to było mało prawdopodobne — lecz jednak Prescott chciał go sam odebrać. Gdyby Alice pierwsza zobaczyła list. . . No cóż, powiedziałyby tylko, że mąż ma urojenia. Na punkcie Johnny’ego. I rzeczywiście, na to by wyglądało, bo właściwie dlaczego miałby pisać w jego sprawie do sierocińca?

Rzecz w tym, iż David zdecydowanie pragnął, by wszystko biegło pomyślnie. Naprawdę chciał kochać to nieszczęsne dziecko. Lecz jednocześnie zawsze mniej ulegał nastrojom niż Alice — był bardziej świadom aury ludzi, zwłaszcza dzieci — i wiedział, że z aurą Johnny’ego coś jest nie tak. Jeżeli to wiązało się z przeszłością i wiedziano o tym w sierocińcu, to, zdaniem Davida, on i jego żona powinni byli zostać o tym poinformowani. Podejrzywał bowiem, że Alice miała rację, uskarżając się na zachowanie ludzi z sierocińca. Rzeczywiście, nazbyt palili się do tego, by umyć ręce od sprawy Johnny’ego, czy raczej umieścić go pod opieką normalnej, kochającej rodziny, gdzie wyrósłby na zdrowego człowieka. Zdrowego zarówno na ciele, jak i na umyśle.

Tak powiedział im dyrektor sierocińca, kiedy przyjechali odebrać swego nowego syna, i słowa te na dobre utkwily w pamięci Davida. „Zdrowy zarówno na ciele, jak i na umyśle”.

David zastanawiał się, czy z umysłem Johnny’ego było coś nie w porządku? Jakaś drobna choroba? A może poważna? Bo taka była istota aury, którą czasami czuł u chłopca — chorej, zimnej i mokrej jak u starca na łożu śmierci. Johnny zdawał się być śmiertelnie chory. Lecz nie o jego śmierć tu chodziło.

Tego ranka list wreszcie nadszedł. David otworzył go i przeczytał, ale przez chwilę nie mógł doszukać się sensu w tych słowach. Papużki faliste z sali dziecięcej, które Johnny kradł, zabijał i kolekcjonował? Zbiór martwych stworzeń: myszy, żuki, karaluchy? Nieżywa kotka pod jego łóżkiem, której Johnny wykręcał łapy, aż zostały mu w dłoniach?

Pracownicy sierocińca dowiedzieli się o wszystkim, kiedy pozostałe dzieci przybiegły do nich z wrzaskiem.

I David tu i teraz usłyszał wrzask dzieci. Tylko, że nie były to tamte dzieci, lecz jedno z jego własnych, jego jedyne dziecko — Carol. Na skraju ogrodu!

Z góry dobiegł zasapany, mrukliwy głos Alice:

— Gdzie jest kawa? — zawołała. — Tak wcześnie, a dzieci już na nogach. . .

Rozległ się kolejny wrzask z ogrodu, ucięty nagle przez bulgot.

David zawsze należał do tych, którzy wyciągają pochopne, często niewłaściwe wnioski. To samo uczynił teraz, tym razem jednak się nie mylił.

W koszuli nocnej pognał do ogrodu. Jak obłąkany wołał Carol, zdzierając gardło. Żadnej odpowiedzi. A na brzegu basenu, pod polietylenową kopułą klęczała mała, niewyraźna postać. David podbiegł bliżej; to Johnny tam klęczał. Wygląda na to, że próbował wyciągnąć Carol na brzeg. Dziewczynka pływała twarzą w dół, z rozrzuconymi bezwładnie rękoma, rozpięta na błękitnej, chlupiącej cicho wodzie.

* * *

Johnny bawił się na polu; usłyszał krzyk Carol i zobaczył jakiegoś człowieka — brudnego, brodatego i w łachmanach — który przełaził przez mur ogrodu. Mężczyzna uciekł przez łąki, a on poszedł sprawdzić, co się wydarzyło. Zobaczył, że Carol pływa w basenie, spróbował więc ją wyciągnąć.

Taką historię opowiedział Davidowi, Alice, policji, każdemu, kto tylko chciał jej wysłuchać. I większość ludzi mu uwierzyła. Nawet David na wpełni uwierzył, choć nie chciał już dłużej mieć go przy sobie. I Alice prawdopodobnie mu uwierzyła, chociaż trudno to stwierdzić na pewno, jako że od tamtej pory nic do niej nie docierało.

Policja odnalazła w ruinach starej farmy obozowisko i wyciągnęła ze studni wiele śmieci. Stwierdzili, że ktoś, jeden lub wielu, musiał koczować tam w nędznych warunkach, kradnąc z pobliskich ogrodów gołębce Davida, aby się wyżywić. Mogli to być Cyganie, a może jakiś włóczęga. Istniały szanse, że ostatecznie ten ktoś zostanie schwytany.

Jednakże nigdy nikogo nie zatrzymano.

A Johnny powrócił do sierocińca. . .

* * *

Harry spał nadal, doświadczając jeszcze przez chwilę snów Johnny'ego Founda. Rzecz jasna, oglądał przeszłość nekromanty z jego punktu widzenia, co było nawet gorsze, jeśli to w ogóle możliwe, od ogólnego obrazu i dawało niezbitą pewność, że trafił na właściwego człowieka. Ale w końcu ekscesy Founda stały się tak przesadne, senne wspomnienia jego złych czynów przeradzały się w upiorną litanię zwyrodnienia, że nienawiść Harry'ego przerodziła się w szal.

Johnny Found przeżył całe swe młode życie jako potwór i morderca i dotychczas uchodziło mu to płazem, zwłaszcza że do niedawna jego przybrana siostra Carol pozostawała jedyną ludzką ofiarą.

Jednak tak ludzie, jak i potwory kiedyś dojrzewają — a wraz z nimi ich gusty — i Johnny nie stanowił wyjątku. Tylko... jaką formę przyjmie dojrzałość u kogoś, kto od początku był zepsuty?

Kiedyś, dla jakichś zgoła niezrozumiałych przyczyn, których Harry Keogh nawet nie ogarniał myślą, Found podjął pracę w kostnicy. Rychło go jednak wyrzucono, kiedy jego szef nabrał podejrzeń. Ale dopiero sen o jego następnej pracy, tym razem w rzeźni, niczym ostatnia kropla przepełnił czarę odrazy nekroskopa.

Wówczas Harry, wzdrygnąwszy się, wycofał swoją telepatyczną sondę i opuścił jaźń Johnny'ego, pozostawiając go z jego koszmarami. Rzecz w tym, że w przypadku Founda te koszmary z trudem mogły dorównać rzeczywistości...

ROZDZIAŁ PIĄTY

... Fantazje

Nekroskop śnił również o Darcym Clarke’u, co stanowiło jakąś formę koszmaru, gdyż esper w tym śnie był nieżywy, a jego głos dochodził jako mowa zmarłych.

Co więcej, nie dochodził wyraźnie, napływał ze wszystkich kierunków tysiącem ech, łączących się w dziwny, asynchroniczny szept.

— Trudno mi uwierzyć, że mogłeś to zrobić, Harry — oświadczył Darcy, określwszy swoją tożsamość. — Chcę przez to powiedzieć, że już w chwili, kiedy mnie zabijali, kiedy zobaczyłem, że naprawdę mogą mnie zabić, pomimo mojego anioła stróża, wiedziałem, że to ty jesteś odpowiedzialny. Powodem musiało być to, czego dokonałeś wewnątrz mej głowy. Zabiłeś coś, co czuwało nade mną, pozostawiłeś mnie bez broni. Jednak wciąż nie mogę uwierzyć, że byłeś do tego zdolny, i wciąż nie wiem dlaczego. Wydawało mi się, że cię znam, ale nie znałem ani trochę!

— To tylko sen — odpowiedział mu Harry — To moje sumienie, póki jeszcze je mam, robi mi wyrzuty, ponieważ broniłem samego siebie cudzym kosztem. To tylko koszmar, Darcy, a ty nie jesteś naprawdę martwy. Wszystko dlatego, że obwiniam siebie o grzebanie w twojej głowie. Zrobiłem to, aby mieć pewność, że jeśli wystąpisz przeciwko mnie, zanim stąd odejdę, staniesz się bezbronny. Ze wszystkich talentów w INTESP, twój budził we mnie największy lęk. Dawał ci ogromną przewagę, czynił niezwykłym. Mógłbym cię wciąż na nowo powstrzymywać, zapewne bez skutku, a tobie wystarczyłoby raz pociągnąć za spust i byłbym skończony.

Niematerialna obecność Darcy’ego potęgowała się, kumulowała dzięki czystej sile woli, tak że jego rozproszony głos przestał być szelestem i przybrał na sile.

— To nie sen, Harry. Jestem tak martwy, jak to tylko możliwe. I mimo że przyszedłem do ciebie podczas snu, powinieneś to pojąć. Ale jeśli mi nie dowierzasz, czemu nie zapytasz swoich licznych przyjaciół, Ogromnej Większości? Rzesze umarłych powiedzą Ci, że nie kłamię. Jestem teraz jednym z nich.

— Nie da rady! — odparł Harry, uśmiechając się i kręcąc głową. Nie mogę o nic pytać umarłych, ponieważ oni nie chcą już mnie znać. Przecież stałem się wampirem, zapomniałeś? Nie jestem jednym z żywych ani jednym z umarłych. Istnieję gdzieś pośrodku, Darcy. Niemarły. Wampir!

— Harry — rzekł zgoryczą Darcy — po co te wszystkie wykręty? Nie musisz na mnie wypróbować swoich wampirycznych gier słownych. Przyznaję: wygrałeś. Nie wiem, dlaczego chciałeś mojej śmierci, ale w każdym razie dopiąłeś swego. Ja jestem umarły!

Harry rzucił się i kręcił w łóżku, zaczął się pocić. Czasami, jak u każdego innego człowieka, jego sny były nic nie wartym śmieciem. Niekiedy przypominały erotyczną lub ezoteryczną fantazję czy marzenia. Tym razem jednak znaczyły o wiele więcej.

— W porządku — powiedział wreszcie nekroskop, nadal nie przekonany, rozpaczliwie broniąc swej pozycji. — Jesteś umarły. Wobec tego, kto cię zabił? I dlaczego?

— INTESP — odparł Darcy, nieledwie „wzruszając ramionami”. Cokolwiek zrobiłeś z moją jaźnią, sam fakt, że tam byłeś, spowodował psychiczny smog. Włazłeś do mojej głowy, coś tam skasowałeś, czegoś mnie pozbawiłeś. A w tym miejscu został ślad po tobie. Nie, nie mówię, że mnie zwampiryzowałeś, tylko po prostu... zepsułeś mnie. Oni natomiast wywęszyli ciebie w samym środku mojego jestestwa i nie mogli dać mi szansy.

Harry zastanawiał się nad tym przez chwilę.

— Darcy, jeżeli naprawdę jesteś umarłym, to postaram się odnaleźć cię. To znaczy, będziemy mogli znów z sobą porozmawiać w mowie zmarłych.

Poczuł, że Darcy kiwa głową.

— Będę na ciebie czekał, Harry. Tylko że... to nie takie proste. Wciąż się uczę, jak zebrać się do kupy.

— Jak to? Możesz to wyjaśnić?

— Spalili mnie i rozsiali prochy — rzekł esper. — Chyba nie muszę ci mówić dlaczego...? A to oznacza, że nie mam żadnego punktu skupienia. Nie należę do żadnego szczególnego miejsca. Fruwam na wietrze, unoszę się na falach, spływam miejskimi ściekami.

Nagle nekroskop zaczął podejrzewać, że to prawda. Jął przewracać się i kręcić na łóżku jeszcze gwałtowniej. Wydawało się, że Darcy spostrzegł jego udrekę, bo kiedy znowu się odezwał, ton głosu był mniej szorstki, a nawet pojednawczy.

— Jeśli krzywdzę cię tymi oskarżeniami, Harry, to tylko dlatego, że ty mnie skrzywdziłeś.

— To musi być senny koszmar — wysapał Keogh. — Musi być, Darcy. Nie zamierzałem ci zrobić nic złego. Ze wszystkich znanych mi ludzi ty jesteś jedynym, którego nie mógłbym skrzywdzić! W żadnym przypadku. Nie z powodu twojego talentu, ale dlatego... dlatego, że jesteś tym, kim jesteś.

Clarke przekonał się teraz, że Harry jest jak najbardziej niewinny, a jeśli kogokolwiek, cokolwiek należało winić, to tylko stworzenie, które tak raptownie spajało się z nim. Chciał go pocieszyć — o ile jeszcze było to możliwe — ale poczuł, że znowu odpływa, rozpada się, i wiedział już, że nie posiada dość mocy ani wiedzy, by się temu przeciwstawić. Umarłym był przecież dopiero od niedawna.

— Będę... w pobliżu, kiedy się obudzisz, Harry. Spróbuj się wtedy ze mną skontaktować. Jeżeli... zaczniesz mnie... szukać...

I po tych słowach Keogh znów został sam. Przynajmniej na chwilę. Odprężony, jeszcze głębiej zapadł w sen.

* * *

A w nim nekroskop śnił o niemalże nieludzkiej istocie. Jego wewnętrzny pasyżyt zareagował na tego gościa, drugiego wampira, w typowym dla wampirów stylu.

— Kimże jesteś ty, który śmiesz wkradać się do moich myśli podczas snu? — zapytał Harry. — Odpowiadaj... W mym umyśle kryją się drzwi, które pochłoną cię całego!

— Ach — odpowiedziano natychmiast — więc to prawda. Wygrałeś walkę z Janoszem, a zarazem ją przegrałeś. Tak mi przykro, Harry. Tak przykro.

— Ken Layard! — zawołał nekroskop. — Odcieśliśmy ci głowę i spaliliśmy ciało w górach nad Halmagiu. A ty z ochotą poszedłeś na śmierć.

Layard tylko to potwierdził.

— Śmierć była niczym w porównaniu z perspektywą wiecznej niewoli u Janosza Ferenczego. On również zamieniłby mnie w proch... ale tylko po to, żeby w każdej chwili móc skorzystać z mojego talentu! Poszedłem na śmierć z własnej woli, ponieważ wiedziałem, że będzie mi jeszcze ciężiej, jeżeli postąpię inaczej. Bodrogk i jego Trakowie szybko to załatwili. Nawet nic nie poczułem.

— Ale w końcu mnie to zawdzięczasz, prawda? — W głosie Harry'ego, pojawiła się gorycz. — Jak by na to nie patrzeć, to ja odnalazłem ciebie. A teraz oni siedzą mi na karku, więc przyszedłeś nacieszyć swe oczy.

— Jak możesz tak mówić, Harry? — obruszył się Layard. — Postuchaj, wiem, że sporo ci się dostało od umarłych, ale wciąż jeszcze masz kilku przyjaciół!

— Przyszedłeś z przyjaźni?

— Przyszedłem podziękować! Za Trevora Jordana!

— Nie rozumiem. — Keogh potrząsnął głową.

— Podziękować za to, co dla niego zrobiłeś. I zaofiarować swą pomoc, jeśli w czymkolwiek mogę być użyteczny.

Nekroskop zaczął dostrzegać w tym sens.

— Trevor był twoim przyjacielem i kolegą po fachu, prawda? Obaj stanowiliście jedną z najlepszych drużyn, jakie kiedykolwiek oglądał INTESP.

— Najlepszą! — oświadczył Layard. — Więc kiedy umarłem, chciałem go przypilnować, zobaczyć, jak będzie sobie radził. To, w czym specjalizowałem się za życia, po śmierci przyszło mi jeszcze łatwiej, byłem bowiem cholernie dobrym lokalizatorem.

— Więc poświęciłeś trochę czasu na lokalizowanie ludzi, których znałeś za życia, tak?

— Trochę? Cały ten czas. Więc wysłedziłem Trevora i odkryłem, że on także jest martwy. Chciałem z nim porozmawiać, ale Ogromna Większość uniemożliwiła kontakt. Wśród umarłych jest kilka niezłych talentów, Harry, i niewiele bywa rzeczy, których nie mogą zrobić. Zaczęli zagłuszać mnie mową zmarłych za każdym razem, gdy chciałem z kimś porozmawiać, z kimkolwiek, to jest oprócz. . .

— Mnie? — zapytał Keogh.

— Właśnie! Oni robią wszystko, co w ich mocy, żeby nas traktować z góry, ale nie mogą nami pokierować! Chcemy sobie porozmawiać, nie ma sprawy, dopóki nie spróbujemy sprowadzić na złą drogę jednego z nich.

— Rozumiem — rzekł Harry. — Tylko przeze mnie mogłeś dotrzeć do Trevora.

— Zgadza się.

— Tylko że spóźniłeś się, a zresztą twoja mowa zmarłych już tu nie zadziała, ponieważ Trevor jest znowu żywy. A to oznacza, że nadal nie możecie komunikować się bezpośrednio, lecz musicie używać mnie jako łącznika.

— Skomplikowane, ale mniej więcej tak to wygląda.

— No cóż, wybrałeś zły moment — powiedział Harry niemal przepaszająco. — Spróbuj później, kiedy się obudzę.

— Tak zrobię. Ale. . . może ja także mogę wyświadczyć ci przysługę.

— Tak?

— Harry — mówił Layard. — Zanim w to wpadłem, byłem jednym z tych dobrych facetów i do końca zachowałem dużo z siebie. Stałem się po części tworem Janosza, jego „niewolnikiem”, owszem, ale gdyby mi dano najmniejszą szansę, załatwiłbym go. Nie było to możliwe, przynajmniej nie dla mnie, i dlatego umarłem. Ale nie masz pojęcia, jak bardzo się cieszę, że jemu też się dostało. Więc, jak powiedziałaś, zawdzięczam ci coś. I jestem ci winien przysługę. Na przykład. . . talent lokalizowania?

— Na pewno przydałby się — odrzekł nekroskop. — Mam już mowę zmarłych, telepatię i jeszcze to i owo. Możliwość szybkiego znalezienia kogoś lub czegoś stanowiłaby niezły dodatek.

— Tak też myślałem. Więc może ubijemy interes? Ty dostaniesz mój talent, a w zamian ja będę mógł od czasu do czasu porozmawiać. Do tego załatwisz mi ponowny kontakt z Trevorem Jordanem. To znaczy, będziesz naszym łącznikiem.

— I co dalej? — Harry nabrał podejrzeń.

— No cóż. — Layard wzruszył ramionami, oczywiście, nie dosłownie. — Jestem już i tak w twoim umyśle, a przynajmniej w kontakcie z nim, więc przypuszczam, że będziesz musiał po prostu otworzyć się trochę i pozwolić mi zajrzeć głębiej do środka. Rozumiesz, znam tę sztuczkę, ten mechanizm, dzięki któremu jestem lokalizatorem. I jeśli zdołam znaleźć u ciebie coś niedobrego. . .

— Uruchomisz to?

— Coś w tym stylu.

— I chcesz, żebym otworzył się przed tobą z własnej woli, tak? — zapytał Keogh.

— Już wcześniej się w to bawiłeś, Harry. — Layard zaśmiał się, aczkolwiek oschle.

Keogh potrząsnął głową.

— I owszem, czasami z katastrofalnym skutkiem.

Layard natychmiast spowaźniał.

— Harry, we mnie nie ma takiego świństwa. Kiedy zszedłem, byłem nadal sobą. Nie chowam niczego w zanadrzu.

— Zgoda — oświadczył nekroskop po chwili zastanowienia. — Ale. . . ostrzegałem cię już, że mój umysł to dziwne miejsce. Nie próbuj mną manipulować, Ken.

— Nie musisz się mnie obawiać!

— W porządku — rzekł Harry. — Jeszcze ostatnia rzecz. Mówisz, że przyszedłeś mi podziękować za to, co zrobiłem dla Jordana? Przypuszczam, że miałeś na myśli jego wskrzeszenie? Wobec tego, skąd wiedziałeś, że sprowadziłem go z powrotem?

Layard wzruszył ramionami.

— To, że Ogromna Większość nie chce ze mną rozmawiać, nie oznacza, że nie mogę niczego tu i ówdzie podsłuchać. Posiadasz mnóstwo rzadkich talentów, Harry. Szkoda, że nie zdobyłeś też talentów Darcy'ego, zanim go dopadli.

To przykuło uwagę nekroskopa.

— Darcy jest martwy? Myślałem, że to tylko koszmarny sen. W każdym razie, taką miałem nadzieję.

— Współczuję Ci, Harry — rzekł Layard. — Ale to prawda.

— Nikt mi już nie przynosi dobrych wieści.. — Harry potrząsnął w milczeniu głową, po czym z rozmysłem wrócił do poprzedniego tematu. — No dobra, Ken, mój umysł należy do ciebie.

Lokalizator wszedł do środka, by równie szybko wrócić na zewnątrz.

— Miałeś rację, że to dziwne miejsce, Harry — powiedział. — Wydaje się, jakby tam było promieniowanie: jednocześnie jest zimno i gorąco! Ale znalazłem to, co chciałem; a raczej nic nie znalazłem. Nie ma tam nic, co mógłbym włączyć.

— Trudno, przynajmniej się starałeś — Keogh wzruszył ramionami. — Ale masz umysł podobny do umysłu Chunga.

— Chung? To ten lokalizator kontaktowy? — zapytał nekroskop.

— Właśnie. I zamiast tamtego uruchomiłem ten właśnie mechanizm. Teraz będziesz potrzebował tylko jakiejś rzeczy należącej do tego, kogo chcesz zlokalizować. Skupisz się na niej i już! A przy twoich możliwościach staniesz się prawdopodobnie o wiele lepszy od Chunga.

— No cóż, teraz chyba znów jestem twoim dłużnikiem. Dzięki, Ken — odrzekł nekroskop.

— O, jeszcze wróćę po odbiór swojej doli — powiedział Layard. — Wiesz, Trevor był dla mnie jak młodszy brat. A teraz dam ci już trochę pospać. Jesteś zmęczony, Harry, zarówno fizycznie, jak umysłowo.

Gdy Layard wycofał się i rozwiął w nicości, w umyśle nekroskopa pojawiło się, miejsce dla ewentualnego następnego gościa. A ten niebawem się zjawił.

* * *

Śnił o Penny. I nawet wówczas zastanawiał się, czy był to efekt porządkowania psychiki — segregowania zdarzeń doczesnych we wszystkich szufladach podświadomości, różnicowania ich od nieważnych, poprzez banalne, do wysoce istotnych — czy też pozostałość budzącego się pożądania?

Od dawna wiedział, że dziewczyna jest na niego „napalona”. Stało się to jasne już przy pierwszym spotkaniu. W końcu, ilu mężczyzn ma okazję zobaczyć kobietę nago na pierwszej randce?

A może było to po prostu rozwinięcie czegoś, nad czym pracowała jego podświadomość, a co powinno zostać zatytułowane: „Jak mogłyby mieć się sprawy, gdyby Harry Keogh miał wolny czas i gdyby nie był cholernym wampirem”.

W każdym razie, przyniosło to błogosławioną ulgę, ukoiło jego umysł, umęczony koszmarami Johnny’ego Founda, upiornymi oskarżeniami Darcy’ego Clarke’a i wyznaniem Kena Layarda. Odpęrzyło go też fizycznie, odpowiadając na pieszczoty Penny, kochał się z nią, jak zwyczajny mężczyzna kocha się z dziewczyną. Inicjatywa jednak należała w całości do niej — musiała należeć, inaczej jego wyczerpanie wciągnęłoby go w jeszcze większy sen bez marzeń.

— Czy sprowadzenie mnie z powrotem ci nie wystarczy? — wyszeptała, kierując jego odrętwiałe palce do swych sztywniejących sutków. — Czy musisz jeszcze go dopaść? Wiesz, Harry, dużo myślałam od czasu, kiedy to wszystko się stało. I naprawdę jestem szczęśliwa. Byłam umarła, a teraz żyję! Nie chcę zemsty. O tak, na początku jej pragnęłam, wiem, ale teraz nie jestem już taka pewna. Ale, oczywiście, zgodziłabym się na to dla ciebie.

Wyciągnął się na plecach i słuchał jej, czując, jak drobne, delikatne palce zaciśkają się na tej części jego ciała, która zaczynała pulsować, choć jeszcze leniwie. Penny usiadła obok niego, nachyliła się i jęła go pieścić.

Nie chciał się obudzić. Teraz, tutaj, we śnie, był po prostu mężczyzną. Żadnym nekroskopem ani wampirem, po prostu mężczyzną, którego kochano i który kochał, czekając, aż rozpalone, słodkie sedno jej kobiecości złączy się z jego ciałem.

Wbrew wszystkiemu miał nadzieję, że ten sen nie zgaśnie ani nie zmieni kierunku i że dojdzie do spełnienia. Miłość uprawiał ledwie kilka tygodni temu, lecz zdawało mu się, że minęła już wieczność. Cały aż kipiał. Może po prostu obcując z Penny, czuł się człowiekiem, niewykluczone, że po raz ostatni?

Napięcie było tak wielkie, że kiedy w końcu, tracąc dech, zagarnęła go swym słodkim, młodym ciałem, niemal natychmiast doszedł jak rozogniony młodzieniec, głaszczący piersi swej pierwszej miłości. Penny, czując w sobie jego drgania i gorący wybuch soków, ścisnęła go jeszcze mocniej, aż rozdygotane ciało wydało z siebie ostatnią kroplę.

A potem... podniecenie wracało powoli, lecz nieodparcie i przy wprawnej pomocy Penny znów wszedł w jej ciało.

Tym razem leżeli na boku i gdy jego lewa dłoń gładziła, gniotła i ścisnęła jej prawy pośladek, ciasna pochwa wchłaniała go do środka, domagając się mleka miłości i życia.

„Gdyby to działa się naprawdę — myślał Harry — nie odważyłbym się, bałbym się, że zapłodnię ją tym przeklętym wampirzym nasieniem!”

Gdzieś w głębi duszy śmiał się jego wampir. Mleko życia? Raczej spienione szumowiny żądy. Wiadomo przecież, że tylko krew jest prawdziwym życiem.

— Harry! — Penny chwyciła go kurczowo za ramiona, trąc w zapamiętaniu spłaszczonymi, obfitymi piersiami o jego tors. — Harry! wydyszała znowu. — Już dochodzę... dochodzę...

To również jego doprowadziło na szczyt — wystarczyła myśl o jej orgazmie i świadomość owych gwałtownych, wilgotnych drgań.

Ale to także wróciło mu zmysły. Nagle obudził się. Leżał zupełnie trzeźwy wśród potu i soków, tonął w intensywnym zapachu ich miłości — i wszystko to nie bladło ani nie cofało się w głębie podświadomości! Nie było ulotnym snem! Penny leżała tuż obok niego!

* * *

Harry westchnął i otworzył oczy, po czym usiadł wyprężony jak struna w pomiętej pościeli.

— Wszystko w porządku, już dobrze — powiedziała Penny, chwytając go za rękę. — Och! — zawołała, patrząc w jego oczy. Zakryła dłonią usta.

— Och? — powtórzył za nią. — Cholerne och! Penny, nie masz pojęcia, coś ty zrobiła!

Odrzucił koldrę i zaczął się ubierać. Penny ruszyła za nim nago, zatrzymała się i drżącą ręką dotknęła jego twarzy.

— Kiedy byłam umarła — mówiła szeptem — oni chcieli mi wmówić, że jesteś potworem. Nie słuchałam ich, bo nie chciałam rozmawiać z trupami. Ale pamiętam, jak mówili, że jest życie, śmierć i miejsce pomiędzy. Ludzie egzystują w dwóch pierwszych stanach, ale nie w trzecim, który został zarezerwowany dla...

— Dla wampirów — dokończył ostro Harry. — Owszem, a także dla ich ofiar, dla ludzi, których przemieniają w wampiry. I dla głupich gęsi, które przez swoje bezmyślne działanie same siebie zmieniają w wampiry!

Potrząsnęła głową.

— Ale ty nie wzięłaś mojej krwi, Harry. Nawet nie spowodowałaś krwawienia! — buntowała się. — Mam prawie dziewiętnaście lat, a zresztą, nie byłam dziewczcą. Poznałam mężczyznę już ponad rok temu.

— Poznałaś mężczyznę! — parsknął. — Jesteś dzieckiem!

— A ty jesteś niedzisiejszy! — odparowała. — Mamy rok osiemdziesiąty dziewiąty. Mnóstwo dziewczyn, brytyjskich dziewczyn, wychodzi teraz za mąż w wieku lat szesnastu i siedemnastu. Tak, a o wiele więcej woli wcale nie brać ślubu i po prostu żyje ze swymi kochankami. Nie jestem dzieckiem. Może powiesz, że moje ciało jest dziecięce?

— Tak! — warknął, po czym zazgrzytał zębami i wziął ją w ramiona. — Nie — mruknął. — Jesteś kobietą. Ale głupią kobietą. Niczego nie rozumiesz, Penny. Do tego nie trzeba krwi. Widzisz, teraz jest w tobie coś ze mnie. Nie jest tego wiele, ale nawet odrobina wystarczy, żeby cię zmienić.

— Nie obchodzi mnie to, dopóki jesteśmy razem. — Przyciągnęła go do siebie. — Ty sprowadziłeś mnie z powrotem, Harry. Dałeś mi życie, więc chcę, żebyś z niego korzystał.

— Uciekłaś z domu? — odsunął ją od siebie.

— Wyjechałam z domu — westchnęła. — Tysiąc dziewięćset osiem dziesiąty dziewiąty, pamiętasz?

Chciał ją uderzyć i nie mógł. „Mój Boże — myślał. — Ona jest moją niewolnicą! Ale była już przedtem. Tylko że nazywaliśmy to napaleniem”. Błagam, niech nic ze mnie — z tego — w niej nie zostanie!”

* * *

— Która godzina? — Spojrzał na zegarek. Było dopiero wpół do jedenastej. — Jak mnie znalazłaś? I co ważniejsze, jak weszłaś do środka?

Wyczuła jego niepokój i zareagowała.

— Co się stało, Harry? — W jej oczach malowała się teraz trwoga. Zapalił światło i jego twarz przybrała bardziej normalny wygląd.

— Kiedy byłam tu poprzednio — mówiła Penny — zauważyłam adres na jednym z twoich listów. Zapamiętałam go, zapamiętałam wszystko, co wiązało się z tobą. Właściwie nawet na chwilę nie mogłam o tobie zapomnieć. I wiedziałam, że przyjdę. Bez względu na to, kim będziesz.

— I Trevor Jordan wpuścił cię? Nie budząc mnie? — Harry otworzył gwałtownie drzwi sypialni. — Trevor! — krzyknął. — Bądź łaskaw, do diabła, przyjdź tu!

Nie odpowiedział, tylko Penny potrząsnęła głową.

Harry popatrzył na nią: długonogą, jasnowłosą, niebieskooką. Objął wzrokiem jej jędrne piersi, uda i pośladki, wszystkie cudownie młodziutkie kształty. Gdy widział ją po raz pierwszy naga, ciało specyficzy ohydne czarne dziury. Teraz skóra była gładka i czysta. Tylko jej intencje zostawiały wiele do życzenia.

— Lepiej się ubierz — polecił. — Co z Jordanem?

— Odszedł. Powiedziałam mu, że muszę wstać z tobą. Wymógł na mnie obietnicę, że się tobą zaopiekuję, i kazał pożegnać cię w jego imieniu.

— To wszystko?

— Nie, twierdził, że nie powinnam tu zostawać. A kiedy nie mógł mnie przekonać, poszedł sobie. Powiedział, że INTESP, czy coś takiego... że oni to rozumieją.

— INTESP — powtórzył jak echo Harry. — Darcy! — krzyknął po chwili.

— Kto? — Była już ubrana. Wpatrywała się w niego.

— Zejdź na dół — powiedział. — Zrób sobie kawę, a mi nalej kieliszek czerwonego wina.

— Harry, ja... .

— Zrób to zaraz!

Kiedy Harry został sam, wysłał strumień umowy zmarłych, szukając Darcy'ego Clarke'a. Jednocześnie modlił się, żeby go nie znaleźć. Jednakże znalazł unoszonego z wiatrem, dryfującego na falach, splukiwanego w ściekach.

Nekroskop usiadł na brzegu łóżka i uronił kilka gorących łez. Odzywało się jego człowieczeństwo, wzmocnione jeszcze przez przytłaczające emocje wampira. Nawet gdyby był tylko człowiekiem, płakałby również, tylko wówczas łzy nie paliłyby jak lawa wulkanu.

— Darcy — zapytał — kto to był?

— Ty sam, Harry — rozległ się słaby głos Darcy'ego.

— Boże, wiem! — Keogh czuł, że coś dźgnęło go w serce. — Kto odebrał ci życie? I jak umarłeś? Nie w dawny sposób?

— Kołek, miecz i ogień? Nie, zwykła kula. No, właściwie dwie kule. Ogień pojawił się później.

— A twój zabójca?

— Po co to? Żebyś mógł go wytropić? Nie, nie, Harry. Przecież on w końcu wykonywał tylko swoją pracę i zapewne podejrzewał, że jestem śmiertelnym za-

grożeniem. Poza tym... no cóż, faktem jest, że moje własne działania mogły być bardziej rozważne.

— Nie powiesz mi, kto cię zabił?

— Już ci mówiłem. Ty — odrzekł Darcy.

— A zatem będę musiał dowiedzieć się wszystkiego od kogoś innego.

— Czemu po prostu nie wykradniesz tego z mojego umysłu?

— Ja nie zabieram. Nie od moich przyjaciół — powiedział Keogh.

— A jednak zabrałeś, i to nie tylko informację. Przez to teraz jestem umarłym przyjacielem. Po prostu jednym z Ogromnej Większości.

— Czego chcesz się dowiedzieć, Harry? — zapytał ktoś trzeci.

Nekroskop wzdrygnął się lekko. Penny stała w progu z kieliszkiem czerwonego wina w dłoni.

Mowa Darcy'ego Clarke'a zgasła, kontakt został zerwany. Ale Harry nie czuł złości. Penny nic nie zawiniła. Gdyby on i Darcy dalej to ciągnęli, rozstaliby się prawdopodobnie w jeszcze gorszych nastrojach.

— Zejdźmy na dół — powiedział. — Do ogrodu. Czy niebo jest bezchmurne? Chciałbym popatrzeć na gwiazdy. I pomyśleć.

Owszem, chciał popatrzeć na gwiazdy — na znajome konstelacje. Kto wie, może miał po temu ostatnią okazję.

Harry był teraz lokalizatorem. Zawsze zresztą posiadał niezwykle talenty. Dzięki telepatii mógł bez trudu odszukać swoich znajomych, Zek Foener i Trevora Jordana. A jeśli poznał zmarłą osobę, zawsze był w stanie odnaleźć drogę do jej mogiły. I bez względu na odległość, rzadko miewał trudności w nawiązaniu rozmowy z tymi umarłymi przyjaciółmi. A teraz... większość umarłych nie chciała już z nim rozmawiać.

— Niektórzy chcą — odezwał się w jego metafizycznym umyśle głos Pameli Trotter.

Penny wyszła z nekroskopem do ogrodu, ale oczywiście nie słyszała wypowiedzianych słów.

— Nie odpycham cię — wyszeptał — ale na kilka minut muszę zostać sam. Potem będziemy mieli mnóstwo czasu dla siebie.

„Ponieważ muszę cię obserwować, póki się nie upewnię, że jesteś tylko sobą. Lub, jeśli dojdzie do najgorszego, póki nie będę pewien, że jesteś inna” — dodał w myślach.

Myśli były tożsame z mową zmarłych i Pamela je przechwyciła.

— Kochanka-wampir, Harry? Jestem zazdrosna! — odezwała się Pamela.

— Raczej nie powinnaś. — Pokręcił głową i wytłumaczył, co się zdarzyło, w jakie kłopoty Penny prawdopodobnie się wpakowała.

— No, wiesz, już ja bym umiała wykorzystać tego rodzaju kłopoty! — odparła Pamela. — Naprawdę, nie miałabym nic przeciwka temu, aby być żywą z kimś

takim jak ty! Ale... na to za późno. Niezbyt się nadaję do figli i zabaw. A może chociaż ostatni raz, co? Z właściwym człowiekiem, rozumiesz?

Zamilkła, czekając na jego odpowiedź. Zapadła długa, brzemienna cisza, prowokująca go do wycofania się z ich umowy. Nie zamierzał jednak tego robić.

— Myślisz, że powinniśmy to kontynuować? — spytał wreszcie.

— No cóż — westchnęła. — Nie ma wątpliwości, który z was jest teraz górą.

— Czyżby?

— To ty panujesz, Harry, człowieczy ty. Bo gdyby to twój wampir był górą, nie miałbyś tych wątpliwości. Po prostu wiedziałbyś, co jest właściwe!

Harry parsknął drwiąco.

— Mój wampir miałby wiedzieć, co jest dla mnie najlepsze? Najlepsze dla wampira, to owszem!

— Więc w czym problem? — Pamela zaczynała się niecierpliwić. Jesteście jednym.

— Sprawa jest prosta — odrzekł nekroskop. — Jeśli moja ciemna strona weźmie górę, strona ludzka przegra, chyba na zawsze. Więc może powinienem po prostu pozwolić policji złapać Johnny'ego Founda. Wiem, że są w stanie o własnych siłach dopaść go niebawem, już teraz siedzą mu na karku. Ale...

— Ale zawarliśmy umowę — przerwała mu. — Nie mogę uwierzyć, że chciałbyś ją zerwać. Przecież tak się do tego paliłeś! Czy wpuszczałam cię do swojego umysłu na próżno? A pozostałe dziewczęta? Czy ich śmierć ma pójść na marne, nie dasz im żadnej szansy załatwienia porachunków? To ty stanowiłeś jedyną szansę, jaką kiedykolwiek miałyśmy, Harry. A teraz chcesz zostawić go policji? Wiesz, co? Pieprzyć policję! Przecież oni nie będą nawet wiedzieli, co z nim zrobić! Co, może zamknąć go na parę lat w zakładzie dla obłąkanych, a potem z powrotem wypuścić? O nie! On musi teraz zapłacić.

— Pamela, zaraz...

— Żadnego zaraz! Ty... głupi wampirze! To ja i reszta przez cały czas mężczyliśmy się na darmo?

To zaskoczyło Harry'ego.

— Reszta?

— Poznałam paru przyjaciół. I oni chcą pomóc.

— No tak. — Wzruszył ramionami. — To niech pomogą.

— Więc... nie zmieniłeś zdania?

— Ani na moment. Po prostu zastanawiałem się, nic więcej. To ty wyglądasz na podenerwowaną i zmienioną.

— Wydaje mi się — odezwała się po chwili milczenia — że odrobinę wcześniej, ledwie przed minutą, umyślnie chciałeś mnie sprowokować do próbnej dyskusji!

— Możliwe — przyznał. — My, wampiry, sprzeczamy się dla samej sprzeczki.

— Przepraszam, Harry. — Nagle poczuła się skończoną idiotką. — Ale kiedy się z tobą połączyłam, miałam wrażenie, że się rozmyśliłeś.

— Nie — powtórzył. — Tylko to rozważałem, a może sprzeczałem się z sobą dla dobra sprawy. Mniejsza o to. Czego chciałaś?

Niemal słyszał jej westchnienie ulgi.

— Miałam nadzieję, że może masz jakieś pojęcie, kiedy możemy się spodziewać...?

— Wkrótce — wszedł jej w słowo. — Teraz potoczy się to bardzo prędko. Jeżeli mam dopaść Johnny'ego Founda, to muszę zdążyć, zanim INTESP wpadnie na mój trop.

W istocie, miał podstawy, by sądzić, że są na tropie — nie, właściwie wiedział, że muszą być — a ta noc mogła to tylko potwierdzić...

* * *

Harry skończył drinka i wrócił do środka.

Penny czekała na niego, blada i śliczna. Zapytała, w jaki sposób tak się zmienił. Harry sam próbował znaleźć odpowiedź wiele razy.

Nie tracąc wielu słów, opowiedział jej pokrótce o starej rezydencji Faethora Ferenczego w Ploeszti w Rumunii, gdzie w starych ruinach spoczywał pradawny ojciec wampirów, gdzie do tej pory buldożery zrównały zapewne wszystko z ziemią i ku szaremu niebu wznosiło się betonowe mauzoleum. Tylko że ten potężny ul nie miał służyć upamiętnieniu zła Faethora, lecz rolno-przemysłowej obsesji szaleńca Ceausescu. Tak czy owak, obecnie nic z Faethora tam nie pozostało; a jeżeli cokolwiek, to tylko wspomnienie. I nawet w tym przypadku nie wśród ludzi, ale w ziemi, którą ten Wielki Wampir zatrął.

— Straciłem swoje talenty — tłumaczył Harry. — Nie miałem już daru rozmawiania z umarłymi i zostałem odcięty od kontinuum Möbiusa. Ale Faethor powiedział, że może mi to wszystko przywrócić, jeśli tylko przybędę na spotkanie z nim. Miałem nóż na gardle i musiałem to zrobić. I faktem jest, że rzeczywiście zwrócił mi mowę zmarłych i pomógł w odzyskaniu zdolności teleportacji. To wszystko było jednak częścią jego planu, według którego miał się odrodzić, powrócić do świata ludzi jako Moc i Zaraza.

Nie wiem, czy był to akt złej woli, czy automatyczne działanie obcej natury. Nie mam pewności, czy sam to uruchomił ze złośliwą premedytacją, czy to po prostu ostatnie tchnienie niesłychanej siły przetrwania jego własnego wampira. Wiem jedynie, że nie ma nic bardziej nieustępliwego niż wampir.

Sprawa wyglądała prosto: Faethor zginął, kiedy podczas wojny zbombardowano jego dom. Został przeszyty na wylot spadającą belką stropu i dobity z litości przez pewnego człowieka, który się tam przypadkiem zjawił. Ciało spłonęło.

Nic z niego nie pozostało... ale czy na pewno? Może trochę tłuszczu — tłuszczu skażonego wampirem — uszło z jego ciała, spłynęło w szpary między deskami podłogi, wsiąkając w ziemię. Dawniej greccy kapłani chrześcijańscy wiedzieli, jak postępować z wampirami: każda część vrykoulakasa musiała zostać spalona, ponieważ nawet najmniejsza odrobina posiada moc regeneracji!

Ja, w każdym razie, widzę to tak, duch Faethora — i nie tylko, bo również coś z fizycznej istoty tego potwora — pozostał w atmosferze tego miejsca i w ziemi. Czekał w ukryciu, żeby zostać pobudzony w momencie, kiedy uzna siebie za odpowiedni obiekt do podróży w przyszłość. Tak przypuszczam. A ja miałem być jego przewoźnikiem.

Jakaś pozostałość jego ciała — możesz to nazwać esencją życia, jeśli chcesz — wsiąkła w ziemię pod zgliszczami, uchodząc przed ogniem, a kiedy ja przybyłem na spotkanie z nim i położyłem się spać dokładnie na tym samym miejscu, to coś wyszło na powierzchnię, by wnikać we mnie. Nie, właściwie widziałem... coś.

Po tych słowach nekroskop skierował zafascynowane spojrzenie Penny ku półce z książkami, wiszącej na ścianie przy kominku. Stało tam około tuzina tomów, wszystkie dotyczyły tego samego: grzybów. Penny popatrzyła na książki, następnie na Harry'ego.

— Grzyby? — zapytała.

Wzruszył ramionami.

— Grzyby trujące, muchomory, purchawki. Jak widzisz, zebrałem na ich temat sporo materiałów. W rzeczy samej, wciągnąłem ostatnich kilku tygodni poświęciłem im trochę czasu. — Wyciągnął jedną z książek zatytułowaną „Podręczny przewodnik po grzybach jadalnych i innych” i otworzył na mocno sfatygowanej stronie. — To nie jest ten sam — puknął paznokciem w ilustrowaną stronicę — ale najbardziej zbliżony, jaki znalazłem. Mój grzyb był prawie czarny, to zresztą chyba odpowiedni kolor.

Przyjrzała się ilustracji.

— Purchawka pospolita?

— Nie tak bardzo pospolita! — odparł. — Przynajmniej nie ta odmiana, którą widziałem. Nie było ich tam, kiedy kładłem się do snu, ale pojawiły się po przebudzeniu. Pierścień chorobliwie owocujących roślin, małych czarnych grzybków lub purchawek, które już dojrzewały i przy najmniejszym ruchu pękały, wyzwalając swe purpurowe zarodniki. Pamiętam, że kichnąłem, kiedy pył dostał mi się do nosa. Później uległy rozkładowi, a ich odór przypominał... śmierć. Pamiętam, jak ginęły w promieniach słońca. Wkrótce po tym Faethor życzył mi powodzenia, co samo w sobie powinno być dla mnie ostrzeżeniem, i poradził, żebym nie tracił czasu, lecz skutecznie kończył zadanie, którego się podjąłem. To wydało mi się podejrzanym, zwłaszcza sposób, w jaki to powiedział, ale nie wyjaśnił tego szerzej.

— Wdychałeś zarodniki trującego grzyba i stałeś się... — Penny potrząsnęła głową.

— Wampirem, tak — dokończył za nią Harry. — Ale to nie były po prostu zarodniki jakiegoś grzyba. One zostały zapłodnione śluzem Faethora, jego trupimi sokami. To jego nasiona śmierci. Przez wiele lat miałem sporo do czynienia z wampirami i nauczyłem się ich metod; chyba zbyt wiele się nauczyłem. Możliwe, że to też miało znaczenie, nie jestem pewien. Ale rozumiesz chyba teraz, dlaczego nie powinnaś była iść ze mną do łóżka. Dla mnie wystarczyło kilka zarodników. Więc... co może stać się z tobą?

— Jednak dopóki jestem z tobą... — zaczęła.

— Penny — przerwał jej. — Ja tutaj nie zostanę. Nie zostanę w ogóle na tym świecie.

Rzuciła mu się w ramiona.

— Nie obchodzi mnie, na którym świecie! Zabierz mnie, dokądkolwiek pójdziesz, kiedykolwiek pójdziesz, a zawsze będę obok, żeby o ciebie dbać.

— Nie możesz jednak pójść ze mną, dopóki nie skończę z Foundem.

— Found?

— Johnny Found, tak się nazywa. I chcę go dopaść. Musi umrzeć, ponieważ... ponieważ jest podobny do mnie i wszystkich tamtych, z którymi miałem do czynienia: wybryk natury. Nie ma dla niego miejsca na żadnym czystym świecie. Chcę przez to powiedzieć, że Found krzywdzi nawet umarłych! Poza tym, czyż umieranie nawet bez niego nie jest dość straszne? A jeśli kiedyś spłodzi dzieci? Kim one zostaną? I czy matka porzuci je gdzieś na progu, tak jak zostawiono Johnny'ego? Nie, trzeba go powstrzymać tu i teraz.

Sama myśl o nekromancie wprawiała Harry'ego we wściekłość, a jeśli nie jego, to z pewnością jego wampira. Zastanawiał się, co Found teraz robi, dokładnie w tej chwili.

Harry uwolnił się z objęć Penny i zgasił światło. Znajdował się w zaciemnionym pokoju. Otworzył swój metafizyczny umysł. Znał adres Founda, wiedział, jak tam trafić. Wysłał sondę do Darlington, odszukał ulicę, dom, mieszkanie na parterze... i odkrył, że jest puste.

Miał teraz szansę, by zabrać coś, co należało do nekromanty. — Penny, muszę teraz wyjść — powiedział. — Ale zaraz wrócę. Najpóźniej za kilka minut. Zamkniesz na klucz wszystkie drzwi i nie ruszysz się z domu na krok. — Jego czerwone oczy rozbłyły. To moje mieszkanie! Niech tylko się ośmiela... spróbować... a...

— Niech kto się ośmieli? — wyszeptała. — INTESP? Co mogą zrobić, Harry?

— Kilka minut — mruknął. — Wrócę, zanim zdążysz się obejrzeć.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Coraz bliżej piekła

Harry postanowił wynurzyć się z kontinuum Möbiusa w tym samym punkcie, co poprzednio — w cieniu ściany po przeciwnej stronie zaułka przy mieszkaniu Founda. I właśnie w tym miejscu stał jeden z policjantów!

Wychodząc z kontinuum w „realny”, fizyczny świat, nekroskop usłyszał, jak tajniak bierze oddech, i poczuł, że w cieniu kryje się coś jeszcze. Poczuł również, że ów ktoś sięga po pistolet.

Harry wyciągnął błyskawicznie rękę, by wytrącić broń z dłoni mężczyzny... i przekonał się, jakież to model „pistoletu” dobył tamten spod płaszcza. To była kusza! Tak czy inaczej, odrzucił ją, aż zagrzecgotała na bruku, i chwytając espera za gardło, przydusił do ściany.

Mężczyzna przeraził się. Jako prognostyk — obdarzony zdolnością odczytywania przyszłości — wiedział wcześniej, że Harry tu przybędzie. Tylko tak daleko sięgały jego przewidywania. Jednak wiedział również, że jego własna nić życia ciągnie się dalej poza ten punkt. A to znaczyło, że w razie kłopotów Harry będzie poszkodowany.

Nekroskop wydobył te myśli prosto z roztrzęsionego umysłu espera.

— Odczytywanie przyszłości to niebezpieczna zabawa — wycedził przez zęby. — Więc masz zamiar żyć, prawda? No cóż, to możliwe. Tylko w jakiej postaci? Człowieka czy wampira? — Przekrzywił nieco głowę i uśmiechnął się do tamtego oczyma rozżarzonymi jak węgielki, a po chwili wyszczerzył zęby.

Esper ujrzał rozwarte do granic możliwości szczęki. Stalowe ręce wampira zacisnęły się na tchawicy. „O Chryste! Jestem trupem! Trupem!” — krzyczał w myślach.

— Możesz nim być — wysapał Harry. — I to bardzo szybko. Zależy tylko od tego, jak grzecznie będziesz się zachowywał. A teraz mów: kto zabił Darcy’ego Clarke’a?

Mężczyzna, niski i krzepki, oburącz próbował oderwać dłonie Keogha od swojej krtani. Bez skutku. Zsiniąły zdołał jednakże pokręcić głową, odmawiając ja-

kiejkolwiek odpowiedzi na to pytanie; mógł jedynie charczeć. Jednak nekroskop i tak wyczytał wszystko z jego mózgu. „Paxton! Ten wredny, obleśny...”

Harry’ego zaczęła rozsadzać wściekłość. Tak łatwo byłoby po prostu zacisnąć ręce... ale nie mógł karać tego człowieka za coś, co zrobił ktoś inny. Poza tym nie chciał ulec szalejącej wewnątrz niego bestii.

Odepchnął mężczyznę, wziął głęboki oddech, zaczął wydzielać wampirzą mgłę i po chwili... zniknął.

Przeniósł się przez kontinuum do mieszkania Johnny’ego Founda.

Zdawał sobie sprawę, że nie ma zbyt wiele czasu. Wszystko zależało od tego, ilu ludzi przysłał wydział. Z pewnością byli wyposażeni w odpowiedni sprzęt. Kusza stanowiła diabelnie nieprzyjemną broń, lecz miotacz ognia po stokroć gorszą!

Mieszkanie Founda było brudne jak chlew i nie inaczej cuchnęło. Harry poruszał się po nim, niczego nie dotykając.

„Nawet moje buty się zapaskudzą” — pomyślał.

Na początek sprawdził drzwi. Były niewyobrażalnie grube, wykonane ze staromodnej dębiny, zamocowane na masywnych zawiasach i opatrzone trzema zamkami oraz dwiema dużymi zasuwami. Najwyraźniej Johnny nie życzył sobie, by ktoś się włamał.

Nekroskop także poczuł się bezpiecznie.

Zatrzymał się w pokoju przy małym, ciemnym oknie z widokiem na spokojną teraz ulicę. Jedna z szuflad biurka stojącego przy ścianie była na wpół wysunięta. Harry zauważył w jej wnętrzu jakiś metaliczny połysk. Na blacie leżał wymięty i poplamiony kalendarz z zakreśloną długopisem aktualną datą i jakimiś gryzmołami na marginesie oraz zapisaną kartką papieru, noszącą znak firmowy Frigis Express. Kalendarz nie wydał mu się szczególnie ważny... dopóki Harry nie przeczytał nabazgranej wiadomości.

„Johnny

Dzisiaj wieczorem. Trasa do Londynu. Załaduję dla ciebie twoją szczęśliwą ciężarówkę. Odbierz ją w zajezdni o 23.40. Dostawa dla Parkinsona w Slough. Mają z samego rana przygotować towar dla Heathrow Suppliers, więc nie możemy się z tym spóźnić. Przepraszam, że tak późno cię powiadamiam. Jeśli nie dasz rady, daj mi znać jak najszybciej”.

Notatka była podpisana jakimś zawijasem nie do rozszyfrowania. Data na górze świadczyła, że Johnny tego wieczoru miał udać się do Londynu. Powinien więc wyjechać z zajezdni w Darlington 23.40.

Harry spojrział ponownie na kalendarz. Na marginesie obok zakreślonej daty Found napisał: „Trasa do Londynu! Świetnie, bo czuję się wspaniale, i to może być moja noc. A mam ochotę przewinać coś. . .”

Zerknął na zegarek, dochodziła 23.30.

Nekroskop podjął natychmiastową decyzję. Jego szalona ofiara wykorzystywała ciężarówkę Frigis Express do swych obłąkanych zabaw, morderstw i nekromancji. Wobec tego ten wóz przyda się Keoghowi przy wymierzaniu kary. Teraz Harry potrzebował tylko jakiegoś przedmiotu należącego do szaleńca.

Szarpnięciem otworzył zupełnie szufladę biurka. Wewnątrz zatrzęsło się kilka ciężkich, metalowych rurek, umieszczonych w wyłożonych aksamitem przegródkach.

Found musiał zrobić sam albo zlecić komuś wykonanie owych przedmiotów, którymi następnie dręczył swe ofiary. A przynajmniej jedną z nich. Na błyszczącym metalu namalowano małym pędzlem czarne litery: „Penny”. „To właśnie to ostrze weszło w Penny, zanim wszedł w nią Found” — pomyślał Keogh.

Narzędzie idealnie pasowało do opisu podanego przez Pamelę Trotter. Był to fragment stalowej rury o wewnętrznej średnicy około półtora cala, której jeden koniec ścięto w poprzek i zaopatrzono w gumową osłonę na uchwyt, a drugi ukośnie, tak że tworzył ostrze. Nekroskop już wiedział, w jaki sposób — i w jakim celu — można posłużyć się tym ohydny nożem. Sama myśli o tym przyprawiała o mdłości.

Harry spojrział na pozostałe narzędzia zbrodni. Było ich jeszcze pięć. Cztery podpisano imionami dziewcząt, których nazwiska Harry pamiętał z akt policyjnych, lecz nie znał osobiście, piąta rurka nosiła imię „Pamela”. Ten łajdak przechowywał je jak pamiątki, jak fotografie dawnych miłości. Keogh pomyślał, że pewnie się przy nich onanizował.

Znalazł sześć okazów tej specyficznej broni, lecz szuflada zawierała siedem wyłożonych aksamitem przegródek. Siódmą tuleję Found musiał zabrać z sobą, tylko ta prawdopodobnie nie została jeszcze podpisana.

Nagle wampirza świadomość Harry’ego ostrzegła go, że ktoś a właściwie kilka osób — wchodzi przez główne drzwi i skrada się korytarzem. Harry posłał tam mackę swoich myśli, zajrzał do umysłów. Czyjś inny umysł lustrował go przez chwilę, by zaraz cofnąć się w zgrozie i przerażeniu. Keogh wyczuł jednego średnio uzdolnionego telepatę, pozostali byli zwykłymi policjantami. Oczywiście, uzbrojonymi po zęby.

Nekroskop warknął cicho i poczuł, że twarz wykrzywia mu nienaturalny grymas. Przez krótki, szalony moment rozważał, czy nie stanąć do walki — przecież mógłby nawet zwyciężyć! Jednak przypomniał sobie cel, dla którego tu przybył i wywołał drzwi Möbiusa.

Przeniósł się do zajezdni Frigis Express.

Wynurzywszy się z kontinuum na poboczu drogi łączącej zakłady Frigis z główną szosą, poczuł podmuch powietrza sunącej obok wielkiej ciężarówki. Kierowca wyglądał jak cień, skryty za połyskującą przednią szybą. Napis na burcie pojazdu głosił tylko: „FRIGIS EXPRESS”, jednak Harry’emu powiedział bardzo wiele. Jedno ramię litery „X” złuszczyło się, przez co wyraz przybrał postać „EYPRESS”².

Harry podszedł do skraju jezdni i dostał się na chwilę w snop reflektorów dużego samochodu, trzymającego się nieco w tyle za ciężarówką. Skupione twarze wewnątrz ledwie zwróciły na niego uwagę i wóz przemknął obok.

Jednak w tych twarzach odkrył coś szczególnego. Keogh posłał za nimi swe myśli. Policja! Śledzili Founda; ciągle chcieli go złapać na gorącym uczynku, a przynajmniej przy próbie poderwania jakiejś nieszczęsnej, niczego nie podejrzewającej dziewczyny. W jego mieszkaniu znajdowało się przecież dosyć dowodów, by go zamknąć na... na zbyt krótki czas. Pamela miała bowiem rację — prawdopodobnie umieściliby go w domu wariatów i wkrótce wypuścili.

Nagle Harry przypomniał sobie o Penny, czekającej samotnie w domu w Bonnyrigg. Nie wiedział, jak wiele czasu zabierze mu rozprawa z Foundem. Mógł, oczywiście, zabić go na miejscu lub na wiele sposobów spowodować jego śmierć. Jednak zawarł umowę z Pamelą Trotter, a nie chciał oszukiwać umarłych. Poza tym kara powinna być adekwatna do zbrodni. Nie mógł jednak zostawić Penny samej... Nie na tak długo... Przecież Darcy’ego Clarke’a zabili, czyż nie...

Harry czuł rosnące napięcie... pęczniejące i rozpierające.

Penny myślała przede wszystkim o nim; teraz on musiał w pierwszej kolejności zająć się nią. Przeniósł się szlakiem Möbiusa do Edynburga.

Nie było jej w domu!

Nie mógł w to uwierzyć. Kazał jej tu zostać i czekać na niego. Sięgnął w dal swoim telepatycznym umysłem...

Pozwolił kierować sobą wampirzej świadomości; posłał w czerń nocy sondy, rozbiegające się jak fale po powierzchni żywego stawu myśli, szukał Penny... Lecz nie ją znalazł! Znowu pojawili się esperzy.

Warknął w duchu i poczuł, jak pokrywy ich umysłów zatrząskują się ciasno niczym u mięczaków, przywierających do skały po odejściu fali. Byli blisko, lecz nie za blisko, prawdopodobnie w Bonnyrigg, w jakimś domu, który obrali na swoją kwaterę. Harry wyminął ich i spróbował podążyć dalej, lecz trafił na zakłócenia myślowe, które zasyczały mu w mózgu jak skwierczący na patelni boczek. INTESP zagłuszał jego myśli.

„Niech was wszystkich szlag, wy myślowi szpicle! — zaklął. — Powinienem teraz odejść, pozwalając, byście sami znaleźli sobie drogę do piekła. A na pamięt-

²eypress — identyczna wymowa jak przy „aperess”, tj. małpka, maskotka (przyp. tłum)

kę zostawiłbym wam coś, co z pewnością was tam zaprowadzi, przyprawiając o koszmarne sny!”

Mógł to zrobić, jeśliby sobie tak zażyczył, gdyż nosił w sobie ziarno zarazy. Oto właśnie zapłata dla świata i rasy, która go odepchnęła: zaraza wampirów.

Jego wampir był wciąż jeszcze nie rozwinięty, niedojrzały. Ale krew mieli jedną i ukąszenie musiało być zaraźliwe. A mając do dyspozycji nieskończoną przestrzeń metafizycznego kontinuum Möbiusa, mógłby posiać wampiry na każdym kontynencie zaraz, tej nocy, gdyby tylko zechciał.

Wybiegł do ogrodu. Na niebie świeciły gwiazdy, księżyc już wzeszedł. Panowała noc. Esperzy pojawili się tu nie przypadkiem.

— Więc chodźcie, chodźcie! — zadrwił z nich. — A zobaczycie, co was czeka!

Na skraju ogrodu skrzypnęła furka.

— Harry? — W zasięgu wzroku pojawiła się Penny. Ruszyła ścieżką ku niemu.

— Penny? — nekroskop wyciągnął do niej rękę i myśli. Lecz jej umysł był zamglony, jej psyche utonęła gdzieś, nawet o tym nie wiedząc. Psychiczny smog.

W Harrym wezbrała rozpacz, lecz musiał ją ukryć. Teraz i ona była wampirem — lub wkrótce miała nim zostać — i naprawdę stała się jego niewolnicą. To już nie miało nic wspólnego z namiętnością. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek miało. Przecież w końcu sprowadził ją z za grobu.

— Co robiłaś w nocy na dworze? Kazałem ci czekać.

— Ale noc była taka piękna i, tak jak ty, musiałam coś przemyśleć. — Pozwoliła mu wziąć się w ramiona.

— O czym myślałaś? — zapytał. „Skusiła cię noc. Poczułaś, jak w twoich żyłach zaczyna krążyć ogień. A jutro słońce będzie cię razić w oczy, drażnić skórę” — myślał.

— Obawiam się... że może nie chcesz mnie zabrać z sobą.

— Myliłaś się. Zabiorę. Muszę, gdyż porzucić cię na tym świecie, oznacza podpisać twój wyrok śmierci.

— Ale ty mnie nie kochasz.

— Ależ kocham — skłamał. „Lecz to i tak nie będzie miało znaczenia, bo ty również nie będziesz mnie kochać. Pozostanie nam wszakże nasza żądza.”

— Harry, boję się!

— Nie chcę cię tu teraz zostawiać — powiedział. — Będzie lepiej, jak pójdziesz ze mną.

— Ale dokąd?

Wprowadził ją do domu, przebiegł przez pokoje, zapalając wszystkie światła, po czym prędko do niej wrócił. Pokazał nóż Johnny’ego, podpisany jej imieniem. Penny wciągnęła gwałtownie oddech i cofnęła się.

— Potrafisz go sobie wyobrazić? — zapytał głosem ciemnym jak jesienna noc. — Potrafisz odtworzyć w pamięci jego obraz, patrząc na to i przypominając sobie swój ból i jego rozkosz?

— Ja... chyba zapomniałam. — Wzdrygnęła się. — Starłam się zapomnieć.

— I zapomnisz — przytaknął. — Tak samo jak ja... po wszystkim. Ale nie mogę cię tu zostawić, a muszę skończyć tę sprawę.

— Czy będę go widziała? — Pobladła na tę myśl.

Harry skinął głową.

— Tak. — Jego szkarłatne oczy rozblęskły w niesamowitym uśmiechu. — Tak, a on będzie widział ciebie!

— Ale nie pozwolił, żeby mnie skrzywdził?

— Obiecuję.

— Wobec tego, jestem gotowa... .

* * *

Godzinę wcześniej na dworcu Waverley w Edynburgu Trevor Jordan wsiadł do wagonu sypialnego nocnego pociągu do Londynu.

Nie snuł żadnych planów. Prawdopodobnie rankiem chciał zadzwonić do INTESP i zorientować się, jakie panują nastroje, i może zaproponować im ponownie swoje usługi. Liczył się z tym, że z pewnością go sprawdzą, w tych okolicznościach trudno się spodziewać czego innego i oczywiście będą chcieli dowiedzieć się wszystkiego o jego doświadczeniach z Harrym Keoghem.

Telepata zapłacił za miejsce leżące, jednakże nie mógł zasnąć. Zbyt wiele myśli kłębiło mu się w głowie. Wrócił spomiędzy umarłych i nie potrafił do tego przywyknąć, prawdopodobnie nigdy nie będzie umiał. Nawet człowiek, który wyzdrowiał z beznadziejnej choroby, nie mógł czuć się tak, jak czuł się Jordan. On bowiem zaszedł dalej, niż sięgała jakakolwiek choroba, dalej niż życie samo — i powrócił. A to wszystko dzięki Harry'emu.

Jednakże Jordan nie brał pod uwagę tego, że Harry odwiedził jego umysł. „dotknął” go, choć tylko przelotnie, to jednak na tyle mocno, by zostawić tam swoje ślady. I nie było sposobu, żeby je zatrzeć.

Dla INTESP — a właściwie dla dwóch esperów, idących za Jordanem aż do pociągu, z których jeden był wykrywaczem, a drugi telepata — ślady te przybrały formę skłębionej mgły myślowej, zwanej psychicznym smogiem. Nie mogli, oczywiście, zbyt głęboko wnikać w jego mózg; Jordan, sam będąc wysokiej klasy telepata, zauważyłby to.

Gareth Scanlon, jeden z dwóch śledzących go ludzi, był niegdyś uczniem Trevora, kształconym przez niego do czasu, aż jego własny talent dojrzał. Jordan natychmiast rozpoznałby jego umysł, nie mówiąc już o twarzy czy głosie. Dlatego

też ci dwaj trzymali się od niego z daleka, wsiedli do wagonu przy końcu pociągu, za wagonem restauracyjnym i przez pierwszą część podróży siedzieli w kapeluszach, kryjąc się za gazetami, które zdążyli już przeczytać cztery lub pięć razy.

Trevor jednak ani razu nie skierował się w ich stronę ani nie posłał tam nawet pojedynczej myśli. Po prostu, zadowalał się tym, że siedzi w przedziale sypialnym, słucha stukotu kół na szynach i obserwuje przetaczający się za oknem nocny świat. I cieszył się, że ponownie jest częścią tego świata, nie zastanawiając się zbyt długo, na jak długo.

Gdy pociąg nieco zwolnił przed wiaduktem między Alnwick i Morpeth, Scanlon siadł prosto i nieco spłoszony zamknął oczy, koncentrując się. Ktoś próbował do niego dotrzeć. Jednak te myśli były ostre, czyste i zupełnie ludzkie, bez śladu właściwego wampirom smogu. Odezwała się Millicent Cleary z kwatery głównej w Londynie, gdzie wraz z ministrem pełnomocnym i oficerem dyżurnym INTESP koordynowała działania.

— Gareth? Jak wygląda sytuacja? — Wypowiedź ograniczyła do minimum.

Scanlon rozluźnił barierę zakłóceń myślowych i podał zwięzły opis wydarzeń.

— Teraz jest w wagonie sypialnym, jedzie do samego Londynu — poinformował.

— Może nie dojechać — odparła. — To zależy od tego, jak potoczą się wypadki, ale minister mówi, że może już niedługo będziemy w stanie zgarnąć całą trójkę.

— Co? — Scanlon nie potrafił ukryć przerażenia na myśl, że w każdej chwili może otrzymać rozkaz zabicia człowieka, swojego dawnego przyjaciela.

Przechwyciła to Cleary.

— Owszem, byłego przyjaciela, ale teraz wampira. Minister pyta, czy są jakieś problemy?

— Chodzi o to, że jesteśmy w pociągu, chyba pamiętasz? Nie bardzo możemy go spalić.

— Pociąg zatrzymuje się w Darlington, a tam mamy już agentów. Więc czekajcie na komendę. Może będziecie musieli wysiąść i zabrać Trevora... to jest, Jordana z sobą. To na razie wszystko. Wkrótce znów nawiążę kontakt.

Scanlon przekazał wiadomość swemu koledze, wykrywaczowi Alanowi Kellwayowi, który był jednym z najświeższych rekrutów wydziału.

— Ja nie znałem tak blisko Jordana — rzekł Kellway — więc nie mam takich problemów. Wiem tyle, że był martwy, a teraz żyje, i że to nie jest naturalne. Przywróćmy zatem naturalny porządek rzeczy.

— Ale ja go znałem. — Scanlon skulił się na siedzeniu. — Był moim przyjacielem. To morderstwo!

— Na pierwszy rzut oka, owszem — perorował Kellway. — Ale czy rzeczywiście? Musisz pamiętać, że Harry Keogh, Jordan i im podobni mogliby wymordować cały świat!

— Tak. — Scanlon pokiwał głową. — Właśnie to ciągle sobie powtarzam.

* * *

W kontinuum Möbiusa makabryczny nóż Johnny'ego Founda zachowywał się jak magnes — wskazywał kierunek. A właściwie, to talent lokalizacyjny Harry'ego kierował narzędziem, on sam zaś tylko podążał we wskazaną stronę.

Penny przylgnęła do niego kurczowo. Ciemność kontinuum wydawała się tak gęsta, jakby była ciałem stałym. Działo się tak wskutek braku czegokolwiek materialnego; nawet czas tu nie istniał. Tam gdzie nie ma Nic, nawet myśli mają swój ciężar.

— To jakaś magia — szepnęła na wpół do siebie.

— Nie — odrzekł nekroskop. — Mogę ci jednak wybaczyć ten błąd myślowy. W końcu Pitagoras też tak uważał.

W tym momencie Harry, ekspert od wędrówek w czasoprzestrzeni Möbiusa, wyczuł osłabienie ruchu, co świadczyło, że znalazł Founda.

Otworzywszy drzwi Möbiusa i wyrzawszy na zewnątrz, zobaczył żywoplot równoległy do szerokiej drogi, która biegnąc prosto jak strzeł, ginęła w od dali. Pojazdy przetaczały się z łoskotem po szutrowanej szosie, zamieniając reflektorami krzewy żywoplotu w migocące, żółto-zielono-czarne kalejdoskopy. W tej chwili przemknęła koło nich ciężarówka Frigis Express.

Krótki skok przez kontinuum zaniósł ich milę dalej, gdzie wysiedli na nadziemnym przejściu spinającym brzegi wielopasmowej szosy.

— Jedzie — odezwał się Harry po chwili.

Patrzyli w dół przez szyby osłaniające przejście, jak ciężarówka przejeżdża pod nimi i pędzi dalej drogą. Tylne światła przygasły i wreszcie zniknęły w potokach nocnego ruchu.

— Co teraz? — zapytała Penny.

— Milę lub dwie na południe jest Boroughbridge — wyjaśnił Harry. — Johnny może się tam zatrzymać lub nie. Tak czy owak, nie zamierzam śledzić jego jazdy mila za milą. Wiem na pewno, że gdzieś na tej trasie robi sobie postój, prawdopodobnie przy jakimś całodobowym barze. To przecież jego sposób działania, czyż nie? Jego teren, miejsce łowów, gdzie znajduje swoje ofiary, samotne kobiety w środku nocy. Ale... chyba nie muszę ci tego mówić, prawda?

— Nie, nie musisz. — Penny wzdrygnęła się.

Rozejrzeli się wokół. Po jednej stronie drogi znajdowała się stacja benzynowa, po drugiej przydrożny bar.

— Zrobimy sobie przerwę na kawę, dobrze? A przy okazji może ci wyjaśnię, jak chcę to rozegrać — powiedział Keogh.

— Dobrze. — Skinęła głową i zdobyła się nawet na błydy uśmiech.

Ruszyli przejściem ku schodom wiodącym na dół, do kawiarni. Na górę wchodzili ludzie zmierzający do stacji benzynowej i parkingu po drugiej stronie. Penny chwyciła Harry'ego za ramię.

— Twoje oczy! — syknęła.

Harry założył ciemne okulary i wziął ją za rękę.

— Prowadź mnie — powiedział. — Rozumiesz, tak jak niewidomego.

Nie był to zły pomysł. W kawiarni, gdzie posilała się garstka podróżnych, ludzie obrzuciwszy go spojrzeniami, prędko odwracali wzrok.

„To zabawne — pomyślał Harry. — Ludzie nie patrzą na osobę z jakimś upośledzeniem. A jeśli nawet, to patrzą ukradkiem. Ha! Z pewnością wymykaliby się ukradkiem, gdyby znali istotę mego upośledzenia!”

Jednakże nie znali. W każdym razie, nie wszyscy...

* * *

Na brzegu rzeki nie opodal Bonnyrigg, w ciemności rozpraszanego światłem księżycy i gwiazd stali Ben Trask i Geoffrey Paxton. „Nasłuchiwali” też, czy nie pojawią się jakieś sygnały, lecz jak dotąd bez skutku.

Obserwowali stary dom na przeciwległym brzegu — dom nekroskopa. Wypatrywali ruchu za oszklonymi drzwiami wychodzącymi na taras, cienia padającego na zasłony w oknach na piętrze, jakiegokolwiek objawu życia... albo tego, co życiem nie jest — półżycia.

A obserwując dotykali bezwiednie swej broni. Trask miał karabin półmaszynowy z magazynkiem na trzydzieści dziewięćmilimetrowych naboju, pewnie zamocowany w stalowym łożysku; Paxton trzymał kuszę, której siła pozwoliłaby przeszyć gwajakowym bełtem każde ludzkie ciało.

Miłą dalej, na drodze do Bonnyrigg, czekali w samochodzie dwaj następni agenci INTESP. Obaj posiadali pewne talenty, lecz nie byli telepatami. Żaden z nich nie miał ani doświadczenia Bena Traska, ani „gorliwości” Paxtona. Lecz gdyby stało się to konieczne, z pewnością potrafiliby zrobić, co należy. Samochód został wyposażony w radio, nastrojone na częstotliwość londyńskiej kwatery głównej. W tej chwili ich praca polegała na przekazywaniu wiadomości i wsparciu dwóch ludzi na „pierwszej linii frontu”. Gdyby Trask i Paxton tego zażądali, byłiby w stanie zabrać ich po niespełna minucie. To dawało dwóm mężczyznom nad rzeką przynajmniej cień poczucia bezpieczeństwa.

— No i co? — szepnął teraz Trask, chwytając telepatę za łokieć. — Jest w środku?

Stojąc w pobliżu miejsca, gdzie kiedyś Harry Keogh wepchnął go do wody, Paxton denerwował się. Nekroskop ostrzegł go, że następnym razem... że lepiej byłoby, gdyby nie zdarzył się następny raz. A teraz oto się zdarzył. Dłoń Traska wciąż ścisnęła łokieć Paxtona.

— Nie wiem. — Telepata pokręcił głową. — Ale ten dom jest skażony, na pewno. Nie czujesz tego?

— O tak — przytaknął Trask. — Czuję, że coś w nim nie jest tak. Co z dziewczyną?

— Z pewnością była tu godzinę temu — odrzekł Paxton. — Myśli miała zamglone, tak, psychiczny smog, lecz do pewnego stopnia czytelne. Jest jego niewolnicą, nie ma wątpliwości. Wydawało mi się, że Keogh również tam był, właściwie, przez chwilę miałem pewność, ale teraz... — Wzruszył ramionami. — Telepatia z wampirami to bardzo śliski interes. Trzeba widzieć, nie będąc widzianym, i słyszeć, nie będąc słyszonym.

Zanim Trask zdążył odpowiedzieć lub uczynić jakąś uwagę, przy jego kieszonkowej krótkofalówce zaczęło migać słabe, czerwone światełko. Wysunął antenę i wcisnął klawisz odbioru. Wśród trzasków zwykłych zakłóceń odezwał się cichy, nieco metaliczny głos Guya Teale'a.

— Tu samochód. Jak mnie słyszysz? — zapytał.

— Dobrze — odpowiedział Trask, zniżając głos. — Co się dzieje?

— Otrzymaliśmy wiadomość z kwatery — powiedział Teale. — Mamy przejść na pozycje ostatecznego uderzenia, ustawić się, utrzymywać ciszę radiową i myślową i czekać na komendę.

— Możemy się przygotować, oczywiście, ale jak będziemy mogli uderzyć, skoro naszego celu tam nie ma? Zapytaj dowództwo, dobrze?

— Dowództwo mówi, że jeśli nikogo nie znajdziemy w domu, należy czekać na komendę. Mamy zachować pozycje i obserwować, co się będzie działo. — Odpowiedź Teale'a nadeszła natychmiast.

Grymas na twarzy Traska pogłębił się.

— Poproś ich o potwierdzenie tego. Może na piśmie?

— Już to zrobiłem. — Słychać było wyraźne westchnienie Teale'a. — Zanim się z tobą połączyłem. O ile im wiadomo, Keogh ma z sobą tę Sanderson i razem tropią wielokrotnego mordercę. My z kolei obserwujemy Keogha i Founda, a także Jordana, który jedzie pociągiem do Londynu. Tak więc pozwolimy Keoghowi lub policji rozprawić się z Foundem, a potem ruszymy jednocześnie na niego, dziewczynę i Jordana.

Trask pokiwał głową.

— Zatem jeżeli nasi ludzie nie zgarną Keogha i on ucieknie z powrotem tutaj, my się nim zajmiemy, tak?

— Tak to widzę — odrzekł Teale.

— W porządku — zgodził się Trask. — Zabezpieczcie wóz i chodźcie tu. Spotkamy się przy starym moście... za dziesięć minut. Wówczas przegrupujemy się, rozdzielimy i wybierzemy punkty obserwacyjne z przodu i z tyłu domu. Na razie to wszystko. Do zobaczenia.

Wyłączył krótkofalówkę.

Paxton wpatrywał się nerwowo w ciemność pod drzewami.

— Sądzę, że Teale i Robinson nie sprawdzą się razem.

— Chyba masz rację. — Trask popatrzył na niego surowo. Nie podobało mu się wszystko, co widział. Zwłaszcza to, że co rusz od czuwał, jak talent Paxtona dobiera się do jego umysłu, próbując go otworzyć. — Ja pójdę z Teale'em, a ty możesz wziąć Robinsona.

Paxton odwrócił się, jego oczy zabłysły dziko w świetle księżyca.

— Nie chcesz, żebyśmy pracowali razem?

— Powiem ci otwarcie, Paxton — rzekł Trask. — Jedyńm powodem, dla którego chciałem tu z tobą pracować, było to, żeby mieć cię na oku. Widzisz, myślę, że jesteś nabuzowany, i to wpływa na twoje zachowanie. Tak, masz rację, nie chcę, żebyśmy pracowali razem. W gruncie rzeczy, wolałbym pracować z zasranym rekrutem!

Paxton skrzywił się i zaczął iść w stronę drogi. Ale Trask chwycił go za rękę i obrócił ku sobie.

— Ach, jeszcze jedna rzecz, panie niezmiernie utalentowany telepatu. Mam około dziewięćdziesięciu procent pewności, że próbowałeś czytać w moich myślach. Kiedy będę miał sto, pierwszy się o tym dowiesz. A wtedy Harry Keogh nie będzie jedynym, który cię wepchnął do rzeki. Jasne?

Paxton miał dosyć rozsądku, żeby nic nie mówić. W milczeniu wrócili na drogę i podeszli do starego kamiennego mostu, by tam zaczekać na Teale'a i Robinsona...

* * *

Harry i Penny wypili pierwszą kawę pół godziny temu. Teraz sączyli drugą. Penny spróbowała jeszcze ciasta z kremem, lecz ugryzła ledwie jeden kęs. Nie była pewna, czy to wina ciasta, czy jej nastroju, lecz skoro nic nie smakowało właściwie, doszła do wniosku, że jednak wiąże się to z jej samopoczuciem. Nekroskop raz po raz sięgał do swej wewnętrznej kieszeni i ścisnął w dłoni okropną broń Johnny'ego. Za każdym razem Penny miała świadomość, że dotyka narzędzia, którym zadano jej niegdyś śmierć — i za każdym razem przeszywał ją dreszcz.

Harry po raz kolejny sięgnął do kieszeni.

— A jeśli on się nie zatrzyma? Jeśli pojedzie bez przystanku od Londynu? — krzyknęła Penny.

Harry wzruszył ramionami.

— Jeżeli będzie się na to zanosić, to pozwolę mu dojechać... aż... do... — Przerwał gwałtownie, dotykając palcami makabrycznego noża, i na chwilę przykrył oczy, ukryte za ciemnymi okularami. Gdy je ponownie otworzył, jego głos zabrzmiał zimno i ostro: — Ale nie dojdzie do tego. On już się zatrzymał!

— Wiesz, gdzie? — ścisnęła go za rękę.

Potrząsnął głową.

— Nie. Jedyne sposob, żeby się tego dowiedzieć, to udać się tam i sprawdzić.

— O mój Boże! — szepnęła. — Mam zobaczyć człowieka, który mnie zamordował?

— A co ważniejsze — dodał Harry — on zobaczy ciebie. I na pewno go to zastanowi. Jeśli czyta gazety, z pewnością wie, że Penny, jedna z zamordowanych przez niego dziewcząt, miała sobowtóra, noszącego dziwnym trafem to samo imię. Jednak trudno mu będzie uwierzyć, że właśnie natknął się na tę osobę. Bo są przypadki i przypadki. Jeśli ma w głowie choć krzynek rozumu, wyda mu się to cholernie podejrzane, zaniepokoi go. A właśnie to chcę zrobić: zaniepokoić go. Myślę, że Johnny zasługuje na kilka ciężkich chwil, zanim ostatecznie wyrównamy z nim rachunki.

— My? — zdziwiła się. — Wygląda... jakbyś mnie wykorzystywał, Harry.

— Przypuszczam, że tak jest — odpowiedział pozwalając, by go wyprowadziła z baru. — Jednak nie tak bezwzględnie, jak on to zrobił. I nie mów mi, że to niesprawiedliwe. Sprawiedliwość jest jak piękno, zależy od punktu widzenia. Co więcej, nie proszę cię o wiele, chcę tylko, żebyś tam była. Główną rolę w tym spektaklu zagra kto inny.

— Może i masz rację — rzekła, gdy Harry objął ją, otworzył drzwi i wniósł przez próg do kontinuum Möbiusa.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Upiorne skrzyżowanie

Johnny zatrzymał się przy przydrożnym barze na północ od Newark. Wybrał autostradę A1, gdyż stacje usługowe przy tej drodze były lepsze i korzystali z nich nie tylko kierowcy ciężarówek i podróżni, lecz także mieszkańcy pobliskich miejscowości. Johnny wiedział z doświadczenia, że około północy, kiedy miejskie i wiejskie kluby pustoszeją nieco, młodzi przyjeżdżają do barów na tani posiłek, przepici i wyczerpani tańcami. Zatrzymywał się tutaj już wcześniej, lecz dotąd nie dopisywało mu szczęście.

Zaparkował swoją ciężarówkę na asfaltowym placu. Ustawił ją przodem do drogi wyjazdowej. Znalazł miejsce przy głównym skrzyżowaniu; parking dla aut był zatłoczony, plac dla ciężarówek prawie pusty. Ludzie wchodzili małymi grupkami do jasno oświetlonego baru. Johnny chciał upodobnić się do zwykłego podróżnego, pochylającego się nad porcją kurczaka z frytkami i kuflem bezalkoholowego piwa.

Wewnątrz, przy kontuarze samoobsługowym, nie było prawie kolejki. Po krótkiej chwili usadowił się przy stole w narożnej łoży i zaczął dziobać posiłek, co jakiś czas rozglądając się po sali za jakąś odpowiednią kobiecą twarzą. Zauważył kilka dziewcząt, ale... nie pasowały mu. Jedne za stare, inne zbyt ponure, to znów o twarzach bez wyrazu, bystrookie, w towarzystwie albo lodowato trzeźwe. Było też parę pięknoookich podlotków, lecz wszystkie siedziały na kolanach swoich chłopaków. Na trasie do Londynu znajdowało się jeszcze mnóstwo takich miejsc. Nigdy nie wiadomo, kiedy uśmiechnie się szczęście...

Przypomniała mu się panienska, która kiedyś na opustoszałym odcinku drogi przemknęła obok niego w maleńkim, czerwonym aucie sportowym. Pognał za nią i zepchnął z jezdni do rowu. Potem wysiadł, przeprosił i powiedział, że to był przypadek i że chętnie podrzuciłby ją do najbliższego garażu. A potem ona dała mu się przejechać, i to nie byle jak. Tamtej nocy Johnny był w dziwnym nastroju — zabiwszy dziewczynę, wyciął dziurę w jej szyi pod szczęką, a potem rznął w gardło. Dziewczyna wszystko czuła i jęczała z bólu. Już wcześniej brała do gardła, tylko nie z tej strony.

To wspomnienie podnieciło go. Pragnął tej nocy jakąś mieć.

Już chciał jechać dalej, do innej knajpy, lecz nagle zobaczył. . .

Nie mógł uwierzyć; była tuż obok, w pobliskiej łoży. Siedział tam też jakiś ślepiec, a w każdym razie, facet w ciemnych okularach, ale nie wyglądało na to, że jest razem z nią. Piła kawę, tylko kawę i wyglądała tak samo, jak ta ostania.

Dokładnie tak samo. Johnny'emu zakręciło się w głowie, bo mógłby przysiąc, że już ją wcześniej miał! „Jak to możliwe? — pytał siebie. — Jak to możliwe?!” Odpowiedź brzmiała: to niemożliwe. Chyba że ta dziewczyna była bliźniaczką tamtej. . . albo sobowtórem!

I wówczas przypomniał sobie, że czytał o tym coś w gazetach: wszyscy myśleli, że ta, którą miał w Edynburgu — Penny, tak się nazywała — jest kimś innym. Ale wtedy tamta pojawiła się żywa, wierne odbicie tej, którą przerznął, zamordował i znowu przerznął. A co dziwniejsze, tamta nowa również nazywała się Penny. Zbieg okoliczności? Być może. Ale najbardziej niezwykle wydawało się to, że spotkał ją właśnie tu i teraz.

Johnny zaczął powoli kierować spojrzenie ku rzeźbionym w roślinne motywy, szklanym parawanom, które dawały gościom w łożach złudzenie prywatności. Wreszcie jej twarz znalazła się w zasięgu jego wzroku. Przez moment patrzyli na siebie. Niby-ślepy facet, który siedział w jej łoży, był odwrócony plecami do Johnny'ego.

Nie wyglądał zbyt okazale, zgarbiony nad swoim kubkiem kawy.

„Może jej ojciec?” — pomyślał morderca.

„Nie, jej kochanek — odparł Harry Keogh, kierując te myśli tylko do siebie. — Jej kochanek-wampir, ty wywłoko.”

Penetrował umysł Founda od chwili, gdy weszli z Penny do lokalu. Po raz pierwszy natknął się na tak cuchnące psychiczne szambo. Fakt, że nekromanta rozpoznał w Penny swą byłą ofiarę, albo też sobowtóra ofiary, potwierdził przypuszczenia Harry'ego, wzmocnił determinację. Ale to rozpoznanie nie pociągnęło za sobą reakcji, której nekroskop oczekiwał. Ciekawość — owszem, ale nie strach. W pewnym sensie, można to było uznać za zrozumiałe.

Found wiedział, że ta druga Penny nie żyje; wiedział, że to nie może być dziewczyna, którą zgwałcił. Mimo to szok trwał zbyt krótko i Harry poczuł się zawiedziony. Teraz rozumiał, że ma do czynienia z zimnym draniem. Zastanawiał się, czy Found będzie potrafił zachować zimną krew, gdy stanie w obliczu tego, co jest mu pisane.

Opuściwszy umysł Johnny'ego, nekroskop pochylił się nieco nad stołem.

— Widzę, jak bardzo jesteś wstrząśnięta — powiedział. — Potrafię to zrozumieć. Przykro mi, Penny, ale postaraj się zachować spokój. Kiedy Found wyjdzie, pójdę za nim. Ty tu zostaniesz i zaczekasz na mnie. W porządku?

— Wydaje się, że podchodzisz do tego tak. . . beznamiętnie, Harry.

— Zdecydowanie — sprostował. — Ale widzisz, Found naprawdę jest bezwzględny i gdybym pofolgował swoim emocjom, mógłby zyskać pewną przewagę.

Mówiąc to, Harry zobaczył dwóch mężczyzn wchodzących do baru. Wyglądali dość pospolicie, a jednak było w nich coś odmiennego. Gdy posuwali się wzdłuż kontuaru, biorąc napoje chłodzące, rozglądali się po całym lokalu. Harry spróbował zajrzeć do ich umysłów i... telepatyczna sonda trafiła na barierę zakłóceń myślowych.

Natychmiast się wycofał. Przynajmniej jeden z tych ludzi był esperem, a to oznaczało, że INTESP depcze po piętach... Johnny'emu Foundowi, a zarazem jemu. Keogh nie chciał mieć ich na karku. Tym razem naprawdę nie mógł pozwolić sobie na taką komplikację.

Przypomniał sobie samochód, który sunął za ciężarówką Founda na drodze za Darlington. Nie oznakowany wóz policyjny z... dwoma czy trzema ludźmi w środku. Wówczas sądził, że to policjanci, teraz wiedział więcej. Zmienacka poczuł, że w gardle narasta mu pomruk. Jego druga natura — ta wampirza — zareagowała na zagrożenie. Świadom baczego spojrzenia Penny, zdusił w sobie ten warkot.

— Harry? — Głos miała zatroskany. — Jesteś bardzo blady.

— Muszę coś załatwić — powiedział. — To oznacza, że zostawię cię tutaj, ale tylko na chwileczkę. Poradzisz sobie?

— Tutaj, sam na sam z nim? — Oczy miała wielkie i okrągłe.

— W barze jest z pięćdziesiąt osób — odparł. „A co najmniej dwie z nich to twardziele.” — Przyrzekam, że zaraz będę z powrotem.

Dotknęła jego ręki i skinęła głową.

— Wobec tego, poradzę sobie.

Harry wstał, rzucił jej wymuszony uśmiech i wyszedł w ciemność nocy.

Postronnemu obserwatorowi mogłoby się zdawać, że zmierza do męskiej toalety, lecz przechodząc obok wahadłowych oszklonych drzwi wyjściowych, skręcił nagle.

Znalazł się na zewnątrz, przykucnął, wytworzył mgłę i spowity nią jak całunem zaczął przesuwając się między samochodami, ustawionymi w szeregu niczym żołnierze. Wiedziony zmysłami swego wampira, poszedł prosto do nie oznakowanego wozu policyjnego.

Kierowca, policjant w cywilu, siedział z łokciem opartym na progu okna. Wyraźnie widoczny mimo mroku wyglądał na zewnątrz i wdychał łagodne nocne powietrze.

Wciąż wydzielając opary, nekroskop przegiął się w tył w jakimś akrobatycznym mostku i jak pająk, z tułowiem tuż nad ziemią, podpełznął bezszelestnie wzdłuż boku samochodu. Nagle wstał.

Policjant rozdziawił szeroko usta, chwytając w osłupieniu spazmatyczny oddech, kiedy niespodziewanie jakiś cień przesłonił gwiazdy. Keogh zadał pojedynczy cios, który rzucił kierowcę na przednie siedzenie.

Nekroskop sięgnął do wnętrza samochodu i złamał kluczyk w stacyjce. Chciał uniemożliwić im dalszą jazdę za nim lub za Johnnym. Wyjął z kieszeni nóż Founda i na wszelki wypadek wbił go w oponę, aż powietrze uszło z sykiem. Podnosząc się, zerknął na tylne siedzenie samochodu i... zamarł.

Noc nie stanowiła przeszkody dla oczu nekroskopa, była jego żywiołem. Widział wnętrze samochodu wyraźnie jak w dzień. A tam, na tylnym siedzeniu rysował się duży, wstrętny, ciemny kształt — miotacz ognia. Na podłodze połyskiwały chromowaną stalą stałą dwie nabite kusze.

Harry syknął. Pojął, że szykowali się na niego.

Rzucił się do drugiego koła i przebił oponę, po czym obszedł wóz i uczynił to samo z trzecim. Wówczas zatrzymał się i zaczerpnął powietrza.

Drżał, ale nic poza tym. Ten krótki wybuch agresji spełnił rolę zaworu bezpieczeństwa, uwolnił ogromne napięcie. Gdy mgła zaczęła rzednąć, nekroskop westchnął z ulgą, wyprostował się, przyjmując bardziej ludzką postawę, schował nóż i ruszył z powrotem w stronę baru.

* * *

Te parę chwil — najwyżej dwie, trzy minuty — wystarczyło, by Penny pojęła w pełni, jakim zagrożeniem był dla niej Johnny Found. Od momentu gdy Harry wyszedł przez wahadłowe drzwi i zniknął w mroku nocy, wiedziała, że nie potrafi czekać spokojnie w jednym pomieszczeniu z tym potworem, niezależnie od tego, czy wokół będzie pięćdziesiąt, czy pięćset osób.

Te parę chwil pozwoliło też Johnny'emu podjąć decyzję.

Penny miała stać się ofiarą. Sądził, że facet w ciemnych okularach nie jest jej towarzyszem. Co więcej, widział, że dziewczyna unika jego wzroku.

Odsunął na bok talerz i oparł ręce na stole, dłońmi w dół, jakby zamierzał się podnieść. Przez cały czas wpatrywał się w Penny pragnąc, by spojrzała w jego stronę. Po chwili zerknęła ukradkiem i ujrzała, że wstaje. Cała krew odpłynęła jej z twarzy. Poderwała się i wymknęła ze swej łóżki, cofając się przed nim. Wpadła na jakiegoś grubego mężczyznę z tacą; mleko, gorące danie i bułki poleciały na wszystkie strony.

Johnny kroczył za nią, siląc się na niepewny uśmiech. Wyglądało na to, że chce powiedzieć: „Co się stało? Czy cię przestraszyłem?” Każdy obserwator pomyślałby: „Co, do licha, się dzieje z tą dziewczyną? Jest pijana czy może naćpana? Taka błada! A ten miły młodzieniec wydaje się tak bardzo zdziwiony”.

Johnny Found rzeczywiście wyglądał jak „miły młodzieniec”. Kiedy Harry Keogh go zobaczył, był zaskoczony tym, że nekromanta wygląda tak zwyczajnie.

Średni wzrost i masywna budowa, długie do ramion blond włosy, zdrowe mocne zęby i pełna twarz, niemal niewinny uśmiech... Obraz psuła jedynie lekko żółtawa cera. A także oczy — ciemne i głęboko zapadnięte. Oraz fakt, że mieszkał w chlewie i z zimną krwią znęcał się zarówno nad żywymi, jak i martwymi ciałami.

Penny przeprosiła zbaraniałego, zręczącego coś grubaska, który obmacywał ociekającą mlekiem marynarkę. Podniosła wzrok i gdy ujrzała, że Johnny zbliża się do niej, odwróciła się i ruszyła do wyjścia. Johnny wzruszył ramionami i skrzywił się lekko, jak gdyby mówił: „Dziwna dziewczyna... ale to nie ma nic wspólnego ze mną, ludzie!”, po czym spokojnie poszedł za nią.

Tak jednak był pochłonięty udawaniem i złakniony dziewczyny, że dotarł do kołyszających się jeszcze drzwi i przeszedł przez nie, nie zauważywszy, że dwóch czujnych mężczyzn rusza jego śladem.

Na zewnątrz Penny miotała się nerwowo, nie wiedząc, dokąd uciekać. Nad rozległym, po części otoczonym drzewami parkingiem unosiła się cienka warstwa mgły. Reflektory pojazdów z pobliskiej bocznej drogi świeciły jej w oczy. Nie mogła nigdzie dostrzec Harry'ego. Natomiast Jonny Found widział Penny i był coraz bliżej.

Usłyszała, jak chrzęści żwir na prowadzącej od drzwi baru ścieżce, lecz bała się odwrócić. Oczywiście, to mógł być ktokolwiek... lecz równie dobrze tamten. Wyteżyła wszystkie zmysły, próbując określić, kto się od niej zbliża. „Boże — modliła się — żeby to tylko nie był on!”

— Penny? — zagadnął chytrze, z lekkim niedowierzaniem.

Teraz odwróciła się, ale dziwnie sztywno i powoli niczym lalka poruszana przez paralitycznego mistrza marionetek. I ujrzała, jak zbliża się do niej z przyklepionym do ust uśmiechem.

Serce w niej prawie zamarło; chciała krzyknąć, lecz zdobyła się jedynie na zdławiony jęk. Tracąc niemal przytomność, padła w jego ramiona. Johnny chwycił ją i rozejrzał się szybko. Nikogo nie dostrzegł.

— Moja! — zbulgotał, wpatrując się w jej szkliste oczy. — Cała jesteś moja, Penny!

Chciał jej zadać kilka pytań, tu i teraz, lecz wiedział, że ich nie usłyszy. Wymykała mu się, uciekała przed nim i przed przerażeniem w inny świat. Uciekała w nieświadomość.

Znajdowali się przed barem, na parkingu samochodowym. Dalej był plac dla ciężarówek. Oba te miejsca dzielił pas drzew. Johnny podniósł Penny i pobiegł w tamtą stronę. Z lokalu wypadli kolejni ludzie: wykrywacz z INTESP i detektyw z Wydziału Specjalnego. Ujrzeni, jak znikają w mroku. Pobiegli pędem za mordercą i ofiarą — a za nimi pognał nekroskop.

Harry usłyszał psychiczny krzyk Penny. Była zbyt przerażona, by w ogóle wydobyć z siebie jakikolwiek dźwięk. Wzywała go. Wołanie przyszło w chwili, gdy oddalał się od unieruchomionego wozu.

Keogh w biegu przypominał bardziej wilka niż człowieka. Poruszał się niczym cień chmury przemykającej się w świetle księżyca. Jednak gdy wpadł między drzewa, chcąc trafić na Johnny'ego i jego ofiarę, pojął, że popełnił błąd. Drzewa i krzewy były ozdobną ścianą mającą oddzielać oba parkingi, a jako takie zostały wzmocnione ogrodzeniem z drutu kolczastego. Harry stracił cenne sekundy, wspinając się na płot, zaklął i otworzył drzwi Möbiusa. W następnej chwili wynurzył się zza pasa drzew na skraju twardej nawierzchni... gdzie zderzyła się z nim zataczająca się, bełkocząca coś postać. Esper rozpoznał Harry'ego od razu — wyczuł zatrwającą moc jego metafizycznego umysłu i wampira w środku — i wyrzucił w górę rękę, by zasłonić się przed nim. Dłoń miał zakrwawioną, podobnie jak ziejącą w policzku ranę. Johnny Found wydarł mu jedną trzecią twarzy.

Harry przytrzymał go, warknął, po czym pchnął w stronę jednej z drózek wśród drzew.

— Idź po pomoc, szybko, zanim wykrwawisz się na śmierć!

Esper wykrztusił jakiś nieartykułowany dźwięk i oddalił się. Nekroskop uwolnił swą wampirzą świadomość, obejmując nią cały parking. Natychmiast odnalazł trzy osoby: Penny — nieprzytomną; Johnny'ego Founda — wściekłego; oraz zamordowanego policjanta.

Harry określił dokładnie ich położenie, otworzył drzwi i wbiegł w nie... by wyłonić się z tyłu ciężarówki Frigis Express, gdzie właśnie Johnny zasuwiał rygiel drzwi przyczepy.

U jego stóp leżały skręcone zwłoki mężczyzny, tonące w kałuży krwi. Lewa strona twarzy zmieniała się w czerwoną miazgę.

Nekromanta zabrał pistolet policjanta. Wyczuł teraz obecność Harry'ego, obrócił się, wymierzył i strzelił. Harry, który biegł pochylony, poczuł potężny cios. Kula ugodziła go w prawy obojczyk, obróciła i rzuciła na asfalt.

Sploszony eksplozją i błyskiem Johnny zaczął szarpać się niezdarnie z bronią i upuścił ją. Potknął się o wijącego się z bólu Keogha. Potem pobiegł do kabiny, jednocześnie śmiejąc się, klnąc i wrzeszcząc.

Zapalony silnik zawył na wysokich obrotach. Syknęły pneumatyczne hamulce i rozbłysły światła wsteczne, dorównując purpurą oczom Harry'ego i czerwonej galaretowatej papce wyciekającej z głowy martwego policjanta. Targany bólem, nekroskop widział, jak ogromne cielsko ciężarówki drgnęło, szarpnęło się i zaczęło cofać. Po chwili para podwójnych kół zawirowała z piskiem i wciągnęła pod siebie zwłoki policjanta. Koła uniosły się ledwie o cal, a ciężar samochodu wycisnął wnętrzności z trupa jak pastę z tubki; trysnęła krew i trzewia.

„Ten ma szczęście, że jest martwy — pomyślał Harry w oszołomieniu. — Z pewnością nie podobałoby mu się to, gdyby jeszcze żył.” Nie kontrolował tych

skojarzeń, spowodowanych szokiem na widok rozbryzgującego się mózgu, kału i pokreślonych jelit, a przecież wypowiedział je w mowie zmarłych i policjant je usłyszał. Harry odturlał się rozpaczliwie na bok, uciekając przed cofającą się ciężarówką. Ociekające szkarłatem koła minęły go o włos. Wśród ryku silnika, smrodu i breji na asfalcie usłyszał elektryzującą odpowiedź policjanta:

— Ale ja to czułem! Boże, to było jak druga śmierć! — rozległo się.

Krew Harry'ego zastygła. Przypomniawszy sobie, że ciężarówkę prowadzi Johnny Found, nekromanta, którego czyny przypominają działania Dragosaniego.

Pneumatyczne hamulce zasyczały i ciężarówka zatrzymała się, drgnęła, ruszyła do przodu i pojechała z łoskotem ku wyjazdowi.

Johnny Found próbował uciec, uwożąc Penny.

„O nie, pieprzony bydlaku!” — Harry zlokalizował w umyśle położenie ciężarówki, podniósł się na kolana, runął w drzwi Möbiusa i pojawił się z powrotem w przyczepie chłodniczej. Było tu ciemno, ale to w niczym mu nie przeszkadzało. Dostrzegł Penny, podczołgał się do niej i wsunął rękę pod głowę, by ułożyć ją sobie na kolanach. Podniosła powieki i spojrzała w jego świecące oczy.

— Harry, ja... nie zostałam w barze — wyszeptała.

— Wiem — burknął. — Czy on cię zranił?

— Nie. — Potrząsnęła lekko głową. — Ja... chyba tylko zemdlałam.

— Trzymaj się mnie — powiedział Keogh.

Przepuścił przez komputerowy ekran swego mózgu równanie Möbiusa. W chwilę później Penny poczuła budzącą grozę gęstość kontinuum, a zaraz potem powróciła grawitacja. Opadli bezwładnie na łóżko Harry'ego w domu pod Bonnyrigg.

— Tym razem zostań tu! — rozkazał.

I zanim zdążyła choćby usiąść, oddalił się...

* * *

Millicent Cleary, minister pełnomocny, Chung i drugi oficer dyżurny, skupili się po jednej stronie dużego biurka w pokoju sztabowym kwatery głównej INTESP. Biuro zostało wyposażone w odbiornik radiowy, radiotelefon, normalne telefony, powiększone mapy Anglii pod oświetloną folią oraz tacę zawierającą różne drobne przedmioty należące do terenowych agentów wydziału.

Millicent Cleary właśnie odebrała od Paxtona zwięzły sygnał telepatyczny, stwierdzający, że grupa szturmowa zajęła pozycje. Keogh i dziewczyna wrócili. Lecz Paxton i Frank Robinson sądzili, że tylko jedno z tych dwojga pozostało w domu. Ponieważ nie można było wyczuć żadnych znacznych zakłóceń w psychicznym „eterze”, przypuszczali, że tą osobą jest dziewczyna.

Cleary przekazała zebrany treść myślowego komunikatu. Minister parsknął z irytacją.

— Dochodzę do wniosku, że mieliście rację co do Paxtona — rzekł. — Zdaje się, że on nie będzie zadowolony, póki nie zawładnie światem.

Cleary zmarszczyła brwi.

— Raczej, póki nie zniszczy tego świata — powiedziała cierpko. — Mamy rację i nie trzeba nadprzyrodzonych zdolności, by to stwierdzić. On jest groźny. Mamy szczęście, że jest z nim Ben Trask. Czy mam mu coś przekazać?

Minister popatrzył na nią — a także na Chunga, który w skupieniu dotykał licznych przedmiotów leżących na tacy, sondując miejsce pobytu, nastroje i uczucia aktywnych agentów — i zastanowił się nad sytuacją.

Telepata Trevor Jordan, który według wszelkich danych i praw natury powinien być jedynie garstką prochów w urnie, znajdował się w nocnym pociągu, jadącym do Londynu przez Darlington. W tym samym pociągu było dwóch agentów INTESP, którzy nie przewidywali większych kłopotów, mimo że Jordan wydawał się być wampirem. Zostali jednak wyposażeni w silną broń automatyczną, poza tym jeden miał niewielką, acz śmiertcionośną kuszę.

Kolejny człowiek zmierzał na stację kolejową w Darlington, aby udzielić im wsparcia. Poruszał się samochodem; w jego bagażniku leżał miotacz ognia.

Penny Sanderson, również wampirzyca, przebywała prawdopodobnie w domu Keogha pod Bonnyrigg. Obecni tam agenci tworzyli najsilniejszą grupę esperów, jaką INTESP mógł zebrać.

Nekroskop mógł znajdować się dosłownie wszędzie, ale najprawdopodobniej tropił Johnny'ego Founda. Jego tajemnicą było, co go do tego skłoniło. Motywem mógł być fakt, że Sanderson była jedną z ofiar Founda. Wieść niosła, że wampiry zawsze były niesłychanie mściwe.

Tak więc, gdyby INTESP wkroczył teraz do akcji, dwa cele z trzech zostałyby wyeliminowane, jednak Keogh nadal pozostałby wielkim znakiem zapytania, osią sprawy, wokół której wszystko się kręciło. A wszystkim wyszłoby na dobre, gdyby nekroskopa udało się usunąć w tym samym czasie co resztę.

— Sir? — Dziewczyna wciąż czekała na odpowiedź.

Minister otwierał już usta, lecz w tym momencie podniósł rękę Chunga.

— Chwileczkę! — powiedział.

Cleary i minister spojrzeli na lokalizatora. Jego druga dłoń spoczywała na zapalniczce, należącej od dawna do Paula Garveya, telepaty współpracującego z policją w Darlington. Nagle oderwał rękę od tacy, cofnął się nieco od biurka. W chwilę później opanował się i wrócił na miejsce.

— Garvey został ranny! — powiedział. — Nie wiem, w jaki sposób, ale to poważne... — Zamknął oczy i jego dłoń unosiła się przez chwilę nad mapami, pokrytymi przezroczystym laminatem.

— Potrafisz połączyć się z Garveyem? — minister zapytał Cleary.

— Pracowałam z nim wiele razy — odrzekła. — Spróbuję.

Zamknęła oczy i skoncentrowała uwagę na myślowym obrazie znajomego espera. Od razu go złapała. Garvey właśnie nadawał. Jednak jego sygnał i przekazy były słabe, wypaczone, zniekształcone bólem, który Cleary również poczuła. Zachwiała się, na sekundę straciła kontakt. Zaraz go odzyskała, jednak po chwili sygnał zgasł i telepatyczne myśli rozsypały się na kawałki. Natłok psychicznych wiadomości nie był wszakże pozbawiony obrazów, które Cleary zdążyła odebrać, zanim Garvey stracił przytomność.

— Twarz Paula jest zmasakrowana! — powiedziała. — Policzek zwisa w strzępach. Ale jest przy nim lekarz. Są chyba w jakimś... barze przydrożnym? Zdaje się, że zaatakował go Johnny Found, ale nekroskop też tam był. Policjant nie żyje!

Minister chwycił ją za rękę, próbował uspokoić.

— Policjant? Nie żyje? I był tam Keogh? Jesteś pewna?

Skinęła głowę, ścisnęła ją w gardle.

— Znalazłam to w umyśle Paula: widok... krwawej dziury w głowie policjanta. I Harry'ego z oczyma żarzącymi się jak czerwone lampki!

— Garvey jest gdzieś tutaj — oświadczył Chung, wskazując na mapę. — Na drodze A1.

Minister nabrał tchu, pokiwał głową.

— No, właśnie — odezwał się. — Wszystko w tej chwili zbliża się do punktu kulminacyjnego. Keogh, być może, podejrzewał to od dawna, ale teraz już z pewnością wie, że depczemy mu po piętach. Więc póki te trzy... trzy istoty znajdują się w różnych miejscach, z których przynajmniej dwie nie mogą uciec, powinniśmy na nie uderzyć. — Zwrócił się do dziewczyny — Panno Cleary... to jest, Millicent, czy Paxton wciąż czeka? Połącz się z nim i wydaj rozkaz natychmiastowego ataku. Potem skontaktuj się ze Scanionem i powiedz mu to samo. — Obrócił się do Chunga. — A ty, Dawid...

Lokalizator jednak już zajął się radiem, rozmawiał z ludźmi w Darlington.

* * *

Zanim ciężarówka Frigis Express przetoczyła się przez łuk objazdu przy skrzyżowaniu A1 i A46 za Newark, Johnny Found odzyskał spokój. Prowadził sprawnie i przepisowo. Gdyby przy objeździe stał patrolujący wóz policyjny, funkcjonariusze zapewne nie zwróciliby nawet uwagi na przejeżdżający wóz.

Jednakże nie pojawił się żaden patrol. Natomiast Harry Keogh podążał śladem ciężarówki. Wykonywał krótkie skoki Möbiusa czekając, aż jego ofiara nieco zwolni i będzie mógł spróbować niesłychanie trudnego zadania: wyjątkowo precyzyjnego skoku do wnętrza poruszającego się obiektu — prosto do kabiny Founda. Co więcej, należało to wykonać jak najdelikatniej, aby nie uderzyć o coś

paskudnie rozłupanym obojczykiem. Czując taki ból, każdy inny człowiek wilby się w udreće lub całkiem stracił przytomność. Każdy inny, lecz nie Harry. W rzeczy samej, z każdą mijającą chwilą nekroskop tracił cechy ludzkie, stając się coraz bardziej potworem, aczkolwiek z ludzką duszą.

Nekromanta wyprowadził wóz z objazdu na drogę A1. Po chwili Harry wynurzył się z wiecznej ciemności kontinuum Möbiusa i pojawił się na siedzeniu ciężarówki. Początkowo Found go nie widział, a jeśli nawet, to uznał za jakiś nic nie znaczący cień. Keogh zaś siedział cicho i nieruchomo w samym rogu kabiny, przyciśnięty do drzwi, wpatrzony w kierowcę. Zmrużywszy powieki, obserwował twarz Founda, która wcześniej zdawała się niezbyt pasować do rysopisów podanych przez dziewczęta, teraz jednak okazała się zaiste okropna.

Johnny już wiedział, że wszystko się skończyło. Zbyt wielu ludzi widziało go tej nocy — w barze, na parkingu, z dziewczyną. Właściwie wydawało mu się, że został wciągnięty w pułapkę. Śledzili go, potem dopadli z dziewczyną, która okazała się wiernym odbiciem jednej z jego ofiar. A on dał się na to nabrać.

Tak wyglądały myśli Johnny'ego, które Harry, patrząc prosto na niego, czytał równie wyraźnie, jak stronicę książki. Gdy nekromanta zaczął głębiej rozważać rozkosze, których zamierzał doznać z dziewczyną, Harry odezwał się bardzo cicho:

— Żadna z tych rzeczy się nie zdarzy — wyszeptał. — Dziewczyny nie ma w przyczepie. Uwolniłem ją. Mam zamiar uwolnić wszystkich zmarłych od twojej tyranii, Johnny.

Już przy pierwszym słowie Found rozdziawił szeroko usta. Zwisająca w lewym kącie ust kropla śliny, śluzu, czy też piany spłynęła po wardze na podbródek.

— Co... co? — wykrztusił, a jego czarne jak węgiel oczy zastygły niczym dwa kleksy na poszarzałym pergaminie.

— Jesteś trupem, Johnny — oświadczył Harry i otworzył szerzej swe rozżarzone oczy, oblewając płomienną poświatą zmartwiałe rysy szofera.

Jednakże paraliż Founda okazał się krótkotrwały. Niemal natychmiast nastąpiła instynktowna reakcja, zbyt szybka nawet dla nekroskopa.

— Co? — warknął Johnny, odrywając lewą rękę od kierownicy i sięgając za głowę po hak od mięsa. — Trupem? No, przynajmniej jeden z nas na pewno nim będzie!

Pierwotny plan Harry'ego był prosty: w razie ataku Founda miał otworzyć drzwi Möbiusa i przeciągnąć go przez nie. Jednakże nie tak łatwo złapać mężczyznę w kabinie ciężarówki, zwłaszcza gdy ten wymachuje hakiem do mięsa.

Johnny spostrzegł wielką plamę krwi na kurtce Harry'ego i uświadomił sobie, że to jego postrzelił na parkingu przy barze. W jaki sposób ranny zdołał się dostać do kabiny, to zgoła inna sprawa, ale z pewnością niewiele mógł zdziałać z taką dziurą w ramieniu.

— Kimkolwiek jesteś — krzyknął, zamierzając się hakiem — staniesz się pieprzoną kupą padliny!

Cios był niezgrabny, zadany lewą ręką, lecz mimo to Harry nie zdołał go uniknąć. Skulił się nieco, a błyszczący, metalowy „znak zapytania” przeleciał mu nad prawym ramieniem, spadł i zagłębił się w wyrwanej przez kulę ranie. Nekroskop syknął z bólu, a Found przyciągnął go do siebie, wpatrując się w jego twarz. Po czym — używając Harry’ego jako przeciwwagi, nekromanta uniósł lewą nogę i kopniakiem otworzył drzwi kabiny. A kiedy ciężarówka utoczyła łuk, pędząc dwupasmową jezdnią, kopnął powtórnie, tym razem Harry’ego, wypuszczając jednocześnie hak.

Ześlizgując się z siedzenia w pęd nocnego powietrza, nekroskop próbował jeszcze chwycić za rozkołysane drzwiczki. Uczepił się ramy okna, uderzając stopami o schodek. Johnny nie mógł już o dosięgnąć, nie puszczając kierownicy.

Nie zważając na inne pojazdy, maniak zaczął kierować ciężarówką od krawężnika do krawężnika, a Harry wciąż wisiał na zewnątrz kabiny. „Może by tak wielkie drzwi? Największe drzwi, jakie tylko można sobie wyobrazić?” — pomyślał.

Nagle jakiś samochód został zmieciony na bok. Wirując przeleciał przez barierę na poboczu. Zazgrzytał zgniatany metal. Wóz uderzył w nasyp i eksplodował jak bomba. A wielka ciężarówka pędziła dalej, zostawiając za sobą umierających, smażących się ludzi. Johnny zaś upajał się ich cierpieniem i wiedział, że nawet po śmierci będą słyszeć jego szaleńczy śmiech.

„Dosyć!” — krzyknął w myślach Harry i utworzył gigantyczne drzwi na drodze, tuż przed ciężarówką.

Rumor, zgrzyt i gwałtowne kołysanie ustały w jednej chwili, gdy samochód wpadł przez drzwi Möbiusa w absolut ciemności. Podobnie zgasł obłąkańczy śmiech Johnny’ego Founda, ucięty przez pojedynczą, dzwoniącą myśl, która wypełniła budzące grozę kontinuum Möbiusa.

Snop światła reflektorów biegł w nieskończoność, przecinając tunel wiecznego mroku. Ale poza rym światłem i ciężarówką, w której tkwił nekromanta, nie było zupełnie nic. Żadnej drogi, żadnego dźwięku, żadnego wrażenia ruchu, nic.

— Cooo????!!! — znowu wrzasnął Johnny, zagłuszając zarówno swój umysł, jak i nekroskopa.

— Nic ci już nie pomogą krzyki, Johnny — poinformował Harry, wisząc na drzwiach. — Jak powiedziałem, jesteś skończony. Witamy w piekle!

Johnny puścił kierownicę i rzucił się na siedzenie. Dotarli na miejsce. Harry utworzył przed ciężarówką następne drzwi i odepchnął się od kabiny zwalniając powoli, aż do całkowitego zatrzymania. Ciężarówka zaś pędziła dalej. . .

. . . Wypadła poza kontinuum, wyłaniając się kilka cali ponad powierzchnią wąskiej drogi. Z łoskotem spadła, podskoczyła, zachwiała się. A gdy wirujące w powietrzu koła dotknęły asfaltu, pojazd wystrzelił jak pocisk. Johnny wrzasnął,

widząc zbliżający się ostry zakręt, gdzie droga omijała długi, wysoki mur, porośnięty bluszczem. Próbował rozpaczliwie uchwycić kierownicę, lecz ciężarówka wjeżdżała już na krawężnik. Pokonała wąski pasek trawy, przedarła się przez gąszcz czarnych jak noc krzewów, trzasnęła w ścianę... i zatrzymała się.

Wraz z przyczepą zwinęła się jak harmonia, gdy mur pękł, eksplodując kawałkami kamieni. Wielkie zbiorniki z paliwem roztrzaskały się i trysnęły fontanami benzyny na gorący, poharatany metal, zamieniając pojazd w płonące piekło. Johnny'ego poderwało z siedzenia i rzuciło przez przednią szybę. Kości lewej ręki i ramienia pękły, kiedy wirując wokół własnej osi, uderzył w szczyt ściany, po czym runął w dół na coś twardego, daleko po przeciwnej stronie muru.

Poczuł ból, silniejszy niż kiedykolwiek przedtem. A po chwili do migotliwego światła ognia dołączyła rycząca, ogłuszająca eksplozja drugiego zbiornika, po czym zapadła martwa cisza.

Cisza, pozwalająca na zebranie myśli, dzięki której nawet przez paroksyzmy agonii zdał sobie sprawę, że ktoś — kilka bezlitosnych istot — obserwuje go.

Johnny podniósł głowę i zobaczył, że tuż nad nim stoi Harry Keogh. A za nim ujrzał kilkoro innych... stworów, które, zdaniem Johnny'ego, nie miały już prawa istnieć. Istoty te szły, pełzły, potykały się, czołgały się naprzód, a jedna z nich była — przynajmniej kiedyś — dziewczyną. Johnny cofnął się, odpychając się odartymi ze skóry rękoma, sunął na brzuchu i kolanach, ślizgając się w zakrwawionym żwirze, aż zderzył się z czymś twardym, co go zatrzymało.

Odwrócił się z trudem i ujrzał tę przeszkodę — nagrobek.

— Pie... pie... pieprzona mogiła! — wycharczał.

— To koniec drogi, Johnny — rzekł Harry Keogh.

— Dotrzymałeś obietnicy, Harry — odezwała się Pamela Trotter.

Johnny Found, nekromanta, zrozumiał, co sobie powiedzieli.

— Nie — sapnął. — Nieeeeeee!

Chciał się podnieść. Mimo potłuczeń, złamanych kości, ran na całym ciele, chciał uciec od tego piekła. Lecz nieżywi przyjaciele Pameli dopadli go i przycisnęli do ziemi. Gnijąca, oblaźła robactwem dłoń zatkała mu usta. A wówczas Pamela podeszła do niego i przeszukała podarte łachmany. Znalazła nowy nóż. Rozpoznał ją mimo daleko posuniętego rozkładu, mimo że ciało odpadało od jej twarzy.

— Pamiętasz nasze piękne wspólnie spędzone chwile? Nawet mi nie podziękowałeś, Johnny, i nie zostawiłeś nic, co by cię przypominało. Nadszedł chyba czas, żebym wzięła sobie małą pamiątkę. A może nawet dużą, co? Coś, co zabiorę z sobą z powrotem do ziemi, nie?

Pokazała mu jego własny nóż i uśmiechnęła się, odsłaniając wydłużone zęby, z których obsunęły się poczerńiałe dziąsła.

Harry nie chciał tego oglądać. Wygnał też z umysłu bezgłośnie, szaleńcze wrzaski Founda.

— Dopilnuj, żeby był martwy — powiedział do Pameli.

— Za późno! — zaszlochała zawiedziona. — A raczej, za wcześnie! Niech go szlag; Harry, ten sukinsyn już umarł!

Harry odetchnął z ulgą. „No i dobrze” — pomyślał. Usłyszała go.

— Tak, chyba tak. Właściwie, nie chciałam upaprać sobie rąk tym gównem!

I nagle oboje, Harry i Pamela, usłyszeli Founda:

— Co... to jest? Gdzie... ja jestem? Kto... tam jest? — wołał.

Żadne z nich mu nie odpowiedziało, lecz sama obecność Harry'ego przedarła się do umysłu Founda jak światło przebijające się przez zaciśnięte powieki. Wiedział, że Harry tam stoi i że jest kimś wyjątkowym.

— To ty, nie? — powiedział. — Facet w ciemnych okularach, który zna jakąś magię. Sprowadziłeś mnie tu swoją magią, Tak?

Harry wiedział, że Pamela prawdopodobnie nigdy nie odezwie się do Johnny'ego Founda, podobnie jak i pozostali członkowie poniżonej Ogromnej Większości. Zamiast urągać nekromancie, po prostu będą się go wystrzegać, wyrzucą poza nawias jak trędowatego. Możliwe zatem, że Harry również nie powinien z nim rozmawiać, ale zwyczajnie odejść. I może to byłoby najbardziej litościwe.

Tyle że... Keogh nosił w sobie stworzenie nie znające litości, które zmusiło go do odezwania się.

— Ty opanowałeś tę samą sztukę, Johnny — powiedział. — Mogłeś rozmawiać z umarłymi, podobnie jak ja, nauczyć się tego i zaprzyjaźnić się. Ale nie, ty wolałeś ich torturować.

— Więc teraz jestem jednym z nich, tak? — Found szybko podchwycił temat. — Jestem nieżywy i to twoje dzieło. Odpowiedz mi tylko na jedno: dlaczego?

Harry mógłby wyjaśnić, że musiał jakoś ukierunkować pasję swego wampira, poświęcić im kogoś innego niż ludzie, którzy wcześniej zaliczali się do jego przyjaciół; a to dotyczyło INTESP i całego świata w ogóle. Ale nie zrobił tego. Jego wampir nie pozwoliłby mu na to. Found był za życia zimny, okrutny i bezwzględny. Śmierć powinna stanowić dla niego równie zimne i okrutne „miejsce”.

— Dlaczego cię zabiłem? — Harry wzruszył tylko ramionami i zaczął się odwracać.

— Hej, zasrańcu! — krzyknął za nim Found, krnąbrny i wściekły, nawet po śmierci. — To niczego nie wyjaśnia. Miałeś swoje powody, na pewno. Ze względu na zmarłych? No, powiedz mi... dlaczego?

ROZDZIAŁ ÓSMY

Zabójcy wampirów

Ogromna Większość nie ufała już Harry'emu, lecz on nadal ją szanował. Podziękował Pamelę i jej przyjaciółom, którzy pomogli w wymierzeniu sprawiedliwości Johnny'emu Foundowi. A gdy ci rozpoczęli swój żmudny powrót tam, gdzie wreszcie miało być miejsce ich ostatecznego spoczynku, nekroskop zastosował w swym metafizycznym umyśle niezwykle równania i zmateriałizował drzwi Möbiusa. Lecz nim zdążył w nie wejść... dotarł doń udręczony głos — pierwotnie telepatyczny, lecz z chwili na chwilę zmieniający się mowę zmarłych. Dochodził z opuszczonej hali nie opodal stacji kolejowej w Darlington. Wołał Trevor Jordan — najpierw żywy, następnie martwy, obracający się w spalone ciało, skwierczącą krew i osmalone, poczerniałe kości. Oddział byłych kolegów z INTESP zamienił go w kupkę dymiącego popiołu.

— Trevor! — wysapał Harry. Jego własna udręka dorównywała niemal mękom telepaty, gdyż otrzymał pełny obraz jego ostatnich chwil. — Trevor, idę... zaraz... Musisz mówić, a znajdę...

— Nie! — przerwał mu Jordan, gdy całe cierpienie kończącego się życia zgąsło i otulił go chłodny mrok śmierci, wszechogarniający niczym fale oceanu. — Nie, Harry, nie... nie przychodź tutaj. Oni tylko na ciebie czekają, a wierz mi, mają odpowiedni sprzęt. A co więcej, nie ma na to czasu. Dziewczyna, Harry, dziewczyna!

Nekroskop zrozumiał. Oczywiście — Penny.

— Trevor! — Harry poczuł się rozdarty między wtórną agonią, frustracją i niezdecydowaniem. Nikogo nie można skazać na tak męczeńską śmierć, a już z pewnością nie niewinnego. A Jordan był niewinny, tak samo Penny.

— Nie możesz mi pomóc, Harry — powiedział Jordan, próbując ułatwić mu decyzję. — Nie tym razem. Możesz tylko narazić na niebezpieczeństwo swoje życie i Penny. Wszystko w porządku, nie martw się o mnie. Żyłem dwa razy, to dosyć. A umierać dwa razy... to naprawdę za wiele. Nie chcę już więcej.

W kontinuum Möbiusa Harrym wciąż targały wątpliwości, niepewność. Jęknął z przerażenia, z wściekłości i w swym umyśle przerwał kontakt z Jordanem.

* * *

Wynurzył się na brzegu, nie opodal Bonnyrigg, z dała od domu. Pojawił się w ciemności, rozświetlonej purpurą wewnętrznej furii. Wampirzej furii! Teraz rządziła owa tkwiąca w nim istota. Jej świadomość wysłała sondę z umysłu nekroskopa niczym z ludzkiego, a raczej nieludzkiego radaru, omiatając pograżony w mroku dom.

Wampir spotęgował zdolności telepatyczne Harry'ego. W domu znajdowało się pięcioro ludzi — pięć ciepłych stworzeń pełnych krwi — pięć inteligentnych, myślących istot, z których cztery obdarzone były niezwykłymi, niesamowitymi talentami. Lecz nic nie dorównywało swą niezwykłością zdolnościom Harry'ego. Swą metafizyczną jaźnią dotknął ich zmysłów — ale ostrożnie, żeby nie wzbudzić podejrzeń.

Najpierw Penny — przerażona do utraty zmysłów, lecz cała i zdrowa. Dalej Guy Teale — jeszcze niedojrzały jasnowidz, potrafiący czasami przewidzieć przyszłość. Harry wiedział, że to w najlepszym wypadku niezdarny, trudny do kierowania talent. Z kolei Frank Robinson — wykrywacz, zdolny rozpoznać innego espera przez kontakt wzrokowy, a nawet na niewielką odległość. Talent Robinsona był również jeszcze w powijakach. A następnie... To smutne — Keogh miał nadzieję, że nie spotka żadnych dawnych przyjaciół, a jednak zjawił się Ben Trask i wreszcie... Paxton!

Paxton, myślowy pasożyt, dotychczas nieuchwytna pchła, wampir w nie mniejszym stopniu niż sarn Harry, gardzący krwią innych na rzecz sekretnych soków ich umysłów — samych myśli. W istocie, Paxton był inny od pozostałych — nadmiernie gorliwy, zawzięty do obłędu, złowrogi jak kusza, z której właśnie mierzył do Penny Sanderson w sypialni nekroskopa. Chociaż Harry błyskawicznie wycofał swą sondę, esper odkrył jego obecność.

— On jest blisko! Nadchodzi! — zawołał Paxton.

W przestronnym pokoju frontowym, którego oszklone drzwi wychodziły na ogród i na brzeg rzeki Ben Trask i Guy Teale odebrali ostrzeżenie i przyjęli je milczącą wymianą spojrzeń i niezdarnymi, nerwowymi ruchami. Jedyne światło, z jakiego korzystali, zawdzięczali księżycowi i gwiazdom, co samo w sobie było błędem z ich strony. Oczy musiały przystosować się do ciemności, a nawet i teraz słabo widzieli w mroku pokoju. Natomiast zmysły nekroskopa reagowały doskonale; noc była jego żywiołem.

Teale także wyczuł obecność Harry'ego.

— Paxton ma rację — szepnął. — On jest blisko. I, mój Boże, nagle uświadamiam sobie, co my tu robimy! Ben, co zrobimy, jeśli on tu przyjdzie, do pokoju?

— Nic — odrzekł Trask burkliwie. — Wymierzysz w jego stronę i dasz mi szansę rozmawiać z nim, to wszystko. A jeżeli nie będę miał tej szansy albo jeśli zachowa się niebezpiecznie, wtedy strzelisz. W serce. Czy to jasne?

— Jasne.

— A teraz bądź cicho. Patrz i słuchaj.

Przez bramę w murze, wiszącą na zardzewiałych zawiasach, wpełzała do ogrodu mgła. Mleczne macki pokryły niższe tarasy i sunęły wzdłuż ścieżek. Trask wiedział dobrze, co to oznacza.

Harry wykonał skok Möbiusa z nabrzeża rzeki za bramę i wyłonił się pod ścianą domu, tuż obok otwartych oszklonych drzwi. Zaczął nasłuchiwać i wychwytał oddechy dwóch mężczyzn w pokoju, czuł nawet bicie ich serc. Penny nie było z nimi. Przebywała na piętrze. . . wraz z Paxtonem.

— Jezu! — wykrztusił Teale, tracąc dech. — On tu jest! Wiem, że jest! Właśnie wyczułem mnóstwo kłopotów, całą masę cierpienia dla jednego z nas.

Trask przeładował półautomat. Wyszedł na zewnątrz przez oszklone drzwi i stanął po kostki we mgle, rozglądając się po tonącym w ciemnościach ogrodzie. Po chwili wrócił do pokoju.

— Kłopoty? Cierpienie? Czyje cierpienie, do jasnej cholery?

— Paxtona! — syknął Teale.

Trask popatrzył z przerażeniem w sufit. Paxton, Robinson i dziewczyna byli na górze. Harry nie wyrównał jeszcze wszystkich rachunków z Paxtonem, a ten trzymał tam jego dziewczynę. Trask założył uprzednio, opierając się na czysto ludzkiej logice, że podobnie jak każdy zwyczajny przeciwnik, nekroskop wkroczy najpierw do pomieszczeń na parterze. Właśnie z tego powodu wysłał Paxtona na piętro — chciał zapewnić Harry'emu bezpieczeństwo, przynajmniej na jakiś czas. Pragnął z nim porozmawiać i upewnić się, czy rzeczywiście zaszły w nim wszystkie te zmiany, które mu przypisywano. Jednakże Harry nie należał do zwyczajnych przeciwników i Trask powinien był przewidzieć, że zacznie działać po swojemu, w sposób absolutnie wyjątkowy. Na górze dowodził Paxton, a Robinson miał cholerny miotacz ognia!

— Na górę! — wysapał Trask. — Idziemy, już!

Harry także zdecydował, że nadeszła już pora. Wisząc do góry nogami nad oknem swojej sypialni, zajrzał do środka. Przesuwająca się przed tarczą księżycą chmura sprawiła, że nie rzucił cienia. Zaglądał do wnętrza tylko przez chwilę i szybko się wycofał. Lecz połączywszy razem to, co zobaczył, i myśli osób w pokoju, uzyskał kompletny obraz. Oderwał się od ściany, wywołał drzwi i wpadł przez nie. . . do sypialni.

Robinson natychmiast się zorientował.

— On tu jest! — zawył, obracając się na pięcie. Starał się ogarnąć wylotem miotacza ognia wszystkie kierunki jednocześnie, lecz nie dostrzegł żadnego celu.

Paxton poczuł, że myśli nekroskopa dotykają jego umysłu niczym czułki ślimaka. Z parteru dochodziły chrapliwe głosy Traska i Teale'a, którzy biegli z łoskotem po schodach, ostrzegając ich.

— Gdzie? — zaskrzeczał przerażony Paxton. — Gdzie jest ten skurwiel?

Stanęli naprzeciw siebie. Paxton popatrzył na migocący przy wylocie miotacza płomyk kontrolny, a Robinson wpatrywał się w nabitą kuszę Paxtona. Obaj sięgnęli do włącznika światła.

Penny siedziała na łóżku, naga, podciągając kołdrę aż pod brodę... a Harry pojawił się właśnie pod kołdrą. Dziewczyna nie wiedząc, co się dzieje, poczuła dotyk jego rąk.

Paxton odczytał myśli Penny. Robinson zlokalizował wreszcie rozległy talent Harry'ego. Gdy pokój zalało elektryczne światło, obaj zwrócili się w kierunku łóżka i użyli broni. Jednak Harry zdążył już wytworzyć drzwi — dokładnie pod sobą i dziewczyną. Zapadli się na pozór w samo łóżko. W kontinuum Möbiusa Penny otworzyła oczy, po czym westchnęła nerwowo i ponownie zacisnęła powieki. Ale wiedząc już, kto przy niej jest, czuła się bezpieczna.

Harry zabrał ją w odległe miejsce.

— Zostań tu, bądź cicho i czekaj! — wyszeptał.

A gdy dziewczyna opadła zdyszana na piasek w cieniu drzewa na opustoszałej, skąpanej w słońcu, australijskiej plaży, Harry powrócił do domu. Musiał wrócić, gdyż rzucono mu wyzwanie.

Wyzwał go Paxton — zignorował ostrzeżenie — a wampir Harry'ego był wściekły!

* * *

W pokoju na piętrze domu pod Bonnyrigg łóżko nekroskopa buchało ogniem i dymem, a Paxton i Robinson tańczyli wokół jak szaleńcy, próbując zdusić płomień. Wiedzieli już, że Harry i dziewczyna uciekli. Trask i Teale wpadli z hukiem do wnętrza. Jasnowidz rzucił tylko jedno spojrzenie, zbladł i natychmiast wycofał się z pokoju. Trask skoczył za nim i chwycił go za rękę.

— Co zobaczyłeś? — zapytał.

Teale otwierał i zamykał usta niczym ryba wyrzucona z wody.

— On... on znowu wraca! — wydyszał wreszcie. — I jest wściekły.

Trask wsunął głowę do wypełnionej dymem sypialni.

— Paxton, Robinson, jazda stąd, już!

— Ale dom się pali! — jęknął Robinson.

— Właśnie. — odkrzyknął Trask. — I spali się doszczętnie. Podłożymy ogień na parterze, we wszystkich pokojach. Zrównamy to miejsce z ziemią. Nie będzie mógł więcej korzystać z tej kryjówki.

Nekroskop obserwował wszystko z drugiego brzegu rzeki. W chwilę później usłyszał grzmiący huk miotacza ognia i ujrzał płomień rozprzestrzeniające się po wszystkich pokojach parteru.

„Mój dom. — myślał Keogh. — Mój dom płonie. To już koniec. Teraz nic mnie tu nie trzyma.”

Kiedy esperzy znaleźli się już na dole w gabinecie Harry'ego rozwścieczony Paxton rzucił się na Traska.

— Co ty chcesz zrobić? — zapytał wzburzony. — Wiesz, że on nie przyjdzie do palącego się domu. Teale mówi, że Keogh chce mnie dostać, Robinson twierdzi, że jest blisko, a ty, ty go ostrzegasz. Przecież musi do nas przyjść, żebyśmy mogli sukinsyna zabić! A może właśnie o to chodzi? Może nie chcesz go zabić, co?

Trask złapał go za klapy kurtki.

— Ty gnojku! — Wywłókł go z płonącego domu do ogrodu. — Ty łachudro! Nie, nie chcę zabijać Harry'ego, bo był moim przyjacielem. Ale zrobiłbym to, gdybym musiał. To jednak nie ma znaczenia, bo i tak nie sądzę, żebyśmy mogli go zlikwidować. Ani ty, ani ja, ani cała armia takich jak my. Pytasz, czemu go odstraszam? Dla ciebie, Paxton, dla twego dobra!

— Dla mnie? — Paxton wyzwoił się z uścisku i załadował kuszę.

— Jak najbardziej — warknął Trask. — Bo skoro ty nie możesz zabić Keogha, to lepiej uwierz, że on może zabić ciebie!

Parterowe pokoje domu Harry'ego stały się teraz czerwono-żółtym piekłem, przez górne okna zaczął buchać dym. Kiedy szyby oszklonych drzwi zaczęły się sypać, czterech agentów INTESP wycofało się w głąb ogrodu. Paxton rozglądał się niespokojnie na wszystkie strony, przyciskając do piersi kuszę. Zdawało mu się, że wysokie mury ogrodu patrzą na niego gniewnie; powłócząc nogami potknął się, nie trafił na stopień i potoczył się w dół ścieżki, w sięgającą do kolan mgłę, zalegającą dolne tarasy.

Z tej niesamowitej mgły wynurzył się Harry Keogh niczym duch powstający z grobu, z piekielnym ogniem w oczach, który był czymś więcej niż tylko odbiciem płonącego domu.

— NU UR UH!

Twarz Paxtona poszarzała, oczy stanęły w ślup, ledwie nekroskop wyrósł przed nim jak posąg. Nieartykułowany, paniczny bełkot skierował spojrzenia agentów na zmartwiałego ze zgrozy mężczyznę.

Ujrzeni następujący widok: Paxton ginął w uścisku istoty, która była ledwie pół, lub nawet mniej niż pół-człowiekiem. W umysłach całej trójki pojawiła się ta sama myśl: trafili tu jako ochotnicy, przyszli zabić To, dostali swoją szansę, by znaleźć się w szeregach najdzielniejszych lub najbardziej szalonych bohaterów wszechczasów!

Dolna połowa postaci Harry'ego tonęła we mgle, widoczna jedynie jako niewyraźny zarys w matowym mlecznym wirze... lecz resztę było widać aż nazbyt dobrze. Nekroskop miał na sobie najzupełniej przeciętne ubranie, którego czarne, nie dopasowane elementy zdawały się być o dwa numery za małe, także tułów wyrastał ze spodni, na kształt tępego klina. Ściśnięta marynarka, trójkątna klatka piersiowa Harry'ego była niezmiernie muskularna.

Biała koszula pękła z przodu, ukazując rząd ginących w zwałach mięśni żeber. Kołnierzyk koszuli wystawał spod marynarki jak zmarszczona kryza, ginął przytłoczony nawałem ściśniętej, masywnej szyi. Ciało było ołowianoszare, pożar i poświata księżyca rzucały na nie pomarańczowe i trupio żółte plamy. Lecz barwił się tam również szkarłat, wypływający z dziury w marynarce i rozchlapany ukośnie na naprężonej koszuli. Harry o pełne piętnaście cali przerastał Paxtona, przygniatał jego karzełkowatą, płaszczącą się postać. A teraz. . .

Ben Trask gapił się na niego niedowierzając. „O mój Boże! A ja sądziłem, że będę mógł z tym czymś rozmawiać!” — myślał w przerażeniu.

— Ależ możesz nadal ze mną rozmawiać, Ben — odpowiedział mu nekroskop. To pierwsze bezpośrednie zetknięcie Traska z telepatią stało się możliwe dzięki mocy Harry’ego. — Tylko Paxtona wolałbym nie słuchać.

Teale bełkotał coś do siebie. Rozpaczliwie próbował znaleźć siły, by podnieść kuszę i strzelić, ale bez rezultatu. Jego talent — nie całkiem wiarygodna zdolność odczytywania tego i owego z przyszłości — kreował w wyobraźni najprzeróżniejsze niesamowite wydarzenia, składał je w coraz większy stos, zupełnie pozabawiając chłopaka odwagi. Tak działała na niego obecność Harry’ego. Robinson reagował podobnie. Będąc tak blisko prawdziwej metafizycznej Mocy, jego drobny talent zachowywał się jak opiłki żelaza wirujące w silnym polu magnetycznym. A poza tym esper nie mógł użyć swej okropnej broni, nie zabijając Paxtona.

Trask panował nad sobą, jako jedyny spośród agentów mógł działać. Podniósł teraz swój półautomat i wycelował w Harry’ego, który nadal trzymał przed sobą Paxtona jak szmacianą lalkę. Paxton wisiał w powietrzu, rozdziawiając usta. Gapił się wytrzeszczonymi oczyma na niewiarygodną twarz nekroskopa i wiedział, że stoi u wrót piekieł.

Harry patrzył nań i. . . uśmiechał się. Czy to był jednak uśmiech? W obcym świecie wampirów, zwanym Gwiezdną Krainą, po drugiej stronie kontinuum Möbiusa, tylko tam może nazywano to uśmiechem. Tutaj był to gniewny, ociekający pianą grymas ogromnego wilka. Spod warg wyrastały wydłużające się w oczach kły, które zakrzywiały się na zewnątrz w błyszczącej kości szczęk, przecinając dziąsła broczące strugami rubinowej krwi. Potworna głowa pochylała się stopniowo w bok, zatrzymując się z jakimś zaciekawieniem, jakby przyglądała się niegrzecznemu pieskowi.

Keogh, chwytając Paxtona i podnosząc go z ziemi, wytrącił mu kuszę z rąk i odrzucił w bok. Bez broni Paxton stawał się samą słodyczą, cukierkiem, rozkosznym batonikiem. Harry mógłby odgryźć mu twarz, gdyby tego zapragnął.

— Harry! — krzyknął Trask. — Nie!

Nekroskop powoli zwarł szczęki, oderwał wzrok od ofiary. Popatrzył na Traska poprzez zamglony ogród, oświetlony czerwono przez płonący dom. Na Bena Traska, dawnego przyjaciela, z którym stawał ramię w ramię przeciwko. . . przeciwko takim istotom, jak ta, którą teraz się stał.

— Zastrzeliłbyś mnie, Ben? — zapytał telepatycznie nekroskop.

— Wiesz sam, że tak. Nie chciałbym tego, nawet teraz, ale musiałbym. Albo ty, albo cały świat, nie rozumiesz? Nie chcę widzieć, jak cały świat umiera w krzyku... a potem śmieje się i zaraz wypęła z powrotem z grobu! Ale jeśli puścisz Paxtona, jeśli puścisz go żywego, będę gotów uwierzyć, że nie pragniesz śmierci nas wszystkich.

— Twój świat jest bezpieczny, Ben. Ja tu nie zostaję.

— Gwiezdna Kraina? — zapytał Trask.

— Nie ma innego miejsca. — Harry wzruszył ramionami.

Trask spojrział w celownik półautomatu. Mógłby strzelić w spowite mgłą nogi Harry'ego i być może powalić go na ziemię, mógłby też wycelować w głowę i tors nekroskopa, starając się nie trafić przy okazji Paxtona. Mógł też po prostu wziąć za dobrą monetę słowo Harry'ego, że wynosi się stąd i świat nie ma się czego obawiać z jego strony. Tylko kto by w to uwierzył, widząc go w tej chwili?

Harry wyczytał wszystko w umyśle Traska i postarał się ułatwić mu decyzję — postawił Paxtona. A nie było to łatwe, musiał walczyć z tkwiącą w nim istotą, i to walczyć zawzięcie. Jednak zwyciężył.

— No i jak, Ben? — odezwał się głębokim wampirzym basem.

— Dobrze, Harry. Dobrze. — Trask sapnął z ulgą.

Zanim skończył to mówić, zauważył kątem oka, że Teale i Robinson otrząsnęli się z bezruchu i podnoszą broń.

— Stać, wy dwaj! — krzyknął.

Harry przeszył Teale'a spojrzeniem swych krwawych oczu, co wystarczyło, by ten zatoczył się do tyłu. Jednocześnie wdarł się do umysłu Robinsona.

— Lepiej posłuchaj Traska, synu. Spróbujesz usmażyć mnie na Ziemi, to ja usmażę ciebie w Piekło!

Trask zabezpieczył półautomat i odrzucił go na bok.

— Wojna skończona, Harry — powiedział.

Ale Paxton, leżący we mgle, tam gdzie upuści go Harry, przycisnął spust swojej odzyskanej kuszy.

— Właśnie, że nie skończona! — wrzasnął.

Na kilka chwil przedtem nekroskop przechwycił tę wiadomość wprost z umysłu Paxtona — pojął, że śmiertelnośny gwajakowy bełt za chwilę wyleci w jego stronę. Nieomal instynktownie utworzył drzwi Möbiusa. A teraz, ze zwodniczo giętką wampirzą gracją, wszedł, czy też wpłynął w nie tyłem. Wyglądało to tak, jakby po prostu zniknął. Strzała Paxtona wpadła w mglisty wir próżni.

— Dostałem go! — sapnął telepata. — Na... na pewno go dostałem! Nie mogłem chybić! — I śmiejąc się niepewnie, wstał...

A mgła, która zamknęła się za nekroskopem, otwarła się ponownie i wydobył się z niej zdławiony, bełkotliwy, bezosobowy głos.

— Tak mi przykro, że muszę cię rozczarować. — odezwał się Harry.

„Cholera” — pomyślał Trask, biorąc głęboki oddech, gdy nagle zjawiała się wielka, szara dłoń o ogromnych szponach. Zaciśnęła się na szyi Paxtona i wlokła go, wrzeszczącego, z ogrodu i zarazem z tego świata. A niesamowity głos Harry’ego wisiał jeszcze w powietrzu:

— Ben, niestety, muszę to zrobić. . .

W kontinuum Möbiusa Keogh odepchnął od siebie Paxtona. Słyszał tylko jego krzyk, gasnący w bezkresnych przestrzeniach. Mógłby go tu wstawić, by wirował wokół własnej osi, wiecznie unosił się po równoległych nieskończonościach, wołał i szlochał, by wreszcie, gdy pęknie mu serce, umarł. Lecz to oznaczałoby zanieczyszczenie tego mistycznego miejsca.

Popędził więc za nim, chwycił go i zatrzymał, po czym przyciągnął do siebie. Tu, w czasoprzestrzeni Möbiusa, której natury sam Harry dopiero zaczynał się domyślać, nawet najdrobniejsza myśl miała swój ciężar.

— Paxton, jesteś żalosaną kreaturą — powiedział.

— Odejdź ode mnie! Odejdź ode mnie!

— Cicho! — syknął Harry przez zęby, które stopniowo zaczynały wracać do normalnych rozmiarów. — I ty jesteś telepatą! W kontinuum Möbiusa nie musisz wrzeszczeć, pchło myślowa. Wystarczy myśleć.

Wszedł w osłupiałą, przerażoną jaźń Paxtona, by odnaleźć telepatyczny mechanizm, który stanowił źródło talentu tego mężczyzny. U Paxtona była to cecha wrodzona i nie dało się jej „wyłączyć”. Jednakże udawało się ją zasłonić, zagrzebać w psychicznym „ołowiu” jak kapryśny reaktor, póki nie stopi się lub nie wypali wewnątrz, próbując się wyzwolić. I właśnie to uczynił nekroskop. Zawinał talent Paxtona w esencję wampirzego smogu psychicznego, spowił w całun ciszy paranormalnej, pokrył efemeryczną, aczkolwiek niemal niezniszczalną powłoką tego, co przeciętni ludzie określają terminem „zacisze własnego umysłu”. W przypadku Paxtona to „zacisze” miało być więzieniem.

Gdy Harry ukończył swe dzieło, dostarczył Paxtona z powrotem do ogrodu, gdzie ludzie z INTESP właśnie uchodzili przed żarem pożogi w kierunku rzeki. Harry wyłonił się z kontinuum na tle huczącego, złoto-krwawego ognia i pchnął pochlipującego Paxtona w ramiona Bena Traska.

Telepata zalał się łzami, opadł pokornie na kolana i objął Traska za nogi. Ten patrzył na niego osłupiały.

— Coś ty mu zrobił?

— Wykastrowałem — odparł Harry.

— Co?!

Harry potrząsnął głową.

— Nie, nie usunąłem mu jaj, tylko jego telepatię. Psychiczna sterylizacja. Po raz ostatni zgwałcił jakiś umysł. I jeśli chodzi o INTESP, to wyświadczyłem wam ostatnią przysługę.

— Harry?

— Uważaj na siebie, Ben.

— Harry, zaczekaj!

Lecz nekroskopa już nie było. . .

Stał przez długie chwile nad rzeką, patrząc, jak plonie jego stary dom. Ostatni ślad Harry'ego Keogha na Ziemi.

* * *

Na rozstępcznej białej plaży po drugiej stronie globu Penny sporządziła z pasków prześcieradła Harry'ego bikini. Idąc teraz skrajem oceanu, podnosiła i oglądała egzotyczne muszle, przynoszone przez fale. Zwykle opalała się bez trudności, więc zdziwiło ją, iż tak bardzo dokucza jej słońce. Jej wciąż jeszcze niewinny umysł nie pojmował znaczenia tego faktu. Wystawiona na promienie słoneczne skóra pokryła się już plamkami i w szybkim tempie czerwieniała. Aby się ochłodzić, Penny zanurzyła się w wodzie. Wtedy właśnie wrócił Harry i zawołał ją z cienia pod pochylonym przez wiatr drzewem.

Kiedy go dostrzegła, silniej niż poprzednio poczuła moc jego magnetyzmu. Była to miłość i coś znacznie więcej — nie istniało nic, czego by dla niego nie zrobiła. Była całkowicie zniewolona. Zanim nekroskop do niej wrócił, zatrzymał się gdzieś po drodze, by zabrać czarny kapelusz z szerokim rondem i długi płaszcz w tymże kolorze. „Dziwaczny ubiór jak na plażę, tonącą w skwarze południowego słońca” — pomyślała Penny. Harry przypominał teraz ponurolicęgo łowcę nagród ze starych westernów albo właściciela zakładu pogrzebowego. Tamci jednak nie nosili przyciemnionych okularów.

W miejscu, gdzie drzewo dawało najgłębszy cień, Harry rozpiął płaszcz, odsłaniając ślady swoich ran; krew zakrzepła, pokrywając skorupą strzępy ubrania i przyklejając je do ciała. Penny, czując jego ból — czując go nawet bardziej niż on sam — zdjęła z piersi pasek przemoczonego bawełnianego prześcieradła i obmyła słońcą wodą zakrwawione miejsca. Następnie zdobyła się na to, by zdjąć powalane łachy z jego teraz już ludzkiego ciała.

Z przodu przestrzelony obojczyk Harry'ego nie wyglądał najgorzej, na plecach jednak okropnie. Kula wydarła kawał tkanki rozmiarów pięści dziecka, a górny skraj otworu porozrywany był hakiem Johnny'ego Founda.

Jednak, co było zaskakujące — dla Penny, a może i dla samego nekroskopa — rana już zaczęła się goić. Dziura zarastała wokół nową skórą i mimo że materia w środku lśniła czerwono jak mięso na rzeźnickim pniu, to przestała już prawie krwawić.

— Już się goi — mruknął Harry. — Gdybyś tylko tak siedziała i przyglądała się, zobaczyłabyś, jak rana się zasklepia. Jeszcze dzień, najwyżej dwa, i zostanie tylko blizna. Następny tydzień i nawet odbudowana kość przestanie sprawiać ból.

Dziewczyna objęła go i otarła się piersiami o ranę na jego plecach. Ten instynktowny, tchnący erotyzmem ruch przysporzył nekroskopowi nieco bólu i sprawił ogromną przyjemność. Oglądając się przez ramię, ujrzał jej brązowe sutki zabarwione na czerwono świeżą krwią. W chwilę później, zaskoczona siłą własnej zmysłowości, Penny zamarła.

— Ja... zupełnie nie wiem, czemu to zrobiłam — wyszeptała.

— Ale ja wiem — mruknął Harry.

Po czym wziął ją, tam na piasku, raz i drugi — i tak wciąż na nowo przez całe gorące popołudnie.

Była to miłość, pożądanie i wszystko, co kochankowie robią od zarania dziejów; lecz zarazem coś innego, coś więcej. Swoista inicjacja, zarówno dla Harry'ego, jak i dla Penny. I potwierdziło to bez cienia wątpliwości, jak niezmordowane są wampiry i ich niewolnice.

* * *

Obudziła się zziębnięta i ujrzała, że Harry siedzi obok. Twarz miał ponurą, niemal zbolaną. Słońce, chyląc się nad rozkołysanym oceanem, oświetlało krawędzie jego oczodołów niczym płytkie kratery na tarczy księżyca. Mrużąc oczy, aż jego postać stała się ciemnym konturem, Penny starała się złagodzić nieco obraz nowego dla niej Keogha. Zbyt ostre linie nieco stopniały, przydając miękkości rysom, lecz cierpienie nadal malowało się na twarzy.

Usiadła dygocąc, a on otulił ją swym płaszczem. Dziewczyna podniosła leżącą obok muszlę.

— Jest piękna, prawda? — powiedziała.

Obrzucił ją dziwnym spojrzeniem.

— To martwy przedmiot, Penny — odparł.

— Czy widzisz w niej śmierć?

— Nie. — Harry potrząsnął głową. — Czuję. Jestem nekroskopem.

— Czujesz, że ta muszla jest martwa? — zapytała dziewczyna.

Skinął głową.

— I to, w jaki sposób zginęło zamieszkujące ją stworzenie. Właściwie nie czuję. Raczej... doświadczam tego? Nie. — Wzruszył ramionami i westchnął. — Po prostu, wiem.

Spojrzała ponownie na konchę. Słońce odbijało się w opalizującej masie perłowej.

— Czy nie jest śliczna?

Pokręcił głową.

— Jest brzydka. Widzisz tę maleńką dziurkę przy ostrzejszym krańcu?

Przytaknęła.

— Jakiś inny ślimak, mniejszy, lecz śmiercionośny, wwiercił się w muszlę i wyssał życie. Wampir, tak. Są nas miliony.

— To okropna historia, Harry! — Odłożyła muszlę.

— Ale prawdziwa.

— Skąd możesz to wiedzieć?

— Ponieważ jestem nekroskopem. — Jego głos zrobił się szorstki.

— Ponieważ martwe istoty rozmawiają ze mną. Wszystkie martwe istoty. A jeśli nie mają na tyle umysłu, wtedy... przekazują sygnały. A twoja cholerna „śliczna” muszla? Przekazuje powolne drażnienie skorupy przez zabójcę, myszskowanie jego czułek, a potem jednostajny, piekący ból, związany z wysysaniem soków. Śliczna? To są zwłoki, Penny, trup!

Wstał i zaczął bezmyślnie wiercić stopą w piasku.

— Czy zawsze było w ten sposób? Mam na myśli ciebie.

— Nie — zaprzeczył. — Ale teraz mój wampir rośnie. Robi się coraz sprytniejszy i wyostrza moje talenty. Kiedyś umiałem rozmawiać tylko z martwymi ludźmi, a właściwie z istotami, które potrafiłem zrozumieć. Psy trwają po śmierci zupełnie tak samo jak my, wiesz? A teraz... — Znów wzruszył ramionami. — Jeśli jakieś stworzenie kiedyś żyło, a teraz jest martwe, czuję je. I czuję ich coraz więcej.

Ponownie kopnął piasek.

— Widzisz tę plażę? Nawet sam piasek wdycha, szepcze i jęczy. Miliony zwłok przyniesionych przez czas i fale. Wszystko to życie, stracone życie, które nie chce leżeć spokojnie i cicho. I każde nieżywe stworzenie pyta: „Dlaczego umarłem? Dlaczego umarłem?”

— Tak musi być — wyszeptła, przerażona jego tonem. — Jaki byłby sens życia, gdyby nie śmierć? Gdybyśmy byli wieczni, nie staralibyśmy się o nic, bo wszystko byłoby możliwe!

— Na tym świecie jest życie i śmierć. — Wziął ją za ramiona. — Ale znam inny świat, gdzie istnieje stan na granicy tych dwóch... — I podczas, gdy niebo ciemniało, opowiedział jej wszystko o Gwiezdnej Krainie.

Gdy skończył, Penny zadrżała, oszołomiona nieuchronnością tej perspektywy.

— Kiedy tam pójdziemy?

— Wkrótce — odparł.

— Nie możemy zostać tutaj? Wydaje mi się, że tamto miejsce będzie mnie przerażać.

— Czy moje oczy cię przerażają? — W tej chwili żarzące się oczy oświeślały jego twarz jak dwie lampki.

— Nie, bo wiem, że to twoje oczy. — Uśmiechnęła się.

— Przerażają jednak innych.

— Oni nie znają ciebie.

— W Gwiazdnej Krainie wybuduję dla nas orle gniazdo — powiedział Harry. — A twoje oczy będą tak czerwone, jak moje.
— Naprawdę? — Niemal zapałała entuzjazmem.
— O, tak! — potwierdził Harry. „Możesz być tego pewna, moje biedne dziecko.” — pomyślał, bowiem już tu i teraz, wcześniej niż oczekiwał dostrzegał w nich słabiutki purpurowy blask...

* * *

Zasnęła, a Harry układał plany. Nie były one istotne, służyły raczej zabiciu czasu. Pozwalały mu nie zagłębić się zbytnio w myśli o swoim i Penny odejściu, o ewentualnych niebezpieczeństwach z nim związanych. I o jego nieuchronności.

Usłyszał warkot helikoptera, którego reflektory omiatały plażę od wschodu. Miał nadzieję, że będą tu bezpieczni przez... no, bardzo długi czas. Gdy sięgnął myślami i dotknął zmysłów ludzi w buczonej wazce, przekonał się, iż zbliżają się. To espery.

— INTESP — mruknął z nutką goryczy, budząc Penny i układając w mózgu równania Möbiusa.

— Co, nawet tutaj? — mamrotała sennie, kiedy przenośli ją przez kontynent do sklepu z ubraniami w Sydney.

— Nawet tutaj... tam... Tak — potwierdził. — Właściwie wszędzie. Ich lokalizatorzy odnajdą mnie bez względu na to, gdzie się udam, zaalarmują swoich ludzi na całym świecie. Espery i łowcy nagród będą nas śledzić, tropić, aż w końcu spalą. Nie możemy walczyć z całym światem. A nawet gdybym mógł, to nie chcę. Walka oznacza dla mnie poddanie się tej istocie wewnątrz mnie. A ja wolałbym być wyłącznie sobą. Przynajmniej tak długo, jak to możliwe. Dzisiaj w nocy jednak damy im potaćzyć. Jutro bowiem umieramy.

— Umieramy?

— Przynajmniej dla tego świata umrzemy — powiedział.

Wybrali drogę ubrania i równie drogą skórzaną walizkę, by je zapakować. Następnie, gdy zaczęły brzęczeć alarmy domu towarowego, przenieśli się dalej.

Kiedy opuszczali plażę, była dziewiąta wieczorem czasu lokalnego. Sklep okradli o jedenastej trzydzieści. Przeniósłszy się na wschód, ubrali się na kolejnej plaży Long Beach o piątej rano, w pierwszym świetle brzasku, a o ósmej rozpoczęli szampańskie śniadanie w Nowym Jorku — a wszystko to w przeciągu niespełna trzydziestu minut.

Penny jadła befszytk z różną, średnio wypieczony. Befszytk Harry'ego był tak nie dopieczony, że ociekał krwią — dokładnie taki sobie zamówił. Wypili trzy butelki szampana. Gdy pokazano mu rachunek, nekroskop roześmiał się, porwał Penny na kolana, odchylił się w tył na krześle i... i oboje zniknęli z tego świata, wkraczając do kontinuum Möbiusa.

Kilka minut później i jakieś trzy i pół tysiąca mil na północ od miejsca startu obrabowali pilnie strzeżony, podziemny skarbiec Banku Hong Kongu. A do północy zdążyli wydać milion dolarów w kasynach w Makau. Nieco później, o osiemnastej trzydzieści czasu lokalnego Harry zaniósł pijaną w sztok Penny do łóżka w hotelu w Nikozji i zostawił ją tam, by odespała wszystko. Była obwieszona perłami i brylantami, a jej skóra pachniała lekko alkoholem. Większość kobiet oddałaby cały świat za to, co Penny widziała, robiła i przeżyła przez ostatnie pół dnia swego życia na Ziemi. Tak więc Penny oddała cały świat. Po to właśnie Harry zaplanował i wykonał ten wypad.

Hulanka trwała nieco ponad trzy godziny — lokalizatorzy w kwaterze głównej INTESP w Londynie — i inni w Moskwie — byli zupełnie zorientowani. Penny stanowiła dla nich jeszcze zbyt słabe źródło, by mogli je namierzyć. Nekroskop postanowił wobec tego pozostawić dziewczynę na Cyprze. Przynajmniej na jakiś czas.

Teraz nadeszła pora, by poczynić rezerwację na podróż do Gwiazdnej Krainy...

CZEŚĆ IV

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Faethor — Zek — Perchorsk

W kontinuum Möbiusa Harry otworzył drzwi przyszłości i zaczął szukać Faethora Ferenczego. Faethor zmarł dawno temu i istniał w formie bezcielesnej, prawdopodobnie pozbawiony umysłu. Nekroskop pragnął porozmawiać z nim i dowiedzieć się czegoś o chorobie, jakiej się nabawił, o możliwościach wyleczenia.

Czas Möbiusa jak zwykle budził grozę. Przed zapuszczeniem się w nieskończony strumień Keogh przystanął i popatrzył na ludzkość z perspektywy, jakiej dostąpiły jedynie nieliczne osoby z krwi i kości, a następnie przyjrzał się źródłu własnego jestestwa. Zobaczył je jako błękitne światło — błękitny ślad ludzkiego życia — biegnące w dal z niekończącym się westchnieniem anielskim bez końca i na wieki. Westchnienie to jednak istniało tylko w jego umyśle — wiedział, że jest wytworem jego psychiki — gdyż czas płynął w absolutnej ciszy. Gdyby jednak zgromadziły się tu wszystkie dźwięki wszystkich lat wszystkich żywotów, powstałaby ogłuszająca kakofonia.

Keogh stał, czy też unosił się w progu metafizycznych drzwi i patrzył na te wszystkie linie błękitnego światła płynące w dal — miliardy włókien życia całej rasy ludzkiej. Wiedział, że w istocie każda oślepiająca nitka jest życiem, które mógł śledzić od narodzin po śmierć w bezkresnych przestworzach czasu Möbiusa. Nawet teraz jego własna linia życia odchodziła niczym nitka od szpulki, przecinała próg drzwi i mknęła w przyszłość. . . Niestety, gdzieś w oddali jaj błękit miał zastąpić szkarłat.

Gdyby istniała linia Faethora, powinna nosić barwę czystej purpury. Jednakże nie istniała, gdyż życie Faethora było skończone. Żywiołem tej pradawnej, niegdyś nieumarłej istoty, stała się prawdziwa śmierć, w której pędził coraz dalej i dalej, poza granice bytu. . . a wszystko dzięki Harry'emu. Stary wampir był bezcielesny, ale nekroskop wiedział, jak go odnaleźć. W kontinuum Möbiusa bowiem myśli mają swój ciężar i, podobnie jak sam czas, trwają w nieskończoność.

— Faethorze — zawołał Harry, posyłając w głąb strumienia czasu swą psychiczną sondę. — Chciałbym złożyć ci wizytę, jeżeli masz na to ochotę.

— Tak? — przyszła natychmiast odpowiedź. A po chwili, o dziwo, chichot; jeden z najczarniejszych, najbardziej szatańskich chichotów Faethora. — Spotkanie dwóch starych druhów, co? Czy to dzisiaj dzień wizyt? No cóż, czemu nie? Prawdę mówiąc, spodziewałem się ciebie.

— Czyżby? — Harry zrównał się z jaźnią Faethora. Z jego pamięcią, duchem, bo tylko tyle z niego pozostało.

— O tak! Któż poza mną znałby odpowiedź?

— Odpowiedź? — Keogh wiedział dobrze, o co chodzi. Odpowiedź na jego problem, rozwiązanie. Zakładając, że takowe w ogóle istniało.

— No, no! — obruszył się Faethor. — Czy ja wyglądam na naiwnego? Nazywaj mnie, jak chcesz, Harry, ale nigdy tak! — Faethor pokiwał głową, oczywiście, nie dosłownie, a następnie przejrzał Harry'ego na wskroś. — Ho, ho, ho! No, wiesz, ty chyba nigdy nie przestaniesz mnie zadziwiać. Tyle talentów! A teraz jeszcze ta nadświatlna podróż! O, proszę, popatrz, prześcignąłeś nawet samego siebie!

Nie skończył jeszcze mówić, a już nić życia Harry'ego zafalowała, drgnęła i rozszczepiła się na dwoje. Jedna cząstka skręciła w bok i pomknęła prostopadle do kierunku jego podróży, by wkrótce zniknąć w kuli czerwono-błękitnego ognia. Druga połowa zaś, niczym kometa, której jądro stanowił Harry, pędziła dalej naprzód, dotrzymując kroku Faethorowi.

Keogh spodziewał się czegoś takiego. Zjawisko, którego stał się właśnie świadkiem, a które sygnalizowało jego rychłe odejście do Gwiezdnej Krainy, leżało w prawdopodobnej przyszłości. Tu jednak panował czas Möbiusa, czas spekulatywny, i nic nie było całkiem pewne. Gdyby bowiem pomiędzy „teraz” a „wtedy” przydarzyło mu się coś niepomyślnego, odejście nie doszłoby do skutku. Innymi słowy — pomijając fakt, że o tym wiedział — było to po prostu coś, co mogło się wydarzyć.

— Ale tylko prawdopodobnie — odezwał się Faethor i ponownie zachichotał. — Zatem... pozbywają się ciebie, co?

— Wcale nie. — Harry wzruszył ramionami. — Odchodzę z własnej woli.

— Bo jeśli zostaniesz, znajdą cię i zgładzą.

— Bo tego chcę. — upierał się Harry.

— Zdobyłeś sobie rozgłos — mówił Faethor — a oni zaczęli cię bacznie obserwować. Teraz dokładnie wiedzą, jaki jesteś. Przez te wszystkie lata byłeś ich bohaterem, teraz stałeś się uciekinierem z najczarniejszych koszmarów. A więc wracasz do Gwiezdnej Krainy? No, cóż, powodzenia. Ale uważaj na tego swojego syna. Przecież, gdy tam byłeś ostatnio, okaleczył cię!

Ażeby dalej ciągnąć tę rozmowę, Harry otulił swój umysł nieprzeniknioną osłoną. Faethorowi wystarczyłaby nawet najmniejsza szparka, by zaraz wśliznąć się do środka. Nie tylko po to, by czytać najskrytsze myśli nekroskopa, ale by na stałe zagnieździć się w jego jaźni. Dla Pradawnego Wampira była to jedyna szansa

naprawdę ostatnia — na jakiegokolwiek trwanie, realniejsze niż ten nieskończony, bezcelowy pęd w przyszłość.

Zabezpieczywszy się, Keogh znów się odezwał:

— Tak, mój syn mnie okaleczył — przyznał — Odebrał mi mowę zmarłych, pozbawił dostępu do kontinuum Möbiusa. Wówczas przyszło mu to łatwo, gdyż byłem tylko człowiekiem. Ale teraz. . . jak widzisz, jestem wampirem!

— Wracasz, aby z nim walczyć? — syknął Faethor. — Z własnym synem?

— Jeśli nie będzie innego wyjścia. — Harry jeszcze raz wzruszył ramionami, głównie po to, by ukryć swe kłamstwo. — Ale wcale nie musi dojść do walki. Gwiezdna Kraina jest ogromna. Zwłaszcza teraz, kiedy wampiry wyginęły.

— Hm — zadumał się Faethor. — Więc wrócisz, postawisz sobie wieżycę i, o ile zajdzie taka konieczność, stoczysz bitwę z własnym synem o kawałek jego terytorium. Tak?

— Możliwe.

— Wobec tego, po co do mnie przychodzisz? Co ja mam z tym wspólnego? Jeśli masz taki plan, to go zrealizuj.

Harry dłuższy czas milczał.

— Pomyślałem. . . — odrzekł wreszcie — że może chciałbyś zabrać się ze mną.

Faethor sapnął i zamilkł zdumiony. Nie wierzył w to, co słyszał.

— Że może chciałbym. . . ? — powiedział w końcu.

— Zabrać się ze mną — dokończył Harry.

— Nie — rzekł po chwili Faethor. — Nie mogę dać temu wiary. To jest, to musi być. . . jakaś pułapka! Ty, który niegdyś tak długo i zaciekle walczyłeś o to, by się mnie pozbyć, teraz zapraszasz, żebym zamieszkał razem z tobą w twym nowym wampiryzmie umyśle, ciele i. . .

— Nie mów nic o duszy! — przerwał mu Harry. — A w ogóle, to źle mnie rozumiesz.

— Tak? — Faethor natychmiast stał się czujny. — Ale gdzie popełniłem błąd? Zabrać się z tobą z tego. . . tego piekielnego nie-miejsca do Gwiezdnej Krainy mogę jedynie jako część ciebie. Tutaj jestem niczym, ale jeśli z własnej woli wpuścisz moją jaźń do swojej. . . ?

— Na początek, owszem — powiedział Harry. — Ale tym razem musisz obiecać, że wyniesiesz się stamtąd; kiedy tego zażądam. I to bez oporów, żebym znów nie musiał uciekać się do podstępów.

— Wynieść się? Dokąd? — Faethor osłupiał.

— Do umysłu i ciała jakiegoś innego mieszkańca Gwiezdnej Krainy, króla Wędrowców lub kogoś podobnego.

Wreszcie Faethor pojął wszystko, przynajmniej tak mu się wydawało, i jego myśli stały się gorzkie jak piołun.

— W końcu okazałeś się niegodziwcem — oświadczył. — I byłeś taki od początku. Kiedy leżałem w ziemi w Ploeshti, myślałem sobie: „Nekroskop może osiąść wszystko, cały świat! Tibor był łotrem, niewdzięcznikiem, ale Harry jest inny. Janosz był nędzną szumowiną, zrodzoną z moich łędźwi, w porównaniu z nim Harry posiada trwałość i czystość kryształu. Uczynię Harry’ego moim trzecim i ostatnim synem!” Tak, takie miałem myśli, na które nie zasługujesz.

— Jak to? — zaprotestował Harry. — Dlaczego mi ubliżasz?

— Co? — Faethor nie dowierzał. — Chyba chciałeś powiedzieć: dlaczego się smucę! Mogłeś być najpotężniejszą istotą wszechczasów. Panem Wampirów! Nosicielem Wielkiej Zarazy! Jesteś wampirem tylko dlatego, że ja, Faethor Ferenczy, tego zapragnąłem! Sam to przyznałeś. A jednak teraz chciałbyś to wszystko odrzucić. Czy nic dla ciebie nie znaczy bycie wampirem? A co z pasją, mocą, chwałą?

— A co ze mną? — odparł Harry. — Prawdziwym mną.

— Teraz jesteś doskonalszy!

— Nie mam nic przeciwko doskonałości. — Harry pokręcił głową. — Proponuję ci warunki i nie mam czasu do stracenia. Możesz mi pomóc, czy nie?

— Zatem, karty na stół — rzekł Ferenczy. — Wpuścisz mnie do swej jaźni, przeniesiesz do Gwiazdnej Krainy, która przecież jest lub powinna być przyrodzonym mi światem, a tam scedujesz na kogoś innego, kim będę kierował, jak kierowałem tobą. W zamian za to mam ci powiedzieć, czy istnieje sposób na pozbycie się istoty, która w tobie rośnie. Zgadza się?

— I jeśli istnieje sposób — dodał Harry — podasz mi go dokładnie i zrozumiale, żebym mógł stać się z powrotem tylko sobą.

— A następnie wrócisz do swego własnego świata, zostawiając mnie w moim nowym wcieleniu w Gwiazdnej Krainie — dodał Faethor.

— Taki jest mój plan.

— A jeżeli nie ma sposobu, żeby cię uwolnić?

— Umowa to umowa. — Keogh wzruszył ramionami. — Tak czy owak, staniesz się potęgą w Gwiazdnej Krainie.

— Żeby ostatecznie zostać twoim rywalem? I twojego syna?

— Jak mówiłem, odkąd wyginęły wampiry, w Gwiazdnej Krainie jest wiele miejsca.

— Wygląda na to, że zawsze wyjdę na tym najlepiej. — Faethor nabrał podejrzeń. — Tylko czemu miałbyś być taki dobry dla mnie?

— Może jest tak, jak mówiłeś? — odrzekł Harry. — Spotkanie dwóch starych druhów.

— Dwóch starych duchów — poprawił Ferenczy.

— Jak sobie życzysz, tylko że ja nie jestem duchem z własnej woli. I chociaż to ty wpędziłeś mnie w te tarapaty, nie zapominam o tym, że w przeszłości zadawałeś sobie trud, by wyświadczyć mi pewne przysługi. Choć wszystkie one —

dodał nieco cierpko — jak sobie teraz uświadamiam, służyły ostatecznie twoim interesom. A jednak chyba się do ciebie przyzwyczailem. Po prostu grasz według własnych reguł. Reguł wampirów. Poza tym, jestem pełen ludzkiego współczucia, nic na to nie mogę poradzić i muszę przyznać, że mam wyrzuty sumienia. Wszak uwięziłem cię tutaj, w czasoprzestrzeni Möbiusa. Wszak cię tu zostawiłem. I wreszcie... no cóż, sam to mówiłeś: jeśli istnieje lekarstwo na moją chorobę, któż znalazłby je lepiej od ciebie? I to jest główna przyczyna, dla której tu przybyłem. Nie miałem wielkiego wyboru — zakończył Harry swój sugestywny wywód.

— Dobrze — powiedział Faethor. — Zgadza się. A teraz wpuść mnie do swego umysłu.

— Najpierw powiesz mi, co chcę wiedzieć — odrzekł Keogh.

— Czy możesz pozbyć się swego wampira?

— I jeszcze coś — dodał nekroskop.

— Tak?

— Skąd się tam wziął. Przede wszystkim — jak we mnie wszedł.

— Nie domyśliłeś się tego?

— To te purchawki, prawda?

— Owszem — potwierdził Faethor.

— A w purchawkach byłeś ty?

— Tak. Zostały zapłodnione moimi sokami, które wsiąkły w ziemię, tam gdzie spaliłem się i szczełem. Posoka, esencja warzyła się pod ziemią. Kiedy roztwór był gotów, siłą woli wypchnąłem grzyby na światło dzienne. Jednak dopiero wtedy, gdy wiedziałem, że ty będziesz mógł je wchłonąć.

— To w nich się ukryłeś? — dopytywał się Harry.

— Sam wiesz o tym najlepiej, bo przez nie wniknąłem w ciebie. Ale ty mnie wyrzuciłeś.

— A te grzyby, czy to naturalna część łańcucha rozrodczego wampirów? Stadium życiowego cyklu?

— Nie wiem. — To zabrzmiało szczerze. — Nie miałem nikogo, kto mógłby mi wyjawiać takie tajemnice. Może stary Belos to wiedział, może nawet przekazał tę wiedzę memu ojcu, ale Waldemar Ferrenzig nigdy mi o tym nie mówił. Wiem tylko, że zarodniki znalazły się w sokach mego ciała i że potrafiłem je zmusić do wzrostu. Ale nie pytaj mnie, skąd to wiedziałem. A skąd pies wie, jak szczekać?

— Czy to możliwe, że takie purchawki rosną na wampirzych bagnach w Gwiazdnej Krainie? Wydaje mi się to logiczne, skoro z tych bagien wywodzą się wampiry.

Faethor westchnął zniecierpliwiony.

— Przecież ja nigdy nie widziałem wampirzych bagien Gwiazdnej Krainy. Choć mam nadzieję je zobaczyć, i to wkrótce! No, już, wpuść mnie do swego umysłu.

— Czy mogę pozbyć się swego wampira? — zapytał Harry.
— Czy nasza umowa obowiązuje nadal, niezależnie od odpowiedzi?
— O ile odpowiedź będzie prawdziwa.
— Nie, jesteś raz na zawsze zrośnięty ze swoim wampirem! — powiedział Faethor.

Harry'ego nie zdziwiło to zbyt. Przypuszczał, że tak będzie. I nawet kiedy rozważał kwestię „wyleczenia się”, jego wola stopniowo słabła. Nauczył się bowiem, co oznacza bycie wampirem. A jeśli nawet prawej ręce się to nie podobało, lewa to aprobowała. Ciemna strona mężczyzny zawsze okazywała się silniejsza. A kobiety? Lady Karen lekarstwo przyniosło zgubę.

W głowie nekroskopa wciąż dźwięczała odpowiedź Faethora: „Jesteś raz na zawsze zrośnięty ze swoim wampirem!” „Niechaj i tak będzie!” — pomyślał.

— Zatem, żegnaj — odezwał się do Ferenczego.

Zaczął zmniejszać prędkość pozwalając, by oszołomiony wampir znacznie go wyprzedził. Gdy luka między nimi powiększyła się, Faethor przeraził się.

— Co? Przecież mówiłeś... — zawołał.

— Kłamałem — uciął Harry.

— Co? Ty kłamcą? — Faethor nie potrafił się z tym pogodzić. — Ale... to całkiem do ciebie niepodobne!

— Rzeczywiście — odrzekł Harry ponuro. — Za to podobne do istoty we mnie. Podobne do mojego wampira. Bo on jest częścią ciebie, Faethorze.

— Czeka! — krzyknął zdesperowany Ferenczy. Możesz się tego pozbyć... Naprawdę, możesz!

— To właśnie ta część! — powiedział Harry, przenosząc się ze strumienia czasu z powrotem do kontinuum Möbiusa. — Kłamliwa część.

I tak Faethor pozostał w strumieniu czasu. Wrzeszczał i złorzeczył, ale jego głos stawał się coraz słabszy i cichszy, aż w końcu brzmiał jak szelest kruchych zimowych liści unoszonych przez wiatr wieczności...

* * *

Harry udał się na wyspę Zakinthos, na spotkanie z Zek i Jazzem Simmonsami. Mieli tam willę z widokiem na Morze Jońskie, ukrytą wśród drzew, w Porto Zoro, na północno-wschodnim wybrzeżu.

Zmaterializował się obok ich domu. Minęła właśnie ósma wieczorem. Wypuścił swoją sondę i przekonał się, że Zek jest sama. Uznał jednak, że mogłaby mówić w imieniu obojga. Najpierw połączył się z nią telepatycznie. Sposób, w jaki mu odpowiedziała, brak jakichkolwiek obaw, dawał powody do przypuszczeń, że spodziewała się go.

— Na kilka dni? — zapytała, zaprosiwszy go do środka, kiedy wyjaśnił, co go sprowadza. — Na pewno będzie jej tu dobrze. Biedna dziewczyna!

— Nie taka znowu biedna — odrzekł impulsywnie, niemal broniąc się przed zarzutami. — Ponieważ nie do końca to rozumie, nie będzie walczyła tak ciężko, jak ja walczyłem. A zanim się zorientuje, stanie się już wampirzycą.

— Ale Gwiazdna Kraina? Jak zamierzacie tam żyć? Chodzi mi o to, czy... — Umilkła. Rozmawiała przecież z wampirem. Wiedziała, że jego oczy, ukryte za ciemnymi okularami, płoną. Wiedziała też, że mogłyby ją spalić. Lecz jeśli nawet bała się go, to nie okazywała tego.

— Musimy spróbować — odpowiedział. — Mój syn zdołał przeżyć...

— Moim zdaniem — odezwała się, wzdrygnąwszy się niemal niezauważalnie — krew to silny narkotyk.

— Najsilniejszy! — odparł. — Właśnie dlatego musimy odejść.

Zek nie miała ochoty kontynuować tego tematu, ale poczuła, że musi, zwyciężyła w niej kobieca ciekawość.

— Ponieważ kochasz bliźniego swego, a nie możesz sobie zaufać?

Wzruszył ramionami i posłał jej krzywy uśmiech.

— Ponieważ INTESP nie może mi zaufać! — Jego półuśmiech szybko zgasł. — Kto wie, może mają rację. A co z Jazzem? — zapytał.

Popatrzyła na niego i uniosła brwi, jak gdyby chciała rzec: czy naprawdę musisz pytać?

— Jazz nie zapomina swoich przyjaciół, Harry. Gdyby nie ty, dawno leżelibyśmy martwi w Gwiazdnej Krainie. A na tym świecie? Gdyby nie ty, Janosz, syn Ferenczego, nadal by żył i grasował. Tak czy inaczej, Jazz jest w Atenach, stara się o podwójne obywatelstwo.

— Kiedy mogę sprowadzić tu Penny?

— To zależy od ciebie. Nawet teraz, jeśli chcesz.

Harry zabrał Penny z hotelowego łóżka w Nikozji, nawet jej nie budząc, a w kilka chwil później Zek zobaczyła, jak układa ją delikatnie w chłodnej pościeli w sypialni.

— A co teraz, Harry? — zapytała, podając kawę z dodatkiem brandy, kiedy zasiedli już na balkonie, górującym nad klifami i oświetlonym przez księżyc morzem.

— Teraz Perchorsk — odpowiedział prosto.

Ale zaraz zapadł w sen, nie opróżniwszy nawet swojej filiżanki.

* * *

To, że chciał i potrafił tu zasnąć, dowodziło, że jej ufa. Zek Foener zaś nie poszła po swoją kuszę lub srebrny harpun i nie skorzystała z okazji, aby zabić go, a po nim także Penny. Nie zrobiła tego, mimo że nie mogła czuć się zupełnie bezpieczna.

Nim zasnęła, wezwała wilka zrodzonego w Gwiezdnej Krainie. A kiedy ten wyłonił się z ciemności, z sierścią pachnącą śródziemnomorskimi sosnami, posadziła go przy swoich drzwiach na straży.

* * *

Harry obudził się o północy i przeniósł się do Perchorska na Uralu. Kiedy odchodził, Zek życzyła mu powodzenia.

Na Uralu była 3.30 nad ranem. Wiktor Łuchow spał w czeluściach Projektu Perchorskiego, nękany koszmarnymi snami. Odkąd tu przebywał, nie mógł uwolnić się od strasznych wizji. Od kiedy INTESP przesłał mu ostrzeżenie, stały się one znacznie okropniejsze.

— Czego właściwie dotyczyło to ostrzeżenie? — zapytała go we śnie mglista, ciemna sylwetka Harry'ego Keogha. — Nie, nie mów, spróbuję sam zgadnąć. Chodziło też o mnie, prawda?

Łuchow, dyrektor Projektu nie wiedział, skąd się tu wziął Harry. Nagle zjawił się obok i przemierzał wraz z nim pancerne metalowe płyty okrągłego pomostu, tonącego w oślepiającym blasku kulistej Bramy; ramię w ramię jak starzy przyjaciele krążyli wokół pulsującego serca Perchorska.

— O co pytasz? — odezwał się wreszcie. — Czy w ostrzeżeniu chodziło też o ciebie? Nie doceniasz się, Harry. Chodziło wyłącznie o ciebie!

— Opowiedzieli ci o mnie?

— Tak. To znaczy, właściwie, nie mnie. Ale ostrzegli nowego szefa naszego Wydziału E, a on zaraz mnie powiadomił. Tylko... nie jestem pewien, czy powinienem ci to powtarzać.

— Nawet we śnie?

— Sen? — Łuchow wzdrygnął się, gdy jego podświadomość mimowolnie wróciła do tego, co niegdyś się stało. Przez moment rozpamiętywała to zdarzenie, by zaraz cofnąć się jak oparzony. — Mój Boże... Przecież ta cała potworna sprawa była jak zły sen! W gruncie rzeczy, mimo że przeraziłeś mnie do utraty zmysłów, ty właściwie reprezentowałeś ludzkość.

— Owszem — potwierdził Harry. — Ale teraz jest inaczej.

Łuchow wyswobodził rękę i odsunął się nieco na bok, po czym odwrócił się i spojrzał na nekroskopa. Wpatrywał się weń uparcie, z zaciekawieniem, a zarazem z lękiem, jakby usiłował go sprowadzić do jakiejś konkretnej postaci. Lecz obraz Harry'ego był niewyraźny, nieostry; na tle rozjarzonej Bramy, której kopuła wystawała ponad pomost, kontury sylwetki zdawały się poszarpane, naruszone przez lśniące sztylety białego światła.

— Mówią, że ty... że jesteś...

— Że jestem wampirem? — dokończył Harry.

— A jesteś? — Łuchow leżał nieruchomo w swym łóżku, wstrzymując oddech w oczekiwaniu na odpowiedź.

— Pytasz o to, czy zabijam innych dla ich krwi? Czy moje ukąszenie zamieniło ludzi w potwory? Czy ja sam stałem się potworem wskutek ukąszenia wampira? Odpowiedź na to jest tylko jedna. . . Nie.

Dyrektor Perchorska odetchnął z ulgą, znów zaczął rzucać się w pościeli. I razem z Keoghem kontynuował spacer wokół jarzącej się kulistej Bramy. Gdy tak szli, nekroskop, posługując się telepatią — najbardziej klasycznym narzędziem wywiadu paranormalnego — penetrował tajemnicze centrum Projektu, tchnące grozą jądro, odbite w podświadomości naukowca jak w lustrze. Dokładnie widział ogromną sferyczną grootę, wyżłobioną w skalnej podstawie gór, wydrążoną przez niewyobrażalne siły. Niesamowita Brama wyglądała jak wielka gaśienica, unosząca się wbrew zasadom grawitacji w centrum tej pieczary, zwinięta w doskonały kłębek niematerialnego światła, nieruchoma, lecz przesycona energią, wchłoniętą w chwili powstania. Brama niczym nieziemską poczwarkę, czekająca, aż nadejdzie pora, by uwolnić, rozpętać ukryte w niej piekło.

Harry zauważył też, że pewne rzeczy uległy zmianie. Kiedy był tu ostatnio, przy samym jądrze, półkolistą grootę wypełniała pajęczna sieć rusztowań, podtrzymujących drewnianą platformę, która otaczała rozjarzoną Bramę, unoszącą się w rozrzedzonym powietrzu na samym jej środku. W efekcie kula przypominała planetę Saturn, oplecioną pierścieniem desek. Cała grota miała nieco ponad czterdzieści metrów średnicy, zaś świetlista kula niespełna dziesięć. Wewnętrzny skraj platformy dzieliło od gładkiej powłoki kuli zaledwie kilka cali.

W miejscach, gdzie rusztowania i słupy tworzyły najsilniejszą podporę, zostały zainstalowane trzy podwójne katusze, wsparte o czarne, podziurawione wyłotami korytarzy ściany i wymierzone wprost w oślepiające centrum, gotowe w każdej chwili rzygnąć gorącą, półpłynną stałą w to, co mogłoby się wyłonić z jasności. Dodatkowym zabezpieczeniem było zaopatrzone w furtkę ogrodzenie, pozostające nieustannie pod napięciem.

Ale przed czym się tak zabezpieczono? Odpowiedź brzmiała: przed istotami, które zdawały się być mieszkańcami piekieł.

Związek Radziecki postanowił uruchomić Perchorsk, kiedy Stany Zjednoczone rozpoczęły prace nad swoim programem „wojen gwiazdnych”. Skoro celem Amerykanów stało się wyeliminowanie dziewięćdziesięciu procent radzieckich rakiet, Rosjanie musieli znaleźć sposób na zlikwidowanie lub unieszkodliwienie stu procent rakiet wytwarzanych w USA. Optymalnym rozwiązaniem miał być ekran energii, który chroniłby obszar ZSRR, a przynajmniej jego newralgiczne części nieprzenikalnym parasolem.

Zebrano prędko zespół wysoko wykwalifikowanych naukowców i w czeluściach wąwozu perchorskiego, w jego skalnym podłożu, wywiercono i wyrobiono zadziwiający kompleks podziemi. W wąwozie zbudowano zapórę wodną, której

turbiny miały dostarczać owemu kompleksowi energii elektrycznej, zdolnej wspomóc reaktor. Pracując zawzięcie, radziecki zespół operacyjny wkrótce doprowadził Projekt Perchorsk do końca, nie przekraczając napiętego planu. Plan rychło okazał się zbyt napięty.

Przeprowadzono próbę pracy urządzenia. Test odbył się tylko raz, lecz okazał się katastrofalny w skutkach... Defekt mechaniczny. Energia, która miała zostać wydalona na zewnątrz i rozproszona na wielkim sferycznym wycinku nieba, zawróciła do rdzenia Projektu Perchorskiego. Projekt pożarł swe własne serce! Pożarł swe ciało, krew i kości — sztuczne tworzywa, skałę i stal, paliwo nuklearne i sam stos atomowy. Energia ostatecznie strawiła samą siebie. A kiedy wszystko się skończyło, w rozrzedzonym powietrzu, gdzie uprzednio znajdował się stos, unosiła się kulista Brama, a laboratoria i wszystkie poziomy nad i pod reaktorem zostały obrócone w magmaty.

Tak właśnie określił dyrektor Łuchow te monstrialne miejsca w sąsiedztwie centralnej groty i Bramy — „poziomami magmatów”. Ogromne siły, wyzwolone przez implozję, zmieszały razem ciała, skałę i wszystko inne, stapiając je i formując niby plastelinę, nadając im niesamowite, niewyobrażalne kształty. Ludzkie wnętrzości wtopiły się w kamień. A bliżej centrum ciała spopielenie przez żar implozji pozostawiły w poczerniałej skale powykręcane, nieziemskie odciski. Przypominało to na swój sposób Pompeje.

Nienaturalny eksperyment wyrwał dziurę w ścianie dzielącej ten wszechświat od innego, istniejącego równolegle. Owa świetlista kula stanowiła przejście, drzwi... Bramę. Była to specyficzna brama. Cokolwiek przez nią przeszło, nie mogło wrócić. Podobnie nic, co weszło z drugiej strony, z równoległego świata Gwiazdnej i Słonecznej Krainy. A największy problem stanowiło to, że Gwiazdna Kraina była źródłem wampiryzmu, „ojczyzną” wampirów.

Pewne istoty rzeczywiście przeszły z tamtej strony, lecz dzięki Bogu — lub dzięki przypadkowi czy szczęściu — zostały unicestwione, nim zdążyły wnieść swe zabójcze nasienie, plagę wampiryzmu, w zewnętrzny świat. Ale przerażenie ludzi okazało się tak wielkie, że po prostu nie byli w stanie stawić im czoła. Stąd też katusze. Stąd widoczne wszędzie miotacze ognia, podczas gdy w innych takich placówkach można się raczej spodziewać gaśnic.

Harry zauważył, że sporo się zmieniło od tamtego czasu. Drewniane platformy, „pierścienie Saturna” ustąpiły miejsca stalowym płytom, okalającym rozjarzoną kulę. Zniknęły także katusze, zastąpione przez otaczające Bramę, złowieszcze zraszacze. Wyżej zaś, pod sklepieniem groty, znajdowały się ustawione na specjalnych platformach, wielkie szklane butle, zawierające ładunek dla systemu spryskiwaczy — wiele galonów silnie żrącego kwasu. Stalowe płyty pierścienia opadały skośnie w stronę centrum, tak aby wylewany kwas spływał w dół. Pod kulistą Bramą, pośrodku magmatowego dna groty stał duży szklany zbiornik, służący do zbierania kwasu.

Wszystkie te systemy miały oślepić, unieszkodliwić i błyskawicznie zamienić w parę każde stworzenie, które by przeszło z tamtej strony. Po ostatniej wizycie stamtąd Wiktor Łuchow pojął, że ani eksplodująca stal, ani oddział ludzi z konwencjonalnymi miotaczami ognia nie wystarczy.

Tylko jedno okazało się wystarczającym zabezpieczeniem: używany wówczas system awaryjny, który wylał tysiące galonów wybuchowego paliwa do rdzenia, a następnie je podpalił. Rzecz w tym, że przy okazji również cały kompleks został zniszczony do cna. I odtąd...

— Dlaczego wtedy nie opuściliście wąwozu? — zapytał Harry. Czemu po prostu nie porzuciliście tego miejsca, nie zamknęliście?

— Owszem, zrobiliśmy to... na pewien czas — odrzekł Łuchow. Mrugając gwałtownie, przyglądał się w świetle Bramy swemu gościowi ze snu. — Opuściliśmy, zablokowaliśmy tunele, wypełniliśmy betonem wszystkie poziome szyby wentylacyjne i „smocze jamy”, wstawiliśmy w dawne wejście ogromne stalowe drzwi, niemal jak do bankowego skarbcza. No, odwaliliśmy przy Projekcie Perchorskim nie gorszą robotę niż wykonano po katastrofie w Czarnobylu! A potem kilka osób siedziało w wąwozie z czujnikami nasłuchując... aż uświadomiliśmy sobie, że po prostu nie możemy znieść ciszy!

Harry zrozumiał, o co mu chodziło. Tragedia Czarnobyla nie mogła się samoistnie powtórzyć, nie wchodziła tam w grę żadna wroga inteligencja. Skoro zaś inteligentne istoty potrafiły zatkać dziury w Perchorsku, to inne, aczkolwiek obce, mogły je przecież odetkać.

— Musimy wiedzieć, mieć możliwość sprawdzenia, czy tam w środku wszystko jest w porządku — ciągnął Łuchow. — Przynajmniej do czasu, kiedy będziemy w stanie załatwić to ostatecznie.

— Tak? — Harry był szczerze zainteresowany. — Załatwić ostatecznie? Może to wyjaśnisz?

Zapewne dyrektor Perchorska zrobiłby to, gdyby nie fakt, że Harry nieopatrznie stał się zbyt rzeczywisty, a sen zaczął wydawać się czymś więcej niż zwyczajnym snem.

Rosjanin obudził się w swoim surowym, podobnym do celi pokoju. Usiadł gwałtownie na łóżku i ujrzał obok siebie Harry'ego, który patrzył nań oczyma jak dwie krople fosforyzującej krwi. Łuchow przypomniawszy sobie sen, westchnął nerwowo i przytulił się do nagiej stalowej ściany.

— Harry Keogh! To ty! Ty... ty kłamco! — krzyknął.

— Nie skłamałem, Wiktorze — odparł Keogh, — Nie zabijałem ludzi dla krwi, nie stworzyłem żadnych wampirów i sam nie wstałem zarażony w ten sposób.

— Być może — sapnął Łuchow. Jesteś jednak wampirem!

Harry uśmiechnął się, aczkolwiek uśmiech ten mógł zmrozić krew w żyłach.

— Spójrz na mnie — powiedział głosem miękkim, niemal ciepłym, wręcz miłym. — Temu chyba nie mogę zaprzeczyć, prawda?

Rosjanin nie zmienił się tak bardzo od czasu ostatniej wizyty Harry'ego, cera Łuchowa stała się może trochę bardziej ziemista, oczy bardziej rozgorączkowane, ale zasadniczo był tym samym człowiekiem. Niski i szczupły, o podbiegłej żółtymi żyłkami czaszce, częściowo pozbawionej włosów i poznaczonej okropnymi bliznami. Lecz jakkolwiek bezbronny mógłby się wydawać, Keogh wiedział, że w istocie jest on zwycięzcą. Przetrwał zwycięsko okropny wypadek, który zrodził Bramę; przetrwał odwiedziny istot, które przez nią przeszły; wreszcie przetrwał nawet końcowy pożar.

Łuchow pobladł, nie mogąc znieść wzroku nekroskopa i zaczął dyszeć jeszcze bardziej nerwowo. Modlił się, aby stalowa ściana wchłonęła go w siebie i wyrzuciła w sąsiedniej celi, byle dalej od tego... człowieka? Stał już kiedyś twarzą w twarz z wampirem i sama myśl o tym budziła w nim lęk.

— Dlaczego tu jesteś? — wykrztusił w końcu.

Harry nie odwracał wzroku. Obserwował żółte żyły, pulsujące pod zabliźnioną skórą czaszki.

— Doskonale wiesz, dlaczego — odpowiedział. — INTESP na pewno ci to przekazał albo polecił, by ci to przekazano: jestem zmuszony opuścić ten świat, zaś żeby to uczynić, muszę skorzystać z Bramy. Właściwie, chyba powinniście się cieszyć, że widzicie mnie po raz ostatni!

— Ależ tak, tak! — przyznał ochoczo Rosjanin. — Chodzi tylko o to, że... że...

Harry pochylił nieco głowę i znów się uśmiechnął, równie niesamowicie.

— No, dalej.

— Jeśli to, co mówiłeś, jest prawdą — zaczął mamrotać, usiłując zmienić temat — że dotychczas jeszcze nikogo... nie skrzywdziłeś... to znaczy...

— Prosisz mnie, żebym cię nie skrzywdził? — Harry umyślnie ziewnął, taktownie zasłaniając dłonią rozwarłe szeroko usta, lecz wprawdzie pozwolił Rosjaninowi zauważyć długość i ostre krawędzie wampirzych zębów. Nie chował też swych szponów. — A to niby czemu? Ze względu na reputację? Każdy esper w Europie, a może nawet nie tylko tam, dybie na moje życie, a ja mam być grzecznym chłopcem? Uczciwość to uczciwość, Wiktorze. No, może teraz mi powiesz, co INTESP przekazał waszym ludziom i o co prosił?

— Nie mogę... nie wolno mi odpowiedzieć na żadne z tych pytań. — zaskomlał Łuchow, wtulając się w stalową ścianę.

— Więc wciąż jesteś wiernym synem Matki Rosji, co? — parsknął szyderczo Harry krzywiąc się.

— Nie. — Rosjanin potrząsnął głową. — Jestem po prostu człowiekiem, członkiem rasy ludzkiej.

— Ale takim, który wierzy we wszystko, co mówią mu ludzie, prawda?

— Przynajmniej w to, co mówią mi oczy.

Cierpliwość nekroskopa wyczerpała się. Nachylił się jeszcze bardziej i chwycił w stalowe szpony przeguby Łuchowa.

— Umiesz argumentować, Wiktorze. Może powinieneś stać się jednym z wampirów!

Dyrektor Projektu teraz miał okazję na własne oczy zobaczyć, jak jego najczarniejszy koszmar przybiera materialną postać. Widział człowieka, który nosi w sobie najgorszą zarazę, i zdawał sobie sprawę, że łatwo mógłby stać się jej kolejnym nosicielem. Lecz wciąż jeszcze trzymał w zanadru jedną kartę.

— Ty... ty jesteś zaprzeczeniem zasad nauki — wybełkotał. — Przychodzisz i odchodzisz w ten swój dziwny sposób. Ale czy myślałeś, że ja o tym zapomniawszy? Sądziłeś, że nie będę pamiętał i nie zadbam o środki ostrożności? Lepiej już odejść, Harry, zanim wpadną przez te drzwi i spalą cię na popiół.

— Co? — Harry puścił jego rękę i cofnął się.

Łuchow uniósł pościel i pokazał nekroskopowi guzik zamontowany na stalowej ramie łóżka, który migotał czerwonym światłem. Harry wiedział, że aczkolwiek mimowolnie, to jednak zdradził go jego własny wampir.

Była to bowiem porażka jego ciemnej strony. Istota wewnątrz niego pragnęła się pokazać, przejąć władzę, załatwić tę sprawę po swojemu, wydusić z Łuchowa informacje siłą i przerażeniem. Gdyby oparł się swemu pasożytowi, może wydobyłby te odpowiedzi prosto z umysłu naukowca. Lecz teraz okazało się to niemożliwe.

Nie było wszak zbyt późno na to, by odpowiedzieć ciosem, stłamsić w sobie ową istotę, zmusić do uległości. Tak też uczynił i Łuchow ponownie zobaczył w nim człowieka.

— Myślałem... — załkał Rosjanin. — Myślałem, że mnie zabijesz!

— Nie ja — odparł Harry, słysząc dobiegający zza drzwi tupot. — Nie ja, lecz to! Owszem, to mogło cię zabić. Ale, do cholery, przecież kiedyś mi zaufałeś, Wiktorze. I czy cię zawiodłem? No, tak, fizycznie zmieniłem się. Jednak to, co we mnie prawdziwe, nie uległo zmianie.

— Ale teraz jest inaczej, Harry — rzekł Łuchow, nagle uświadamiając sobie, że właśnie uniknął... Bóg wie czego. — Chyba to rozumiesz? Ja już niczego nie robię dla siebie. Ani nawet dla „Matki Rosji”. Tylko dla rasy ludzkiej, dla wszystkich nas.

Ktoś załomotał we drzwi, odezwały się krzyki.

— Słuchaj. — Twarz Harry’ego stała się tak poważna i tak ludzka, jak nigdy dotąd; a raczej byłaby, gdyby nie te piekielne oczy. — Do tej pory INTESP, a także wasz rosyjski Wydział E, jeśli jest cokolwiek wart, na pewno już wiedzą, że chce się tylko wydostać. Więc dlaczego nie pozwalacie mi po prostu odejść?!

Z korytarza dobiegł huk wystrzałów, krótka seria, złożona chyba z dziesięciu pocisków. Grad gorącego ołowiu uderzył w zamek opancerzonych drzwi, rozbijając jego mechanizm.

— Chcesz... chcesz powiedzieć, że nie wiesz? — Łuchow widział teraz tylko Harry'ego, Harry'ego — człowieka. — Chcesz powiedzieć, że nie rozumiesz?

— Być może wiem i rozumiem — odrzekł Keogh. — Nie jestem pewien. Lecz teraz tylko ty jeden możesz to potwierdzić.

— Oni nie martwią się twoim odejściem — powiedział, gdy drzwi otworzyły się z trzaskiem i pokój zalało światło. — Obawiają się, że kiedyś mógłbyś wrócić. Lękają się też tego, co mógłbyś z sobą sprowadzić!

W progu stłoczyli się przestraszeni ludzie. Jeden z nich trzymał miotacz ognia, migocący wylot celował prosto w Łuchowa.

— Nie! — wrzasnął dyrektor, rzucając się w kąt i przykrywając twarz chudymi, drżącymi rękoma. — Na miłość boską, nie! On już odszedł! Odszedł!

Stali nadal w drzwiach, ich sylwetki malowały się nieostro w kordytowym dymie; spoglądali na nagie ściany pokoju.

— Kto odszedł, dyrektorze? — zapytał ktoś w końcu.

— Czy towarzyszyli dyrektorowi... coś się śniło? — chciał wiedzieć inny.

Łuchow zwałił się na łóżko, wciąż łkając. Tak bardzo pragnął, żeby to był tylko sen. Wciąż jeszcze bolał go przegub, za który chwycił go nekroskop, i wciąż czuł żar tych straszliwych oczu, dotykających jego twarzy i wwiercający się w mózg.

Dyrektor domyślał się, że Harry nie dowiedział się jeszcze wszystkiego, na czym mu zależało, że może zjawić się w każdej chwili.

— Podłączcie go! — sapnął dyrektor.

— Co? — Jeden z naukowców pospiesznie i bezceremonialnie rozepchnął pozostałych, by wcisnąć się w lukę obok łóżka Łuchowa. — Dysk? Powiedzieliście, żeby go włączyć?

— Tak. — Łuchow chwycił go za rękę. — I to już, Dymitrze. Zróbcie to zaraz, natychmiast! — Opadł na plecy i złapał się za gardło. — Nie mogę oddychać. Nie mogę... oddychać.

— Na zewnątrz! — rozkazał natychmiast Dymitr Kolczow, wymachując ręką. — Wszyscy na zewnątrz!

Ledwie zaczęto opuszczać pokój, dyrektor wyciągnął zeszytniałą dłoń.

— Czekajcie! Ty z miotaczem ognia. Zostań przy drzwiach. Ty ze strzelbą też. Jest nabita? Srebrne kule?

— Oczywiście, dyrektorze. — Mężczyzna wydawał się zaskoczony. — Co za pożytek z nie nabitej strzelby?

— Jest tu ktoś z granatami? — Łuchow był już spokojniejszy, bardziej opanowany.

— Tak, dyrektorze.

Łuchow pokiwał głową i zaczerpnął powietrza.

— Zatem wy trzej, nie, wszyscy, czekajcie za drzwiami. I od tej chwili nie spuszczać mnie z oczu. — Z wysiłkiem opuścił nogi na podłogę. Zauważył, że Dymitr Kolczow wciąż stoi obok.

— Dyrektorze, ja. . . — zaczął Kolczow.

— Już! — ryknął Łuchow. — Człowieku, czy jesteś głuchy? Nie Słyszałeś? Powiedziałem: uruchomić natychmiast dysk. A potem powiadomcie pokój dyżurny i połączcie mnie gorącą linią z Moskwą.

— Z Moskwą? — Kolczow wycofywał się z niewielkiej izby, blady i nieco przygarbiony.

— Z Gorbaczowem — wychrypiał Łuchow. — Z Gorbaczowem i nikim innym. Bo nikt inny nie może decydować w tej sprawie!

ROZDZIAŁ DRUGI

W pojedynkę — Gwiezdna kraina — Rezydent

Nekroskop wiedział, że czasu pozostało niewiele, że nie ma chwili do stracenia. Rosjanie opracowali jakieś „ostateczne rozwiązanie” problemu perchorskiego, a to znaczyło, że musi przedostać się przez Bramę, zanim wcielił swój plan w życie.

Przeniósł się do Detroit i tuż po osiemnastej dwadzieścia znalazł zakład obsługi motocykli połączony z salonem wystawowym, który akurat zamykano. Ostatni zmęczony pracownik zbierał się do odejścia — czarny dozorca placu, odstawił miotłę, umył ręce. Za pół-lustrzaną szybą stały w szeregu przepiękne, chromowane, lśniące maszyny.

— Nekroskop, tak? — powiedział ktoś w mowie zmarłych, ledwie Harry skorzstał z drzwi Möbiusa, by dostać się do środka salonu wystawowego. Zaskoczyło go to, gdyż umarli niewiele z nim ostatnio rozmawiali. — To chyba ty jesteś tym sprzymierzeńcem — ciągnął nieznajomy — bo słyszę twoje myśli!

— Masz nade mną przewagę — odparł niezwykle uprzejmie Harry, jednocześnie wpatrując się w łańcuch, który przechodził przez szprychy przednich kół błyszczących motocykli.

— Że niby co? Ach, tak! Nie znasz mnie, o to chodzi? No więc, za życia byłem Aniołem.

Czasami mowa zmarłych przekazuje więcej niż same słowa. Harry’ego nie zdziwiłoby już, gdyby takie istoty rzeczywiście istniały, zwłaszcza w kontinuum Möbiusa. Tym razem jednak stwierdził, że rzekomy anioł nie posiada żadnej aureoli.

— Aniołem Piekieł? — Harry stanął na łańcuchu i pociągnął go oburącz. Wyzwolił ogromną wampiryczną siłę, aż jedno z ogniw pękło z trzaskiem przypominającym wystrzał pistoletu. — A nie miałeś przypadkiem jakiegoś imienia?

— Ej! Ho, ho, ho! — Anioł gwizdnął z podziwem. — Potrafisz pewnie też przeskakiwać wysokie budynki, co? Czy to ptak? Czy samolot? Nie, miłościwy,

rwący łańcuchy, budzący trupy nekroskop! — Uspokoił się. — Moje imię? Pete! Cholernie fajne do nabijania się, nie? Petey, Petey! To brzmi jak jakiś pieprzony piczuś. Więc używam imienia nadanego przez Kapitułę: Wampir! O, ale widzę, że masz problemy.

Harry złożył stopkę harley-davidsona i wycofał go z szeregu w kierunku tylnej ściany salonu. Jednak ostatni pracownik usłyszał „strzał” pękającego łańcucha i zawrócił poprzez ciąg zamkniętych na klucz drzwi.

— Mnie się Pete podoba — powiedział Harry. — A co ty tutaj robisz?

— Waśnie tu odwaliłem kite — odpowiedział Anioł. — Nigdy nie mnie stać na jedno z tych wielkich błyszczących cacek Ale wciąż przychodziłem, chociaż popatrzeć. To miejsce było świątynią, kościołem, a te harleye wszechpotężnymi kapłanami.

— W jaki sposób umarłeś? — Harry przekręcił kluczyk w stacyjce i wielki motocykl zapalił. Każdy puls każdego tłoka było słyszeć niemal oddzielnie.

— Którejś nocy miałem awanturę z moją cizią — odrzekł Anioł. — I Randy Mandy nawiała. No to zatankowałem sobie trochę wysokich procentów, a swojej maszynie super oktanów. Zabuzowało mi w głowie akurat wtedy, kiedy na liczniku wybiła setka. Na zakręcie wyleciałem z drogi, wpadłem na stację benzynową i gruchnąłem w dystrybutor. Spaliliśmy się, ja i mój motor w rozgrzanym do białości gejzerze! To, co zostało z mojego ciała, pofrunęło razem z wiatrem. Ale ja wylądowałem tutaj.

— Pete — odezwał się Harry — zawsze chciałem jeździć motorem, ale jakoś nigdy nie mogłem znaleźć na to czasu.

— Nie umiesz?

— No właśnie — przytaknął Keogh. — Wiesz, mogę zacząć żmudną naukę albo przyjąć trochę porad eksperta, prawda? Więc... masz ochotę na przejażdżkę?

— Ja?

— No a kto?

— No jasne! — I Harry niemal fizycznie poczuł jego obecność na dopasowanym do ciała siodełku. Ich umysły złąły się w jedno, kiedy Harry dodał gazu i wyrwał z piskiem opon i grzechotem biegów prosto w szklaną ścianę!

Tymczasem dozorca, a zarazem sprzedawca, otworzył ostatnie drzwi i wszedł do salonu. Stał teraz oparty o ogromne okno wystawowe, tuż przed Harrym. Wyrzuciwszy na boki ręce, wrzasnął z przerażenia, nie odrywając wzroku od pędzącego motocykla. Wiedział, że maszyna za chwilę pogruchoce mu kości, podobnie jak i obłąkanemu cyklicie, lecz nie miał pojęcia, w którą stronę uskoczyć. Zamykając oczy i odmawiając modlitwę, osunął się na szybę, a potem ryczący potwór uderzył w niego i... przeszył na wylot.

Gdy hałas ucichł, sprzedawca uchylił nieco powieki, poczym otworzył szeroko oczy. Harley-davidson i szalony jeździec zniknęli. Na posadzce widniały ślady opon, w powietrzu unosiły się niebieskawe spaliny, pobrmiewało jeszcze gasnące

echo silnika, lecz nie było żadnego motoru ani motocyklisty. A szklana ściana nadal była nienaruszona.

„Nawiedzone! — pomyślał mężczyzna, zanim stracił przytomność. — Chryste, zawsze to wiedziałem! To miejsce jest nawiedzone przez złe duchy!”

Miał rację, a zarazem jej nie miał. Miejsce to od kilku chwil przestało być nawiedzone. Bowiem motocyklista Pete, zwany Wampirem zabrał się razem z Harrym Keoghem i podobnie jak Harry miał nigdy tu nie wrócić. . .

* * *

Harry popłynął przez kontinuum Möbiusa na Zakynthos, wywołał drzwi i wypadł przez nie z prędkością czterdziestu mil na godzinę na wyboistą powierzchnię oświetlonej gwiazdami, greckiej drogi.

Nie mając doświadczenia z motorami, z pewnością znalazłby tam własną zgubę, ale jego rękoma i umysłem kierował Pete cyklista. Wielka maszyna trzymała się pewnie na podziurawionym asfalcie.

Zek czekała na nekroskopa na krętych białych schodach prowadzących do drzwi, ale już wcześniej powitała go telepatycznie.

— Penny wstała. Pije kawę — wypła jej już mnóstwo!

— To moja wina — odpowiedział Harry. — Pohulaliśmy trochę. To był nasz bal pożegnalny. — Przypomniał mu się jego dom koło Bonnyrigg niedaleko Edynburga. Bardzo „gorąco” go pożegnali.

— Och! — wykrzyknął z zachwytem Wampir, widząc obraz Zek, odbity w umyśle Harry’ego. — To twoja cizia? — Ale oczywiście wołał w mowie zmarłych i Zek nie mogła tego usłyszeć, nie wiedziała nawet o jego obecności.

— Nie — odparł Harry, zwracając się tylko do Pete’a. — To przyjaciółka. A poza tym pilnuj swoich spraw i swego języka!

Zek i Harry uściśniły sobie dłonie. Po chwili dołączyła do nich Penny. Podszła blada do drzwi i uśmiechnęła się, jednakże z jakimś zmęczeniem, nieco. . . niesamowicie, widząc, że nekroskop wrócił. I nagle Zek ujrzała, że źrenice Penny, oświetlone przez lampę nad drzwiami, jarzą się czerwono jak u ćmy. . .

Wolała nie patrzeć w oczy Harry’ego. Zresztą nie istniała taka potrzeba, podobnie też nie trzeba było mówić nic na głos, gdyż ich umysły pozostawały w kontakcie.

— Zek — rzekł Harry. — Jestem twoim dłużnikiem.

— To my jesteśmy twoimi dłużniczkami — odparła. — Wszyscy.

— Teraz już nie. Zrewanżowałaś mi się w imieniu całej reszty.

— Żegnaj, Harry — powiedziała na głos. Pochyliła się i pocałowała go w usta, chwilowo zupełnie ludzkie, chociaż zimne.

Poprowadził Penny wzdłuż drzew do motocykla. Zek stała w świetle lampy i gwiazd, machając na pożegnanie. Reflektor harleya wydobył z mroku ścieżkę prowadzącą do drogi.

Zek słyszała, jak warkot silnika przechodzi w wycie, widziała snop światła przecinający noc, wstrzymała oddech.

Po chwili hałas stał się gasnącym echem, przetaczającym się wśród wzgórz, motocykl zniknął jakby nigdy nie istniał. . .

— Masz zamknięte oczy? — zapytał telepatycznie Harry.

— Tak — odpowiedziała w myślach, szeptem.

— Dbaj o to, żeby były mocno zaciśnięte, póki nie każę ci otworzyć. Pędząc wielkim motocyklem przez kontinuum Möbiusa, wraz z Penny i Petem Wampirem na tylnym siodełku, Harry kierował się u Bramie Perchorskiej. Znał dokładnie jej położenie. Na ekranie jego metafizycznego umysłu migały równania Möbiusa, otwierające i zamykające nie kończącą się krzywą drzwi na jego drodze. A kiedy drzwi zaczęły wykrzywiać się i drżeć, Harry pojął, że jest już prawie na miejscu. Tak oddziaływała Brama, zakrzywiała czasoprzestrzeń Möbiusa, podobnie jak czarna dziura zakrzywia światło. W chwilę później Keogh przeprowadził motor przez ostatnie topniejące, rozpadające się drzwi i wypadł z kontinuum na skraj stalowego dysku otaczającego Bramę.

Wiktor Łuchow natychmiast go spostrzegł.

Dyrektor Projektu rozmawiał właśnie z grupką naukowców. Stali na brzegu tarczy, gdzie płyty były pokryte trzycalową gumą. Taka warstwa izolująca zabezpieczała cały obwód. Dysk nie tylko pozostawał pod śmiertcionośnym napięciem, ale także był ściśle połączony z systemem zraszaczy.

Ledwie potężna maszyna Harry'ego wyłoniła się z rykiem z kontinuum, materializując się w tej czasoprzestrzeni, zatańczyły wokół niej biało-niebieskie wstęgi wyładowań.

Opony harleya — „Wrzeszczącego Orła” — były szerokie, grube i z najlepszej gumy, ale nagły upadek przeszło pięćsetsiedemdziesięciofuntowego motocykla zatrzęsł gwałtownie stalowymi płytami, wywołując trzaski i buczenie wyładowań elektrycznych. Błękitne błyskawice rozpełzły się po całym dysku niczym świetlne węże, potęgujące jeszcze głuchy warkot tłoków, przepelniający kulistą, wielce akustyczną grootę. A w górze otwarły się zawory z kwasem!

Intuicja matematyczna nekroskopa była w szczytowej formie. Wszystko obliczył idealnie, a poza tym cóż złego mogłoby się zdarzyć w przeciągu niespełna sekundy? Obchodząc wraz z Łuchowem grootę, właściwie wizję groty zawartą w umyśle dyrektora, nie dostrzegł żadnej broni palnej. Wyloty zraszaczy znajdowały się jakieś dwadzieścia stóp nad powierzchnią dysku. Uruchomienie ich i napełnienie zajmowało na pewno nieco czasu. Harry miał szansę zniknąć w kulistej Bramie, nim pierwsze mordercze krople osiągną stalowych płyt.

A jednak, gdy wynurzył się w rozświetlonej grocie i koła pisnęły na metalu, próbując znaleźć oparcie, od razu pojął, że coś jest nie tak. Dotyczyło to nie tyle jego obliczeń, co raczej planu jako takiego, tego, co o tym planie już wiedział, co wcześniej wiedział. Przypomnił sobie swoją zabarwioną purpurą, neonową nić życia, która uciekała z biegnącego w przyszłość toru, odrywając się pod kątem prostym, by zniknąć w oślepiającym, czerwono-błękitnym ogniu, rozstać się z tym wymiarem i czasem, zaszyć się w Gwiezdnej Krainie.

Oderwała się tylko ta jedna, samotna linia życia. Natomiast linia życia Penny...

Zmniejszając prędkość z czterdziestu do trzydziestu mil na godzinę, tak żeby koła przestały się ślizgać, Harry wspomniawszy niezwykle ważną zasadę: nigdy nie próbuj odczytać przyszłości, to może być zwodnicze. Lecz przecież wziął pod uwagę nawet to chwilowe ograniczenie szybkości, zresztą cała akcja była kwestią sekundy, jednego tyknięcia zegara.

Kto zatem popełnił błąd? Odpowiedź była prosta: Penny.

Czy chociaż raz go posłuchała? Czy choć raz wypełniła dokładnie jego polecenia? Nie, nigdy! Mimo iż była niewolnicą, nie czuła przed nim respektu. Traktowała go jak kochanka, a nie władcę. A w swojej niewinności Penny była ciekawska i lekkomyślna.

Kazał jej trzymać oczy zamknięte, ale Penny, jak to Penny, postąpiła na przekór. Otworzyła je, ledwie wypadli z drzwi Möbiusa, w sam raz, by ujrzeć rozjarzone cyklopie oko Bramy, wyłaniające się przed rozpędzonym motocyklem. Widząc je, „czując”, że za chwilę się z nim zderzą, zareagowała instynktownie. A przecież nie powinna była się tym przejmować; mieli się zderzyć, przebić na drugą stronę — na tym polegał cały plan. Gdyby nekroskopowi nie zależało tak bardzo na czasie, zdążyłby może jej to wszystko wytłumaczyć.

* * *

Ten ciąg myślowy przemknął przez głowę Harry'ego w ułamku, kiedy Penny krzyknęła i puściła go, by zakryć sobie oczy... Tylne zawieszenie motocykla podskoczyło, amortyzując drżenie stalowych płyt... i, jak narowisty żreback, wyrzuciło oszołomioną dziewczynę w powietrze! W ułamek sekundy później Keogh przeszył powłokę świetlistej kuli i zniknął w jej wnętrzu... Sam jeden, samotny. A ściślej, jedynie z Petem Wampirem, uczeponym jego pleców.

— Hej! — ryknął Pete. — Keogh, zgubiłeś swoją cizję!

Harry obejrzał się do tyłu i zobaczył Penny spadającą w upiornie zwolnionym tempie na płyty dysku. Włosy i ubranie spowiły macki błękitnego światła, obracając jej ciało w roziskrzony, wirujący fajerwerek. Lunał deszcz kwasu i z platformy podniosła się kurtyna cuchnących oparów. Wijące się jak piskorz zwłoki stały się

wilgotne i czarno-czerwone, skóra i odzież zaczęły odpadać, przeżarte kwasem. W jakimś makabrycznym tańcu miotały się po stalowych płytkach pośród rozwibrowanych cząsteczek wrzącej krwi, skwierczącej niczym krople wody spadające na rozpaloną, tłustą patelnię.

Rzecz jasna, Penny zginęła już przy pierwszym błysku niebieskiego ognia i niczego nie czuła. W przeciwieństwie do Harry'ego. On pojął absolutną grozę tej sceny. Wciągnął z sykiem oddech, widząc, że ostatni impuls elektryczny przylepił jej ciało do stalowych łusek, gdzie kwas i ogień obróciły je w popiół, smołę, dym i odór.

Nie mógł nic zrobić, nawet on, Harry Keogh. Znalazł się już w Bramie i nie mógł się cofnąć.

Jednakże los czasami była litościwy. Jej pojedynczy, niemy, telepatyczny krzyk nie zdążył dotrzeć do Harry'ego, gdyż przekroczył on już próg drzwi do innego świata. Podobnie mowa zmarłych; jeśli Penny z niej teraz korzystała, słowa roztrzaskiwały się o Bramę...

* * *

Nekroskop pragnął umrzeć. Najchętniej wyzionąłby ducha tu i teraz, natychmiast. Jednakże tkwiąca w nim istota miała inne plany. Pete Anioł również nie zamierzał na to pozwolić. Wspólnymi siłami zamknęli Harry'ego między sobą, przeobrazili w nieczuły kamień, zamrozili jego uczucia.

Wyzuty z emocji i myśli, wewnątrz pusty, kiwał się na siodełku harleya, pozwalając im prowadzić.

I prowadzili go przez całą drogę, aż do Gwiazdnej Krainy...

* * *

Harry siedział na gładzie, obok milczącego już harleya. Wielka maszyna stała nieruchomo, osrebrzona przez księżyc w pełni i upiorne światło gwiazd. Motocykl nawet w salonie wystawowym na Ziemi sprawiał dość niesamowite wrażenie, tutaj zaś, w Gwiazdnej Krainie, był zupełnie, i dosłownie, obcym ciałem. Natomiast Harry — wręcz przeciwnie. Jako wampir, należał do tego miejsca. Znow miał przed oczyma Penny. Przypomniawszy sobie jej śmierć, nabrał tchu, by rozpaczliwie zawyc, ale zakrztusił się. Zaciśnął pięści i nie otwierał szkarłatnych oczu, póki na zawsze nie wypędził jej ze swych myśli.

Wysiłek ten do dna wypompał zeń siły, ale okazał się konieczny. Wszystko, czym była Penny — czy ktokolwiek inny — stało się odległe i nieosiągalne. Nie mógł już wrócić, nie mógł jej wskrziesić.

— Złe wibracje, facet — powiedział cicho Pete. — Co teraz, Harry? Koniec jazdy?

Harry wstał, wyprostował się i rozejrzał dookoła. Nadciągał zmierzch i strzelistych górskich szczytów na południu nie oblewał złoty blask. Wschód zasłaty szczątki zdruzgotanych wieżyc — obalonych wampirzych pałaców. Tylko jeden z nich pozostał nietknięty: ponura kolumna z ciemnego kamienia i szarej kości, wysoka na kilometr. Kiedyś było to domostwo Lady Karen, lecz te czasy dawno minęły, a Karen wybrała śmierć.

Na południowym zachodzie, wysoko w górach, miał swój Ogród Rezydent. Tak, Rezydent — Harry Junior, otoczony Wędrowcami i troglodytami, bezpiecznymi w schronieniu, które dla nich wybudował. Ale od bitwy o Ogród minęły już cztery lata. „Czy mój syn nadal panuje, czy też jego wampir ostatecznie wziął górę?” — zastanawiał się Keogh.

Jego myśli były, oczywiście, tożsame z mową zmarłych. Pete Anioł spieszył z odpowiedzią.

— Może byśmy po prostu pojechali sprawdzić, co? — odrzekł.

— Kiedy ostatnio tu byłem — powiedział Harry — Pokłóciliśmy się i syn dał mi się zdrowo we znaki. Ale — wzruszył ramionami — i tak czy później, dowie się, że wróciłem.

— No, to jedziemy! — Pete palił się do przejażdżki. — Wskakuj na starego „Wrzeszczącego Orła” i zapalaj.

Nekroskop potrząsnął głową.

— Nie potrzebuję motocykla, Pete. Już nie.

— No tak, racja. — Eks-Anioł zasepił się. — Masz swój własny środek transportu. Ale co ze mną?

Harry zastanawiał się nad tym przez chwilę, po czym uśmiechnął się lekko. To, że nadal potrafi zdobyć się na uśmiech, dowodziło jego siły. Pete, rzecz jasna, odczytał jego myśli i wydał dziki okrzyk radości.

— Nekroskop, naprawdę chcesz to zrobić? — Nie posiadał się z podniecenia.

— Oczywiście — rzekł Harry. — Czemu by nie!? — I dosiedli motocykla.

Zawrócili, znaleźli prosty odcinek twardo ubitej, wolnej od skał ziemi i ruszyli niczym pocisk. Wydawało się, że jakaś prehistoryczna bestia wypełniła rykiem rozgwieżdżoną ciszę Gwiezdnej Następnie, nie schodząc poniżej setki i wzbijając za sobą półmilowy ogon kurzu, Harry otworzył drzwi Möbiusa i wpadli do środka, taranując bramę czasu przyszłego. I oto mknęli w przyszłość pośród nieskończonych błękitnych, i zielonych, a nawet czerwonych linii życia. Błękitne oznaczały Wędrowców, zielone tropiciele, a czerwone...

— Wampiry? — podchwycił Pete.

— Na to wygląda. — odparł Harry wzdychając.

Ale Pete zaśmiał się tylko jak szaleniec.

— Moi ludzie! — wykrzyknął.

I sunęli dalej, jeszcze przez krótką chwilę.

— Pete, tutaj wysiadam — powiedział wreszcie Harry.

— To znaczy... że motor jest całkiem mój?

— Na wieki wieków.

Pete'owi brakowało słów, by wyrazić swą wdzięczność, więc nawet nie próbował.

Harry otworzył drzwi do przeszłości i zatrzymał się na chwilę przed progiem, by spojrzeć na mknącego w przyszłość harleya. Z oddali dochodziło zwielokrotnione echo radosnego okrzyku Anioła.

* * *

Nekroskop przeniósł się na skraj Ogrodu. Oparł się o niski kamienny mur i przyglądał się Gwiazdnej Krainie. Gdzieś pomiędzy tym miejscem a dawnymi terytoriami Lordów, gdzie teraz walały się szczątki ich wieżyc, powinna jaśnieć ostrym blaskiem kulista Brama — drugi koniec czasoprzestrzennego przejścia, aberracja przestrzeni, której odpowiednik znajdował się w Perchorsku. Harry'emu wydawało się, że nawet stąd dostrzega ślad jej światła, upiorny blask u podnóża odległych, szarych gór.

Wraz z bezcielesnym Petem wyjechał motocyklem z tutejszej Bramy, przeniknąwszy oślepiającą jasność „szarej dziury” łączącej Perchorsk z tą skalistą równiną, lecz niewiele z tego pamiętał. Co więcej, przypominał sobie wyraźnie swój ostatni tutaj pobyt, który, o dziwo, zdawał mu się bardziej rzeczywisty niż wszystko, co zaszło do tej chwili. Przyczyną takiego stanu rzeczy mogło być to, że pragnął teraz zapomnieć o wszystkim, co spotkało go na Ziemi.

Ogarnął wzrokiem wielomilowe, nieznanne, północne przestrzenie, ciągnące się po krzywiznę granatowo-zielonego horyzontu, leżącego pod wędrującym księżycem, błyszczącymi gwiazdami i kuszącym blaskiem zorzy polarnej. Gdzieś tam znajdowała się nigdy nie dotknięta słońcem Kraina Wiecznych Lodów, dokąd od niepamiętnych czasów wypędzano potępione, skazane i zapomniane wampiry. A także Szaitisa, kiedy Lordowie ponieśli klęskę, a ich wieżycy legły w gruzach podczas bitwy o Ogród Rezydenta.

Nekroskop i Lady Karen rozmawiali z Szaitisem, zanim ten udał się na wygnanie. Nawet wówczas butny wampirzy Lord otwarcie pożądał ciała Karen, a jeszcze bardziej serca Rezydenta. Ale pojął na próżno. Przynajmniej wtedy.

Harry potrzebował Lady Karen do swoich własnych celów. Podobnie jak jego syn nosiła w sobie wampira. I gdyby potrafił wygnać z niej to koszmarnie stworzenie, prawdopodobnie mógłby też wyleczyć Rezydenta.

Głodził Karen w jej wieży, wykorzystał krew prosięcia do wywabienia jej pasożyta, a następnie spalił go, zanim potwór zdążył wrócić do jej ciała. Jednakże

potem sprawy nie potoczyły się zgodnie z planem. Reszta wydarzeń wciąż jeszcze trwała w jego pamięci.

Karen przyszła do niego we śnie, stanęła nad nim w prześwitującej białej sukni i obróciła jego triumf w klęskę.

„Nie rozumiesz, co mi zrobiłeś?” — powiedziała. „Ja, która byłam wampirzycą, teraz jestem pustą skorupą! Bo kiedy się poznało tę moc, tę wolność, te spotęgowane wampirze emocje... czym to potem zastąpić? Żał mi cię, gdyż wiem, dlaczego to zrobiłeś, i wiem także, że poniosłeś porażkę!”

Harry obudził się i szukał jej we wszystkich pokojach na wielu poziomach jej orlego gniazda, lecz nie mógł odnaleźć. W końcu poszedł na wysoki balkon i popatrzył w dół. Ujrzał białą suknię Karen. Leżała pomięta na osypisku przeszło kilometr niżej. I nie była już zupełnie biała, a przesiąknięta czerwienią. Ale wciąż otulała ciało Karen.

Nekroskop otrząsnął się z zadumy, z rozmysłem porzucił myśl o Gwiazdnej Krainie i o ranach, które mu zadała, i popatrzył na Ogród. Zorientował się natychmiast, że musiało coś się zdarzyć. Ujrzał zdemolowane cieplarnie, zrujnowane siedziby Wędrowców.

Stawy pokryła warstwa zielonej rzęsy. Przezroczysta folia palmiarni łopotała, targana zimnymi prądami wiejącymi znad Gwiazdnej Krainy. Domy mieszkalne, a zwłaszcza ten Harry'ego Juniora niszczały: na dachach brakowało dachówek, okna były potłuczone, rury centralnego ogrzewania, wyprowadzone z ciepłych stawów popękały wylewając swą zawartość na ziemię.

— To już nie to samo, Harry-Piekielniku, prawda? — odezwał się tuż obok głęboki i gardłowy, smutny głos, choć może nie dokładnie tymi słowy. Jednak telepatia nekroskopa dodała brakujące fragmenty, których jego uszom nie udało się rozpoznać — łatwo być lingwistą, gdy jest się równocześnie telepatą. Harry odwrócił się w kierunku mężczyzny, który zbliżał się z brzękiem pod osłoną ściany. Kiedy tamten zauważył ponurą szarość jego skóry i szkarłatne oczy zatrzymał się.

— Witaj, Lardisie — rzekł Keogh głosem równie, lub nawet bardziej głębokim niż przybysz i skinął głową. — Mam nadzieję, że ta strzelba nie jest przeznaczona na mnie! — Bynajmniej nie żartował; ten człowiek mógłby mu grozić.

— Na ojca Rezydenta! — Lardis spojrział na broń w swych rękach, jakby widział ją po raz pierwszy, z niejakim zaskoczeniem. Zaszurał niezgrabnie nogami, jak chłopiec przyłapany na przygotowaniach do jakiegoś drobnego występku. — Skądże! Ale... — Przywódca Wędrowców znów spojrział Harry'emu w oczy, opuszczając nieco powieki. — Gdziekolwiek byłeś i cokolwiek robiłeś po opuszczeniu Gwiazdnej Krainy, Harry — widzę, że ciężką miałeś dolę. — W końcu odwrócił wzrok zerknął na Ogród. — No tak, tu też panowały ciężkie czasy. I obawiam się, że przyjdą jeszcze gorsze.

— Ciężkie czasy? Mógłbyś to wyjaśnić? — poprosił Keogh.

Lardis Lidescu był Cyganem. Miał około pięciu stóp i ośmiu cali wzrostu, zwalistą budowę ciała i z wyglądu wydawał się być w wieku nekroskopa. W istocie był o wiele młodszy, lecz Gwiezdna Kraina i wampiry odcisnęły na nim swe piętno. Mimo swej krępej postury, wyróżniał się zręcznością. Otwarte i szczerze, okrągłe oblicze Lardisa okalały ciemne, długie włosy, wśród których mieniły się siwe pasma. Miał skośne, krzaczaste brwi, spłaszczony nos i szerokie wargi, ukrywające mocne, choć nierówne zęby. Brązowe oczy nie kryły w sobie cienia złości, patrzyły bacznie, rozumnie i przenikliwie.

— Wyjaśnić? — zdziwił się Lardis, nie zbliżając się ani o krok. — A czy to, co widzisz, nie wystarcza? — Rozpostarł szeroko ręce, jakby chciał objąć cały Ogród.

— Nie było mnie tu przez cztery lata, Lardisie — przypomniał mu Harry, acz nie wyraził tego dokładnie w ten sposób. W myślach dokonywał autentycznego przekładu. Czasu w Gwiezdnej i Słonecznej Krainie nie mierzyło się w latach, a w okresach między wschodem, gdy słońce oblewało złotem szczyty granicznych gór, a zachodem, kiedy to na północnym niebie tańczyły zorze. — Opuściłem to miejsce po skończonej i zwycięskiej wojnie z Lordami. Rezydenta wówczas bardzo dotkliwie poparzyło słońce, ale zaczynał już odzyskiwać siły. Przyszłość twoja i twego plemienia Wędrowców, a także troglodytów Rezydenta rysowała się jasno. Cóż więc się stało? Gdzie są wszyscy? I gdzie jest sam Rezydent?

— W samą porę. — Lardis pokiwał powoli głową. — Akurat w samą porę. — Po chwili zachmurzył się. — Pamiętam ciebie, Zek i Jazza, jakby to wszystko zdarzyło się wczoraj. Wspominam też dobre czasy, jakie nastąpiły bezpośrednio po bitwie o Ogród. W chwili, gdy zobaczyłem twoje oczy, pojąłem, że jesteś w nie mniejszym stopniu ofiarą niż kiedyś Rezydent. A ponieważ jesteś jego ojcem, i chyba też dlatego, że mam tę strzelbę, nabitą srebrem — nie obawiałem się ciebie. Przecież w końcu jestem Lardis Lidescu, którego nawet wampiry darzyły szacunkiem.

— Przede wszystkim czuły respekt! — wtrącił Harry. — Nie bądź taki skromny. Więc do czego zmierzasz, Lardisie?

— Zastanawiam się... — zaczął Lardis, po czym przerwał i westchnął. — Rezydent, kiedy był normalny, wspominał...

Harry miał ochotę zajrzeć do umysłu Lardisa, lecz coś go ostrzegło, żeby nie brać na siebie zbyt wiele.

— Tak? — zachęcił.

— Czy to możliwe... — Lardis gwałtownie przeładował strzelbę i skierował lufę prosto w serce Harry'ego — że jesteś ich strażą przednią?

Nekroskop wytworzył pod sobą drzwi Möbiusa i wpadł w nie — by w następnej chwili wyrosnąć za plecami wodza Wędrowców. Echo strzału dźwięczało jeszcze wśród skał; w powietrzu zawisł zapach czarnego prochu. Lardis kłął siarczysto i obracał strzelbę i lewo, zataczając pełny łuk.

Harry dotknął jego ramienia, a gdy ten przykucnął i odwrócił się, wyrwał mu broń. Oparł strzelbę o ścianę i zmrużył oczy.

— Przejdźmy się i porozmawiajmy, Lardisie — warknął. — Ale tym razem spróbujmy być nieco bardziej szczerzy.

Cygan przez moment czaił się w półprzysiadzie, wyciągając ręce i mrużąc oczy. Jednak ostatecznie rozmyślił się. Harry był wampirem. Walka z nim równała się śmierci.

— Nie ma potrzeby umierać, Lardisie — powiedział miękkim głosem. — I nie ma potrzeby zabijać. Nie jestem niczyją strażą przednią. No, może w końcu mi powiedz, co się tutaj stało, co się tu dzieje?

— Wiele rzeczy się zdarzyło — mruknął Lardis, odzyskawszy oddech. — A jeszcze więcej się zdarzy. To znaczy, jeśli sprawdzą się przeczucia Rezydenta, jego sny o zagładzie.

— Gdzie jest teraz Rezydent? — zapytał z naciskiem Harry. — Popatrzyl ostro na Lardisa. — Wilkołak, tak go nazwałeś? I gdzie jego matka?

— Jego matka? — Lardis uniósł swe skośne brwi. — A, jego matka! Twoja żona, najłagodniejsza dama, Brenda.

— Była kiedyś moją żoną — potwierdził Harry.

— Chodź za mną — rzekł Lardis.

Poprowadził Keogha przez Ogród. Stało się jasne, że nikt nie dba o to miejsce. Stawy zarastały, cieplarnie były puste i zimne, ostry wiatr gonił kłęby uschniętej roślinności przez płaską, niegdyś żywną przełęcz. A po jednej stronie, gdzie grunt zaczynał wznosić się ku wyższym szczytom, znajdował się skromny kopiec, grób Brendy.

W przyptywie wzruszenia Harry sięgnął tam mową umarłych. To przyszło instynktownie... jak bicie serca... jak oddychanie... W chwilę później przypomniał sobie jednak, w jakim ostatnio była stanie, i wycofał się.

— Czy umarła spokojnie? — zapytał Lardisa.

— Tak — odparł Cygan. — Wschód, łagodny deszcz i kwitnące kwiaty. Odpowiednia pora na odejście.

— Nie była chora?

Lardis potrząsnął głową.

— Może trochę słabowita. Przyszedł jej czas.

Harry odwrócił się.

— Ale samotna, tutaj...

— Nie była samotna! — zaprotestował Lardis. — Troglodocy ją kochali. Moi Wędrowcy też. I jej syn. Pozostał przy niej do końca. To pomogło mu zapomnieć o własnych kłopotach.

— Własnych kłopotach? — powtórzył za nim Harry. — Nazwałeś go: Harry Wilkołak. Pytam cię jeszcze raz: gdzie jest Rezydent, Lardisie Lidescu?

Cygan przyglądał się mu przez chwilę, po czym spojrzął na księżyc wyglądający zza szczytów i zadrżał.

— Tam, w górach — oświadczył. — Gdzieżby indziej? Dziki jak jego bracia, ugania się z nimi między drzewami porastającymi granie. Albo wyleguje się ze swą suką w jaskini w Słonecznej Krainie, albo poluje na lisy na dalekim zachodzie. Ludzie widują go czasem z tą sforą... Rozpoznają go po ludzkich rękach, które ma zamiast łap. I, oczywiście, po purpurowych oczach.

Harry nie musiał pytać o nic więcej, teraz już wiedział. Dość często rozmyślał o tym wcześniej.

— Kiedy Rezydent — powiedział cicho — zmienił się, a Lordowie zostali pobici i nie stanowili już zagrożenia, nie istniało nic, co by trzymało tu jego ludzi, wiązało z sobą. Może nawet baliście się go. I tak wy, Wędrowcy, odeszliście z powrotem do Słonecznej Krainy, troglodyci wrócili do swoich jaskiń. A Ogród... chylił się ku upadkowi. Chyba że ja przywrócę mu dawną świetność.

— Ty?

— Czemu nie? Kiedyś o niego walczyłem.

Głos Lardisa stał się cierpki, burkliwy.

— I będziesz również polował w Słonecznej Krainie — na mężczyzn, kobiety i dzieci — w bezksiężycowe noce?

— Czy mój syn poluje na Wędrowców? Czy kiedykolwiek to robił?

Lardis odwrócił się nagle.

— Muszę już iść. Na tyłach tej przełęczy jest szlak, rozpadlina, przejście. Tamtędy wrócę przez góry do Słonecznej Krainy.

Harry nie odstępował go na krok.

— A tak w ogóle, po co tu przyszedłeś? — zapytał Keogh.

— Żeby przypomnieć sobie to miejsce, odwiedzić je po raz ostatni.

— Jak żyje się teraz w Słonecznej Krainie, kiedy nie ma wampirów. Osiedliście się, czy koczujecie jak przedtem?

Lardis odwrócił się i parsknął.

— Co? Nie ma już wampirów? No, może chwilowo! Ale bagna wrą od ich nasienia. Jest tak, jak było w dalekiej przeszłości, a co zdarzyło się wówczas, znowu się powtórzy. Dzisiaj wampiry, jutro Lordowie-wampiry.

Harry przystanął. Cygan szedł dalej, ginąc pośród gęstej mgły.

— Lardisie — zawołał nekroskop. — Pamiętaj: nie wchodź mi w drogę, a ja nie będę przeszkadzał tobie ani twoim ludziom. Obiecuję. A jeśli znajdziesz się w potrzebie, odszukaj mnie. Tylko szukaj uważnie.

— Ha! — doszła z mgły odpowiedź Cygana. — Przecież ty jesteś teraz wampirem, Harry! I dajesz obietnice? A ja miałbym w nie wierzyć? No cóż, może i bym uwierzył, kiedyś. Ale wierzyć istocie wewnątrz ciebie? Nie ma mowy! Nigdy! O, na pewno niebawem zaczniesz polować. Na kobietę, żeby ogrzała ci łożę, albo na słodkie dziecko Wędrowców, kiedy obrzydnię ci mięso królików.

— Lardisie, zaczekaj! — ryknął Harry. — Chcę, żebyś wyjaśnił mi kilka spraw.

Oczywiście Keogh mógłby go zatrzymać i zrobić z nim wszystko. Jednak nie chciał ze względu na dawne czasy. A także dlatego, że on był ciągle górą, wciąż miał władzę.

Księżyc w pełni sunął nisko po niebie: osrebrzał szczyty, wydłużał czarne cienie skał, rozświetlał pełzającą mgłę. Harry zauważył, że mgła nie podnosi się, a nawet opada — cofa się z ocienionych miejsc, wypełnia przełęcze i płaskowyzę, przetacza się przez granie niby wolny wodospad. Usłyszał wycie wilka, odbiło się echem wśród gór. Zawtórowało mu następne, i jeszcze jedno. Ta mgła nie była naturalna. Zaś te niewidzialne stworzenia wydawały się dziwne i niesamowite.

Wreszcie dotarł do niego głos Lardisa, chrapliwy i zdyszany.

— Słyszysz to, Harry? — wołał. — Szare bractwo! A z nimi ich król, przybywa usiąść przy matce i porozmawiać chwilę, jak to ma w zwyczaju. Jego zapytaj o wszystko. Może będzie chciał porozmawiać również ze swoim ojcem.

Słychać było jeszcze odległy chrzęst żwiru, szmer osuwających się kamieni. Lardis powoli oddalał się w stronę Słonecznej Krainy.

Z mgły wyłoniły się wilki — długouche, o szarej sierści, zziajane, o ślepiach jak płonące złoto.

Harry przyglądał się im, a one odpowiadały mu czujnym spojrzeniem. Nie bał się ich. Otoczyły go z dwóch stron, pozostawiając drogę ucieczki. Skorzystał z niej, lecz nie biegł, tylko wolnym krokiem ruszył z powrotem ku domowi Rezydenta. Mgła i szare bractwo zamknęły za nim krąg.

Wewnątrz domu panowały nieprzeniknione ciemności, dla nekroskopa jednak nie miało to znaczenia. W pokoju, który był dawniej salonem, przy stole, pod otwartym oknem, wpuszczającym ukośny snop księżycowego światła, siedział Rezydent. Miał na sobie długą szatę z kapturem, ujawniającym tylko rozżarzone, trójkątne węgielki oczu. Wyraźnie widać było jedynie długie, smukłe dłonie.

Harry usiadł naprzeciw niego.

— Przypuszczałem, że pewnego dnia wrócisz — odezwał się Rezydent. Jego głos był zarazem warkotem, skrzekiem i krakaniem. Już w pierwszej chwili, kiedy wyjął, przeszedłeś przez kulistą Bramę, wiedziałem, że to ty. Ktoś, kto nieopatrznie przybywa w takie miejsce jest albo nieustraszony, albo bardzo się czegoś obawia, a może na niczym już mu nie zależy.

— W owej chwili nie zależało mi na niczym... — rzekł Harry.

— Nie traćmy czasu — powiedział Rezydent. — Niegdyś posiadałem ogromną moc. Ale miałem też w sobie wampira i myślałem, że zechcesz wypędzić go ze mnie i zabić, przez co zabiłbyś mnie. Obawiając się tego, wpuściłem do twej głowy myśl, która jak nóż wycięła wszystkie twoje tajemne talenty. Podobnie jak ja, potrafiłeś zjawiać się i znikać wedle woli — ja cię unieruchomiłem. Jak ja, słyszałeś umarłych i rozmawiałeś z nimi — uczyniłem cię głuchym i niemym.

Potem przeniosłem z powrotem w twoje dawne miejsce i tam porzuciłem. Nie było to zbyt okrutne; znalazłeś się we własnym świecie, wśród współbraci.

Później przez krótki czas panował na tym świecie spokój. We mnie również trwała jakaś namiastka spokoju.

Niestety, aby wytepić wampiry, posłużyłem się mocą samego słońca. Ty i ja spaliliśmy ich jasnym ogniem słonecznym i zburzyliśmy doszczętnie ich wieżycę. Wszystko zapowiadało się wspaniale, lecz igrając ze słońcem, sam się poparzyłem. Miałem wkrótce wyzdrowieć. Tak się wydawało. . .

Jednak nie wyzdrowiałem. Proces gojenia wkrótce się zatrzymał, a nawet cofnął. Mój przeobrażony przez wampira organizm nie potrafił odbudować jednocześnie i ciała wampira, i mojego, ludzkiego. I wampir musiał zwyciężyć. To, co było we mnie ludzkie stopniowo zanikało, niemal pożerane przez trąd albo jakiś potworny nowotwór. Nawet mój mózg został w znacznej części usunięty i zastąpiony nowym. Instykt pasożyta rychło stał się moim. Wampir musiał mieć silnego, aktywnego żywiciela karmiącego jego jajo do czasu, aż będzie mogło zostać przekazane, i „pamiętającego” kształt i istotę swego pierwszego nosiciela. Jak wiesz, mój „drugi ojciec”, dawca tego jaja, był wilkiem!

Wiedziałem, że moje ciało i umysł zanikają, i zrozumiałem, że cofam się do postaci zwierzęcej. Lecz nadal miałem kogoś, kto znał moją historię — całą, od dnia poczęcia — kogoś, z kim mogłem rozmawiać w godzinie potrzeby. Mówię, oczywiście, o mojej matce. Dzięki ciągłym ćwiczeniom nie zapomniałem przynajmniej mowy zmarłych. Ale pozostałe talenty zanikły, odeszły. Los się zemścił — zniszczyłem twoje zdolności i straciłem swoje! A teraz uchodzą mi z pamięci różne rzeczy. . .

Rezydentem targają emocje — gigantyczne emocje wampira. Nie potrafił należeć słów, z trudem myślał. W ciągu kilku krótkich godzin, w małym ułamku czasu, cały jego żywot uległ bezpowrotnej zmianie. Lecz to nie miało znaczenia, jego cierpienie było niczym. Inni przeszli o wiele więcej i nadal cierpieli. A źródło tego bólu tkwiło także i w jego wnętrzu.

— Synu! — zawołał nekroskop.

— Nie przyjdę tu więcej — powiedział Rezydent. — Już cię zobaczyłem. I teraz, kiedy. . . wybaczyłeś mi?. . . mogę zapomnieć, kim byłem, i być tym, czym jestem. Sam również mógłbyś tego spróbować ojcze. — Wyciągnął rękę, by dotknąć drżącej dłoni Harry'ego.

Przedramię, które wysunęło się z rękawa jego szaty, było pokryte szarą sierścią.

Harry odwrócił twarz. Łzy nie przystoją szkarłatnym oczom wampira. W chwilę później, gdy znowu spojrzął. . .

Szara sylwetka Rezydenta ogromnym, sprężystym susem wyskoczyła przez okno. Harry zerwał się. Jego syn oddalał się pędem wśród wampirzej mgły. Po chwili zatrzymał się, odwrócił i rozejrzał. Mrugnął trójkątnymi oczyma, podniósł

pysk, węszył w zimnym powietrzu. Postawił uszy; przechylił głowę w jedną i drugą stronę, jakby... słuchał.

— Ktoś nadchodzi! — szczechnął ostrzegawczo. — Ach, tak! To ona — dodał. — Zapomniałem o niej, jak o wielu innych sprawach. Zdaje się, że nie tylko ja zauważyłem twój powrót, ojczy. Ona też wie, że wróciłeś.

— Ona? — powtórzył nekroskop, a jego syn, wilkołak, odwrócił się i pognął ku szczytom. Zniknął we mgle, a wraz z nim całe szare bractwo.

Na dom Rezydenta padł cień i Harry skierował strwożony wzrok ku niebu, skąd właśnie opuszczał się dziwny romboidalny stwór.

— Ona? — powtórzył szeptem.

— Chodziło mu o mnie, Harry. — Doszedł go jej telepatyczny głos, niemal łagodny, niemniej eksplodujący w umyśle niczym bomba.

— Ty! — odpowiedział w ten sam sposób, kiedy wielki stwór latający opadł na ziemię.

Keogh ujrzał dawno temu zabitą — lecz już niemartwą — nieumarłą Lady Karen!

ROZDZIAŁ TRZECI

Harry i Karen — Zagrożenie

Karen posadziła swego lotniaka na ziemi tuż za północnym murem Ogrodu, gdzie grunt opadał stromo ku Gwiazdnej Krainie. Było to dobre lądowisko, świetnie jej znane, gdyż właśnie tutaj kiedyś oślepiła oszalałego Leska, wydarła mu serce, a groteskowe ciało oddała obrońcom Ogrodu, by je spalili.

Wychodząc z domu Rezydenta i kierując się ku niej przez rzadniejącą mgłę, Keogh wysyłał pełne zdumienia myśli.

— To naprawdę ty, Karen, czy ja mam halucynacje? Czyż to może być prawda? Widziałem cię martwą i połamaną na osypisku pod twoją wieżycą, z której szczytu się rzuciłaś.

— Miałeś przywidzenia, Harry — odparła i przeszła przez wyrwę w murze. Zatrzymała się, czekając na niego. Jej sylwetka rysowała wyraźnie na tle muru. Latający stwór — zupełnie nieszkodliwy, mimo iż wyglądał jak prehistoryczne zwierzę — kiwał płaskim łbem, ślinił się i mrugał wielkimi, sowimi oczyma. Wilgotne, połyskliwe, przywodzące na myśl płaszczkę skrzydła składały się z delikatnych, giętkich i pustych w środku kości, pokrytych cienką warstwą metamorficznej skóry. Owadzie nogi, czy też odnóży, ugięły się pod ciężarem miękkiego jak ciasto tułowia.

Harry patrzył na to stworzenie i zastanawiał się, dlaczego nie czuje wcale grozy i zaledwie odrobinę litości. Przecież wiedział, że ta istota została utworzona z ciała troglodyty lub Wędrowca. Może było w nim już miejsca na przerażenie? A może nie był już zdolny do ludzkich uczuć? Jednakże, zbliżając się do Karen, zdał sobie sprawę, że przynajmniej niektóre jego emocje pozostały ludzkie.

Jej wygląd zapierał dech w piersiach. W świecie po drugiej stronie kulistej Bramy — świecie ludzi, oddalonym teraz o cały wszechświat — nie sposób było znaleźć kogoś podobnego do niej. Nawet purpurowe oczy wydawały się piękne... teraz. Harry'ego zachwyciła jej uroda, zafrapowała nie mniej niż przy pierwszym spotkaniu. Karen przybyła wówczas do Ogrodu, by wziąć udział w walce przeciwko wampirom. Zniewoliła go wtedy i teraz działało się podobnie. Nie potrafił oderwać od niej oczu.

Począwszy od miedzianego połysku włosów, poprzez wszystkie cudowne krągłości ciała, aż po jasne skórzane sandały, które odsłaniały pomalowane złotem paznokcie, Karen oszałamiała. Na ramiona narzuciła czarne futro, zaś talię owinęła szerokim pasem ze szmaragdowo-zieloną kłamrą w kształcie szczerzącej kły, wilczej głowy. Znaczenie tego godła zatraciło się gdzieś w przeszłości. Symbol przekazali Dramalowi jego przodkowie, a ten z kolei powierzył go Karen. I dał jej nie tylko swój herb, lecz także swoje jajo.

Zelektryzowany jej niesamowitym przybyciem, nieziemską urodą i zderzeniem barw, Harry zatrzymał się. Karen wydała mu się jeszcze piękniejsza, bardziej godna pożądania.

— Kiedyś o mało mnie nie zabiłeś, Harry — wyszeptała. — I powinnam cię ostrzec: przybyłam tu przede wszystkim po to, by ci się odwdziżyć! — wysunęła lewą rękę, dotąd skrywaną za plecami. Dłoń osłaniała bojowa rękawica; kiedy zgięła rękę, w blasku gwiazd zaślśnił srebrem upiorny przepych ostrzy, haków i miniaturowych sierpów.

Harry otworzył na prawo od siebie drzwi Möbiusa i pozostawił je tam. Niewidzialne, stanowiły doskonałą drogę ucieczki. Gdyby Karen spróbowała go zaatakować, wykonałby minimalny zwrot w bok i zniknął. Ale te myśli musiał zachować dla siebie.

— Chcesz powiedzieć, że jesteś tu po to, by mnie zabić? — odezwał się.

— A ty chcesz powiedzieć, że na to nie zasługujesz? — odpowiedziała mu w podobny sposób.

Strzegąc wciąż bacznie własnych myśli, Harry zajrzał w jej umysłu i dostrzegł wrzące tam dzikie pasje, gniew sięgający niemal wściekłości, nie znalazł jednak nienawiści. Co więcej, odkrył samotność Lady Karen. Teraz oboje byli do siebie podobni.

— Nie rozumiałem, co oznacza być... — zaczął. — Myślałem, że ci pomagam, że lecę z jakiejś wstrętnej choroby. Ale przyznaję, robiłem to tyleż dla ciebie, co dla mego syna. Bo, gdybym zdołał ciebie wyleczyć... —

— Wyleczyć! — wypluła to słowo. — Czemu nie spróbujesz wyleczyć siebie? Nie ma żadnego lekarstwa, nekroskopie! Chyba już się o tym przekonałeś?

Skinął głową i zaryzykował podejście jeszcze o krok.

— Tak, przekonałem się — odparł. — Ale w pewnym sensie wyleczyłem cię. Miałaś w sobie wampira, jednego z tych, które wampiry nazywały „matką”. Gdybyś zrodziła mnóstwo młodych wampirów, to by cię przytłoczyło, zabiło. Mam rację?

— Nie wiadomo — warknęła.

Harry stał przed nią, wyprostowany, w zasięgu jej rękawicy.

— Zatem przyszłaś mnie zabić. — Pokiwał głową. — Ale chyba widzisz, że sam doznałem bolesnej przemiany? I w głębi duszy zapewne wiesz, że nigdy nie byłem twoim wrogiem, Karen? Byłem niewinny i nieświadomy.

Przez chwilę przypatrywała mu się bacznie, zmrużyła nieco oczy, skinęła głową i uśmiechnęła się. Właściwie, nie był to uśmiech, raczej szyderczy grymas ust.

— Przejrzałam cię — oświadczyła. — Wyczułam twoje drzwi, Harry! Zabrałeś mnie tam kiedyś, pamiętasz? Przeniosłeś z Ogrodu do mojej wieżycy w okamgnieniu. A teraz drzwi są tuż obok ciebie. Czy bez nich odważyłbyś się stanąć tak blisko? Jeśli tak, zrób to. Pokaż mi, na ile jesteś „niewinny”.

Harry potrząsnął głową.

— To zdarzyło się wtedy — powiedział. — A teraz niezależnie od moich pragnień i życzeń mogę być tylko wampirem! Bardzo niewiele we mnie teraz niewinności... Tak, to moja wewnętrzna istota poradziła mi, żebym otworzył drzwi, żebym się zabezpieczył. A może, żebym ją zabezpieczył? Ale człowiek, którym nadal jestem, mówi mi, że nie potrzebuję tego zabezpieczenia, że to wystawi wszystko, co mógłbym powiedzieć — co chcę powiedzieć — na drwinę. A póki żyję, ludzki pierwiastek we mnie ma decydujący głos. Niechaj więc tak będzie!

Odrzucając na bok ostrożność, zlikwidował drzwi Möbiusa i otworzył na oścież swój umysł. W przeciągu kilku chwil Karen przeczytała, czy też przejrzała wszystko, co było tam zapisane, gdyż niczego nie ukrywał. Kiedy w grę wchodzi telepatia, takie odczytywanie łączy się często z odczuwaniem i Karen przede wszystkim poczuła jego cierpienie — równie wielkie, a nawet większe niż jej własne. Poznała nieszczęścia, których zaznał więcej niż ona. I zobaczyła, jak bardzo był samotny i wewnętrznie pusty, a to nadało jej samotności i pustce właściwy wymiar.

Była jednak kobietą i pamiętała pewne rzeczy. Gdy objął ją w talii, zgięła rękę w łokciu i lekko oparła otwartą rękawicę o jego plecy.

— Pamiętasz, jak bardzo pragnęłam cię? — zapytała. — Jak wielorako cię pragnęłam? Jak kobieta, owszem — ale też jak wampir! A pamiętasz, jak próbowałam cię skusić, kiedy uwięziłeś mnie w moim pokoju? Przyszłam do ciebie naga, rozpalona, z rozfalowaną piersią — a ty mnie zignorowałeś. Zachowywałeś się, jakbyś miał ciało z kamienia i serce z lodu.

— Nie — szepnął, rozkoszując się naturalną wonią jej skóry. — W ciele miałem lawę, a we krwi ogień. Ale wyznaczyłem sobie pewną drogę i musiałem się jej trzymać. Teraz... droga przebyta.

Czuła, jak rośnie jego pragnienie, równe jej żądzy. Odbierała piersią łomotanie jego serca.

— Jesteś... jesteś głupcem, Keogh! — wyszeptała, gdy przytulił ją do siebie. I każdym nerwem jej ciała targnął dreszcz — to wampirzy instynkt domagał się, aby wbiła swą rękawicę w jego plecy i wydarła z nich mięso i kości, po czym jednym cięciem zamieniła serce w tryskający krwią gejzer. I znów poczuła dreszcz, zdumiona, że rozluźniła roztrzęsione palce i groźna rękawica zsunęła się bezwład-

nie za ziemię! — Tak wielkim głupcem, jak ja — jęknęła, zatapiając pomalowane na czerwono i ostre jak brzytwa paznokcie w ciele Harry'ego, podczas gdy on zagarniał ją brutalnie, kęsając jej wargi i twarz, póki nie pojawiła się krew. — A to oznacza — dyszała, gdy wreszcie rozłączyli swoje rozpalone ciała — prawdziwy bezmiar głupoty.

Polecieli do jej wieżycy.

Siedząc w ozdobnym siodle, umocowanym na karku lotniaka, u nasady płaszczkowatych skrzydeł — Harry musiał trzymać się Karen lub ryzykować upadek. Ale nie mógł spaść, wszak pieścił jej jędrne piersi, o sutkach sterczących pod podartą szatą, niczym dwie bryłki złota. Nie mógł spaść, wszak jego męskość prężyła się między jej wspaniałymi pośladkami, wpychała się tam, jakby chciała ją unieść.

— Czekaj — powiedziała mu Karen jeszcze w Ogrodzie pod murem, gdzie rozbudziwszy w sobie wampirzą namiętność, gotów był wziąć ją natychmiast, przeorać niczym urodzajne pole. — Czekaj! powtarzała jeszcze dwukrotnie podczas lotu, gdy jęczał głośniejsz niż wiatr w jej uszach i kąsał jej plecy i szyję, a ona czuła, jak jego metamorficzne ciało rozrasta się, by ją objąć, a dłonie powiększają i spłaszczają, jakby chciały ją całą ogarnąć.

— Czekaj! Och, czekaj! — błagała znowu, kiedy lotniak osiadł na lądowisku kilka poziomów poniżej najwyższych jej apartamentów.

Musiła niemal uciekać przed jego żądzą, przebiegła pokryte chrząstką schody z rzeźbionej kości, umknęła do swych pokoi. Lecz wreszcie dopadł ją w sypialni i wiedział, że czekanie się skończyło — dla nich obojga.

Od ostatniej nocy, jaką Harry spędził z kobietą, upłynęło niewiele czasu, mimo to zdawało mu się to teraz niewyraźne i odległe — może i nie bez powodu. Jeśli bowiem przestrzeń i czas są z sobą tak powiązane, że tworzą nierozdzielalną całość — przynajmniej dla przeciętnego człowieka — jak dawno temu Harry był z Penny? Wymiar temu? Cały wszechświat? A skoro wszechświat jest tak ogromny, że niemal nieskończony, to co z tą luką czasową między wszechświatami? Czas jest względny, o czym Keogh przekonał się aż nazbyt dobrze. Tak czy owak, tamta wcześniejsza faza zdawała się teraz niewyraźna i nieokreślona jak sen, natomiast „teraz” stanowiło jedyną rzeczywistość. Penny była mirażem, postacią ze snu, zjawą, lekką jak puch na wietrze, zniewoloną i wciągniętą w jego sen, a w końcu przez niego unicestwioną Karen zaś była... kobietą realną, zniewalającą, zachłanną. Niczym magnes o sile przyciągania równej niewielkiej planecie, trzymała nekroskopa na uwięzi niby księżyc na orbicie, by oświetlał jej ciało i pożądał jej. Dla Harry'ego stanowiła ucieleśnienie wszelkiej ziemskiej i nieziemskiej żądzy. Była czymś więcej niż tylko planetą — była czarną dziurą, która mogłaby go wessać na wieczność. Zaiste, Karen była nawet czymś więcej — wampirzycą!

Spletli się z sobą na jej łożu, jęcząc i warcząc. Harry zatracił już świadomość tego, co jest rzeczywistością, a co wytworem fantazji. Nigdy dotąd nie wykorzystywał swego metamorfizmu, nie znał stopnia cielesnej elastyczności, nie zgłębił potencjału własnych namiętności.

— Dotąd zatrzymywałaś swe ciało dla siebie? — zapytał dysząc, Keogh. Wsunął w nią wydłużoną rękę i palcami penetrował i pieścił wszystkie jej najbardziej wewnętrzne organy i zakątki, podczas gdy ona zwilżała śliną jego błyszczący trzon męskości, drażniąc delikatnym, rozwidlonym językiem.

— Nie — jęknęła. — Dwa razy poleciałam do Słonecznej Krainy, żeby znaleźć sobie kochanka. Ale jak można uwieść przerażonego mężczyznę? Tak czy inaczej sprowadziłam tutaj jednego. Szybko przewyciężył swój lęk i wślizgnął się do mojego łóżka. Och, ale ja byłam ziejącą otchłanią, rozpaloną gardzielią, do której on wrzucił kamyk! Nie mógł mnie zaspokoić. Wydoiłam go do cna i chciałam więcej, ale nie pozostało w nim nic poza krwią. Wiedziałam, że mogę go zgnieść, zetrzeć na miazgę, uśmiercić w jądrze mej kobiecości i wchłonąć w siebie bez najmniejszego trudu. Jednak... odwiozłam go z powrotem do Słonecznej Krainy. A od tego czasu miałam swe ciało tylko dla siebie. Podobnie jak mężczyźni i kobiety są sobie przeznaczeni, tak i wampirzyca może zaspokoić tylko ciało wampira. Wszak zwierzęta nie dają żadnej rozkoszy, a kiedy krew wampira jest rozpalona, człowiek jest przy nim niezwykle kruchy.

— To prawda — powiedział niewyraźnie Harry, czując jak jej lewy sutek wydłuża się i wnika w głąb jego gardła niczym język, a jego moszna pod ciśnieniem wewnętrznych soków nabrzmiewa do granic wytrzymałości. — Przez to, co teraz robię, kobieta umarłaby w męczarniach!

— Tak samo mężczyzna od moich pieszczot — odparła, wzdrygnawszy się. — Ale czułby rozkosz, chociaż potworną! — I wyciągnęła ze swego ciała jego wielką, miękką, pająkowatą rękę, zgięła mu nogi w kolanach i wprowadziła je w siebie. W końcu zastał w nią wciągnięty po pępek i poczuła wytrysk jego zimnego nasienia, które zalała jej rozpalone wnętrze.

— A jednak niegdyś Lordowie brali sobie kobiety Wędrowców wysapał Harry w uniesieniu.

Karen była teraz nim wypełniona, jej blady brzuch, okrągły i błyszczący, wydymał się groteskowo pod naciskiem jego rąk; a jej ciało tak go wchłonęło, że wyglądał niczym na wpół narodzony, a ich twarze stopiły się w jedność. W chwilę później wypchnęła go jednym potężnym skurczem. Z miejsca wszedł w nią ponownie, tym razem głową naprzód, tak że chcąc kontynuować rozpoczętą kwestię, musiała odwołać się do telepatii.

— Te kobiety umierały w cierpieniach — powiedziała. Słyszałam, że Lesk, powracając z wypraw, brał ich dziesięć lub więcej w ciągu nocy i rozsadał jak balony swoim seksem! O, to dopiero był gwałt! Ale nie wszyscy tak zwani „Lordowie” byli tacy. Piękna dziewczyna miała szansę przeżyć. Stopniowo wychowy-

wana, była też wampiryzowana, a w miarę jak postępowała metamorfoza, jej pan udzielał jej wskazówek. Lord Magula wyhodował sobie tak ogromną kobietę, że sypiał w jej wnętrzu, gdy wyczerpały go ich wspólne ekscesy.

Rozwarła się szeroko, by wypuścić go z siebie, po czym padła nań i błędziła po jego gładkim ciele niezmordowanymi dłońmi. Porwała ich bezgraniczne wampirze wyuzdanie... Wszelkie otwory ciała, w które można było coś włożyć — u obojga — zostały wypełnione; pocałunki uwalniały krew; ich soki przemoczyły pościel i ściekały na posadzkę. Stoczyli się z łoża, ślizgając się i pławiące własnych wydzielinach. Organizm Harry'ego bez końca produkował nasienie, które wciąż wsysały niezliczone wargi Karen. Zatrącili się w niepohamowanej żądzy swoich wampirów. Szablaste zęby gryzły — jednak nie tak głęboko, by dotrzeć do kości — paznokcie jak szpony tyranozaura szarpały i orały skórę. Zmienili pościel w przemoczone szmaty, kamienne łożo w rumowisko, wielką salę w ruinę. Uprawianie miłości rozrosło się do rozmiarów szału, zagubili się w niewyobrażalnych spazmach i ewolucjach. Krzyki stały się nieartykułowane, ciała złączyły się nierozzerwalnie. Poznali seks, jakiego nigdy nie doświadczyła żadna czysto ludzka istota. Najpotężniejszy spośród licznych szczytów nekroskopa nastąpił wówczas, gdy Karen weszła w niego.

Przez piętnaście godzin dawali upust swoim chuciom, w uniesieniu, udreće i na granicy obłądu. Wreszcie... nie tyle zapadli w sen, co padli nieprzytomni, wciąż jeszcze złączeni...

* * *

Harry ocknął się, kiedy Karen go myła.

— Daj spokój — powiedział, niemrawo próbując ją odsunąć. — To strata czasu. Pragnę cię znowu, teraz, póki jeszcze tu jesteś.

— Póki tu jestem? — Wzięła w dłoń jego członek, by ochłodzić wodą otarcia, i patrzyła, jak rośnie niczym pal.

— To sen, Karen, to sen! — wydyszał, szukając dłonią jej ciała. Tak jak i wszystko przedtem. Sny szaleńca. Wiem to na pewno, bo widziałem, jak leżałaś martwa. Jednak teraz, tutaj... żyjesz! Chyba że... czy w Słonecznej Krainie jest jakiś nekromanta?

Potrząsnęła głową i cofnęła się nieco, kiedy jego ręka zaczęła uporczywie sięgać po ponownie całkiem ludzkie piersi.

— Lepiej mnie posłuchaj, Harry — zaczęła. — Nie byłam wtedy martwa. To nie mnie tam widziałeś leżącą na stosach kości.

— Nie ciebie? Więc kogo?

— Pamiętasz, jak mnie głodziłeś? — Karen spojrzała na niego uważnie, chłodno, a nawet z wyrzutem. — Pamiętasz, jak użyłeś strużki świńskiej krwi, by wywabić z mego ciała wampira? O, ale ja byłam wampirzycą, i to przebiegłą! Owa

„matka” tkwiąca we mnie była naprawdę przebiegła! Bardziej niż wszystkie inne. Pozostawiła we mnie swe jajo. Wampirza odporność, Harry.

— Ty... byłaś wciąż wampirzycą? — Niemal rozdziawił usta. — Mimo tego, że spaliłem twego pasożyta i jego jaja?

— Spaliłeś wszystkie oprócz jednego — powiedziała — które we mnie pozostało. I ono miało się rozwinąć. Ale wiedziałam, że gdybyś to podejrzewał, spróbowałbyś jeszcze raz. A wówczas naprawdę bym umarła! Och, ta myśl mnie przerażała.

— Pamiętam, że wtedy zasnąłem. — Harry oblizał suche, spieczone wargi. — Byłem nawet bardziej wyczerpany niż teraz — zmęczyło mnie to, co widziałem i co zrobiłem.

— Tak — potwierdziła. — Zasnąłeś w fotelu i to mnie uratowało. Bo kiedy spałeś, do gniazda wróciło jedno z moich.

— Jedno z twoich? Stworzeń? — Harry zmarszczył brwi. — Ale wszystkie spotkała zagłada albo wygnanie.

— Właśnie, wygnanie — odparła. — To jedno uwolniłeś z „dobroci” serca... wypędziłeś ją na śmierć!

— Ją?

— To była służąca, kobieta troglodytów. Wykonywała proste prace w pałacu i w moich osobistych komnatach. Tutaj się urodziła i nie doświadczyła nigdy żadnego innego życia, toteż ostatecznie wróciła do jedyne go domu, jaki poznała. Dowiedziałam się o tym już wtedy, gdy postawiła nogę na najniższym stopniu schodów. Usłyszała moje psychiczne wezwanie i przybiegła tak szybko, jak mogła. Niestety, była wyczerpana włóczęgą po zimnych pustkowiach Gwiezdnej Krainy i śmiertelnie zmęczona wspina czką przez wszystkie poziomy wieży. Właśnie, śmiertelnie.

— Umarła? — Harry wyczuł lekki smutek Karen, taki jak po śmierci ulubionego zwierzęcia domowego.

Kobieta skinęła głową.

— Ale wcześniej zdjęła z moich drzwi srebrne łańcuchy i usunęła rośliny blokujące. Dopiero wtedy upadła i zmarła, a ja dostrzegłam swoją szansę. Kiedy spałeś, ubrałam jej zwłoki w moją najlepszą białą suknię i zepchnęłam z murów. Spadała z furkotem coraz niżej i niżej, nieledwie frunęła! A w końcu runęła na kamienie i roztrzaskała się. To właśnie ją zobaczyłeś, kiedy spojrzawsz w dół z tamtego wysokiego balkonu, Harry. Ja zaś ukrywałam się, czekając, aż odejdziesz.

Pamięć nekroskopa znów ożywiła te sceny.

— Wróciłem do ogrodu Rezydenta — stwierdził. — Mój syn wiedział, co uczyniłem. Obawiając się o swoje życie, pozbawił mnie mocy, a potem przeniósł z powrotem w mój własny świat, gdzie przez jakiś czas byłem tylko człowiekiem. Ale i tam odkryłem potwory, a one odkryły mnie. I wreszcie, jak sama widzisz, napotkałem na swej drodze o jednego wampira za wiele.

Karen usadowiła się między jego nogami. Niezależnie od powagi owej rozmowy o przeszłości, członek Harry'ego pulsował niczym drugie serce, gdy jej palce drażniły błyszczący brzeg jego kielicha. Przerwała na moment, by zwilżyć swym węzowym językiem tętniący czubek, po czym uwięziła kołyszący się trzon między swoimi piersiami.

— Jaki ty jesteś silny, Harry — westchnęła rozmarzona. — Naprawdę, wydaje mi się, że jesteś znowu pełen.

— Widząc twoją twarz — odrzekł — czując zapach twojego ciała i twą wilgoć... jak mógłbym nie być znowu pełen?

Uniósł Karen w górę, aby posadzić na swym palu, lecz wymknęła mu się z rąk i zeszła na posadzkę.

— Nie tutaj. — wydyszała.

— Tak?

— Tam! — oświadczyła. — W tym twoim sekretnym miejscu.

— W kontinuum Möbiusa? Tam chcesz się kochać?

— Dlaczego nie? Czy to jakieś święte miejsce?

Harry nie odpowiedział. Ale... mogło takim być. Można było je uznać za święte.

— Zabierzesz mnie tam, Harry? I będziesz mnie tam kochał?

— Och, tak — odparł chrapliwie. — I pokażę ci miejsce, którego nie potrafisz sobie nawet wyobrazić, gdzie będziemy się kochać przez sekundę lub wiek, jak sobie zażyczysz!

Rzuciła mu się w ramiona, a on przeturlał ją przez pościel wprost do kontinuum Möbiusa.

— Ale... tu nie ma żadnego światła! — syknęła, rozchylając szeroko uda i wprowadzając go w siebie. — Chcę cię widzieć — jak drży ci twarz, kiedy dochodzisz, jak pęcznieją usta, gdy pulsowanie słabnie i zaczyna się ból.

— Będziesz miała światło. — mruknął, kiwając głową... lecz w chwilę później opadł go śmiertelny lęk. To brzmiało prawie jak bluźnierstwo. Nie o to jednak mu chodziło. Miał na myśli światło — błękitne, zielone i nieco czerwone. Kiedy wbijała paznokcie w jego pośladki, ujeżdżając ten wierzgający, skaczący słup, Harry eksplodował wewnątrz niej i przeniósł jęczącą przez drzwi do przyszłości.

Ujrzała mknącą w dal przyszłość i emanujące z jej własnego ciała purpurowe światło z lekką tylko domieszką błękitu. Co więcej, światło Karen zmieszało się z linią Harry'ego, obie nici splotły się z sobą podobnie jak ich ciała, a jego linia wydawała się tylko nieco mniej czerwona niż jej.

— Nasze linie życia — powiedział jej. — Pędzimy na nich w przyszłość. Mknijmy tam, wyprzedzając życie!

— Pędzimy na sobie w przyszłość — odparła, drżąc pod wpływem zarówno tego niesamowitego doznania, jak i doznań, których dostarczał jej Harry. — Błękitne? — zapytała.

— To Wędrowcy — poinformował. — Prawdziwe ludzkie istoty.

— Zatem garstka czerwonych to z pewnością wampiry! Którzy przetrwali w Krainie Wiecznych Lodów. A te zielone to pewnie troglodyci. Nigdy nie widziałam takich barw, takiego światła! Nawet najjaśniejsze zorze nigdy nie były tak jasne.

Harry ugniatał jej piersi niczym ciasto i po raz kolejny osiągnął szczyt. Poczuciła, jak obmywa jej wewnętrzne ścianki i zadygotała.

— Twój wytrysk jest zimny jak wodospad. . .

— Nie, jest gorący. Ale chłodny przy twoim wnętrzu, które jest wulkanem.

— Tylko tak ci się wydaje — stęknęła. — Naprawdę oboje jesteście zimni, Harry. Oboje.

— Jesteśmy wampirami — odparł — lecz nie jesteśmy nieumarli. Nigdy nie byliśmy martwi, tak jak niektórzy zwampiryzowani ludzie, którzy „umierają” i śpią przez jakiś czas przed powtórным narodzeniem. Oczywiście, wcześniej spodziewałem się, że będę zimny, spodziewałem się też, że poznam wampirze żądze, nieokiełznane pragnienie życia i wszelkie formy cielesnego wyuzdania, ale nie uważałem tego za trwałą wartość. Ale to, co się stało, to coś więcej, coś innego.

— Może dla ciebie — odpowiedziała — bo od niedawna jesteś wampirem. A jednak. . . być może, masz rację. To nie jest tak, jak sobie wyobrażałam. Dawne wampiry były kłamcami, to każdy wie. Czy to możliwe, że to takie było kłamstwo? Niezdolni do miłości, tak mówili. Ale czy rzeczywiście tacy byli? Czy też po prostu nie potrafili się do tego przyznać? Czy kochać kogoś to okazywać słabość, Harry? A bycie zimnym i wzbitym miłości to objaw siły?

Zespolił się z jej ciałem, wszystkie jego członki wtopiły się w nią.

— Zimny? — warknął. — No, skoro jesteście tacy zimni, to czemu nasza krew jest taka gorąca? A jeśli jesteście słabi, dlaczego czujecie się tak bardzo silny? Nie, myślę, że patrzysz na to zbyt jednostronnie. To było ostatnie i najbardziej rażące kłamstwo wampirów — to, że nie znają miłości. To nieprawda, po prostu obawiali się do tego przyznać.

Nekroskop wiedział, że wreszcie dotknął prawdy. Wampiry zawsze były zdolne do ciemnych czynów, żądz i namiętności niedostępnych zwykłym śmiertelnikom, lecz teraz, stając po tej samej odległej stronie spektrum, on i Karen odkryli w sobie szczere, równie silne poczucie więzi. A oddanie się tym emocjom można było określić jedynie mianem ekstazy. Jakkolwiek gwałtowna, dziwna i obca była ich miłość, jednak czuli się prawdziwymi kochankami. Oczywiście, kryło się w tym też pożądanie, lecz czy istniała kiedykolwiek miłość między kobietą i mężczyzną wolną od pożądania?

Zespoleni w jedno ciało — pierwsza od zarania dziejów na poły ludzka para, nierozłączna w najpełniejszym znaczeniu tego słowa — pędzili w głąb strumienia przeszłości. Aż nagle, ni stąd, ni zowąd. . .

Ukazało się nowe światło... złocisty ogień... niewyobrażalny... wszechpo-
chłaniający! W pierwszej chwili Harry sądził, że jest to jakiś dziwny i cudowny
efekt ich związku, miłości, lecz było to coś więcej. Potężny, wibrujący, monoto-
niczny zaśpiew przyszłości będący nie tyle dźwiękiem jako takim, co raczej re-
akcją umysłu na trójwymiarową projekcję wszechogarniającego czasu — w oka-
mgnięciu przemienił się w dziki syk. Nekroskop przerwał gwałtownie ten szaleń-
czy pęd. Broniąc się przed rozłączeniem wirowali wokół siebie, pozwalając, by
czas płynął dalej naprzód. Karen, chwilowo oślepiąca, wpiła paznokcie w ramio-
na Harry'ego.

— Co to było? — wydyszała.

Lecz nawet Harry Keogh nie znał odpowiedzi. Kiedy oczy jego oswoiły się
z tą złocistą światłością, a umysł zaakceptował świdrujący syk, odwrócił się i od-
niósł wrażenie, że patrzy na jądro eksplodującej błękitnej gwiazdy, gdzie zachwia-
nia równowagi chemicznej wywołują czerwone i zielone protuberancje. Z tyłu
wszystko pozostało niezmiennym. Ale przez nimi, w czasie przyszłym...

Nici życia Harry'ego i Karen nie miały barwy czerwonej lecz jasnożółtą, od-
rywały się od ich ciał w przyszłość. A sama przyszłość jawiła się jako oślepiający
złoty blask, rozpalony pomarańczowymi językami ognia.

Jasność ta stopniowo szarzała i gasła, wypalając się w mroku, niczym żar ogni-
ska zmoczonego deszczem. A linie ich obu żywotów zniknęły wraz z nią. Poza
tym punktem nie istniała dla nich przyszłość, przynajmniej w Gwiezdnej Krainie.
A jednak była przyszłość dla innych. Bowiem nieco zwichrzone błękitne linie ży-
cia pędziły dalej; podobnie zielone, chociaż przygasały. Zginął zaś wszelki ślad
po czerwonych. A ciemność zdawała się intensywniejsza niż światło.

„Katastrofa” — pomyślał Harry; Karen go usłyszała.

— Ale co tu się stało... co się stanie?

Oszołomiony, potrafił jedynie potrząsnąć głową i wzruszyć ramionami.

— Zielone wydają się chore. One wymierają.

W rzeczy samej — widzieli, że wiele żywotów troglodytów ciemniało, migo-
tało, słabło i gasło. Jednak serce Harry'ego zaczęło na nowo bić, gdy zauważył, że
pozostałe wydają się przybierać na sile i jasności i mkną dalej. Odetchnął z ulgą,
widząc, jak w błysku powstają do życia nowe linie, oznaczające narodziny i nowy
początek.

Pozbierał swoje oszołomione zmysły, utworzył drzwi i przeciągnął przez nie
Karen w bardziej „normalny” przepływ metafizycznego istnienia.

— Ale co się stało? — wtuliła się w niego.

— Nie wiem. — Pokręcił głową i wprowadził ją w kolejne drzwi, by wynurzyć
się z kontinuum na dachu jej wieży.

Wystawił twarz na zimny wiatr, wiejący znad Gwiezdnej Krainy. Czując drze-
nie Karen i wyczuwając jej rozpacz, popatrzył pytająco w purpurowe oczy.

— Może ja wiem — powiedziała wreszcie. — Już nieco wcześniej przewidywaliśmy ich odrodzenie.

— My? — Harry pozwolił jej sprowadzić się na dół, do najwyższych komnat wieżycy.

— Twój syn i ja. — Pokiwała głową. — Kiedy był jeszcze sobą.

— Ich odrodzenie? Ich? — Ale Harry znał już odpowiedź. Zrozumiał teraz także niepokój i wrogość Lardisa Lidescu.

— Wampirów — przytaknęła. — Dawnych Lordów. Zostali skazani na wygnanie, lecz Kraina Wiecznych Lodów nie spodobała im się.

Przemierzyli przestronne, pokryte jaskrawymi freskami korytarze z rzeźbionego kamienia i żłobionej kości, zeszli po chrząstkowych schodach do jej komnat, gdzie opadli na wielkie łoże.

— Opowiedz mi wszystko — odezwał się Harry.

Zdaniem Karen, zaczęło się to (według kalendarza Harry'ego) dwa lata wcześniej, czyli w dwa lata po bitwie o Ogród Rezydenta, po rozgromieniu wampirycznych Lordów.

— Wyczuwając zagrożenie ze strony Krainy Wiecznych Lodów — ciągnęła Karen — poprosiłam o spotkanie z Rezydentem i zdradziłam mu, czego się obawiam. W owym czasie już doskonale wiedział, że przeżyłam twoją „kurację”, ale mimo to istniał między nami swoisty rozejm. W końcu przecież walczyłam u waszego boku z wampirami; nie mógł wątpić że jestem jego sprzymierzeńcem. Od czasu do czasu odwiedzałam go w górach, a on z kolei, bywało, gościł u mnie. Byliśmy przyjaciółmi, rozumiesz, nic ponadto.

Ale to były dziwne czasy — ulegał przemianie, tracił ciało ludzkie i przybierał postać i zwyczaje wilka. Mimo to nadal rozumował jak człowiek, podtrzymywaliśmy to przymierze. Bo on również, na swój sposób, czuł zagrożenie ze strony Lordów — niesamowite przecucie, które potęgowało się i bladło wraz z polarnymi zorzami. Jakieś fatum, które przyczało się jak zwierzę na granicy zmarzliny, czekając w napięciu, aż nadarzy się okazja do ataku.

Powiedziałam, że wyczuwał to „na swój sposób”, Twój syn jest teraz wilkiem, ma wilcze zmysły i instynkty. Potrafił wywęszyć ich w północnym wietrze, widział w poświacie zórz, słyszał ich szepty i knowania. Planowali swój powrót i zemstę! Właśnie, Harry, zemstę — na Rezydencie i jego ludziach, na mnie, na wszystkich, którzy pomogli zniszczyć ich pałace, wypędzić w krainę wielkiego chłodu. A to oznacza także zemstę na tobie. Tyle że, oczywiście, ciebie tu wtedy nie było. Pozostaliśmy tylko my, Rezydent i ja. A zważywszy na to, w co się przeobrażał... obawiałam się, że już wkrótce zostanę sama.

Zapytałam go, co trzeba zrobić.

„Musimy wystawić strażę — powiedział mi — na tym zimnym pustkowiu, żeby strzegły północy i donosiły o wszelkich niepokojach i zdarzeniach w Krainie

Wiecznych Lodów. Ty musisz je stworzyć. Czyż nie jesteś wampirzycą i prawowitą spadkobierczynią Dramala? Nie nauczył cię tego?”

„Rzeczywiście, wiem, jak stwarzać istoty” — odparłam.

„Więc zrób to — szczerką. — Stwórz wojowników, ale nadaj im męską i żeńską płęć. Uczyni ich takimi, żeby mogli się rozmnażać!”

„Samopowielenie?” Sama myśl zmroziła mi krew. „Przecież to jest zakazane! — wykrzyknęłam. — Nawet najgorsi z wampirzych Lordów nigdy by się nie ośmielili... nawet by nie pomyśleli...”

„Dlatego ty musisz to zrobić! — Pozostał nieugięty. — Tak, bo to pozwoli ci nie marnować czasu przy kadziach. Stwórz ich takich, by mogli żyć i mnożyć się wśród ludów, i żywić się wielkimi rybami, zamieszkującymi tamte wody. Ale zadbaj o bezpieczeństwo — tylko troje młodych od pary, i to samce. Dzięki temu dość szybko wymrą. Wcześniej jednak doniosą nam, czym jest to zagrożenie — i stworzą bitwę, kiedy od północy nadciągnie burza!”

Karen wzruszyła ramionami.

— Twój syn był bardzo mądry, Harry — ciągnęła. — Wiedział, co jest dobrem, i znał źródło zła najgorszego z możliwych, lecz jego człowieczeństwo szybko zanikało. Pojmował, że gdy nadejdzie pora, nie będzie w stanie mi pomóc, dlatego chciał pomóc od razu, dobrą radą. Przynajmniej wydawała mi się ona dobra.

— A Kraina Wiecznych Lodów? — zaciekał się Harry. — Szaitis? Czy to on?

Karen wzdrygnęła się.

— Nikt inny. I nie sam.

— Tak?

— Pamiętasz tamte chwile w Ogrodzie? — Chwyła go za rękę. Ogień i grzmot; gazotwory wybuchające w powietrzu i deszcz ich wnętrzości walący się na wszystko; wrzaski troglodytów i Wędrowców, kiedy Lordowie i ich porucznicy nacierali dumnie, wymachując rękawicami ociekającymi krwią?

Harry skinął głową.

— Pamiętam wszystko. Także to, jak przypaliliśmy ich lampami Rezydenta, oślepiiliśmy ich lotniaki, wysłaliśmy przeciwko nim twoich wojowników, aż do końca, kiedy dzięki sile słońca, zmieniliśmy ich w cuchnące opary.

— Nie wszystkich jednak — wykrzyknęła. — I Szaitis był jednym z tych, którzy przeżyli.

— Kto jeszcze?

— Olbrzymi Fess Ferenc i ohydny Volses Pinescu; poza tym Arkis z Trędowatych oraz kilku poruczników i niewolników. Nikt z nich nie padł w bitwie. Prawdopodobnie uciekli na północ, odkrywając, że ich gniazda zburzono i zrównano z ziemią.

Nekroskop odetchnął z ulgą.

— Zatem to tylko garstka.

Potrząsnęła głową.

— Sam Szaitis stanowi już siłę, Harry. Może nie było tak wtedy, kiedy mieliśmy u boku twego syna i jego armię, ale teraz, gdy pozostały tylko niedobitki, sprawa wygląda inaczej. A co ze wszystkimi innymi Lordami, wypędzonymi i wywożonymi na lodowe pustkowie od zarania wampirzych dziejów? A jeśli oni też przeżyli? Tamci odchodzili w pojedynkę, potajemnie, nigdy w grupie. Może jednak pozwalano im zabrać z sobą kobietę i kilku niewolników. Być może Szaitis i pozostali odnaleźli ich i utworzyli małą armię? Ale czy o jakiegokolwiek armii wampirów można powiedzieć, że jest mała?

— Może być jeszcze gorzej — rzekł ponuro Harry. — Jeżeli zabierali z sobą kobiety — i jeśli potrafili żyć w tym wiecznym chłodzie, czemu nie mieliby się rozmnażać, jak twoi wojownicy? Spójrzmy prawdzie w oczy, nie wiemy nawet, jak wygląda Kraina Wiecznych Lodów.

— Poza tym — przypomniała mu — tam na brzegu zimnego i leniwego morza jest z tuzin albo i więcej wojowników, obserwatorów, strażników.

— Poszłaś za radą mojego syna i stworzyłaś takie istoty?

— Tak... — Odwróciła głowę.

— Z czego? I czemu unikasz mojego spojrzenia?

Karen zachnęła się, piorunując go nieustępliwym spojrzeniem.

— Niczego nie unikam! Znalazłam swoje materiały w ruinach wieżyc, w pracowniach Lordów. Większość była zniszczona, zmiażdżona lub pogrzebana na wieki, ale niektóre zupełnie nietknięte. Na początku błądziłam po omacku, tworzyłam lotniaki, które nie umiały latać, i wojowników, którzy nie chcieli walczyć. Ale stopniowo udoskonaliłam swą sztukę. Widziałeś i miałeś okazję dosiąść mojego lotniaka — to wyjątkowe stworzenie. Tak samo, jak moi wojownicy. Stali się dzielni, silni i straszliwi. Tylko... — I znowu odwróciła głowę.

— Tylko?

— Od jakiegoś czasu nie odpowiadają na moje wezwania. Wysyłam myśli z Gwiezdnej Krainy, żądając informacji, ale oni mnie nie słyszą. A jeśli słyszą, to nie mogą albo nie chcą odpowiedzieć.

Harry zasępił się.

— Straciłaś nad nimi kontrolę?

Karen oburzyła się.

— Właśnie tego zawsze się obawiały wampiry stworzenia istot posiadających wolną wolę, które mogłyby pewnego dnia uciec i zdziczeć. Na szczęście, uwzględniłam ostrzeżenie Rezydenta i te stwory są genetycznie skazane na wymarcie — wśród potomstwa nie będzie samic.

Harry odchrząknął.

— Więc masz strażę, które nie strzegą, i wojowników, którzy nie chcą walczyć. Jakie jeszcze „środki bezpieczeństwa” podjęłaś, by ustrzec się przez zagrożeniem.

— Drwisz sobie z mojej pracy. — Karen syknęła ze zniecierpliwieniem. — Mam ci mówić, ile ode mnie wymagała decyzja o przeciwstawieniu się potencjalnej groźbie? Pamiętaj, zanim tu przyszedłeś, byłam samotną kobietą. Wyobrażasz sobie, jak Szaitis rozprawiłby się ze mną — z Karen, suką, która zdradziła wampiry — gdyby nie szezł w Krainie Wiecznych Lodów i teraz tu wrócił? Miałam zdać się na jego wątpliwą litość? Ha! O nie, dopóki mogłam mu się przeciwstawić!

— Przeciwstawić? — Na widok jej ognistych włosów, oczu i lśniących zębów, Harry przeraził się. „Ona jest wulkanem, w środku i na zewnątrz” — pomyślał. — Jak się przeciwstawić?

— No cóż — znowu się zachnęła — zamiast czuć, jak włazi na mnie Szaitis, wołałabym oddać się groźniejszemu, jeszcze bardziej niewiernemu kochankowi. Dosiadłabym swego lotniaka, kierując się na południe, ponad górami i Krainą Słoneczną, ku żółtej tarczy słońca. Niechby Szaitis ścigał mnie, jeśli wola, aż po warkocze gorących gazów, eksplodujące ciała i nicość. Niechby tak było!

Harry wziął ją w ramiona: poddała się bez oporu.

— Nie dojdzie do tego — szepnął ochryple, głaszcząc jej włosy i tuląc rozdygotane ciało. — Dopóki ja mam tu coś do powiedzenia.

Jednak w głębi umysłu Keogha, ukryta nawet przed telepatią Karen, trwała wciąż scena z przyszłości, której w żaden sposób nie potrafił przegnać.

Przyszłość tonąca w gorejącym, płynnym złocie. Wizja Końca wśród szkarłatnych, wszechogarniających płomieni absolutnego piekła. . .

ROZDZIAŁ CZWARTY

Znowu Perchorsk — Kraina Wiecznych Lodów

Od nocnej wizyty Harry'ego Keogha u dyrektora Projektu, Wiktora Łuchowa, i najazdu potężnego amerykańskiego motocykla na centralną grootę minęło sześć dni. Wszystko przygotowano do zabiegu, który — zgodnie z oczekiwaniami Łuchowa — miał na trwałe zamknąć Bramę.

Łuchow stał w centralnej grocie, na świeżo umytych i wyczyszczonych płytach, okalających kuliste wrota. W niemym zachwycie, zmieszany z grozą, ogarniał wzrokiem parę objętych ścisłą tajemnicą rakiet krótkiego zasięgu Tokariew Mk II (a w potocznym żargonie — jądrowych egzorcystów), zamontowanych na szczycie niewielkiej lawety na gąsienicach, będącej zarazem wyrzutnią i modulem sterującym. Oczy dyrektora Projektu, ukryte za przydymionymi szybkami plastikowych okularów, wyglądały jak wąskie szparki, jakby zastygły w jakimś grymasie bólu. Brało się to z ciężaru odpowiedzialności — jaką obarczyła go Moskwa — miał dopilnować załadowania i oprogramowania tokariewów. Łuchow aż nazbyt dobrze zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa — wiedział, że smukłe korpusy rakiet wypełniono ohydnyymi bryłami toksycznego metalu; wrzecionowate cielska spoczywały spokojne, lecz w każdej chwili gotowe były obudzić się do życia. Wystarczyło jedynie przycisnąć guzik.

Wokół tokariewów kręciła się zaafierowana grupa wojskowych inżynierów, sprawdzając raz po raz obwody elektryczne, systemy półautomatyczne i skomputeryzowane, poziomy promieniowania, odczyty wskaźników. Ich przełożony, odpowiedzialny bezpośrednio przed dyrektorem Projektu, dotknął ramienia Łuchowa. Dyrektor drgnął. Na próżno starał się ukryć swe zdenerwowanie.

— Tak, o co chodzi? — warknął.

Mężczyzna był młody, miał nie więcej niż dwadzieścia sześć lub siedem lat, lecz już posiadał stopień majora; oznakę swojej rangi nosił na wyłogach munduru, obok insygniów Oddziału Artylerii Specjalnej — wystylizowanego jądra atomu.

— Towarzyszu dyrektorze — zakomunikował formalnie — jesteśmy wszyscy gotowi. Od tej chwili, dopóki nie zajdzie potrzeba użycia tej broni, dwóch z nas

będzie nieustannie czuwać... oczywiście, osoby te będą uzbrojone, jako ochrona przed sabotażem. Zdajemy sobie sprawę, że w przyszłości trafiali tutaj... hmm... intruzi?

Łuchow skinął głową.

— Tak, bardzo dobrze. — W pierwszej chwili nie zastanawiał się nad tym, co słyszy. Ale gdy dotarł do niego sens tych słów, odwrócił się gwałtownie, by spojrzeć na rozjarzoną Bramę.

— A czy wiecie właściwie, przeciwko czemu mają być te strażę? — zapytał. — Jesteście pewni, że jeśli zajdzie potrzeba, będziecie wiedzieć dokładnie, kiedy przycisnąć guzik?

Oficer zeszytniał. Znał dobrze swoje obowiązki. Upokarzające było to, że musiał teraz przyjmować rozkazy od jakiegoś przekłętego cywila! Kusiło go, aby wygarnąć to Łuchowowi. Wcześniej jednak powiedziano mu wyraźnie, że ten starszy naukowiec jest wielkim autorytetem w swojej dziedzinie.

— Oczywiście, zapoznałem się z historią Projektu, towarzyszu dyrektorze — oświadczył chłodno. — Obejrzelismy również wszystkie filmy. Ale tak czy owak, proces odpalania może zostać uruchomiony wyłącznie na wasze polecenie.

— Słuchaj. — Łuchow chwycił go drżącą dłonią za ramię. — Tak was poinstruowano na odprawie, owszem, ale to jeszcze nie wszystko. W istocie, to bardzo niewiele. Oglądałeś filmy, tak? Świetnie! Ale filmy nie oddają zapachu, prawda? A obraz nie może wyskoczyć z ekranu, żeby cię połknąć, czyż nie? — Kiwając zapamiętałe głową i ponownie wskazując na jarzącą się białą górną półkulę Bramy, ciągnął chrapliwie. — Tam kryje się koszmarny, zaraza, coś, przy czym Czarnobyl wydaje się dziecinną igraszką! Jeśli to coś, wydostanie się stamtąd... to będzie koniec, koniec naprawdę wszystkiego! Rodzaj ludzki pójdzie w ślady dinozaurów, trylobitów, drontów — wyginie! Więc nie wściekaj się na mnie, kiedy pytam, czy wiesz, z czym masz do czynienia.

Błady oficer z trudem hamował gniew. Stał na baczność, lekko rozdziawiwszy usta. Jednakże Łuchow jeszcze nie skończył, nie zdążył wspomnieć mu o najgorszym.

— Tydzień temu pewien człowiek, powiedzmy, eks-człowiek, przedarł się przez tę Bramę na tamtą, drugą, stronę. Kiedy odszedł, świat odetchnął z ulgą — i od tego czasu wstrzymuje oddech! Pożegnaliśmy go z radością, ponieważ był skażony, był nosicielem. Ale teraz zastanawiamy się tylko — ile czasu zostało, zanim znajdzie drogę powrotną? Rozumiesz mnie?

Twarz majora zaczęła odzyskiwać kolor. Wyczuwał wagę słów dyrektora Projektu, ich przytłaczający ciężar.

— Rozumiem — przytaknął.

— To dobrze — rzekł Łuchow. — A teraz coś, czego nie było na waszej odprawie. Wspomniałeś o naszym wcześniejszym problemie z intruzami. Racja, mieliśmy ten problem. I to może się powtórzyć. Więc teraz chcę coś dodać do twoich

instrukcji i nieco zmienić regulamin. — Nachylił się. — Mianowicie: gdyby coś mi się przytrafiło — gdyby zdarzyło się coś dziwnego lub niewytłumaczalnego, co pozbawiłoby mnie możliwości działania, albo nawet wyeliminowało z biegu wypadków — wtedy ty mnie zastąpisz. Możesz się uważać za nominowanego, tu i teraz.

— Co? — Oficer spojrzął na bladą, błyszczącą twarz Łuchowa, na ohydnie okaleczoną głowę, i zastanawiał się, czy jest on w pełni władz umysłowych. — Wy mnie... nominowaliście, towarzyszu dyrektorze?

— Jak najbardziej! — wybuchnął. — Mianuję cię Stróżem Ziemi, tak!

— Stróżem... ?

— Przyciśnij! — uciął Łuchow przenikliwym szeptem. — Jeżeli coś mi się stanie, przyciśniesz ten cholerny guzik! Nie zwlekaj, nie trać czasu na telefony do Gorbaczowa czy tych tępych kretynów, którzy mu tak nędznie służą, tylko przyciśnij guzik! Załatw to jednym ruchem i wyślij egzorcysty na wojnę z demonami, do krainy po drugiej stronie Bramy, zanim wyskoczy stamtąd sam diabeł, rzygając ci prosto w twarz! Jasne?

Major cofnął się. Oczy miał szeroko rozwarte, pełne niepokoju.

Łuchow wciąż trzymał jego ramię w stalowym uścisku.

— Towarzyszu dyrektorze, ja... .

Nagle Łuchow puścił go, wyprostował się i zerknął za siebie.

— Nic nie mów. — Machnął głową, jakby od czegoś się opędał. — Na razie nie mów w ogóle nic. Ale nie zapomnij o tym, co powiedziałem. Nie waż się o tym zapomnieć!

Major czuł się zakłopotany. Na szczęście uratował go człowiek z obsługi technicznej, który otworzył ze szczękiem właz w metalowych płytach. Zatoczywszy się nieco, stanął w blasku Bramy, zerwał z twarzy aparat oddechowy i założył plastikowe okulary. Następnie wyciągnął na oślep rękę, jakby szukając oparcia, i znów się zatoczył.

— Feliks Szalny? — Dyrektor Projektu chwycił mężczyznę za rękę i przytrzymał. — To ty, Feliksie? — Potrafił być przyjacielski, gdy uważał, że wymaga tego sytuacja. — Ależ ty wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha!

Ubrany w roboczy kombinezon człowiek z obsługi technicznej, niski i łysiejący, skinął głową. Zamrugnął raptownie i obejrzał się w stronę otwartego włazu.

— Coś w tym rodzaju, dyrektorze — wymamrotał na poły do siebie, ścierając jakąś szmatą zimny pot z czoła.

— Co się stało? — Łuchow poczuł zimny dreszcz. — Coś na dole?

— Tak, tam w dole, w jednym z zaplombowanych szybów, które stanowiły część pierwotnego kompleksu — odparł Szalny. — Sprawdziłem jedną z tych „Smoczych jam”. O dziwo, promieniowanie spadło prawie do normalnego poziomu; w każdym razie nie jest już niebezpieczne. Więc otworzyłem zaplombowany

właz i wszedłem. „Smocza jama” łączyła się z dawnym poziomem obsługi reaktora. Tam w środku... znalazłem oczywiście magmaty.

— Aha! — Dyrektor wiedział, co się wydarzyło. A przynajmniej tak mu się zdawało. — Znalazłeś tam zwłoki!

— Tak, zwłoki — powiedział Szalny, kiwając głową. — To stanowiło część tego koszmaru. Były spieczone, wywrócone, przenicowane. Niektóre na pół wtopione w magmaty, jak mumie zawinięte w wypaczoną skałę, gumę i tworzywa sztuczne. I mimo tych długich lat izolacji, zdawało mi się, że jeszcze słyszę ich krzyki!

Łuchow potrafił sobie to wyobrazić. Przebywał przecież w Perchorsku, kiedy zdarzyła się ta koszmarna katastrofa. Wciąż nosił blizny, zarówno na zwiędłej jak pergamin skórze głowy, jak i — bardziej trwale — w mózgu.

— Dobrze, że stamtąd wyszedłeś — powiedział. — Może później skierujemy na dół grupę, która oczyści to miejsce, ale na razie...

— Ja... potknąłem się o coś. — Szalny nadal był oszołomiony, nadal mówił prawie do siebie. — Coś rozsypało się w pył pod moją stopą, tak, że potknąłem się i uderzyłem o cystę — która natychmiast pękła!

Młody major dotknął łokcia Łuchowa, tym razem bardzo delikatnie.

— Czy on powiedział coś o cyście?

Dyrektor obrzucił go niechętnym spojrzeniem.

— O, a ciebie to interesuje? — I nie czekając na odpowiedź, pokiwał głową. — Zatem musisz to sam zobaczyć.

Przywołał jakiegoś szeregowego żołnierza, wydał mu jakieś polecenie i odesłał go. Potem znów spojrzał na Szalnego.

— Feliksie — powiedział — usiądź lepiej na którymś z tamtych krzeseł i napij się gorącej herbaty.

Łuchow i major przypięli do ubrań tabliczki, sygnalizujące wzrost promieniowania. Po chwili wrócił żołnierz, niosąc dwie maski gazowe. Zrzuciwszy je na ramię, obaj mężczyźni spuścili się przez stalowy właz na niższy poziom groty, oświetlony jedynie przez Bramę wiszącą w centrum sferycznej przestrzeni.

Dotarli do najniższych stopni stalowej drabinki, dyrektor Perchorska zszedł ostrożnie między okrągłe wyloty szybów, przecinających pod różnymi kątami nieckowate łożysko. To były owe „smocze jamy” — kanały wyżarte w spoistym gruncie przez olbrzymią energię wyzwoloną w pierwszych sekundach katastrofy, kiedy to niewzruszona dotąd materia zmieniła się w ciasto.

— Uważaj, jak idziesz — pouczył Łuchow młodego oficera. — I trzymaj się z dala od „smoczyc jam”, których nie odplombowaliśmy. Są wciąż trochę napromieniowane. Ale ty, oczywiście, sam wszystko wiesz najlepiej, prawda? — dodał z ironią. Ruszył przez idealnie gładkie kamienne podłoże, idąc po „schodach” z falistej gumy, które ułożono dla zapewnienia lepszej przyczepności.

Oddalając się od środka pieczary, doszli w końcu do żelaznych stopni, przytwierdzonych do pochyłej „podłogi”, która stopniowo przechodziła w pion. Łuchow zrównał się wreszcie z otworem o średnicy trzech stóp, którego nie zabezpieczała teraz ołowiana kłapa. Zauważył go schodząc i domyślił się, że to tam pracował Szalny. Nie mylił się, w ziejącej czernią paszczy korytarza leżała latarka, oznaczona wydrapanym na plastikowej obudowie nazwiskiem inżyniera.

Podniósł latarkę i oświetlając sobie drogę, wczołgał się do otworu.

— Wciąż jesteś zainteresowany, tak? — Jego niemal sardoniczny głos odnabiał pełznącego za nim majora. — To dobrze. Ale na twoim miejscu założyłbym maskę gazową.

Szalny zostawił linę przywiązaną do ostatniego szczebla; sięgała w głąb „smoczej jamy”, która skręcała najpierw w lewo, następnie opadała łagodnie przez jakieś trzydzieści stóp, biegła poziomo, wreszcie kończyła się ostrym zakretem w prawo. . . wychodzącym w ciemność. W wieczną noc dawno porzuconego miejsca.

— W dawnych czasach — sapał Łuchow, przesywając smolistą czerń snopem światła i pochylając się ostrożnie nad gruzłowatym, nierównym podłożem — obsługiwano z tego miejsca stos. — Jego głos, stłumiony przez maskę, odbijał się niesamowitym echem.

Młody oficer trzymał się tuż za nim. Wyczołgawszy się niezdarnie z korytarza, podniósł się i złapał za kitel dyrektora, aby się przytrzymać. Ręka majora drżała, a oddech stał się nierówny. Prawdopodobnie zostało to wywołane nienormalnym ciśnieniem. W istocie, to był główny powód. . . do chwili, kiedy Łuchow omiotł światłem latarki ściany, podłogę i magmatowych mieszkańców tego miejsca.

Wówczas oddech majora przeszedł w spazmatyczne sapanie, a ręce zatrzęsły się jeszcze mocniej.

— Mój Boże! — wyrzęził po chwili.

Łuchow ostrożnie, wręcz delikatnie, przeskakiwał potwornie zniekształcone, lecz jednak ludzkie szczątki. Szczątki, które kiedyś miały w sobie coś ludzkiego.

— Kiedy nastąpiła katastrofa — powiedział — materia stała się bardzo elastyczna i płynna. Wrzący tygiel, choć nie spowodowany przez żar. Oczywiście, żar również gdzieś wystąpił, ale głównie w wyniku reakcji chemicznej lub jądrowej. I nie on spowodował takie stopienie się skały, metalu i gumy, tworzyw sztucznych, ciała i kości. To był inny rodzaj żaru, najzupełniej obcy, efekt formowania się Bramy. Jak widzisz, na styku wszechświatów wszystko się wikła.

Nagle snop latarki minął jakiś punkt na ścianie i natychmiast doń wrócił. „Cysta”, o której mówił Szalny — gładka, jajowata powłoka z magmatowego kamienia, wisząca przy ścianie jak pęcherz wielkości człowieka. Skorupa pękła i z otworu wyciekał jakiś czarny płyn. Mimo masek eliminujących wszelkie trucizny, czuli jego odór. Ich ruchy i stłumiony, budzący echo głos Łuchowa wywołały jakąś reakcję — z cysty zaczęły się wynurzać lepkie, czarne kości. . .

Major znieruchomiał i przestał bełkotać i dyszeć, dopiero gdy znalazł się poza „smoczą jamą”, w białym blasku grotu. Tutaj w końcu, tuż pod drabinką, zatrzymał się, zdarł z twarzy maskę i zwymiotował. Łuchow dogonił go i stanął w bezpiecznej odległości przyglądając się. Młody oficer skończył, lecz nadal klęczał, przylepiony do szczelbi jak mokra szmata.

— Teraz zaczniesz rozumieć — odezwał się dyrektor. — Rozumiesz choć trochę, jaki koszmar oglądało to miejsce; rozumiesz, co tkwi w jego atmosferze, nawet w ścianach! Tam, na dole, odbita w magmatach — i w innych miejscach, zamurowanych przez ludzi, którzy nie mogli znieść jej widoku — kryje się prawdziwa groza. O, ale tam w górze — podniósł oczy ku podstawie dysku złożonego z zachodzących na siebie stalowych płyt — po drugiej stronie tej szaleńczo rozjarzonej Bramy Cyklopów, jest jej znacznie więcej. Cały świat grozy, który, o ile wiemy, wciąż żyje!

Major otarł usta.

— Sądząc z twoich spojrzeń, wydawało ci się, że mi odbiło — ciągnął Łuchow. — Oczywiście, miałeś rację! Naprawdę myślisz, że pozostałbym tu, gdybym był przy zupełnie zdrowych zmysłach?

Major kaszlnął w kułak.

— Mój Boże! Mój Boże! — wymamrotał.

— Pobożna myśl... ale co On ma wspólnego z tym miejscem, hę? — odparł dyrektor Projektu. — Obawiam się, że bardzo niewiele. A im dłużej się tu jest, tym bardziej staje się ono pozbawione Boga.

Oficer nie próbował nawet odpowiedzieć, wciąż ścisnął kurczowo szczelbę drabinki...

* * *

Pod kraterem dawno wygasłego wulkanu, w miejscu podobnym do podziemnych czeluści Perchorska, aczkolwiek oddalonym od nich o cały wszechświat — pośród wydrążonych przez lawę korytarzy i siarkowych ścian, gdzie przed wiekami rozgrzane gazy rozszerzyły się, tworząc jaskinie niczym bąble w czekoladzie, a płynne trzewia planety najpierw wygryzły, a następnie utrwaliły w porowatej skale pajęczą sieć kanałów — tu właśnie, w dawno zapomnianych czasach, zamieszkał potworny Lord Szaitan. I tutaj przed czterema laty jego potomek, Szaitis z wampirów, znalazł go, wciąż żywego i snującego intrygi.

Szaitis — wysoki, lecz niemal niewidoczny na tle ciemnych, wyszczerbionych ścian krateru — stał niczym posąg na skraju magmowego wierzchołka, pod sklepieniem polarnych zórz, przebijanym co chwila przez smugi meteorytów. Patrzył na odległy, niewyraźny horyzont, wspominając minione lata i wspaniałe plany. Plany jego przodka, Szaitana, i jego własne. Plany, które pozornie wydawały się zbieżne, choć w istocie było zgoła inaczej.

Pilnie strzegąc tych myśli — jakże zazdrośnie, jak lękliwie — Szaitis wspominał swą wędrówkę z Gwiazdnej Krainy, lot przez graniczne szczyty, groźne oceany pełne lodowatych gór i bezkresne, śnieżne pustkowia. On i pozostali, którzy uszli przed gniewem Rezydenta — olbrzymi Fess, ohydny Volve, przysadzisty Arkis i różni niewolnicy — wszyscy zbiegli tutaj, udali się na dobrowolną banicję, lękając się wampirzej śmierci, o wiele boleśniejszej niż ta, która dotyka zwykłych ludzi, i to nie tylko z czysto fizycznego punktu widzenia. Człowiek bowiem wie, że musi umrzeć, natomiast wampir ma świadomość, że nie jest to nieuniknione.

Cztery lata temu, tak. . .

Po odrażającym zgonie oślizgłego Volve'a, Szaitis skierował Arkisa z Trędowatych zwanego Okrutną Śmiercią oraz Fessa Ferenca w objęcia Szaitana Odwiecznego, w siarkowożółte zakamarki starego korytarza, gdzie ten pradawny potwór ujawnił swą obecność.

Szaitis wzdrygnął się, przypominając sobie to zdarzenie: błyskawiczny, cichy atak łapczywca (obecnie tak nazywał te stworzenia); Arkis przebity i uniesiony w górę, szarpiący się na ostrzu z wydrążonej kości, które wbiło się w jego serce. Oczy wyszły potworowi z orbit, policzki wydymały się i wciągały niczym miechy, wypuszczając leciutką, wilgotną, purpurową mgłę. Niezwykle leciutka była ta mgła życia, bowiem łapczywiec Szaitana dbał o to, aby nie stracić, nie uronić choćby kropelki. A ogromny Fess rzucił się na Szaitisa, chcąc za wszelką cenę wydrzeć mu serce. Ale w sukurs Wielkiemu Lordowi przybył Szaitan, wypłynął z mroku niczym fala zła i owinał oszalałego giganta siecią macek, podczas gdy Szaitis walił swą rękawicą, chcąc rozwalić Fessowi głowę.

I ostatnia scena, która do dziś pozostała w pamięci Szaitisa, świeża jak parująca krew, ogromne, pulsujące ciało Ferenca, uwięzione w uścisku Szaitana. W końcu drgawki olbrzymia ustały, a elastyczne szczęki kobry wypuściły jego głowę, mokrą, dymiącą i na pozór całą — jednak widać było puste oczodoły, ociekające płynem, który skapywał także z nozdrzy i rozdziawionej bezwładnie paszczy. Szaitisowi przyszły wówczas do głowy słowa, które do dziś paliły go swym zimnem: „O, to zaiste przedsionek piekła! Właśnie widziałem, jak mój tak zwany „przodek” opróżnił głowę Ferenca niczym szczur wysysający skradzione jajo”.

— Rzeczywiście, widziałeś! — zaszemrał natychmiast Szaitan, a jego purpurowo-żółte oczy jarzyły się pod czarnym, przywodzącym na myśl kobrę kapturem. — Moje stworzenie spuściło z niego krew — przyda się później, rozumiesz — a ja wyssałem mu mózg. Ale chyba widzisz, że zostawiliśmy dla ciebie najlepszy kąsek, co?

Mówiąc to, bez wysiłku pchnął zwłoki olbrzymia w stronę Szaitisa. Wydawało się, że wykonały dwa niepewne kroki, po czym zwały się mu pod nogi. Szaitis oczywiście wiedział, co tamten miał na myśli. Bowiem w ogromnym, bladym,

wysuszonym ciele Ferencza wciąż pozostawał jego wampir — słodycz wszystkich słodyczy — którego należało odnaleźć i pochłonąć.

— Może do mnie dołączysz? zaproponował potem Szaitan zduszonym, chrapliwym głosem i ściągnął Arkisa z zakrwawionego ostrza łapczywca, ciskając go na skałę, by rzucić się — czy spłynąć nań — w poszukiwaniu oszalałego, kurczącego się pasożyta.

Do owej chwili wydarzenia nieco oszalałymi Szaitisa, lecz rychło się otrząsnął. Był przecież wampirem, a wszystko to zostało w pewnym sensie przepowiedziane. No i, oczywiście, krew to życie. Wspólny posiłek z Szaitanem mógł przypieczętować swoistą więź między nimi.

* * *

Wiele było tych wspomnień, a wydarzenia spletały się dziwnie. Niezliczone strzępy scen i rozmów nakładały się na siebie, pogłębiając chaos. Gdy znad oświetlonych gwiazdami i zorzą pustkowi nadciągały śnieżne tumany, wirujące wokół opustoszałych lodowych grobowców wampirzych wygnańców, Szaitis usiłował ułożyć chronologicznie owe fragmenty, lub — w przypadku niepowodzenia — przynajmniej je rozdzielić.

Na przykład pracownia Szaitana, ukryta w jaskini bezpośrednio pod nie zbadanym dotąd, północnym zboczem wulkanu, jedno z pierwszych miejsc, które Szaitisowi pokazał Upadły.

Gdyby nie ogrom tego ozdobionego stalaktytami pomieszczenia o półmатовych lodowych oknach, wychodzących na ten absurdalny dach świata, oraz wiecznie zamarzniętych dołach, gdzie Szaitan więził co bardziej ulotne, trudniejsze do opanowania efekty swych eksperymentów — pracownia nie różniłaby się od innych. Szaitis również był mistrzem w tego typu metamorfizmie, a przy najmniej za takiego się uważał, póki nie ujrzał prac swego przodka.

Wpatrywał się przez przejrzysty lód w jedno z takich dzieł.

— Już samo to wystarczyłoby — powiedział, żeby cię zadencjonować i na nowo wypędzić, a może nawet z miejsca zgładzić, gdyby to było w Gwiezdznej Krainie, a dawne wampiry wciąż trwały u steru. Przecież to ma organy rozrodcze, wbrew wszelkim zakazom!

— To samiec, owszem — odrzekł Szaitan, kiwając swym kapturem, — Niestety, prokreacja, akt kopulacji i jego perspektywa — samo posiadanie organów — doprowadzają te stworzenia do szału. Temu tutaj stworzyłem towarzyszkę, samicę, którą natychmiast rozerwał na strzępy! A gdyby nawet żyła i urodziła młode, co wtedy? Nie sądzę, żeby pozwolił mi przeżyć, raczej pożarłby przy pierwszej sposobności. Tylko na niego popatrz, a jest dopiero na wpół dojrzały! Jednak tak niegodny zaufania, że musiałem go w końcu zamrozić. Błędem jest jego płęć.

Uczyliła go dumnym, a duma jest przekleństwem. To samo, oczywiście, występuje u ludzi. . .

— A zatem i u wampirów — dodał Szaitis.

— Jeszcze bardziej! — wykrzyknął Szaitan. — Bo u nich wszystkie te popędy są dziesięciokroć silniejsze!

— A jednak nie rozdierają na strzępy swoich nałożnic. Przynajmniej nie zawsze.

— Bo są głupi — stwierdził Szaitan. — Jeżeli można żyć przez wieki, jaki ma sens płodzenie istot, które pewnego dnia mogą się zbuntować i cię zgładzić?

— A jednak wyszukałeś sobie kobietę, w której złożyłeś swoje nasienie. — Nie omieszkał mu wytknąć Szaitis. — W przeciwnym wypadku nie byłoby mnie tutaj.

W tym momencie ich spojrzenia spotkały się i zwały nad zamrożonym tworem.

— Tak, to prawda — odpowiedział Szaitan. — I chyba z tej właśnie przyczyny. . .

Była to ich pierwsza sprzeczka, czy też polemika, jedna z wielu, które miały dopiero nadejść. I, mimo że Szaitis wkrótce zaczął narzekać na to, iż jego przodek zwraca się do niego jak do dziecka, to jednak generalnie akceptował fakt, że ta pradawna, pełna zła Istota próbuje go pouczać. Może uważał, iż jego niezmierny wiek daje mu do tego prawo. Był wszak starszy od Szaitisa o siedem długości jego życia.

* * *

Innym razem pokazał Szaitisowi rozwijającego się rurkoryja, który, wchłaniając płyny wypełniające kadź, nabierał kształtu i masy. Stworzenie to było w dużej mierze podobne do łapczywców których pan wulkanu posiadał trzy — lecz rurkę miało dłuższą, bardziej giętką, a u podstawy osadzoną wśród wielkich płatów mięsa, tak, że maleńkie, chytrze błyszczące ślepia niemal zupełnie tonęły w wydławających się fałdach szarych, połyskujących mięśni.

Szaitis natychmiast poznał, czym jest to zwierzę.

— Nie wystarczą ci tamte stworzenia? — zagadnął. — Zadziwia mnie, że zaprątasz sobie głowę robieniem następnych. Zapewne już się rozprawiłeś z większością uwięzionych w lodzie wampirów. . . w każdym razie z tymi, które łatwo było dopaść. Więc po co się przy tym upierać?

Szaitan przechylił na bok swój kobropodobny łeb i splótł ramiona.

— A czy zastanawiałeś się głębiej nad tym wszystkim, mój synu? — zapytał. — Czy wiesz dokładnie, jakie mają zastosowanie te moje bestie?

— Oczywiście. To wariacje na temat; łapczywce podobne do tych, które powstrzymały Volse'a i Arkisa, tylko raczej bardziej wyspecjalizowane. Ich wiotkie

ryjki z chrząstki zakończonej na czubku kością, wibrując, wdzierają się w lód, żeby go skruszyć, dzięki czemu, w nieprzepuszczalnej dotąd powłoce powstają otwory prowadzące do zatopionych wewnątrz wygnańców. Kiedy kanał jest już wydrążony, wówczas to zwierzę wysysa swoim ryjem płyny ofiary, które...

— Zostają następnie przepompowane do moich rezerwuarów! dokończył za niego Szaitan, jakby nieco rozdrażniony domyślnością Szaitisa. — Tak, tak... ale jesteś ciekaw, w jaki sposób? Jak mogą wiertacze wysysać ciała stałe? Bo oczywiście ofiary są w dużej mierze zamrożone, ich soki krzepną niczym klej.

— Ach! — Szaitis był urzeczony.

— Wyjaśnij to... za chwilę. Na pytanie dlaczego zawracam sobie głowę tymi Dawnymi Lordami, skoro, jak zauważyłeś, są tak nieliczni i wszyscy bez wyjątku mają problemy z przeżyciem, odpowiedź jest prosta, ponieważ daje mi to zadowolenie. Przerazenie w umysłach tych spośród nich, którzy jeszcze w ogóle potrafią myśleć, jest tak rzadkie i rozkoszne, że aż wyborne. Gdyby nie oni, kogo miałbym przerażać? Czy mógłbym egzystować bez tej dawki grozy i strachu?

Szaitis zrozumiał. Zło karmi się przerażeniem. Jedno bez drugiego nie może istnieć. Są nierozdzielne jak przestrzeń i czas. Szaitan odczytał te myśli.

— Właśnie tak — potwierdził — na tym wszystko polega: po prostu lubię to i potrzebuję wprawy!

Wyjaśnione zostało „dlaczego”; zaś odpowiedź na pytanie „jak” okazała się równie prosta.

Wiertacze wstrzykują w swe ofiary metamorficzne kwasy, które rozpuszczają wysuszoną tkankę, a ta zostaje wyszana, zanim zdąży ponownie zastygnąć.

— To nadal nie daje odpowiedzi na moje pierwsze pytanie — powiedział Szaitis. — Brzmiało ono: dlaczego zaprzątasz sobie głowę robieniem następnych stworzeń?

Szaitan wzruszył ramionami, czy raczej ich odpowiednikiem. — Powtarzam, głównie dla wprawy. Podobnie jak prawie wszystko, co robiłem przez ostatnie trzy tysiące lat. Przymiarka do czasów, kiedy stworzymy armię wojowników i z nimi wyruszymy na podbój Gwiazdnej Krainy i wszystkich światów poza nią!

Przez chwilę purpurowe oczy Upadłego paliły się jaśniej niż zwykle, niczym płomiennie buchające z jego wnętrza. Zaraz jednak pokiwał głową, wyrывая się z głębin swoich mrocznych myśli.

— Ale teraz musisz mi powiedzieć: skoro twierdzisz, że hoduję ich zbyt wiele, to ile widziałeś moich lodowiertaczy i pokrewnych im stworzeń?

To zaniepokoiło Szaitisa. Wyobrażał sobie, że tych istot jest mnóstwo; był o tym przekonany. Ale wszystkie dowody ich istnienia, jakie oglądał w ograbionych lodowych zamkach, stanowiły efekt pracy niezliczonych stuleci, nie mogły powstać w okresie kilku zórz, czy nawet całych takich cykli. I mimo że tutaj, w głębinach wulkanu, kilka kadzi parowało i bulgotało, dając początek nowym tworom Szaitana, to jednak niemal nie widywało się aktywnych stworzeń. Nie

było tu zwiotczających syfoniarzy, jak w zamkach Gwiazdnej Krainy, bo w kraterze kryło się niewielkie jezioro; nie istniało zapotrzebowanie na gazotwory, skoro wiele jaskiń wulkanu — zwłaszcza komnaty mieszkalne Szaitana — było ogrzewanych przez aktywne cieplice.

— Właściwie, to nie mogę powiedzieć, żebym w ogóle je widział — odrzekł Szaitis — oprócz tego warzącego się w kadzi.

— Właśnie, bo też ich nie ma! W każdym razie tych widzialnych, ruchliwych i odgryzających sobie łby. Trzymam tylko moje łapczywce; zapewniają mi ochronę. A teraz chodź. — I Szaitan zaprowadził swego potomka na dół, w głąb czarnych, pozbawionych światła grot, gdzie wszystkie nisze, szczeliny i wygasłe kanały wulkaniczne służyły za przechowalnię dla uwięzionego w lodzie potomstwa z doświadczalnych kadzi.

— I powiedz mi — zapytał go tam — w jaki sposób byś utrzymał te stworzenia czynne i jednocześnie syte? — Milczał przez chwilę. — To wykluczone! — zawołał. — Tutaj, w tej niemal jałowej krainie lodów? Niemożliwe. Toteż, kiedy już wypełnią swe różnorakie zadania, zamrażam je tu i unieruchamiam. I tutaj pozostają, chwilowo bezczynne, jako surowiec jutrzejszej armii. A kiedy potrzeba mi jakiegoś innego stworzenia, o innych funkcjach — po prostu projektuję je i wytwarzam! To sztuka metamorfozy. Ale nic się nie marnuje, mój synu, nigdy.

Nie odrywając wzroku od zakonserwowanych skutków eksperymentów swego przodka, Szaitis pokiwał głową.

— Widzę, że próbowałeś stworzyć wojowników — zauważył. — Są przerażający, ale.. archaiczni? Chyba powinienem dać ci radę: wojownicy w Gwiazdnej Krainie wiele się zmienili. Prawdę mówiąc, te twoje istoty nie miałyby szans stać czoła pewnym moim wytworom!

Jeśli Szaitan poczuł się dotknięty, nie okazał tego.

— Zatem proszę bardzo, naucz mnie tych twoich wyższych zdolności w dziedzinie metamorfizmu — odparł. — Mówię poważnie, a żebyś mógł to uczynić, będziesz miał swobodny dostęp do moich pracowni, materiałów i kadzi.

A to Szaitisowi było na rękę. . .

* * *

— Jak to jest z twoimi łapczywcami? — Innym znów razem zapytał Szaitis. — Skoro są to zwierzęta robocze i skoro masz w zwyczaju. . . izolować je? . . . od tego, co wyciągają ze swych ofiar, to jak utrzymujesz je przy życiu? Czym karmisz? Przecież, jak sam zauważyłeś, lodowe pustkowia są niemal całkiem jałowe.

Wówczas Szaitan pokazał mu zapasy zmrożonej krwi i rozdrobnionego, metamorficznego mięsa.

— Przebywam tutaj od bardzo, bardzo dawna — wyjaśnił. — Kiedy tu przybyłem, och, szybko poznałem, co znaczy być głodnym. Od tego czasu robiłem

zapasy nie tylko dla siebie, lecz również dla moich stworzeń, zarówno na czas obecny, jak i na przyszłe nasze odrodzenie.

W niemym osłupieniu, Szaitis przyglądał się tuzinom dołków z czarną plazmą.

— Krew? Tyle krwi? Ale chyba nie z zamrożonych Lordów? W całej Gwiazdnej Krainie nigdy nie żyło ich dostatecznie wielu, żeby wypełnić te wielkie naczynia!

— To krew zwierzęca — powiedział Szaitan. — W tym również wielorybia. I trochę ludzkiej, owszem. Ale, masz słuszość, ostatniej jest bardzo niewiele. Krew zwierząt i wielkich ryb jest dobra dla moich stworzeń; dostarczy im energii, kiedy nadejdzie pora wojny. A potem... no cóż, dla każdego wystarczy jadła, nieprawdaż? Lecz ludzka krew służy za pożywienie tylko mnie — i także tobie, teraz, kiedy tu jesteś.

Szaitis był jeszcze bardziej zaskoczony.

— Upuszczając krew z tych wielkich ryb, pływających w lodowatym morzu?

— Nazwałem je rybami, ale właściwie to ssaki. — Szaitan znów wzruszył „ramionami”. — Te olbrzymy są ciepłokrwiste i karmią swoje młode. Wkrótce po moim tu przybyciu zobaczyłem ich ławicę, igrającą z pluskiem przy brzegu oceanu. Projektując mego pierwszego łapczywca, głównie je miałem na myśli. Był to dobry projekt i prawie go nie zmieniłem przez wszystkie stulecia. Bez wątpienia zauważyłeś śladowe płetwy, skrzela i inne pozorne anomalie u stworzeń strzegących wulkanu. Podobnie u mojego wiertacza.

* * *

Przy innej okazji, zafascynowany wiekiem swojego samozwańczego mentora, Szaitis postanowił podjąć inny wątek.

— Przecież ty trwasz tutaj — na ziemi, w Gwiazdnej Krainie, w Krainie Wiecznych Lodów i zwłaszcza pośród tych lodowców prawie od Początku! — Jeszcze nie skończył mówić, a już zdał sobie sprawę, jak naiwnie musiały zabrzmieć te słowa i jak bardzo zauroczony musiał się wydać swojemu przodkowi, co też zaraz potwierdził mroczny chichot tamtego.

— Od Początku? O nie, przyjmuję, że świat jest milion razy starszy ode mnie. A może chodziło ci o początek wampirów? W tym wypadku mogę tylko przytaknąć, bowiem byłem pierwszy ze wszystkich.

— Naprawdę? — Szaitis ponownie zapomniał ukryć swoje zaskoczenie. Jednak trudno było zachować kamienny spokój w obliczu takich rewelacji. Oczywiście, legendy Gwiazdnej Krainy mówiły, że Szaitan był pierwszym wampirem, lecz każdy głupiec wie, że legendy są jak mity — w większości nieprawdziwe, a w najlepszym wypadku pełne przesady. — Pierwszy? Ojciec nas wszystkich?

— Pierwszy z wampirów, tak — odpowiedział wreszcie Szaitan po dłuższej chwili intrygującej ciszy. — Ale nie... Ojciec, tak powiedziałeś? Nie, nie byłem

Ojcem. Owszem, swoje spłodziłem, na pewno, bo byłem młody i pełen męskich żądz. Właściwie, kiedyś byłem po prostu mężczyzną i spadłem tu na ziemię, gdzie wszedł we mnie wampir... który wyszedł z... z bagien... — Umilkł, pozostawiając wibrujące słowa w napiętej ciszy.

— Z bagien wampirów? — naciskał Szaitis. — Na zachodzie Gwiazdnej Krainy są wielkie bagniska, a według legendy jeszcze inne na wschodzie. Słyszałem o nich, lecz nigdy nie widziałem. To o tych bagnach mówisz?

Szaitan wciąż pograżony był w zadumie. Mimo to skinął głową.

— To są te bagna, tak. Spadłem na ziemię na zachodzie.

Szaitis już wcześniej słyszał określenie „upaść na ziemię”.

— Nie potrafię zrozumieć. Jak może człowiek spaść na ziemię? Z nieba, o to ci chodzi? Z łona matki? Lecz czyż nie zwano cię także Odwiecznym? Skąd spadłeś i w jaki sposób?

Szaitan ocknął się.

— Jesteś bardzo wścibski, a twoje pytania nieuprzejme! Mimo to odpowiem na nie, najlepiej jak potrafię. Po pierwsze, zrozum to, że moje wspomnienia zaczynają się od bagien, a i te są wyblakłe i niepełne. Przed bagnami... nie jestem pewien. Lecz kiedy przybyłem nagi na ten świat, przyszedłem w wielkim bólu i z wielką dumą. Wydaje mi się, że wypędzono mnie tu, wyrzucono, ktoś postąpił podobnie, jak później wampiry, które wypędziły mnie do tej krainy. Wampiry wyгнаły mnie, ponieważ miałem być Jedyną Mocą. No cóż, może usiłowałem też być Mocą w tamtym miejscu, z którego zostałem wypędzony i stracony na ziemię. To dla mnie tajemnica. Ale jedno wiem na pewno: w porównaniu z tamtym miejscem, ten świat okazał się piekłem!

— Ktoś zesłał cię tutaj za karę, skazał na piekło?

— Albo na świat, który przy moim udziale mógłby stać się piekłem. To była kwestia woli — wszystko mogło się zdarzyć, gdybym tego zapragnął lub na to pozwolił. Powtarzam: znalazłem się tutaj dlatego, że byłem samowolny i dumny. A przynajmniej tak to teraz widzę.

— Zatem właściwie nie pamiętasz swego upadku? Tylko to, że nagle znalazłeś się na bagnach wampirów?

— W pobliżu bagien, gdzie wszedł we mnie mój wampir.

Szaitis był szczerze zainteresowany tą ostatnią kwestią.

— W swoim czasie — mruknął — obaj mieliśmy okazję zabijać wrogów i wydarłszy z nich żywe wampiry, pożerać je. Fess Ferenc i Arkis z Trędowatych to tylko ostatnie przypadki. Wiemy, jak wyglądają te pasożyty; dorosłe przypominają kolczaste pijawki, które kryją się w ludziach, kształtując ich myśli i potrzeby. A z czasem potrafią tak się zrosnąć ze swymi nosicielami, że już nie sposób ich rozłączyć.

— Owszem, tak było i ze mną — odrzekł Szaitan. — W istocie, pierwotnego mnie pozostało bardzo niewiele, zaś mój wampir rozrósł się do postaci, jaką widzisz.

— Właśnie — rzekł Szaitis. — Ty, a właściwie twój wampir — wskutek przedłużonej metamorfozy — jest obecnie w pełni wyrosnięty. Ale jaki był wtedy? Wniknął w ciebie jako jajo? Czy istota-rodzic pozostała w bagnach? Czy może pasożyt wszedł w ciebie całkiem rozwinięty, wśliznął się niepostrzeżenie kompletny?

— To przyszło do mnie z bagien — powtórzył Szaitan. — Tyle wiem. . .

Problem ten niepokoił Szaitisa, a jeszcze bardziej jego przodka, lecz przynajmniej w owym czasie nie doczekał się rozwiązania.

* * *

Jednakże wiele zórz później, kiedy Szaitis, krzątając się w kącie pracowni, za zgodą swego przodka pracował nad nowym wojownikiem. . .

— Oto jak było! — rzekł podniecony Szaitan, zbliżając się do pracującego Lorda, podpełzając doń niczym nocny cień. — W tamtej wcześniejszej egzystencji, o której ci mówiłem, służyłem komuś innemu, lecz pragnąłem być sam sobie panem. W nagrodę za moją dumę — to jest za moją mądrość i wielką urodę, których byłem może aż nazbyt świadom — i za moje cierpienia, wyrzucono mnie, usunięto z mego prawowitego miejsca w tamtym społeczeństwie. Nie zgładzono mnie ani okaleczono, tylko wykorzystano! Stałem się dla nich. . . narzędziem! Nasieniem zła, które chcieli zasiać pośród sfer! Rozumiesz? Byłem wybrykiem i pokutą! Stanowiłem ciemność, która warunkuje Światło!

Słyszac ten wybuch, Szaitis przerwał prace przy kadzi. Niewiele jednak rozumiał.

— Nie możesz tłumaczyć tego jaśniej?

— Niech cię cholera — nie! — krzyknął Szaitan. — Śniłem o tym; wiem, że to prawda, ale nie potrafię tego zrozumieć! Powiedziałem ci to, żebyś sam spróbował to zgłębić — i żeby ci się to nie udało, tak jak nie udało się mi!

Po czym wybiegł wściekły, by zniknąć w labiryncie wulkanu.

* * *

Po tym zdarzeniu Lord przez dłuższy czas nie widywał swego przodka; jedynie zdawał sobie sprawę z jego mglistej obecności. Lecz przyszła chwila, kiedy wracając do swych kadzi, zastał tam Odwiecznego, który oglądał jego twory, wiążące się i twardniejące pośród cieczy.

— Wypędzono mnie z wielu sfer i wyrzucono z wielu światów — Szaitan ni stąd ni zowąd mruknął. — Tak, i innych mi podobnych, we wszystkich stożkowatych wymiarach światła. — I to było wszystko.

„Szalona istoto! — pomyślał Szaitis, skrywając tę myśl — podobnie jak inne — głęboko i wyłącznie dla siebie. — Ale dobrze, że kręcisz się jak obłąkany, kiedy zabieram się do pracy. Ostatnią rzeczą, jakiej bym pragnął, byłoby twoje zainteresowanie tym, co mam teraz robić.”

Znalazł się bowiem tutaj akurat po to, by wstrzyknąć w swój nowy twór masę mózgową, stymulując tym wzrost embrionalny zwojów nerwowych, lub nawet nim sterując. Tyle że... komórki te zaczerpnął z raczej niezwykłego źródła, i to za pomocą kruszącego lód łączącywca Szaitana...

Jednak odsunął na razie na bok wszystkie te kwestie.

— W takim razie, kiedy udamy się na podbój Gwiazdnej Krainy na czele wojowników, których kształtuję, twoja zemsta będzie tym bardziej słodsza. Nic się nam nie oprze. A jeśli można podbić jakieś wyższe światy, one również upadną, tak jak ty upadłeś na ziemię.

Jego słowa zdawały się wyrywać tamtego z otchłani szaleństwa, przywracały chwilowo zachwianą równowagę.

— Zaiste, wyglądają oni na dobrych wojowników, mój synu! — zauważył natychmiast Odwieczny. Ten rzadki w jego ustach komplement zaraz został okryty cieniem. — Tacy też być powinni, wszak w Gwiazdnej Krainie miałeś dosyć znakomitego materiału, wyćwiczyć swój kunszt...

Stworzyli pospołu smukłego, opływowego, silnego lotniaka, wyposażyli go w ssawkę i dali ogołocony do samego rdzenia mózg jednego z poruczników Menora. Nakarmiwszy stworzenie wysokiej jakości plazmą, wysłali je na lot rozpoznawczy do Gwiazdnej Krainy. Potem przez wiele zórz oczekiwali jego powrotu — na próżno. Wreszcie, gdy niemal wszelkie nadzieje zgasły... latający stwór wrócił, przynosząc z sobą wychudłe i drżące, zabłąkane dziecko Wędrowców.

Lotniak porwał tego ośmio- lub dziewięcioletniego chłopca z grupki Wędrowców obozujących w górach nad Słoneczną Krainą. Wyglądało na to, że Wędrowcy nie schodzą już na równiny, kiedy słońce zachodzi i zapada noc. Zastanawiali się dlaczego, skoro wampiry wygięły? Tak czy owak, powrót do Krainy Wiecznych Lodów trwał długo i dziecko było ledwie żywe.

Szaitan zaniósł je prywatnych komnat na „przesłuchanie”. Wkrótce potem Lorda Szaitisa pracującego przy swych kadziach, odnalazło telepatyczne wołanie pradawnego.

— Chodź! — rozkazał.

Jedno słowo, lecz podniecenie jego nadawcy mówiło bardzo wiele...

ROZDZIAŁ PIĄTY

Zachód słońca — Egzorcyty — Umysł Boga

Szaitis stał na czarnej, poszczerbionej ścianie krateru i patrzył na południe, ku Gwiezdnej Krainie. Niebo, poza miejscami, gdzie wiła się zorza, było smoliście czarne, ale Lord wiedział, że w Gwiezdnej Krainie nadeszła już pora wschodu. Szczyty górskie zapewne połyskiwały złotem, a w zamku Karen grube zasłony i draperie, opatrzone jej herbem, strzegły najwyższych okien przed lancami.

Patrzył na południe; mrużył szkarłatne oczy, by skupić wzrok na odległej, słabej linii ognia, ciągnącej się wzdłuż horyzontu — wąskiej złocistej wstędze, która oddzielała tamten daleki obszar świata od błękitnej i dalej czarnej przestrzeni, gdzie wszystkie gwiazdy nocy wisały migocące i hipnotyczne, zdając się go zapraszać. Był to zew, na który miał wkrótce odpowiedzieć.

Musiał odpowiedzieć, wszak rozumiał, że kiedy migotanie zorzy osłabnie, a południowe niebo ściemnieje, nastąpi pora zachodu. Przed jej nadejściem on i jego odepchnięty, zdegenerowany przodek mieli zebrać swych wojowników, dotrzeć do lotniaków i wyruszyć niewielką, lecz potworną armią ze stromych zboczy wulkanu. Dla nich spełnienie snu, a dla Gwiezdnej Krainy nadejście koszmaru, stało się wreszcie tylko kwestią czasu. Odwieczne marzenie Szaitana nabierało teraz formy, urzeczywistniało się dzięki samotnemu lotniakowi, który powrócił niedawno z Gwiezdnej Krainy, przynosząc wspaniały łup — dziecko Wędrowców.

Szaitis pamiętał to zdarzenie w najdrobniejszych szczegółach podniecony tym darem przodek zaniósł wówczas wyczerpanego, półżywego chłopca w mrok swoich izb, przesyconych siarką. A potem, po jakimś czasie, wezwał w myślach swego potomka.

Oczyrna wyobraźni Szaitis ujrzał to wszystko na nowo: Upadły triumfalnie przemierzał czarną, ziarnistą podłogę swych komnat. . .

— Ten Rezydent, o którym mówiłeś — zwrócił się do niego — ten dziwny młodzieniec, co wykorzystał moc samego słońca, by obalić potężne wampiry. . .

— Tak, co z nim? — Co z nim? — zarechotał chrapliwie Szaitan. — Zwyródniał! Podobnie, jak zwyródniałem ja — lecz jego to o wiele więcej kosztowało.

Skapał was wszystkich w palącym słonecznym ogniu, tak? Ha, i sam też się poparzył! Jego wampir ucierpiał i nie potrafił się zregenerować; metamorficzne ludzkie ciało odpadło jak u trędowatego. A potem... zdesperowany wampir powrócił go do wcześniejszej postaci — nadał Rezydentowi formę i wygląd swego pierwszego nosiciela. Przez to masa uległa zmniejszeniu i łatwiej było opanować ubytki, rozumiesz? I tak oto twój Rezydent jest teraz... wilkiem!

— Wilkiem? — Szaitis, osłupiały, przypomniał sobie swój sen.

— A jakże, zwierzęciem biegającym na czterech łapach. Szary, dziki przywódca sfory, bez żadnych mocy. Wędrowcy boją się go, a rozpoznają po ludzkich rękach, które ma zamiast łap. Zachował też część ludzkiego umysłu, przynajmniej tę, w której kryją się wspomnienia. No i, oczywiście, przetrwał jego wampir, choć nieco ograniczony, gdyż to go właśnie uratowało. Ale reszta pochodzi od wilka.

— Wilk! — sapnął znowu Lord. Nie po raz pierwszy jego sen okazał się proroczy. Po prostu należało to do wampirzych kunsztów. — A jego ojciec, Harry Keogh, z krainy piekieł?

— Jest znowu w Gwiazdnej Krainie.

— Znowu?

— Owszem, bowiem po bitwie w ogrodzie Rezydenta powrócił do swego własnego świata. Nic dziwnego, że o tym nie wiedziałaś, bo wtedy przebywałaś już na wygnaniu.

— Do swego świata? Do krainy piekieł?

— Kraina piekieł! Kraina piekieł! To nie żadna kraina piekieł! Ile razy mam ci powtarzać: właśnie to miejsce jest piekłem, z tymi siarkowymi wyziewami, bagnami wampirów i rozpalonymi przez słońce łądami po drugiej stronie gór! O, ale świat Harry'ego Keogha... dla takich jak my byłby rajem!

— Skąd możesz to wiedzieć?

— Domyślam się.

— Ten Harry Keogh — mruknął Szaitis — posiadał moc, na pewno, ale nie był wampirem.

— No cóż, teraz jest — oznajmił Szaitan. — Lecz jak dotąd nie odkrył swych mocy. Bo i któż miałby go tam sprawdzić, w podchwytliwej rozmowie lub w bitwie? Co więcej, Wędrowcy nie obawiają się go zbytnio, nie wysysa bowiem ludzkiej krwi.

— Co?!

— Według chłopca — potwierdził Upadły — ojciec Rezydenta jada tylko zwierzęce mięso. W porównaniu z twoim wampirem, synu, jego istota wydaje się kwilącym, niedorozwiniętym szczenięciem.

— A Lady Karen?

— Ach, właśnie. — Szaitan pokiwał głową. — Lady Karen, ostatnia spośród wampirów Gwiazdnej Krainy. Wiążeś z nią pewne plany, prawda? Pamiętam,

jak wspominałeś o jej zdradzie. No więc, Harry Keogh i Karen są razem. Przy-
najmniej tyle w nim jeszcze zostało z mężczyzny. Żyją razem w jej wieży. Jeśli
Karen jest taka piękna, jak opowiadasz, to niewątpliwie nawet w tej chwili Keogh
tkwi w niej po uszy.

Była to jawna drwina i Szaitis zdawał sobie z tego sprawę, lecz mimo to nie
potrafił się oprzeć tej przynęcie.

— Niechaj więc cieszą się sobą, póki mogą — odrzekł ponuro. I w końcu
rozejrzał się, szukając dziecka Wędrowców.

— Nie ma go — powiedział Szaitan. — Ludzkie ciało, czyste i proste. Przez te
wszystkie tysiące lat zadowalałem się metamorficzną papką. Chłopiec był drob-
nym smacznym kąskiem, ale dobre i to.

— Całe dziecko?

— W Słonecznej Krainie żyją całe plemiona — odparł Szaitan, głosem zdu-
szonym i chrapliwym. — A poza nią istnieją całe światy!

I tak rozpoczęły przygotowania do swego powrotu. . .

* * *

Lord czekał tylko na pojawienie się swego najnowszego tworu, wojownika,
zaś jego przodek, Szaitan Upadły, stał u jego boku. Mieli wyruszyć na podbój
Gwiazdnej Krainy, kiedy łuski, haczykowate kończyny i wszelkie atrybuty bitew-
ne stworzenia obróca się w chitynę twardą jak żelazo.

Co do ewentualnej przyszłej „bitwy” — czy miała szanse tak się przeciągnąć,
by w ogóle zasłużyć na to miano? Szaitis w to wątpił. Mocno bowiem wierzył,
iż on sam — w pojedynkę kontrolując ze swego lotniaka najmniejszą garstkę wo-
jowników — potrafiłby pokonać Karen i jej kochanka oraz wszelkich sprzymie-
rzeńców, jakich zdołaliby zebrać. I tym samym zapanować nad całą Gwiazdną
Krainą.

„Cóż to za przeciwnik — myślał — zwykła kobieta? Sfora wilków? I wam-
pirzy Lord, co wzdraga się przed ludzką krwią? Żadna armia — to motłoch! Nie-
chajby Keogh wezwał umarłych, jeśli wola; to dobre na strachliwych troglodytów
i Wędrowców, lecz ja nie boję się gnijących umarłaków. A też ta druga strona
magii Keogha — ta jego sprytna sztuczka, polegająca na przychodzeniu wedle
woli — nie pomoże mu. Nie tym razem. Jeśli odejdzie — znakomicie! A jeśli
wróci, to tylko po swą śmierć!”

Lecz z drugiej strony. . . Szaitis nie mógł zaprzeczyć swoim niepokojącym
snom, których wątki były dziwne jak światła zorzy, nawet teraz rozświetlające
niebo. Powinien raz jeszcze rozważyć te wizje tak, jak czynił to wcześniej, ale. . .

Poczuł znajomy sygnał i pojął, że Szaitan jest blisko, jeśli nawet nie fizycznie,
to na pewno myślowo.

— Co jest? — zapytał.

— Jakiś ty bystry — mruknął tamten. — I jakże czujny! Nie sposób cię podejść, mój synu.

— Więc czemu tak się starasz? — odparł chłodno Szaitis.

— Powinieneś teraz tu przyjść — oznajmił. — Nasze stworzenia kwiczą w kadiach i zaraz zaczną wyłazić. Trzeba je sprawdzić. Czeka nas dużo pracy, dużo przygotowań.

Temu nie można było zaprzeczyć.

— Zaraz tam będę — odpowiedział Lord, rozpoczynając niebezpieczne zejście w dół wierchołka. Nie tylko jego przodek pałał chęcią uwolnienia się od tego miejsca. Tyle, że są różne rodzaje wolności i dla dwóch istot nigdy nie znaczą tego samego.

Szaitan pragnął tylko wyrwać się z Krainy Wiecznych Lodów, natomiast jego potomek...

* * *

Nieco wcześniej, kilka tysięcy mil dalej na południe, nekroskop wyruszył, by sprawdzić strażę przednie Karen, ów system wczesnego ostrzegania złożony z wyspecjalizowanych wojowników lub maruderów, jeżeli wierzyć przypuszczeniom, ulokowanych przez nią na skraju zamrożonego morza. Dotarł tam przez kontinuum Möbiusa. Przeniósł się za północny horyzont, na oświetlone zorzą pustkowie, gdzie na wybrzeżach ponurego, skutego lodem oceanu wiecznie zalegały białe zasy.

Stworzenia Karen były na miejscu i Harry miał okazję przekonać się, jak dobrze się przystosowały. Dzięki metamorfizmowi wystarczyło jedno pokolenie, by przyspieszyć ich ewolucję — porosły grubym, białym futrem, chroniącym je przed zimnem. Harry'emu zdało się, że w zaspie dostrzegł jakiś nieznaną ruch. Ostrożnie zbliżył się i... nagle wyrosły przed nim trzy stwory, trzy ogromne, rozszalałe bestie!

Przeniósł się na niewielką odległość. „Byłbym zaledwie przekąską dla tych trzech wielkich kocurów” — pomyślał.

— Ależ zauważ ich instynktowną tendencję do maskowania się — skomentowała Karen z oddalonej o jakieś dwa tysiące mil wieży. — Może i umysły mają słabe, ale mimo to potrafiły ukryć przed tobą swoje myśli, a tym samym siebie. Co więcej, jesteś wampirzym Lordem, panem, ale to również ich nie powstrzymało!

Nekroskop odnalazł w Karen swoistą dumę; to były jej stworzenia, solidnie się nad nimi napracowała. Niestety, potem pozwoliła im zerwać się z postronka. Karen, skoncentrowana na jego umyśle, przechwyciła także tę informację.

— Po prostu odległość okazała się zbyt duża — obruszyła się. — Teraz to rozumiem. Telepatia to szczególny talent, który posiadamy oboje. Nasze zasadniczo ludzkie umysły są wielkie i zdolne do skupienia, stąd też kontakt między nami jest łatwy. Ale ich mózgi są małe i głównie zajęte sprawami walki o byt. No cóż, najzwyczajniej zapomniwały o mnie.

— Wobec tego czas, żeby sobie przypomniały — odrzekł Harry.

Karen spotęgowała i umocniła swoje pierwotne rozkazy i polecenia, on natomiast przekazał je bezpośrednio i stanowczo grupce otępiałych umysłów. Stąd też, kiedy wszedł pomiędzy nie po raz drugi, zachowywały się z większym szacunkiem.

— Co za odwaga! — zauważyła Karen nieco zdenerwowana. — Oglądać je z tak bliskiej odległości. I chyba takie głupota. Wyjdź stamtąd; Harry, dobrze? Wracaj lepiej do domu.

Do domu. . . Miała na myśli powrót do wieżycy? Czy to rzeczywiście był teraz jego dom? Być może to do niego pasowało: ten potworny kopiec górujący nad równinami Gwiazdnej Krainy, wyposażony w sprzęty z włosów i sierści, chrząstek i kości niegdysiejszych ludzi i zwierząt. Gdzież istniał lepszy dom dla człowieka, któremu przez całe życie towarzyszyła śmierć?

Gorzkie myśli. Lecz z drugiej strony Harry miał wrażenie, że Karen szczerze go prosi i martwi się o niego.

Tak czy owak, Keogh wypełnił już to swoje zadanie, poza tym zmarł. A wiedział, że Karen go ogrzeje. . .

* * *

O wszechświat dalej, pod Uralem.

W grocie perchorskiej podczas ostatniej symulowanej komputerowo próby odpalenia tokariewów był obecny major Aleksiej Bizarnow. Za próbę odpowiadał jego drugi zastępca, kapitan Igor Klepko. Klepko był niski, o ostrych rysach, ciemnych oczach i ogorzalej cerze, odziedziczonej po zamieszkujących stepy przodkach. Od samego początku na bieżąco objaśniał przygotowania uczestniczącym w pokazie podoficerom. Pojawił się także dyrektor Projektu, Wiktor Łuchow, obserwujący bacznie proces przygotowań. Stojąc na skraju obwodu, pod zakrzywiającym się do wewnątrz łukiem granitowej ściany, w milczeniu i napięciu słuchał instruktażowego monologu Klepki.

— Tak jest, dwie rakiety — ciągnął kapitan. — System podwójny. W terenie ich odpalenie stanowiłoby albo uderzenie uprzedzające w dotąd bezatomowej strefie bitwy, albo odwet za użycie przez wroga podobnej broni. Pierwszy tokariew odnajduje kwaterę główną nieprzyjaciela gdzieś poza strefą walk, drugi zaś trafia w największe zagęszczenie wrogich wojsk w obrębie pola bitwy. Jednakże

dla naszych potrzeb. . . — Klepko wzruszył ramionami. — Mimo iż nasze cele są bardziej określone, to jednak, co paradoksalne, pozostają hipotetyczne. Zamierzamy zdetonować pierwszą raketę w świecie za. . . hm. . . za tą Bramą — niedbałym machnięciem ręki wskazał rozjarzoną białą kulę za swymi plecami — a drugiego tokariewa, kiedy będzie jeszcze w „przejściu” między wszechświatami. Mechanizm tego procesu jest bardzo prosty. Zamontowane w raketach komputery są połączone drogą radiową. W chwili, gdy pierwszy tokariew opuści Bramę, wpadając w tamten świat, kontakt zostanie zerwany. Jedną piątą sekundy później oba urządzenia dadzą impuls do detonacji. — Kapitan Klepko westchnął i pokiwał głową. — Pokazano wam wszystkim filmy o stworzeniach z tamtej strony, przedzierających się do naszego świata. Zapewne nie muszę podkreślać, jak istotne jest to, aby w przyszłości nie dopuścić do ich ponownego natarcia.

Wreszcie, zanim przejdziemy do symulacji, chcę omówić kwestię dowodzenia i bezpieczeństwa osobistego.

Dowodzenie: ta broń zostanie użyta wyłącznie na polecenie dyrektora Projektu, potwierdzone przez oficera dowodzącego, majora Bizarnowa lub przeze mnie. Wyjąwszy sytuację, kiedy zostanie uruchomiony łańcuch rozkazów, żadna inna osoba nie będzie miała tego prawa.

Bezpieczeństwo osobiste: od momentu przyciśnięcia guzika i uzbrojenia głowic bojowych do odpalenia pozostanie tylko pięć minut. Każdy, kto będzie w tym czasie przebywał w wąwozie, zostanie ostrzeżony ciągłym sygnałem syren. Syreny będą oznaczały tylko jedno: Uciekać! Spaliny tokariewów są toksyczne. Jeżeli, co mało prawdopodobne, zawiodą systemy wentylacyjne Projektu, maruderzy, dopóki nie opuszczą kompleksu, zostaną zmuszeni do korzystania z aparatów oddechowych. Sprawnemu mężczyźnie wydostanie się z groty centralnej do wąwozu zajmuje około czterech minut.

Tokariewy to potężna broń. Zostaną użyte nie eksperymentalnie, lecz w konkretnym celu. Nie ma mowy o żadnym falstarcie. Po odpaleniu procesu nie można zawrócić, a my nie możemy liczyć na więcej niż sześćdziesiąt sekund do momentu detonacji. Razem daje to sześć minut od uruchomienia systemu. Eksplozja rakiety po przeciwnej stronie nie powinna na nas wpłynąć w żaden sposób, ale wybuch tej w przejściu to inna sprawa. Może dojść do tego, że sama siła detonacji wypchnie radioaktywne gazy i szczątki z powrotem do groty. Miejmy nadzieję, że wszystkie te trucizny zostaną odcięte tutaj, w pobliżu jądra, zaś do tego czasu to miejsce zostanie opróżnione, a wyjścia zabezpieczone. — Klepko wyprostował się i oparł ręce na biodrach. — Są pytania?

Panowała głęboka cisza, nikt się nie odezwał.

— Symulacja zostanie przeprowadzona przez komputer. — Kapitan rozluźnił się i podrapał w nos, wzruszając niechętnie ramionami. — Obawiam się, że to może was nieco rozczarować, jeżeli spodziewaliście się pokazu fajerwerków.

Wszystko wydarzy się na tamtym ekranie, w przekazie czarno-białym, bez dźwięku i z napisami. I bez efektów specjalnych!

Publiczność roześmiała się.

— Głównie... — Klepko uniósł rękę, by ich uciszyć — ma to wam uzmysłowić, że sześć minut to naprawdę niewiele czasu. — I przycisnął czerwony guzik zainstalowany na skrzynce, leżącej przed nim na pulpicie.

Major Bizarnow oglądał już tę symulację.

Nie ciekawiło go to zbytnio, za to był zainteresowany wyrazem twarzy Wiktora Łuchowa. Malowała się na niej bezbrzeżna fascynacja. Bizarnow cofnął się o dwa kroki, przysunął się niepostrzeżenie do wychudłego naukowca i chrząknął cicho.

Łuchow odwrócił głowę i wbił wzrok w majora.

— Wciąż pan uważa, że to jakiś rodzaj zabawy, prawda? — powiedział z wyrzutem.

— Nie — odparł Bizarnow — i nigdy tak nie uważałem.

— Zauważyłem, że każdy wydany przeze mnie rozkaz odpalenia ma być „potwierdzony” przez pana lub pańskiego zastępcę. Podejrzewa pan zatem, że mógłbym zarządzić coś takiego lekkomyślnie?

— Skądże znowu. — Major potrząsnął głową, choć pamiętał o gęsto zadrukowanych, złożonych arkuszach papieru, które wypychały mu kieszeń — o aktualnej diagnozie stanu psychicznego Łuchowa, dostarczonej przez miejscowego psychiatrę. „Lekkomyślny, nie, raczej nie w pełni władz umysłowych” — pomyślał.

Spojrzenie Łuchowa nagle stało się jakby nieobecne.

— Czasem czuję się, jakbym odbywał pokutę.

— Tak?

— Tak, za mój udział w tym wszystkim. Chodzi mi o to, że pomagałem w budowie pierwotnego Projektu. W tamtych dniach dyrektorem był Franz Ajwaz, lecz zginął w wypadku i zapłacił za swoją część. Od tego czasu odpowiedzialność przeszła na mnie.

— Dla każdego byłoby to ciężkie brzemię. — Bizarnow skinął głową, odsunął się nieco na bok i postanowił zmienić temat. — Był pan... w opuszczonych poziomach magmatów?

— Boże — wyszeptał — jaki tam na dole panuje chaos! Tak wielu ludzi zostało uwięzionych, wtopionych. Otworzyłem cystę. Istota w środku przypominała... jakąś nieziemską mumię. Tym razem nie było żadnej zgnilizny, ani płynów, tylko groteskowa masa przenicowanego, na pół skamieniałego ciała. Na zewnątrz wystawało kilka głównych organów oraz wiele niezwykłych — nie wiem, przydatków z gumy, plastyku, skały i... i tak dalej.

Bizarnow zaczął mu współczuć. Łuchow przebywał tu zbyt długo. Lecz jego problemy miały wkrótce się skończyć, bowiem major wysłał już odpowiedni raport do Moskwy.

— Rzeczywiście, tam na dole jest okropnie, Wiktorze — zgodził się — Może byłoby lepiej, gdybyś trzymał się od tego z dala.

Łuchow spojrział na niego uważnie, po czym gwałtownie odwrócił się.

— Dopóki jestem dyrektorem Projektu, majorze, sam będę ustalał swoje trasy!

Bizarnow podszedł do kapitana Klepki. Dwa wrzecionowate kształty, przesu-
wające się po ekranie komputera, właśnie zniknęły. Symulacja dobiegła końca.

— Wciąż będą pełne trujących spalin — kapitan kończył wykład i mogą być
wysocje radioaktywne! Ale wówczas my, rzecz jasna, musimy trzymać się z dala.

Major odczekał, aż Klepko da sygnał do rozejścia się, po czym wziął go na
stronę. Odbyli krótką, ważną naradę dotyczącą Łuchowa.

* * *

Nekroskop śnił.

Śnił o chłopcu zwanym Harrym Keoghem, który rozmawiał z umarłymi i był
ich jedynym przyjacielem, jedynym światelkiem w bezkresnym mroku. Śnił o mi-
łościach i życiach tego młodzieńca, o umysłach, które odwiedził, zamieszkiwa-
nych przezeń ciałach, poznanych dotąd miejscach — w przeszłości i przyszłości,
w obydwu światach. Był to sen bardzo dziwaczny i fantastyczny — tym bardziej,
że prawdziwy — i mimo że nekroskop śnił o sobie samym, o własnym życiu, to
jednak miał wrażenie, jakby dotyczyło to kogoś innego.

Śnił też o swoim synu, wilku... tylko że ta część wizji okazała się rzeczy-
wistością, nie zaś tylko wspomnieniem z innego świata. Jego syn przybył doń
z wywieszonym językiem i oznajmił: „Ojciec, oni nadchodzą!”

Harry w okamgnieniu przebudził się, wyskoczył z łóżka Karen, podbiegł szyb-
ko i zwinnie do framugi okna, rozsunął zasłony. Stanął z boku, gotów natychmiast
cofnąć rękę, gdyby stało się to konieczne. Jednak nie dostrzegł nic, wciąż trwa-
ła noc. Pośród granicznych gór pełzały cienie, spychając po złotę ze szczytów.
Gwiazdy, pierwotnie prawie niewidoczne, z chwili na chwilę ożywały blaskiem.
Panowała ciemność, a nadchodziła jeszcze głębsza.

Karen krzyknęła, wyrwała się ze snu i usiadła gwałtownie.

— Harry. — Ujrzała Keogha, stojącego przy oknie, i w jej oczach znowu za-
płonęło życie. — Oni nadchodzą!

Ich szkarłatne spojrzenia spotkały się i złączyły, tworząc dwukierunkowy ka-
nał, pozwalający przekazać uśpione do niedawna myśli. Harry przez oczy Karen
zajrzał do jej umysłu.

— Wiem — oświadczył.

Wyszła nago z łóżka i podpłynęła ku niemu, wtopiła się w jego ramiona.
— Ale oni nadchodzą! — załkała.
— Tak, i będziemy z nimi walczyć — warknął. Ciało Keogha zareagowało na dotyk i zapach jej ciała, które było miękkie, jedwabiste, dojrzałe i wilgotne.
— Niech ten raz będzie najlepszy, Harry — wyszeptwała gorąco.
— Dlatego że może być ostatni?
— Po prostu na wszelki wypadek — jęknęła, tworząc w sobie wypustki, by wciągnąć go głębiej. A potem. . .

* * *

— A jeśli przegramy? — zapytał Harry, kiedy skończyli.
— Przegramy? — Karen stała obok niego, wychylali się razem przez okno wychodzące na północ, ku Krainie Wiecznych Lodów. Nic właściwie nie widzieli, ale też niczego się jeszcze nie spodziewali. Coś jednak czuli. Szło z północy, niczym fale na smolistym stawie — powolne, drażące i czarne jak samo zło.

Harry pokiwał głową.

— Jeżeli przegramy, najwyżej mnie zabiją — rzekł. I przypomniał sobie Johnny'ego Founda oraz sposób, w jaki tamten dręczył swoje ofiary. Potworny sposób. Ale, w porównaniu z Szaitisem, czy jakimkolwiek niedobitkiem dawnych wampirów, Johnny wydawał się dzieckiem, a jego wyobraźnia była żałośnie uboga.

Karen wiedziała, dlaczego Keogh zamknął przed nią swój umysł — chciał ją ochronić. Jednak na próżno: znała wampiry o wiele lepiej niż on.

— Jeśli ty umrzesz, ja również umrę — przyrzekła.

— Och, tak? A oni pozwolą ci umrzeć, prawda? Tak łatwo?

— Nie mogą mnie powstrzymać. Po tej stronie gór trwa noc, ale w Słonecznej Krainie. . . tam każdego wampira czeka prawdziwa śmierć. Pali jak płynne złoto, rozlane na niebiosach. Właśnie tam bym uciekła, daleko za góry, w słońce. Niech mnie ścigają, jeśli starczy im odwagi, ale ja nie będę się bała. Pamiętam, jak byłam dzieckiem i słońce przyjemnie spływało mi na skórę. Jestem pewna, że tuż przed śmiercią potrafiłabym znowu przywołać to uczucie. Dzięki sile woli poczułabym się dobrze!

— Ponure. — Harry wyprostował się. Zadrzał. — To wszystko jest ponure. Mów dalej, a będziemy pobici jeszcze przed rozpoczęciem walki. Musi istnieć przynajmniej jakaś szansa na zwycięstwo. A przecież mamy coś więcej niż szansę. Czy oni potrafią zniknąć na życzenie tak jak my — niczym duchy — w czasoprzestrzeni Möbiusa?

— Nie, ale. . . gdziekolwiek się udamy — wzruszyła ramionami — i ilekolek razy będziemy uciekać, zawsze tu powrócimy. Nie możemy pozostać w tym miejscu na zawsze. — Jej logika była nieodparta. Harry próbował znaleźć

właściwą odpowiedź, by pocieszyć ją lub siebie. — A Szaitis jest potwornym wrogiem — dodała. — Tak zwyrodniały, że trudno to sobie wyobrazić.

— To prawda. — W umysły obojga nagle wdarł się jakiś głos znikąd. — Szaitis jest zwyrodniały. Ale jego przodek, Szaitan, jest o wiele gorszy.

— Rezydent! — sapnęła Karen, rozpoznając telepatycznie gościa. — Ale powiedziałaś... Szaitan? — zapytała nie dowierzając.

— Tak, Upadły. — Zgrzytnął w ich głowach wilczy głos. — On żyje, nadchodzi, i to on, nie Szaitis, jest naprawdę przerażający.

Harry i Karen uruchomili własną telepatię, starali się wzmocnić myśliwy most między sobą a gościem. Na chwilę wieżycy wypełniła się ulotnymi obrazami: zobaczyli górskie zbocza, gdzie z osuwających się piargów wystawały wypukłe otoczki; księżyc w pełni, okrywający skały miękką, żółtą poświatą; wielkie jodły strzelające dumnie w niebo. A w cieniu drzew mrugały srebrzyste, trójkątne oczy. Było ich wiele. Tam sfora odpoczywała przed łowami. Potem obrazy zblakły i zniknęły, a wraz z nimi ten, co nimi żył i wśród nich się poruszał.

Lecz jego ostrzeżenie pozostało w pamięci Karen i nekroskopa...

Czas upływał.

Harry i Karen albo rozmawiali, albo po prostu czekali. Nie mieli nic innego do roboty. Tym razem, usadowiwszy się przy kominku w przestronnej wielkiej sali, rozmawiali.

— Szaitan to także częśćka legend mojego świata — powiedział Harry. — Nazywają go tam Szatanem, Diabłem, którego miejsce jest w piekle.

— Według opowieści z Gwiazdnej Krainy, to właśnie twój świat jest piekłem — odparła Karen. — I wszyscy jego mieszkańcy to diabły. Dramal Drużogący głęboko w to wierzył.

Harry pokręcił głową.

— To, że Wampiry miałyby wierzyć w demony, diabły i takie tam — jeszcze raz potrząsnął głową — jest trudne do pojęcia.

— Jak to? — Wzruszyła ramionami. — Czy Piekło to nie jest po prostu Nieznane, jakiegokolwiek miejsce lub region, którego za nic nie można zrozumieć? Dla plemion Wędrowców leży ono za górami w Gwiazdnej Krainie, zaś dla wampirów — czeka po drugiej stronie kulistej Bramy. Za tą Bramą musi się kryć coś przerażającego i śmiercionośnego, bo nikt nigdy stamtąd nie powrócił. W taki sposób pojmują to wampiry. Ja też tak to widziałam, zanim spotkałam Zek, Jazza, ciebie i twojego syna. I nie zapominaj, Harry, nawet wampiry były kiedyś ludźmi.

— Szaitan — mruknął Harry. — Tajemnica spinająca dwa światy. Ta legenda została przeniesiona do mojego świata przez wygnanych wampirycznych Lordów, a także przez ich sługi, Wędrowców, których wysłano przez Bramę Gwiazdnej Krainy.

A jednak nękały go inne myśli. „Czyżby? A może tak zwana legenda jest bardziej uniwersalna? — zastanawiał się. — Wielkie Zło Władca kłamstw i wszel-

kiej podłości? A ta zbieżność imion...? Szatan — Szaitan? Czy diabły istnieją we wszystkich światach?”

— Lepiej przestań traktować go jako legendę — ostrzegła Karen, jakby słuchała myśli Keogha. — Rezydent mówi, że on jest rzeczywistością i zbliża się do nas, a to oznacza, iż aby przeżyć, musimy go zabić. Ale jeśli Szaitan żyje już dwa, trzy tysiące lat — czy jest w ogóle sens wierzyć w to, że możemy go unicestwić?

Harry prawie jej nie słuchał. Wciąż pochłaniały go własne myśli.

— Ilu ich jest? — zapytał wreszcie. — Szaitan będzie ich wodzem, a Szaitis obok niego. Ale kto jeszcze?

— Niedobitki z bitwy o Ogród — odpowiedziała Karen.

— Pamiętam — przytaknął Harry. — Mówiliśmy o nich wcześniej: Fess Ferenc, Volse Pinescu, Arkis z Trędowatych i ich niewolnicy. Nie więcej niż garstka. Lub, jeżeli inni z Lordów przeżyli próbę wygnania, spora garść. Ale ja wciąż jestem nekroskopem. I jeszcze raz pytam: Czy oni potrafią przenosić się przez kontinuum Möbiusa? Czy potrafią wywołać umarłych z grobów?

— Być może Szaitan posiadał tę sztukę — odrzekła. — Był wszak pierwszym z wampirów. Od tamtej pory miał dosyć czasu na naukę. Możliwe, że umie wydusić z umarłych ich sekrety.

— Czy chcą mu odpowiadać? — warknął Harry; jego oczy błyszczały w świetle ognia niczym rubiny. — Nie, nie miałem na myśli nekromancji, lecz nekroskopię! Nekromanta może „przebadać” zwłoki, lub nawet prastarą mumię, ale ja rozmawiam z duchami umarłych. I oni mnie kochają, naprawdę, powstają dla mnie z prochów...

Keogh wstał rozgorączkowany. „Jesteś Wampirem, Harry Keoghu! — myślał. — Wzywać umarłych? O tak, kiedyś to potrafiłeś.”

— Muszę spróbować — zawołał.

* * *

Zszedł z gór do Gwiazdnej Krainy, gdzie niegdyś wezwał armię zmumifikowanych troglodytów, która stoczyła bój z niewolnikami wampirów. I po swojemu zwrócił się do ich duchów, lecz odpowiedział mu tylko północny wiatr. Czuł, że są tutaj i go słyszą, lecz milczą. Wybrali milczenie...

Poszedł do Ogródu. Odnalazł mogiły — zbyt wiele mogił — obecnie zaniedbane. Wędrowcy, którzy zginęli w bitwie, troglodyci, złożeni na wieczny spoczynek w niszach pod skałami. Ci również go słyszeli i dobrze pamiętali. Lecz czuli w nim coś innego, czego nie akceptowali. Wiedzieli, że ten człowiek — może potwór, znał słowa, mogące nadać im straszliwy pozór życia, nawet wbrew ich woli.

— I mógłbym to uczynić! — zagroził, wyczuwając ich sprzeciw i przerażenie. Lecz coś w jego duszy zaszepotało: „Tak jak Janosz Ferency? Na ile cenisz teraz swoje człowieczeństwo, Harry?”

Powrócił więc do wieży Karen.

— Kiedyś... — odezwał się smutno — mogłem zwołać armię umarłych. Teraz jest nas tylko dwoje.

— Troje — zawarczał w ich umysłach Rezydent wyraźnie, jakby stał tuż obok. — Niegdyś dla mnie walczyłeś, oboje walczyliście o moją sprawę. Teraz moja kolej.

To chyba przeważyło szalę, określało ich położenie, wyznaczało kurs. Zresztą... nie mieli żadnego wyboru.

Karen przyniosła swą rękawicę bojową i zanurzyła ją w oczyszczającym roztworze kwasu, po czym zabrała się do oliwienia zawiasów.

— Ja — rzekła — sama wyrwałam żywe serce Leska Przerośniętego! Tak, a w tamtych dniach czułam znacznie większy strach. Teraz już wiem. Boję się nie o siebie, tylko o stratę tego, co mamy. Chociaż: gdy się temu przyjrzeć, cóż właściwie posiadamy?

Harry zerwał się, zaczął krążyć tam i z powrotem, potrząsając pięściami; cały aż kipiał. Ale po chwili uspokoił się zupełnie. To jego wampir wciąż dążył do przejęcia władzy. Harry pokiwał ze zrozumieniem głową.

— No tak — mruknął — może już dostatecznie długo tłumiliem twoje pragnienia. Czas chyba, abym cię wypuścił.

— Co? — Karen spojrzała z niepokojem.

— Nic.

— Nic? — Uniosła brwi.

— Pytałem tylko... gdzie to będzie?

— W Ogródzie — podsunął z daleka Rezydent.

Usłyszeli go.

— Tak, Ogród ma swoje zalety. A poza tym dobrze go znamy. — przyznała Karen.

Wreszcie, wściekle potrząsnąwszy głową, nekroskop uległ swemu wampirowi. Przynajmniej częściowo.

— Dobrze — warknął — Ogród. Niechaj tak będzie!

* * *

W Gwiezdnej Krainie...

Nadeszła godzina, kiedy po palącym słońcu pozostał jedynie brudnoszary po-blask, zaś bezimienne gwiazdy stały się bryłkami nieziemskiego lodu, zamarzającego na dziwacznych orbitach. Najgłębsza, najciemniejsza godzina zachodu, kie-

dy ostatni spośród wampirów — Szaitis, Szaitan, Harry Keogh i Karen — gotowali się do stoczenia bitwy na pustkowiu zwanym niegdyś Ogrodem. Ich czworo oraz Rezydent, jednakże ten nie był już wampirem jako takim, a jeśli nawet, to jego własny wampir nie całkiem zdawał sobie z tego sprawę.

Karen od pewnego czasu czuła, że najeźdźcy znajdują się niedaleko i zbliżają się do Gwiazdnej Krainy. Właściwie czuła to od momentu, kiedy jej stworzenia, czatujące na brzegu oceanu, wezwały ją po raz ostatni, by przekazać tę wiadomość. A kiedy umierały, Karen zapytała, ilu jest wrogów i jakie mają kształty. Taka ocena siły i istotny wroga była daleko wiarygodniejsza niż skomplikowane opisy. Odległość dzieliła ich ogromna, a mózgi wojowników okazały się niezbyt duże. Niemniej jednak z północy nadeszły naznaczone bólem obrazy lotniaków, wojowników oraz istot sterujących, ukazujące Karen, jak niewielką armią dowodzi Szaitan.

Składała się zaledwie z dwóch Lordów, jadących na potężnych lotnikach o łbach i podbrzuszach pokrytych łuską oraz sześciu sług o dość niezwykłej budowie. Niezwykłej... mówiąc najbardziej oględnie. Bowiem najeźdźcy, kierujący tymi zwierzętami, najwyraźniej dostrzegli korzyść w złamaniu dawnych reguł wampirów. Po pierwsze, posiadały one organy rozrodcze, podobnie jak twory Karen, po wtóre zaś — zdawały się działać w dużej mierze samowolnie, bez ścisłych rozkazów ich domniemanych panów!

Na początku, jak została poinformowana, pojawiła się inna para lotniaków, zmęczonych stworzeń, na których jeźdźcy wylądowali w głębokich zaspach, nie opodal skraj oceanu. Zsiadłszy, Lordowie ściągnęli z nieba wojowników i nowe bestie latające, którym pozwolili pożywić się wyczerpanymi ciałami pierwszych wierzchowców. I gdy te były zajęte posiłkiem, zaatakowali wartownicy Karen... tylko po to, by zaraz przekonać się o przytłaczającej dzikości i wyższości wojowników Szaitana. Tak brzmiała wiadomość przesłana Karen przez ostatniego jej strażnika, zanim słaby przekaz myślowy utonął w tępych bólu i zgasł.

Harry w tym czasie spał, nękany koszmarami. Lady patrzyła, jak rzuca się i wierci, słuchała jego mamrotania, o „stożkowatych wszechświatach światła” i o Möbiusie, czarodzieju, którego poznał w krainie piekieł. Był to matematyk, który odnalazł swoją religię, szaleniec, wierzący, że Bóg to równanie... co pokrywało się mniej więcej z poglądami Pitagorasa, sformułowanymi na wiele wieków przed nim o kontinuum Möbiusa, tym baśniowym, niezgłębnym miejscu, w którym uprawiał z nią metamorficzną miłość, i które teraz uważał za „bezugraniczny mózg sterujący ciałami wszechświatów”.

Dotąd sen Keogha przypominał gorączkowy majak, pełen myśli, rozmów i skojarzeń z przeszłości, nawet z przyszłych wydarzeń, splecionych w kalejdoskop rzeczy realnych i nadrealnych. W tej wizji jego życie od zarania było postrzegane, podobnie jak ciało: jako metamorficzne, z uwagi na sposób, w jaki wybuchowało, owocując niesamowitymi koncepcjami i odkryciami.

Gdy na szare czoło nekroskopa wystąpił zimny pot, Karen zastanawiała się, czy go delikatnie nie obudzić. Ale jego słowa urzekły ją. Zresztą potrzebował snu, by nabrać sił przed nadchodzącą bitwą. Miała nadzieję, że uspokoi się, kiedy ten koszmar minie. Tak więc siedziała przy nim, gdy pocił się i roił o rzeczach zupełnie dla niej niepojętych.

O względności czasu i o całej historii — zarówno przeszłości, jak i przyszłości — dziejącej się równolegle, lecz występującej w jakimś dziwnym „gdzie indziej”; o zmarłych — prawdziwych zmarłych, nie nieumarłych — którzy cierpliwie czekają w swych mogiłach na nowy początek, na powtórne ich przyjście; i o wielkim świetle, Pierwotnym Świetle, dzięki któremu wszystkie wszechświaty rozszerzają się, pochłaniając ciemność! Mamrotał coś o liczbach posiadających moc rozdzielania przestrzeni i czasu i o metafizycznym równaniu, „którego jedynym znaczeniem jest rozszerzenie Umysłu poza zasięg czysto fizyczny”.

Był to podświadomy wir matematycznego geniuszu Harry’ego, spotęgowany jeszcze przez sprawującego teraz władzę wampira; natomiast na wyższej płaszczyźnie odbywała się gwałtowna konfrontacja między dwiema elementarnymi siłami: Ciemnością i Światłem, Dobrem i Złem, Wiedzą jako cel sam w sobie (co jest grzechem) i totalną nieobecnością wiedzy, to jest Niewinnością. Rozgrywała się podświadoma bitwa nekroskopa z sobą i w sobie, którą musiał wygrać, ażeby nie zapadła ostateczna ciemność. Bowiem Harry mógł stać się świetlistym stróżem światów, które dopiero nadejdą lub sprawcą ostatecznej zagłady, która miała nastąpić jeszcze przed ich narodzeniem.

Lecz Karen o tym wszystkim nie wiedziała, rozumiała tylko to, że nie powinna go jeszcze budzić. Zaś Harry majaczył dalej.

— Mógłbym podać ci wzór, o jakim ci się nawet nie śniło. . . — drwił z jakiejś istoty z czasów niemalże zapomnianych, podczas gdy przez szaleńczo rozedrgane powieki przenikało szkarłatne światło. — Oko za oko, Dragosani, i ząb za ząb! Ja byłem Harrym Keoghem. . . stałem się szóstym zmysłem własnego syna, zanim opróżniona głowa Aleca Kyle’a wessała mnie i uczyniła jego ciałem moim. . . Wielki kłamca Faethor chciał żyć w nim razem ze mną i gdzie teraz jest, co? I gdzie Tibor? A co z tym bachorem Bodescu? A Janosz? — Nagle zaniósł się szlochem i spod prześwieconych powiek wycisnęły się wielkie łzy. — A Brenda? Sandra? Penny? Jestem przeklęty czy błogosławiony..? Miałem miliony przyjaciół i byłoby wspaniale, gdyby nie to, że wszyscy byli martwi! „Żyli” w wymiarze poza życiem, gdzie nadal mogłem z nimi rozmawiać.

Istnieje wiele wymiarów, ogrom płaszczyzn egzystencji, światów bez końca. Miriady stożkowatych wszechświatów światła. I ja wiem, jak powstały. Przedemną wiedział to Möbius. Pitagoras być może się domyślał. Niech się stanie. . . — Zmarszczył zaciśnięte mocno powieki. — Niech się stanie. . . — Wielkie strugi potu oblały jego drżące ciało. — Niech się stanie. . .

Karen nie potrafiła znieść dłużej jego cierpienia, bo czymże innym mogło to być?

— Co się ma stać, Harry? — zapytała.

— Światło! — ryknął, a jego dzikie oczy otwarły się gwałtownie, rozjarzone jeszcze przez gorączkę.

— Światło? — powtórzyła za nim, zdziwiona.

Usiłował usiąść, zrezygnował i utonął w jej ramionach.

— Tak, Pierwotne Światło, które płynęło z Jego umysłu — wyszeptał.

* * *

Oczy Harry'ego zawsze wydawały się dziwne, nawet zanim jego wampir skaził je krwią, lecz teraz zmieniały się z chwili na chwilę. Karen widziała, jak umyka z nich wściekłość, potem lęk, i patrzyła urzeczona, jak cała ta obca witalność — wampirza pasja — gaśnie. Bowiem, poza jedynym wyjątkiem, Keogh był pierwszym ze swego gatunku, który zrozumiał i uwierzył.

— Jego umysłu? — odezwała się w końcu Karen, z zastanowieniem obserwując jego twarz, łagodną jak u dziecka.

— Umysłu... Boga? — Nawet Harry nie mógł mieć absolutnej pewności. Lecz był tego bardzo bliski. — W każdym razie, jakiegoś Boga — powiedział wreszcie uśmiechając się. — Stwórcy!

Zaś wewnątrz niego instynktownie przeczuwający nadchodzącą klęskę wampir skulił się, stał się maleńki, i chyba pogodził się ze swym losem: miał stanowić jedność z człowiekiem, który pragnął być tylko... człowiekiem.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Podniebna bitwa

Od tamtego czasu Keogh stał się inny; przewaga pasożyta została stłumiona; człowieczeństwo ponownie przejęło władzę. Karen zaś — wręcz przeciwnie. Uparcie namawiała nekroskopa, by towarzyszył jej w wypadach do Słonecznej Krainy, mających na celu „dokrwienie się”. Naturalnie nie chciał o tym słyszeć, a ona dostawała szału.

— Przecież nie jesteś dokrwiony! — warczała na niego. — W wampirach mieszka dzikość, którą tylko krew potrafi wyzwolić, bo krew to życie! Musisz nakarmić się przed walką, nie rozumiesz? Jak mam ci to wyjaśnić?

W istocie Harry nie potrzebował żadnych wyjaśnień. Spotkał się z tym w swoim własnym świecie. Na przykład w walkach bokserów, kiedy widok krwi pobudzał zawodników do większego wysiłku, większej zaciętości. Widział to u kotów, dużych i małych: pierwsza kropla mysiej krwi zamieniała kociaka w bestię. A co do rekinów — nic innego nie wywoływało tak gwałtownych reakcji.

— Najadłem się już — odpowiedział.

— Ha! — prychnęła drwiąco — Czym? Mięsem świń, do tego pieczonym? To ma być posiłek?

— Mnie to wystarcza.

— Ale nie twojemu wampirowi!

— Więc niech ten drań głoduje! — Nie pozwalał sobie na to, by gniew wziął nad nim górę. — Co ma być, to będzie — rzekł. — Czyż nie widzieliśmy tego w kontinuum Möbiusa, w czasie przyszłym? Ze wszystkich lekcji mojego życia, Karen, tej jednej nauczyłem się najlepiej: nigdy nie próbuj zmienić lub unikać tego, co jest zapisane w przyszłości.

— I kto został pobity jeszcze przed walką? — wykrzyknęła. — Myślisz, że nie czuję pokusy? — odparł. — O wierz mi, jeszcze jaką! Ale walczyłem z tą tkwiącą we mnie istotą tak długo, że teraz nie mogę pozwolić jej zwyciężyć, bez względu na cenę. Gdybym uległ pasji i żądzy, poszedł pozbawić życia człowieka i wypił jego krew — co wtedy? Czy dałoby mi to siłę, jakiej potrzebuję do zniszczenia Szaitisa i Szaitana? Być może, lecz kto stałby się następną ofiarą? Ile czasu upły-

nęłoby, zanim bym zapoczątkował nowy ród wampirów, tym razem silniejszych niż kiedykolwiek, mających do dyspozycji wszystkie moce? Co bym począł, gdyby pasożyt zapalał żądzą krwi? Sądzisz, że nie zacząłbym szukać powrotu do własnego świata, by przybyć tam jako największy nosiciel plagi wszechczasów?

— Może zostałbyś tam królem — odpowiedziała. — A ja dzieliłabym z tobą kościany tron.

Pokiwał posępnie głową.

— Owszem, Czerwonym Królem, a w końcu cesarzem szkarłatnej dynastii. A cała nasza dworska świta, nasi rodzeni synowie i ci, co otrzymali jako wampira, oraz ich synowie i córki, wszyscy zalewaliby swym nasieniem upadającą ludzkość, budowałiby własne wieżycy i tworzyli swoje królestwa, jak czynił to Janosz na swojej śródziemnomorskiej wyspie i wojewoda Tibor, kalający czerwienią Wołoszczyznę, i Faethor w krwawych krucjatach. A całe nasze potomstwo posiadałoby dar nekroskopii i ani żywi, ani umarli nie mieliby dokąd uciec.

Nie chciał słuchać argumentów Karen. Zresztą było już za późno.

Wówczas to bowiem inni wartownicy Lady, wielkie, krwiożercze nietoperze z zamieszkującej wieżycę kolonii, przyniosły wieści o przybyciu na odległe północne granice Gwiazdnej Krainy Szaitana i jego niewielkiej, lecz śmiercionośnej, powietrznej armii. Niestłyszalne dla nikogo, z wyjątkiem Karen i ich pobratymców krzyki tych wielkich bestii przekazywały wieści spoza siedmuset mil jałowych kamiennych równin: po niemal pięciu latach pokoju Lordowie wracali do Gwiazdnej Krainy.

Kiedy nadeszło to ostrzeżenie, Karen zajmowała się wydobywaniem nowych wojowników z kadzi. Udała się prosto do Harry'ego, który stał zadumany na północnym balkonie.

— Stój tu tak dalej, nekroskopie — powiedziała mu — a będziesz mógł pomachać im na powitanie. I nie będziesz musiał czekać zbyt długo.

— Wiem, że tu są — odezwał się. — Czuję, jak zbliżają się niczym robaki nadgryzające zakończenia moich nerwów. Nie jest ich zbyt wielu, ale wstrząsają eterem, jak wojsko trzęsie ziemią. Czas, żebyśmy udali się do Ogródu.

— Ty tam idź — powiedziała, dotykając jego ramienia, a w jej głosie zabrzmiała jakaś nutka bólu. — Sprawdź, czy potrafisz ściągnąć swojego syna z gór. Może sprowadzi z sobą szare bractwo, chociaż trudno powiedzieć, czy będzie z nich jakiś pożytek. Ale ja mam trójkę niewolników, których pozostało tylko zahartować i pouczyć. Są zbudowani z najlepszego materiału, jaki pozostawili Menor Kąsający i Lesk, i który znalazłam nietknięty w ruinach ich zamków, ale jeśli chodzi o kształtowanie... no cóż, w porównaniu z nimi jestem w tym nowicjuszką.

— Postaraj się tylko, żeby uznały zarówno ciebie, jak i mnie za swych władców — odparł. — Dzięki temu, jeśli nawet nie będą się równać stworzeniom Szaitana, pozwolą mi zastosować pewne sztuczki. — Następnie odwrócił się, po-

rywając ją w ramiona tak szybko, że aż westchnęła. — Karen — rzekł — widzieliśmy naszą przyszłość. Czerwone nici naszych bytów stopiły się w złocistym ogniu, a potem zgasły w nicości. Nie wróżyło to nam zbyt dobrze, lecz jednocześnie mogło to znaczyć cokolwiek. Po prostu nie rozumiemy tego. Jednak z pewnością okaże się to lepsze od przyszłości naszych wrogów, bo tej nie będą mieli! W żadnym z przyszłych dni Gwiezdnej Krainy nie było szkarłatnych nici, Karen.

— Pamiętam — powiedziała nie uwalniając się, a nawet przywierając mocniej do jego ciała. — Toteż zostaję i walczę. Cokolwiek się z nami stanie, jest to warte świadomości, że oni również zginęli.

Harry trzymał ją bardzo blisko, bardzo mocno zapragnął, by to wszystko okazało się nierealnym snem, z którego zbudzi się, mając przed sobą całą przyszłość.

— Żałuję, że nie poznałem cię jako zwyczajnej dziewczyny w moim świecie, kiedy byłem tylko człowiekiem — powiedział pod wpływem impulsu.

Karen nie zachowywała się tak romantycznie. W swoim czasie była niewinna, póki jej nie porwano. Zarówno teraz, jak i wtedy, pragnęli jej wstydlivi młodzieńcy Wędrowców, lecz w tamtych dniach chowała swe ciało — jak jej się zdawało — na jakąś lepszą okazję.

— Bylibyśmy tylko niezdarnymi, chichoczącymi kochankami — odpowiedziała szorstko. — Do diabła z tym... Wolę to, co mieliśmy! Zresztą jesteś nekroscopem. Co ty wiesz o zwyczajnych ludziach?

Wewnętrzny ogień emanował z niej, ukazując ją taką, jaką była naprawdę — wampirzycą! Harry mógł się do niej upodobnić, oczywiście, ale... Stawał przeciwko Dragosaniemu, Tiborowi, Julianowi Bodescu i wszystkim innym jako człowiek — o niezwykłych mocach, lecz nigdy nie był potworem. A teraz pojawili się następni, z którymi miał stoczyć bój.

— Czy lotniak jest gotowy? — zapytał Keogh.

— Tak, na lądowisku. A nie skorzystasz ze swojej drogi Möbiusa?

Potrząsnął głową.

— Mój syn i jego szarzy bracia nie zobaczyliby mnie. Lecąc na tej bestii stanę się widoczny i niezwykły. Obecnie rzadko można spotkać latające stwory nad Gwiezdną Krainą.

Na lądowisku, obserwując jak się oddala na grzbiecie rytmicznie łopoczącej płaszczyki, Karen przekonała się, że miał rację — poza nim, całe niebo było puste.

Czując wewnętrzną pustkę, Lady wróciła do swych wojowników...

* * *

Kiedy Szaitis i Szaitan powrócili do serca krainy Lordów, Harry i Karen czekali na nich w opuszczonym Ogrodzie. Jednak, wbrew oczekiwaniom, najeźdźcy nie przypuścili natychmiastowego ataku, natomiast wyłonili się, jeden za drugim

z ciemnego, rozświetlonego zorzą północnego nieba i niezwykle ostrożnie krążyli nad usłaną szczątkami równiną, gdzie walały się ruiny zburzonych pałaców. W końcu, jeszcze ostrożniej, osiedli na wieżycy Karen i przeszukali puste poziomy, nie znajdując nic nieprzyjaznego, żadnych pułapek ani wrogich stworzeń, czających się po kątach. I nie zastali także gazostworów, syfoniarzy, jakichkolwiek sług. Nie było też żadnych umocnień, za wyjątkiem potężnych murów prawdziwego pałacu.

— Byłem świadkiem zagłady większych domów niż ten — powiedział Szaitis. — Nie wyłączając mojego własnego!

— Jest ich dwoje. — Zaśmiał się Szaitan, kiwając swym wielkim czarnym kapturem. — Jedyne Harry Keogh i Rezydent potrafili opanować moc słońca. Nie rozumiesz tego? A teraz już nie ma Rezydenta — odszedł, przemienił się w wilka. A co do jego ojca cóż, ten wąty i bezkrwisty cudzoziemiec, to mniej niż kwilące dziecko!

— Zatem czemu nie atakujemy od razu? — zapytał Lord Szaitis.

— Zrobimy to, lecz najpierw nakarmimy zwierzęta i napełnimy własne żołądki. Potem, kiedy damy odpocząć nieco naszym kościom — a być może zaspokojimy również inne potrzeby, których zbyt długo sobie odmawialiśmy — wszystko pójdzie szybko. Przebyliśmy długą, zimną i męczącą drogę, Szaitisie. I to nie tylko po to, by pozbyć się tych twoich zniechęconych wrogów ani dać ci ciało samicy, która cię odtrąciła i zdradziła. Więc uspokój się i bądź cierpliwy, a spełni się wszystko, czego najbardziej pragniesz.

Lecz mimo całej pewności siebie, Szaitana w głębi jego czarnego serca, również niepokoił ich przeciwnik, Harry Keogh, i wampir, który nie zakosztował jeszcze krwi innego człowieka.

Bez wiedzy Szaitisa, jego wielki, pijawkowaty przodek zaczął już korzystać ze swych potężnych, nieskończenie mrocznych mocy, by zdalnie badać nekroskopa. Telepatia Szaitana stała się doskonalsza niż ta, jaką dysponowali Karen i Harry, w istocie, ona była owym robakiem, który wżerał się w nerwy Keogha, mimo to, wysyłane sondy nie miały wnikać w głąb. Przyczyna była prosta: wystarczyłoby przeniknąć zewnętrzną powłokę psychicznej aury nekroskopa — wnikać na milowe wnętrze tego jądra światła, niezbadanego Centrum Mocy, do którego powstania nigdy nie należało dopuścić — a każda wrażliwa istota zaraz by to odczuła. Owa stłumiona energia nekroskopa była o wiele większa niż moc zwykłego człowieka, większa chyba nawet niż u niejednego wampira.

Pozostawili na straży wieżycy samotnego wojownika, resztę zaś zabrali z sobą do Słonecznej Krainy, gdzie rychło wysłędzili ogniska Wędrowców. Potem nocne powietrze wypełniło się krzykami ludzi, rykiem wojowników i ich mlaskaniem; również gorącymi wzywaniem świeżo zabitych i wrzaskami wziętych żywcem. Tych ostatnich była szóstka. Same kobiety.

Wyższe okna wieżycy Karen rozbłyły czerwoną poświatą; z kominów unosił się dym; wyglądało na to, jakby miała tam miejsce wielka i radosna uczta. W każdym razie, dla tak wygłodzonych wampirów, była ona radosna.

* * *

W Ogrodzie zaś Harry i Karen spali.

Nekroskop wciąż dzielił czas na dzień i noc. Jak dotąd, kiedy jego umysł mówił, że jest noc, ciało reagowało sennością. Jego zmęczenie było tak umysłowe, jak i fizyczne, wiedział bowiem, że w przyszłej bitwie będzie musiał walczyć tyłem z wrogiem, co i z sobą. Przed każdym zaśnięciem dręczył go ten sam, niemal nierozwiązalny problem: jak wygrać, nie uciekając się do pomocy wampira, nie przekazując mu pełnej władzy nad swym wachlarzem mocy? Pozwolenie owej pijawce na panowanie stałoby się oznaką poddania się, w następstwie czego nie byłby już człowiekiem, lecz wampirem w pełnym tego słowa znaczeniu. Karen nie miała tego typu problemów — ona już stała się wampirzycą! Ale przede wszystkim była kobietą, a Keogh jej mężczyzną. Gdy zasypiał, wtuliła się w jego ramiona. Mieli jednak na sobie ubrania, a zbrojna rękawica Karen leżała w zasięgu ręki. Pamiętając o swoim położeniu, wystawili wartę. Wojownik, postępując, przesuwając swe solidnie uzbrojone cielsko, aż usadowił się wygodnie w cieniu pod skarżą. Podobnie drugie stworzenie Karen, czatowało pod osłoną stoku, gdzie grunt opadał stromo do podnóża gór. Co do trzeciego wartownika, ten został umieszczony wyżej, na występie pod skalnym nawisem, na zachód od śpiących, gdzie jego liczne, widzące w nocy oczy przeszywały czernią, wypatrując na granatowym niebie i oświetlonych gwiazdami pustkowiach jakiegoś podejrzanego ruchu.

Śpiący nie wiedzieli jednak, że czuwał jeszcze czwarty stróż. Niegdyś znany jako Rezydent, teraz smukły cień, który obserwował zaniedbany Ogród, kryjąc się pośród drzew. Chwilami tylko, kiedy pamięć mu dopisywała, rozumiał, po co tu przybył.

To właśnie jego psychiczne wtargnięcie — wraz z nagłym rykiem i wrzaskiem wciągniętych w walkę stworzeń — wyrwało ze snu Harry'ego i Karen, gdy wreszcie najeźdźcy uderzyli. I mimo wszystkich podjętych środków ostrożności, wzięto ich z zaskoczenia, gdyż wróg nie uderzył od strony Gwiazdnej Krainy, lecz znad gór, znad pograżonej wciąż w mroku krainy słońca.

Najeźdźcy wystartowali z wieżycy Karen, minęli szczyty daleko na wschodzie, gdzie nikt ich nie mógł zobaczyć, i skręcili na zachód, osłonięci przez góry. Ukryci za wierzchołkami, przelecieli wzdłuż skalnego grzbietu na wysokość Ogródu, gdzie, wzbijając się w górę, aby widzieć dobrze terytorium obrońców, dokładnie odnotowali pozycje wojowników oraz fakt, iż nic poza nimi nie poruszało się. Wówczas ich sondy odkryły śpiący umysł Karen. Umysł nekroskopa nawet podczas snu pozostawał osłonięty i nie do przeniknięcia.

Harry śnił, że pędzi w strumień czasu Gwiezdnej Krainy, oczy miał pełne oślepiającego blasku niebieskich, zielonych i czerwonych linii życia, zaś uszy zdawały się być dostrojone do nie kończącego się, monotonicznego okrzyku, towarzyszącego rozprzestrzenianiu się życia we wszystkich jutrach Wszechświatów Światła. Poprzednio znalazł się tu z Karen, lecz tym razem był sam, zwracał większą uwagę na otoczenie i uświadomił sobie zbieżność purpurowych nici wampirów z jego własną. I gdy już zdawało się, że muszą stopić się z sobą w jakiejś niesamowitej kolizji, czas Möbiusa stawał się złoty, obracał się w szalony, wrzący tygiel, który kończył... wszystko?

Lecz wtedy właśnie sen Harry'ego przeszedł w jawę, w zrujnowanym domostwie Wędrowców, z którego uczynili sobie kwatery. I Karen również ocknęła się w jego ramionach.

— Wojownicy! — wydyszała, wyciągając rękę, aby wepchnąć ją w kolczastą rękawicę.

— Sprawdź — odparł Harry, tworząc drzwi Möbiusa, które przypadkiem pokryły się z framugą wejścia do kamiennego domostwa. A przestępując oba progi, spojrział w niebo. Zauważył latające bestie, łopocące szeroko płaszczyki, z siodeł których wampiry jeźdźcy kierowali atakiem swych wojsk. Lecz oprócz wojowników staczających naziemną bitwę ze stworzeniami Karen, było jeszcze kilka w powietrzu, unoszących się na tle gwiazd, niczym latające ośmiornice, z wysuniętymi łopatkami i rozgrzanymi dyszami wylotowymi. Trzy takie istoty tworzyły ochronną formację wokół swoich panów.

Harry wyłonił się z czasoprzestrzeni Möbiusa na tyłach przełęczy. Wartownik Karen odpierał atak dwóch mniejszych, lecz niezwykle zaciętych bestii. Jedna znajdowała się pod nim i pracowała kleszczami i sierpami, by go wypatroszyć, natomiast druga siedziała mu na karku, wgryzając się w kręgosłup. Nawet metamorficzne ciało musiało niebawem ulec.

— Wyrwij się — rozkazał nekroskop. — Unieś się w górę, jeśli jeszcze możesz. Zaatakuj wroga w powietrzu. — Ażeby zwrócić się do wojownika, musiał otworzyć swój umysł, co zaraz wykorzystała Karen.

— Wysłałam tamtego ze skalnego występu — powiadomiła go natychmiast. — Jest szybki i dziki. Jeśli potrafisz posłać w powietrze następnego. Szaitis i Szaitan mogą stracić przewagę. Ich lotniaki są niekonwencjonalne, potężnie uzbrojone, ale jednak muszą równać się z wojownikami. Może uda się strącić tych sukinsynów!

Lecz teraz byli na tyle blisko wroga, że ich myśli nie stanowiły już ich wyłączonej własności.

— Witaj, Karen — zawołał wesoło Szaitis. — Wciąż zdradziecka, co? No cóż, naprawdę myślę, że zmarnowałabyś swój ostatni oddech, by mnie przekląć. I tak też zrobisz, ja tego dopilnuję! — Następnie zwrócił się do Harry'ego — Co do ciebie, piekielniku... ach, ciebie pamiętam doskonale! Miałem kiedyś wiezyć,

dawno temu, dopóki ty i twój syn, Rezydent, nie obróciliście jej w kupę gruzu. Ale gdzie jest teraz twój syn, hę? Jakiś wielki wilk, jak słyszałem, porywa szczenięta w świetle księżyca. No? Ha, ha, ha! A z jaką to suką go spłodziłeś, co?

Harry słyszał szyderstwa Lorda całkiem wyraźnie; tak samo i nagłą ingerencję Szaitana, którego głos wsączył się mu w umysł, niczym myślowy szlam.

— Uraganie niczemu nie służy — zawołał. — Zabij go za wszelką cenę, kiedy przyjdzie właściwy czas, lecz teraz daj mu spokój.

Wampir nekroskopa szalał; chciał załatwić to po swojemu; domagał się tego tak psychicznie, jak i fizycznie; Keogh niemal słyszał jego wrzaski: — „Daj mi władzę! Pozwól walczyć z nimi! Przekaż mi swój umysł i ciało, a ja w zamian dam ci... wszystko!” — Jednak nekroskop wiedział, że to kłamstwo i że to w istocie pasożyt zagarnąłby wszystko.

Usłyszał łopot, przykucnął w pozycji obronnej i spojrzał w górę. Karen już znajdowała się w powietrzu; lotniak, którego mu przysłała, wykonał ostry zwrot i opuścił się ku niemu. Kiedy pięćdziesiąt stóp błoniastych, modliszkowatych skrzydeł, gąbczastego ciała, chrząstek i kości zwiślało nad jego głową, podskoczył i chwycił za uprząż wiszącą pod szyją stworzenia. W chwilę później Harry wciągnął się na siodło. Zaatakowany na ziemi wojownik odepchnął napastników i wzbił się w górę.

— Świetnie — pochwalił go Keogh. — A teraz dołącz do swego wstrętnego bliźniaka i pomóż mu zwalić lotniaka przeciwnika no ziemię.

— Pomóżmy im wszyscy — odezwała się Karen, kiedy jej stwór zaczął się wznosić ku najeżdźcom.

Harry wzbił się w kierunku uzbrojonych latających stworów Szaitisa i Szaitana oraz trójki syczących, rozedrganych wojowników.

— Gdzie nasz żołnierz numer trzy? — zapytał.

— Zabity na miejscu, nekroskopie — odpowiedziała ponuro Karen.

— Zmiażdżony przez najpotworniejszego wojownika, jakiego kiedykolwiek widziałam. W dawnych czasach samo wymyślenie takiej bestii równałoby się wygnaniu. Stara zasada była prosta: nigdy nie powoływano do życia niczego, co mogłoby się okazać trudne do poskromienia. Bo nawet najbardziej słabowity mózdek w końcu nauczy się nowych sztuczek. Co do istot, które zaprojektowali Lordowie, a zwłaszcza tamtej, no, czy ty sam nie czujesz ich złośliwej inteligencji? To istne paskudztwa!

Harry ogarnął wzrokiem niebo, potem popatrzył na dół, na tysiąc stóp ciemnej, pustej przepaści, i ujrzał to, co podążało z tyłu.

— Rozumiem, co masz na myśli — rzekł.

Zobaczył wznoszącego się obok niego i Karen, w tej samej części spiralnego prądu, wojownika, którego wysłała w powietrze, broczył ciecżą z rozerwanego podbrzusza. Plazmatyczny wyciek błyszczał czerwono niczym rubinowy naszyjnik, a metamorficzne tkanki zasklepiały już głębokie rany szyi. Chwilowo narzą-

dy napędowe wojownika buchały pełnym ciągiem, lecz Harry'emu zdawało się, że dostrzega pewne zaburzenia rytmu.

Nieco wyżej, ponad nim i Karen, piął się coraz szybciej nie uszkodzony wojownik, którego ściągnęła ze skał. Z furją wypuszczał gazy napędowe, prychał jak smok, wyraźnie zmierzając ku obcym lotniakom i ich jeźdźcom. Reagując na zagrożenie, niczym jakieś potworne automaty, trzech wojownicy z eskorty zaczęli zbliżać się ku sobie, po czym runęli jak kamienie, pikując w kierunku celu.

W jednej chwili stało się jasne, że tu w górze nieprzyjaciel przeważał liczebnie. Lecz sytuacja w dole wyglądała jeszcze gorzej. Wojownicy wroga, którzy poturbowali stworzenie Karen na tyłach Ogrodu, korzystali z tego samego wznoszącego się prądu i zbliżali się. Za nimi podążał jeszcze szybciej zabójca trzeciego jej tworzywa, ten, którego nazwała najpotworniejszym wojownikiem, jakiego kiedykolwiek widziała. Harry, mimo iż nie był w tych sprawach ekspertem, musiał się z tym zgodzić.

Wojownik przypominał kałamarnicę... i tu załamywały się wszelkie dalsze porównania ze zwierzętami dotychczas znanymi. Gigantyczne cielsko składało się z mięsa i krwi, chrząstek i kości, lecz posiadało wygląd i szary połysk jakiegoś niesamowitego, elastycznego metalu. Grona gazowych pęcherzy, niczym korale, wybrzuszały się z pulsującego tułowia; ograniczały wprawdzie zdolność manewrowania, lecz wydawały się niezbędne do uniesienia dodatkowego ciężaru pancerza i broni. To bynajmniej nie były dodatki, lecz integralne części ciała wojownika; jak ogromny jaszczur z prehistorycznej Ziemi cały arsenał miał wbudowany w siebie. Tyle, że Natura w swych najbliższych fantazjach nigdy tak nie wyposażyła żadnej istoty. Ta zaś bestia nie jej była wytworem, ale Szaitisa.

— No i co, nekroskopie? — W telepatycznym głosie Karen czuło się lęk.

— Ucieczka tylko opóźni bieg wydarzeń — odparł.

— Więc?

— Więc zadajmy im tu i teraz najsilniejszy cios, na jaki nas stać!

W górze śmiertelna szpica spadała na wojownika Karen niby jastrzębie na gołębia.

— Pozostań przy swojej pani. — Harry nakazał swemu lotniakowi, po czym sturlał się z siodła w utworzone pospiesznie drzwi Möbiusa... i wynurzył się zaraz na pokrytym łuską grzbiecie wojownika Karen, gdzie niemal mógł poczuć gorące wyziewy nadlatujących bestii.

— Unik! — rozkazał swemu spłoszonemu wierzchowcowi. Wytworzył duże drzwi i skierował w nie potwora. Trójka wrogów zbiła się w warczącą masę w miejscu, gdzie przed chwilą znajdował się Harry, który teraz wystrzelił wysoko z kontinuum Möbiusa... W chwili gdy spotkały się ich spojrzenia, udało mu się przechwycić nieco z telepatycznego złorzeczenia Szaitisa.

— Ty z tą swoją przeklętą magią, ty wypierdku z krainy piekieł! — krzyczał wściekle.

Harry był oszołomiony; spojrzął w szkarłatne oczy Szaitana, a ten odpowiedział mu w ten sam sposób. Jednak w umyśle tej wielkiej pijawki nie było nienawiści, nie wobec nekroskopa; jedynie czujna ciekawość.

— Oszczędź sobie tych przekleństw — rzekł do Szaitisa. — On może nam jeszcze wyrządzić wielką krzywdę. Wtedy będziesz miał prawdziwy powód do wściekłości.

W dole pod nimi trzej zdeorientowani wojownicy wyplątali się ze swych ciał; ich napędzacze zaryczały, gdy ponownie zaczęli się wzbijać.

— Wy trzej — zawołał do nich telepatycznie Szaitis. — Do mnie, pędem! Sięgnijcie kobietę. Wiecie, co robić. . .

— Ty podły bękarciu! — wrzasnął Harry do Lorda, zanim zdał sobie sprawę, że to dlań żadna obelga. Rozejrzał się za lotniakiem Karen i zobaczył, że stwór uchodzi ze wznoszącego się prądu i podąża wzdłuż gór na wschód. Z tyłu towarzyszyło mu dwóch wojowników, ale tylko jeden należał do Karen; co chwila ścierali się z sobą w dzikiej walce. Stworzenie Lady dostawało przy tym tęgie cięgi, lecz jej lotniak zyskiwał czas i dystans. Chwilowo Harry nie widział nigdzie gigantycznego wojownika.

Licząc na to, że Karen nie zagraża bezpośrednio niebezpieczeństwo, przytulił się do łusek swego monstualnego wierzchowca i skierował go głową naprzód ku wampirom, Ci czmychnęli czym prędzej nad skalistą równinę, zmierzając mniej więcej w kierunku zburzonych wieżyc Lordów. Teraz stało się jasne, że ich bestie podczas lotu poziomego mają przewagę; widząc, że nie ma nadziei na złapanie ich w ten sposób, Harry wyczarował drzwi i wprowadził w nie swojego wojownika. . .

Wyłonił się wprost nad lotniakami, które sunęły z prądem, zmierzając na wschód. Szaitis usłyszał wycie napędzaczy wojownika, poczuł jego cień na swych plecach i podniósł wzrok. Nekroskop uśmiechnął się złowrogo; trzasnął swoim wierzchowcem w lotniaka Lorda. Wampir natychmiast wśliznął się w zagłębienie pomiędzy barkami swojego stworzenia. Wojownik Harry'ego wysuwał haki, kleszcze i ruchome szczęki, zaczął ciąć lotniaka na kawałki; ostre narzędzia wciśnięte się niebezpiecznie blisko Szaitisa, który wił się, walcząc o życie. Ociekając krwią swej rozdarłej ofiary, wojownik podniósł się nieco, by ponownie runąć całym ciężarem na latającą bestię. Szaitis zsuwając się z siodła, aby zawisnąć na strzemionach w purpurowym deszczu, wiedział, że jego wierzchowiec zdycha.

— Szaitanie! — krzyknął, kołyszając się u podbrzusza.

Wielka pijawka pojawiła się nieco niżej, z boku.

— Skacz! — poleciała, przesuwając się pod niego.

Szaitis przymierzył się do skoku na bestię — przodka. . . i odleciał w bok, gdyż wojownik Harry'ego po raz trzeci uderzył w kark jego wierzchowca, tym razem go łamiąc. Nie trafiwszy na Szaitana, Lord zaczął spadać. . .

Luźne ubranie rozdarło się, gdy spłaszczył swe ciało w płachtę, przypominającą prehistorycznego pterodaktyla, i stopniowo przeszedł w szybowanie. Daleko

na wschodzie wypatrzył świecący punkt i pojął, że to Brama do krainy piekieł. Stanowiła dobry punkt orientacyjny, toteż skierował się w tamtą stronę.

Nekroskop zgubił go. Szaitis, ciemna plamka na jeszcze ciemniejszym niebie, zniknął. Natomiast Szaitan, pradawny ojciec wampirów, wysforował się naprzód; Harry mógł pokonać ten sam dystans, jaki zajmuje ułożenie równania. Już miał to uczynić... gdy ktoś zaatakował jego wojownika! Wstrząs omal nie oderwał nekroskopa od płyt pancerza. Napastnikiem okazał się ten najpotworniejszy ze wszystkich wojowników; chwycił w kleszcze jego stworzenie i wyrwał z mięśni napędzających dysz wydechowych wielkie płyty mięsa. Pozostałe bestie Szaitana trzymały się z dala, pozwalając swemu znacznie bardziej monstrualnemu kuzynowi wykonać zadanie.

Karen nawiązała telepatyczny kontakt z Harrym. Mniejszy wojownik, którego posłał za nią Szaitis, rozprawił się już z jej strażnikiem i teraz zbliżał się do lotniaka. Dla Karen wszystko zdawało się skończone.

— To koniec, nekroskopie! — nadała. — Mój wierzchowiec jest osłabiony, brak mu sił. Mogę tylko siebie za to winić, bo ja go zaprojektowałam. Skierowałabym się ku gorącym łądom i złotej śmierci we schodzącym słońcu, ale wątpię, czy by się nam udało. No, przynajmniej odejdę z honorem — rękawica bojowa przeciwko wojownikowi!

Jej lotniak ciężko dyszał, zmierzał na południe, ku szerokiemu przesmykowi. Osłabiony nie mógł już przelecieć nad szczytami, lecz doganiał go zionący ohydny gazami potwór. Zaś prosto w dół, niedaleko miejsca gdzie blizna przesmyku rozszczepiała góry... jarzyło się światło... tutejsza Brama.

Harry byłby ją od razu rozpoznał, ale taki widok z lotu ptaka zupełnie go zaskoczył. W chwilę później ów obraz przestoniła czerwień — rozdarte zwłoki pokonanego wojownika Karen zwały się na ziemię i roztrzaskały. A jego zabójca przyspieszył, atakując Lady.

Harry zeskoczył z karku swego skazanego na zagładę stworzenia w drzwi Möbiusa i wyszedł u podnóża gór wznoszących się tuż przy wrotach do Gwiazdnej Krainy. Brama stanowiła błąd w materii wieloświata, wielkie wypaczenie w strukturze Möbiusowej czasoprzestrzeni; jednak nekroskop znalazł się na tyle daleko, że nie miało to większego wpływu. Omiótł wzrokiem szeroką paszczę przesmyku, gdzie jakiś stwór latający błąkał się bez jeźdźca.

Drogą Möbiusa nekroskop dosiadł jego grzbietu.

— Jeszcześmy nie skończyli — zawołał do Karen.

Usłyszała go; usłyszał także i Szaitis. Swój długi i szybki lot zakończył w pobliżu Bramy i przekształcił się na powrót w człowieka. Ujrzał swego wojownika w powietrzu.

— Przynieś mi kobietę, nawet w kawałkach, jeśli inaczej się nie da! — rozkazał.

Odzew potwora był natychmiastowy — runął swym cielskiem na lotniaka Karen i prawie wytrącił ją z siodła. A gdy chwiała się, usiłując odzyskać zmysły i równowagę, wysunął swoje hakowate cęgi i porwał ją. Następnie, rycząc triumfalnie, uderzył po raz ostatni pozbawionego jeźdźca lotniaka, by przetrącić mu kark. A gdy pogruchotane stworzenie Karen wirowało, waląc się z nieba w przesmyk, zwrócił się ku skalistej równinie.

— Brawo! — pochwycił bestię Szaitis. — Przynieś mi ją.

Harry skierował swego wierzchowca tak, by przeciąć wojownikowi drogę, jednakże tamten nie usłuchał i poleciał dalej.

— Przekaż ją mnie — nadał Harry bezpośrednio do jego maleńkiego mózdzka.

— Nie rób tego! zaprotestował prawowity pan wojownika. — Odepchnij go na bok... zabij, jeśli możesz!

Potwór znalazł się na Harrym. Karen, trzymana mocno w uścisku chitynowych kolców, które przekłuwały jej ciało, dzierżąc niczym rybę na tysiącu haczyków. Mogła jedynie krzyczeć. Szyja bestii wygięła się w łuk, by uderzyć w Keogha, natomiast szczęki, bardziej śmiercionośne niż paszcza tyranozaura, otwały się niby jaskinia, aby go zgnieść.

Następne wydarzenia wypływały z czystego instynktu. Tak jakby Faethor Ferency żył nadal w nekroskopie i szeptał mu do ucha: „Kiedy otworzy przed tobą swoją paszczę, wejdź w nią!”

Harry wiedział, że nie może mieć nadziei na zadanie temu stworzeniu poważniejszych ran, przynajmniej z zewnątrz. Lecz gdzieś w środku tej monstrualnej czaszki znajdował się maleńki mózg, zaś gdzieś wewnątrz Harry’ego coś było lub wciąż pragnęło być wampirem!

Harry podniósł się na siodle i wszedł w odór paszczy wojownika, pomiędzy zamykające się szczęki. Lecz przekraczając bramę kłów, przeszedł również przez próg drzwi Möbiusa... i wynurzył się wewnątrz głowy potwora. Dosłownie w środku jego głowy! Pośród prymitywnych narządów, tętniących przewodów i kanałów, gałek i węzłów, śluzu i mokrych błon żywej czaszki!

Poczuł, jak ustępuje wypierana masa, jak kurczy się metamorficzne ciało, gdyż zmaterializował się, trąc o otwarte zakończenia nerwowe, wilgotną, gąbczastą tkankę oraz pulsującą plazmę, niosącą tlen do mózgu. Wyciągnął szponiaste, wampirze dłonie, chcąc odnaleźć i popieścić sam centralny zwój nerwowy. I zmiażdżyć go na papkę. Wówczas...

Zniknęła grawitacja, napędzacze wojownika zamknęły się i potwór zaczął spadać. Zaś wewnątrz jego głowy Harry rozpaczliwie próbował znaleźć sobie miejsce i utworzyć drzwi metafizyczne. Potrzebował przestrzeni, by to osiągnąć, powietrza, by oddychać; gdy wcześniej nie próbował kreować drzwi pod wodą lub w otoczeniu lepkich cieczy — takich, jak gorąca krew — lecz teraz musiał. Musiał wytworzyć wrota, wydostać się stąd, wyrwać Karen ze szponów martwej już istoty, zanim ta roztrzaska się o ziemię.

Jednak, ledwie równania Möbiusa zaczęły przeobrażać się na ekranie umysłu nekroskopa, zrozumiał, jak bardzo nieodpowiednie, jak błędne okazały się w tej sytuacji. Drzwi pulsowały i drgały, nie mogły się ustabilizować. Natomiast wytworzona energia skupiła się w przestrzeni na obwodzie ich jądra i gwałtownie je odkształcała. Pospolita materia, wyparta ze swej naturalnej formy i kształtu, rozplynęła się jak magmaty, a po chwili nieudane wrota rozprysły się w nicości!

Szaitis widział swoje stworzenie walące się ku ziemi i przez moment zdawało mu się, że musi wpaść w Bramę. Oszupiały ujrzał, jak uzbrojona głowa marszczy się, topi i rozpryskuje, mimo iż potwór nie dotknął jeszcze ziemi, zaledwie kilka kroków od trójwymiarowych wrót! Zaś kiedy uderzył, Lord zobaczył, że coś podobnego do człowieka — lecz czerwone, żółte i szare jak śluz — wypadło roztrzaskanej czaszki na skalistą równinę.

A gdy opadł pył i ostatnie bryzgi flegmy i plazmy utworzyły kałuże wśród kamieni i kurzu, Wielki Lord podszedł bliżej.

Oślaniając oczy przed blaskiem, stąpał ostrożnie między szczątkami swego wojownika. Przyjrzał się Lady Karen, potłuczonej, krwawiącej i nieprzytomnej, wciąż uwięzionej w kleszczach potwora. Popatrzył też na połamane, wykręcone ciało Harry'ego Keogha z krainy piekieł, a był to najbardziej krwawy widok, jak wampirzy Lord kiedykolwiek oglądał. Jednakże ciało nie było jeszcze martwe.

„Oczywiście, że nie — pomyślał Szaitis — On jest wampirem! A jednak... innym i trudnym do zrozumienia.”

— W istocie! — zgodził się Szaitan, szybując na swoim lotniaku. Lecz właśnie to musimy zrobić: zrozumieć go. Jego umysł zawiera wszystkie tajemnice Bramy i światów za nią. Więc nie rób mu krzywdy, lecz pozwól, by jak najprędzej nabrał sił. A kiedy będzie mógł odpowiadać, wtedy ja go przepytam... .

* * *

Zdradzony przez własny talent metafizyczny umysł nekroskopa nie cierpiał najbardziej. Ciało zostało zwampiryzowane i wkrótce miało się wygoić, podobnie rdzeń mózgu.

Karen natomiast nie została uszkodzona. Podczas gdy Szaitan zajął się Harrym, jego mroczny potomek — Szaitis — rozmyślał tylko o Karen. Obaj szukali nowych doświadczeń; w przypadku tego drugiego doświadczeń zmysłowych.

Dociekania Szaitana opierały się na telepatii. W miarę jak umysł Keogha goił się i okruchy rozbitej pamięci z wolna się spajały. Upadły wyciągał to, co przedstawiało dlań jakąś wartość. Niektóre pojęcia były trudne; wspomnienia zbyt skomplikowane lub zbyt bolesne by wdawać się w szczegóły.

Tak stało się z podziemnym kompleksem w Perchorsku, który zawsze uważano za mroczną, posępną fortecę. Obrazy Projektu Perchorskiego były monochromatyczne; wspomnienia z tego miejsca odbiegały wyraźnie formą i treścią od

niektórych wizji z groźnych wieżyc; jakby Harry obawiał się szczegółów. Wiązało się to z Penny, gdyż nawet będąc nie w pełni władz umysłowych, Harry nie potrafił wspomnieć Perchorska, nie przywołując tej tragedii.

Lecz o życiu Harry'ego przed Perchorskiem i o całym świecie ludzi Szaitan dowiedział się wiele. Wystarczająco dużo, by mieć pewność, iż kiedy przekroczy Bramę i wtargnie najpierw do podziemnego kompleksu — rozbijając system obrony i przekształcając to miejsce w swą fortecę nie do zdobycia — a następnie dokona inwazji na resztę świata nekroskopa, niewiele mu się oprze. Armia jego wampirycznych wasali rozprzestrzeni się podstępnie po całej Ziemi, a mroczni uczniowie będą nosić jego zarazę w każdy zakątek, póki nie zdobędzie władzy.

Za każdym razem, gdy Szaitan o tym myślał, podchodził do Harry'ego, leżącego koło ogniska na pledzie utkany przez Wędrowców, przypatrywał mu się i dumiał, gdzie widział wcześniej tę chyba znajomą skądś twarz. Na jakim odległym lądzie, w jakim mrocznym i zamierzchłym czasie, w której poprzedniej egzystencji?

Zastanawiał się również nad dziwnymi mocami nekroskopa, zadziwiającymi siłami, które on jeden posiadał i sprowadził z sobą z obcego świata. Na własne oczy Szaitan widział, jak nekroskop w okamgnieniu przenosił się z miejsca na miejsce, nie przemierzając dzielącej je odległości!

Bliźni Keogha wyrzucili go, podobnie jak wyrzucono Szaitana, zanim jeszcze wypędziły go wampiry, za jego odmienność, zmusili go do ucieczki. Tak więc ojciec wampirów w pewien sposób czuł nawet swoistą więź z nekroskopem.

A gdy umysł Harry'ego trochę wydobrażał, Szaitan ponownie doń wkroczył.

— Czy ja znam ciebie? Gdzie widziałem cię wcześniej? Jesteś potomkiem tych, co pozbawili mnie mojego prawowitego miejsca?

Umysł Harry'ego chwilami wyłaniał się z otchłani niepamięci; wiedział, że słowa odnoszą się do niego; wiedział nawet co nieco o tym, który je wypowiadał, i rozumiał sens pytań.

— Nie — odpowiedział na wszystkie trzy.

Szaitan próbował jeszcze raz.

— Słyszałem twoje myśli. Zastanawiałeś się nad dziwnymi światami poza zakresem zwykłego pojmowania. Światami, które istnieją nie w przestrzeniach między gwiazdami, lecz w przestrzeniach między przestrzeniami! W istocie, masz dostęp do takiej właśnie niewidzialnej sfery, gdzie poruszasz się pewniej i szybciej niż ryba w wodzie. Ja też chciałbym się tam dostać, w tę ciemność nie z tego świata. Pokaż mi, jak.

Był to dotąd najlepiej skrywany sekret nekroskopa, jednak mając uszkodzone tak ciało, jak i umysł, nie potrafił dłużej go utrzymać. A gdyby nawet spróbował, hipnoza i tak by tę tajemnicę wydarła. A więc pokazał Szaitanowi komputerowy ekran jaźni, gdzie zaraz zaczęły piętrzyć się stosy równań Möbiusa. Lord zobaczył je. Poczł niepokój i lęk.

— Przystań! — rozkazał, gdy w jego umyśle zaczął tworzyć się słabiutki zarys jakichś wykrzywionych drzwi Möbiusa. Kiedy ekranostał starty do czysta, a niedoszłe drzwi zapadły się, wielka pijawka odetchnęła z ulgą i z zadowoleniem oddaliła się od Harry'ego. Poznaawszy bowiem energię emanującą z tych równań i otaczającą drzwi, Szaitan odniósł wrażenie, iż naprawdę poznał ją wcześniej w innym świecie, gdzie była jedną z przyczyn jego upadku.

I odtąd... Lord wiedział, że tajemne miejsce Keogha pozostanie na zawsze poza jego zasięgiem, i ta świadomość wprawiała go w gniew. „Co, pokrewieństwo? — myślał. — Z tym raczkującym niemowlęciem, tym dzieckiem w dziedzinie ciemnych sztuk, tym połamanym i pokrwawionym, niedoszłym niewiniątkiem?” Musiał być szalony, jeżeli coś takiego przyszło mu do głowy. Tak czy owak, jakie to miało znaczenie, że istniały jakieś zakazane, niewidzialne miejsca? Na początek wystarczą widzialne, a na razie i jedno będzie dobre. Planował atak na świat za Bramą, na świat nekroskopa. Owa inwazja miała zacząć się niebawem, zanim wzejdzie słońce.

Szaitan poznał wszystko czego chciał się dowiedzieć. Teraz mógł przekazać jeńca Szaitisowi. Pragnął, aby ten tak zwany „mieszkaniec krainy piekieł” doznał agonii i śmierci swego wampira, a potem wraz ze swoją tajemnicą pograżył się w ogniu i dymie.

Takie były myśli Upadłego, którym pozwolił wypłynąć z siebie. Lecz w środku nurtowały go głębsze problemy. Wiedział, że sprawny Harry Keogh dysponował ogromną siłą. Sądził więc, że rozsądniej byłoby się z nim rozprawić.

Z punktu widzenia nekroskopa — czy raczej według jego uszkodzonej percepcji — wydarzenia krążyły w nie kończącym się wirze mdłości i oszołomienia, półprzytomnej agonii i gmatwaniny zamazanych obrazów na jawie, natrętnych przeblysków niekompletnych wspomnień i żywych, lecz zwykle nic nie znaczących wybuchów treści. Czasami, gdy metamorficzne tkanki usilnie pracowały nad regeneracją tak ciała, jak i mózgu, jego jaźń wydawała się częścią jakiejś obłąkanej karuzeli, ukazującej wciąż na nowo te same sceny. Chwilami zaś tkwiła uwięziona w zwierciadłach kalejdoskopu, gdzie każdy okruch kolorowych szkiełek obrazował oderwany fragment przeszłego życia i obecnej egzystencji.

Kiedy umysł pracował w miarę jasno, Harry zdawał sobie sprawę z tego, iż nawet w najlepszych warunkach regeneracja musiałaby zabrać wiele czasu.

Szaitan przekazał go Szaitisowi, a ten kazał go ukrzyżować nieopodal Bramy. Srebrne gwoździe trzymały go przy surowych belkach, zaś również srebrny szpic przeszył ciało oraz jego wampira wychodził po drugiej stronie głównego drzewca krzyża.

W miarę jak wampirze ciało regenerowało się, srebro je zatrutowało. Harry myślał — nie, właściwie wiedział, że nie zejdzie z tego krzyża żywy. Potwierdzał tę tezę stos suchych, połamanych gałęzi leżących u jego stóp.

Drugi krzyż wzniesiono dla Karen. Czasami na nim wisała, co hamowało jej powrót do zdrowia i czyniło uległą. Czasami zaś jej nie było. Harry współczuł jej najbardziej, kiedy krzyż stał pusty, wtedy to bowiem wykorzystywał ją Szaitis. Gdyby starczyło siły, porozmawiałby z nią telepatycznie; jednakże podejrzewał, że nie pozwoliłaby mu na to. Dlatego, że wolała zachować swoje udreki dla siebie i nie pogłębiać jego rozpaczy.

Niekiedy Harry patrzył na skórzany namiot Szaitisa i nienawiść paliła go w środku jak ogień. A potem — lecz o wiele za późno — żałował częstokroć, że nie dał swemu wampirowi szansy na swobodne panowanie. Miał chyba szczęście, że takie chwile jasności, zrozumienia i wewnętrznych wyrzutów trwały krótko i niezbyt często się zdarzały.

Nie pamiętał przybycia Wędrowców wezwanych przez Lorda. Na swój sposób „lojalni” wobec wampirów, byli raczej pogardzanym, lęklwym i służalczym plemieniem wytwórców rękawic bojowych.

Przychodząc ze Słonecznej Krainy, posłuszni rozkazom Szaitisa, wykradali kobiety i młodych chłopców grupom mniej pokornych Wędrowców. Poza tym pracowali przy budowie schronienia wampirzych Lordów oraz musieli wycinać i zbierać drewno na ogniska i krzyże. Nie na wiele im się to zdało: Szaitis i jego potworny przodek wszystkim odplacili podobnie — zgwałcili i zapłodnili ich kobiety, garstkę najlepszych mężczyzn zwampiryzowali, czyniąc swymi niewolnikami i porucznikami, resztę zaś rzucili na żer wojownikom przygotowanym do inwazji na Bramę.

To ostatnie wydarzenie — rzeź, jaka miała miejsce, gdy ostatni Wędrowcy spróbowali uciec, i wielką ucztę bestii — nekroskop zapamiętał. Szaitis, dla rozrywki, rzucił jedną z kobiet wojownikowi z męskimi narządami. Kiedy się to skończyło, Lord zdjął Karen z krzyża i zabrał do swego namiotu. Gdy zaś i to się dokonało, a Karen z powrotem przybito, przyszedł pod krzyż Harry’ego, by nacieszyć się jego widokiem.

— Zabawiłem się z twoją dziwką, czarodzieju. — Lord rzekł niby mimochodem. — Myślałem nawet, czy nie położyć się z nią na otwartym polu i nie dać ci popatrzeć, ale, jak widzisz, te moje bestie są trochę rozbrykane. Nie miałem ochoty podsuwać im jakiś pomysłów. Ale następnym razem jak zejdziesz z krzyża. . . o, to będzie ostatni raz. I kiedy zaczniesz płonąć — przynajmniej dopóki skóra wokół twoich oczu nie złuszczy się — będziesz to wszystko oglądał. Szkoda tylko, że agonia przeszkodzi ci w docenianiu jej rozkoszy!

Gorycz Harry’ego stała się tak wielką torturą, że z powrotem zapadł się w otchłań zapomnienia. Lecz wcześniej zdążył usłyszeć, jak Upadły telepatycznie ostrzega potomka.

— Uważaj, Szaitisie — wolał. — Radzę ci nie posuwać się za daleko. Wydaje mi się, że w nim jest coś, czego sam nie potrafi nawet docenić. Coś poza jego kontrolą, jakiś dziwny, instynktowny mechanizm, który w nim drzemie. Nie budź

tego, mój synu. Nawet Wędrowcy, kiedy polują i zabijają dzikie zwierzęta, mają dosyć rozumu, żeby nie igrzać ze swą zdobyczą.

Lecz w sekretnych głębiach umysłu Lorda Szaitisa nie było nic prócz pogardy. Zbyt długo żył marzeniami o tych chwilach triumfu. . .

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Stopienie — Rozszczepienie — Zakończenie

Wampirzy Lordowie wykradli ze Słonecznej Krainy wiele kobiet; zaspokoiwszy żądze i napelniwszy brzuchy, zasnęli; podobnie ich stworzenia i niewolnicy. Lordowie mieli zaatakować, zanim do Gwiezdnej Krainy wtargną promienie słońca. Zamierzali przeprowić się przez Bramę, by dokonać inwazji po tamtej stronie. Lecz póki spali. . .

Harry Wilkołak — niegdyś Harry Junior, następnie Rezydent, obecnie zaś przywódca szarego bractwa — zszedł z gór i stanął z dala, w cieniu, by przyjrzeć się sile zła, spoczywającego w blasku Bramy.

Przypatrywał się Lordowi, a także nagim postaciom leżącym pośród nich. I chociaż jego wilcza głowa w żaden sposób nie mogła o tym wiedzieć, on, jego ojciec i Szaitan borykali się z tym samym problemem: ich pamięć została osłabiona. Jednak gdy u Szaitana niewydolność ta określiła się i ustabilizowała, zaś u Harry'ego Seniora stopniowo ustępowała, w przypadku Harry'ego Wilkołaka, stan pogarszał się z chwili na chwilę.

Lecz teraz napływały niejasne wspomnienia — o spoczywającej pod twardą skałą kobiecie, która karmiła go piersią, o wiszącym na krzyżu mężczyźnie, będącym jego ojcem, i dziewczynie tak samo ukrzyżowanej. Również o dawnej bitwie o miejsce nazwane Ogrodem, która stanowiła koniec jednego życia i początek drugiego; i o kolejnej, stoczonej niedawno w tym samym miejscu, w której on jego szarzy bracia nie brali udziału. Pamiętał teraz, jak planował swój udział w tym starciu, po stronie tych dwojga ukrzyżowanych, ale. . . nie przypominał już sobie powodów.

Tak czy owak, nic by to nie zmieniło; oni prowadzili walkę w powietrzu, a ich wojownicy byli ogromni, on zaś był tylko wilkiem. A jednak czuł, że w jakiś sposób zawiódł te nieszczęsne, ukrzyżowane istoty — nieprzytomnego teraz mężczyznę i kobietę, świadomą, oswojoną z cierpieniem, nawet godzącą się na nie, lecz nie uodpornioną na własną, czarną nienawiść.

Z tyłu, u podnóża gór, jeden z braci uniósł do góry łeb i zawył do księżyca. Wkrótce miała nadejść pora wschodu, Harry Wilkołak posłał instynktowną myśl.

— Cicho, milczeć! Niechaj śpiący śpią nadal — wyszeptał. Usłyszeli go bracia, a także Lady Karen.

— Rezydent? — Jej sygnał był słaby, ukryty przed umysłami uśpionych wampirów. Jednak wywołał powódź wspomnień, aczkolwiek niewyraźnych. Harry Wilkołak wiedział, że kobieta mówi do niego.

— Ja nim jestem — odparł wreszcie. — Ja... nim byłem. — Pragnął dowiedzieć się prawdy. — Czy... zdradziłem was? — zapytał.

— Masz na myśli bitwę? — Potrząsnęła głową; wyczuł to telepatycznie — Nie, jej wynik od początku był przesądzony. Twój ojciec i ja zobaczyliśmy wcześniej naszą przyszłość: złocisty ogień palący się w kontinuum Möbiusa! A co do naszych wrogów, to wydawało nam się, że widzieliśmy również ich koniec, ale myliliśmy się. Bo okazuje się, że ich przyszłość nie leży tu, w Gwiezdnej Krainie, lecz w świecie za Bramą. — Słowom towarzyszyły obrazy ilustrujące podróż jej i nekroskopa w czas przyszły.

— Przykro mi. — Wspomnienia stały się teraz ostrzejsze i przepływały szybciej. — Mój ojciec powinien był wiedzieć, że czytanie przyszłości to zwodnicza sprawa.

— Owszem — przytaknęła. — Myślałam, że ten złoty ogień to słońce. Ale nie, to był tylko... ogień. I jedno, i drugie parzy, to prawda, lecz płomień Szaitisa będzie palił najdotkliwiej. Nienawidzę tego czarnego sukinsyna!

Ujrzał zgromadzone wokół niej gałęzie.

— Szaitis chce cię spalić?

— To, co zostanie, kiedy skończą ze mną jego wojownicy. — Nawet umysł wilka potrafił odczytać jej przerażenie.

— Czy mogę jakoś pomóc? — Harry Wilkołak podsunął się bliżej czołgając się między niewolnikami, którzy leżeli wokół dwóch czarnych namiotów.

— Odejdź — odpowiedziała. — Wróć w góry. Ocal siebie. Stań się do końca wilkiem. Zjadaj, co zabijesz, lecz nigdy nie waż się ukąsić mężczyzny lub kobiety, ażeby nie zaznali twego losu!

— Ale... byliśmy razem w Ogrodzie — powiedział. A w swym umyśle ponownie ujrzał ogień, śmierć i zniszczenie.

— Tak, lecz wtedy stanowiłeś potęgę, Ty i twoja broń. — Lecz w jej głowie zagościła już inna idea. Zemsta. — Czy pozostało coś z twego arsenału?

Myśli Rezydenta znowu się rozproszyły; spoglądał w tę i tamtą stronę i zastanawiał się, co tutaj robi. Zaniepokoił się, że jego ostatnio zapłodniona wilczyca zgłodnieje, czekając na niego.

— Arsenалу?

Nie potrafił sobie przypomnieć, więc pokazała mu obraz.

— Możesz przynieść mi jedną z tych rzeczy?

Jakieś dwieście jardów dalej, na skalistej równinie, najedzony wojownik chrapał przez sen, Harry Wilkołak wycofał się z powrotem w cień, pobiegł wielkimi susami w góry, by dołączyć do sfory.

Karen, wśród nocy i chłodu Gwiazdnej Krainy, traciła nadzieję, sądziła bowiem, że Harry Junior nie będzie pamiętał.

Myliła się.

* * *

Przybył jeszcze raz, w ostatniej chwili. Przyszedł wraz z chmurami z południa, z pierwszym ciepłym deszczem, z szarym światłem jaśniejącym na niebie za górami. Nadszedł o przedświcie, przed prawdziwym brzaskiem, i przekradł się przez krąg niewolników mamroczących przez sen. I wspiąwszy się po pniach i gałęziach stosu Karen, stanął na tylnych łapach, twarzą w twarz, jakby chcąc ją ucałować. Lecz jej usta rozdziawiły się jak głęboka szrama w metamorficznej twarzy, a to co sobie przekazali, nie było pocałunkiem.

* * *

— Czarodzieju, nekroskopie, obudź się!

Harry zadrżał, kiedy myśli Szaitisa smagnęły go niczym bicz. Myśli, a następnie wypowiedziane słowa.

— Twoje męczarnie niebawem się skończą, nekroskopie. — powiedział Lord. — Więc otwórz oczy i pożegnaj się ze światem, ze swoją Lady, swoim życiem. . . ze wszystkim.

Myśli Harry'ego nabrały kształtu i porządku; umysł miał prawie wygojony; ciało za to było dalekie od tego. Srebro działało na jego wampirzą krew jak ziarenka arszeniku. Lecz usłyszał szyderstwa Szaitisa i poczuł krople deszczu, toteż otworzył przesycone bólem oczy na szare światło przedświtu. A wtedy niemal zapagnął być ślepym.

Porucznicy Szaitisa wspięli się na drabiny, ściągnęli Karen z krzyża. Głowa kobiety kiwała się na boki, kończyny zwisały bezładnie. Cisnęli ją na pled rozłożony na kamiennym gruncie. Lord podszedł do swojego namiotu i przeciął liny, tak że skóry opadły jak przekłuty balon.

— Jak widzisz, nekroskopie — mówił słodkim głosem — zamierzam dotrzymać obietnicy. Ażebyś teraz wszystko zobaczył, usłyszał i zrozumiał, tym razem — ten ostatni raz wezmę ją na odkrytej przestrzeni. Dla mnie nie będzie to żadną atrakcją, już nie. Wszystkie moje wysiłki zostaną przeznaczone dla ciebie. A kiedy skończę, zobaczysz, jak zajmują się nią moi wojownicy! Naszym

stworzeniom też przecież należy się trochę radości, prawda? One także kiedyś byli ludźmi.

Deszcz zaczął się wzmacniać i Szaitis wydał rozkazy. Jego niewolnicy rozerwali zwalony namiot na dwie połowy, następnie użyli przedartych skór do przykrycia męczeńskich stosów. Miało to zapobiec zbyt niemu ich zamoczeniu. Lord tymczasem wrócił pod krzyż. Szaitan również wyszedł ze swego namiotu i zbliżył się. Oczy Upadłego — bardziej pijawki niż człowieka — żarzyły się jak węgielki pod czarnym, pomarszczonym kapturem.

— Już czas — odezwał się chrapliwie, jakby odchrząkiwał flegmę — a Brama czeka. Lepiej kończ to wszystko. Połóż kobietę na stos i spal ich.

Szaitis znieruchomiał. Przypomniał mu się nagle dawny sen. Miał teraz dość wszystkich mrocznych omenów, a zwłaszcza uwag swego przodka.

— Ten człowiek stanowił przyczynę mojego wygnania — odparł. — Poprzysięgłem mu zemstę i teraz jej dopełnię.

Obaj, Szaitis i Szaitan, zmierzyli się wzrokiem. W oślepiającym blasku Bramy ich oczy zdawały się pałać ogniem. Wreszcie Upadły odwrócił się.

— Jeżeli chcesz — rzekł cicho. — Niech tak będzie.

Chmury rozwiały się i deszcz ustał. Szaitis polecił swym niewolnikom zapalić pochodnie. Wziął jedną z nich i podniósł, oświetlając rozpięte na krzyżu ciało Harry'ego.

— No i co, nekroskopie, czemu nie wezwiesz swoich umarłych? Mój przodek mówił mi, że w twoim świecie byłeś ich władcą, a ja sam widziałem, jak podczas bitwy o Ogród Rezydenta wzywałeś sypiących się troglodytów. Czemu więc nie zrobisz tego teraz?

Harry nie miał na to sił — o czym doskonale wiedział jego oprawca — a gdyby nawet zachował dawną moc, to i tak zmarli by mu nie odpowiedzieli. Był wszak wampirem i oni się go wyrzekli. Lecz u podnóża gór, nieopodal Bramy, dygotał i skomlał szary cień. Miotał się tam i z powrotem, tam i z powrotem, a sfera obserwowała go bacznie.

Pamięć wielkiego wilka okazała się niedoskonała, a jego natura legła zmianie, lecz w tej chwili rozumiał każdą myśl Keogha. W odległej przeszłości, jako ludzkie dziecko, Harry Wilkołak dzielił ze swym ojcem jeden umysł.

Nekroskop wyczuwał obecność syna, poczuł jego troskę i natychmiast zamknął jaźń przed zewnętrznymi wpływami. Sprawilo mu to pewien wysiłek, lecz dokonał tego. Szaitan z miejsca to wychwycił.

— Bierz się do roboty — rozkazał. — Ten tutaj nie jest jeszcze skończony, mówię ci! Teraz właśnie zamknął swój umysł, żebyśmy nie wiedzieli, co tam w środku się warzy.

— No co, Harry Keoghu!? — zawołał Szaitis do swej ukrzyżowanej ofiary. Pomachał pochodnią i odsunął na bok skóry przykrywające suche gałęzie. — Czyżbyś miał ochotę pozbawić mnie twojej słodkiej agonii? A może potrafisz

nie zważać na cierpienie? O, my, wampiry, posiadamy swoje sekrety, to prawda: możemy się uodpornić na ból rozdzieranego ciała i łamanych kości; owszem, nawet je zregenerować. Ale nie zrodził się jeszcze wampir, nieczuły na ogień. I ty też go będziesz czuł, nekroskopie, kiedy twoje ciało zacznie się rozpływać! — Sięgnął pochodnią do podstawy stosu. — Więc co powiesz? Mam go teraz podpalić? Jesteś gotów na śmierć?

— To ty się spalisz — w końcu Harry odpowiedział — ty... bobku spod ogona troglodyty i wyziewie gazotworów! Spalisz się w piekle!

Szaitis klepnął się w udo i wybuchnął obłąkańczym śmiechem.

— Och tak? Cha, cha, cha! Szyderstwo za szyderstwo, co? Chciałbyś znieważyć swego kata? — Przytknął pochodnię do wiązki chrustu i zaraz podniosła się wstęga dymu, a potem mały język ognia.

Zaś u podnóża okrytych cieniem gór Harry Wilkołak zawył rozpaczliwie, po czym odwrócił się i skoczył w dół stoku, ku straszliwej scenie. Szare bractwo pognało za nim, lecz je powstrzymał.

— Nie! Wracajcie w góry. Muszę wypełnić co mi pisane.

Płomienie lizały stos Harry'ego, małe, jasne języki raptownie rosły. Lord podszedł do Karen rozciągniętej przez niewolników na ziemi. Była już przytomna, chciała ich odepchnąć, lecz brakło jej sił.

— Nekroskopie! — drwił dalej wampirzy Lord — Bywalcu dziwnych światów i jeszcze dziwniejszych przestrzeni pomiędzy nimi. Powiedz mi — czemu nie wyczarujesz teraz jednej z tych twoich tajemniczych mysich dziur i nie zejdziesz z krzyża? Zstąp, staw mi czoła i obroń po rycersku tę dziwkę, której ciało obaj poznaliśmy. Chodź, wyrwij ją z mojego uścisku.

Metafizyczna jaźń Harry'ego zaczęła odruchowo układać równania Möbiusa. We wnętrzu jego umysłu formowała się niewidoczna dla nikogo więcej, migocąca framuga. Tylko że, oczywiście, owe drzwi były niekształtne i niezwykle ulotne. Gdyby pozwolili im osiągnąć pełnię, nastąpiłby kres — Brama była tak blisko, że Harry'ego prawdopodobnie by rozerwało, a jego atomy rozproszyłyby się w miliardach wszechświatów. A może to była właściwa odpowiedź, droga, którą miał pójść. Przynajmniej oszczędziłby sobie agonii w płomieniach. Lecz co z agonią innych? Co z przyszłą agonią całego świata, który leżał za Bramą?

Za późno, by się martwić — Ziemia już została skazana na zagładę. Harry wiedział, że cuda się zdarzają, gdy wszystko wydaje się stracone. Zresztą, gdyby udręka stała się wielka, zdążyłby jeszcze utworzyć kolejne drzwi — większe, potężniejsze.

— Nie! — zaprotestował Harry Wilkołak, akurat, gdy nekroskop uznał, że należy zniszczyć te, które już wykreował. — Zachowaj je, ojcze. Tylko na chwilę — I Harry poczuł, że syn przygląda się przekształcającym się w jego jaźni wzorom Möbiusa i rozedrganemu, wykrzywionemu zarysowi częściowo uformowanych wrót. Patrzył, usilnie próbował zrozumieć... i wreszcie sobie przypomniał.

W chwilę później wielki wilk ułożył równania, których Harry, nawet dysponując pełnią swych mocy nie potrafiłby rozpoznać, symbole przywołane z czasów, kiedy syn był o wiele potężniejszy od ojca. Na kilka sekund powróciły niektóre z zagubionych talentów Harry'ego Wilkołaka. Z naturalną swobodą, również wywodzącą się z tych niemal zapomnianych czasów, użył jednego z nich, aby przez nie dokończone drzwi przesłać obraz ich obecnego położenia oraz ostrzeżenie przed potencjalnymi wariantami przyszłości. Ów sygnał rozszedł się z prędkością myśli, przenikając do wszystkich wszechświatów światła.

Nekroskop wymazał swoje obliczenia i zwolnił te obecnie wysoce niebezpieczne drzwi, pozwalając, by Brama ściągnęła je, niczym magnes. Ale sygnały i ostrzeżenia poszły już w przestrzeń. Harry Wilkołak wykonał część narzuconej sobie misji; teraz pozostawała tylko jej strona fizyczna. Jednak gdy to pierwsze zadanie było jedyne nieprawdopodobne, reszta jawiła się jako zgoła niemożliwa. O jednak nie sprawiało żadnej różnicy szaremu wilkowi, który też pamiętał, iż niegdyś był człowiekiem. Równie dobrze mógł więc zginąć jak człowiek.

Dał susa ponad kręgiem niewolników, by jak widmo wyłonić się dymu obok Harry'ego. Warcząc, natarł na kłęzącego nad Karen Szaitisa. Atak jednak się nie powiódł; drogę zastąpili mu porucznicy. Jeden z nich rzucił włócznią i powalił go na ziemię. Tocząc pianę i szczerząc kły, przeszyty włócznią na wylot, wilkołak wciąż jeszcze wyciągał rozdygotane, szczupłe dłonie ku Lordowi — kiedy srebrny błysk miecza pozbawił go głowy.

Ukrzyżowany widział tę scenę, pomimo kłębow dymu — dobrze, że jeszcze nie płomieni — które przesłaniały mu wzrok.

— Nie! — krzyknął głośno. „Nie... nie... nie!!!” — krzyczał w myślach dalej.

I jakaś cząstka jego udreki, nie tyle fizycznej, co duchowej, przedostała się przez niszczące wrota Möbiusa, które w chwilę później wpadły w Bramę. A wtedy...

Szczyty gór rozświetliła pojedyncza, oślepiająca błyskawica, potem rozległ się długi, niski, złowieszczy grzmot, aż wreszcie zapada cisza, którą burzył jedynie trzask ognia i syk świeżych kropli deszczu wpadających w płomienie.

Szaitan po raz trzeci zwrócił się do Szaitisa.

— Ty tego nie czujesz, prawda? — Stanął nad swoim potomkiem, spiorunował go wzrokiem, po czym uniósł głowę i węszył w powietrzu niczym ogromny chart. — Nekroskop wypuścił coś w powietrze, w swoje tajemne przestrzenie. A ty czujesz tylko swoje żądze. Nie dbasz o przyszłość, myślisz tylko o tym, co możesz mieć dzisiaj. Tak więc ostrzegam cię po raz ostatni: uważaj, synu moich synów, żebyś nie pozbawił nas świata!

Na twarzy Lorda malował się grymas szału, Szaitis był największym spośród wampirów, a teraz jeszcze zdjął pęta tkwiącej w nim istocie. Był bestią, jego palce przemieniły się w szpony. Z potężnych szczęk ściekała krew, gdyż zęby przeszły

w kły i rozdzierały dziąsła. Ściskając w garści włosy Karen — ongiś wspaniałe i lśniące, obecnie skołtunione i nędzne — podniósł wzrok na Szaitana oraz na mężczyznę na krzyżu.

— Miałbyś coś czuć? Coś dziwnego i mistycznego? — odpowiedział, świdrując ich szkarłatnym spojrzeniem. — Wszystko, czego pragnę, to agonია nekroscopa oraz ostatnie tchnienie jego i jego wampira. Ale jeśli będę mógł zadać mu trochę cierpień, zanim umrze, to i lepiej!

— Głupcze! — Ciężka, szaro cętkowana kończyzna Szaitana — pół-ręka, pół-szpon — spadła na ramię Lorda Szaitisa. Ten strząsnął ją bez wysiłku i wstał.

— Przodku mój — wycedził — posuwasz się za daleko. I czuję przez skórę, że nigdy nie uwolnię się od twych ingerencji. Porozmawiamy o tym jeszcze — wkrótce. Ale najpierw... — Myślą wyprowadził z cienia swojego wojownika i umieścił pomiędzy sobą a Szaitanem Upadłym.

Szaitan cofnął się, spojrział ponuro na wojownika — tego samego, którego Szaitis stworzył tuż przed opuszczeniem Krainy Wiecznych Lodów.

— Grozisz mi? — zapytał.

Lord wiedział, że wschód jest już blisko, i że najistotniejszy jest czas. Postanowił zmierzyć się z ojcem wampirów później, może po zdobyciu fortecy za Bramą.

— Grozić ci? — odrzekł. — Skądże znowu. Przecież jesteśmy sprzymierzeńcami, ostatnimi z wampirów! Ale jesteśmy też indywidualnościami i mamy indywidualne potrzeby.

Dlatego też Szaitan darował swemu potomkowi życie. Na razie. A kiedy ogień buchnął jaśniejszym płomieniem, nie zważając na deszcz, a Harry Keogh poczuł pierwszy podmuch żaru i zobaczył, że płomienie niemal dotykają jego nóg, Szaitis ponownie zajął się Lady Karen.

* * *

Natomiast w innym świecie...

Na Uralu wybiła północ.

Głęboko pod wąwozem perchorskim, w pokoju, Wiktor Łuchow ocknął się gwałtownie z jakiegoś potwornego koszmaru. Dysząc i drżąc, wciąż jeszcze w półśnie, uniósł niepewnie głowę i rozejrzał się po szarych ścianach. Próbował odzyskać równowagę. W pierwszej chwili chciał przycisnąć guzik alarmowy i wezwać ludzi czuwających na korytarzu. Jeszcze teraz chętnie by to uczynił, lecz, jak przekonał się aż nazbyt dobrze ostatnim razem, takie działanie pogłębiłoby tylko strach. Zwłaszcza w tym klaustrofobicznym, szarpiącym nerwy więzieniu, jakim był Projekt Perchorski.

Ubierając się niezdarnie, analizował swój sen — dziwny, wręcz złowieszczy. Wydawało mu się, że słyszał rozziewający, udreżony krzyk, dobiegający z Bramy w centralnej grocie. Domyślił się, że to los należący do Harry’ego Keogha. Nekroskop telepatycznie informował o swych cierpieniach rzesze zmarłych, spoczywające w niezliczonych grobach, jak świat długi i szeroki. Oni zaś odpowiadali mu najlepiej, jak umieli, jęcząc i postępując, a nawet nieznacznie poruszając się w grobach. Umarli bowiem wiedzieli, jak błędnie osądzili nekroskopa, jak niesłusznie odwrócili się od niego, a także ostatecznie odepchnęli. I teraz zdawali się tonąć w smutku i przygotowywać do nowej Golgoty.

Nagle obok dyrektora Projektu zmaterializował się duch Pawła Sawinkowa — człowieka, który tu właśnie pracował dla majora KGB, Czyngiza Khuwa i tutaj zginął okropną śmiercią. Odezwał się do Łuchowa, opowiedział mu o ostrzeżeniu, które syn Harry’ego Keogha przesłał za Bramę. Za życia Sawinkow był telepatą i talent ten zachował nawet po tamtej stronie. Odkrył w umyśle Łuchowa, że problem Bramy ma zostać rozwiązany przy pomocy atomu.

— Zatem wiesz, co robić, Wiktorze? — zapytał Sawinkow.

— Robić?

— Tak, bo tamci zza Bramy już nadchodzą, a ty wiesz; jak ich powstrzymać!

— Nadchodzą? Kto nadchodzi? — dopytywał się dyrektor Projektu.

— Ty wiesz, kto.

— Ale tej broni nie można użyć — odrzekł po chwili Łuchow póki nie będziemy pewni. Kiedy zobaczymy zagrożenie. . .

— Będzie już za późno! — warknął Sawinkow. — Jeśli nawet nie dla nas, za późno dla Harry’ego Keogha. Wszyscy wyrządziliśmy mu krzywdę i teraz musimy ją naprawić, bo on cierpi niezasłużone męczarnie. Ocknij się, Wiktorze. Teraz wszystko w twoich rękach.

— Mój Boże! — Łuchow rzucał się i wiercił, lecz Sawinkow wiedział, że się nie obudzi. Jeszcze nie. Ale. . . byli tu inni, którzy mogli to zrobić. Mężczyzna usłyszał, jak telepata znowu rozmawia, domyślił się z kim rozmawia, o co prosi, a wręcz błaga i. . . z miejsca ocknął się.

Teraz był już ubrany i prawie zapanował nad sobą, lecz oddech wciąż się rwał, słuch dostrajał się do tętna Projektu. Skądś dochodziło głucho dudnienie silnika, słabo przebijające się przez podłogę, to znów szczyknięcie włązu rozniosło się echem, wciąż klekotał i szumiał system na górnym poziomie, znacznie bliżej korytarza wyjściowego. Tam panował chyba większy spokój. Lecz tu, na dole, gdzie niemal pod stopami miał magmatowe jaskinie i wielką grootę, odnosił wrażenie, że góra osiada mu na barkach.

Nadal wyęzając słuch, Łuchow stopniowo uspokajał oddech i skolatane nerwy. Z ulgą przyjął fakt, że wszystko jest w porządku, a tamto uznał za koszmarny sen. A może nie?

Ten nagły tupot dobiegający z korytarza? I chrapliwe, zaniepokojone głosy?

Ledwie ruszył, by otworzyć drzwi do pokoju, na dnie umysłu usłyszał coś na kształt echa swego snu.

— Przecież już wiesz, Wiktorze. — Rozległ się telepatyczny głos Pawła Sawinkowa, czysty jak dźwięk dzwonu. Tyle że tym razem nie było to żaden sen!

Koś załomotał w drzwi. Nerwy odmawiały Łuchowowi posłuszeństwa, ale otworzył; dłonie mu drżały. Zobaczył wartowników, zdumienie malujące się na ich zmęczonych twarzach i dwóch posępnych techników, przybyłych właśnie z centralnej groty.

— Towarzyszu dyrektorze — wysapał jeden z nich, wpijając się w jego ramię. — Dyrektorze! Ja... chciałem zatelefonować, niestety, linie są w remoncie.

Łuchow wiedział, że technik był przerażony tym, co miał do zakomunikowania, gdyż wiedział, że to coś niewiarygodnego. Wtedy po raz pierwszy dotarły do nich odgłosy odległych wystrzałów.

— To chyba... nie jest coś z Bramy? — wykrztusił Wiktor.

— Nie, nie! Ale to jakieś... stwory!

Łuchowowi cierpła skóra.

— Stwory?

— Spod Bramy! Ze strefy magmatów. Na Boga, to są trupy, towarzyszu dyrektorze!

Trupy, istoty, które zrozumiałby Harry Keogh i które jego rozumiały aż nazbyt dobrze. A jeśli wierzyć ostrzeżeniom pewnego umarłego, najgorsze miało dopiero przyjść! Ale czyż Łuchow nie próbował ostrzec Bizarnowa, co może się stać? Czyż nie radził mu, by nie zwlekał z przyciśnięciem tego cholernego guzika, jeśli zajdzie taka potrzeba? Oczywiście, że tak, choć wyczuł wówczas, że major nie do końca to zrozumiał i wołał niczego nie gwarantować. Zresztą, Bizarnow był wojskowym i miał swoje rozkazy. Ale okoliczności się zmieniły; może teraz zechce odłożyć tamte rozkazy i wziąć sprawę we własne ręce?

Dyrektor Perchorska już wcześniej przetrwał podobną katastrofę. Teraz miał poważny dylemat: czy powinien uciec na górę i opuścić teren projektu, czy zobaczyć, co da się; zrobić na dole? Zwyciężyło sumienie. Byli tam przecież ludzie, właśnie wypełniający cholerne rozkazy! Skierował się do jądra kompleksu.

Biegąc po pochyłym stalowym pomoście, przecinającym magmową jaskinię, ku schodom prowadzącym do centralnej groty, dyrektor Projektu słyszał krzyki, wrzaski i kolejne wystrzały. Tuż za nim gnali technicy, a także jego ludzie, uzbrojeni w półautomaty i miotacz ognia. A kiedy już dotarł do szybu, zalanego blaskiem emanującym z Bramy, usłyszał, że major Siergiej Bizarnow woła, by zaczekał. Po chwili major ich dopędził.

— Obudzono mnie — wysapał. — Posłaniec nie mógł wydukać sensownego zdania. Bełkocący idiota! Możesz powiedzieć, co się dzieje Wiktorze?

Choć Łuchow jeszcze tego nie widział — znał tylko relacje — to jednak miał niejakie pojęcie, „co się dzieje”. Ale tego w żaden sposób nie zdołałby wytłumaczyć Bizarnowowi.

— Nie wiem, co się dzieje — odpowiedział krótko.

To proste kłamstwo, wydało mu się; właściwie półprawdą. Tak czy inaczej, nie mieli czasu na dalszą rozmowę. Kiedy podniosła się nowa fala wrzasków i strzałów, major chwycił Łuchowa za ramię.

— Więc lepiej to, do cholery, sprawdźmy! — krzyknął.

Na końcu pochylni, tuż przy zejściu do szybu, stało pudło z plastikowymi osłonami na oczy Bizarnow, Łuchow i jego wartownicy, wszyscy zaopatrzyli się w przydymione gogle. Cała grupa opuściła się na galeryjkę, umocowaną wysoko na zakrzywionej do wewnątrz ścianie.

Z tego punktu obserwacyjnego, patrząc w dół na jarzącą się Bramę i błyszczący pierścień stalowych płyt, mogli objąć wzrokiem całą, niewiarygodną w swej grozie scenę.

Na dysku znajdowali się; ludzie — niegdysiejsi ludzie, przeistoczeni w potworne magmowe zlepki, których odór zatykał oddech nawet tu na górze. Wychodzili przez włazy w stalowych płytach, wdzierali się do strefy bezpieczeństwa i na pokryte gumą stanowisko wyrzutni rakiet. Było ich dziewięciu, sześciu z nich już zeszło z Obszaru zagrożonego prądem i kwasem. Wyglądali tak niesamowicie, że Bizarnow nie dowierzał własnym oczom. Ściskając ramię Łuchowa, zatoczył się na barierkę.

— Na rany Chrystusa... — wymamrotał, wytrzeszczając oczy. Doktor wiedział, że nie potrzebuje nic mówić. Major mógł się na własne oczy przekonać, czym są te istoty. Kilka z nich widział wcześniej na dole, gdzie stanowiły częśćkę magmatów! Niektórzy „ludzie” znajdowali się w stanie częściowego rozkładu, inni zmumifikowani, lecz żaden nie składał się wyłącznie z ciała. Zostali „stworzeni” z kamienia, gumy, metalu, tworzyw sztucznych, nawet z papieru. Ciała niektórych przenicowano, wzbogacono o inne materiały nierozzerwalnie z nimi związane. To były magmaty. Ani czyste, ani proste, lecz wysoce złożone: magmaty w swej najkoszmarniejszej postaci.

Jeden z tych niby-ludzi, pilnujący chodnika na obwodzie, miał zamiast dłoni otwartą książkę. W chwili zagłady Projektu czytał podręcznik napraw i książka ta stała się integralną częścią jego ciała... Teraz lewe przedramię w nadgarstku przechodziło w sztywny papierowy grzbiet; a kiedy się poruszał, kartki trzepotały i strzępiły się. Ale nie to było najgorsze — dolne partie ciała zostały odwrócone, tak że pięty znajdowały się z przodu. Nawet plastikowa oprawka okularów wtopiła mu się w twarz, tworząc kruche pęcherzyki, natomiast soczewki ściekały na policzki i stwardniały na wzór łez ze szkła optycznego.

Jednak ten był jednym z... szczęśliwszych? Zamknięty w magmatach, zgnieciony w uścisku konwulsyjnych sił i pozbawiony powietrza, umarł natychmiast,

a później jego ciało przeszło proces mumifikacji. Lecz kiedy Incydent Perchorski dobiegł końca i czasoprzestrzeń wróciła do normy, inni pozostali martwi, powykęceni, porzuceni na odkrytej przestrzeni i znajdowali się w takim stanie, że zwyczajni ludzie nie potrafili się zmusić, aby coś z nimi zrobić. Całkowicie lub częściowo wystawionych na działanie powietrza — przypadkowo dołączających do większych fragmentów magmatów lub na poły w nie wtopionych — pozostawiono ich na... wieczną niepamięć, w tych rejonach Projektu, który wówczas zaplombowano i porzucono. Ostatecznie ich ludzkie organy zgniły, odsłaniając zdeformowane szkielety, bo nawet kość nie oparła się przekształceniom — w tych okropnych chwilach, gdy materia cofnęła się do najpierwotniejszej postaci.

Bizarnow widział ludzi będących częściowo maszynami. Ujrzał istotę z pogniecioną butlą tlenową przedziurawioną palnikiem tlenowym, zamiast głowy. Inny znów był od pasa w dół gołym szkieletem, lecz wokół klatki piersiowej i głowy spowity w szklistą skałę, niczym ktoś w pół-skafandrze kosmicznym. Kolczaste kryształy magmatów wyrastały ze stopionych kości nóg, a za szkłem „przedniej szyby” nie uszkodzona twarz zastygła w grymasie nie kończącego się krzyku.

Inny wcale nie miał nóg, był półczłowiekiem, którego wybuch magmy wzbo-gacił o kółka wózka bagażowego zamocowane tuż przy biodrach. Poruszał się, odpychając rękoma, czarnymi od spalonego ciała, łuszczącego się do kości. Długie drewniane rączki wózka wystawały mu z ramion, niczym dziwna antena otaczająca głowę.

Powykęcane, zmumifikowane hybrydy, pół-maszyny przerażały swą potwornością, lecz najstraszniejsze ze wszystkich były istoty półpłynne, które — gdyby nie magmaty. Musiałyby po prostu zmienić się w śmierdzącą kałużę.

Bizarnow niemal przestał oddychać; następnie zaczerpnął spazmatycznie powietrza.

— Ale... jak? — zapytał. — I co oni robią? — Odwrócił się do jednego z przerażonych techników. — Czemu ich nie spaliliście ani nie zalaliście kwasem?

— Pierwszemu, który wszedł na górę, udało się dopaść do mechanizmu systemu obronnego — odpowiedział tamten. — Wyrwał kable. Nikt nie podniósł ręki, żeby go powstrzymać. Nikt nie wierzył...

Bizarnow potrafił to zrozumieć.

— Ale czego oni chcą?

— Jesteś ślepy? — Łuchow zaczął schodzić po schodach. — Nie widzisz tego?

Dziewięciu umarłych otoczyło kręgiem egzorcyty. Byli coraz bliżej. Trzech inżynierów majora wraz z garstką obecnych w Perchorsku żołnierzy próbowało ich tam nie dopuścić. Martwi nie czują bólu. Mimo całego swego zapału, obrońcy wyrzutni nie mogli zabić ich po raz drugi.

— Ale... czemu? — Bizarnow, potykając się, ruszył za Łuchowem. Technicy i wartownicy nie kwapili się do zejścia. — Co oni zamierzają?

— Przycisnąć ten cholerny guzik! — warknął Łuchow. — Mogą być martwi, zniekształceni, niesamowici, ale nie są głupi. To my jesteśmy durniami.

Kiedy zesзли, major złapał dyrektora Projektu za ramię.

— Przycisnąć guzik? Odpalić rakiety? Ale, nie mogą!

— Ale muszą! — odparł Łuchow. — Nie rozumiesz? Cokolwiek ich postawiło na nogi, wiedziało więcej niż my. Umarli nie wyłażą z grobów dla byle kogo lub byle czego. Nie, muszą mieć cholernie ważny powód, żeby wystawiać się na takie tortury!

— Wariat! — syknął Bizarnow. Był bliski załamania. — O, to z pewnością jakiś opóźniony w czasie, sztuczny efekt oddziaływania tego całkiem nienaturalnego miejsca, ale te ożywione... istoty... nie mogą mieć żadnego konkretnego celu. Są ślepe, niewrażliwe, martwe!

— Oni chcą wystrzelić te rakiety — wrzasnął mu w twarz Łuchow, przekrzykując kanonadę — a my musimy im pomóc!

W tym momencie major był pewien, że dyrektor Projektu postradał zmysły.

— Pomóc im? — wyciągnął pistolet i wymierzył w pierś Łuchowa.

— Ty nieszczęsny, szalony sukinsynu! Wynocha stąd!

Łuchow odwrócił się i pobiegł przez ogumowaną strefę bezpieczeństwa w kierunku stwora.

— Wszystko w porządku — wysapał. — Przepuść mnie. Zrobię to za was. — I, ku zdumieniu Bizarnowa, istota niezgrabnie odsunęła się na bok.

— Akurat zrobisz! — ryknął major, przyciskając spust swego automatu. Kula ugodziła Łuchowa w bark i przeszła na wylot, wyzwalając z otworu w klatce piersiowej szkarłatną fontannę.

Runał na twarz i przez chwilę leżał nieruchomo. Bizarnow podszedł do niego, znów szykując się do strzału.

Ale magmowe stwory potrafiły rozpoznać sprzymierzeńca. Istota z książką zamiast ręki zastąpiła drogę majorowi, zaślaniając mu cel, natomiast inna, o kończynach wtopionych w magmową skałę i korpusem, który był mieszanką stopionych kości, gumy i szkła, słaniając się, przyszła z pomocą dyrektorowi. Major opróżnił cały magazynek, lecz bez skutku. Ale kiedy stwór był już blisko, któryś strzał rozłupał magmową obudowę jego ramienia.

Krucha osłona natychmiast się rozsypała, a ze środka zaczęła wyciekać czarna, odrażająca breja, rozdrobniona na papkę, przegniłe mięso.

Major wpadł na ścianę, dosłownie przygnieciony smrodem. A rozkładająca się hybryda wciąż się zbliżała, Bizarnow uniósł pistolet i pociągnął za spust, lecz usłyszał tylko suchy trzask. Miał zapasowy magazynek w kieszeni. Sięgnął po niego...

Magmowa istota zacisnęła kościstą dłoń na jego tchawicy. Bizarnow zaczął się dusić. Zobaczył, że Łuchow podnosi się chwiejnie i zmierza ku modułowi odpalającemu, porzuconemu przez większość obrońców. Pozostał tam tylko jeden

żołnierz i jeden technik. Skakali, bełkotali i tulili się do siebie jak dzieci, patrząc na otaczające ich, gnijące potwory rodem z koszmarnego snu.

Dwa z tych magmowych zlepków pomagały dyrektorowi, podtrzymując go, gdy włókł się ku konsoli odpalania!

Major zdobył się na ostatni wysiłek; wyciągnął z kieszeni zapasowy magazynek i usiłował zamontować go. Gdy to czynił, magmowa osłona całkowicie odpadła z lewej ręki napastnika. Bizarnow otworzył usta, by wrzasnąć lub wymiotować... a zwyrodniała istota wepchnęła mu szkielet ręki z resztkami galaretowatego, przegniłego mięsa prosto w gardło!

Major dławił się i dygotał, przygwożdżony przez potwora. Oczy wyszły mu z orbit, a serce przestało bić. Umarł, lecz zdążył jeszcze zobaczyć Łuchowa przy konsoli odpalania. Zobaczył, że tamten osuwa się na gumową wykładzinę. W tej samej chwili zaryczały syreny.

* * *

Zaś w Gwiazdnej Krainie...

Harry Keogh płonął. Z nieba spadała lekka mżawka, która w żaden sposób nie mogła zdławić ognia, a nekroskop płonął. Płonął na zewnątrz i w środku — z wierzchu paliły go płomienie, wewnątrz — niszcząca nienawiść do Szaitisa, który właśnie siłą brał Lady Karen, tuż przed krzyżem. Karen zdawała się być całkowicie wyczerpana, nie opierała się wcale, gdy się w nią wdzierał.

„Bestia — myślał Harry — nawet wojownik nie mógłby zrobić nic gorszego.”

Chwilę wcześniej próbował utworzyć drzwi Möbiusa — największe ze wszystkich, tuż przed samą Bramą — które, przy dozie szczęścia, mogłyby implo-dować całym swym ogromem i wessać wampiry wraz z ich stworzeniami i wszystkim innym w wieczną ciemność. Jednakże cyfry nie chciały się pojawić, komputerowy ekran umysłu pozostawał pusty. Wydawało się, że zdolności nekrokopa umarły wraz z jego wilkiem-synem, starte do czysta niczym kreda z tablicy. I rzeczywiście tak się sprawy miały — po całym swym niezwykłym życiu, umysł Harry’ego ostatecznie się poddał, przytłoczony ciężarem tragedii. Teraz był z powrotem człowiekiem, tylko człowiekiem, a wampir w jego wnętrzu nie dorósł jeszcze nawet do tego, by uciec z topniejącego ciała.

— Zejdz, nekroskopie — kpił Szaitis. — Może ci zostawić trochę z twojej dziwki?

Płomienie sięgały coraz wyżej, buchał czarny dym. Szaitan jakimś cudem wyminął wojownika Lorda i stał teraz w pobliżu, przyglądając się tej scenie. I mimo że Upadły był obcy, nieludzki, jednak coś w jego postawie — w sposobie, w jaki jego oczy spoglądały spod czarnego kaptura, zdradzało niemal ludzką niepewność i obawę. Jak gdyby widział to wszystko już wcześniej i teraz czekał na jakiś budzący grozę finał.

Dolne partie ciała Harry'ego pożerał już ogień. Pozostawało tylko zasnąć i na zawsze uciec od trudów życia. Tylko że... zamiast tracić przytomność, czuł, jak ból odpływa, odbija się od niego, ucieka. I wiedział, że to nie jest po prostu sztuczka wampira. Jego ciało płonęło, lecz ból należał do kogoś innego. Wielu innych go wchłaniało: wszyscy umarli z Gwiezdnej Krainy, którzy — gdy było już zbyt późno — pragnęli przynieść mu choć ulgę.

— Nie — Próbował przekonać tak troglodytów, jak i Wędrowców. — Musicie pozwolić mi umrzeć — Ale nie znał mowy zmarłych.

— Gdzie teraz twoja moc? — śmiał się Szaitis. — Skoro jesteś tak silny, uwolnij się. Wezwij swoich gnijących umarłych. Przeklnij mnie Słowami Potęgi, nekroskopie. Ha! Twoje słowa, jak i sami umarli, to nędzny proch!

Jakimś cudem Harry znalazł dość siły, by mu odpowiedzieć.

— Odsuń się, Szaitisie — wysapał. — Twój widok jest bardziej przykry niż jakikolwiek ogień. Te płomienie są błogosławieństwem — pozwalają mi cię nie widzieć!

— Dosyć! — rozeźlił się Szaitis, wpełzając na Karen, niczym fala szumowin. — Jeszcze jeden, ostatni pocałunek i będzie po niej, a ty odejdziesz wraz z nią! — Spadł na nią: jego szczęki rozwarły się szeroko; zaczął zbliżać usta do twarzy Karen, by zmiażdżyć jej głowę...

Jej szkarłatne oczy błysnęły jak ogień.

Możliwe, że otworzyła również swój umysł, by Lord mógł wyczytać w nim swoją śmierć. W każdym razie próbował oderwać się od niej. Na próżno. Jej ramiona i nogi oplótły go, oba metamorficzne ciała stopiły się w jedno. Karen wykaszała granat Rezydenta, wyciągnęła rozwidlonym języczkiem zawleczkę i wepchnęła twarz między rozdziawione szczęki swego oprawcy!

Szaitis próbował oddzielić się od niej... Jeszcze sekunda i mogłoby mu się udać... Za późno!

— Żegnaj, Harry — powiedziała.

I ciemność Gwiezdnej Krainy rozdarł pojedynczy błysk, któremu towarzyszyła detonacja, nieco tylko stłumiona przez mięso i kości, które obróciły się w szaro-szkarłatną maź. Kiedy opadł czerwony deszcz, a ich bezgłowe, drgające ciała rozłączyły się, podpełzł Szaitan. Nie zwracał uwagi na Karen, widział jedynie zwłoki Szaitisa. Sięgnąwszy szponiastą macką w głąb rozdartej szyi swego potomka, wyciągnął wijącą się, pozbawioną głowy pijawkę, cisnął w środek ogniska — i roześmiał się. Bowiem Szaitis nie miał głowy ani mózgu.

— Ty głupcze — powiedział do pustego truchła. — I ty chciałeś nasłać na mnie swego wojownika? Ty i ja byliśmy jednej krwi, ale moje panowanie nad umysłami takich stworzeń było o wiele silniejsze niż twoje! Przez blisko trzy tysiące lat słyszałem, jak stary Kehrl Lugoż jęczy, śpiąc w swojej lodowej torbiele, jak przeklina mnie w snach. Myślałeś, że nie zauważę, że umilkł?

O tak, przeklinał mnie, ale był tchórzem. Naprawdę chciałeś natchnąć swoje stworzenie jego nienawiścią i żądzą? Co? Starego Kehrla? On nie czuł żadnej żądzy, już nie!

Odwrócił się i cisnął myślową strzałę w wojownika, który natychmiast stanął na tylnych łapach i zakwiczał trwożliwie.

— Ty nie rozumiesz znaczenia tego słowa! Nienawiść? Nie masz pojęcia, jak ciebie znienawidziłem. Gdybym pofolgował swojej zawiści. . . sto razy już mógłbym cię zabić! Ale nie tak słodko.

Przysunął się do Szaitisa, podniósł jego zwłoki i przytulił do siebie. I czarne, pomarszczone ciało Szaitana zaczęło pękać wzdłuż całej długości, niczym zgnieciony orzech ukazujący miękkie jądro. W głębi tego pradawnego korpusu czekała mniejsza, bardziej wiotka, ale i bardziej wytrzymała wersja jego samego — pierwotny wampir, który czekał przez te wszystkie tysiąclecia. Lecz plany Szaitana, aby połączyć się z ciałem zrodzonym z jego ciała i tak się odrodzić, nie miały się powieść.

Bowiem każdy z Harrych wysłał wieść o swych cierpieniach nie tylko do Gwiazdnej Krainy, na Ziemię i do wszystkich innych światów, ale i w przestrzenie między nimi. Ich udręki poznali wszyscy umarli, zaś ich ostrzeżenie zostało wysłuchane przez Innych, którzy nie byli martwi i nigdy nie będą.

Nekroskop i Szaitan w jednej chwili poczuli Jedyńą Wielką Prawdę. Harry poznał, zaś Szaitan. . . wreszcie sobie przypomniał!

— Aaach! — sapnął Upadły, dźgnięty tym wspomnieniem. Gdy jego wampir wyrwał się, aby uwolnić się od starej powłoki i wślizgnąć w Szaitisa, jego osłonięte kapturem oczy skierowały się ku Harry'emu Keoghowi, płonącemu na krzyżu. Szaitan spojrzał na tę twarz otoczoną ogniem i uzmysłowił sobie, gdzie ją wcześniej widział.

Ujrzał też czy raczej wyczuł coś innego. Coś, co błysnęło srebrem na tle białego blasku Bramy, a następnie przerodziło się w jeszcze większy blask. Nad Gwiazdną Krainą wybuchło nuklearne słońce, konkurując przez chwilę ze światłem brzasku. A między pojawieniem się egzorcytu i eksplozją wszechpożerającej główicy, Szaitan zobaczył coś jeszcze: widok, który mógłby wydusić ostatnie, długie westchnienie z gardła tego Pierwotnego Zła. . .

Ukazał się wielki krzyż, przeszywany włóczyniami wielkiej światłości, które w końcu rozniosły go na atomy. . .

Epilog

Śmierć. Harry zastanawiał się, dlaczego się jej bał. Bowiem spośród wszystkich ludzi, tylko on jeden wiedział, że nie jest taka, jaka się wydaje. Wszak już jej zaznał. Bezcielesny, niematerialny, jak każda istota, którą zawiodło ciało, był teraz wolny od wszystkiego. Tyle że w jego przypadku wyglądało na to, iż doczesna śmierć nie należy do scenariusza.

Zawsze wiedział, że śmierć nie jest końcem — że do czegokolwiek człowiek dąży za życia, będzie nadal dążył w swym wiecznym tchnieniu. Harry Keogh znał doskonale kontinuum Möbiusa, tak więc bez zdziwienia przyjął fakt, iż teraz tam się właśnie znalazł. Pędził pod prąd, pośród błękitnych, zielonych i czerwonych nici Gwiezdnej Krainy, ku ich zamierzchłej przeszłości. Nie on jednak wytworzył drzwi. Nie on znalazł drogę ucieczki.

A to mogło jedynie znaczyć, że został... uratowany?

Ale przez kogo? — jeśli istotnie Ktoś uznał za korzystne ocalenie jego umysłu, jaki pożytek mógł mieć ze spalonego, zwampiryzowanego ciała? Kiedy bowiem Harry ujrzał, że jego dymiące zwłoki pędzą obok, zwijając swoją czerwoną nić do punktu przejścia do Gwiezdnej Krainy, a następnie nurkują dalej. On zaś podążał wraz z nimi, lecz bezcielesny, odrębny, pędzący na oślep w czasy, których fizycznie nigdy nie poznał.

Harry za życia nigdy nie był stuprocentowo przekonany o istnieniu Boga, czy też boga. Ale jeszcze w Gwiezdnej Krainie wyczuł pojawienie się Potęgi. Co więcej, znał źródło tej Potęgi i był przeświadczony, że Möbius i Pitagoras mieli słuszność.

Teraz... Keogh i jego pozbawiona jestestwa powłoka stali się zaledwie impulsami w Umyśle, który nazwano także „kontinuum Möbiusa”, liczbami w nieskończonej strukturze Wielkiego Niepojętego Równania.

— Istoty zawsze czemuś służą, Harry — odezwał się wreszcie Umysł. — Jaki byłby sens tworzenia, gdyby cały wysiłek miał pójść na marne? Czasem nam się udaje, a czasem ponosimy klęskę. Lecz dla każdego naszego dzieła, tak dobrego, jak i złego, znajdziemy zastosowanie.

Harry nie był pewien, czy oczekują od niego odpowiedzi, zresztą żadna nie przychodziła mu na myśl. Miał za to pytanie, aczkolwiek krótkie.

— Bóg? — wyszeptał.

Poczuł coś na kształt rozległego wzruszenia ramion.

— Twórca, doradca, anioł? Bóg... jest, powiedzmy, że On stoi o kilka szczebli wyżej na tej drabinie. Jego umysł, jak wiesz; jest rozległy! My nosimy Jego myśli, wypełniamy Jego wolę. Najlepiej, jak umiemy.

— Miałem pewne wątpliwości.

— My również je miewamy, czasami. Miał je i Szaitan, kiedy był jednym z nas... Tylko że on chciał przekonać o swej racji wszystkich, we wszystkich Wszechświatach Światła. Chciał zmusić ich do wiary w siebie!

Harry'emu wydawało się, że rozumie. Zrozumienie powinno wystarczyć. Lecz będąc — przynajmniej kiedyś — człowiekiem i widząc, że tor jego lotu skręca, oddala się od cuchnących zwłok, nawet nie potrafił się oprzeć ciekawości.

— Co teraz? — zapytał więc.

— Stoisz na kilku pierwszych szczeblach. Wyznaczyłeś sobie cel, wybrałeś drogę i tego się trzymałeś. Twoja historia to historia powodzenia. Podobnie jak

Szaitan, nie będziesz pamiętał, lecz będziesz znał! Ale podczas gdy on znał tylko wielki mrok, ty poznasz światło. We wszystkich twoich światach.

— Wszystkich moich... ?

— Gdziekolwiek zjawisz się. Bowiem jego światy są równie nieskończone, jak Jego myśli.

— A... to? — Harry wskazał swą poczerniałą powłokę, która zmniejszyła się, pędząc ku jakiemuś nie określonymu celowi.

— Przyczyny mają skutki, a skutki przyczyny. Nie może zdarzyć się nic, co nie zaszło już wcześniej. Świat Gwiazdnej i Słonecznej Krainy okazał się błędem, gdzie zwyciężyło zło. Więc chyba należy dać mu nową szansę. Poza tym zajmie to Szaitana, który dotąd zaćmiewał światło w wielkiej liczbie światów. Tutaj zaczniesz od nowa, od najniższego szczebla. Bowiem, jak dobrze wiesz, Harry, co będzie, już było. Czas jest względny.

Keogh poczuł się nieco zdezorientowany. Nie mając w sobie wampira, ponownie był niewinny i nieświadomy.

— To wszystko bardzo trudno zrozumieć — powiedział — ale przypuszczam, że nauczę się podczas swej drogi.

— O, z pewnością! — obiecał rozmówca.

Zwłoki Harry'ego zatoczyły koło, niknąc w wielobarwnej mgiełce czasu przeszłego. Kiedy bezcielesny umysł rozprysnął się we wspaniałym błysku, dając początek setce złocistych odłamków, z których każdy pomknął do innego świata, jego myśli i nawet mowa zmarłych dobiegły kresu. Tylko że każdy z tych świetlistych okruchów był nim... i miał w sobie tę wiedzę.

* * *

Odzyskawszy przytomność, Szaitan krzyknął. Krzyknął, czując jak świadomość spowija inteligencję, jak wola pozbawiona wiedzy zamieszkuje umysł wytarty do czysta. Zastał siebie klęczącego na skraju nieruchomej wody i ujrzał obraz swój, odbity w mętnej głębinie. A gdy zobaczył, że jest nagi, zawstydził się; lecz gdy zobaczył, iż jest piękny, poczuł dumę. Bowiem wstyd i duma pochodzą z duszy, nie z wiedzy.

Powstawszy, Szaitan odkrył, że potrafi chodzić. I o owym szarym, mglistym brzasku posuwał się brzegiem ciemnych, cuchnących wód, które były bagnem. I zobaczył, jak posępne i odludne jest miejsce, na które spadł lub gdzie został strącony. Toteż uznał siebie za grzesznika, a to miejsce za pokutę. Ta świadomość określiła jego naturę: instynktownie rozumiał takie pojęcia jak grzech i pokuta. I pomyślał, że ukarano go za to, że jest piękny. To podsunęła mu jego duma, jego prawdziwy grzech. Bowiem Szaitan widział Piękno jako Moc, Moc jako Prawo, zaś Prawo wedle swojej woli. I tę wolę miał narzucić innym.

Z tą myślą oddalił się od cuchnących wód i poszedł narzucać swą prawdę temu obcemu światu. Lecz w chwili gdy się odwrócił, grzęzawisko za nim zbulgotało, więc zatrzymał się, aby zerknąć na czarne bąble przebijające się na powierzchnię.

I wśród wodorostów ujrzał Szaitan wynurzającą się z wody postać. Ciało miało obrzmiałe i poparzone, lecz twarz była nienaruszona. Wiedział, że to był jakiś znak. Posiadał wolę — mógł zaczekać i sprawdzić, co się stanie; mógł też pójść dalej, wedle swojej woli. Podejrzywał, że ta istota w bagnie kryje w sobie zło. Przez chwilę stał nieruchomo, jak na rozstaju dróg... po czym zawrócił i raz jeszcze klęknął nad bagnem. Bowiem zapragnął poznać zło.

Patrzył na twarz, której nigdy nie znał i której nie będzie mógł sobie przypomnieć przez niezliczone lata. A kiedy nad wodę przychodziły stworzenia tego świata brzasku, by zaspokoić pragnienie, kiedy mgły podnosiły się znad bagien, Upadły patrzył na własną przyszłość, uwięzioną w wodorostach wśród mętów i szlamu.

W pewnej chwili nadpalone, obrzmiałe ciało pękło, ukazując małe, czarne grzyby, które nagle uwolniły w szare światło przed świtu czerwone zarodniki. Szaitan z własnej woli wciągnął nasienie wraz z oddechem — kończąc tym samym ze swą niewinnością. Koło zatoczyło pełen obrót i cykl został zamknięty.

I otwarty...